

LAURA NORTON

Taka karma
czy
głupie serce



SZALONA OPowieść,
ŚWIEtNE PIÓRO.
DOBRA ZABAWA GWARANTOWANA!

LAURA NORTON

Taka karma
czy
głupie serce



PRZEŁOŻYŁA MARIA MRÓZ

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Dla mojej siostry Marty

Cóż ja takiego uczyniłam w poprzednim wcieleniu, że teraz wszystko wali mi się na głowę?
Wiem, że to nie moja wina, zatem widocznie taka jest moja karma, albo to on zawinił. Tak,
właśnie tak. To wszystko przez niego, przez Aaróna. Nie ma sensu dalej się oszukiwać. Przecież
od chwili gdy pojawił się w moim życiu...

Przeklęty Aarón.

Bitwa na poduszki

Dokładnie pamiętam, kiedy i w jakich okolicznościach podjęłam decyzję o tym, czym chcę się zajmować w życiu.

To było w chwili gdy usłyszałam oklaski. Nie myślcie jednak, że widownia biła mi brawo, zauroczona moją interpretacją aktorską. Nie, nigdy nie miałam ambicji, aby zostać aktorką, ale istotnie, zdarzyło się to podczas przedstawienia. Wystawiał je teatr szkolny pod koniec ostatniego roku liceum, gdy byliśmy tuż przed wyborem kierunku studiów. W roku 1998, kiedy nie istniał jeszcze ani Facebook, ani Twitter, ani Instagram. Ciągłe jeszcze słuchało się radia, bo taki wynalazek jak Spotify nikomu nie powstał w głowie, a w radiu jak dzień długi leciały piosenki Manu Chao. „*Me llaman el desaparecido...*”¹. A jedynym i oczywistym powodem, dla którego wzięłam udział w spektaklu, było to, że podobał mi się pewien chłopak. Aarón. Nie chodził do mojej klasy, nigdy w życiu nie zamieniłam z nim ani słowa. Widywałam go tylko czasami na korytarzu. Był wysoki, szczupły, z grzywką opadającą na oczy koloru kasztanów. Wyobrażałam sobie, że musi mieć uroczy uśmiech, choć nigdy nie widziałam, żeby się uśmiechał. I był przystojny. Był tak atrakcyjny, że mógłby się znaleźć na okładce dowolnego pisma dla nastolatków (tak, w tamtych czasach jeszcze istniały młodzieżowe pisemka). I zawsze gdy go widziałam, niósł coś przewieszzonego przez ramię: aparat fotograficzny, skórzaną torbę wypełnioną książkami albo gitarę. To także mi się w nim podobało. Był liderem zespołu muzycznego, nazywali się *Los Humildes*². Gdzieś w połowie każdego ich koncertu okazywało się, że chłopcy nie mają już na sobie koszulek i dumnie prezentują torsy, co zdecydowanie podgrzewało atmosferę. Według mnie nie miało to nic wspólnego ze skromnością. Może nie byli najlepszymi muzykami na świecie, ale przyjemnie było na nich popatrzeć. Sam Aarón rzadko ściągał koszulkę, robił to tylko zmuszony przez kolegów z zespołu. Nie ukrywam, że ten moment, gdy rzucali się na niego, żeby go obnażyć, był dość... no cóż... poruszający. Tak naprawdę to był najlepszy moment koncertu! Byłam tego świadkiem kilka razy, a potem..., o Boże!, całymi tygodniami kładłam się spać z tym niepokojącym obrazem pod powiekami. Czterech nagich do pasa chłopców zmuszających do obnażenia się tego, o którym śniłam (o ile udało mi się zasnąć...). Ach, ten jego pępek! I w tak uroczy sposób opierał się ich zakusom!

Za każdym razem, gdy wybierałam się na ich koncert, w głębi duszy wierzyłam, że na koniec uda mi się podejść do Aaróna i coś powiedzieć. „Świetnie dzisiaj wypadliście...”. „Dajecie coraz lepsze występy...”. Tysiące zdań, które ćwiczyłam przed lustrem całymi godzinami. Na próżno. Gdy dochodziło co do czego, aby dodać sobie animuszu, piłam jedno piwo za drugim i na koniec koncertu zawsze zbyt szumiało mi w głowie, żebym mogła się na coś odważyć. Ponadto *Los Humildes* mieli całe gromady fanek zdecydowanych na wszystko i wszystkie one były ładniejsze, bardziej seksowne i trzeźwiejsze ode mnie. Tak więc właściwie nie miałam najmniejszych szans. I nigdy do niczego nie doszło. On był w centrum wszystkich spojrzeń, ja byłam jak przezroczysta.

Dlatego gdy zobaczyłam, jak dopisuje swoje nazwisko do wywieszanej na korytarzu listy chętnych do wzięcia udziału w szkolnym przedstawieniu, nie wahałam się ani chwili i wpisałam poniżej swoje. Aarón i Sara. Prawda, że te imiona świetnie by wyglądały na sercu wyrytym na

korze drzewa? Albo na ślubnym zaproszeniu. Aarón i Sara mają zaszczyt zaprosić na uroczystość zawarcia związku małżeńskiego, która odbędzie się...

To dla mnie wielka szansa! Znajdę się blisko niego, bez rozpalonych fanek, bez piwa, które jakoś samo trafiło mi do ust i eliminowało mnie z pola bitwy. Mieliliśmy wystawić *Sen nocy letniej*. Dość dowolną wersję tego utworu, ledwie nawiązującą do tekstu, gdyż nauczyciel literatury, który podjął się reżyserowania, uznał, że należy nam zostawić wolną rękę. Aarón nie chciał występować, po prostu zapisał się jako muzyk, a ja byłam za to wdzięczna losowi, bo – aby tylko być blisko niego – byłam nawet gotowa zgłosić się na odtwórczynię jednej z ról. Ale to nie okazało się konieczne. On miał grać na gitarze, a ja postanowiłam zająć się scenografią i projektami kostiumów. To wydało mi się najbardziej rozsądnym wyborem z możliwości, które były do dyspozycji.

Jedną z aktorek była Paola, córka Polki i Włocha. Była taka piękna... Jakie to jest uczucie – wiedzieć, że jest się tą najpiękniejszą? Czy piękne kobiety są świadome tego, że ludzie traktują je lepiej niż inne, nie tak hojnie obdarzone urodą? Zawsze kręcili się wokół niej wszyscy chłopcy. Reszta grupy *Los Humildes*, idąc za przykładem Aaróna, także postanowiła wziąć udział w przedstawieniu i oczywiście wkrótce uległa wdziękowi Paoli. Pilnie pracując, jednocześnie próbowałam wysledzić, czy i Aarón jest nią zauroczony. Ale chociaż przy kilku okazjach ze sobą rozmawiali, wydawało się, że do niczego więcej między nimi nie doszło. Trochę mi ulżyło.

Mijały dni, aktorzy uczyli się tekstu, a muzycy pojawiali się dość sporadycznie, gdyż reżyser potrzebował ich jedynie wówczas, gdy jakaś scena była już opracowana. A wtedy, na widok Aaróna wchodzącego do sali, serce zaczynało mi trzepotać w piersi jak szalone. I chociaż zachowywałam całkowitą abstynencję od piwa, nadal nie wiedziałam, co takiego powinnam zrobić, żeby przestać być dla niego niewidzialna. Doszłam do wniosku, że skoro jestem aż tak beznadziejnie nieśmielona, iż nie potrafię nawet się z nim przywitać, to pozostaje mi jedynie przyciągnąć jego uwagę moją pracą przy spektaklu. Tak więc pewnego dnia na próbie wysunęłam ekstrawagancką propozycję dotyczącą scenografii i kostiumów. Mój pomysł natychmiast zyskał gorącą aprobatę nauczyciela. Polegał na stworzeniu feerycznego nastroju na scenie przy pomocy piór. Tak, ptasich piór. Czegóż, co towarzyszyło mi w życiu od najwcześniejszego dzieciństwa.

Moja babcia miała pracownię krawiecką i modniarską w dzielnicy Malasaña, przy ulicy Velarde, parę kroków od placu Dos de Mayo. Był tam wielki lokal sklepowy z ogromną przeszkloną wystawą, posadzką z różnokolorowych płytek cementowych, dębowymi regałami sięgającymi sufitu i kontuarem pokrytym imitacją masy perłowej, z tysiącem maleńkich szufladek. Wąskim, wysokim korytarzykiem przechodziło się ze sklepu do drugiego pomieszczenia, które było pracownią babci; stamtąd zaś wychodziło się na wewnętrzne patio, wypełnione roślinami w pojemnikach, paprociami i klatkami dla ptaków. Babcia zajmowała się głównie projektowaniem kapeluszy i stroików na głowę. Spędzałam długie godziny dzieciństwa na zabawie wśród zwojów materiału i różnych przyrządów krawieckich, przyglądając się, jak babcia własnoręcznie wykonuje prawdziwe dzieła sztuki. Jak zamienia zwykły kawałek filcu w elegancki kapelusz. Jak z kilku piórek umieszczonych na stożkowej strukturze tworzy niezwykle przybranie głowy. Niewątpliwie tym, co najbardziej mnie fascynowało, był widok babci posługującej się piórami. Pióra sówie, strusie, bażancie, pióra kuropatwy, pawie pióra, pióra rajskich ptaków, papużek, tukanów, wróbli czy szczyglów. Pióra wszelkich kształtów, rozmiarów i faktur. Delikatne, leciutkie, w żywych kolorach lub też inne, bardziej szorstkie i o stłumionych barwach. Niektóre babcia farbowała, chociaż wolała kolory naturalne, inne poddawała działaniu pary wodnej, co pozwalało wyginać je i modelować. Używając tych najrozmaitszych piór, rozmieszczając je niekiedy swobodnie, intuicyjnie, a innymi razy w sposób

zdyscyplinowany, ściśle geometrycznie, uzyskiwała bajeczne rezultaty. Przybrania głowy w jej wykonaniu były egzotyczne, delikatne, bujne, fantastyczne... Zawsze podbierałam jej kilka piór, żeby robić przebrania dla moich lalek. Kiedy miałam sześć lat, wyznaczono mnie do odegrania roli anioła w przedszkolnym przedstawieniu jasełkowym. Skrzydła, które pomogłam babci wykonać, były tak udane, że wszyscy podziwiali je z szeroko otwartymi ustami. Pamiętam, że nie byłam w stanie zrozumieć, dlaczego nie wznoszę się w powietrze, mimo iż z całej siły macham upierzonymi ramionami.

Właśnie te wspomnienia podsunęły mi pomysł wykorzystania piór w naszym przedstawieniu *Snu nocy letniej*. Zaproponowałam, żeby podczas kluczowej końcowej sceny spektaklu – nie pamiętam już teraz, o co w niej dokładnie chodziło – aktorzy stoczyli bitwę na poduszki, zapelniając powietrze nad sceną piórami. Następnie należało wykorzystać chwilę, gdy prawie nic nie będzie widać, posłużyć się grą świateł i zwykle stroje aktorów zamienić na upierzone, widowiskowe, cyrkowe, mitologiczne kostiumy. Tak przynajmniej sobie to wyobrażałam. Gdy ma się siedemnaście lat, widzi się świat w sposób skrajny: albo triumf, albo porażka. Wzniosła miłość lub otchłań samotności. Naszkicowałam swoje pomysły, żeby je lepiej sprzedać reżyserowi. Zainspirowałam się twórczością tych wielkich projektantów mody, którzy w tamtych latach tworzyli najbardziej ryzykowne projekty: Alexandra McQueena czy uwielbianej przeze mnie Vivienne Westwood. Wizjonerów, którzy nie bali się koloru, nie unikali przezroczyстых tkanin, którzy umieli zakłać swoje fantazje w bajeczne stroje. Nauczyciel literatury był zachwycony. Teraz myślę, że musiał być niewiele starszy od nas albo też po prostu chciał, żebyśmy mogli dać swobodny upust naszej kreatywności. Musiałam zaprosić kilku kolegów do współpracy przy moim ambitnym projekcie. Pracowaliśmy zajadłe i miotaliśmy się od euforii do przygnębienia. Były dni, kiedy wszystko szło jak z płatka, a w inne wszystko wydawało się walić nam na głowę i obawiałam się wówczas, że nigdy w życiu nie doprowadzimy do końca moich szalonych planów. W chwilach całkowitego zwątpienia odkryłam pewną prawdę o swoim charakterze, która wcale mi się nie spodobała: paraliżował mnie, wręcz pogażał lęk przed porażką. W tych dniach, w których wątpiłam w sukces, popadałam w apatię albo zaczynałam się nieprzyjemnie zachowywać, a negatywne myśli rujnowały moją psychikę. Czyżby to właśnie odczuwali artyści, gdy wena ich opuszcza? Muszą łapać niezłe doły. Nie wiedziałam wówczas, że te lęki będą mi odtąd często towarzyszyły i że przy niejednej okazji obawa przed porażką uniemożliwi mi działanie, całkowicie mnie obezwładniając. Jednak nauczyłam się wtedy też tego, że po dniach złych przychodzą lepsze. No i muszę przyznać, że pchała mnie do przodu nadzieja, że zobaczę Aaróna w drzwiach. To było dla mnie najważniejsze. Chciałam, żeby dostrzegł mnie przy pracy, zauważył, jak dowodzę swoją ekipą, i żeby uwierzył, że jestem zdolna do spełniania swoich zamierzeń.

I w końcu nadszedł ten dzień, gdy Aarón podszedł do nas, żeby zobaczyć, co robimy. Przesunął dłonią po pawim piórze i zapytał:

- Skąd je bierzesz?
- Pióra? Z pracowni, która należała do mojej babci. Zostało ich tam mnóstwo. Zresztą nie jest tak trudno je zdobyć.
- Trzeba zabić ptaki, żeby je oskubać?
- Czasem wystarczy je trochę postraszyć.
- Poważnie?
- Aztekowie tak robili. Hodowali rozmaite gatunki ptaków, a gdy potrzebowali piór, posyłali dzieci, które hałasowały i rozrabiały wokół klatek. Ptaki się stresowały i gubiły część pierza.

Aarón uśmiechnął się, słysząc moją opowieść. Jego uśmiech był czarujący, właśnie taki,

jak sobie wyobrażałam.

– Dziwni ci Aztekowie – powiedział.

W tej samej chwili podszedł do nas Santi, jeden z członków zespołu, wybujały, chuderlawy chłopak z wielkim nosem i piegami na twarzy. Był przyjacielem Aaróna, a przynajmniej jego najlepszym kolegą. Objął go ramieniem i odciągnął do tyłu.

– Wiedziałaś, że Aztekowie hodowali ptaki na pióra? – zapytał go Aarón.

– A co to za jedni?

– Santi, w życiu istnieje jeszcze coś oprócz twojej Marty, uwierz mi.

Odeszli, a Aarón pożegnał się ze mną, unosząc brwi i lekko się uśmiechając. Chciałabym móc go zatrzymać. Opowiedzieć mu wszystko, czego dowiedziałam się od babci o piórach i ich historii. O piórach lub o czymkolwiek, byleby tylko mu udowodnić, że chociaż jestem jego fanką, to nie taką jak inne jego wielbicielki, i mimo że nie jestem tak piękna jak Paola, mogłabym zostać jego... No cóż, sama dobrze nie wiedziałam kim.

Nie zamieniliśmy już więcej ani słowa aż do premiery, ale i tak uznałam, że uczyniłam milowy krok w naszych stosunkach. Kiedy teraz spotykaliśmy się na korytarzu, zauważał mnie i pozdrawiał gestem, skinieniem głowy i potem lekkim jej podniesieniem, co według mnie miało oznaczać: „No, jak tam? Jak się masz?”. A ja uśmiechałam się jak niemądra i modliłam się, żeby nie zauważył, że z wrażenia trzęsą mi się nogi.

Wreszcie nadszedł dzień premiery. I nawet ciężki alzheimier nie sprawi, abym o nim kiedykolwiek zapomniała.

Mogę odtworzyć w myślach, bez najmniejszego wysiłku i nie opuszczając najdrobniejszych szczegółów, tę chwilę, gdy na scenie rozgorzała bitwa na poduszki. *Los Humildes* zagrali na żywo, Aarón uśmiechnął się do mnie, a ja poczułam się tak, jakbym za życia trafiła do nieba. Światła zmieniły kolor, buchnął dym, zawirowały pióra i z oparów kolorowej mgły zaczęły się wyłaniać sylwetki aktorów, zamienionych w niewiarygodne, wspaniałe, upierzone istoty. To było tak, jakby przedziwny majak senny, sen nocy letniej wcielił się w życie na naszych oczach. W dużej części dzięki mnie, moim projektom, moim pomysłom, mojej inwencji twórczej. Publiczność zareagowała gromkimi brawami, a ja poczułam rozpierającą mnie dumę i nieznaną mi dotąd uczucie ekstazy. Aarón wykonał lekki ukłon w moją stronę, którym powiedział mi: „Udało ci się”. A przynajmniej tak mi się wydawało, bo to właśnie pragnęłam wyczytać z jego warg. Nie potrzebowałam skrzydeł, żeby unieść się w powietrze.

I wtedy właśnie zrozumiałam. Zrozumiałam, czym pragnę się zajmować przez resztę życia. I choć nie wiedziałam, czy nie zabraknie mi odwagi, żeby się na to zdecydować, wiedziałam z całą pewnością, że to właśnie to.

Po przedstawieniu kilku aktorów wyciągnęło butelki taniego wina i szampana, które przynieśli z zamiarem uczczenia sukcesu. Piliśmy, sprzątajac scenę i zbierając pióra. Byliśmy w euforycznym nastroju i w pewnej chwili ktoś dał hasło do powtórzenia bitwy na poduszki. I znowu pióra wzbiły się w powietrze, znowu powoli opadały, kołysząc się jak płatki śniegu, lekkie i miękkie, pieszcząc nas swym dotykiem. Śmiechy, alkohol, pióra i Aarón. Zapomniałam o całym świecie. Aarón zrobił krok w moją stronę. Pióra ciągle na nas opadały, a ja widziałam wszystko jakby w zwolnionym tempie. Był już blisko mnie. Puch opadał mu na włosy, a on dmuchał w górę, żeby go strzepnąć z grzywki. Pragnęłam boleśnie, żeby tam, na scenie, wśród piór, objął mnie i pocałował. Chciałam poczuć jego wargi na swoich, chciałam zatonać w jego objęciach. Chciałam, żeby wszyscy stali się świadkami tego, że to mnie właśnie pragnie. Jednak gdy stanął obok mnie, jedyne, co zrobił, to pogratulował mi sukcesu. I zapytał, czy w przyszłym roku spotkamy się w Akademii Sztuk Pięknych. Nie zrozumiałam, o co pyta.

– Sztuka? Nie wybieram się na studia artystyczne – wyjąkałam. – Idę na wydział chemii.

Spojrzał na mnie z pewnym zdumieniem.

– I masz zamiar zaprzepaścić swój talent, studiując chemię?

– Talent?

– Tak. Jesteś świetna. To, co zrobiłaś, to jedyna dobra rzecz w tym przedstawieniu.

Musiałam oprzeć się o ścianę, znaleźć jakiś twardy punkt oparcia, coś, co zatrzyma mnie na ziemi. Nie wiem, czy oblałam się rumieńcem, ale pamiętam, że usiłowałam odpowiedzieć coś, co zabrzmiałoby skromnie. Było to tym trudniejsze, że właśnie nadęłam się pychą jak balon. Obawiałam się, że wzniosę się w powietrze i odlecę albo, co gorsza, z hukiem pęknę z dumy.

– To tylko hobby. Dziwne byłoby zajmować się w życiu czymś, czego nie uważam za pracę. Te dwa tygodnie były dla mnie zabawą.

– Nie wiedziałem, że jesteś kalwinistką.

– Kalwinistką? – zdziwiłam się. Czyżby Aarón znał się na kalwinizmie? Ja nie miałam o nim najmniejszego pojęcia.

– No tak, wiesz, kalwiniści to tacy goście, którzy uważają, że Boga można zadowolić jedynie pracą i to najlepiej wykonywaną z wielkim wysiłkiem. Im więcej cierpisz i im więcej pracujesz, tym bliższa jesteś osiągnięcia Nieba – wyjaśnił.

– Aha... – No tak, teraz już wiedziałam co nieco o kalwinizmie. – Nie, nie o to chodzi. Po prostu chcę studiować coś naprawdę. A akademia... Jakos się tam nie widzę...

– Szkoda.

Ten właśnie moment wybrała Paola, jeszcze piękniejsza niż zwykle w swoim przebraniu i ze scenicznym makijażem, żeby rzucić w Aaróna poduszką. Odbiegł, żeby oddać jej wet za wet. Pokryli się piórami, moimi piórami. Wstrzymałam oddech, ze wszystkich sił błagałam w duszy, żeby jej nie pocałował. Bo gdyby tak się stało, nie zniosłabym tego. Zamknęłam oczy. Nie, nie chciałam tego widzieć. Niech to się nie stanie. Nie tej nocy.

Gdy uniosłam powieki, już ich nie było. Gdzieś zniknęli. Obydwoje. Poczułam, jak ścisła mi się żołądek. Jeśli jednak stało się to, czego tak bardzo nie chciałam widzieć, przynajmniej sam widok został mi zaoszczędzony. Usiłując nie dać niczego po sobie poznać, wzięłam się do sprzątanía i próbowałam – bez powodzenia – przywołać dobry nastrój, zarazić się nim od rozpromienionego towarzystwa. Jediną osobą, która wydawała się nieco skwaszona, był Santi, ten chuderławy przyjaciel Aaróna, ale nie zapytałam go o przyczynę jego złego nastroju. Zresztą nie byłam jej ciekawa – mogłam myśleć tylko o Aarónie. A dokładniej o Aarónie i Paoli, choć próbowałam zakazać sobie takich myśli.

Kiedy skończyliśmy sprzątać, wszyscy poszliśmy poszaleć. Wprawdzie nie byłam już w tym wspaniałym nastroju, który ogarnął mnie przed kilkoma godzinami, ale ponieważ nie straciłam jeszcze nadziei, że ponownie zobaczę Aaróna, postanowiłam pójść z całą ekipą do dzielnicy Malasaña. W okolicę, gdzie niegdyś znajdowała się pracownia modniarska mojej babci, zamknięta w dniu jej śmierci. Mój ojciec, jej jedyny syn i spadkobierca, nie mógł się zdecydować ani na to, żeby lokal wynająć, ani też żeby go sprzedać. Przypuszczam, że nie był w stanie tego zrobić z powodu przywiązania do schedy po matce albo też po prostu dlatego, że w jego naturze leżało wieczne odwlekanie każdej ważnej decyzji. Miał ponadto miłe wspomnienia związane z pracownią, ponieważ tam właśnie poznał moją mamę, która wówczas pracowała u babci jako pomoc krawiecka. Po ślubie mama nie chciała mieć już nic wspólnego z krawiectwem ani robótkami ręcznymi. Kiedy się urodziłam, chodziła do pracowni teściowej jedynie po to, żeby mnie tam zaprowadzić.

O trzeciej w nocy wylądowaliśmy w Nasti, dyskoteci otwartej do białego rana. Piłam, żeby zapomnieć o Aarónie i Paoli. I rozglądałam się wokół, szukając go wzrokiem. Bo chociaż chciałam o nim zapomnieć, jednocześnie z całych sił pragnęłam go znowu zobaczyć.

I tak się stało. Podeszedł do mnie z uśmiechem na twarzy. Ja też się uśmiechnęłam, widząc, że jest sam.

– Masz na imię Sara, prawda? – spytał.

– Tak.

Wiedział, jak mam na imię! Zadał sobie trud, żeby się tego dowiedzieć. Wiedział, jak mam na imię!

– Naprawdę mi się podobało to, co zrobiłaś. Bardzo – powiedział. – Wielka szkoda, że nie chcesz spędzić życia, sprawiając przyjemność sobie i innym.

– Każdy człowiek jest inny – wydusiłam z siebie z trudem.

Czy naprawdę to właśnie powiedziałam? Cała noc wzdychania do niego, a teraz, gdy wreszcie dostałam swoją szansę, jedyne, na co mnie stać, to ta głupia odpowiedź?

– Przypuszczalnie – odpowiedział. Musiał być zawiedziony.

Zamilkliśmy. Ja wolałam nie otwierać ust, żeby znowu nie wygłosić jakiegoś dennego komunału, a on... Nie wiem, być może żałował, że w ogóle do mnie podeszedł. Dwóch chłopaków z *Los Humildes* podeszło, żeby go odciągnąć.

Nie mogłam pozwolić, żeby tak po prostu zniknął. Nie. W żadnym razie. Zebrałam siły i krzyknęłam:

– Mnie też się bardzo podobało to, co zagraliście na przedstawieniu!

Odwrócił się.

– Tak? – zapytał. I z pewną dumą dodał: – To ja to skomponowałem.

– Najlepszy na świecie podkład muzyczny pod bitwę na poduszki – powiedziałam.

Ujrzałam, że uśmiecha się nieśmiało, a jego oczy zabłyśły.

– A może któregoś dnia... – zaczął, ale przerwał w połowie zdania. Nie dokończył myśli.

– Któregoś dnia co? – spytałam, ponagłając go.

– Któregoś dnia skomponuję dla ciebie piosenkę – dokończył.

– Dla mnie? – Byłam naprawdę zdziwiona.

– Tak. Dla dziewczyny, która umie robić czary-mary z piórami, ale woli zostać chemiczką.

Poczułam, że jeśli nawet umarłabym w tej chwili, to moje życie nie poszłoby na marne. To właśnie poczułam – że dla tej chwili warto było żyć.

Odszedł z kolegami, a ja, zbierając się na odwagę, podjęłam jedyną możliwą decyzję. Cóż innego mogłam zrobić, niż dopić piwo jednym haustem i pójść za nim? Nie potrzebowałam innych dowodów, teraz byłam już pewna, że coś dla niego znaczę. Chciał dla mnie skomponować piosenkę. To chyba wyraźny sygnał. Wsadziłam do ust miętową gumę do żucia i ruszyłam w tłum wypełniający dyskotekę. Ale nigdzie nie mogłam go wypatrzeć. Może już wyszedł? Krążyłam po Nasti, zajrzałam nawet do przedsionka prowadzącego do męskiej toalety, ale tam już nie odważyłam się zajrzeć. Zatrzymałam się, głęboko sfrustrowana, gdy nagle zobaczyłam Aaróna: stał w drzwiach wejściowych, a ktoś ciągnął go na zewnątrz. On też mnie zobaczył i machnął ręką, zachęcając, żebym podeszła.

– Wiesz co? Santi jest skwaszony z powodu swojej dziewczyny, Marty. Zakonnice zamknęły ją w internacie, nie pozwoliły jej pójść na przedstawienie.

– I co?

– Idziemy tam. Chcemy się zakraść na podwórze internatu. Ponieważ nigdy nie pozwalają jej wyjść, żeby mogła posłuchać, jak gramy, urządzimy tam koncert.

– U zakonnice?

– Aha. Ciekawe, co się stanie.

– Powariowaliście?

– Dla przyjaciela trzeba zrobić wszystko. Chodź z nami, będzie ubaw.
Zaczęłam już kręcić głową, ale w tej samej chwili ujrzałam Paolę wchodzącą do lokalu.

– Aarón, czekamy na ciebie! – krzyknął ktoś.

– Już idę! – odwrzasnęła. – To co? Idziesz z nami?

Na widok Paoli zdałam sobie sprawę, że muszę stanąć na wysokości zadania. Jeśli ona pójdzie, to ja też. Nie chciałam wyjść na tchórza.

– Czy to bardzo daleko? Kiedyś przecież muszę wrócić do domu.

– Nie, parę kroków stąd.

– No dobra – powiedziałam zdecydowanym tonem.

– Super! – ucieszył się.

Wyszliśmy na ulicę, gdzie czekali już chłopcy z *Los Humildes* i gromadka przyjaciół czy też fanów. Ładowali się do furgonetki wypełnionej instrumentami i sprzętem nagłaśniającym. Chcieli zabrać ze sobą Aaróna, który jednak zaprotestował:

– Nie, wszyscy się nie zmieścimy. Spotkamy się przy bramie. Otworzę wam. – Zatrzasnął drzwi furgonetki i klepnął kilka razy w blachę, żeby ruszyli. – Idziemy – rzucił do tych kilku osób, które zostały (była wśród nich Paola).

Idąc, podawaliśmy sobie z ręki do ręki butelkę wina. I chociaż rwałam się do tego, żeby być tuż przy Aarónie, on przykleił się do Santiiego i przekonywał go, że pomysł jest świetny.

Santi nie wydawał się jakoś szczególnie przekonany.

– To szaleństwo, stary – protestował. – Zobaczysz, jak zakonnice nas dorwą...

– Nie dorwą nas, coś ty. A jeśli nawet, to co nam zrobią?

– Zadzwoń na policję.

– Zanim przyjadą, już nas nie będzie. Nie widzę żadnego problemu. Nic się nam nie stanie.

– Nam może nie, ale co z Martą? Wyrzucą ją ze szkoły przez naszą głupotę.

– Pingwiny wiedzą, że z tobą chodzi?

– Nie sądzę.

– No to jeśli jej nie zadedykujemy piosenki, to będzie bezpieczna.

– Nie wiem, stary, to przecież wtargnięcie na teren prywatny...

– Przecież nie idziemy tam kraść. Przeciwnie, obdarujemy te kobiety naszą muzyką. Jeśli to przestępstwo, to niech nas zatrzymają. Ale będzie ubaw, Santi, zobaczysz. Jako dziadunio będziesz o tym wnukom opowiadał.

Jakoś udało mu się go przekonać i nawet się nie obejrzelśmy, a już byliśmy na miejscu. Byłam zadowolona, bo po drodze Paola nie rozmawiała z Aarónem i wydawała się bardzo zajęta innym chłopakiem, z którym otwarcie flirtowała. A może uwodzenie było jej zwykłym sposobem relacji ze światem? Może widziałam coś więcej, niż w rzeczywistości było w jej stosunku do Aaróna? Może to po prostu jej sposób bycia. Może jednak nic ich nie łączy. Błagałam, żeby tak właśnie było. Furgonetka już czekała, zaparkowana przed wielką bramą wiodącą na teren szkoły z internatem. Można było wjechać tamtędy na podwórze, o ile udałoby się otworzyć bramę. Podwórze graniczyło z boiskiem do koszykówki.

– Tędy wjeżdżają ciężarówki dostawcze – stwierdził Aarón.

– Skąd wiesz? – spytał Santi.

– A co, myślisz, że ty jeden masz tu dziewczynę? Mnie też się zdarzyło.

Podszedł do kabiny furgonetki i powiedział coś, czego nie usłyszałam. Niezwłocznie podbiegł do jednego z drzew rosnących przy murze otaczającym posesję i z wielką wprawą zaczął się na nie wspinać. Opuścił się na rękach z gałęzi wystającej na drugą stronę i zeskoczył na ziemię. Po minucie już otwierał bramę i machał do kierowcy. Ten jednak nie zapalił silnika, za

to pasażerowie wyskoczyli i wzięli się do pchania. W końcu wszyscy razem pchaliśmy pojazd, żeby jak najprędzej wtoczył się na ogromne podwórze. Aarón dowodził wszystkim, wydając polecenia głośnym szeptem:

– Trzeba ją od razu ustawić przodem do bramy, tak na wszelki wypadek, gdybyśmy musieli nawiewać. Tam ją dotoczą. Najpierw wyciągniemy instrumenty, potem użyjemy reflektorów do oświetlenia. To będzie odlot!

Pracowaliśmy w ciszy, pchając furgonetkę na wyznaczone miejsce, po czym dokonaliśmy wyładunku. Umierałam ze strachu i z emocji. Nigdy w życiu nie zrobiłam niczego nielegalnego i czułam, jak adrenalina krąży mi w żyłach. Zwłaszcza kiedy Aarón znajdował się blisko mnie i się uśmiechał. Czy uśmiechał się też do Paoli? Może nie miał okazji, bo przylepiła się do tego chłopaka, którego podrywała na ulicy. Dobrze, świetnie, oby tak dalej.

– Wiem, gdzie jest gniazdko. Tu, przy siłowni. Mam nadzieję, że przedłużacz sięgnie – powiedział Aarón.

Gdy perkusja, gitara basowa i dwa mikrofony znalazły się na miejscu, Aarón podłączył przedłużacz do wzmacniacza i zawiesił sobie gitarę na szyi.

– Gotowi? – zapytał. Wszyscy potwierdzili, więc rzucił: – Dobrze. Raz, dwa, trzy. Start!

W powietrze popłynęły pierwsze akordy gitary prowadzącej. Po nich włączyła się gitara basowa, potem perkusja i wreszcie rozbrzmiał głos Aaróna. Emocje aż podniosły mi włosy. Szalony pomysł Aaróna właśnie się ziszczał, a on sam śpiewał o czwartej nad ranem na podwórzu zakonnego internatu dość niemądrą piosenkę, która jednak w tym miejscu nabrała dziwnie wywrotowego charakteru.

*Kochaj mnie, jak ekierka kocha cyrkiel,
geometrycznie.*

*Kochaj mnie, namiętnie i lirycznie,
psychofizycznie.*

Jedno po drugim, okna zaczęły się rozświetlać, a dziewczyny wychylać się na zewnątrz, podczas gdy Aarón śpiewał dalej:

*Jak pszczoła kocha uderzyć żądłem
pełnym jadu,*

*kochaj mnie, bo nie zapominam o kondomie
i daję czadu.*

*Kochaj mnie, aż cały świat zapłonie,
gorąco i paląco kochaj mnie,
aż po religii koniec.*

Kochaj mnie, kochanie moje!

Niektóre dziewczyny zaczęły gwizdać, bić brawo, wrzeszczeć z podniecenia. Aarón śpiewał, a ja wpatrywałam się w niego jak w bóstwo. I wtedy właśnie doznałam objawienia, zrozumiałam, że o ile wcześniej po prostu mi się podobał, to uczucie, które teraz mną zawładnęło, było czymś więcej, zawierało w sobie cierpienie. Jak gdyby ta pszczoła z piosenki ukłuła mnie swym żądłem pełnym jadu. Tak, właśnie wtedy dotarło do mnie, że miłość, gdy ogarnia człowieka bez reszty, boli. Ale jakże się nie zakochać? Jak nie pokochać kogoś, kto jest taki seksowny i odważny... Bo przecież trzeba było mieć sporo odwagi, jeszcze więcej beztróski i być bardzo wspaniałomyślnym, żeby zorganizować całą tę absurdalną akcję dla przyjaciela. I widząc go takiego seksownego, takiego hojnego i w ogóle naj, naj, poczułam, że jest całkowicie poza moim zasięgiem. Stąd mój ból. Jakim cudem takie bóstwo mogłoby pożądać takiej zwykłej śmiertelniczki jak ja? A ja, jakże będę mogła dalej żyć, teraz, gdy ugodziło mnie jadowite żądło miłości, jak sobie poradzę ze świadomością, że on mnie nie kocha? W całej rozciągłości dotarł do

mnie sens pewnego powiedzenia, którego używała moja przyjaciółka Inma, kiedy podobał jej się jakiś chłopak: „Taki piękny, że to aż boli”. A w przypadku Aaróna nie tylko jego uroda mnie rozpałała, lecz wszystko. Cały on.

Jadowite żądło miłości.

Nagle rozległy się głośne krzyki oburzenia. Kilka zakonnice wyglądało z okien na parterze, inne stały w drzwiach wychodzących na podwórze, nie mając jednak odwagi wyjść na zewnątrz.

– Co wy wyprawiacie? To napad! Wynocha stąd! Zadzwońmy po policję!

Ale Aarón nadal dawał czadu, nie zważając na krzyki i groźby. A ja patrzyłam na niego, gdy tak niewiarygodnie spokojnie rzucał wyzwanie władzy, niech nawet będzie, że niezbyt władczej, przyodzianej w habity i welony, i ogarniało mnie pragnienie, żeby się na niego rzucić i zacałować go na śmierć. Jest takie powiedzenie, że scena jest sexy, ale nikt dotąd nie opiewał niesamowitego ładunku erotyzmu wypełniającego chłopaka śpiewającego na boisku do koszykówki w zakonnym internacie, chłopaka, któremu grozi interwencja policji. Aarón był moim bohaterem. Wspaniałym bohaterem – jak Spartakus buntujący się przeciw Rzymianom, jak Kunta Kinte opierający się poganiaczom niewolników, jak ci pokojowi manifestanci, którzy wkładają kwiaty w lufy karabinów, jak... Aarón, mój skromny, mój wielki bohater.

Zakonnice nie dawały za wygraną, a dziewczyny w oknach zaczęły krzyczeć, żeby pozwolić chłopcom śpiewać dalej. Santi dojrzał w jednym z okien swoją dziewczynę. Porwał mikrofon, zaczął do niej machać i krzyknął:

– To dla ciebie, śliczna! Kochaj mnie, aż po religii koniec!

W tej samej chwili mikrofon przestał działać. Którejś z zakonnice najprawdopodobniej udało się wyrwać kabel. Ale Aarón, zamiast się poddać, nabrał powietrza w płuca i zaśpiewał z całych sił, a my wszyscy, którzy tam byliśmy, wsparliśmy go naszymi głosami. Z początku nieco nieśmiało, ale przy refrenie wrzeszczeliśmy już tak, że o mało nie wypuliliśmy płuc:

Kochaj mnie, aż cały świat zapłonie,

bo daję czadu

i nie zapominam o kondomie.

Gorąco i paląco kochaj mnie,

aż po religii koniec.

Kochaj mnie, kochanie moje!

Nagle któraś z dziewcząt wyrzuciła przez okno swój stanik. A inne poszły za jej przykładem. I podczas gdy Aarón śpiewał, i my śpiewaliśmy wraz z nim, na boisko zaczęły spadać dziesiątki staników i majtek. Zakonnice wydawały wrzaski oburzenia. Teraz już nie tylko groziły chłopakom z zespołu, wzięły się też ostro do pensjonariuszek internatu.

– Wszystkie do środka! Te, co nie posłuchają, zostaną surowo ukarane! María Jesús, do środka! Luján, widzę cię! I ty tam, ty też! No już, szybko!

W oddali zawyła syrena wozu patrolowego. Krzyknęłam do Aaróna:

– Policja! Zmywamy się!

Skinął głową, ale zanim opuścił scenę, zwrócił się do dziewczyn w oknach, krzycząc na cały głos:

– Musimy kończyć! To była prawdziwa przyjemność dla was grać! *Los Humildes* pokornie żegnają się z wami!

– Kochaj mnie, kochanie moje! – ryknął Santi.

Podczas gdy rozgrzane dziewczęta biły brawo jak szalone, władowaliśmy pospiesznie instrumenty do furgonetki. Kilka osób zdołało do niej wskoczyć, kierowca odpalił silnik, a reszta z nas rzuciła się do ucieczki. Udało nam się umknąć przed przybyciem policji, ale gdy tak

biegliśmy ulicami, w pewnej chwili zorientowałam się, że straciłam Aaróna z oczu.

Szukałam go to tu, to tam, ale bez powodzenia. Gdzie mógł się podziać? Postanowiłam wrócić do Nasti; było całkiem prawdopodobne, że tam właśnie poszedł. Przynajmniej taką miałam nadzieję. Udało mi się pokonać bramkę, bo miałam na ręku stempel, i zaczęłam się rozglądać. Wypatrzyłam chłopaka z *Los Humildes*, podeszłam i spytałam go o Aaróna.

– Wrócił tu ze mną, musi gdzieś być – odparł.

Szukałam go więc dalej, teraz już bardziej pewna swego. W którymś momencie pomyślałam, że całą noc to właśnie robię – ścigam go. Całą noc, całe życie. I wtedy go dostrzegłam.

Był tam, na środku parkietu. Zamierzałam podnieść rękę, żeby do niego pomachać, i w tej samej chwili ujrzałam, jak Paola rzuca się na niego niczym drapieżna kocica i wsadza mu język w usta, aż do gardła. A on wydawał się całkiem z tego zadowolony. Co więcej, objął ją silnie i też zaczął całować. Poczułam, że mój świat się zawalił. Poczułam, że już rozumiem, czym jest żądza mordu. Obróciłam się na pięcie. Poszłam do toalety, zamknęłam się w kabynie, opuściłam deskę i usiadłam na sedesie.

– Nie płacz, Saro. Nie bądź dzieckiem. Nie będziesz mi tu ryczała – powiedziałam na głos.

Ale nie byłam w stanie posłuchać własnego rozkazu. Bezsilna, jednocześnie zła na siebie za to uczucie, zaczęłam łkać. Dopiero po jakichś dziesięciu minutach udało mi się uspokoić na tyle, żeby wyjść z kabiny. Oplukałam twarz i – żywiąc nadzieję, że pani z obsługi przypisała mój wygląd i szklane oczy temu, że wymiotowałam – wymknęłam się z Nasti i poszłam do domu.

Nie zobaczyłam Aaróna ani następnego dnia, ani w następnym tygodniu. Ani w okresie przygotowań do egzaminów końcowych. No i dobrze. Dzięki temu było mi nieco łatwiej. Nie spotkałam go też na egzaminach. O ile w ogóle je zdawał. Bo natychmiast zaczęły krążyć najrozmaitsze plotki o powodach jego nieobecności, wszystkie dziwne i jakies mętne. Że coś się stało z jego matką. Nie, nie z matką – z dziadkiem. Nie, tu chodzi o narkotyki. Ależ skąd, to jego siostra ma jakieś problemy. Nie, cała rodzina musiała natychmiast wyjechać z Madrytu. Inni mówili coś o kłopotach jego ojca, który ponoć był zadłużony w Urzędzie Skarbowym czy też przegrał cały majątek w kasynie. Nikt nie był niczego pewien, a ja, wypytyjąc wszystkich na prawo i lewo, nie dowiedziałam się niczego, co miałyby choć trochę sensu. Umierałam z ciekawości, ale nic się nie dało zrobić. Ponieważ w tamtych czasach nie było ani Facebooka, ani Twittera, ani Instagramu, ludzie mogli ot tak, po prostu zniknąć z oczu. Zresztą, do diabła, nie byłam aż tak dobrą znajomą Aaróna, znawcy kalwinizmu, żeby móc wszystkich bez końca o niego wypytywać. Chciałam o nim zapomnieć, więc jego zniknięcie było najlepszym, co mogło mi się przydarzyć.

„Mówią o mnie zaginiony...”, śpiewał Manu Chao w radiu.

Mijały lata. Chodziłam z kilkoma chłopcami, którzy choć częściowo pomogli mi odzyskać utracone dobre mniemanie o sobie, a podczas zwirowanych obchodów Dnia Świętego Cementego, czyli dorocznego święta wydziału architektury, poznałam Roberta i się w nim zakochałam. Tym razem była to miłość odwzajemniona.

Już od dawna nie rozmyślałam o Aarónie. Ale wszystko to, co się z nim wiązało, zapadło mi głęboko w serce. I po kilku latach od ukończenia studiów, gdy w trakcie okropnie męczącego przygotowywania się do konkursowych egzaminów na posadę nauczycielki chemii poczułam się potwornie nieszczęśliwa, przypomniałam sobie jego słowa. Czyżbym naprawdę pragnęła cierpieć, aby osiągnąć Niebo, w które nie wierzyłam? Słowa Aaróna o moim kalwinistycznym nastawieniu do życia, które przez te wszystkie lata były jak krople drążące skałę, wreszcie osiągnęły skutek. I któregoś dnia, w domu, odpaliłam bombę:

– Tato, mam, co byście powiedzieli, gdybym chciała dostać pracownię babci?

– Pracownię babci? A po co ci ona? – zdziwił się ojciec. – Chcesz tam urządzić laboratorium chemiczne?

– Nie. Chcę zostać *plumassière*.

Wprawdzie Aarón nie pocałował mnie tamtej nocy, tak pełnej różnych przeciwstawnych emocji, ale obdarzył mnie czymś, co być może było o wiele ważniejsze: dał mi impuls do wzięcia swojego losu we własne ręce.

Natomiast moje niezachwiane przekonanie, że Aarón na zawsze zniknął z mego życia, okazało się pomyłką. O, jakże bardzo się myliłam!

Rajski ptak

Kiedy wypaliłam, że chcę zostać *plumassière*, rodziców po prostu zatkało. To było w niedzielę, w jedyny dzień, gdy cała nasza czwórka zbierała się w domu, żeby wspólnie zjeść obiad. Siedzieliśmy w ogromnym ogrodzie otaczającym dom w Aravace pod Madrytem, zaprojektowany kilkanaście lat wcześniej przez mojego ojca. Ogród, według koncepcji ojca, miał być minimalistyczny, ale z biegiem lat matka zamieniła go w ukwieconą dżunglę. „Cement i beton, jakby na świecie nie było innych materiałów”, często narzekała. Przeprowadziliśmy się tutaj, gdy moja siostra Lucia była jeszcze dzieckiem, a ja nastolatką. Moja wściekłość z powodu odcięcia mnie od miasta nie miała granic. „Będziemy oddychać świeżym powietrzem, będziemy mieli basen, będziesz mogła zapraszać swoich przyjaciół”, słyszałam. Jakby jakiegokolwiek nastolatka obchodziło świeże powietrze. Co gorsza, od chwili przeprowadzki wszyscy ciągle mieliśmy katar, a to z powodu tej obsesji rodziców, żeby w każdą niedzielę jadać w ogrodzie – niezależnie od pogody. „Tu nigdy nie pada, a zresztą można rozłożyć namiot ogrodowy”. Przez cały pierwszy rok naszego wygnania za miasto lało jak z cebra. Ale nawet mowy nie było, żebyśmy się przenieśli z posiłkami do domu. O namiocie, jak się okazało, matka mówiła serio.

Nawiasem mówiąc, tego właśnie decydującego dnia, gdy wyjawiłam swoje plany na przyszłość, zimno było jak w psiarni i, oczywiście, obiad został podany na dworze, gdzie siedzieliśmy poowijani w koce i z szalikami na szyjach, a trzy ogrodowe grzejniki, ostatni wymysł mojego ojca, robiły, co mogły, bez większego sukcesu. Wrażenie, jakie wywołały moje słowa na obecnych, było tak silne, że nawet moja siostra – wówczas niespełna szesnastoletnia i o wiele bardziej zbuntowana niż ja byłam w jej wieku – podskoczyła, upuściła łyżkę do talerza z zupą kremem z dyni, i parsknęła śmiechem.

– Że kim masz zamiar zostać? – zapytała.

– *Plumassière*.

– A co to takiego?

– Chcę być modystką, tak jak babcia, ale wyspecjalizować się w akcesoriach wykonywanych z piór. Można by powiedzieć, że będę „piórystką”, gdyby istniało takie słowo.

Ojciec, usłyszawszy moje wyjaśnienie, przestał grzebać przy jednym z grzejników, który dręczył już od dobrej półgodziny, starając się udowodnić, że mimo przejściowych trudności sprzęt ten jest epokowym wynalazkiem. Spokojnie usiadł przy stole i podzielił się ze mną swoimi wątpliwościami:

– Ale przecież skończyłaś studia, przecież masz magisterium z chemii...

Mówiąc to, machinalnie wycierał upaprane smarem ręce w jedną z płóciennych serwetek, dzieło mojej matki wykonane na którymś z niezliczonych warsztatów pracy twórczej, na które uczęszczała jak rok długi.

– Arturo, na Boga, przecież mi wszystko upaprzesz! – krzyknęła matka. – Wytrzymaj się w papierowe serwetki, przecież po to je kładę na stole. Nikt ich jakoś nie zauważa, a przecież leżą pod ręką.

– Czy naprawdę uważasz, że to jest teraz najważniejsze? Że brudzę serwetkę? Twoja córka chce zostać *plumassière*, cokolwiek by to miało znaczyć, a ty przejmujesz się głupią

serwetką...

– Ja tylko mówię, że skoro są pod ręką papierowe...

Ojciec ustąpił; zawsze w takich przypadkach ustępował matce. Odłożył płócienną serwetkę, wziął papierową i zażądał ode mnie wyjaśnień. Staralam się sprawić wrażenie osoby silnej, energicznej i rozsądnej, szkoda tylko, że głos mnie zdradził i wyjęczałam cichutko:

– Nie chcę być nauczycielką, nigdy nie chciałam być nauczycielką.

– No to po co się uczysz do egzaminów konkursowych? – spytała matka, rozluźniając szalik na szyi. Widać było, że moje rewelacje rozgrzewają obecnych bardziej niż trzy popsute grzejniki.

– Bo w instytucjach naukowych też nie ma pracy. A nie chcę wyjeżdżać z kraju

– próbowałam się usprawiedliwić. – No i wzięcie udziału w tym konkursie wydało mi się najlepszym wyjściem...

– A teraz ci się znudziło i stąd ten absurdalny pomysł – podsumował ojciec.

– Nie chcę być nauczycielką – powtórzyłam. Tym razem udało mi się wydać z siebie niemal normalny głos. Prawie sopran, lekko tylko piszczący.

Ojciec odsunął talerz, pokazując w ten sposób, że stracił apetyt. Jedzenie było niemal nietknięte, bo przecież zamiast usiąść do posiłku, spędził czas na obsesyjnych próbach udowodnienia, że piecyki jego pomysłu podbiją rynek i wyprowadzą na prostą jego firmę, było więc oczywiste, że tym gestem chciał zasygnalizować swoje nastawienie do mojego pomysłu. Kiedy byłam dzieckiem, zawsze mnie przerażało, gdy tak robił. Nie znaczy to, że ojciec był człowiekiem autorytarnym – przeciwnie, był rozsądny, spokojny, a nawet, jak twierdziła moja przyjaciółka Inma, miał w sobie coś z pantoflarza („widzisz chyba, że twoja matka ciosa mu kołki na głowie”), jednak gdy coś mu się zupełnie, ale to zupełnie nie podobało, dawał temu wyraz w taki czy inny sposób. Trudno byłoby znaleźć bardziej wymowny gest niezadowolenia, niż odsunięcie talerza.

– A więc wykosztowaliśmy się na twoje studia, żebyś została krawcową. Wspaniale, nie ma co!

– Nie przejmuj się tak, tatusiu, przecież Sara była na państwowych studiach. Chyba aż takie drogie nie były – zauważyła siostra.

– Nie wtrącaj się, skoro nie chodzi o ciebie – zgasił ją ojciec.

– W porządku... – Lu nie dawała za wygraną. – Już nic nie mówię. Jako adoptowane dziecko zdaję sobie sprawę, że w tej rodzinie moje zdanie się nie liczy.

– Co ty za bzdury wygadujesz o tej adopcji – zniecierpliwiła się matka. – Przecież jesteś identyczna jak twój ojciec. Skóra wprost z niego zdarta.

– Ale fajnie – odparła Lu ironicznym tonem.

– Twoja córka i ja w niczym nie jesteśmy do siebie podobni – oznajmił ojciec.

– Aha, a więc teraz to tylko moja córka, a już nie twoja! Myślałby kto, że miałam ją z rzeźnikiem albo...

– Mówiliśmy o mnie – podkreśliłam z naciskiem. Przerwałam matce, bo dyskusja i tak już odbiegła daleko od tematu. To nic niezwykłego w mojej rodzinie, potrafimy zacząć poważną rozmowę o przyszłości lotów załogowych na Marsa i nie wiadomo jak dojść do dyskusji o kastracji którejś z naszych kocic.

– Tak, tak, ale sama widzisz, że niektórzy wolą sobie pofantazjować o tym, że Lu jest córką rzeźnika – stwierdził ojciec.

– No cóż. Żeby nie było, że wam nie powiedziałam – stwierdziłam. – Koniec z egzaminami konkursowymi.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Jak to możliwe, żeby dwudziestosześcioletnia kobieta,

z dyplomem wyższych studiów, inteligentna i roztępnięta, chciała się żywcem pogrzebać w pracowni krawieckiej z minionej epoki? – drężył ojciec.

– Nie musi to być staromodna pracownia. Można prowadzić interesy w różny sposób. Mam tysiące pomysłów...

Ojciec poszukał oparcia w matce.

– Kochanie, sama jej powiedz, przecież wiesz, co to była za praca w firmie mojej matki, jaką trzeba było mieć cierpliwość do klientek, a pod koniec miesiąca rachunki nigdy się nie zgadzały i trudno było zwięzać koniec z końcem... Opowiedz jej. Marnowanie życia.

– Istotnie. Tyle dobrego, że w pracowni twojej babci poznałam twego ojca – zgodziła się matka.

– I udało ci się go upolować, i odtąd już nigdy nie musiałaś nawet palcem kiwnąć – podsumowała Lu.

– Moja panno, nie bądź beczelna, bo zasłużysz na lanie.

– Ojej, ojej. Przemoc w rodzinie. – Lu spojrzęła na mnie z ukosa. – Widzisz, do czego doprowadziłaś?

– Nie wiem, co złęgo widzicie w kontynuowaniu rodzinnych tradycji. Zresztę podeszłabym do tego w inny sposób.

– Tak? A w jaki? Oświeć nas! – zażędał ojciec. – Wyjaśnij, w jaki sposób robięc kapelusze, zarobisz na zapłacenie mi co miesiąc czynszu.

– Miałabym ci płacić czynsz? – Tym mnie zaskoczył. W ogóle nie wzięłam tego pod uwagę.

– Ach, ach. Miałbym ci odstępić za darmo lokal po babci? Czy zdajesz sobie sprawę, ile pieniędzy mi oferowano za pracownię i mieszkanie na piętrze?

– No widzisz? Tysiące razy ci mówiłam, żebyś to wszystko sprzedał – wtręciła się matka. – Ale ty nie i nie, a teraz twoja córka ma zwariowane pomysły.

– Będę tworzyła najrozmaitsze rodzaje przedmiotów, nie tylko nakrycia głowy. Ubrania z piór, ozdoby, krawaty, kapelusze, torebki, nawet meble ozdobione piórami.

– Twoja córka bredzi jak w goręczce – powiedział ojciec.

– Chyba muszę sobie nalać trochę martini – stwierdziła matka, podnosząc się z krzesła. Na bufecie stały różne trunki, w tym kilka butelek martini. Jej słabostka. Nalała sobie i wychyliła jednym haustem. Natychmiast nalała ponownie i po dwóch sekundach szklanka znowu była pusta. Z biegiem lat nabrała w tym wielkiej wprawy. Znowu napełniła szklankę.

– Najlepsi projektanci mody używają piór – ciągnęłam, nie dając się onieśmielić alkoholowej ofensywie mojej matki. – Pióra są w modzie. A w tym kraju niemal nikt nie umie pracować z tym materiałem. A ja umiem. Mogę wykorzystać tę niszę i wyrobić sobie nazwisko. Wiecie, ile osób kandyduje na te piętnaście miejsc dla nauczycieli? Dwadzieścia trzy tysiące!! A wiecie, ile *plumassières* jest w Hiszpanii?

– Myślę, że mało.

– Bardzo mało. Właściwie to nie ma żadnej! – krzyknęłam tryumfalnie.

– I to nie daje ci do myślenia? Że nie należy iść tą drogę? – spytała matka z przenikliwością, którą obdarzył ją alkohol, a której tak nienawidziłam. Kończyła już czwartą szklankę martini.

– Jest na to zapotrzebowanie. Istnieje pewna nisza, którą zamierzam zająć. – Nawet prezes firmy nie mówiłby z równym przekonaniem.

– No dalej, wzniesmy toast za moją siostrę, lidera przedsiębiorczości! – zawołała Lu.

– Dajcie mi trochę wina, bo toast cytrynową fantę może przynieść pecha. Zresztę musimy szybko dogonić mamę.

– Nie ma mowy o żadnych toastach – uciął ojciec i przystąpił do ataku. – Czy ty w ogóle sobie zdajesz sprawę, co się dzieje w kraju? Pęknięcie bańki w nieruchomościach doprowadziło do katastrofy gospodarczej. Wszystko idzie w diabły. Bezrobocie osiąga nigdy niewidziane poziomy, ludzi nie stać na spłacanie kredytów hipotecznych...

– Nadciąga apokalipsa – wtrąciła się Lu.

– ...a jeśli nie mogą spłacać hipotek, to co ty sobie wyobrażasz? Że rzucą się kupować pióra? Pióra!

Dobrze przemyślałam odpowiedź. Chciałam postawić sprawę jasno i nie zamierzałam już wracać do tej rozmowy.

– Tato, podjęłam już decyzję. Jeśli nie chcesz mi odstąpić pracowni babci, to trudno, jakoś sobie poradzę. I nie twierdzą, że bezrobocia nie ma. Ale także nadal istnieją bogaci ludzie. I nadal istnieje rynek towarów luksusowych. Mogę się założyć, o co chcesz.

Ojciec zaczynał mięknąć. Widziałam to po jego minie i postanowiłam kuć żelazo, póki gorące.

– Czyż to nie ty mówiłaś, że w dobie kryzysu biedni biednieją, a bogaci jeszcze bardziej się bogacą? No więc ja mam zamiar założyć interes skierowany do bogaczy.

– Trafiony, zatopiony, tato. – Lu z satysfakcją przyjęła moje małe zwycięstwo.

– No dobrze – zgodził się ojciec. – Rób, co chcesz. Udowodnij mi, że jesteś w stanie z tego wyżyć, a może przemyślę sprawę z czynszem.

– Arturo! – zaprotestowała matka. – Doprawdy masz zamiar zachęcać to dziecko, żeby zmarnowało sobie życie, zagrzebując się w pierzu? Niedobrze mi...

– To chyba od martini, mamo – zauważyła Lu.

– Nikogo nie zachęcam! – wrzasnął ojciec. – Mówię tylko, żeby mi udowodniła, że sobie poradzi. Zobaczysz sama, że za miesiąc podkuli ogon i przystąpi do egzaminów konkursowych.

Nie przystąpiłam do nich nigdy. Jak powiedziałam, podjęłam już decyzję.

Odcięłam się od świata i zabrałam się do pracy. Nie udało mi się przekonać ojca, żeby powierzył mi klucze do sklepu i pozwolił go otworzyć, ale mogłam korzystać z pracowni babci. Szarpanina z ojcem trochę trwała, ale postawiłam na swoim. Dał mi termin – dziewięć miesięcy. Jak rok akademicki lub ciąża. Dziewięć miesięcy, podczas których nadal mnie utrzymywał w domu rodzinnym i zezwolił na korzystanie z pracowni. Jeśli po dziewięciu miesiącach udałoby mi się wytworzyć jakieś nadające się do sprzedaży przedmioty (oraz udałoby mi się je sprzedać), mieliśmy przystąpić do drugiej rundy rozmów. I to nie o opcjach wynajmu lokalu sklepowego, lecz o mojej przyszłości.

Podeszłam do tego bardzo poważnie. Czas od ósmej rano do drugiej po południu poświęcałam pracy. Szukałam inspiracji w żurnalach, w internecie, zbierałam dokumentację, która mogła mi się przydać. Na ścianach zawiesiłam fotografie ubrań i nakryć głowy zaprojektowanych przez tych projektantów, których najbardziej ceniłam. Cavalli, Westwood... Spędzałam całe godziny, rysując i robiąc wykroje, a potem wykrawając według nich próbne modele z tanich tkanin; dopiero na końcu używając filcu, który jest najlepszym materiałem do osadzania piór.

Do południa czas upływał mi błyskawicznie, a potem, popołudniami, chodziłam do szkoły dla projektantów mody, na jakieś kursy lub pojedyncze zajęcia, które mogły mi być przydatne, żeby zgłębić różne kwestie techniczne. Poznałam tam wielu młodych ludzi, którzy wiązali swoją przyszłość ze światem mody, i zaprzyjaźniłam się z dwojgiem z nich, Davidem i Chusą. Udało mi się też nawiązać kontakt z pewną modystką, dawną znajomą mojej babci, która nadal była aktywna zawodowo i zgodziła się przyjąć mnie na praktykę do swojej pracowni. Chodziłam tam raz w tygodniu na parę godzin.

Stopniowo uczyłam się zawodu i nabierałam zręczności w swoim rzemiośle. Roberto często przychodził rano do pracowni, żeby mi towarzyszyć i czytał lub się uczył, podczas gdy ja walczyłam z wykrojami. Pracował właśnie nad projektem dyplomowym – kończył studia architektoniczne – i bywały takie dni, gdy wydawało się, że i jego, i moja praca mają ze sobą wiele wspólnego. Obydwoje najpierw projektowaliśmy na papierze, a potem przenosiliśmy nasze idee w trzeci wymiar, ja, robiąc kapelusze, a on, konstruując makietę sali koncertowej, która miała być wybudowana z materiałów pochodzących z odzysku. Muszę przyznać, że jego obecność napępiała mnie spokojnym zadowoleniem i lubiłam na niego patrzeć, gdy przecierał okulary w czarnych oprawkach (które zachodziły mu parą za każdym razem, kiedy gotowałam jakieś pióra) albo, mocno skoncentrowany, targał swoje długie kręcone włosy i wzdychał, jeśli praca nad makietą nie szła mu tak, jak by sobie życzył.

A kiedy obydwójce zmęczyliśmy się pracą, wystarczało, że spojrzeliśmy na siebie i już pędziliśmy po kręconych schodach na piętro, i rozbieraliśmy się pospiesznie, po czym łądownaliśmy, spoceni i splątani ze sobą, na kanapie. Nadal mam pewne bóle mięśniowe od tego cholernie niewygodnego mebla, który tak wiele musiał wytrzymać w tamtych dniach. Nigdy przedtem ani potem nie byliśmy ze sobą tak szczęśliwi, Roberto i ja. A ponadto mieliśmy świadomość naszego szczęścia. Przynajmniej ja ją miałam. Roberto zawsze był mało wylewny w okazywaniu uczuć. Byliśmy bez grosza przy duszy i niekiedy strach przed przyszłością i wywołana przez niego niepewność kładły się cieniem na naszych nastrojach, ale z drugiej strony dawały nam motywację do pracy. Gdy masz przed sobą całą przyszłość, łatwiej jest ci znieść pewne ograniczenia w terażniejszości. Nigdy nie byłam w stanie zrozumieć ludzi, którzy twierdzą, że istnieje jedynie obecna chwila i że należy się nią cieszyć, nie myśląc o dniu wczorajszym ani o jutrze. Jak gdyby przeszłość i przyszłość nie determinowały terażniejszości. Jak gdyby przyszłość dwudziestoletniego chłopaka i osiemdziesięcioletniego starca mogła być taka sama. Czy taką samą wagę ma terażniejszość, w której potencjalnie jest zawarte mnóstwo wariantów przyszłości, co terażniejszość, której pozostała już jedynie przeszłość?

Na razie jednak nasza terażniejszość, pomimo lęków, niewygodnej kanapy i braku forsy, była godna pozazdroszczenia. Wszystko było przed nami. Wszystko było możliwe. Liczyliśmy się z tym, że Roberto nie będzie mógł znaleźć pracy jako architekt i zostanie zmuszony do emigracji, i że być może nie uda mi się przekonać ojca, żeby wynajął mi sklep, ale mimo to staraliśmy się zrobić coś dobrego i poczynić postępy. Bez względu na cienie byliśmy pełni optymizmu. W ciągu tych miesięcy nasza relacja dojrzała i okrzepla. Dobrze się bawiliśmy w łóżku i poza nim. Ja częściej od niego się śmiałam, bo z natury jestem śmieszka. Roberto rzadziej śmiał się w głos, ale jak już raz zaczął, to – jeśli byliśmy w towarzystwie – czułam się nieco zażenowana przesadą, z jaką to robił. Ale rozumieliśmy się świetnie, czego dowodem było to, że Inma mówiła o nas „rodzeństwo syjamskie”. Roberto nie był tak spontaniczny jak ja, elokwencją popisywał się, jedynie gdy mówił o swojej pracy, ale w sytuacjach intymnych pozwalał sobie na pewien luz. Nie wyobrażałam już sobie życia bez niego. Choć nigdy nie poruszyliśmy tematu ślubu, bo żadne z nas nie czuło potrzeby, żeby stanąć przed ołtarzem lub urzędnikiem stanu cywilnego, byliśmy dla siebie stworzeni. Takie rzeczy się wie, prawda? Roberto i Sara, architekt i *plumassière*. Roberto i Sara, każde zdobywające renomę na własnym polu. Roberto i Sara na oddziale położniczym szpitala, uśmiechający się do swego pierwszego dzidziusia. Roberto i Sara...

– Zaczyna mnie od tego trochę mdlić – powiedziała któregoś dnia Inma. – Masz wszystko tak dokładnie zaplanowane.

– Ależ skąd! – zaprotestowałam. – Przecież nic jeszcze nie jest pewne. Przecież nawet nie wiem, czy uda mi się utrzymać z mojego zajęcia.

– Ty zawsze wszystko planujesz, Saro – stwierdziła Inma. – Zawsze i wszystko. Przecież już nawet zaplanowałam, jak będą miały na imię twoje dzieci.

– Kłamiesz.

– Henar i Guillermo, jeśli będzie dziewczynka i chłopiec. María i Henar, jeśli dwie dziewczynki. Lucas i Guillermo, jeśli dwaj chłopcy.

– Kiedy ci to powiedziałam? – spytałam zaniepokojona.

– Po trzeciej tequili wszystko wypapłasz. Jesteś gadułą.

No cóż, może istotnie co nieco zaplanowałam. Troszeczkę. Ale każdy jest, jaki jest, a jeśli już miałam to szczęście, że poznałam Roberta, i jeśli było nam ze sobą tak dobrze, to czemu nie miałabym planować różnych rzeczy? To prawda, że nie omówiliśmy tematu dzieci, ale widziałam, jak dobrze się bawi w towarzystwie swoich dwóch siostrzeńców – zupełnie jakby sam nadal był dzieckiem – wyobrażałam więc sobie, że posiadanie dzieci było częścią jego przyszłości, tak jak było częścią mojej. Nie było po co przyspieszać spraw. I tak już wystarczająco dużo mnie kosztowała zmiana statusu na „narzeczoną” po dłuższym spotykaniu się. Mieliliśmy przed sobą całe życie. Szliśmy w przyszłość obok siebie, krok po kroku. I dobrze nam było razem.

Po ośmiu miesiącach w końcu udało mi się wykonać dwie rzeczy, z których mogłam być naprawdę w pełni zadowolona. Były to muszka z piórek kolibra i toczek, przy którym moja wyobraźnia zaliczyła taki wzlot, że aż dziw brał, że to filigranowe nakrycie głowy nie zerwało się do lotu. Pokazałam moje dzieła ojcu podczas jednego z rodzinnych obiadów na świeżym powietrzu. A on zadał mi tylko jedno pytanie:

– Już je sprzedałaś?

– Jeszcze nie – odpowiedziałam. – Ale to zrobię.

– Czy dostaniesz za nie tyle, że będziesz mogła zapłacić mi miesięczny czynsz?

– A ile weźmiesz ode mnie za miesiąc?

– Ponieważ jesteś moją córką, możemy się dogadać.

Uśmiechnęłam się; widziałam, że ojciec mięknie. Moje wyroby zrobiły na nim wrażenie.

– Tysiąc euro – rzucił kwotę.

Uśmiech zamarł mi na ustach. Nigdy w życiu nie sprzedam dwóch rzeczy za tyle forsy.

– Są tego warte? – zapytał ojciec, jakby czytając mi w myślach.

– Są, jeśli ktoś tyle za nie zapłaci – odpowiedziałam. Musiałam jednak przyznać przed samą sobą, że wątpię, by znalazł się ktokolwiek taki.

– No to jak zarobisz tysiąc euro, to porozmawiamy.

Łajdak nie ułatwiał mi sprawy, to oczywiste. Musiałam dalej pracować, musiałam projektować, musiałam wytwarzać, musiałam sprzedawać. Rozpoczęcie sprzedaży – coś, co martwiło mnie dużo bardziej niż samo tworzenie moich wyrobów. Bo nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Skoro nie mogłam wystawić rzeczy w sklepie, to jak inaczej miałam je rozpropagować? Próby zrobienia tego przez internet byłyby skazane na porażkę, bo ludzie nie trafiliby na moją stronę, tym bardziej że nie miałam nawet złamanego grosza na jakąkolwiek promocję. A chodzenie po sklepach i oferowanie swoich wytworów było jeszcze bardziej karkołomne. Któż zechce zakupić moje toczki, torebki i muszki, jeśli nie wyrobiłam sobie jeszcze nazwiska?

– Musisz doprowadzić do tego, żeby ktoś znany miał na sobie coś twojego, kiedy będzie kroczył po czerwonym dywanie. Albo żeby jakaś ważna kobieta założyła twój toczek na ślub kogoś z elity. W ten sposób zaczniesz zdobywać renomę – powiedział Roberto.

– Ale jak mam to zrobić? Nie jestem w stanie przekonać do niczego nawet własnego ojca, a co dopiero jakiegoś celebrytę. Nie wiem nawet, gdzie ich szukać.

- Nie jest trudno ich znaleźć.
- I wtedy co? Rzucę się na niego? Wleżę któremuś do domu i sprezentuję mu mój wyrób?
- A wiesz, że to niezły pomysł. Sławni ludzie też lubią dostawać coś za darmo.
- Nie, Roberto, nie mogę tego zrobić.
- Mogę poprosić matkę, żeby coś od ciebie kupiła.
- Nie chcę zaczynać w ten sposób kariery, nie od oszustwa!

Mijały dni i tygodnie. Robiłam nowe projekty. Roberto towarzyszył mi, wspierał mnie i dzielił się swoimi opiniami, mówił, co mu się podoba, a co nie. Pamiętam, że zawsze najbardziej podobały mu się modele o geometrycznych liniach, być może z powodu jego skrzywienia zawodowego. Brakowało już tylko kilku dni do wyznaczonego mi przez ojca ostatecznego terminu, a moje lęki nasilały się w miarę upływu czasu. I właśnie wtedy, gdy już zaczęłam rozmyślać, w jaki sposób wymóc na ojcu odroczenie wyroku, rano, tuż po przebudzeniu – spędziliśmy noc w mieszkaniu babci, co zaczynało się już stawać naszym zwyczajem, bo nie chciało mi się tracić czasu na jeżdżenie do domu rodziców do Aravaki

– Roberto wpadł na jakiś pomysł. Spojrzał na mnie, a jego oczy błyszczały jak oczy dziecka, które właśnie ma zamiar wywinąć jakąś psotę, i powiedział:

- Chyba już wiem, jak sprzedać jedno z twoich arcydzieł.
- I zaczął ściągać koszulkę z logo *Star Wars*, w której sypiał.
- Rozbierając się? – zapytałam zdezorientowana.
- Podaj mi muszkę – odparł.

Nie domyślając się, o co chodzi, podałam mu muszkę zrobioną z piórek kolibra. A on zawiązał ją sobie na szyi.

- I co? Jak ci się podoba?
 - Muszki wiąże się na koszuli – odpowiedziałam, przyznając, dość oschłym tonem. Nie wiem, dlaczego w niektórych sytuacjach wychodzi ze mnie nudziara (mnie zbija to z tropu).
 - Taka odważna w niektórych sprawach, a w innych taka konwencjonalna – zauważył.
- Spojrzał w lustro, poprawił muszkę i uśmiechnął się do mnie. – Fajnie wyglądam, prawda? – zapytał.

Prawda. Wyglądał super. Z kręconymi lokami rozświetlonymi promieniami słońca, które wpadały przez balkonowe okno do pokoju mojej babci o ścianach pokrytych różową tapetą. Miał piękne ciało, godne pożądania. Z barwną muszką na szyi, z okularami w czarnych oprawkach, z opadającymi mu niebezpiecznie nisko szarymi bawełnianymi spodniami, ze swoimi czterema włoskami na krzyż na piersi („któregoś pięknego dnia stanę się metroseksualny i je sobie wydepiluję”) był taki pociągający. Wybuchnęłam śmiechem. Nabrałam chęci, żeby się na niego rzucić, rozebrać go do końca, zostawiając jedynie muszkę, i...

- Ale tobie jej nie sprzedam – zastrzegłam.
- To już wiem – odparł. – Ale jutro spotykam się z Tomásem Ferro, będziemy omawiać moją pracę dyplomową.

Nie pojęłam, co ma piernik do wiatraka, i moja twarz musiała wyrażać kompletne niezrozumienie.

- Pod koniec tygodnia mój promotor będzie udzielał wywiadu „El País” – wyjaśnił Roberto. – Będzie mówił o swoim najnowszym projekcie, najwyższym wieżowcu w Dubaju. Chciałabyś, żeby miał na sobie twoją muszkę podczas sesji fotograficznej?

- A jak masz zamiar go do tego namówić? – spytałam.
- Podobam mu się. I podobają mu się niekonwencjonalne rzeczy.
- Jak to „podobasz mu się”? – Zafiksowałam się na pierwszym zdaniu. Nawet nie usłyszałam reszty. – Ty? Podobasz mu się? Skąd o tym wiesz? Napastował cię kiedyś? Zapraszał

cię do kina lub do domu?

– Takie rzeczy się wyczuwa, Saro.

– I masz zamiar pokazać mu się tak, bez koszuli? Sprostytuować się dla swojej narzeczonej?

Roberto parsknął śmiechem.

– No cóż... Nie miałem zamiaru posunąć się aż tak daleko...

– Roberto, jestem ci z całego serca wdzięczna, ale nie możesz omawiać swojej pracy dyplomowej bez koszuli i w muszce. Jeśli to zrobisz, może się zdarzyć, że wylądujesz z promotorem w łóżku. Bo gdy wyglądasz tak jak teraz, sam się prosisz o to, żeby cię wykorzystać.

– Zostaw to mnie. Ta muszka jest świetna, sprzedaje się sama. Tomás umie docenić piękne rzeczy.

– Przerażasz mnie, Roberto – powiedziałam, jednak tylko na wpół żartem. Rzuciłam w niego poduszką. – Wiesz, że byłabym zachwycona, widząc mój projekt na łamach „El País”, ale nie chciałabym w zamian za to przehandlować swojego narzeczonego.

– Zaufaj mi – odparł.

Zaufałam mu, jak zawsze zresztą. A trzy tygodnie później Tomás Ferro prezentował moją muszkę na czarnej koszuli w weekendowym wydaniu ilustrowanym „El País Semanal”. Co najlepsze, w opisie zdjęć podano, czyja jest koszula – Calvina Kleina, i czyja jest muszka – moja! „Projekt Sary Escribano”. Moje nazwisko pojawiło się w gazecie! A nawet więcej, słynny architekt wspominał o mnie w rozmowie: „Inspirację można napotkać gdziekolwiek, może nią być cokolwiek. Na przykład ta muszka, którą mam na szyi, jest prawdziwym dziełem sztuki. Mogłaby posłużyć za przykład tego, o czym mówię. Jest niemal architektoniczna w strukturze warstw, w tym, jak rozmieszczono poszczególne piórka, w sposób przemyślany i inteligentny bawiąc się grą kolorów i światła. Mógłbym się nią zainspirować, aby stworzyć projekt budynku. Albo przynajmniej aby mój umysł otworzył się na nowe możliwości i je drażył”.

Nic więcej nie było konieczne. Ani sprzedaż za tysiąc euro, ani nowe projekty. Mój ojciec był pod wrażeniem. Pod wielkim wrażeniem. Jeden z najlepszych architektów na świecie, a przynajmniej jeden z najbardziej znanych, założył coś zaprojektowanego przez jego córkę i chwalił to, mówiąc, że posłuży mu za inspirację. Nazwisko jego córki, jego własne nazwisko, w połączeniu z nazwiskiem Tomása Ferro. Coś, czego on sam nie osiągnął przez trzydzieści lat pracy zawodowej, a czego ja dokonałam jedną małą muszką.

Po raz pierwszy ojciec potraktował mnie poważnie. Moje szczęście nie miało granic. A mój narzeczony, mój Roberto, był najlepszym narzeczonym na świecie. Choć nadal nieco mnie martwiło, że nie mam pojęcia, jak mu się udało wpłynąć na słynnego architekta, aby ten założył moją muszkę. I choćbym nie wiem jak go wypytywała, nie puszczał pary z ust.

– To nic takiego, byle kto mógłby to zrobić.

Ta wymijająca odpowiedź doprowadzała mnie do szału. Jak to: „byle kto”? To świetnie, że nie był zarozumiały, że się nie wywyższał i nie wychwalał. Ale byle kto? I byle co? Co on takiego zrobił?

– Roberto, przyrzeknij mi, że nie musiałeś... – Nie byłam w stanie dokończyć zdania.

– Nie musiałem – odpowiadał rozbawiony.

– Dokończ zdanie!

– Ale ja nie wiem, jaki ma koniec. – I śmiał się jak głupi.

– Wiesz jaki. Świetnie wiesz.

– Ależ skąd.

– Łajdak.

- Moja słodka.
 - Głuptasie, powiedz prawdę.
 - Prawda jest taka, że mnie było bardziej do twarzy w tej muszce.
- Nie byłam w stanie się na niego złościć.

Ojciec oficjalnie przekazał mi klucze do sklepu. To znaczy, same klucze już od dawna mieliśmy, ja i moja siostra – to oczywiste, bo od lat mieszkanie babci było naszym schronieniem, gdy chcieliśmy zostać na weekend w Madrycie. W domu każda z nas mówiła, że zanocuje u jakiejś przyjaciółki, ale w rzeczywistości nocowała tam. I choć nigdy nie rozmawiałam z Lu na ten temat, jestem pewna, że i ona, tak jak ja sama, straciła dziewictwo na kanapie babci. To było tak wygodne i oczywiste, nie trzeba było niczego tłumaczyć w domu.

Przy tej okazji ojciec wręczył mi drugi komplet kluczy spięty breloczkiem z piór, wykonanym przeze mnie; oczywiście to nie ja mu sprzedawałam ten brelok, a więc musiał kogoś poprosić, żeby mu go kupił. Wręczył mi je w uroczysty sposób, podczas rodzinnego obiadu.

Tym razem był okropny upał, trzydzieści stopni, więc piecyki ustąpiły miejsca wentylatorom, które spełniały dodatkową funkcję nawilżaczy i spisywały się lepiej od piecyków – bo działały. Mimo że tryskały wodą. I moczyły nam ubrania. I zalewały jedzenie. Lu, która stała się prawdziwą laską – była zdumiewająco ładna, musiała wygrać główną nagrodę na loterii genetycznej – skarżyła się, że wentylatory zniszczą jej kreację. Lu miała siedemnaście lat i zaczynała karierę modelki. Wystąpiła już na jednym pokazie kolekcji mojej przyjaciółki Chusy, tej ze szkoły mody, i począwszy od tej chwili, co rusz dostawała nowe propozycje. Pojawiła się już na kilku okładkach, a na jej komórkę nieprzerwanym strumieniem płynęły setki WhatsAppów od chłopców, którzy za nią szaleli. Kiedy pomyślę, jaka ja byłam w jej wieku! Czasem i ja podejrzewałam, że jednak rodzice ją adoptowali. Ale pomimo różnicy charakterów, wyglądu fizycznego, doświadczeń życiowych dogadywałyśmy się świetnie, a Lu szczerze się ucieszyła, gdy ojciec dał mi klucze.

Natomiast matkę niemal musieliśmy odwieźć na izbę przyjęć, bo była bliska upicia się do nieprzytomności. Choć usiłowała sprawiać wrażenie, że popiera decyzję ojca, i potakiwała, i kiwała głową, i mówiła, że oczywiście, że mi się uda, że tego właśnie sobie dla mnie życzy, że dlaczego nie miałoby mi się dobrze ułożyć, faktem jest, że okropnie to wszystko przeżywała i przy kolejnej butelce martini ojciec zaczął się o nią martwić.

– Kochanie, byłoby dobrze, gdyby rozpoczęcie kariery zawodowej przez twoją córkę nie zaprowadziło cię prosto do Anonimowych Alkoholików...

– Ależ skąd, ależ skąd, jestem bardzo szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa. Najszczęśliwsza. Taka uszczęśliwiona, że muszę wznieść toast.

– Już dawno się tak nie skuła – szepnęła mi Lu do ucha. I zwracając się do matki radosnym tonem, poprosiła: – Mamo, nalej mi też.

– Oszywiście, czóreczko, mamy co świętować. Za pióra! – krzyknęła, łapiąc za butelkę.

Wiele toastów wznieśliśmy tego wieczoru. Za sklep, za zdrowie Lu, której urodziny się zbliżały, za decyzję Roberta, żeby wyjechać na rok do Paryża i tam szukać szczęścia jako architekt, jeśli na miejscu niczego nie znajdzie. Mój ojciec zaproponował mu, że przyjmie go do swojej firmy, ale Roberto chciał sam, bez pomocy ojca narzeczonej, zadbać o swoją przyszłość. I nie była to tylko kwestia jego prawego charakteru, po prostu pracownia architektoniczna ojca nie była nadzwyczajna, a on sam jako szef był nie do zniesienia. Chociaż rozumiałam powody Roberta, jego decyzja o wyjeździe do Francji bynajmniej mnie nie radowała.

– A jak go nazwiesz? – zapytał w pewnej chwili ojciec.

– Kogo? – odparłam zdziwiona.

– Sklep. Czy myślisz o zachowaniu nazwy, jaką miał za czasów babci?

– Konfekcje Józefina? Nie, nie. Myślałam o czymś innym.

Ta inna nazwa, wiedziałam o tym od babci, bardzo by jej się spodobała. Była to bowiem nazwa, którą babcia chciała niegdyś nadać swojemu sklepowi, ale czasy wówczas były inne, a ona sama – być może – nie miała aż tyle odwagi. Tak mi powiedziała. Że nie chce zrzucić winy na okoliczności, że to wynikło z jej tchórzostwa. Bo wymarzona nazwa brzmiała zbyt egzotycznie, zbyt bombastycznie. Była zbyt wspaniała jak na rodzaj towaru, który babcia miała sprzedawać, i jak na tę skromną peryferyjną dzielnicę. Może i tak.

– Rajski Ptak – zaanonsowałam. – Tak nazwę mój sklep.

Ojciec niemal zakrztusił się winem, gdy to usłyszał. Zauważyłam, że spojrzał na mnie z dumą. Rzadko tak na mnie spoglądał.

– Tę właśnie nazwę twoja babka... – Był tak roztrzęsiony, że nie mógł dokończyć zdania.

– Wiem, tato...

– ...byłaby zachwycona...

Usiłował opanować emocje, ale mu się nie udało i oczy wypełniły mu się łzami, które zaczęły spływać po policzkach.

– No i widzisz, doprowadziłaś ojca do płaczu – oburzyła się matka. – Wypij jeszcze kieliszczyk, Arturo.

– Bo mama byłaby taka szczęśliwa... – wybełkotał, szlochając.

– Oczywiście, Arturo, oczywiście. Napij się jeszcze, przecież nie jesteśmy na stypie.

– ...taka szczęśliwa...

Kilka miesięcy później otworzyłam sklep. Włożyłam w to trochę oszczędności, które uciulałam, dając prywatne lekcje chemii przez te wszystkie lata, oraz te parę groszy, które pozostawiła mi w spadku babcia. Do tego, dzięki poręczeniu mojego ojca, dobrego klienta, dostałam z jego banku żałośnie mały kredyt, i te wszystkie pieniądze posłużyły do gruntownego liftingu dawnych Konfekcji Józefiny i ich przemiany w Rajskiego Ptaka.

Byliśmy tacy szczęśliwi, kiedy w końcu wspólnymi siłami (czyli Roberta, dwóch robotników budowlanych i moimi) powiesiliśmy szyld nad drzwiami. Projekt graficzny, typografię i wykonanie wziął na siebie Roberto, który doskonale uchwycił ducha bujnej ekstrawagancji, na jakim mi zależało. Tej nocy balowaliśmy aż do rana. Uznałam Roberta za najlepszego narzeczonego na świecie. Nie przestał mi się podobać nawet wtedy, gdy przeholował z alkoholem. A tej nocy obydwójce sporo go nadużyliśmy i zakończyliśmy program, tarzając się na zapleczu wśród piór.

Następnego dnia miało być otwarcie sklepu dla klientów.

Zanim do niego doszło, ojciec przyniósł mi oprawioną w ramkę stronę „El País”, na której Tomás Ferro wypowiadał się o mojej muszce. I dosłownie zmusił mnie, żebym ją zawiesiła na jednej ze ścian w sklepie. Najlepiej na tej z cegły, którą tak trudno było wydobyć spod tynku, a która była moim oczkiem w głowie, bo na niej wyeksponowałam część moich prac. Ściana nadawała nastrój całości i stanowiła świetną kwintesencję tego, co można było znaleźć w moim sklepie, wyrażała jego ducha. Wstydziłam się wieszać na niej tę ramkę, ale nie miałam innego wyjścia, więc poszukałam młotka i gwoździ i wzięłam się do roboty. Muszę wyznać, że podczas tych czynności z przyjemnością wodziłam wzrokiem po moim Rajskim Ptaku i sama nie mogłam się nadziwić, jak udało mi się zmienić babciny sklepik w to miejsce, utrzymane trochę w stylu vintage, a jednocześnie bardzo nowoczesne, tak dobrze pasujące do nowych lokali, które w tym samym czasie powstawały w dzielnicy Malasaña i zamieniały ją w okolice trochę podobną do nowojorskiej dzielnicy East Village. Na starych madryckich uliczkach pojawiły się naleśnikarnie, przywodzące na myśl nastrój paryskiej Dzielnicy Łacińskiej; sklepy rowerowe; sklepiki z ubraniami vintage lub z drugiej ręki; cukiernie serwujące *cupcakes*; lokale

z narodowymi kuchniami z całego świata i daniami na wynos (włoskie – tych było najwięcej, poza tym japońskie, greckie, tureckie, indyjskie); zakłady fryzjerskie o zabawnych nazwach, oferujące dodatkowo piercing i tatuaże; kwaciarnie, z których na chodniki wylewały się złocenie, róże i tulipany; kawiarnie o ścianach wyłożonych tapetami w kolorowe, geometryczne wzory nawiązujące do lat siedemdziesiątych XX wieku.

A pośród tego wszystkiego byłam też ja i mój Rajski Ptak. Osiągnęłam cel. Nareszcie miałam coś własnego. Ten kawałek podłogi w sercu dzielnicy Malasaña, w sercu Madrytu, był mój. Mój. To było tak wspaniale kojące uczucie...

Sklep zrobił wrażenie w dzielnicy, zwłaszcza na początku, tuż po otwarciu. Ludzie wchodzili, komentowali, chwalili nakrycia głowy i torebki. Ale prawie nikt nic nie kupował. Towar był za drogi jak na to miejsce. Nie mogłam jednak obniżyć cen, każdy przedmiot był unikatowy, jego wytworzenie kosztowało mnie ogrom pracy. Nie, zamiast obniżać ceny, musiałam przyciągnąć inną klientelę.

Częściowo mi się to udało podczas pierwszego roku istnienia sklepu. Trochę sprzedawałam, niewiele, więcej tworzyłam. Byłam pełna optymizmu i nadziei. Nabierałam też coraz większej zręczności. Stawałam się profesjonalistką, rzemieślniczką, oczyma wyobraźni widziałam już siebie, jeżdżącą po świecie i dającą wykłady jako jedna z nielicznych ekspertek w sztuce artystycznego wykorzystania piór. Moja wyobraźnia wyprzedzała rzeczywistość, jak zawsze zresztą. To, że tak mało sprzedawałam, nie zniechęcało mnie do prowadzenia interesu, choć ledwie wystarczało mi na opłacenie rachunków za elektryczność, podatków i czynszu, którego ojciec domagał się regularnie każdego miesiąca. Nie byłam bynajmniej zachwycona faktem, że jestem jego najemcą. „I dziękuj Bogu, że nie biorę od ciebie czynszu także za mieszkanie na pięttrze. Przecież wiem, że tam mieszkasz, bo w domu praktycznie nie bywasz”. Miał oczywiście rację, mieszkałam tam i już nawet zaczęłam trochę przemeblowywać niektóre pomieszczenia, żeby poczuć się jak u siebie. Zwłaszcza kuchnię, salon i sypialnię – tę, której używałam. Trzy pozostałe pokoje nadal wyglądały tak, jak je zostawiła babcia.

Największe wzięcie miały moje toczki, które kupowano na śluby i wesela. Z biegiem czasu niektóre kobiety z klasy wyższej odważały się zapaść aż do Malasañy, żeby je przymierzyć. Były to panie, które dobrze wiedziały, czego chcą, wymagające, niezbyt skłonne do słuchania porad, choć były też miłe wyjątki. Bardziej oglądały, niż kupowały, ale zawsze udawało mi się przekonać choć kilka klientek i dzięki nim mój miesięczny budżet jakoś się domykał. Natomiast o zyskach nie było jeszcze mowy. Miałam zamiar rozpocząć wytwarzanie nowej linii produktów, nie tak wyszukanych, więc nieco tańszych, żeby mogły sobie na nie pozwolić także mieszkanki dzielnicy, ale nie starczało mi na to czasu. Toczki były ogromnie pracochłonne i pochłaniały mnie zupełnie. Było to paradoksalne, że sprzedawałam luksusowe wyroby, a ledwie było mnie stać, żeby zapłacić za ogrzewanie.

Jednym z pomysłów, które zaczęłam wprowadzać w życie, była linia wyrobów second-hand, starannie przeze mnie wybranych, odświeżonych i przekształconych przy pomocy moich piór. Stopniowo tworzyłam małą kolekcję: suknie z pierzastą falbaną, spódnice z ogonem z pawich piór, skórzane kurtki z anielskimi skrzydłami, koszule o kroju z lat sześćdziesiątych z pękiem piór wystającym z butonierki. Byłam niezwykle dumna z tych rękodzieł, które przyczyniały się do tworzenia nastroju mojego sklepu.

Tak mijały miesiące. Aż w pewnej chwili nastąpił zastój. O ile przez pierwsze półtora roku udawało mi się oszukiwać samą siebie, że pierwsze koty za płoty, że liczba klientów wzrośnie, to wreszcie musiałam się zmierzyć z brutalną prawdą: nic takiego nie nastąpiło i po dwóch latach od otwarcia sklepu nie zarabiałam już nawet na czynsz. Bolało mnie to, ale najbardziej mi doskwierało, że musiałam przyznać rację mojemu ojcu. Ja, wieczna optymistka,

której wydawało się, że wszystko pójdzie z górki, że – podobnie jak udało się ze zdjęciem Tomása Ferro w „El País” – wszystko się ułoży. Jednak to nie było takie proste. Pocieszało mnie nieco, że nie tylko ja znalazłam się w takiej sytuacji – moi przyjaciele ze szkoły mody także desperacko walczyli, żeby utrzymać się na powierzchni. Im było chyba jeszcze trudniej, bo kryzys dopadł wszystkie branże i moda nie była tu wyjątkiem. Często chodziliśmy na piwo: ja, David i Chusa, i użalaliśmy się nad sobą, wyrzekając, że zaczęliśmy nasze kariery właśnie w tym czasie i właśnie w tym kraju. Niekiedy dołączała do nas moja siostra, która nie wydawała się dotknięta żadnym rodzajem kryzysu, ani ekonomicznym, ani uczuciowym, ani żadnym w ogóle. Właśnie skończyła dziewiętnaście lat i miała już za sobą występy na wybiegach Paryża, Mediolanu i Nowego Jorku, zawsze była ubrana w nowe ciuchy, zawsze przyprowadzała ze sobą nowych chłopaków, często kolegów z pokazów mody, niezmiernie przystojnych modeli, na których widok Davidowi zapierało dech.

– Nie bądź jędzą, używaj ich, ale mi ich nie zużyj! – mówił.

– I pomyśleć, że ta gówniara zaczynała razem ze mną – jęczała Chusa. – Jedyne, której na tym nie zależało, i jedyna, która odniosła sukces w modelingu. Chyba się pochlastam.

Tak, sukcesy mojej siostry wydobywały na wierzch wszystko co najgorsze u moich przyjaciół. Gdy pojawiała się promieniejąca, energetyczna, szalona, szczęśliwa i uwieszona u ramienia kogoś z młodzieńców, którzy zawsze, zawsze wpatrywali się w nią jak w obraz, David i Chusa wybuchali litanią lamentów i przekleństw.

– I nie dosyć jej, że się z nimi łądzący, jeszcze ich w sobie rozkochuje! – David nie dawał za wygraną.

Gdy ona święciła triumfy, ja zmagalam się z wizją eksmisji. Miałam pętlę na szyi. Nie spałam po nocach lub miałam koszmary. Strach przed porażką zaczął mnie paraliżować, tak jak wtedy, przed laty, gdy szykowałam scenografię do *Snu nocy letniej*. Obawa, że poniosę klęskę, zawsze wywoływała u mnie rodzaj odrętwienia, wręcz fizycznego. Tym razem musiałam się z tym zmagać przez dłuższy czas i zaczęłam miewać kłopoty z oddychaniem. Przeżyłam dwa krótkie napady paniki. Czułam, jakby ściany sklepu się na mnie waliły, jakby moje płuca się zaciskały i brakowało mi powietrza. Cóż to za okropne i nieprzyjemne uczucie, nie panować nad własnym ciałem, które staje się nieposłuszne i wrogie. Co za koszmar – czuć, że nie jest się panem samego siebie. Na szczęście w obu tych przypadkach Roberto był blisko, bo gdybym była sama... nie wiem, jak by się to skończyło.

To właśnie wtedy w pracowni przy sklepie pojawiła się czarna plama wilgoci. Z początku udawałam, że jej nie widzę, ponieważ przerażała mnie myśl o konieczności remontu, ale kiedy zaczęła się powiększać, nie pozostało mi nic innego, jak się tym zająć. Wezwałam hydraulika i murarza, ale mimo iż robili, co mogli, nie znaleźli miejsca przecieku. Za bezskuteczne stukanie i wiercenie zapłaciłam im tyle, ile przypuszczalnie kosztuje nerka na czarnym rynku, a potem jeszcze musiałam wezwać malarza, żeby zamalował plamę, która według tych rzekomych ekspertów miała się już nie powiększać. Po dwóch miesiącach plama wylazła na wierzch. Doszłam do wniosku, że muszę się pogodzić z jej istnieniem, że muszę z nią żyć, ponieważ współgra ze stanem mojego ducha i moich interesów. No cóż, przyjęłam, że ludziom zdarzają się gorsze rzeczy i też jakoś sobie radzą. Choć w głębi duszy widziałam w niej metaforę czarnych chmur zbierających się nad moim życiem. Trudno byłoby o lepszą wizualizację mojej klęski zawodowej niż ta niemożliwa do usunięcia mokra plama. Ja, która w pierwszych miesiącach widziałam się oczyma wyobraźni tryumfującą na wybiegach całego świata i eksportującą swoje wyroby do Anglii, Niemiec i Stanów Zjednoczonych, ozdabiającą okładki „Vogue’a”, „Elle” i „Vanity Fair”, jedyne, co osiągnęłam, to mokra plama, której nie mogłam się pozbyć.

Musiałby się zdarzyć jakiś cud, żebym nie została zmuszona do zamknięcia interesu.

I właśnie wtedy, w tych miesiącach niepewności, Roberto podjął decyzję o wyjeździe do Paryża. Na cały rok. Od dawna nosił się z takim zamiarem, bo po desperackim poszukiwaniu posady w jakiegokolwiek pracowni architektonicznej, wykończony pracami zleconymi lub bezpłatnymi praktykami, nie widział innego wyjścia. Pobladłam. Byłam przekonana, że bez niego sobie nie poradzę. Czułam się taka krucha.

– To tylko rok. A Paryż nie jest aż tak daleko. Możesz mnie odwiedzać, kiedy tylko będziesz chciała. Ja też będę do ciebie przylatywał. Zobaczysz, ten rok szybko zleci.

– A gdybym pogadała z ojcem, żeby ci coś znalazł...

– Saro, wiesz, co o tym myślę.

– Tak, wiem. Ale Paryż... Cały rok... I będzie ci trudno się porozumiewać, przecież twój francuski jest fatalny.

Nie udało mi się go przekonać. Ponadto miałam świadomość, że nie mogę wiązać mu rąk. Robił to, co należało i co mógł zrobić.

Dwa lata istnienia Rajskiego Ptaka wydały mi się mgnieniem w porównaniu z pierwszym miesiącem bez Roberta. Jakże dłużyły mi się dni bez niego. Usiłowaliśmy kontaktować się przez Skype'a każdego wieczoru, lecz to nie stanowiło najmniejszej nawet pociechy. Tym bardziej że nie miałam mu do powiedzenia nic, co nie byłoby litanią narzekań, on natomiast był wprost nabuzowany projektami nowego życia w Paryżu. Więc zawsze kończyło się tak, że to on mówił, a ja tylko potakiwałam. Cieszyłam się z sukcesów Roberta, oczywiście, że tak. Chociaż nie mogłam zamknąć oczu na to, że ja znajdowałam się w martwym punkcie lub wręcz staczałam się po równi pochyłej, podczas gdy on wspinał się po szczeblach kariery zawodowej. Ponadto obawiałam się, że życie w Paryżu wyda mu się o wiele bardziej interesujące od jego madryckiej przeszłości, w której jedyne, co go spotkało, to trudy życia praktykanta architektury, obciążonego jęczącą narzeczoną, ulegającą atakom paniki, która – na domiar złego – była zwykłą sklepikarką.

Pragnęłam, żeby wziął kilka dni wolnego i przyleciał do mnie na jakiś długi weekend. Ale nic z tego: za dużo pracy, za mało pieniędzy... Ja sama oczywiście też nie mogłam sobie pozwolić na takie wyjazdy. Przez cały ten rok poleciałam do niego tylko dwa razy. Podczas pierwszej podróży złapałam jakąś infekcję, rodzaj grypy żołądkowej, i spędziłam cały tydzień w łóżku. Podnosiłam się jedynie po to, żeby wydaląć z siebie wszystkimi otworami ciała to, co udawało mi się w siebie wmusić. Zatem żadnych spacerów nabrzeżami Sekwany, żadnych zawrotów głowy na wieży Eiffla, żadnych naleśników w Dzielnicy Łacińskiej ani croissantów na śniadanie, ani w ogóle nic a nic. Roberto, obawiając się zarazić, nawet mnie nie dotknął. Nie obwiniam go, miał rozgrzebany ważny projekt i nie mógł sobie pozwolić na luksus chorowania. Podczas drugiej wizyty nawet go nie widziałam. A właściwie niemal wcale, bo szef go sterroryzował i pozwalał mu przychodzić do domu tylko na parę godzin, żeby mógł się przespać. Ale nie ze mną. Był tak wykończony, że nasze usiłowania zbliżenia kończyły się właśnie tym – usiłowaniem. Coś koszmarnego. Spędzaliśmy pół godziny na usiłowaniach, a następne półtorej na wzajemnym przeproszaniu się.

Po powrocie z tej drugiej wyprawy naprawdę zaczęłam się martwić o nasz związek. Że może nie jest czymś aż tak trwałym, jak sądziłam, i ten rok rozłąki go zniszczy. Dlatego też, gdy Roberto któreś nocy powiedział mi na Skypie, że musi ze mną o czymś porozmawiać, ale nie chce robić tego przez łącze, zaniepokoiłam się nie na żarty. A powiedział mi to właśnie w dniu, w którym wreszcie sama miałam dla niego dobrą wiadomość. David, ten młody projektant, wreszcie miał mieć pokaz na Tygodniu Mody Cibeles. I chciał, żebym ja, Sara Escribano, której jedynym powodem do dumy była mała notka w „El País” sprzed dwóch lat, wykonała dla niego różne dodatki z piór.

– Wszystkich tych przystojniaków oblekę w pióra. Od góry do dołu. Im któryś bardziej

heteroprzejęty, tym więcej piór mu się dostanie. I do tego właśnie potrzebuję ciebie, Saro. Musisz zaszaleć. To będzie nasz moment chwały. Musimy stać się sensacją Fashion Week.

Tak, to mogła być ta szansa, na którą od tak dawna czekałam. Muszę z niej skorzystać. Musi mi się udać. Już widziałam oczyma wyobraźni, jak odnoszę sukces, jak staję się gwiazdą. No, może trochę przesadziłam z tym gwiazdorstwem, zgadzam się. Ale ten pokaz mógł się naprawdę okazać kamieniem milowym, który podzieli moje życie na przedtem i potem. Dobra, tu już dałam się ponieść entuzjazmowi Davida, ale czyż mogłam zrobić coś innego? Zresztą nawet gdyby te rozbuchane plany się nie powiodły, to jeśli będę miała trochę szczęścia, zdobędę kilka dodatkowych zamówień, które pozwolą mi dalej płacić czynsz i wyciągną mnie raz na zawsze z morderczego dołu finansowego, w którym tkwiłam pogrążona po uszy. Wiem, że za bardzo ekscytowałam się czymś, co być może nie było tego warte, ale cóż innego mi pozostało? Kiedy twoje sprawy idą źle, kiedy toniesz, to albo chwytasz się brzytwy, albo dajesz za wygraną i idziesz na dno.

I w tej właśnie chwili usłyszałam od Roberta: „musimy porozmawiać”, co podziało na mnie jak kubek zimnej wody i odsunęło natłok myśli o pokazie.

Czyżby chciał ze mną zerwać? Przecież wszyscy wiedzą, co się kryje za tymi dwoma słowami: „musimy porozmawiać”. Chyba że musi ze mną porozmawiać o czymś innym. „Musimy porozmawiać” wypowiedziane przez brata do brata znaczy coś innego niż te same słowa skierowane przez przełożonego do jego podwładnego. Ale zgoda, to zdanie niemal nigdy nie zapowiada niczego dobrego. O czymże mógłby chcieć ze mną porozmawiać Roberto? Bałam się zapytać wprost, żeby nie usłyszeć tego, czego usłyszeć się bałam. Ale z drugiej strony potrzebowałam pewności, bez której – co wiedziałam – nie będę mogła się skoncentrować na pracy nad pokazem. Siedząc na małżeńskim łóżu w sypialni babci, która właściwie była już moją sypialnią, ale dla mnie nadal pozostała sypialnią babci, zebrałam się na odwagę i z głupia frant, patrząc mu w oczy poprzez ekran laptopa i siląc się na pozornie spokojny ton, zadałam pytanie:

– Chcesz mnie zostawić?

Roberto otworzył szeroko oczy i zamrugał. Cóż za mistrzostwo w nadawaniu chwili dramatyzmu! Łajdak! Ja tu umieram z niepokoju, a on zachowuje się tak, jakby miał zamiar wziąć udział w konkursie mrugania oczami. Zdjął okulary i przetarł szkła slipami; zawsze miał je pod ręką i często ich w tym celu używał (co wywoływało we mnie obrzydzenie), bo według niego nic lepiej się do tego nie nadawało.

– Czyś ty oszalała? – wydusił w końcu. – Jak mogłaś choćby coś takiego pomyśleć?

– Sama nie wiem, ale po tych beznadziejnych odwiedzinach u ciebie... A seks przez Skype'a też nie bardzo nam wychodzi... I nie wiem już, co mam myśleć, więc rozumiem, jak mi powiesz, że poderwałeś jakąś Francuzeczkę z usteczkami w ciup.

Bo jeśli dla mnie rok bez seksu był koszmarem, to wyobrażałam sobie, jaką męczarnią musiał być dla niego. Postanowiłam więc udawać, że traktuję to lekko. No cóż, zdarzyła mu się jakaś przygoda w Paryżu, musiał sobie ulżyć, ale w gruncie rzeczy to nie ma znaczenia. Ale i tak wolałabym o tym nie wiedzieć. No tak, a więc po co nawiązuję do takich rzeczy, po co mówię o buzi w ciup? Jego paryska roczna eskapada zrobiła ze mnie zazdrośnicę jak z anegdoty.

– Usteczka w ciup... A cóż to takiego? – spytał, śmiejąc się ze mnie.

– No wiesz, od mówienia bez przerwy po francusku usta robią się jak kurzy zadek.

Jeszcze tego brakowało, żeby mi wyjaśniła, jak wyglądają dobre francuskie usta. Jakby sam tego nie wiedział! Nawet ja to wiem, chociaż nie spędziłam roku w Paryżu, za to w czasach studenckich, jak każda szanująca się studentka, połknęłam sporą dawkę filmów *nouvelle vague*³.

– Niemądra jesteś... A seks przez Skype'a nam się nie udaje, bo ty zawsze zaczynasz się

śmiać...

– No tak... To z frustracji. Widzę cię nagiego, ale nie mogę cię dotknąć ani poczuć, więc robi mi się coś i...

– Nie martw się, już niedługo będziesz mogła mnie dotknąć.

– Co?

– Za dwa tygodnie jestem u ciebie. Przylatuję we wtorek, czternastego.

– Co? Już wracasz? Przecież minęło dopiero dziesięć miesięcy. Odliczam dni jak świętoszka zdrowaśki na różańcu.

– Nie, jeszcze nie wracam. Przylatuję w odwiedziny i zostanę z tobą przez tydzień.

Cały tydzień. Twarz mi się rozjaśniła. Calusieńki tydzień z Robertem. Jeśli Bóg w ciągu tygodnia stworzył cały świat, to mnie powinno się udać przez ten czas odbudować życie z moim narzeczonym.

– Zmęczysz się dotykiem mnie – stwierdził z zadowoleniem.

– Nie jestem aż taka męczliwa.

Roześmiał się. I zapewnił mnie, że przez ten tydzień dokonamy wielkich rzeczy. Że będzie cały dla mnie. Że będziemy mogli spokojnie porozmawiać i że mi powie to, co ma mi do powiedzenia. I będzie mógł być obecny na pokazie, bo przylatuje we wtorek, a pokaz będzie trzy dni później. Świadomość, że będzie ze mną w tym decydującym momencie, dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

– *Au revoir*⁴ – powiedział. Miał coraz lepszy akcent. Może i nie wiedział za dużo o francuskich ustach, ale mówił już niemal jak rodowity Francuz. I pożegnał się ze mną całusem, wypisz wymaluj jak z filmu *Lulu, c'est moi*.

Najważniejsze, że nie chce ze mną zerwać. Nie zostawi mnie. Kocha mnie i chce ze mną porozmawiać. Osobiście. I tu moja wyobraźnia zerwała się do lotu. Latała i krążyła wokół jednej tylko myśli: Roberto chce się ze mną ożenić. To może być tylko to. „Saro, nie daj się ponieść, na Boga. Znam cię, Saro. Spokojnie, moja droga. Nie ulegaj emocjom” – uspokajałam się w ten sposób, bo przecież to – ślub jako taki – nie było mi potrzebne. Chciałam po prostu, żeby Roberto już raz na zawsze wrócił, żebyśmy zamieszkali razem. Z obrączkami czy bez obrączek, z ołtarzem czy bez ołtarza, było to dla mnie bez różnicy. Przecież nie będę się teraz zaczynała przejmować przyjęciem weselnym, czyż nie? Albo suknią ślubną. No właśnie, gdzie ja wsadziłam te pisemka z modą ślubną? Gdzieś tu je niedawno widziałam, w którejś szufladzie... O matko! W ciągu tego jego roku w Paryżu nie tylko stałam się zazdrośnicą, ale zaczęło się ze mną dziać coś bardzo dziwnego.

Miałam czternaście dni na zaplanowanie najlepszego tygodnia w historii ludzkości. Bo od tego tygodnia będzie zależało, czy Roberto zapomni o Paryżu i zostanie ze mną. Będę musiała go do tego przekonać, gdyby się jednak okazało, że to nie o małżeństwie chce ze mną porozmawiać i szykuje mi jakąś inną niespodziankę. Zawsze trzeba mieć przygotowany plan B. Mój plan B był identyczny jak plan A, czyli polegał na doprowadzeniu do tego, żeby Roberto ze mną został, bez względu na to czy ślub będzie, czy nie. Byleby został. Żebyśmy dalej żyli życiem, które sobie zaplanowaliśmy. A właściwie, które ja zaplanowałam, święcie przekonana, że Roberto chętnie podzieli moje zamiary.

Miałam zadanie do wykonania. A nawet dwa. Pierwsze: ocalić mojego Rajskiego Ptaka, tworząc tak odjazdowe akcesoria, żeby wszystkim odwiedzającym Fashion Week szczyki opadły do samej ziemi. Drugie: skłonić Roberta do zamieszkania ze mną i rozpoczęcia nowego życia. Naszego wspólnego życia. Dwa tygodnie, żeby przyszykować pokaz i zaplanować wystrzałowe siedem dni z Robertem. Nareszcie sami w domu. Zapatrzeni w siebie. Nic nas nie będzie rozpraszać. Wszystko będzie **absolutnie perfekcyjne**. Czyżby?

Wszystko poszło źle

Od czego mam zacząć opowieść o tym, jak to się stało, że wszystko poszło źle? Od czego mam zacząć, żebyście zrozumieli, jak doszło do tego, że na pięć dni przed przyjazdem Roberta zaczęłam spędzać każdą godzinę mojego życia, żalując, że nie mogę powiedzieć: „nie mój cyrk, nie moje małpy” i rzucić wszystkiego w diabły? Jak to możliwe, żeby sprawy mogły się zagmatwać do tego stopnia i w najbardziej niespodziewanym momencie? Tak, wiem, zadaję zbyt wiele retorycznych pytań, ale doprawdy nie wiem, od czego zacząć.

Opowiem chronologicznie. Tak. Tak będzie najlepiej.

Stałam właśnie w białym fartuchu i w maseczce na twarzy, w którym to stroju, według Inmy, wyglądałam bardziej na chemiczkę niż na *plumassière*. Raczej rzadko zakładałam maseczkę, właściwie jedynie wtedy, gdy musiałam ufarbować na zimno jakieś pióra, ponieważ używałam aniliny rozpuszczonej w alkoholu i wydzielające się opary były dość toksyczne. Decydowałam się na barwienie na zimno, jeśli życzyłam sobie bardzo żywych kolorów. A ponieważ chciałam zrobić wrażenie na Davidzie, byłam zdecydowana dla efektu poświęcić nawet skórę i oczy. Jednak David zaczął stwarzać problemy. A właściwie jeden, ale nawracający – bezustannie zmieniał koncepcje. To, co on nazywał „małym uściśleniem”, w rzeczywistości było wywróceniem wszystkiego do góry nogami, nawet jeśli się starał, żeby nikomu nie zrobić kłopotu. Teraz na przykład zażyczył sobie, żeby skrzydła Ikara – reinterpretacja mitu na użytek pokazu – które na początku miały być białe, zrobić jednak w żywych kolorach i w duchu *underground*. „Jak ci się podoba pomysł, żeby posadzać tam trochę pawich piór?”. A ja przytakiwałam, bo chciałam zrobić wrażenie niezwykle profesjonalnej, a ponadto zależało mi, żeby wiedział, iż jestem gotowa na wszystko. Dopiero później, w zaciszu pracowni, przeżywałam męki twórcze, żeby nowa propozycja Davida nie okazała się estetycznym niewypałem.

Zmagałam się właśnie ze skrzydłami Ikara, gdy do pracowni wpadła moja siostra, w sposób, w jaki ma zwyczaj to robić: kipiąca energią, rozradowana, jakby mówiła: „oto mnie macie, patrzcie i podziwiajcie”, jakby – o co ją czasem podejrzewam – posiadała zintegrowany wentylatorek, który rozwiewa jej włosy jak wiatr, żeby na wszystkich robić wrażenie. Miała na sobie niesamowicie obcisłą sukienkę w neonowoniebieskim kolorze, jaką bez popadania w śmieszność może włożyć jedynie prawdziwa piękność.

– Ależ tu śmierdzi! Zamordowałaś właśnie kurczaka? Oczy mnie strasznie pieką...

– To od aniliny.

– Patrz! – Wyciągnęła z torebki żurnal. Poszukała jakiejś strony i podetknęła mi ją pod nos. – Widzisz, jaka cudowna?

Na fotografii była widowiskowa suknia ślubna, której staniczek był cały obrzucony białymi piórkami.

– Coś takiego chcę na swój ślub.

– Świetnie, Lu – odparłam beznamiętnie. – Odsuń się, żebyś cię nie pobrudziła.

Wyciągnęłam pióra z farby i ułożyłam je delikatnie na podkładzie z gazet, żeby odsączyć nadmiar płynu. Moja siostra rzuciła przelotnie okiem na szkic skrzydeł, który już naniosałam na tkaninę, ale nie zwróciła na niego żadnej uwagi.

- Powiedz, powiedz, że mi ją zrobisz. To znaczy, suknię.
- Tak, tak – potwierdziłam machinalnie, wpatrując się jak niemądra w rezultat farbowania. – Podoba ci się kolor tych piór?
- Nie pogratulujesz mi? – spytała z pewnym oburzeniem.
- Czego? Będziesz na kolejnej okładce?
- Mojego ślubu. Właśnie ci mówię, że wychodzę za mąż.
- Jak to wychodzisz za mąż? Ty? Przecież nie masz nawet dwudziestu lat.
- A co to ma do rzeczy?
- Daj spokój, Lu. Przestań opowiadać głupoty, mam dużo pracy.
- Zrobisz mi suknię ślubną? Nie musi być dokładną kopią tej, to jasne. Zdjęcie pokazuję ci tylko jako inspirację. Ale mam zaufanie do ciebie i do twojego gustu. Wiem, że zrobisz coś spektakularnego. Chcę być najpiękniejszą i najbardziej seksowną panną młodą na całej kuli ziemskiej. No cóż, powiem wprost: zależy mi na tym, żeby – gdy tylko pojawię się w drzwiach kościoła – wszyscy heteroseksualni mężczyźni dostali gigantycznej erekcji. Nie wiem, czy łapiesz, o co kaman. Dziś wieczorem powiem o tym ojcu i matce.
- Ściągnęłam maseczkę i przyjrzałam się siostrze. Czyżby mówiła serio?
- O czym powiesz ojcu i matce? O erekcji?
- Że wychodzę za mąż.
- Lu, jeśli naprawdę masz taki kaprys, to lepiej nic im nie mów i jedź wziąć ślub w Las Vegas. Nie pozwolą ci wyjść za mąż.
- Nie mam zamiaru prosić ich o pozwolenie, chcę ich tylko zaprosić na ślub. Ja nie jestem taka jak ty, nie potrzebuję ich pytać o zdanie w każdej sprawie.
- O, przepraszam. Niby kiedy coś takiego robię?
- Helooooo! A sklep? Żeby otworzyć sklep, to co zrobiłaś?
- Przecież sklep jest własnością ojca, to kogo miałam prosić o pozwolenie?
- Saro, jesteś kobietą dziewiętnastowieczną, przyznaj to. Desperacko poszukujesz wsparcia ze strony ojca lub narzeczonego.
- I to mówi ta, co wychodzi za mąż przed dwudziestką.
- Z mojej strony to wyraz buntu. Czyli wprost przeciwnie.
- Z mojej strony wołałabym, żebyś wychodziła za mąż z miłości.
- Oczywiście, że jestem zakochana!
- Ach, tak? I którego modela sobie upatrzyłaś teraz, co?
- On nie jest modelem. Jest...
- Wiesz co, nawet mi nic nie mów. Lepiej weź zimny prysznic, to ci przejdzie. I postaraj się nie martwić rodziców. Przecież za tydzień i tak będziesz już z kimś innym...
- Nie przejdzie mi. Jestem zakochana. Zakochałam się po uszy i chcę spędzić resztę życia z nim.
- Lu, błagam... To, co wygadujesz, jest w złym guście, nie pasuje do ciebie.
- Nie widzę nic złego w tym, co mówię. To co, zrobisz mi tę suknię, czy nie?
- Możesz za nią zapłacić?
- Twarda jesteś. Prawdziwa córka swego ojca. Nie podarujesz swojej siostrzyczce sukni w dniu jej ślubu?
- Lu, daj mi spokój, dobrze? Nie mam czasu na głupstwa.
- Dobrze, ale dziś wieczór masz być w domu. Masz mnie wspierać.
- Czyżbyś nie usłyszała nic z tego, co powiedziałam?
- O wpół do dziesiątej.
- Lu, mam pokaz Davida za dziesięć dni. I nic jeszcze nie jest gotowe. Brakuje mi czasu,

nie mogę go tracić, jeżdżąc do domu i...

– Jak to, niegotowe? Znam cię dobrze, Saro. Wszystko jest już na dobrej drodze. Ty zawsze wszystko planujesz, a potem wykonujesz plany z nawiązką.

– Wcale nie, a ponadto David ciągle wszystko zmienia. A ja nie mogę nawalić, Lu.

– Już powiedziałam mamie, że dzisiaj przyjdiesz, i nawet sobie nie wyobrażasz, jak się ucieszyła. Tak więc, do zobaczenia w domu. Nara.

I nie dając mi szansy na odpowiedź, wyszła z pracowni w taki sam sposób, w jaki się w niej pojawiła: w sukience oblepionej wokół ciała, z rozwianymi włosami, zachowując się tak, jakby była na planie filmowym jakiegoś modnego reżysera. Moja siostra wychodzi za mąż. Co za mucha ją ugryzła? Ale jeśli oczekuje mojego wsparcia, będzie je miała. Przejrzałam wszystko, co dotychczas zrobiłam: wykroje powycinane, szkice w formacie A3, trzy rzeczy już gotowe... Lu miała rację, szło mi nieźle. Zresztą zawsze mogę jutro wstać wcześniej i trochę popracować, zanim się wybiorę do Davida, żeby mu pokazać efekty mojej pracy. Od czasu do czasu mogę sobie pozwolić na wypad do domu, na kolację z rodziną. A przede wszystkim nie chciałam przegapić widoku twarzy rodziców, kiedy usłyszą o tym absurdalnym pomysle ze ślubem.

O dziewiątej trzydzięci dwie zadzwoniłam do drzwi. Mam klucze, to oczywiste, ale akurat zostawiłam je w innej torebce.

– A ty co? Dlaczego dzwonisz, zamiast sobie otworzyć? I dlaczego tak późno przychodzisz? – spytała matka, stając w progu.

– Późno? – zdziwiłam się.

– Wchodź. Coś się dzieje z twoją siostrą, jest jakaś rozbiegana, coś nam chce powiedzieć... Nie wiem, o co jej chodzi. Ty wiesz?

– Lepiej niech ona sama wam powie. Bo to takie śmieszne, że ja nie dam rady.

Stół był już nakryty. W ogrodzie, oczywiście, choć na szczęście tym razem obyło się bez namiotu. Nie znosiłam tego przeklętego namiotu, zawsze miałam wrażenie, że znikąd pojawią się cyrkowcy i zaczną pokazywać sztuczki. Ojciec coś tam poprawiał przy nakryciu, a siostrzyczka przyrządzała sobie dżin z tonikiem. Chciała sobie dodać animuszu, jak sądzę.

– No, nareszcie – powiedziała z wyrzutem. – Zrobić ci też drinka?

– Nie, dziękuję. Wolę być trzeźwa. Nie chcę stracić nic z tego, co tu się będzie działo.

Lu pokazała mi język. Ojciec potknął się o nogę krzesła i niemal zrzucił ze stołu miskę z sałatką. Od pewnego czasu, mniej więcej od dwóch lat, tato był w złej formie, zniechęcony i podłamany. Kryzys ekonomiczny dawał się mu we znaki. Jego biuro architektoniczne, tak jak i inne firmy z tej branży w całym kraju, utraciło wielu klientów i był zmuszony zmniejszyć zatrudnienie. „To taki ładny eufemizm zamiast powiedzenia wprost, że wyrzuciłem na bruk ludzi, którzy pracowali ze mną od dwudziestu lat”. To było dla niego okropne, doskonale go rozumiałam. Wszyscy go rozumieliśmy, to jasne. Jednak byliśmy dość zdziwieni, że aż tak go dołuje czynnik ekonomiczny. Przecież, choć dochody miał mniejsze, nadal prowadził działalność, a ci ludzie, których – jak sam powiedział – „wyrzucił na bruk”, to było raptem dwóch starszych pracowników, którzy przeszli na wcześniejszą emeryturę. W sumie sytuacja była niekomfortowa, to fakt, ale wielu innym wiodło się gorzej. O wiele gorzej. Dlatego czuliśmy się bezradni i frustrowało nas, że jest taki sflaczały. Ciekawe, jak zareaguje po wysłuchaniu rewelacji mojej siostrzyczki.

Zasiedliśmy do stołu. Matka zaczęła konwersację na jakiś luźny temat. Obawiałam się, że będzie tak głądzić aż do deseru, więc rzucałam Lu znaczące spojrzenia, zachęcając ją do zabrania głosu. Im wcześniej przerwie pustostowie matki, tym lepiej.

– Muszę wam coś zaanonsować. – Lu w końcu odpaliła bombę. – Tato, mam, biorę ślub.

– Aha, świetnie, córeczko. Arturo, podaj mi półmisek z mięsem.

Matka nie miała najmniejszego zamiaru wziąć tego, co mówiła Lu, na poważnie, co moją siostrę okropnie sfrustrowało.

– Wychodzę za mąż – powiedziała. I dodała: – Za dwa miesiące.

– Co to za wymysł? – Matka dała się wciągnąć, ale nadal stawiała opór. – Zawsze mi się wydawało, że o ślubie mówi się w obecności narzeczonego.

Była tak przyzwyczajona do szaleństw Lu, że jeszcze nie zaczęła się przejmować jej słowami.

– Wydawało mi się, że to będzie zbyt gwałtowne, przyprowadzać go do domu właśnie dzisiaj, ogłosić wiadomość i rzucić go wam na pożarcie. Ale wkrótce go poznacie.

Mama spojrzała na mnie pytająco. Czyżby coś z tego, co wygadywała Lu, mogło być prawdą?

– Nie, nie jestem w ciąży, jeśli o to chodzi. Możecie być spokojni.

– No przecież jesteście całkiem spokojni, wystarczy na nas popatrzeć. Prawda, Arturo?

Ojciec od początku kolacji nie wyrzekł ani słowa. Otwierał usta tylko po to, żeby włożyć do nich jedzenie. Bez apetytu, ale jadł.

– Arturo, powiedz coś – nalegała matka.

Nagle ojcu zaczęła drżeć dłoń, w której trzymał ząbkowany nóż do steków. Upuścił sztuciec na stół, po czym zaczął trząść się cały. Patrzyłam na niego przejęta. Czyżby był chory? Zachorował i ukrywał to przed nami? Parkinson? Ale... Czy nie był za młody na tę chorobę? Choć na przykład Michael J. Fox miał około trzydziestki, gdy usłyszał diagnozę. Mój ojciec ma parkinsona! Oczyma wyobraźni ujrzałam, jak odwiedzam go w domu starców i karmię zupą, bo nie jest w stanie nawet utrzymać łyżki w drżącej ręce. Och, co za okropność!

– Tato? Dobrze się czujesz? – zapytałam.

Zamiast odpowiedzieć, zaczął płakać. Z oczu płynęły mu strumienie łez. Płakał jak małe dziecko, które zgubiło się rodzicom w centrum handlowym: nieutulonym płaczem, któremu towarzyszyła czkawka i niekontrolowane ruchy głowy.

– Tato? Co się dzieje? – wypytywałam go, spoglądając jednocześnie na siostrę, którą chętnie bym oskarżyła o coś, co być może, jak się obawiałam, wcale nie było jej winą. – No i widzisz, co narobiłaś? – rzuciłam do niej.

– Ja? No coś ty... – odparła. – Tato, nie przejmuj się aż tak bardzo!

– Arturo, proszę cię. Opanuj się, nie psuj nam wieczoru. Umówiliśmy się, że nie będziemy robili scen, a tym bardziej nie przy dziewczynkach.

Co tu się dzieje?! Niczego nie rozumiałam. Jedno, co było dla mnie jasne, to że nie miało to nic wspólnego ze ślubem mojej siostry.

– Cieszę się twoim szczęściem, córeczko. Ślub zawsze jest powodem do radości – wybełkotał ojciec, szlochając i pociągając nosem. – Choćby potem nie wszystko układało się tak, jak to sobie człowiek wyobrażał... Człowieka czeka niejedno zaskoczenie...

– Arturo, uspokój się. – Matka usiłowała sama się opanować i przy okazji zamknąć usta ojcu. – To nie miejsce i nie czas na to.

– Czy moglibyście wyjaśnić, co się tutaj dzieje? – spytałam. Traciłam cierpliwość i nerwy. Mało brakowało, a wyszłabym z siebie, bo czułam się jak na tureckim kazaniu. Niczego nie rozumiałam. Do tej pory w naszym domu nikt nie przejawiał skłonności do melodramatu, przynajmniej nie moi rodzice, a tu wszystko wskazywało na to, że zmierzamy w tym kierunku.

– Widzisz, przestraszyłeś Sarę. – Mama podjęła próbę uspokojenia mnie. – Nie przejmuj się, to nic takiego. Sprawy między twoim ojcem a mną.

– Nic takiego? Nic takiego?! – wykrzyczał to retoryczne pytanie ojciec. Był wyraźnie oburzony.

– Arturo... – Matka bezskutecznie usiłowała go powstrzymać, ale jej działania przypominały próby zatkania pękniętej tamy za pomocą korka od szampana.

Ojciec był czerwony na twarzy i cały mokry od łez.

– To, że od dwóch lat sypiasz z innym facetem, to dla ciebie „nic takiego”? – wypalił.

Muszę przyznać, że mnie to rąbnęło. Musiałam sobie raz i drugi powtórzyć to, co właśnie padło z ust ojca. Kto sypiał od dwóch lat z jakimś obcym typem? Moja matka? Moja mama? Moja mama, ta tradycyjna pani domu – sama siebie uważała za kobietę nowoczesną – jak z ubiegłego wieku? Moja mama, kobieta pięćdziesięciosiedmioletnia, która używała tego samego kremu nawilżającego od czasów mojego dzieciństwa? Niech jej będzie, ale to trzeba chyba zawrzeć pakt z diabłem, żeby w jej wieku mieć tak gładką cerę. To z kremem oczywiście niczego nie dowodzi, ale zawsze wyobrażałam sobie, że niewierne żony wydają fortunę na wszelkiego typu mikstury przeciwzmarszczkowe, serum, kolagen, botoks, i są podobne raczej do... sama nie wiem... w każdym razie są kobietami innego typu. Moja matka nie mogła chodzić do łóżka z innym facetem. Nie ona, to do niej nie pasowało. Przecież mama kocha tatę. A on kocha ją. Przecież są dobrym małżeństwem, przecież prawie nigdy się nie kłóca, przecież... Nie, to nie może być prawda, a ponadto nie teraz, nie dzisiaj. Czy nie wystarczy, że moja smarkata siostra oznajmiła, że chce wyjść za mąż? Musimy jeszcze dowiadywać się o czymś takim?

Zamarłyśmy, nie wiedząc, jak zareagować. Nawet Lu, która zawsze ma na wszystko odpowiedź, milczała jak zakłeta.

– Musiałeś się wygadać? – Matka robiła ojcu wyrzuty. – Nie mogłeś się powstrzymać? Chciałeś się wydać interesujący? Zepsułeś swojej córce dzień, w którym oznajmiła nam wielką nowinę o swoim zamążpójściu.

– Nawet ona sama w to nie wierzy – odparł ojciec.

– A właśnie, że tak. A właśnie, że wychodzę za mąż!

– Wychodzi za mąż. Widzisz? A ty nic, tylko wszystko wszystkim psujesz.

– Tylko tego brakowało, żebyś na mnie zrzucała winę! Jakbym to ja przyprawiał ci rogi!

A ja, słuchaj mnie uważnie, ja nigdy, przenigdy, i to nie z braku okazji, zapewniam, nigdy nawet nie popatrzyłem na inną kobietę.

Wskazałam palcem butelki z alkoholem i powiedziałam do Lu:

– Chyba jednak wypiję ten dzin z tonikiem. Ale bez toniku, zamiast tego dodaj wódki.

Kiwnęła głową i zaczęła szykować mi szklaneczkę. Widać było po niej, że zaczyna dostrzegać dobre strony tej sytuacji, bo nagle jej ślub stał się czymś całkiem rozsądnym w porównaniu z tym, co tu się działo. Sprytnie postanowiła trochę podkręcić rodziców.

– Znamy tego faceta? – zapytała.

– Naprawdę chcesz to wiedzieć, Lu? – powiedziałam do niej, pociągając łyk straszliwej mieszanki, którą dla mnie sporządziła.

– Powiedz! Powiedz jej, kto to! – nalegał ojciec.

– Arturo, mimo twoich starań, nie mam zamiaru robić sceny w obecności twoich córek. Jeśli uważasz, że należy się z nimi dzielić czymś, co dotyczy jedynie nas, to nie mój problem.

– Dotyczy jedynie nas? Rujnujesz całą naszą rodzinę i mówisz, że to dotyczy tylko nas? – zaperzył się ojciec.

– Arturo, na Boga! Dziewczynki już dawno przestały być dziećmi, przecież jedna nawet wychodzi za mąż! Młodsza! A druga prowadzi własne życie we własnym domu.

– W domu babci – sprecyzowała ta łajdaczka, moja siostra.

– Za mąż?! Kto wychodzi za mąż?! Ona?! – rycał ojciec, wskazując na Lu. – Po moim trupie weźmie ślub w wieku dwudziestu lat! – Rąbnał pięścią w stół. – I liczę na ciebie, Berto, że mnie w tym poprzesez, chyba że już całkiem zdurniałaś.

– Zapewniam cię, że nie zdurniałam.

– To powiedz swojej córce, że ma zapomnieć o ślubie!

To naprawdę zaskoczyło moją siostrę. Nie wiedzieć czemu wszyscy zwrócili się przeciwko niej.

– Przecież sam jeszcze przed chwilą mi gratulowałeś i mówiłeś, że ślub jest powodem do radości!

– Nie widzisz, że sam już nie wiem, co wygaduję? Całkiem wyszedłem z siebie

– powiedział ojciec.

– No dobrze, widzę, że to nie najlepszy moment, żeby omawiać mój ślub – rzuciła Lu, usiłując wykonać manewr, który jednak jej nie wyszedł.

– Nie ma ślubu, Lu. Nie ma żadnego ślubu – powiedziała matka.

– No i dobrze – stwierdził z ulgą ojciec. – Dobrze, że wrócił ci rozsądek. Lucia, zapomnij o ślubie, dobrze ci radzę.

Ojciec jest jedyną osobą, która zawsze nazywała Lu jej pełnym imieniem. Skrót Lu wydawał mu się głupi jak pół paczki gwoździ. Zawsze żałował, że nadał jej to imię. „Gdybym wiedział, że zostawisz tylko jedną sylabę, dałbym ci na imię Barbara. Bar brzmi lepiej niż Lu i przynajmniej coś znaczy”.

Lu postanowiła zrobić użytek ze swego złego charakteru.

– Jak będę chciała, to wyjdę za mąż. I tak się składa, że chcę. A poza tym już od dwóch lat jestem pełnoletnia.

– Od roku i dziewięciu miesięcy – uściślił ojciec.

– A poza tym mieszkasz z nami, a dopóki mieszkasz z nami, jesteś tak małoletnia jak wtedy, kiedy miałaś siedemnaście lat – stwierdziła matka.

– Niewiernej matce nie przystoi wygadywanie tego typu banałów – rzuciła Lu ze złością.

– Widzisz? Widzisz, do czego doprowadziłaś? Podkopałaś swój autorytet moralny

– powiedział ojciec. – A teraz twoja córka z twojej winy zejdzie na złą drogę.

– Ależ ty lubisz przesadzać. Twoja córka nie zejdzie na złą drogę, bo nie będzie żadnego ślubu.

– I w koło Macieju. Przecież wam mówię i powtarzam, że będzie! – stwierdziła kategorycznie Lu.

– Lu, posłuchaj uważnie. Jeśli chcesz nadal mieszkać pod tym dachem, zapomnij o ślubie.

– Pod jakim dachem? Co za dach, jak ciągle przesiadujemy w ogrodzie?! Zupełnie jak jacyś Cyganie, do cholery!

– Mówię poważnie. Nie wychodzisz za mąż i basta!

– Ale... Dlaczego?

– Bo małżeństwo to farsa. Każde. Nie widzisz tego!? – krzyknął ojciec, tracąc do reszty fason, o ile w ogóle można było to nazwać fasonem. Podniósł się od stołu. – Nie jestem głodny. Jednak złapał w przelocie pół bagietki i pęto kiełbasy, po czym wszedł do domu.

Zapadła cisza. Popatrzyłyśmy na siebie. Trzy kobiety skąpane w blasku księżycy oraz świetle trzech latarenek i czterech świeczek, które matka zapaliła do kolacji. Że też jej się chciało! Najpierw uprawia seks pozamałżeński, a potem zapala *tealights*, żeby rodzinna kolacja wyglądała elegancko. Całkowity brak logiki u niewiernej matki, którą zaczęłyśmy odkrywać, a przynajmniej ja zaczęłam. Patrzyłam na nią, jakbym ją zobaczyła po raz pierwszy w życiu. I choć wstydzę się to przyznać, muszę stwierdzić, że był to pierwszy raz w moim trzydziestoletnim już życiu, gdy patrzyłam na nią i nie widziałam mojej mamy, ale kobietę dobrze po pięćdziesiątce, która posiada życie seksualne i nie prowadzi go z moim ojcem, tylko z jakimś nieznanym mi panem. Dziwne, bardzo dziwne. I chociaż takie przypadki nigdy cię nie

dziwią, jeśli dotyczą innych kobiet: prezenterek telewizyjnych, bizneswomen lub matek twoich przyjaciółek, to gdy chodzi o twoją matkę, efekt jest taki, jakby świat poruszył się w posadach. Nie jakoś brutalnie, raczej dyskretnie. Gdyby świat składał się z kolorowych klocków i nagle dwa z nich ktoś zamieniłyby miejscami, efekt przypominałby to, co było przedtem, ale jednak byłaby różnica. Nie wiesz, na czym polega zmiana, ale czujesz, że coś jest inaczej niż zwykle. Jakby to intuicja podpowiadała ci, że tego żółtego czy też niebieskiego klocka nie było w tym miejscu, co wywołuje w tobie nieokreślony niepokój.

– Z kim ty się zadajesz, mamó? – spytała Lu.

– To nie twoja sprawa.

– A jednak moje zamążpójście uważasz za swoją sprawę!

– Boli mnie głowa, Lu! Nie zmuszaj mnie, żebym ci to powtórzyła. Dopóki tu mieszkasz...

– Powtórz to jeszcze raz, a spakuję walizki.

– No to zrób to i wynoś się do tego twojego narzeczonego. Ciekawe, ile czasu z tobą wytrzyma. Sama zobaczysz, jak szybko mu się odechce żeniaczki.

Lu bez namysłu weszła do domu. Zostałyśmy we dwie, moja matka i ja. W ogrodzie, pod gołym niebem. Przy zastawionym stole. Bez najmniejszej ochoty na powrót do konwersacji. Ja sama nie wiedziałam, czy chcę, czy też nie chcę wiedzieć więcej. A matka oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru mi się zwierzać. Co dobrze rozumiałam. Z własnego doświadczenia wiedziałam, ile kosztuje mnie szczerłość wobec rodziny przy omawianiu moich związków uczuciowych, a przecież były one zawsze „dostępne dla publiczności w każdym wieku”: nie chodziłam z chłopcami, których widok mógłby przestraszyć moich rodziców, nie byłam rozwiązła, nie zaszłam w ciążę jako nastolatka, nie wpadłam w nałóg alkoholowy pod wpływem partnera... Co więcej, cała rodzina uwielbiała Roberta. „Jak mogliby go nie uwielbiać – mówiła moja siostra – skoro jest takim dobrym chłopczykiem, układnym i mięciutkim, jakby się kąpał w płynie do zmiękczenia tkanin, a na dodatek jest architektem jak tatuś”. Zatem skoro omawianie moich spraw z rodzicami było dla mnie takie trudne, skoro czułam się z tym niezręcznie, mimo że w moim związku nie było niczego niezwykłego, to tym mniej miałam ochoty na wyobrażanie sobie matki w roli pani Bovary i wołałam, żeby o tym nie opowiadała swojej nudnej i monogamicznej córce.

– Co robimy? Kończymy kolację czy upijamy się w sztok? – spytałam.

– Sądzę, że będzie lepiej, jeśli sobie pójdiesz. Mówiłaś, że masz dużo pracy?

– Tak, a ponadto Roberto niedługo wraca i chcę sprzątnąć dom, by poświęcić mu cały ten czas. Zostanie przez tydzień.

– To świetnie.

Poszłam więc sobie i sama nie wiem, czy chciałam, czy też nie wypytać matkę dlaczego, i jak, i kiedy, i kim on jest, i... Mamó, czy to się dzieje naprawdę?

Szkopuł w tym, że Lu nie uciekła z domu do narzeczonego. Wprowadziła się do mnie. Zaczepiła mnie, w chwili gdy wsiadałam do swego wspaniałego fiata 500 w kolorze perłowym. Odkupiłam go od Inmy, ponieważ moja przyjaciółka po czterech miesiącach od zakupu doszła do wniosku, że jej osobowość nie pasuje do tego autka, małego i niepoważnego, że lepszy byłby dla niej raczej SUV i że się dziwi, iż nikt jej nie powstrzymał od popełnienia błędu i nie wyperswadował tego pomysłu. Ujrzałam w tym swoją życiową szansę, bo od zawsze byłam zakochana w tym modelu Fiata. Inma odstąpiła mi go za pół ceny, bo jest szalona i impulsywna, a zarazem hojna i nie przywiązuje wagi do pieniędzy. Pomimo mojej zapaści finansowej nie mogłam nie wykorzystać okazji i mam teraz samochód.

– Mogę się u ciebie zatrzymać? – spytała Lu.

Spojrzałam na nią z przerażeniem. Taszczyła ogromną walizę. Zbyt wielką. Jej rozmiar wskazywał, że myśli o zatrzymaniu się u mnie na wiele dni, może nawet tygodni...

– A twój narzeczony?

– Mój narzeczony mieszka w domu przyjaciół, więc nie mogę się tam zjawić z walizką.

– Ale Lu, w moim domu...

– W domu babci, chciałaś powiedzieć.

– Niech ci będzie. Otóż Roberto wkrótce przyjeżdża i chcemy być sami, bo przeżywamy nie najlepsze chwile. Musimy naprawić nasz związek, co będzie mnie kosztować wiele wysiłku i chcę, żeby wszystko wyszło perfekcyjnie, i żeby...

– Wyrzucisz siostrę na ulicę?

– Lu...

– Dzięki – powiedziała, uznając, że się zgodziłam. Rzuciła mi się na szyję, pocałowała głośno w policzek, a potem jakimś cudem wepchnęła walizę na tylne siedzenie. Usłyszałam jakieś trzaski, ale wolałam nie sprawdzać co to. – Dasz mi poprowadzić? – spytała, ale zamiast wsiąść za kierownicę, strzeliła sobie komórką *selfie* z samochodem w tle.

– Wrzucę to na Instagram – stwierdziła.

Lu była całkowicie opętana zamieszczaniem zdjęć na Instagramie. Każdego dnia lądowało ich tam od ośmiu do dziesięciu. Mówiłam jej, że ją śledzę, że oglądam zdjęcia na jej koncie, ale w rzeczywistości zaglądałam tam bardzo rzadko. Nie byłam w stanie pojąć jej zapału do unieśmiertelniania każdej chwili swego życia i dzielenia się tym ze wszystkimi chętnymi. Poniewczasie pożałowałam, że nie przyłożyłam się bardziej do śledzenia jej na Instagramie, bo zaoszczędziłabym sobie paru niespodzianek.

– Chodź, zrobimy sobie jedną razem.

– Nie, Lu, zostaw to. Jedziemy.

Lu wsiadła do samochodu, włożyła kluczyk do stacyjki i odpaliła silnik.

Przeklinałam swój los. Moja siostra u mnie w domu. Żegnajcie chwile intymności z Robertem. Nie, nie mogę na to pozwolić! Muszę doprowadzić do tego, żeby się wyprowadziła przed upływem pięciu dni. Wiedziałam, że to będzie bardzo trudne, być może niemożliwe. Samochód ruszył. Lu zapytała:

– Masz colacao?

– Tak.

– A dżin?

– Nie wiem.

– Jak możesz nie wiedzieć, czy masz dżin?

– Sprawdzimy, jak przyjedziemy. Jak nie, to obok jest nocny sklep.

– Okropność to z mamą, nie? Nie mogę w to uwierzyć.

– A po co ojciec miałby to sobie wymyślać?

– Nie wiem... Słuchaj, a dlaczego z nią nie zostałeś? Może cię potrzebować.

– Sama mogłaś z nią zostać, Lu. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Bo mnie wyrzuciła z domu.

– W sumie masz rację.

– I co teraz będzie? Po której stronie staniemy? Bo oczywiście będą dwie strony. To ona była niewierna, więc powinniśmy wspierać ojca. Ale obawiam się, że mnie się to nie uda. Czuję to po sobie. Powiem więcej, po tym wszystkim jakoś mama lepiej mi pasuje i w ogóle.

– Lu, co ty mówisz!

– Przyznaj, że ty też się tego po niej nie spodziewałaś. Że ma cipkę i robi z niej użytek!

– Lu!

- Rozwiodą się?
- Skąd mogę wiedzieć.

Lu skoncentrowała się na prowadzeniu auta. Włączyła długie światła i zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Zrobiła prawo jazdy zaledwie półtora roku temu, zaraz po osiemnastce, ale jeździła tak, jakby za kierownicą spędziła pół życia.

- Ależ ten samochód ma dziadowskie światła! Te dwie szklaneczki dżinu też nie pomagają.
- Sama chciałaś prowadzić.
- To mnie relaksuje. Dokąd jedziemy? Do domu czy wpadniemy gdzieś na drinka? Na Paseo de la Castellana jest zabawa.
- Do domu. Nie mam ochoty na nic. I muszę rano wstać, żeby dokończyć skrzydła. Tam skręć.
- Dla mnie to fatalnie, że się rozwiodą. Wiesz, ślub i w ogóle. Będę musiała ich usadzić przy dwóch osobnych stołach na weselu?

- Właśnie to cię najbardziej martwi w związku z rozstaniem naszych rodziców?
- Nie. Sama zobaczysz, że tato i mama jeszcze nie raz dadzą nam popalić.

Co do tego z pewnością się nie myliła. Wydawałoby się, że rozwód rodziców najgorzej znoszą małe dzieci lub nastolatki, że dorosłe dzieci powinny przejść nad tym do porządku dziennego, ale potem nadchodzi rzeczywistość i obraca w ruinę twoje wyobrażenia.

Weszliśmy do sieni obładowane torbami z zakupami. Ponieważ właściwie nie zjadliśmy kolacji, byliśmy głodne jak wilki. Musiałam powstrzymać Lu, żeby nie wykupiła wszystkich torebek z chipsami, jakie były w sklepie. „Wiedziałaś, że istnieją frytki o smaku majonezu? To jasne, że musimy je wypróbować”. Wzięła trzy paczki tego rarytasu, na wypadek gdyby okazały się bardzo dobre, a jedna nam nie wystarczyła.

I kogóż to zastałyśmy na schodach? Na pierwszym stopniu siedział nasz ojciec we własnej osobie, przygnębiony, skwaszony, ze skrzywioną twarzą, z podpuchniętymi od płaczu oczami. Wyglądał, jakby się postarzał o dziesięć lat. Miał ze sobą torbę podróżną.

- Tato! Co ty tu robisz?
- Zmieniłaś zamek? – spytał.
- Nie, ale czasem się zacina.
- Jak to się stało, że tak szybko przyjechałeś? – spytała Lu. – A może się teleportowałeś?
- Popatrzyła na mnie. – Powinniśmy się wstydić, że starszy pan dał gazu i nas wyprzedził.
- Kogo nazywasz starszym panem?
- Eee, nikogo.
- Chcesz wejść? – spytałam.
- Jak z pewnością rozumiesz, nie mogę spać w domu po tym, co się zdarzyło.
- Będziesz spał tu, z nami? – zdziwiła się Lu.
- Jest tu wystarczająco dużo pomieszczeń, czyż nie?
- Tak, ale są w złym stanie – powiedziałam, usiłując go zniechęcić.
- Nie masz chyba zamiaru odesłać mnie do hotelu? To mój dom.
- Nie, oczywiście, że nie... A do kiedy masz zamiar tu zostać?
- Czy muszę ci powtarzać, że to mój dom, a ty jesteś tu jedynie lokatorką?

To oczywiście zamknęło mi usta. Dałam jednemu i drugiej czystą pościel. Jedyne dwa komplety pościeli, które posiadałam, oprócz tego, którego właśnie sama używałam. I znowu przeklełam swój los. Moja dwudziestoletnia siostra w przeddzień ślubu i mój sześćdziesięcioletni ojciec myślący o rozwodzie, oboje w moim domu. Przepraszam, w domu mojej babki, który jest domem mojego ojca. W związku z czym nie miałam innego wyjścia, jak tylko ich do siebie

przyjąć. I teraz będą mi tu zalegali, akurat wtedy, gdy sama najbardziej potrzebuję własnego mieszkania. Mieli calusieńki rok, żeby się tu zagnieździć, wszystkie te miesiące, które spędziłam w najskrajniejszej samotności, ale nie, musieli wpaść na ten genialny pomysł właśnie teraz. Niech to wszyscy diabli! Nie można chyba mieć gorszego pecha.

– Ty też będziesz tu spała? – spytał ojciec Lu, gdy się zorientował, że jej również wręczyłam komplet pościeli.

– Mama wyrzuciła mnie z domu.

– A więc zostawiliśmy ją w Aravace zupełnie samą?

– W domu są trzy systemy alarmowe, osiedle jest chronione przez strażników i płoty, co godzinę teren objeżdża wóz patrolowy firmy ochroniarskiej. Sądzę, że jest bezpieczna

– stwierdziłam.

Okazało się, że nie to martwiło ojca.

– Sama. Zostawiliśmy ją samą. Z pewnością już ściągnęła swojego kochanka, żeby wraz z nim cieszyć się basenem. Na pewno właśnie teraz tam figlują. W moim basenie!

– Tato, o tej porze roku woda musi być lodowata, więc przestań puszczać wodze wyobraźni.

– We wrześniu założyliśmy podgrzewanie. Gdybyś częściej bywała w domu, tobyś o tym wiedziała! – krzyknął ojciec zdenerwowany. Wydawało się, że zaraz dostanie ataku hysterii.

– Właśnie, a kim jest ten facet? – zapytała moja siostra, jak zwykle bez najmniejszego wycucia sytuacji.

Ojciec zmierzył ją od góry do dołu wzrokiem pełnym wyrzutu, nadął się poczuciem urażonej godności i wydawało się, że lada moment zaintonuje jakieś żalosne bolero à la Chavela Vargas.

– O to lepiej zapytaj niewierną – odparł, bez dalszych ceregieli wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. – Dobranoc – powiedział ze środka. – Ależ tu okropnie zimno! A o ślubie zapomnij!

Obudziłam się o czwartej nad ranem. Znowu mi się przyśniło, że musiałam lecieć do Los Angeles, nie wiem dlaczego właśnie tam, ale tak było. Wiedziałam, że się spóźnię na samolot, jak zawsze w tym koszmarze, i zajmowałam się dokładnym pakowaniem walizki. Moje ulubione dzinsy, cztery pary skarpetek, dwie pary płóciennych spodni, kilka swetrów, dwie koszule, sukienka w czerwone kwiaty, rękawiczki na wypadek chłodu, dwa szale, jeden kapelusz z mojej kolekcji... Obudziłam się całkiem wyczerpana pakowaniem tej upiornej walizki, która nigdy się nie zapełniała. Usłyszałam jakieś głosy w kuchni. Śmiechy. Włożyłam szlafrok na piżamę i wyszłam z sypialni. Czyżby ojciec i siostra wybrali tę porę doby na zwierzenia i chichoty? Biedaczek miał tak rozregulowaną psychikę, że płakał i śmiał się na przemian? Ach, mój biedny tato...

Wchodząc do kuchni, ujrzałam moją siostrę. Miała na sobie jedynie majtki, a jej piersi, krągłe, doskonałe, ani za duże, ani za małe, wyzywająco sprzeciwiały się wszystkim prawom grawitacji. Tak, zgadza się, prawo grawitacji jest tylko jedno, ale cycki mojej siostry były zbyt wyzywające, jak na tylko jedno prawo. Obok niej stał odwrócony tyłem chłopak, widziałam jego szerokie ramiona i muskularne ręce. Wysoki, o sylwetce atlety. Przewidywałam, że okaże się zabójczo przystojny – takie ramiona mógł mieć jedynie prawdziwy przystojniak – zwłaszcza że był z moją siostrą. – Saro, dobrze, że wstałaś, mogę ci przedstawić mojego narzeczonego.

Chłopak odwrócił się z uśmiechem na ustach, jednak na mój widok wyraz jego twarzy się zmienił, a szklanka z mlekiem, którą trzymał w dłoni, wolno wyslizgnęła się z jego palców i rozpekła się na siedem kawałków – wiem dobrze, bo potem je policzyłam – uderzając o ziemię.

– Aarón, Sara. Sara, Aarón.

Przeklęty Aarón

Miałam ich przed sobą. Moją siostrę w samych majtkach i Aaróna, moją nastoletnią obsesję, moją pierwszą miłość, w slipkach. To za niego Lu ma wyjść za mąż! Oboje niemal nadzy, stoją w mojej kuchni nad stłuczoną szklanką i mlekiem rozlanym na podłodze. On, trzydziestoletni, i ona, niespełna dwudziestoletnia. Lu, ze swymi okrągłymi, doskonałymi piersiami wyglądającymi jak poprawione, choć są całkowicie naturalne, Aarón z kaloryferem na brzuchu i trzydniowym zarostem. Te same usta, krótsze włosy bez grzywki, te same oczy, lekko teraz podkrążone, ta sama twarz o nieco wyostrzonych rysach: o ile wtedy był przystojny, o tyle teraz był nieodparcie atrakcyjny. Dwa tatuaże, których nie miał w wieku siedemnastu lat: gałązka bluszczu, która jak wąż wila się po lewym ramieniu i różyczka na piersi. Jakie brzydkie, pomyślałam. Był to instykt przetrwania, odruch samozachowawczy, próba zrzucenia z piedestału, na który wywindowałam go tamtej pamiętnej nocy przed trzynastoma laty. Ale nie podziałało: nawet gdyby tatuaże były wstrętne (a nie były), nie udałoby mi się ruszyć go z tego piedestału nawet o pół centymetra.

Aarón w mojej kuchni. Z moją siostrą. Obydwoje na wpół nadzy.

I mają się pobrać.

I mój ojciec, który wychrapuje swoje nieszczęście pięć metrów stąd.

I ja, która myślałam, że pakowanie upiornej walizki na podróż do Los Angeles jest najgorszym możliwym koszmarem.

– Ojej, wszystko wylałeś – poskarżyła się Lu, wpatrując się w podłogę. – I nie ma więcej mleka. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że nie masz mleka? Kupiliśmy najróżniejsze rzeczy, wszystko oprócz mleka. A przecież wiesz, jak lubię mleko. Bez mleka nie mogę usnąć. To przecież nie taka wielka fatyga mieć parę kartonów mleka w zapasie, nie? Tak mi się przynajmniej wydaje. Bo to chodzi o mleko, artykuł pierwszej potrzeby. Mleko.

– Myślę, że już cię zrozumiała, Lu – powiedział Aarón. To były pierwsze słowa, jakie usłyszałam z jego ust po trzynastu latach. – Jak się masz, Saro? – spytał, wbijając spojrzenie swoich kasztanowych oczu w moją twarz, zasną i zdziwioną, w moją paskudną piżamę, w mój szlafrok (jeszcze wstrętniejszy od piżamy), w moje rozczochrane włosy. Patrzył na najgorszą wersję mnie, jaką tylko byłam w stanie sobie wyobrazić. Instyktownie wciągnęłam brzuch, bo chociaż od prawie dwóch tygodni biegałam, żeby być w formie na przyjazd Roberta, efekty ćwiczeń nie były jeszcze widoczne. Stąd odruch, żeby ukryć brzuch, napinając mięśnie – raczej niezbyt skuteczny, musiałam z przykrością przyznać. Czułam się równie rozlana jak przed chwilą. Tyle biegania... No dobrze, pierwszego dnia osiem minut – więcej mi się nie udało – ale ostatniego już dziewiętnaście. I to wszystko na próżno. Ileż programów telewizyjnych w rodzaju *Czas na zmiany* lub *Jak dobrze wyglądać nago* mogłam była obejrzeć przez ten czas?

Aarón patrzył na mnie, czekając na odpowiedź. Ale ja milczałam. W moim umyśle rozbrzmiewało tylko jedno słowo: „mleko”. Moja siostra chyba mówiła coś o mleku. I to właśnie ona, niechęcący, mnie uratowała.

– Gdzie masz ścierkę? – zapytała.

– Ja to zrobię, nie przejmuj się – odpowiedziałam machinalnie. Potrzebowałam czasu,

żeby przetworzyć informację, żeby ją wchłonąć, zaakceptować, żeby zachować się jak osoba dorosła, która jest ponad tym wszystkim. Ponad własną przeszłością, ponad własną terażniejszością, ponad mlekiem rozlanym przez chłopaka w samych gatkach, który ma się ożenić z moją siostrą, a który mnie nie pocałował, wtedy gdy było to jedyne, na czym mi zależało. Przez chłopaka, który decydująco wpłynął na bieg mojego życia, do czego nie chciałam się przyznać nawet sama przed sobą i czego nikomu bym nie wyjawiała, nawet pod groźbą postawienia przed plutonem egzekucyjnym. I który tu był. W gatkach. Podczas gdy ja ścierałam rozlane mleko.

– Uważaj, nie skalecz się.

To właśnie powiedziałam, podczas gdy on się schylał, żeby podnieść kawałki szkła. Siedem kawałków szkła. Wtedy właśnie je policzyłam. Było ich siedem. To były moje pierwsze słowa skierowane do niego. „Uważaj, nie skalecz się”; „Uważaj, nie skalecz się”; „Uważaj, nie skalecz się”.

– Spokojnie. Gdzie masz śmieci?

– Tam – powiedziałam, wskazując palcem na niską szafkę stojącą obok pralki, którą kupiłam w Carrefourze, gdy stara pralka mojej babki odmówiła posłuszeństwa. Kosztowała trzysta dwanaście euro. Prawdziwa okazja. Bardzo dobrze prała. Nie wiem, czemu ludzie kupują drogie sprzęty AGD, skoro te tanie niekiedy tak świetnie działają. I nie wiem, czemu właśnie w tej chwili moje myśli podążyły w stronę pralki z Carrefoura.

Aarón otworzył drzwiczki szafki, którą pomalowałam na czerwono, jak zresztą wszystkie nadjeżdżone przez korniki drewniane meble w babcinej kuchni, w daremnej próbie unowocześnienia jej i uczynienia z niej mojej własnej kuchni. Teraz ten jaskrawy kolor wydał mi się absurdalny. Niemal tak samo jak to, że byłam ubrana w szlafrok i piżamę. Aarón znalazł kosz i wrzucił do niego okruchy szkła. Gdy się schylił, jego pośladki w nieskromny sposób uwidoczniły się pod tkaniną slipów. Odwróciłam wzrok. „Saro, bardzo cię proszę. Bardzo cię proszę. To narzeczony twojej siostry, co ty najlepszego wyprawiasz, wpatrując się w jego tyłek?”

– Bardzo byłaś przywiązana do tej szklanki? – zapytał.

Znowu zamilkłam. Jakże ciężko mi było zachowywać się jak osoba dojrzała.

– Przecież to była zwykła szklanka po nutelli – powiedziała moja siostra. – Jak mogła być do niej przywiązana?

– Nie wiem, ta szklanka mogła mieć swoją historię. W jednej chwili mogłem zniszczyć, nie mając takiego zamiaru, całe mnóstwo wspomnień.

– Hej, nie kombinuj, zostaw poezję dla swoich piosenek.

Piosenek. Nadal komponował piosenki.

– To była tylko szklanka po nutelli – powtórzyłam słowa siostry.

– Widzisz? Nie zniszczyłeś niczego ważnego.

Niczego ważnego. Złamał mi serce przed trzynastoma laty, wyzerował moje poczucie własnej wartości, obrócił w gruzy całą pewność siebie. Niczego ważnego. Niczego, czego nie byłabym w stanie odbudować dzięki ogromnym wysiłkom dokonywanym dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Niczego, czego nie udałoby mi się posklejać najsilniejszym klejem, jaki istnieje: czasem, pracą i wysiłkiem. I jestem tak dobrze posklejana, że ani ty, stojący w gaciach obok mojej siostry w samych majtkach, ty, który chcesz się ożenić z moją nastoletnią siostrą – to naprawdę trzeba nie mieć wstydu – ani ty, ani ona, ani ta przekłeta sytuacja, ani ty, ani ona, ani ta bitwa na poduszki, o której jeszcze czasami śnię, gdy mam gorączkę, ani ty, ani twój uśmiech, ani twoje mięśnie brzucha, ani tamto o kalwinizmie, ani sposób, w jaki wtedy zakradłeś się do internatu i zaśpiewałeś przed oburzonymi zakonnkami i rozpalonymi

uczennicami, ani ty – słuchaj mnie uważnie – ani ty, ani ten twój kalwinizm nie doprowadzicie do tego, żeby odpadły ode mnie te doskonale podklejane kawałki, które sprawiają, że stałam się tą dojrzałą psychicznie kobietą, którą widzisz przed sobą – nawet jeśli istotnie ubraną w koszmary szlafrok i piżamę – ponieważ ta dojrzała psychicznie kobieta wyrosła ponad swoje nastoletnie marzenia i szaleństwa. Wiedz o tym. Bo mam własne życie, bo mam wspaniałego narzeczonego – chwilowo w Paryżu – który od roku mnie nie posuwa, ale jest wspaniały, no tak, i mam też własny biznes, który jest do dupy, nie da się ukryć, do którego powstania się przyczyniłeś, to prawda, ale który jest mój, to mój biznes i dam radę go rozwinąć, chociaż chwilowo podupadł, bo mam doskonały sposób, żeby go pchnąć do przodu, i zrobię to, zobaczysz. I mam w nosie, że stoisz tutaj niemal nagi, taki przystojny, takie ciacho, taki pociągający, jest mi wszystko jedno, słyszysz, jest mi wszystko jedno, że chcesz się ożenić z moją nastoletnią piękną siostrą – zawsze ci się takie właśnie podobały, uwodzicieliu za dychę, chałowy grajku, rockmanie najgorszego sortu – mówię ci, że mam to w nosie i że jest mi wszystko jedno, i że nie dotyka mnie to w najmniejszym stopniu. Nic a nic. I natychmiast wracam do łóżka, i jeśli będzie trzeba, łyknę trzy pastylki valium; szkoda że nie mam valium – człowiek nie pomyśli, że będzie kiedyś potrzebował valium, i potem, oczywiście, potrzebuje – ale z pewnością mam coś na uspokojenie, i wezmę cztery kapsułki z melisą (nie sądzę, żeby ktokolwiek umarł z przedawkowania melisy), a jeśli po czterech kapsułkach nadal nie usnę, zejdem do pracowni i wezmę się do pracy. Bo mam dużo pracy do zrobienia i nie pozwolę, żeby to wszystko mnie zawróciło z wytyczonej drogi życia. Ponadto praca zawsze mi pomagała i praca jest zawsze pod ręką, żebym mogła zapomnieć, że..., że w głębi duszy, o zgrozo, jestem kalwinistką! Przeklęty Aarón!

– Saro, woda cieknie ze ścierki. Zawiesiłaś się.

– Co? Aha, tak... Tak.

– Zawsze taka sama – skwitował Aarón.

Dopiero w tym momencie moja siostra spojrzała na niego i zaintrygowana spytała:

– Taka sama? Jak to, taka sama? Taka sama jak kto? Jak ona sama? Znasz moją siostrę?

– Spotkaliśmy się w liceum, podczas pewnej bitwy na poduszki, prawda?

– Pieprzysz! – wykrzyknęła moja siostra. Po czym, zdając sobie sprawę z jawnej oczywistości, dodała: – To prawda, przecież jesteś w jej wieku. To straszne!

– Otóż to, sama widzisz. Wychodzisz za mąż za starca – powiedziałam i dodałam, na użytek Aaróna: – Od jakichś pięciu lat siostra nazywa mnie staruszką.

– Nie ma żadnego porównania. – Lu machnęła ręką w moją stronę, a potem wskazała palcem Aaróna, jasno dając tę gestykulacją do zrozumienia, że to oczywiste, iż jestem kobietą skończoną, zużytą przez trzydzieści lat życia, podczas gdy po nim te same trzydzieści lat spłynęło jak woda po kaczcze, pozostawiając niewielkie oznaki, które czyniły go jeszcze atrakcyjniejszym. I że jest w pełnym rozkwicie, i ma pełne prawo ożenić się z taką smarkulą jak ona.

– Dzięki, Lu. Jesteś przemiała – powiedziałam z największą ironią, do jakiej byłam zdolna. Usiłując dać jej do myślenia, co mi się zresztą nie powiodło.

– Nie zwracaj na nią uwagi. Nic się nie zmieniłaś – powiedział Aarón.

– Bez szlafroka i piżamy wyglądam lepiej.

– Nie masz chyba zamiaru rozebrać się przed moim narzeczoną? – spytała moja siostra podenerwowanym tonem.

– Dlaczegoż bym miała? – odparłam.

– No, żeby udowodnić, że bez szlafroka i piżamy wyglądasz lepiej.

– Nie wiem, co ty za połączenia neuronów masz w mózgu, ale pozostawiają wiele do

życzenia...

- Bo może czujesz się zanadto ubrana między nami.
- Spokojnie, Lu, nie rozbiorę się. Zapomnij.
- Tym lepiej.
- Za to my moglibyśmy się ubrać – zaproponował Aarón.
- Wszystko jedno – odparłam. – Wracam do łóżka.
- Teraz zaraz? Tyle lat się nie widzieliśmy... Moglibyśmy się czegoś napić, żeby uczcić

ten zbieg okoliczności.

Uczcić? Co tu było do uczczenia? I tak dobrze, że udało mi się zachować godność osobistą podczas tych strasznych kilku minut. Miałabym jeszcze przedłużać swoje męki? I to pijąc alkohol? Nie wiadomo, co mogłoby wylegnąć się w mojej głowie i, co gorsza, wydostać się z ust po wypiciu kieliszka alkoholu. Lepiej nie kusić losu.

- Nie ma dżinu. Przecież ci mówiłam, Saro, że powinniśmy kupić.
- Ale mamy piwo, przyniosłem mnóstwo piwa – powiedział Aarón. Spojrzał na Lu i zapytał: – Mówiłaś, że można wejść na dach, prawda?
- Z tarasu na tyłach. Tak.
- To chodźmy. Wezmę kilka puszek.
- Ja idę spać – rzuciłam.
- Nic z tego – stwierdził Aarón i złapał mnie za ramię. – Prowadź mnie na ten taras.
- Kiedy naprawdę jestem śpiąca.
- Nie marudź, Saro – włączyła się moja siostra. – Piwo mu dobrze robi, bo jak go nie dostanie, to się robi męczący. I z pewnością macie sobie mnóstwo do powiedzenia, a ja chcę się dowiedzieć, jaki był Aarón jako nastolatek.

- Nie znaliśmy się aż tak dobrze – powiedziałam.
- Pamiętasz Santięgo? – zapytał Aarón.
- Santi?
- Tak, ten od koncertu. Wtedy, gdy zakradliśmy się do internatu u zakonnicy.
- Że zakradliście się gdzie? – zdziwiła się moja siostra.
- Ach, tak. Santi. Co się z nim dzieje?
- Chodźmy, wypijemy po piwie i opowiem ci o nim.

Choć naburmuszona, dałam się jednak omotać. Wyszliśmy na mały taras, stamtąd po schodkach na drugi taras i znowu po schodkach na płaską część dachu. Od wielu lat tu nie przychodziłam. Aarón rozdał puszki z piwem i usiedliśmy. Było ciepło i przyjemnie. Któż mógłby przewidzieć, że po tylu latach znajdę się razem z nim na dachu? I z moją siostrą, niestety.

- Fajny stąd widok. To wieżowiec La Telefónica?
- Istotnie. A tam jest Callao. No i co z tym Santim?
- Ożenił się z Martą, swoją ówczesną narzeczoną. A nasz koncert wydał owoce.
- Tak?
- Mają dwie córki. Jestem ojcem chrzestnym starszej.

Przyjrzałam mu się, próbując wyobrazić go sobie jako odpowiedzialnego dorosłego mężczyznę, chrzestnego małej dziewczynki. Dziwne, ale ten obraz pasował do tych, które już znałam – rockmana i wiecznego chłopca.

- Mieszkają w Londynie. Czasami ich odwiedzam.
- To znaczy, że utrzymałeś z Santim kontakt po swoim zniknięciu... Wiesz, że krążyły tysiące plotek o tym, dokąd i dlaczego wyjechałeś?

Cień smutku przemknął po twarzy Aaróna, ale błyskawicznie zniknął.

- Żałuję, że nie mogłem pożegnać się z przyjaciółmi, ale cóż... To było tak dawno.

– Spojrzał w niebo. – Kto zgadnie, co to za gwiazda? – Wskazał palcem na niewielką, jasno świecącą tarczę. Z pewnością zrobił to, żeby zmienić temat.

– To planeta, nie gwiazda, bo nie migocze – powiedziałam.

– Tak, to Mars. Niezła jesteś. A tak w ogóle, to co u ciebie słychać?

– W porządku. Dobrze mi się wiedzie, teraz na przykład popijam sobie piwo.

Uśmiechnął się i poderwał na nogi jednym ruchem.

– A co można zobaczyć z drugiej strony? – spytał, wskazując na stromy dach za kominem. – Widać plac Dos de Mayo?

– Lepiej tam nie wchodzić – odparłam. – To niebezpieczne.

Ale Aarón zignorował ostrzeżenie i zaczął wspinać się w górę. Jedna z dachówek się oderwała i stracił równowagę, ale odzyskał ją i nie spadł.

– Uważaj! – krzyknęła Lu.

Aarón dotarł do kalenicy i wyjrzał na drugą stronę.

– Widać, widać plac! Fajnie by było zrobić tu koncert. Nie wchodzicie?

Lu ruszyła w jego stronę.

– Lu, nie rób tego!

– Trata tata ta... – odpowiedziała drwiąco. Dotarła na górę, wspólnie z Aarómem przeleźli przez kalenicę i straciłam ich z oczu. Z pewnością wykorzystają to, że ich nie widzę, i będą się całować. Wolałam o tym nie myśleć. Po chwili usłyszałam rumor dachówek i krzyki:

– Ratunku!

Znad szczytu dachu ukazała się głowa Aaróna; miał przejętą minę.

– Chodź, szybko! Musisz mi pomóc! Sam sobie nie poradzę!

Jak tylko mogłam najszybciej, wlażłam na górę. „Błagam, niech nic się nie stanie mojej siostrze, błagam!”.

Dyszząc, znalazłam się błyskawicznie tuż przy Aarónie i wtedy ujrzałam, że mojej siostrze nic nie jest, stoi jakby nigdy nic i się śmieje. Oboje śmieją się ze mnie.

– Jesteś dobrą siostrą, Saro – powiedział Aarón.

– A wy jesteście parą idiotów. Ile macie lat? Piętnaście? Tobie, Lu, jeszcze ujdzie, ale ty... Ty... – Dźgnęłam go palcem.

Aarón zrobił przeproszającą minę, którą z pewnością uznał za uroczą. Ale na mnie nie zrobiła wrażenia.

– Zostańcie tu sobie. Kretyni. – Ruszyłam w dół, mamrocząc pod nosem: – To już naprawdę trzeba być całkiem porąbanym...

– Saro, nie gniewaj się... – poprosił Aarón.

– Saro, przepraszam. To był mój pomysł. To było głupie z mojej strony – prosiła o wybaczenie Lu.

Nie odwróciłam głowy, zeskoczyłam na taras. Niech sobie idą śmiać się z kogoś innego.

Weszłam do domu i zamknęłam się w sypialni. Przeszukałam wszystko w poszukiwaniu kapsułek z melisą, ale ich nie znalazłam. Nawet nie próbowałam zasnąć. Wiedziałam, że to niemożliwe.

Po dziesięciu minutach usłyszałam trzeszczenie łóżka i pojękiwania Lu. Dogadzała sobie z Aarómem.

Ja tu cierpię na bezsenność, a on przelatuje moją siostrę, po tym jak się ze mnie obydwójce naigrawali. Nic dodać, nic ująć – a niech to szlag!

Pomyślałam, że mogłabym obudzić ojca, żeby ich wyrzucił z mojego domu. Ze swojego domu. Z pewnością tak właśnie by zrobił. Nie pozwoliłby, żeby jego małą dziewczynkę wykorzystywał trzydziestoletni lowelas, który jej zamącił w głowie, który ją oszukał, mówiąc, że

chce się z nią ożenić. Przeklęty przystojny uwodziciel, donżuan o twarzy i mentalności wyrostka, który teraz kilka metrów stąd posuwa nastoletnią dziewczynę, podczas gdy mnie nawet nie pocałował, wtedy, przed trzynastoma laty. Pomyślałam, żeby obudzić ojca, naprawdę tak pomyślałam. Ale potem zrobiłam jedyną rozsądną rzecz, którą mogłam zrobić w tej sytuacji. Wejść na Skype'a. Żeby połączyć się z Robertem. Żeby poczuć się mniej samotna, żeby sobie przypomnieć, że mam wspaniałego narzeczonego. A na dodatek – ponieważ moja siostra za ścianą robiła to z Aarómem – zrobić to samo z moim narzeczonym. Choćby za pośrednictwem komputera, choćby oddalona o tysiąc kilometrów. I tym razem nie będzie mnie to śmieszyć. Tym razem zrobimy to, dysząc i jęcząc jak opętani, i będziemy mieli wielokrotne orgazmy! To będzie szczytowanie wszech czasów! Wzorzec z Sèvres kopulacji wideokonferencyjnej. Nasze zdjęcie zostanie umieszczone w Wikipedii jako ilustracja do hasła „Seks na odległość”.

Weszłam na Skype'a, ale Roberto nie był zalogowany. Wysłałam mu więc WhatsAppa: „Zaloguj się na Skype'a, bo jestem rozkręcona”. Tak, przyznaję, użyłam przymiotnika „rozkrecona”. Już sam ten fakt powinien mi dać do myślenia i ostrzec, że nie mam zbyt dużego talentu do seksu w trybie wideokonferencji, ale zawzięłam się, że muszę teraz, zaraz. Tymczasem moja idiotyczna wiadomość odniosła skutek – Roberto się zalogował. Wyglądał na rozspanego, ledwo otwierał oczy.

– Saro, co się dzieje? – zapytał.

Podłączyłam słuchawki, żeby nikt nie mógł go usłyszeć; przede wszystkim jednak dlatego, żebym sama nie słyszała jęków siostry za ścianą. Ściszone głosem powiedziałam:

– Bardzo za tobą tęsknię.

– Przecież za cztery dni będziemy razem.

– Ale... Bo jestem... rozochociona.

Rozochociona brzmi lepiej niż rozkręcona? Tak czy owak, wyrażałam się raczej bez ogródek.

– O tej porze? Teraz? – spytał z wyraźnym zdziwieniem, za które nie mogłam go winić, ale też nie miałam ochoty wchodzić w szczegóły. Bo przypuszczałam, że nie spodobałyby mu się te szczegóły.

– Teraz. – Ograniczyłam się do krótkiego stwierdzenia. Lepiej być zwięzłą, niż ryzykować zbyt dużą wylewność i pokpić sprawę.

– Ależ Saro, przecież zawsze, gdy tylko usiłujemy...

– Wiem... Wybucham śmiechem. I zostawiam cię samego z twoją frustracją i erekcją.

Ale przyrzekam, że dzisiaj dojdziemy do końca.

– No, nie wiem. Bo już tyle razy...

– Popatrz...

I zaczęłam gładzić się po piersi, przez piżamę, w niewyuzdany sposób, bo świństwa do mnie nie pasują, a nie chciałam postępować wbrew sobie. „Naturalność jest twoją najlepszą bronią, Saro, nie zapominaj”. Poskutkowało – ujrzałam, że Roberto mości się w łóżku, przeciąga i opiera o wezłowie.

– Niemal cię nie widzę. Oświetlenie jest do bani. Stoisz pod światło – stwierdził.

Spróbowałam poprzestawiać trochę abażur nocnej lampki, ale bez szczególnych sukcesów.

– Nic z tego, widzę tylko jakieś cienie.

– Poczekaj – poprosiłam.

Zapaliłam górne światło i weszłam na łóżko nogami, poszukując jakiejś pozycji, w której kąt padania światła byłby korzystny. Odsuwałam i przysuwałam laptopa na taką odległość, na jaką pozwalał mi przewód słuchawek, i poruszałam nim jak różdżkarz rozdwojoną gałązką. Nie

szukałam jednak wody, lecz dogodnej pozycji, w której byłabym lepiej widoczna dla Roberta, i do tego sexy. Zaczynałam się czuć jak cyrkowa akrobatka na poranku dla przedszkolaków. Cóż za niezwykle łamańce w poszukiwaniu odpowiedniego ujęcia! Wyczyniałam to wszystko naraz, jedną ręką gładząc się po piersi, a w drugiej trzymając laptopa.

– Teraz lepiej? – spytałam.

– Trochę... Zostaniesz w piżamie?

To wystarczyło, żebym wyskoczyła z piżamy jak najszybciej; nie pomyślałam jednak, żeby najpierw zdjąć słuchawki, więc niemal upuściłam laptopa. Złapałam go w locie, wyjęłam wtyczkę słuchawek i wreszcie zostałam tylko w bieliźnie. Widząc swój obraz w małym okienku na ekranie, przeklełam w duchu, że rano nie włożyłam czegoś bardziej seksownego, ale przecież nie miałam pojęcia, co mnie czeka, a pośpiech, jaki mnie ogarnął, żeby się połączyć z Robertem, sprawił, że nie pomyślałam o czymś, co było przecież tak oczywiste. Podłączyłam ponownie słuchawki. Oto ja – tadam! – stoję na łóżku, w staniku i majtkach, w intymnej sytuacji z moim narzeczonym. Nie sposób być bardziej nowoczesnym, prawda? Byłam z siebie naprawdę dumna.

– A ty? Nie ściągniesz koszulki? – spytałam, usiłując uśmiechnąć się lubieżnie, byleby tylko odwrócić jego uwagę od mojego stanika.

– Już się robi.

Ściągnął koszulkę. Chyba trochę przytył od ostatniego razu, gdy go widziałam nago... Albo i nie, może to prawda, że ekran dodaje człowiekowi ze cztery kilo. A może po prostu mimowolnie porównywałam tors Roberta z sześciopakiem Aaróna, z jego mięśniami brzucha, takimi wyrzeźbionymi, takimi... Nie. Nie powinnam iść tą drogą. „Lepiej zapomnij o Aarónie, Saro”.

– Co mam zrobić? – spytałam.

– Nie, to ty powiedz. Bo to ty chciałaś.

– Chcę zobaczyć cię... hm... w całej... hm... okazałości.

Tak, świńskie odzywki też nie były moją mocną stroną. Będę musiała się bardziej postarać.

– Mam ci pokazać fiuta, tak? – zaśmiał się.

– Aha.

– A ty się popieść... I podnieś trochę prawą nogę, bo są cienie i nic nie widzę...

Zaczynałam sobie coraz lepiej radzić, pomimo przewodu słuchawek, pomimo laptopa trzymanego w jednej ręce, pomimo iż stałam na łóżku na jednej nodze, a drugą podnosiłam do góry i pieściłam się ręką wetkniętą pod paskudne majtasy, cały czas czuwając nad tym, żeby cienie nie popsły widoku. Megapodniecające, przyznacie. I dalej, i dalej, jeszcze więcej gmerania w majtkach i przyglądania się temu, co rośnie w dłoni Roberta, a to wszystko po to, żeby nie myśleć o tym, co robi moja siostra w pokoju obok.

– Podoba ci się? – spytał Roberto.

– A jak ci się wydaje?

– Że tak, i że ci dobrze.

– A tobie? – spytałam.

Byłam tak bez reszty pochłonięta pieścizotami, podnoszeniem nogi, trzymaniem laptopa, poszukiwaniem odpowiedniego ujęcia i szeptaniem do narzeczonego, iż nie zdałam sobie sprawy, że drzwi do pokoju się otworzyły...

– Nie masz drugiego koca?... Saro! Co ty wyrabiasz?!

Mój ojciec. Wszedł do pokoju. Na jego twarzy ujrzałam przerażenie – nic dziwnego, przecież właśnie zobaczył masturbującą się córkę, wykonującą przy tym dziwaczne wygibasy z laptopem. Wrzasnęłam i chciałam zamknąć laptopa, ale zaplątałam się w przewód słuchawek,

i to tak skutecznie, że laptop wyleciał w powietrze i upadł u stóp mojego ojca. Z otwartym ekranem zwróconym wprost do niego.

– Cudownie! Wspaniale! – krzyczał ekstatycznie Roberto, który nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, co się dzieje.

Wyraz twarzy mojego ojca na widok nagiego Roberta z pełnym wzwozem... wprost nie do opisanego.

– Roberto?! – krzyknął ojciec.

– Arturo?! – wyjęczał Roberto.

Chciałam umrzeć ze wstydu. Roberto chciał umrzeć ze wstydu. Mój ojciec też chciał umrzeć ze wstydu.

– Tato, dlaczego wchodzisz bez pukania? – spytałam, błyskawicznie wciągając na siebie górę od piżamy.

– Przecież pukałem...

– Arturo? Ale... ale... ale... – Roberto zdradzał objawy wstrząsu anafilaktycznego.

– A czego ty właściwie chcesz o tej godzinie, tato?

– Zapomnieć o tej chwili. Tego właśnie chcę. Obawiam się jednak, że to niemożliwe. I wyszedł z pokoju, zatrząskując za sobą drzwi.

– Arturo... Ja nie... Arturo...

– Już sobie poszedł – powiedziałam, odzyskując laptopa.

Roberto był zielony na twarzy, jak pasażer statku podczas sztormu.

– Saro, powiedz mi, że to nie był twój ojciec... Błagam... Co tam robił twój ojciec? Powiedz, że nas nie widział... Że mnie nie widział...

Oniemiałam z wrażenia i ze wstydu. Potem próbowałam mu wytłumaczyć, dlaczego ojciec znalazł się w moim domu i co się zdarzyło z moją matką, ale Roberto był tak przygnębiony, że mnie nie słuchał. Prosiłam go o wybaczenie, zrzucałam winę na niesprawny zamek do drzwi, na dom babki, na ogólne warunki, na trudy życia... Potem usiłowałam znaleźć zabawną stronę całej sytuacji, bo rzeczywiście, z takiego bądź innego powodu nigdy nam się nie udawało dojść do finału, ale nieszczęśnik podłamał się i widać było, że ma wszystkiego dosyć.

– Lepiej idźmy spać. O ile uda nam się zasnąć, oczywiście. Porozmawiamy jutro lub pojutrze. Dobrze?

– Jak chcesz, Roberto. Proszę, wybac mi.

– Tylko tobie, Saro, mogło przyjść do głowy coś takiego. Z twoim ojcem tuż obok.

– Pomyśl, że to ja miałam gorzej...

– Do jutra.

– Do zobaczenia.

Nie mogłam zasnąć. Jasne. Akurat mi było do spania. Ten dzień, który już sam w sobie był rozpaczliwy, nie mógł się zakończyć w gorszy sposób. Tak więc ubrałam się i wyszłam z pokoju. Zeszłam do pracowni i wzięłam się do pracy. Życząc sobie, żeby praca pomogła mi zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło.

Gdy światło świtu zaczęło przenikać z patia do pracowni, musiałam przyznać sama przed sobą, że od wielu godzin coraz bardziej partolę robotę i że nic z tego, co udało mi się sklecić, nie ma najmniejszego sensu. Że pomysł z pawimi piórami się nie sprawdził, że nie udało mi się też to farbowanie. Że moje skrzydła stają się coraz bardziej dziwaczne. Chociaż teoretycznie byłam dobrze przygotowana – przestudiowałam wszelkie możliwe malowidła przedstawiające Ikara w locie – to w żaden sposób, mimo najszczerzych chęci, nie udawało mi się włączyć pawich piór do tego projektu. Nie, czymś takim nigdy nie osiągnę sukcesu, nie zatryumfuję na pokazie, nawet gdyby wszyscy widzowie byli pijani w sztok. Jednak nie byłam w stanie porzucić pracy

i brnęłam dalej. I nic, ani wyrafinowane techniki, ani odwołania do geometrii nie pomagały, całość nie trzymała się kupy. Nie byłam w stanie się skoncentrować, mogłam myśleć jedynie o Aarónie i o mojej siostrze, o Robercie i o tym, co sama wyczyniałam, i o tej chwili, gdy ojciec wszedł do pokoju i... O Boże! Nadal czerwieniłam się na samą myśl. Jakże okropnie nienawidziłam tego, że życie przeszkadzało mi w pracy. Ohyda.

Patio było skąpane w promieniach porannego słońca, gdy mój ojciec zszedł po schodach do pracowni. Czegóż znowu chciał? Dlaczego nie zszedł na dół frontowymi schodami wiodącymi do przedsionka? Dzięki temu uniknąłby spotkania, które z pewnością było równie nie na rękę jemu, jak i mnie samej. Jeśli o mnie chodzi, wołałam na ojca nawet nie patrzeć. Udawałam, że jestem tak pogrążona w pracy, że go nie widzę.

– Nie ma mleka.

To właśnie powiedział. Wtedy musiałam na niego spojrzeć, bo byłoby absurdem rozmawiać bez patrzenia na rozmówcę. No cóż, faktycznie przydybał mnie przed paroma godzinami w niedwuznacznej sytuacji, ale przecież kobieta ma prawo cieszyć się własnym ciałem i ciałem swojego narzeczonego, choćby ten znajdował się w odległości tysięcy kilometrów, czyż nie? I to prawdziwy niefart, że akurat byłam na najwyższych obrotach, zgadza się. Ale nie sądzę, żeby był pierwszym i jedynym ojcem, któremu się coś takiego przydarzyło... Najlepiej będzie przejść nad tym do porządku dziennego i nie drażyć tematu. Albo po prostu udawać, że nic się nie stało.

Ojciec miał na sobie garnitur, bez krawata i – co mnie zdziwiło – bez choćby jednego zagniecenia. Czyżby sam go wyprasował? Być może zrobił to, próbując się doprowadzić do porządku po okropnej nocy i żeby odwrócić uwagę od swoich dołów pod oczami. Wywołanych najpierw przez niewierną żonę, a następnie córkę onanistkę.

Biedaczek.

– Czy ty mnie w ogóle słyszysz?! Nie ma mleka.

– Twoja młodsza córka i jej narzeczony wczoraj je wykończyli.

Świetnie, Saro! Wspaniała taktyka odwrócenia uwagi i skierowania jej na siostrę i jej narzeczonego. Dziesięć punktów!

– Jej narzeczony spędził tu noc?

– Tak.

Oczekiwałam, że wygłosi jakiś komentarz, że złapie się za głowę, że dzięki temu zapomni o tym, co zobaczył w moim pokoju, tymczasem on wydał z siebie jedynie cichy jęk.

– Uważasz, że to stosowne, żeby spał z nią tutaj, w domu babci? – spytałam. Trzymałam się tematu jak pijany płotu. Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy.

– Z pewnością to nie pierwszy raz.

– Co ty mówisz?

– Przecież wiem, że od szesnastego roku życia każda z was przychodzi tu ze swoimi chłopakami.

– Hm...

– Saro, jak myślisz, dlaczego przez te wszystkie lata płaciłem za światło i wodę? Żebyście nie musiały palić świeczek i żebyście mogły używać łazienki... Wy i wasi narzeczeni. Jak widać, obecność narzeczonego niekiedy okazuje się niekonieczna.

To był cios poniżej pasa.

– Nie wiem, o czym mówisz. Jeśli pijesz do tego, co się wydarzyło wczoraj...

– Wczoraj nic się nie wydarzyło – zareplikował ojciec, mówiąc pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy, choć mogło też być i tak, że była to odpowiedź głęboko przemyślana.

– Miałem napad lunatyzmu.

– Lunatyzmu?

Tak, spodobał mi się ten wymysł. Był absurdalny, ale świetnie nas urządzał.

– Kto jest lunatykiem? – zapytała Lu, która właśnie schodziła po kręconych schodach do pracowni. Tym razem była przyodziana w koszulkę za dużą o co najmniej dwa numery.

– Twoja siostra powiedziała mi, że nie spałaś sama – odparł ojciec.

Lu rzuciła mi spojrzenie, które mówiło samo za siebie.

– Widocznie mi zazdrości.

– Niby czego miałabym ci zazdrościć? – spytałam szybko, starając się nadać mojemu głosowi ton lekkiej obrazy, choć tak naprawdę zaparło mi dech.

Zazdrość. Ktoś tu coś mówił o zazdrości? Jeśli o to chodzi, to uczuciu, które mnie ogarniało na myśl o mojej siostrze, zazdrość nie dorastała do pięt. Czułam coś, co wykraczało daleko poza zwykłą zazdrość. To, że moja siostra cieszyła się tym, o czym ja sama bezproduktywnie marzyłam przez większą część mojego życia, było uczuciem, dla którego opisanie Hiszpańska Akademia Królewska jeszcze nie znalazła odpowiednich słów. Ale oczywiście mu zaprzeczałam. I postanowiłam pozostać w fazie zaprzeczania do czasu, aż mi przejdzie, Aarón zniknie z mojego życia albo uda mi się wyrzucić tę dwójkę z mojego mieszkania. Wyrzucę też mojego ojca i zostanę sama, sama z Robertem. I będę sobie do woli z nim dogadzała, i dowiodę, że co było, to nie jest, że jestem kimś zupełnie innym niż w przeszłości i że nie rusza mnie w najmniejszym stopniu to, że moja własna siostra odebrała mi obiekt mojej młodzieńczej miłości, mojego pierwszego ukochanego, że nocami zaznawiała jego pieśczęt i uścisków, poddawała się jego ciału, oddychała jego zapachem i jęczała z rozkoszy, i... Ponieważ z niektórych spraw się wyrasta, i już, ponieważ moje życie jest wspaniałe i mam wspaniałego narzeczonego. I koniec kropka.

– Zazdrościsz, że sama nie masz tu swojego Robercika – wyjaśniła Lu.

– A, to... – odparłam z ulgą. – Będzie tu za parę dni. A zresztą mam tyle pracy...

– Że co? Twój naręczony odważy się tu pojawić? – spytał ojciec.

Spuściłam głowę. Nie pomyślałam o tym, że jeśli ojciec nadal tu będzie, Roberto przypuszczalnie nawet nie zechce przekroczyć progu. Tylko tego mi brakowało.

– Będziemy wyglądali jak wielodzietna rodzina – marudził ojciec.

– Przylatuje za kilka dni, tato. A wtedy, jak sądzę, będziecie już każde u siebie, prawda?

– Zapuściłam sondę.

– Strasznie się spieszysz, żeby się nas pozbyć. Przypominam ci, że ten dom...

– Jest twój, oczywiście, tato, jest twój – odpowiedziałam, tracąc cierpliwość. – Jeśli wolisz, to ja się wyprowadzę i będziesz miał cały dom dla siebie!

Ojciec wyglądał na nieco zaskoczonego moim nagłym atakiem. Spojrzał na Lu, szukając u niej wyjaśnienia.

– A tę co ugryzło? – zapytał.

– Sara jest nieodgadnioną zagadką, zwłaszcza o poranku – odparła moja siostra.

– Przepraszam – powiedziałam zawstydzona. – To wszystko dlatego, że mam tyle na głowie. A te skrzydła są okropne!

– Lepiej się uspokój – skarcił mnie ojciec – bo jeśli ktoś tutaj ma prawo do zniecierpliwienia i nerwowości, to ja. Bo to tylko mnie żona przyprawiła rogi po trzydziestu dwóch latach szczęśliwego związku małżeńskiego. I to tylko ja widziałem cię, jak...

– Lunatyzm, pamiętasz? Cierpisz na lunatyzm.

– Tak, tak, racja. – Ojciec się wycofał, skruszony. – Ale cóż, trochę wsparcia ze strony mojej starszej córki by mi się przydało.

– Przepraszam, tato.

– Nie ma za co – odpowiedział wspaniałomyślnie. – Idę do pracy. Kup mleko. – Już miał wychodzić, gdy nagle się odwrócił i, mierząc nas obydwie wzrokiem, dodał: – A jak będziecie miały okazję porozmawiać z matką, powiedzcie jej, że czuję się doskonale. Właśnie tak: **doskonale**. Aha, Saro, winna mi jesteś czynsz za bieżący miesiąc, za poprzedni i jeszcze za jeden.

– Wiem, tato. Zdaję sobie z tego sprawę.

– Jeśli nie możesz się z tego wywiązać, będziemy musieli rozmawiać...

– Nie dołuj mnie, proszę. Nie teraz.

– Mamy umowę. Jestem twoim ojcem, a nie stowarzyszeniem dobroczynnym. – Po czym dodał kategorycznym tonem: – Potrzebuję pieniędzy.

Zaniepokoiła mnie powaga, z jaką to powiedział. Jak dotąd nie domagał się pieniędzy za wynajem domu w taki sposób. Po co mu pieniądze? Czyżby miał jeszcze jakieś inne problemy, oczywiście poza niewiernością mojej matki? Czy też rodzice od pewnego czasu mieli problemy finansowe, ale niczego nam nie powiedzieli, i stąd ten smutek, który od miesięcy widać było po moim ojcu? A może po prostu był tak zażenowany tym, co zobaczył po wejściu do mojego pokoju, że zareagował, przenosząc swoją uwagę na sprawy finansowe?

– Tato? Czy w twoim biurze wszystko w porządku? – spytałam, żeby się upewnić.

– Tym się nie przejmuj. Ale jak już powiedziałem: nie zwlekaj dłużej z płatnościami.

Wszyscy powinni wykazywać się odpowiedzialnością za swoje sprawy.

Po wygłoszeniu tej sentencji wyszedł z pracowni.

W tej samej sekundzie usłyszeliśmy głos Aaróna dobiegający ze szczytu kręconych schodów.

– Poszedł sobie?

– Tak, możesz zejść.

Aarón, ubrany w dżinsy, koszulkę z nadrukiem okładki albumu Velvet Underground – tej z bananem – glany i skrajnie wytartą skórzaną kurtkę, zszedł po schodach. Wyglądał nawet lepiej niż na golasa. Co za łajdak! Usiłowałam poradzić sobie ze swoją wyobraźnią w jedyny sposób, jaki mi przyszedł do głowy, a mianowicie poprzez atak.

– Nie mów, że kryłeś się przed naszym ojcem? I to kto? Facet, który chce się ożenić z moją siostrą!

– Wolałbym poznać go w innych okolicznościach, nie tak pośpiesznie i byle jak.

– Dobra, dobra... Tchórz jak z obrazka. Twardziel na zewnątrz, a w środku ukryty mięczak.

– Sara, daj spokój, dobrze? – poprosiła Lu.

Aarón trzymał w ręku jedną z moich miseczek do płatków śniadaniowych, ale to, co było w środku, przypominało raczej pokarm dla ptaków.

– Zwinąłeś karmę mojej papugi? – zapytałam.

– Ale śmieszne. To nieprzetworzone ziarno owsa.

– I ja coś takiego miałam w spiżarni?

– Zawsze je mam ze sobą, w plecaku. Na wypadek gdybym miał spędzić gdzieś noc.

– Nosisz ze sobą śniadanie? – Byłam autentycznie zdziwiona.

– On jest zwariowany na punkcie zdrowego odżywiania – wyjaśniła Lu. – Nie pozwól, żeby zaczął gadać o oczyszczaniu wątroby, enzymach albo o roli jelita grubego...

– Nie żartuj! Rockman zatroskany o swoje zdrowie! – naigrawałam się.

– Jesteś zawiedziona, że nie pasuję do stereotypu?

– A nie jesteś trochę za młody, żeby przejmować się takimi duperelami?

W odpowiedzi Aarón wzruszył ramionami, jakby nie chciał tracić czasu na próżne

gadanie.

– To twoja pracownia? – spytał po chwili, przyglądając się uważnie wszystkim detalom wnętrza. Poczułam się tak, jakbym widziała je po raz pierwszy jego oczami.

Stworzyłam sobie bardzo przyjemne miejsce do pracy, gdzie technologia, czyli mój Mac Pro, podawała sobie ręce z rzemiosłem, czyli piórami, tkaninami, przędzą. Drewniane regały były wypełnione kolorowymi drobiazgami, kartonami, materiałami, drewnianymi formami do kapeluszy, kredkami i plastikowymi zabawkami, które kolekcjonowałam od dziecka. Nie było tylu doniczek z kwiatami, co za czasów babci, ale pozostały dwie ogromne kencje i fikus. Babcia miała mnóstwo klatek z ptakami, ale ja zostawiłam tylko dwie. Jedna była pusta, w drugiej mieszkał Paco, samiec papugi, który nie umiał mówić, подарowany mi przez Lu z okazji otwarcia sklepu. „Na wypadek niedoboru piór”, jak powiedziała.

– A więc jednak odłożyłaś na bok studia chemiczne – powiedział.

Zaskoczyło mnie, że pamiętał, co miała zamiar studiować nieznajoma, z którą miał przelotny kontakt przez dwa tygodnie przed trzynastoma laty. Ale nie dałam tego po sobie poznać, żeby się nie cieszył.

– Nie odłożyłam, ukończyłam je. A potem postanowiłam...

– ...iść za moją radą – dokończył z tryumfalnym uśmiechem.

– To ty jej powiedziałaś, że ma otworzyć ten sklep? – spytała zdziwiona Lu. Była zdezorientowana.

– Nie, niezupełnie – odpowiedział. – Powiedziałem jej, że jest zbyt utalentowana, żeby marnować swoje zdolności na byle jakie studia.

– Lepiej, żeby tatuś się nie dowiedział, że to twoja sprawka – stwierdziła Lu.

– Powiedziałabym, że nie byłby specjalnie zachwycony.

– Lepiej wyjaśnijmy to sobie od razu – powiedziałam, nie kryjąc niezadowolenia, bo miałam po kokardkę protekcyjnego zachowania Aaróna. – Sklep otworzyłam, bo tak mi się podobało. Twój narzeczony nie miał z tym nic wspólnego, Lu. A ty nie przypisuj sobie cudzych zasług, Aarónie.

– I teraz robisz coś takiego? – spytał, biorąc do ręki niedokończone, wielokolorowe skrzydła. – Skrzydła anielskie?

– Skrzydła Ikara, a bo co?

Aarón obserwował moje dzieło w milczeniu.

– Jeszcze nie są ukończone – zaczęłam się tłumaczyć.

– Aha...

– Nie podoba ci się? Nie to, żeby mnie obchodziło, co o tym sądzisz, ale widzę, że nie możesz się powstrzymać przed wydaniem wyroku.

– Są w porządku – powiedział. Ale wcale nie wydawał się przekonany. I to mnie zabolalo.

– Nie wahaj się, mów, co myślisz – zachęciłam go.

– Nie, naprawdę, są w porządku. Ale... – zawiesił głos. – Po prostu pamiętam, że kiedyś byłaś bardziej... bardziej odważna.

– Odważna? A co to ma do rzeczy?

– Wtedy, w teatrze, na wszystkich zrobiłaś ogromne wrażenie. – Powiedziawszy to, odwrócił się do Lu. – To było najlepsze ze wszystkiego. Dokonała czegoś niewiarygodnego. Jakby scenografię zrobił sam Francisco Nieva.

– Kto taki? – spytała moja siostra.

– Zmarł przed twoim narodzeniem – wyjaśniłam. I popatrzyłam na Aaróna. – Nie przesadzaj. A to – powiedziałam, sięgając po skrzydła – to też jest dobre.

– Oczywiście – odparł. – Ale Ikar rzucił wyzwanie bogom, chciał unieść się aż do słońca.
– No i? – Nie rozumiałam, o co mu chodzi.
– Nie wiem, ale to powinno być jakoś widoczne w twoim projekcie. Ty także powinnaś chcieć wznieść się na wyżyny, czyż nie?

– Żeby się spalić jak on?
– Lepiej się spalić, niż ledwie podfruwać, nie sądzisz? Czy można mówić o epickim rozmachu, gdy się leci tuż nad ziemią?

Popatrzyłam na moje skrzydła jego oczami i zdałam sobie sprawę, że ma rację, że obniżyłam loty, że brakuje mi ambicji, że krępuje mnie lęk, że w ten sposób niczego nie osiągnę. Wzięłam więc skrzydła, przełamałam je na pół i wyrzuciłam do kosza.

– Ależ... Co ty robisz?
– To, co powinnam była zrobić już dawno temu. Nie mam natomiast pojęcia, co ja teraz pokażę Davidowi...

I jak szalona zaczęłam wrzucać moje rysunki wykonane na papierze A3 i próbki piór, które chciałam zastosować, do ogromnej teczki, jakich używają architekci, jednej z tych, które podwędziłam Robertowi. Ogromnie lubiłam te teczki, a także tuby do przechowywania planów. Czasem wydawało mi się wręcz, że jestem fetyszystką, którą kręci wszystko to, co wiąże się z zawodem architekta.

Aarón usiłował ocalić skrzydła. Sięgnął po nie do kosza.

– Nawet się nie waż brać tego do ręki! – krzyknęłam.
– No bo... jak pomyślę, że z mojej winy...
– To nie przez ciebie! Nie przeceniaj się!
– Ależ, dziewczyno, przecież... – wydukał, trzymając w rękach te nieszczęsne skrzydła. Wyrwałam mu je i ponownie wywaliłam do śmieci.
– To moje skrzydła i zrobię z nimi, co zechcę! A to jest moja pracownia, a piętro wyżej jest mój dom! Mam mnóstwo pracy i doprawdy serdecznie dosyć tego, że wszędzie kręcą się ludzie, których tu nie zaprosiłam.
– To jest dom babci! – zaprotestowała Lu.
– Teraz jest mój! – odparłam ostro.
– Spokojnie, pojąłem. Trudno to wyrazić bardziej bezpośrednio. Nie chcesz mnie tutaj i to całkiem rozumiałe. Biorę gitarę i znikam. Dziękuję, że pozwoliłaś mi przenocować. – Odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach.

– Zaczekaj – rozkazała mu Lu.

Zatrzymał się w połowie drogi. Lu patrzyła na mnie tak roziskrzonym wzrokiem, że mało brakowało, a zaczęłyby zionąć ogniem ze złości.

– Czy możesz powiedzieć, o co ci chodzi?! – wrzasnęła. – Że wstałaś lewą nogą, to już wiemy. A teraz przeproś go, bo nic ci nie zrobił. Nie rozumiem, dlaczego traktujesz mojego narzeczonego w taki chamski sposób.

Miała całkowitą rację. Poniosło mnie, a nie mogłam sobie na to pozwolić. Lu nie mogła się dowiedzieć, co kiedyś czułam do tego chłopaka. To byłoby niesprawiedliwe, skrzywdziłabym ją. Zresztą – było, minęło. A z pewnością byłoby lepiej, gdybym to udowodniła. Jej i samej sobie.

– Przepraszam, Aarónie. Jestem zdenerwowana i wylądowałam się na tobie – powiedziałam.

– Nie musisz przeproszać. To twój dom, twoja pracownia i twoje życie. Wszystko jest okej, nie unos się. Ale lepiej już pójść.

Wszedł na górę i zniknął mi z oczu.

– I co, jesteś z siebie dumna? – Lu nadal patrzyła na mnie rozjuszona.

– To wszystko mnie przerasta... Powinam mieć już skończone te przedmioty na pokaz, a zobacz, mam jedynie szkice. Idę – powiedziałam, zamykając teczkę i sięgając na półkę po jedno z już ukończonych akcesoriów. Była to ogromna muszka.

Wysłałam z pracowni, zostawiając Lu samą. Musiałam się uspokoić. Musiałam się skupić na tym, co najważniejsze: na pokazie i na mojej pracy. Wszystko inne to tylko drobiazgi. Wszystko inne może poczekać. Muszę się opanować. Wieczorem ponownie powinienam przeprosić Lu. Miałam nadzieję, że mi wybaczy. Chociaż wyraz jej twarzy przed chwilą sugerował, że będę musiała się o to bardzo postarać.

Pracownia Davida, którą dzielił z innymi projektantami, także z Chusą, znajdowała się w dawnej remizie zamienionej w przestrzeń do pracy typu *coworking*. Miejsce było świetne. Podczas przebudowy pozostawiono białą cegłę i czerwone rury, po których niegdyś ześlizgiwali się strażacy, co dodawało wnętrzu specyficznego uroku. Remiza stała w dzielnicy Delicias i najbardziej oczywistym sposobem dotarcia tam była jazda samochodem, ponieważ jednak nigdy nie byłam mistrzem kierownicy i nie miałam ochoty mierzyć się z chaotycznym ruchem ulicznym, jaki panuje w dni robocze w Madrycie, zdecydowałam się przespacerować na Plaza de España, gdzie znajduje się stacja metra. We mgle budynki były ledwo widoczne, w powietrzu wisiała wilgoć i miałam przez to wrażenie, że znajduję się w widmowym mieście, co o dziwo dobrze mi zrobiło. Wsiadłam do wagonu, taszcząc wielką teczkę i moją gigantyczną muszkę, i zaczęłam machinalnie przyglądać się pasażerom. Stopniowo cichła gonitwa myśli w mojej głowie i zaczęłam relatywizować całą sytuację. Cóż mnie mogło obchodzić, że moja siostra zamierza poślubić kogoś, kto zajmował kiedyś miejsce w moim życiu? Stop, wróć! Kogoś, kto w przeszłości zaledwie przemknął przez moje życie i zajmował miejsce wyłącznie w moim umyśle. Lu nie wychodziła przecież za mąż za mojego byłego narzeczonego, z którym łączyłby mnie długoletni związek. Nasz kontakt fizyczny ograniczył się do jednego uścisku. Nie mogłam pozwolić, żeby coś tak niewinnego uwarunkowało mnie do końca moich dni. Tak czy owak, wyjściem z tej sytuacji będzie jak najradykałniejsze ograniczenie kontaktów z Aarómem. I już, sprawa z głowy.

Dotarłam do starej remizy i zaskoczyło mnie, że o tak wczesnej porze panował tam duży ruch. Wszyscy ludzie, których zastałam w środku, wydawali się naładowani zaraźliwą energią. David, który wyrażał swoje pobudzenie gorączkowymi ruchami ciała, natychmiast zaczął mi wyjaśniać nowe zmiany w projekcie, machając rękami jak skrzydłami wiatraka. Tym razem nawet on musiał przyznać, że to będzie znacznie więcej niż „dwie maleńkie zmiany”. Tak naprawdę wywrócił do góry nogami całą koncepcję pokazu. I bynajmniej nie wydawał się tym przejmować. Był pełen entuzjazmu; cóż go mogło obchodzić, że będę musiała wyrzucić wszystko do śmieci i zacząć od nowa. Stał tam sobie, wysoki i chudy, ubrany w spodnie z krokiem na wysokości kolan, z których wystawały mu górą majtki – wypisz wymaluj imitacja Justina Biebera – i z wielką ekspresją poruszał rękami, podkreślając gestami każde zdanie, każdą zmianę intonacji głosu, każdą koncepcję. A koncepcje mnożyły mu się jak króliki. Chciał zmienić wszystko. Wszystko!

– Chcę, żeby one były ubrane w stroje utrzymane w ciemnych, neutralnych barwach, ze spodniami, bardzo obcisłe i – tu uważaj! – na te stroje włożę im białe krynoliny! I co ty na to? Chcę, żeby były przesadne, żeby zakrywały nie tylko nogi i pas, one muszą zaczynać się pod pachami!

Spojrzałam na niego zdumiona. Krynoliny były konstrukcjami umożliwiającymi nadanie odpowiedniej obfitości i fałdzistości spódnicom w strojach z epoki. Nie rozumiałam, o co Davidowi chodzi.

– I muszę mieć możliwość szybkiego ich wkładania i zdejmowania. To podstawowa sprawa! Gdy modelki dojdą do końca wybiegu, chcę, żeby zdjęły krynoliny i pozostawiły je na widoku, jakby to były rzeźby. To będzie coś wspaniałego! – Podkreślił emfazę swojej wypowiedzi odpowiednimi gestami, kreśląc w powietrzu kształty wyimaginowanych krynolin.

– A wtedy chłopcy wyjdą na wybieg, dojdą do krynolin i będą mogli je włożyć na to, co będą mieli na sobie. Nie będzie tego wiele, bo będą niemal nadzy. Monumentalny pomysł! Prawda? Nie bardzo wiedziałam, co o tym myśleć. Jakkolwiek bym na to patrzyła, nigdzie nie mogłam się dopatrzeć monumentalności.

– Pojęłaś? – zapytał David.

– Co dokładnie miałabym pojąć?

– Koncepcję.

– No cóż... – Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Bujasz w obłokach, Saro. Co się z tobą dzieje? Opowiadam ci o moim epokowym pomysłe, a ty nic, zimna jak ryba. No, mów.

– Nie, nic. Nic się nie dzieje. Tyle że myślę i myślę, i nie bardzo wiem, gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla piór. Ani czemu miałyby służyć.

– Rozluźnij się, najpierw chcę, żebyś złapała koncepcję. Potem pogadamy o piórach.

– Koncepcja, aha. Krynoliny, które one zdejmują i oni wkładają... – podsumowałam to, czego się dowiedziałam, w nadziei że jeśli to powtórzę, doznam oświecenia. Ale nie.

– Saro, to proste. Kobiety zdejmują to, co czyni z nich obiekty seksualne, to, co przez wieki zamieniało je w przedmioty dekoracyjne, w coś w rodzaju wazonów – tu ponownie wykonał całą masę konwulsyjnych ruchów rękami – a mężczyźni z wielką radością przejmują od nich ten status. To oni są teraz obiektami seksualnymi, którymi się stali z własnego wyboru!

– Och... A pióra?

– Nie podoba ci się? – spytał David na widok wyrazu mojej twarzy.

– Ależ tak, tak... – powiedziałam bez większego przekonania. – Ale teraz nie wiem, czy to wszystko, co zrobiłam, na coś się przyda.

– Pokaż, co przyniosłaś. Masz skrzydła?

– Nie, skrzydeł nie mam... Nie udało mi się wyrazić tego, o co ci chodziło... Nadal chcesz te skrzydła?

– No jasne. Ikar ze skrzydłami musi być. Symbolizuje człowieka, który mógłby wymyślić skrzydła i wydostać się z labiryntu, ale w naszych czasach jest gotów porzucić swoje pragnienia, swoje ambicje, aby radośnie i nieświadomie zamienić się w obiekt seksualny.

– Aha. Świetnie. Przyniosłam inne rzeczy.

Zaczęłam wyciągać z teczki szkice i je objaśniać. Chwilami jednak uchodziło ze mnie całe powietrze.

– Nie podobają ci się, prawda? – zapytałam w końcu. – Oczywiście, jakżeby mogły... Przecież do tego wszystkiego, co teraz zaproponowałeś, nie pasują... I... Uff... To wszystko jest do chrzanu... Kogóż ja chcę oszukać? To wszystko... To jest...

– Saro, błagam, uspokój się. Powiedz, co się stało?

– Jestem do niczego... Sama już nie wiem, co robię... To wszystko jest kiepskie...

– Stop! Przestań! Jediną osobą tutaj, która ma prawo do kryzysów egzystencjalnych, jest główny projektant, nie panienska od piór. Czy to jasne?

– Nie chciałabym ci wszystkiego popsuć. Jestem ci tylko zawadą... Ja...

David nie posiadał się ze zdumienia. Nigdy dotąd nie widział mnie w takim stanie.

– Lepiej mi od razu wszystko opowiedz, dziecko drogie, i dopiero potem weźmiemy się do pracy, bo czuję, że już mnie zarażasz swoją negatywną postawą i sprawiasz, że sam zaczynam

w siebie wątpić. – Przywołał Chusę, która po drugiej stronie hali walczyła z kłębam tkanin, całkiem wśród nich zagubiona, malutka, krąglutka, z kędzierzawą czupryną. David nazywał ją czasem hobbitką. – Chusa, chodź tu, bo Sara ma nam coś do powiedzenia!

– Davidzie, raczej nie.

– Jak to nie? Znam cię, wprost pękasz z chęci, żeby się nam zwierzyć.

Oczywiście miał rację. Usiedliśmy sobie we trójkę przy kawie i wszystko im wyznałam. Opowiedziałam o Aarónie i mojej siostrze, o mojej niewiernej matce, i jeszcze więcej o Aarónie. Oszczędziłam im jedynie epizodu ze Skype'em.

– Ależ mocne! Nie dziwi mnie, że nie możesz się ogarnąć. Naprawdę mocne! Tylko tobie mogło się przydarzyć coś takiego... I co masz zamiar zrobić? – spytał David.

– Modlić się, żeby wszyscy jak najszybciej opuścili mój dom.

– I rzucić jakieś zaklęcie czy coś, żeby twoja siostra z nim jak najszybciej zerwała

– dodała Chusa.

– Nie bądź taka – zaprotestowałam z udawaną godnością. Wprawdzie już dawno się jej wyzbyłam, ale czułam się w obowiązku zachować pozory.

– O nie, żadnej czarnej magii, to i tak nie działa. Tego typu musisz odzyskać metodami tradycyjnymi – stwierdził David.

– I tak nie miałam zamiaru... Co wy, bierzecie mnie za czarownicę? Mają pełne prawo się pobrać i żyć szczęśliwie.

– A twoje szczęście to co? – Chusa stanęła po mojej stronie. – Jeśli ta laska, twoja siostra, może brać i przebierać, jeśli ma miliony przystojniaków do wyboru, to niech sobie weźmie innego!

– A ten koleś to jaki jest? Typ rębajły? – dociekał David.

– Rębajły?

– No co ty, niekumata? Z tych, co to rąbią do białego rana. Co rzną, aż wióry lecą.

– Ho, ho... Z takim to już dawno nie miałam do czynienia – powiedziała Chusa z rozmarzeniem i jednocześnie żalem w głosie.

Podumałam chwilę i powiedziałam:

– Nie jestem w stanie wam powiedzieć, czy Aarón należy do tej kategorii.

– Ma na imię Aarón? I jest muzykiem? Nie mów, że jest podobny do Aaróna Pokornego, bo wezmę i zemdleję – ekscytował się David.

Coś zrobiło klik w moim umyśle, gdy usłyszałam przymiotnik „pokorny” połączony z imieniem Aaróna. Jego zespół z czasów młodości nazywał się *Los Humildes*.

– Kim jest ten Aarón Pokorny?

– Jak to, kim jest Aarón Pokorny? Dziewczyno, na jakim ty świecie żyjesz? Nie mów, że nigdy o nim nie słyszałaś? Przecież on jest właśnie na fali.

– Pokaż mi go – zażądałam.

David wyciągnął smartfona z ekranem o przekątnej siedmiu cali, który przypominał bardziej tablet niż telefon, i poszukał nagrania z występu na żywo. Tak, to był on. Mój Aarón. No dobrze, Aarón mojej siostry. Najważniejsze, że to był właśnie on.

– To on – potwierdziłam.

– C-c-o? C-c-co? Co? – wyjąkał David.

– To on – powtórzyłam.

– To znaczy, że twoja siostra wychodzi za mąż za twojego ukochanego z czasów młodości i jest nim właśnie Aarón Pokorny? Nie mieści mi się to w głowie!

– On naprawdę jest taki sławny? – Nie widziałam powodu do aż takiego entuzjazmu.

– No, Eltonem Johnem to on nie jest, ale puszcza ją tak często jak Lori Meyers lub We

Are Standard...

– A co to za jedni? – zapytałam.

– Jesteś beznadziejna – orzekła Chusa.

– Ajajaj, to mocne. Naprawdę mocne. Mocne jak nie wiadomo co. Naprawdę hardcorowe.

Megahardcorowe – ekscytował się David.

– Megahardcorowe – powtórzyła Chusa. – Chyba się urznię z wrażenia. Słuchaj, może nawet znowu zacznę jarać.

– Crack?

– Zwykły tytoń.

– Dajcie już spokój! Podniecacie się jak gówniarze. Zupełnie bez powodu. Należy raczej nie zwracać na to uwagi, a nie wprost przeciwnie. A wy robicie z tego jakiś ewenement, rozplýwacie się nad nim i bredzicie: „to mocne, to mocne”.

– No bo to mocne.

– A ty znowu swoje.

– Dziewczyno! – wykrzyknął David. – Będziesz szwagierką Aaróna Pokornego. I byłaś w nim zakochana.

– I nie udało ci się o nim zapomnieć – dorzuciła Chusa.

Patrzyłam na nich jak na przybyszów z innej planety. Że też mi się zebrało na zwierzenia właśnie przed tą dwójką. A ja miałam ich za przyjaciół! Musiałam spróbować przywrócić tej rozmowie choćby odrobinę zdrowego rozsądku.

– Powiedz mi, Chusa, jak doszłaś do tego wniosku?

– To wprost bije po oczach, że nie uporałaś się z tą historią – odpowiedziała.

– A teraz twoja siostra odgrywa w niej główną rolę – dodał David. – A to boli. Piecze gorzej niż wasabi na otwartej ranie.

– Prosiłam was, żebyście nie przesadzali, a wy co? Nic z tego nie rozumiecie.

– Już wiem! – krzyknął David. – Tego właśnie potrzebuję, żeby mój pokaz odniósł porażający sukces! Żeby nazajutrz wszyscy o nim mówili. Żeby stał się szczytowym eventem sezonu.

Spojrzałam na niego. Oszalał czy jak? O czym on bredzi?

– Żeby Aarón Pokorny zagrał na żywo! Przyrzeknij, że go o to poprosisz.

– Nie mam zamiaru o nic go prosić. Bardzo mi przykro, Davidzie, ale wyrzuciłam go z domu i...

– Wyrzuciłaś go z domu? – Chusa wybuchnęła śmiechem. – Sama widzisz, że się z tym nie uporałaś – dodała złośliwie. A przynajmniej tak to odebrałam.

– Dlaczego go wyrzuciłaś? – David nie dawał za wygraną.

– Bo... Bo krytykował moje projekty i... marudził... I się zdenerwowałam. Pojęliście?

– No to się z nim spotkasz, przeprosisz go i potem go o to poprosisz.

– Jak mogę go o coś takiego prosić? Przecież prawie go nie znam. Jeśli... Przecież ja nawet nie wiedziałam, że jest sławny. A jeśli jest taki sławny, to na pewno nie będzie chciał wziąć w tym udziału...

– Aż taki sławny to on nie jest, bez przesady. Zresztą teraz wszyscy muzycy cienko przędą, sama wiesz, że jest kryzys, płyty się nie sprzedają... A jako twój przyszły szwagier z pewnością się zgodzi. Zrób to dla mnie, błagam.

– Jeszcze przed chwilą chcieliście posłużyć się czarami, żeby zniknął z mojego życia, a teraz co?

– Po koncercie jakoś to załatwimy, żeby ze sobą zerwali – fantazjował David.

– Ale ja nie chcę, żeby ze sobą zrywali! – krzyknęłam.

– Tym lepiej, bo to znaczy, że nie masz żadnego problemu z tym, żeby dał ten koncert. A jeśli nie chcesz go sama poprosić, to poproszę twoją siostrę, żeby go poprosiła, bo przecież ona jest jedną z modelek na pokazie. I w ten sposób wszystko zostanie w rodzinie. To będzie bomba, Saro, prawdziwa bomba. Zobaczysz, wszyscy odniesiemy korzyści, a najbardziej się to przyda twoim piórom, zapewniam cię. Poproś go, przecież to dla ciebie drobnostka...

– Jakoś tego nie widzę, Davidzie.

– Bo się zagubiłaś, dziewczyno, dlatego tego nie widzisz. Ale my go potrzebujemy.

Twoje projekty go potrzebują.

Znienawidziłam go za to, że to powiedział, choć prawdopodobnie miał rację. Jeśli chciałam, żeby wybaczył mi brak profesjonalizmu, to, że nie zrobiłam skrzydeł, to, że straciłam wiarę w swoje zdolności, musiałam mu to w jakiś sposób zrekompensować. Nawet na przekór sobie. Musiałam się pokajać, musiałam poprosić o tę „drobnostkę” narzeczonego mojej siostry. Którego w chamski sposób wyrzuciłam ze swojej pracowni.

Wybrałam się do starej remizy, żeby zapomnieć o Aarónie. I co? Stało się wprost przeciwnie. Teraz został wmieszany także w moje sprawy zawodowe. Tylko tego mi brakowało! Co za cholerny niefart!

Cztery dni

Wracalam do domu metrem, gdy matka złapala mnie przez komórke. Gdziez sa te wspaniale czasy, kiedy pod ziemią nie bylo zasięgu?

– Saro, ojciec nocował u ciebie, prawda?

– Nie wiem, czy nie wolałby, żebyś o tym nie wiedziała.

– Nie przejmuj się, i tak już wiem. Jakiś czas temu podjechała furgonetka z firmy zajmującej się przeprowadzkami, żeby zabrać jego rzeczy. Spytałam tragarzy, gdzie je zawożą, i podali adres domu babci.

– Ale... To znaczy, że co? Ile tych rzeczy zabrali?

– To ja miałam zdecydować, więc kazałam im zabrać całą garderobę twojego ojca.

I czternaście pak z książkami. Włącznie z tymi jego ogromnymi tomami o architekturze. Biedni ci chłopcy od przeprowadzek, będą cierpieli na lumbago przez dobry tydzień. Uważam, że wydawców tych cegieł, a raczej betonowych bloczków, powinno się karać więzieniem za powodowanie szkód na zdrowiu!

– Mamo!

– Co takiego?

– Czy... Czy to oznacza, że już się nie zejdziecie z tatą?

– Wiem, że chodzi ci o to, żeby się go pozbyć z domu babci, prawda?

– Nie, po prostu się o was martwię.

– Ja też się martwię. Ale twój ojciec jest okropnym uparciuchem, nie można z nim dojść do porozumienia.

– Mamo, to dlatego, że przyprawiłaś mu rogi.

– A co to ma wspólnego z tym, że jest uparty jak osioł?

– Myślę, że być może ma prawo się nie zgadzać, czyż nie?

– Nie zgadzać się na co?

– Nie wiem. Nie wiem, czy on chce wrócić do ciebie i czy ty chcesz, żeby wrócił. Nic nie wiem. Już nie chcesz z nim być?

– Sama też dobrze nie wiem, czego teraz chcę.

– Nadal się z nim widzisz?

– Z kim?

– No, z tym panem. Z tym, z którym jesteś.

– To nie żaden pan.

– Nie? Mamo, przerażasz mnie... Jesteś w związku z kobietą?

W tym momencie zauważyłam, że kilku pasażerów uważnie mi się przygląda. Śledzili w napięciu moją rozmowę telefoniczną. Nie mogłam im mieć tego za złe, sama na ich miejscu robiłabym to samo. Cóż innego można robić w metrze: albo czytać, albo podsłuchiwać cudze rozmowy. Ale choć rozumiałam ich wścibstwo, czułam się nieco skrępowana.

– Mamo, odpowiedz mi: czy to kobieta? Bo jeśli tak, to w porządku, nie przejmuj się. Ale jestem tym trochę zdziwiona. Chociaż nie aż tak. Nie myśl, że mnie to bardzo dziwi. Faktem jest, że w tej sytuacji już mało co mogłoby mnie zdziwić. Tak, wydaje mi się to nawet normalne,

wyobraź sobie.

– Ja z kobietą? Jak może ci się to wydawać normalne? Czyżbyś uważała swoją matkę za lesbijkę? Czy ja wyglądam na lesbijkę? Muszę koniecznie zmienić fryzjera.

– Nie, mam. Tak naprawdę to nie.

– No więc? Dlaczego mnie o to spytałaś? Nie jesteś czasem nietrzeźwa od samego rana?

– No to powiedz, kto to jest. Czy to... hm... jakiś młodzieniec?

– Co ty za bzdury wygadujesz, Saro? Na Boga! Jakież młodzieniec miałby mieć na mnie chęć?

– Może mu płaciłaś...

– Twoja matka nie musi płacić, żeby mieć trochę rozruchu.

Rozruchu? Czy moja matka użyła tego słowa w odniesieniu do seksu? O, Boże drogi!

– No to z kim? Z kim przyprawiłaś rogi tacie?

– Cóż za paskudne wyrażenie. Nigdy nie wydawało mi się zrozumiałe. Nigdy.

Przyprawiać rogi? Co to niby miałyby znaczyć? Co ma piernik do wiatraka?

– Mam, nazywaj to, jak chcesz, ale powiedz: z kim jesteś? Jeśli to nie pan ani nie pani, ani nie młodzieniec...

– Mówię jedynie, że nie jestem w związku z jakimś panem.

– Niczego nie rozumiem. No to w końcu z kim ty się zadajesz?!

To ostatnie zdanie wykrzyknęłam i poczułam, że cały wagon wraz ze mną czeka w napięciu na odpowiedź. Jeśli w końcu uda mi się wydobyć od mojej matki to wyznanie, będę musiała podzielić się nim z całym audytorium. Ponieważ pasażerowie musieli od dłuższej chwili znosić moje histeryczne pytania, należałoby im to wynagrodzić przynajmniej dostępem do informacji.

– Związałam się z mężczyzną, Saro. Z prawdziwym mężczyzną, a nie z jakimś tam panem, jak to ujęłaś.

– No dobrze, niech ci będzie. I co z tym mężczyzną? Czy masz zamiar z nim zostać?

I właśnie w tej chwili straciłam zasięg.

– Mam! Mam... A niech to szlag!

Wyczułam, że ogół pasażerów podziela moją frustrację.

Miałam godzinę, żeby sobie wywoskować nogi u mojej przyjaciółki, Inmy. Chciałam wyglądać nieskazitelnie dla Roberta. Trochę się obawiałam, czy aby po tym nieszczęsnym incydencie ze Skype'em nie wpadnie na pomysł, żeby się wycofać ze spędzenia ze mną zapowiedzianego tygodnia. Aby do tego nie dopuścić, koniecznie musiałam się pozbyć ojca z domu na czas wizyty Roberta. Nie miałam jednak pojęcia, jak się do tego zabrać. Już za cztery dni po ojcu nie powinno być śladu. Może jednak pogodzi się z matką? Niestety, wydawało mi się raczej mało prawdopodobne, żeby w tak krótkim czasie dało się przejść do porządku dziennego nad zdradą (a *de facto* nad niewiernością trwającą dwa lata!), i to po trzydziestu latach małżeństwa. Takie rzeczy jednak wymagają czasu. Znacznie więcej czasu niż cztery dni. Tak jak istnieje przewidziany czas żałoby, jak istnieje okres dochodzenia do siebie po zerwaniu, tak też powinien być jakiś okres na poradzenie sobie ze zdradą. Z przykrością musiałam jednak stwierdzić, że na pewno nie będą to cztery dni.

Mimo to musiałam coś zrobić w tym kierunku, a przy okazji pozbyć się Lu, żeby nie ściągnęła mi z powrotem na głowę Aaróna. No i musiałam jak najprędzej zapomnieć o Aarónie, chociaż najpierw musiałam go poprosić, żeby zagrał na pokazie. Zachodziłam w głowę, jak mi się uda pogodzić te dwie rzeczy. No a potem powinnam wyszukać jakąś miłą, niezbyt drogą restaurację na pierwszą kolację z Robertem w Madrycie, no i pomyśleć o jakiejś wycieczce, może do Segowii lub do Toledo, albo gdzieś w góry. Tylko my dwoje i przyroda. Będziemy

spędzali dni, brodząc w suchych liściach i tuląc się do siebie. Przeszywający ból wyrwał mnie z rozmyślań. Przy okazji z pewnością wyrwane też zostało całe moje owłosienie łonowe.

– Cholera jasna! Inma, uważaj, co robisz!

– Już kończę.

– Przecież dopiero zaczęłaś.

– Fakt, ale na klientki to stwierdzenie zawsze działa uspokajająco. Chcesz, żebym ci wydepilowała też przedramiona?

– Przedramiona? Przecież tam prawie nie mam włosów.

– Saro, kochanie, wiem, że ciężko ci się z tym pogodzić, ale masz tam prawdziwą dżunglę.

– Nie przesadzaj.

– Owłosienie nie jest sexy, Saro. Teraz nawet faceci stosują depilację intymną. Wiesz, że większość mojej klienteli to mężczyźni? I to heterocy.

– I rozbierają się przy tobie do naga?

– A jak? To, co ma największe wzięcie, to depilacja okolic odbytu. Zaczynam być prawdziwą ekspertką w dziedzinie męskich odbytów.

Spojrzałam na nią ze zgrozą.

– To nie to samo, tyłek z włosami i bez. Zwłaszcza jak robisz facetowi laskę i się nieco zapędzisz w inne rejony – powiedziała to z taką naturalnością, że mnie rozbroiła.

Zabrakło mi słów. Czyżby heteroseksualni mężczyźni naprawdę cenili sobie pieszczoty analne? Po co im to? Lubią to? Naprawdę? A kobiety? Jaki typ kobiet zgodziłby się na coś podobnego? Pomyślałam o tyłku Roberta i o sobie, że... I zaczęłam nerwowo chichotać.

– Nie mów mi, że nigdy ci się to nie zdarzyło z twoim chłopakiem – ciągnęła Inma.

– Inma, depiluj mi wszystko, co tylko chcesz, ale już nic nie mów, błagam. Udawaj, że oniemiałaś.

Moja przyjaciółka już od półtora roku pracowała w tym gabinecie kosmetycznym. Po ukończeniu chemii (studiowałyśmy razem), po uzyskaniu dwóch dyplomów uniwersyteckich, z dobrą znajomością angielskiego i podstawową niemieckiego, nie udało jej się nigdzie znaleźć pracy. Podobnie jak ja, także ona nie widziała siebie za granicą. „Żeby się dostać gdzieś za granicą do laboratorium, musisz być dobra, naprawdę dobra, a ja – musisz się ze mną zgodzić – jestem i zawsze będę przeciętna. Nie rozumiem, dlaczego prasa tak się rozpisuje na temat odpływu zdolnych ludzi za granicę. Dziewczyno, jak tylko masz coś w głowie, to zwiewaj jak najprędzej z tego beznadziejnego kraju! Nie wahaj się ani przez chwilę. Ale nam, tym co mamy raczej niewysoki iloraz inteligencji, pozostaje jedynie kariera w kraju. Ja więc zostaję i liczę na to, że na pewno coś mi się trafi”. Naszukała się jak szalona i jedyne, co jej się trafiło, to ta praca przy depilacji. I chociaż na początku użalała się nad swoim losem, to z czasem zaczęła znajdować satysfakcję w torturowaniu klientów płci obojga, którzy trafili na jej leżankę. Uzupełniła też swoje dwa dyplomy magisterskie (z biologii molekularnej i z nanotechnologii) o trzeci, bardziej praktyczny, obejmujący anatomie genitaliów. „Nigdy w życiu nie oglądałam tyłu zwiędłych fajfusków co teraz. Jak się im tak przyglądam i widzę, że są takie malutkie, bezbronne... to czasem aż mnie korci, żeby je trochę rozruszać i ożywić. Nie powiesz mi, że nie ma różnicy, czy facetowi stoi, czy też nie. Prawda, że to nie wszystko jedno? Dopiero w tej pracy zaczęłam pojmować, dlaczego mężczyźni budują swoje poczucie godności na czymś tak niepozornym i pomarszczonym”.

Wysłałam z gabinetu – zresztą jak zawsze, gdy się odważyłam tam pójść – czując się tak, jakby mnie obdarto ze skóry. Pewnego dnia, jak już zacznę zarabiać prawdziwe pieniądze, będę się musiała zdecydować na depilację laserową. Jednak biorąc pod uwagę to, jak rozwijał się

– a raczej zwijał – mój biznes, widziałam siebie na pierwszym zabiegu gdzieś około sześćdziesiątki.

Zadzwoiłam do Roberta, ale nie odebrał. To mnie zaniepokoiło, ale postanowiłam nie oddawać się spekulacjom myślowym. Najprawdopodobniej był na jakimś zebraniu. Tak, właśnie tak, nie unikał rozmowy ze mną, tylko był na zebraniu. Zresztą już za parę dni będziemy się razem śmiali z wydarzeń ostatniej nocy. Nie mogło być inaczej. Znow złapałam za telefon i tym razem nagrałam mu wiadomość na skrzynkę.

– Roberto, to ja. Mam nadzieję, że doszedłeś już do siebie po nocnych przejściach. Mój ojciec przysiągł mi, że wędrował po domu w ataku lunatyzmu. I nic nie pamięta. Więc widzisz, to już załatwione. Sprytnie, prawda? A ponadto nie będzie go w domu, gdy przyjedziesz. Przyrzekam. No dobrze, zadzwoń do mnie, jak będziesz mógł.

Zakończyłam, żałując, że złożyłam mu obietnicę, której być może nie będę mogła dotrzymać. Zwłaszcza że gdy weszłam do sklepu, ujrzałam Lu usiłującą podnieść jedną ze skrzyń z książkami, które przywieźli ci od przewodzących. Szczęściem przynajmniej nie wyglądała na obrażoną.

– Nie wiedziałam, gdzie będziesz chciała je ustawić, więc powiedziałam, żeby je zostawili tutaj, ale teraz wydaje mi się, że to nie był najlepszy pomysł, bo zawałyły całe przejście. Tato się tu wprowadza?

– Nieee!

– No to po co mu tutaj te wszystkie książki? Pomóż mi, bo sama nie dam rady.

Schyliłam się i wspólnymi siłami udało nam się poruszyć jedną ze skrzyń. Naprawdę były ciężkie jak diabli.

– Myślałaś już o mojej sukni? – spytała Lu.

– Jakiej sukni?

– Ślubnej.

– A ty ciągle o tym samym! Jak długo jeszcze będziesz żyła tym małżeństwem?

– Przez całe życie, mam nadzieję. To na tym chyba powinno polegać, nie? I żebyś nie wiem jak złościła się na mojego narzeczonego, to niczego nie zmieni.

– Lu... Wszyscy okropnie się o ciebie martwimy. Tato, mama, ja...

– Tato i mama mają teraz inne problemy – zauważyła.

Udało nam się zatargać pierwszą skrzynię do pracowni i ustawić ją na stole. Wróciłyśmy po następną.

– Dlaczego masz wszystko za złe Aarónowi? Przecież on tylko chciał być dla ciebie miły i... – Nagle w jej umyśle pojawił się przeblýsk podejrzania i postanowiła go jak najszybciej zweryfikować. – Ty, a może on cię kiedyś przeleciał?

– Co ty wygadujesz!

– No tak... Masz rację, to bzdura. Zresztą on by mi o tym powiedział. No i fakt, nie jesteś w jego typie.

– Nie wiem, dlaczego bym miała nie być – odpowiedziałam urażona. I natychmiast się poprawiłam: – Owszem, wiem: bo on gustuje w nieletnich.

– Kto niby jest tą nieletnią?

– Ty, Lu. Ty. Jesteś za młoda na małżeństwo.

– No, niby tak. Zresztą wcale nie miałam takich zamiarów. Ale jak ci się coś przydarza, to nie będziesz się opierać tylko dlatego, że nie miałaś tego zaplanowanego, nie? To by było megasmutne.

– Nie wiem, Lu. Nie wiem. Nie masz jeszcze dwudziestu lat. Kim ty jesteś? Amerykanką? Członkinią sekty? Cyganką?

– Co takiego? Amerykanką? – Nie mogła nadążyć za moim tokiem rozumowania. Zresztą dość pokretnym, przyznaję.

– No tak, w hollywoodzkich filmach dziewczyny dziwnie młodo wychodzą za mąż. A zresztą, jak ty to sobie wyobrażasz: rach-ciach i już jesteś po ślubie?

– Proste. Gdy spotykasz miłość swojego życia, na cóż jeszcze czekać?

– Mówisz, jakbyś już się z tym życiem żegnała. Nie możesz być pewna, że przez resztę życia nie spotkasz przynajmniej siedmiu takich jak Aarón.

– Możesz mi nie wierzyć, ale poznałam wystarczająco wielu facetów, żeby zdać sobie sprawę, że on jest o niebo lepszy od wszystkich. I że tego, co czuję do niego, nigdy wcześniej nie czułam. A zapewniam cię, że czułam niejedno. Ty nie jesteś sobie tego w stanie wyobrazić, Saro.

Niestety mogłam, aż za bardzo mogłam. Wolałam jednak nie zgłębiać swych uczuć. Więc powiedziałam jedyną rozsądną rzecz, która mi przyszła do głowy:

– A niby dlaczego nie, ja przecież też mam narzeczonego. – Powiedziałam to raczej ze względu na lojalność wobec Roberta i naszego związku, niż dlatego, żebym była o tym całkiem przekonana. To znaczy, byłam przekonana, bo przecież z Robertem układało mi się wspaniale. Mam na myśli raczej to, że zaraz po tym, jak go poznałam, nie ogarnęła mnie taka szalona chęć, żeby za niego wyjść za mąż.

– To nie to samo. Aarón to... To Aarón.

– A on też chce ślubu? Bo jak cię znam, to całkiem możliwe, że jeszcze nic o tym nie wie.

– Jak to nie wie? Przecież to on mi zaproponował małżeństwo.

Gdy to powiedziała, nagle odjęło mi siły i niemal upuściłam trzecią skrzynkę z książkami, którą właśnie taszczyłyśmy. Byłam cała spocona, nie wiem, czy od rozmowy, czy od tytanicznego wysiłku, całkowicie bezsensownego. Bo przecież moja siostra mogła była powiedzieć tragarzom, żeby od razu postawili te paki tam, gdzie teraz je nosiłyśmy. Ale ona już taka była, podejmowała błędne decyzje pod wpływem impulsu. Obojętne, czy dotyczyły tego, gdzie co postawić, czy też za kogo wyjść za mąż.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego trzydziestoletni facet ni stąd, ni zowąd proponuje ślub takiej smarkuli jak ty. To zakrawa na terroryzm uczuciowy.

– W żadnym razie. Ja tego chciałam. Zresztą mówisz o tym tak, jakby miał zwyczaj prosić o to pierwszą lepszą. A to nie tak.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Dlaczego masz do tego taki negatywny stosunek?! – krzyknęła.

Chciałam jej powiedzieć, że się obawiam, żeby nie popełniła głupstwa. Musiałam jednak, chcąc być szczerą wobec samej siebie, zdecydować, czy chciałam to powiedzieć, ponieważ myśl, że moja siostra ma wyjść za mąż właśnie za tego, a nie innego mężczyznę, sprawiała mi ból, czy też po prostu dlatego, że uważałam, iż przez ślub w tak młodym wieku zmarnuje sobie życie. Albo chociaż życie do momentu rozwodu. A więc nic nie powiedziałam.

Lu zrozumiała moje milczenie jako wyciągnięcie ręki do zgody.

– Chcesz? Opowiem ci, jak mi to zaproponował.

– Nie trzeba. – Poruszyłam się skrzepowana. Było to coś, na co nie miałam najmniejszej ochoty. Na to i na przycięcie palców jedną z tych skrzyń z książkami. – Uważam, że to są sprawy intymne i niekoniecznie należy się nimi dzielić – wyjaśniłam.

– Jak to nie, jak tak? Zresztą to nie było aż takie nadzwyczajne, nie zdarzyło się nad Sekwaną, nie dał mi pierścionka zaręczynowego ani nie padł przede mną na kolana. Bo on jest rockmanem.

– No i? Rockmanom zabrania tego ich religia?

– Nie, ale są ponad takie sprawy.

– No jasne. To dlatego rockmani nie komponują piosenek o miłości – powiedziałam z ironią.

– Ty go słyszałaś w ogóle?

– Raczej nie.

– Teraz go często puszczają.

– Tak, już mi o tym mówiono... Zresztą to mi przypomina, że muszę cię prosić o coś z tym związanego...

– Nie chcesz, żebym ci opowiedziała, jak to było, gdy mnie o to poprosił?

Westchnęłam i powiedziałam, że chcę. W końcu i tak by mi to opowiedziała. Im szybciej przełknę tę gorzką pigułkę, tym lepiej dla mnie.

– To było w Chinchón, po koncercie. Niedawno, przed jakimiś dziesięcioma dniami.

Wszyscy, cała banda, byliśmy w doskonałym nastroju, noc była cudowna, nikt nie chciał wracać do hotelu. Aarón złapał sześciopak piwa, objął mnie i wymknęliśmy się towarzystwu.

Wylądowaliśmy pośród pól, widać było mnóstwo gwiazd. I tam, pod rozgwieżdżonym niebem, z tym piwem, byliśmy tacy szczęśliwi. I wtedy on powiedział: „Chcę, żebyś to była ty. I żebyśmy mieli tysiące nocy takich jak ta. I żeby wszyscy o tym wiedzieli. Czy ty też chcesz, żeby to trwało bez końca?”

Każdym słowem raniła mnie jak sztyletem. Nie mogłam nic na to poradzić. Moja własna siostra przeżyła to, o czym ja marzyłam jako nastolatka. Zgodzę się, że moje marzenia były nieco tandetne: Aarón, gwiazdziste niebo... i te rzeczy; ale miały swój urok. I fakt, Lu nie zdarzyło się to na Bali (bo u mnie miało to być na Bali), tylko w jakiejś dziurze pod Madrytem, ale bolało mnie to równie mocno. Jednak moje uczucia były też trochę ambiwalentne, bo cierpiąc, równocześnie cieszyłam się ze szczęścia Lu. Z tego, że tak intensywnie przeżywała swoje życie. Że była odważna. Że być może popełniała ogromny błąd, ale rzucała się głową naprzód w fale życia. Tego jej zawsze zazdrościłam. Tej odwagi. Więc cieszyłam się jej radością. Albo i nie. Nie, nie cieszyłam się ani trochę. W moich uczuciach był już tylko zamęt.

– A ja powiedziałam, że tak, że chcę za niego wyjść – ciągnęła Lu.

– Przecież w żadnej chwili nie poprosił cię o rękę. – Wypunktowałam ją bezlitośnie.

Nadal byłam zawzięta. Więc jednak nie byłam aż taka wspaniałomyślna, jak chciałabym sądzić.

– Jak to nie? No fakt, nie powiedział: „Czy zechcesz zostać moją żoną?”, tylko: „Chcę, żebyś to była ty i żeby wszyscy o tym wiedzieli”.

– A co, jeśli źle zrozumiałaś?

– Saro! Potem ustaliliśmy datę, wybraliśmy miejsce, wszystko! Chce się ze mną ożenić i zaproponował mi to w prześliczny sposób.

– Dobrze już, dobrze. Chciałam się upewnić. A gdzie będzie ślub? W kościele? W Las Vegas? W urzędzie miasta Chinchón?

– Nad Zalewem San Juan. Na świeżym powietrzu, tuż nad wodą. Już mamy umówionego przyjaciela Aaróna, który jest urzędnikiem stanu cywilnego i udzieli nam ślubu. I będziemy jedynie w najbliższym kręgu, rodzina i przyjaciele. Osiemdziesięcioro dziewięcioro zaproszonych.

Osiemdziesięcioro dziewięcioro? Ilu krewnych mógł mieć Aarón? Bo nas było czworo, do tego trzech wujków i pięciu kuzynów. To była cała nasza rodzina. A kogo uważała Lu za przyjaciół?

– Potem ci pokażę listę, bo mam kilka wątpliwości.

Przełknęłam ślinę. To wszystko zaczynało wyglądać przerażająco realnie. Nie da się ukryć, że dobrze to sobie zaplanowali...

– I do tych zaproszonych wliczasz tatę i mamę? – zapytałam.

- Oczywiście.
- Jeśli uda ci się ich przekonać.
- A od czego mam ciebie?
- Na mnie też jeszcze nie możesz liczyć.
- Jak to nie? – zdziwiła się. – Liczę na ciebie i na to, że uszyjesz mi suknię ślubną.
- Mężczydusza.

– To będzie świetne dla twojego biznesu. Mam zamiar zmusić wszystkie zaproszone kobiety, żeby założyły na ślub twoje toczki. A przynajmniej te, które należą do rodziny Aaróna. Ponieważ nasze stosunki są jeszcze oficjalne, nie będą mogły mi odmówić.

– Lu, nie możesz ich do tego zmuszać.

– Oczywiście, że mogę. Powiem im, że dasz im dobrą cenę, a potem ty będziesz udawać, że dajesz im zniżkę, i już. Są nadziane, możesz od nich wziąć tyle forsy, ile tylko chcesz. Ale w zamian zajmiesz się moją suknią. Powiedz, że się zgadzasz.

Lu rzuciła mi jedno z tych spojrzeń, które z pewnością pomagają jej podbijać serca wszystkich facetów: przystojniaków, głupków, mądrali, modeli. No i Aaróna. Ja też nie mogłam się mu oprzeć. Było niemożliwością oprzeć się mojej siostrze. Więc się zgodziłam. No jasne. Cóż innego mogłabym zrobić? Ponadto w tej samej chwili wpadłam na pomysł, jak pozbyć się Lu z domu. Postanowiłam go natychmiast wprowadzić w czyn.

– Zrobię ci suknię, ale zadzwoń do mamy i pogódź się z nią – powiedziałam. – Uspokój ją i zaangażuj w przygotowania do ślubu. Żadna matka się temu nie oprze.

– No, nie wiem.

– Tak, jak najszybciej, jeszcze dzisiaj jedź do domu z walizką i powiedz jej, że ta wyprowadzka była głupim impulsem i że chcesz, żeby była na ślubie i brała udział w twoim życiu. I że potrzebujesz jej pomocy.

– Nie, Saro, tego nie zrobię. Lepiej, żeby za mną zatęskniła, trochę zmiękła, i dopiero wtedy z nią pogadam. Bardzo by ci przeszkadzało, jakby Aarón wrócił tu któreś nocy?

– Zastanawiam się, że skoro tak dobrze mu się wiedzie z tą muzyką i w ogóle, to dlaczego nie ma własnego domu?

– Ma, w Barcelonie. Gdy przyjeżdża tutaj, zatrzymuje się u przyjaciół albo w hotelu. Ale on nienawidzi hoteli.

– Drogie są, jasne.

– Aarón nie jest skąpy, to nie to. Nie lubi ich, bo przypominają mu najgorszy okres życia. Spędził mnóstwo czasu, przeprowadzając się z jednego kraju do drugiego, z jednego miejsca w drugie. Bardzo to smutne.

Nie miałam o tym pojęcia. Zastanowiłam się nad tym i ogarnęła mnie ciekawość. Nagle zapragnęłam się dowiedzieć, jakie były przyczyny tego wędrownego trybu życia i co z tych wszystkich plotek, które słyszałam w szkole, było prawdą. Musiałam się powstrzymać, żeby nie zacząć wypytywać Lu.

– Mogę mu powiedzieć, że nie przeszkadza ci, żeby tu przyszedł? A może ci przeszkadza?

– Ojcu będzie przeszkadzać z całą pewnością.

– A jak długo on ma zamiar tu zostać?

Obrzuciłam spojrzeniem paki książek, walizki i torby z ubraniami ojca.

– Tego nie wiem, ale niewątpliwie mama na razie nie ma zamiaru wpuścić go do domu.

– No cóż, nie szkodzi. Aarón i tato z pewnością się zaprzyjaźnią. Aarón ma zdumiewającą umiejętność zjednywania sobie ludzi.

Myśl o Aarónie i moim ojcu pozostających w najlepszej komitywie spowodowała, że po

plecach przebiegł mi dreszcz zgrozy. Muszę przekonać matkę, żeby ściągnęła Lu do domu, i to natychmiast. I muszę też przekonać ojca, żeby się wyprowadził do hotelu.

Jak można się było spodziewać, moje plany diabli wzięli.

Jedynym pocieszeniem było to, że tej nocy Aarón nie zawitał do mojego domu.

W następną nocę też nie – przypuszczalnie nie chciał być zawadą. Ojciec, niestety, przyszedł. Wieczorem stawiał się na posterunku w stanie niezrozumiałej euforii. Czas uzalania się nad sobą minął, tak stwierdził, a teraz nadszedł moment, gdy mężczyzna musi stawić czoła swemu nowo uzyskanemu statusowi singla. Energia tak go roznosiła, że przed powrotem do domu, przechodząc ulicą Colón, dał się ponieść chęci popelnienia, jak to określił, „małego szaleństwa”.

– No i jak? Jak wam się podoba? Do twarzy mi, prawda?

– Tato, to jakoś dziwnie wygląda, to nie dla ludzi w twoim wieku – stwierdziłam.

– Dlaczego nie? Czy jest określona jakaś granica wieku?

– Jest, owszem. Trzeba być nastolatkiem – odparła moja siostra. – Przypomnij sobie zresztą, jaki z mamą podnieśliście krzyk pod niebiosa, gdy przyszedłam do domu z takim samym.

– Miałaś dwanaście lat, Lucía. Byłaś za młoda – zauważył ojciec.

– Sam widzisz, że wiek się liczy! W wieku dwunastu lat jest za wcześnie, a w wieku sześćdziesięciu jeden za późno.

– Harrison Ford zafundował sobie taki na sześćdziesiąte urodziny. On może, a ja nie?

Obydwie z siostrą nie posiadałyśmy się ze zdumienia. Przyglądałyśmy się ojcu z kolczykiem w uchu, i żadna nie odważyła się wydać opinii. Prężył się przed nami na cały swój metr siedemdziesiąt wzrostu, włosy miał siwiejące, rozdzielone pośrodku przedziałkiem, czterodniowy zarost też był całkiem siwy, pod czarną koszulką polo i marynarką uwypuklał się mały brzuszek. Miał szerokie biodra i krótkie nogi, a to dziwaczne coś w małżowinie usznej było widowym znakiem, że ojciec na swój sposób prosi o ratunek, nawet jeśli sam nie zdaje sobie z tego sprawy, bo jest zaślepiony chwilową euforią.

– Tato, Harrison Ford jest hollywoodzkim aktorem. On może sobie pozwolić na piercing.

– A ja jestem madryckim architektem. I to nie jest piercing, tylko dylatacja.

Dwumilimetrowa.

– To znaczy, że nie tylko dałeś sobie przekłuć małżowinę, ale i zrobić w niej tunel?!

– krzyknęłam. – Zobaczysz, kiedyś będziesz chciał to wyciągnąć, i ci się ucho nie zrośnie.

– A dlaczego miałbym chcieć, jeśli mi z tym do twarzy? Co jest na kolację? – spytał, otwierając lodówkę. Ku swemu niezadowoleniu odkrył, że oprócz dwóch puszek piwa, połówki cytryny i czterech jogurtów o obniżonej zawartości tłuszczu nic w niej nie było.

– Gdybyś zamiast do salonu tatuażu wstąpił do spożywczego, mielibyśmy kolację.

– Nawet jajek nie ma, żebyś mógł sobie przygotować tortillę?

– Zejdę do włoskiej knajpy i przyniosę jakiś gotowy makaron. W porządku?

– Węglowodany na kolację? – spytał ojciec, robiąc niechętną minę.

I ja, i Lu o mało nie zemdlałyśmy z zaskoczenia. Od kiedy to ojciec grymasił jak modelka? Czy kiedykolwiek w swoim życiu dbał o zdrową dietę?

– Przeczytałem o tym w tygodniku. Jednym z tych, które zdradzają sposoby na uzyskanie płaskiego brzucha w trzy tygodnie.

– No tak, tylko tego brakuje, żebyś zaczął ćwiczyć brzuszki! Tato, czyżbyś sądził, że płaskim brzuchem, piercingiem i unikaniem węglowodanów na kolację odzyskasz mamę?

– A kto tu mówi o odzyskiwaniu? Jestem mężczyzną w kwiecie wieku. Sześćdziesiątka to dzisiaj nowa pięćdziesiątka.

– Z pewnością pisali o tym w tym samym tygodniku.

Ponieważ miałam dosyć wysłuchiwania bzdur, zesłam do Włocha po sałatkę

z kurczakiem dla ojca i pizzę dla siebie i siostry. Bo Lu chciała pizzę, a ja – jako że nie mogłam uzyskać tego, czego chciałam, czyli żeby sobie wszyscy wreszcie poszli z mojego domu – postanowiłam wesprzeć węglowodanami nadwątlone siły. Bez myślenia o jutrze. Jeśli po dwóch tygodniach biegania po parku nie zdołałam schudnąć, jedna pizza nie mogła mnie utuczyć. Tak, wiem, to tak nie działa, ale człowiek łudzi się, żeby przetrwać. I żeby mieć energię na spędzenie bezsennej, pracowitej nocy.

Z pełnym żołądkiem i wyrzutami sumienia z powodu pochłonięcia otłuszczającej potrawy, zostawiając siostrę i ojca w ich łóżkach, zesłam do pracowni.

Przy kolacji Lu usiłowała coś wyciągnąć z ojca na temat niewierności mamy, ale nie chciał o tym mówić. Był już, jak twierdził, na innym etapie.

– Niejedna róża w bukiecie, niejedna kobieta na świecie – oświadczył.

– Jakżeby nie, tato, w burdelach jest ich pełno – dobiła go moja siostra.

Przyjrzałam się moim szkicom – coraz mniej mi się podobały. Ale nie mogłam się poddawać. Musiałam skądś wziąć siły, żeby dokonać czegoś wybitnego. Rozmyślałam o słowach Aaróna. Musiałam wznieść się wysoko, jak Ikar. Lepiej, żeby mnie spaliło słońce, niż żebym, ulegając pragnieniu bezpieczeństwa, pozostała na ziemi. Złapałam węgiel i naszkicowałam na tkaninie zarys skrzydełek na kostki u nóg. Natychmiast jednak odrzuciłam ten pomysł. Nie, to nie to, nie tak. Spróbowałam czegoś innego. Mózg mi się gotował od tego wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu tych kilku dni: nagłe wtargnięcie Aaróna w moje życie, zdrada matki, Roberto, który wylądował w domu pełnym ludzi, o ile w ogóle odważy się tu pojawić...

I ponownie Aarón. Naraz zdałam sobie sprawę, że nie słyszałam żadnej jego piosenki. No i co z tego? Im dalej trzymam go od mojego życia, tym lepiej. Jednak w miarę jak mijały minuty, rosła moja ciekawość. Nagle pomyślałam, że jeśli David chce, żeby Aarón zagrał na pokazie, to powinnam chociaż wiedzieć, jaką muzykę gra. Każdy oszukuje się, jak może. Włączyłam laptopa, żeby poszukać piosenek Aaróna na Spotify, ale ponieważ chciałam zachować swobodę ruchu, żeby móc pracować, a ponadto nie miałam zamiaru budzić ojca i siostry – i to jeszcze muzyką Aaróna! – zdecydowałam się podłączyć słuchawki do iPhone'a i wygodnie sobie posłuchać. Wpisałam imię Aaróna do wyszukiwarki i błyskawicznie pojawiły się dwa albumy, które wydał: *Zadymka* i *Papierowe lampiony*. Zaczęłam od drugiego. Po kilku akordach gitary akustycznej, na tle perkusji, zabrzmiał jego głos. Był poważny, niski, niekiedy zniżał się do szeptu. Spodobał mi się. Stopniowo jego muzyka i słowa piosenek, niekiedy tajemnicze, niekiedy sugestywne, przeważnie smutne, zaczęły współbrzmieć z moją pracą. Jeden z tekstów mnie zaintrygował. Czyżby mówił o czasach, gdy go znałam? O powodach jego nagłego zniknięcia? Zgadzało by się to też z tym, o czym dowiedziałam się od Lu.

Nadzieja umiera ostatnia

– tak powiedziałaś, lecz w drodze

spotkał nas tylko smutek.

Miasta, kraje, hotele...

Nieświadomie traciliśmy wszystko.

Znaki z dymu rzucające na wiatr,

pogoń za złudzeniami.

Lecz zdarzy się dzień, gdy to ja

wyznaczę kierunek zdarzeń.

Ten dzień nadejdzie.

Kiedyś nadejdzie, wiem o tym.

To było takie smutne... Choć w ostatnich wersach brzmiała siła kogoś, kto nie chce się poddać, być może dlatego, że – wedle słów kobiety z piosenki – nadzieja umiera ostatnia.

Odsłuchałam ten utwór wiele razy. Ale choć próbowałam wyobrazić sobie prawdziwą historię kryjącą się za słowami, nie byłam w stanie dojść do żadnych zadowalających wniosków. Jedyne, co mi się udało, to zarazić się smutkiem. Aarón i smutek. Nagle Aarón zaczął mi się wydawać bardziej interesujący, a jego psychika głęboka i złożona. Nie wiedziałam już, czy to dobrze, czy źle. Już raz, we wczesnej młodości, popełniłam ten błąd, sama się oszukiwałam. Tak więc, aby nie ryzykować ponownie, aby znów nie nadać osobowości Aaróna nadludzkich wymiarów, zabrałam się do słuchania drugiego albumu – o wiele jaśniejszego, prostszego, zabawnego, rockowego. Natychmiast poczułam się podniesiona na duchu. W takim Aarónie nie zakochałabym się ponownie nigdy w życiu. Choć to prawda, że jego piosenki były stymulujące, a ich nastrój się udzielał. Sama nie wiedziałam, jak do tego doszło, że po kilku chwilach już podśpiewywałam pod nosem refreny.

I sama też nie wiem, jak i dlaczego, ale pod wpływem muzyki Aaróna stałam się ponownie tą odważną i ambitną dziewczyną, którą kiedyś byłam. A może także mityczny Ikar natchnął mnie śmiałością, bo postanowiłam, że skrzydła muszą być ogromne, wspaniałe. Wyobraziłam sobie, że przykryją modela jakby peleryną z piór. Gdy uniesie ramiona, stojąc na środku wybiegu, i rozpostrze je na całą szerokość, ich poruszenia będą miały siłę wentylatora, a publiczność poczuje, że gdyby tylko zechciał, naprawdę mógłby wznieść się w powietrze. Wiedziałam, że aby uzyskać ten efekt, będę musiała zużyć niemal cały mój zapas piór i pracować przez wiele, wiele godzin. Ale uznałam, że efekt jest tego wart. Ikar musiał być ambitny albo mogło go nie być wcale. Czy ryzykowałam, że się spalę, wzlatając zbyt blisko słońca, że spadnę? Tak, istniało takie ryzyko. Ale nie mogłam dać się pokonać moim lękom. Na taką okazję czekałam od roku. Musiałam postawić wszystko na jedną kartę. Mój talent, wszystkie pióra, wszystko to, co miałam. Skrzydłom Ikara powierzyć całą swoją przyszłość.

O trzeciej nad ranem, gdy po raz trzeci przesłuchiwałam pierwszy album Aaróna i walczyłam z piórami, umieszczając je na szkielecie, który zbudowałam z drutów odpowiedniej grubości, po kręconych schodach zszedł na dół ojciec. Na jego widok gwałtownie ściągnęłam z głowy słuchawki i poczułam się zawstydzona niemal tak, jak poprzedniej nocy, gdy przyłapał mnie i Roberta na gorącym uczynku. Jakby teraz też nakrył mnie na jakiejś intymnej czynności. Wyglądało jednak na to, że ojciec nie miał żadnych skojarzeń, bo był zbyt zajęty sobą. Jęczał z bólu, trzymając się za ucho.

– Mam zakażenie. Cierpię – oznajmił. I zażądał: – Zawieź mnie na pogotowie.

– Mam cię zawieźć na pogotowie z powodu małej ranki w płatku ucha? – zapytałam zdziwiona.

– A jak wda się gangrena?

– Tato, błagam, nie opowiadaj banialuk.

– Okropnie mnie boli.

– Nie trzeba było sobie tego robić.

– Masz alkohol?

– Będziesz teraz pić? No proszę, następny członek naszej rodziny z problemem alkoholowym.

– Do dezynfekcji – wyjaśnił.

– Aha.

– Chociaż kropelka whisky do użytku wewnętrznego też by mi się przydała.

Podczas gdy dezynfekowałam mu rankę, ojciec jednym haustem wychylił szklaneczkę. I nalał sobie drugą. Patrzyłam z ukosa na butelkę, mając nadzieję, że whisky nie jest przeterminowana, ponieważ najprawdopodobniej stała w tym domu co najmniej od śmierci babci. Czy alkohol ma datę przydatności do spożycia? Muszę sprawdzić w Wikipedii.

– Jestem starcem. Jestem skończony.
– Jesteś niestabilny emocjonalnie. Otóż to. Przedwczoraj rozpaczaleś, wieczorem miałeś napad euforii, a teraz uzalasz się nad sobą. Trochę dystansu do siebie, tato, trochę zrównoważenia by ci się przydało... Nie tobie jednemu przydarzyło się coś takiego.

– Tobie Roberto też przyprawił rogi?

– Nie!! Chodzi mi o to, że w historii ludzkości niejednego to spotkało.

– Jak myślisz, czy twoja matka mnie jeszcze kocha?

Spytał o to otwarcie; wyglądał bezbrinnie, jak wyrostek, który wypytuje przyjaciela o swoją dziewczynę. Jakby nie przeżyli trzydziestu lat w małżeństwie. Jakby po trzydziestu latach związku nadal można było mówić o miłości. Może i tak, może i można, dlaczegoż by nie? Napęliło mnie to czułością i smutkiem. Mój ojciec, ten twardy jak skała, ten tak pewny siebie mężczyzna, solidny zarówno w życiu zawodowym, jak i rodzinnym, pogrążony w rozterkach miłości.

– Tato, ta cała historia zaskoczyła mnie chyba bardziej niż ciebie. Tak naprawdę niczego nie wiem. Ani co się stało, ani dlaczego, ani z kim...

– Myślę, że to jej przejdzie. Że może chodzi jej o to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Nie wiem, tato. Nie wiem.

– Córeczko, tak dużo cię kosztuje przyznanie mi racji? Nawet gdybyś miała skłamać?

Trochę solidarności i wsparcia, proszę.

– Nigdy nie myślałam, że znajdę się w takiej sytuacji. Że będę musiała dezynfekować ci ucho po piercingu i rozmawiać o niewierności mamy.

– A co ja mam powiedzieć? Czy ktoś mnie uprzedził, że w wieku sześćdziesięciu jeden lat będę w separacji z żoną? Kiedy wydaje ci się, że wszystko w życiu masz już poukładane, nagle trzask-prask!, i życie daje ci w pysk. Ale i tak sądzę, że to tylko taka faza, że za kilka dni poprosi mnie, żebym wrócił. Mam nadzieję, że będę w stanie schować do kieszeni dumę, zapomnieć o cierpieniu i wrócić. Tak po prostu, bez zbędnych pytań i bez... – Urwał, bo dokładnie w tym momencie jego wzrok padł na książkę o architekturze leżącą na samym wierzchu stosu zgromadzonego w kącie pracowni. – Ja też mam tę książkę – powiedział, zdziwiony.

– To twoja – uświadomiłam go.

– A po co ją wzięłaś z domu? Potrzebna ci jest do czegoś?

– Ja? Do czego. Cała ta sterta książek jest twoja. Mama ci je przysłała.

– Co?

Ujrzałam, jak zmienia się na twarzy.

– Dlaczego mi je tu przysłała? Nie chce mnie w domu? W moim własnym domu? Boże drogi...

– Tato, ona chyba jest wściekła – stwierdziłam.

– Mama?

– Tak. Zresztą, nie wiem. Może w ten sposób chce dać ci coś do zrozumienia? Tak jak ty jej tą swoją nagłą wyprowadzką.

– No to co niby miałem zrobić? – zdziwił się.

– Nie wiem, tato. Uwierz, że byłabym zachwycona, mogąc ci odpowiedzieć, ale nie wiem.

– No dobrze. Przepraszam, że cię w to wciągam. Dobrze już. Zmieńmy temat.

Poszukiwał desperacko tematu do rozmowy. Nic mu się nie nasuwało. Mnie też nie. Moglibyśmy oczywiście porozmawiać o pogodzie, ale byłoby to nieco sztuczne i wysilone. W pewnej chwili spojrzał na skrzydła, nad którymi pracowałam.

- A to co? – zapytał.
- Skrzydła Ikara, na pokaz mody. Podobają ci się?
- Tak. Są bardzo ładne.

Uśmiechnęłam się zadowolona. Wtedy mnie dobił:

- No i widzisz, jak łatwo komuś zrobić przyjemność, nawet jeśli trzeba skłamać?

Z furią pociągnęłam go za ucho.

- Auuc! Boli! – zaprotestował.

– Już, wracaj do łóżka. To na razie tylko szkielet konstrukcji. Zobaczysz, jakie będą wspaniałe, gdy je skończę!

Wchodząc po kręconych schodach, ojciec zwrócił uwagę na plamę wilgoci na suficie.

- To zawilgocenie fatalnie wygląda. Ktoś to oglądał?

– Tak, różni fachowcy, ale nie wiedzą, skąd się bierze woda. Już przywykłam do tej plamy, nadaje charakteru pracowni.

– Jeśli chcesz, powiem któremuś z majstrów z nadzoru budowlanego, żeby na to rzucił okiem.

– Nie chcę, żeby teraz mi się ktoś jeszcze kręcił po domu. Nie przejmuj się, tato. Idź się wyśpij.

Te trzy dni, które dzieliły mnie od powrotu Roberta, minęły mi w znoju. Pracowałam jak oszalała nad wykończeniem przedmiotów potrzebnych na pokaz – przede wszystkim zajmowałam się ogromnymi skrzydłami. Sięgałam już po ostatnie rezerwy materiałów. Powinnam złożyć nowe zamówienie do trzech firm zaopatrujących moją pracownię; niestety, jedna z nich znajdowała się w Chinach, a dwie pozostałe w Indiach. Zanim dostałabym zamówione pióra, minęłyby co najmniej dwa tygodnie. David wpadł ze dwa razy, żeby zobaczyć, co robię. Był przejęty widokiem wielkich skrzydeł.

- O, ty niedobra! Chcesz zostać gwiazdą pokazu – skomentował.

We dwoje zrobiliśmy rundkę po sklepach vintage i odzieży z drugiej ręki w mojej dzielnicy, poszukując czegoś, co nadałoby się na kask dla Ikara. David bez przerwy mnie wypytywał, czy już przekonałam Aaróna, żeby zagrał na pokazie. A tymczasem nie dosyć, że od tamtej nocy go nie widziałam, to jeszcze Lu była na mnie nadal obrażona i zażyczyła sobie, żebym do niego zadzwoniła, przeprosiła go i oficjalnie zaprosiła do domu. „Jakby był wampirem, który potrzebuje zaproszenia, żeby móc gdzieś wejść. Tamtej pierwszej nocy jakoś poradził sobie bez tego”, marudziłam. I nie byłam jeszcze gotowa, żeby zadzwonić. Choć wiedziałam, że bez tego się nie obejdzie.

Każdego ranka ojciec zajmował łazienkę na całe godziny, a ja i Lu musiałyśmy stać w kolejce do niej. Wychodził i narzekał, że zamiast beczynnie stać pod drzwiami, powinnyśmy były pójść po croissanty na śniadanie. Oczywiście uważał, że rano może bezkarnie spożywać węglowodany, a nawet tłuszcze nasyczone. Byle w umiarkowanych ilościach, o czym nas powiadomił. Potem szedł do pracy i wieczorem wracał, zawsze w stanie emocjonalnego rozchwiania. Gdy pytałam, czy już się rozmówił z matką, kręcił głową. „Jeszcze na to za wcześnie, muszę odczekać” – wyjaśniał.

W desperacji postanowiłam doprowadzić do pogodzenia się matki z Lu, ale poniosłam klęskę na całej linii. Umówiłam się z obydwoma na obiad – zatajając przed każdą z nich fakt zaproszenia tej drugiej – w ulubionej restauracji indyjskiej mojej matki przy ulicy Jorge Juan. Po półgodzinnym oczekiwaniu zadzwoniła Lu i stwierdziła, że nie da się oszukać i wie, że mama też tam będzie. Po chwili otrzymałam drugi telefon – od mamy, która powiedziała mi w zasadzie to samo, co siostra.

- Mamo, musisz. Po prostu musisz z nią porozmawiać. Z tym ślubem to poważna sprawa.

– Czego ty ode mnie oczekujesz? Jeśli chce wyjść za mąż, niech to zrobi. Przecież jest pełnoletnia, prawda? Więc niech weźmie odpowiedzialność za swoje decyzje.

– Mamo, uważam, że z jej strony to przejaw buntu. Jeśli będzie wiedziała, że jesteś po jej stronie, przejdzie jej ten głupi pomysł. Pozwól jej wrócić do domu.

– Tobie chodzi tylko o to, żeby się jej pozbyć. Znam cię...

– No to nie rób nic, a jak dojdzie do „tak, chcę”, to pomyśl, że miałaś szansę do tego nie dopuścić.

– Ona nie myśli o tym poważnie.

– Jak to nie? Ma listę gości, umówionego urzędnika stanu cywilnego i wynajęte miejsce na ślub. A ja uszyję jej suknię ślubną.

– Ty? Zwariowałaś? Przecież nie znasz się na sukniach ślubnych!

– Nie mogłam jej odmówić.

– Nie może brać ślubu, wyglądając jak łachmaniara!

– Dziękuję ci, mamo, za słowa uznania.

W tej samej chwili moja matka wpadła do sali restauracyjnej z komórką w dłoni.

– Byłaś tu cały czas? – spytała.

Mama była elegancko ubrana, umalowana jak na oficjalną uroczystość, a na głowie miała jeden z moich kapeluszy z piórami, co mnie wzruszyło. Umiała zaskarbiać sobie uczucia.

Zauważyłam, że w rękę niosła transparent zrobiony z kartonu na kiju. Moja matka, wytworna pani domu, od pewnego czasu z zapalem poświęcała się obronie oszczędności swojego ojca, a mojego dziadka, który przed kilkoma laty padł ofiarą oszukańczych funduszy inwestycyjnych.

Banki sprzedawały naiwnym udziały w ryzykownych instrumentach finansowych. Teraz, w obliczu światowego kryzysu ekonomicznego, udziały te były niesprzedawalne

i bezwartościowe. Ludzie potracili całe majątki. Od lat walczyli w sądach i na ulicach, żeby

odzyskać zainwestowane kwoty. Doszłam do wniosku, że mama skierowała uczucie buntu – które musiało ją dręczyć już od dawna, choć o tym nie wiedzieliśmy – w działalność w obronie tej słusznej sprawy. Żal jej było pieniędzy dziadka, ponadto była oburzona tym, że banki, które przez całe życie darzyła niezachwianym zaufaniem, okazały się nieuczciwymi graczami.

Przeczytałam napis na transparencie: „Kto bankowi pożyczycy, ten leży i kwiczy”.

– Ubrałaś się tak starannie na manifestację uliczną, mamo? – zapytałam.

– Nie widzę w tym nic dziwnego – odparła. – Zresztą nie chcę, żeby mnie wzięto za jedną z tych od Indignados⁵. Moja sprawa jest o wiele poważniejsza.

– Niech ci będzie.

– A ty? Dlaczego masz podkrążone oczy?

– Dużo pracuję. Prawie nie śpię z braku czasu.

– Moja droga, nie gniewaj się, ale nie możesz się zająć suknią ślubną swojej siostry.

– Powrót do ataku na jej ulubiony temat. – Gotowa jesteś sklecić ją z piór, wiem o tym. A suknia ślubna to nie byle co, to poważna rzecz.

– A ja nie mogę być poważna?

– Nie znasz się na szyciu. Nie, nie, nie. Nie zgadzam się!

– I tym właśnie najbardziej się przejmujesz? Że twoja córka mogłaby iść do ołtarza w sukni mojego autorstwa?

– Muszę się z nią rozmówić i wybić jej ten pomysł z głowy. Wolalabym zaprowadzić ją do salonu Pronovias. Żebyś wiedziała. Dlaczego jej tu nie ma? – Usiadła, otworzyła torebkę i zaczęła wyrzucać na stół jej zawartość. – Gdzieś tu miałam pastylki na gardło. Te manifestacje doprowadzają struny głosowe do strasznego stanu.

Matka wyciągała z torebki najrozmaitsze rzeczy, jedną po drugiej: szminkę, chusteczki

jednorazowe, kilka folderów madryckiego zoo, które natychmiast schowała z powrotem, jakby się ich wstydziła, co mnie zdziwiło, jednak nie chciałam się w to zagłębiać. Mama dość często chodziła ze mną do ogrodu zoologicznego, gdzie ja uwielbiałam robić zdjęcia ptakom i przyglądać się ich upierzeniu, a ona szkicowała żyrafy i hipopotamy. W głębi duszy była artystką. Jej obrazy były dość odległe od realizmu. W gruncie rzeczy miały tak mało wspólnego z rzeczywistością, że nieraz się zastanawiałam, po co w ogóle robiła szkice z natury, jeśli następnie przekształcała je tak gruntownie.

– Gdzie jest twoja siostra?

– Nie przyjdzie. Ciebie też miało nie być.

– Czekałam na zewnątrz, licząc na to, że ją zobaczę. Nie chcę się z nią spotykać, ale z tobą chętnie zjem obiad.

– Dzięki, mamu. Do sukien ślubnych się nie nadaję, jedynie do wyzerki. Dobrze wiedzieć.

– Nie dramatyzuj. Jeśli twoja siostra wyjdzie za męża, zrobi to we wspaniałej kreacji. I już.

– A ty się nie emocjonuj, mamu. Chodzi o to, żeby nie wychodziła za męża.

– Ojej, to prawda. Kelner! Martini, albo lepiej dwa. Dla ciebie też, prawda?

– Nawet nie spytasz o ojca?

– Jego także miałabym sobie zabrać do domu?

– Czytałaś *Wilgotne miejsca*?⁶

– Co to takiego? Jedno z tych świńskich powieści, które się cieszą wielkim powodzeniem wśród kur domowych?

– Nie. Chociaż istotnie, bohaterka jest świntuchą, nie myje się, zjada babole z nosa i tak dalej.

– Na Boga, córko, co za ohyda! Dlaczego mi o tym teraz opowiadasz?

– Bo została głęboko dotknięta rozwodem swoich rodziców, i wiesz, co robi? Dokonuje samookaleczenia, żeby zabrano ją do szpitala, w nadziei że rodzice spotkają się przy jej łóżku i pogodzą.

– Nie dosyć, że jakaś obleśna ta dziewczyna, to jeszcze ograniczona umysłowo.

– No więc wiedz, mamu, że mnie samej mało już brakuje. Jestem tak zdesperowana, że zrobiłabym wszystko, żebyście się tylko spotkali i porozmawiali. Ojciec jest w całkowitym rozkładzie. Czuje się fatalnie. Jest zagubiony. Wyobraź sobie, że poszedł i zrobił sobie piercing.

– Twój ojciec?

– Tak.

– Gdzie?

– W prawym uchu.

– Twój ojciec?

– Tak.

– I jak wygląda?

– Okropnie, a ponadto dostał zakażenia i ma teraz paskudną, jątrzącą się ranę.

Matka wybuchnęła głośnym śmiechem. Spojrzałam na nią karcąco, co wywołało następny wybuch śmiechu. Nie była w stanie się opanować. Udzieliło mi się jej rozbawienie i chichotałyśmy przez dłuższą chwilę. Matka zamówiła następną kolejkę martini.

– Mamu, co tak naprawdę się stało? Ta zdrada, czy to pierwszy raz? To znaczy, czy przedtem miałaś innych kochanków?

– Nie będę z tobą o tym rozmawiać, kochanie. Bardzo mi przykro, ale nie. I oczywiście, że przedtem nikogo nie miałam, za kogo ty mnie bierzesz?

– Ale dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć?

– A czy ja ciebie wypytuję o Roberta? Czy chcę się dowiedzieć, czy jesteś mu wierna przez cały czas, odkąd jesteście razem, czy też teraz, gdy przebywa w Paryżu, zdecydowaliście się na związek otwarty?

– Związek otwarty?

– Moja droga, żyję na tym świecie i mam oczy. Nie wiem, co ty sobie wyobrazasz. Że jestem ślepa i głucha?

– To raczej chodzi o to, jak ty mnie postrzegasz. Uważasz, że jestem osobą, która mogłaby pozostawać w związku otwartym?

– A ty uważasz, że jestem kobietą, która miewa kochanków?

Tu mnie miała.

– Nie powiesz mi nawet, kim on jest? I czy nadal się z nim widujesz? Jesteś zakochana?

– Nie, kochanie, nie mam zamiaru ci się zwierzać. Nie czułabym się z tym dobrze.

– Nie to nie. Zupełnie jak tato. Jakbym miała głuchoniemych rodziców.

– On też ci nic nie mówi?

– Nic a nic.

– No pewnie, po co ma pleść głupstwa, wystarczy że je popełnia. Kolczyk w uchu! Jak do reszty zwariuje i kupi sobie kabriolet, to zażadam go przy podziale mienia po rozwodzie.

– Mamo! Nie żartuj sobie z rozwodu! Jesteś moją matką! A ja nie jestem na to przygotowana!

– Ojej, córeczko, cóż za zasadnicze podejście do życia... Nawet martini ci nie pomaga. Nadzieja w tym, że ten twój narzeczony wreszcie wróci i zaznasz trochę radości.

– Przylatuje jutro.

– Aha. A powiedz, kim jest narzeczony twojej siostry?

– Muzykiem rockowym.

– No tak. Właśnie kogoś takiego nam w rodzinie brakowało – skwitowała.

Matka wyszła, zostawiwszy niedojezoną jagnięcinę masala. Nie poprosiła o deser, nawet nie wypila kawy. To wydało mi się dziwne. Mama jest z tych, co to nigdy nie żałują sobie deseru i kawy. Musiała się bardzo spieszyć. Pożegnała się ze mną całusem i nawet nie poczekała, żeby jej przyniesiono resztę. A nie jest osobą chętnie dającą napiwki. Śledziłam ją wzrokiem, gdy wychodziła z restauracji, tak starannie ubrana i w takim pośpiechu. Naraz doznałam olśnienia – a może spieszy się na spotkanie ze swym tajemniczym kochankiem? A gdybym tak poszła za nią?

Nie, nie powinnam tego robić. To było jej życie, jej historia, i jeśli nie chciała się nią ze mną podzielić, nie powinnam się w to mieszać. Muszę się jednak przyznać, że zwyciężyła ciekawość. Wstałam i wyjrzałam na zewnątrz, żeby stwierdzić, dokąd matka się udaje. Ujrzałam ją, jak stoi na rogu i usiłuje zatrzymać taksówkę, ale jak dotąd żadna nie zareagowała na jej machanie ręką. Miałam niezwykle wprost szczęście, przyjeżdżając do restauracji, bo udało mi się zaparkować auto tuż przed lokalem, postanowiłam więc również losy mojego „śledztwa” powierzyć fortunie. Wsiadę do samochodu, objadę kwartał domów naokoło i – jeśli mama nadal będzie czekała na taksówkę – pojedę za nią, gdy tylko do niej wsiądzie. Jeśli się z nią minę, moje zapędy detektywistyczne będą musiała odłożyć na inną okazję.

Zrobiłam, jak zamierzyłam, i ujrzałam matkę. Właśnie wsiadała do taksówki. Przeznaczenie zatem nakazało mi ją śledzić. Nigdy w życiu nie śledziłam żadnego samochodu, a tym bardziej taksówki. To, co na filmach wygląda na banalnie proste, zamienia się w prawdziwe wyzwanie dla kogoś, kto nie jest doświadczonym kierowcą. Masz przechlapane, zwłaszcza jeśli szalony ruch uliczny wywołuje w tobie lęk, jeśli nie masz zwyczaju się rozpychać na drodze i nie lubisz ryzykować rozjechania kogoś ani też nie pragniesz, żeby to ciebie

rozjechano. Ze cztery ulice przejechałam po buspasie, narażając się dwóm taksówkarzom i jednemu kierowcy autobusu, którzy wyrazili swoją dezaprobatę głośnym trąbieniem. Ten ostatni dodał jeszcze groźny ruch ręką, mający oznaczać, że urąbie mi głowę. Jednak na mnie, po raz pierwszy w życiu, nie robiły wrażenia ani obelgi, ani klaksony, bo miałam misję: śledzić taksówkę, śledzić matkę jadącą na spotkanie z kochankiem. Niestety, mimo niezwyklej jak na mnie determinacji, w alei Marii de Molina straciłam ją z oczu. Tak naprawdę to w którymś momencie przez pomyłkę zaczęłam jechać za inną taksówką i zdałam sobie z tego sprawę dopiero w chwili, gdy się zatrzymała i ze środka wysiadł jakiś pan z teczką. Ani śladu mojej matki. Poniosłam klęskę.

Postanowiłam wrócić do domu. Skręciłam za róg i zatrzymałam się na czerwonym świetle. W tej samej chwili na chodniku w pobliżu wejścia do jakiegoś baru zobaczyłam sporą grupkę osób z transparentami krytykującymi oszukańcze instrumenty finansowe. Oddawali się picciu piwa w atmosferze świątecznego rozluźnienia. Nagle skądś pojawiła się moja matka, podeszła do nich i wszyscy zaczęli się z nią witać, jakby z niecierpliwością na nią czekali. Uśmiechy, całusy, uściski. A jeden facet, z wąsami i w kapeluszu z szarego filcu, objął ją w pasie i ucałował w usta. Matka radośnie rzuciła mu się na szyję i oddała mu z entuzjazmem pocałunek. Myślałam, że mnie szlag na miejscu trafi.

Rozgłośne trąbienie ostrzegło mnie, że światło zmieniło się na zielone, i musiałam ruszyć. A więc moja matka wdała się w romans z facetem noszącym transparenty. Z manifestantem! Moje odkrycie wreszcie nadało sens tym entuzjastycznym napadom rewindykacyjnym, które ją od pewnego czasu opętały. Między jedną manifestacją a drugą, między hasłami i chóralnymi okrzykami, moja matka znalazła miłość. Mój dziadek stracił oszczędności życia z powodu bankowych manipulacji. Mojej matce udało się przekuć jego nieszczęście – nieszczęście wszystkich oszukanych przez żarłoczne banki – w okazję do seksualnego wyżycia, do przygody pozamałżeńskiej, do wyrwania się z monotonnej codzienności i objęć swego starego męża. Nie mogłam nie myśleć teraz o ojcu. Biedny tato, kryzys dawał mu się wszechstronnie we znaki. Najpierw został sam, bez klientów w swoim biurze architektonicznym, a teraz kryzys pozbawił go też żony.

Rozdzwonił się mój telefon i musiałam odłożyć refleksje na później. Dzwonił David. Chciał się dowiedzieć, czy spotkałam się z Aarómem i czy wszystko już zostało ustalone. Nie wiem dlaczego, ale skłamałam. Powiedziałam mu, że tak, oczywiście, wszystko jest na najlepszej drodze, po południu mam się z nim spotkać i z pewnością uda mi się go przekonać.

Myślę teraz, że oszukałam Davida, żeby zmusić samą siebie do dotrzymania słowa. Gdy tylko natknęłam się na Lu, poprosiłam ją o numer telefonu Aaróna. Czułam się dziwnie, mając jego telefon zapisany w kontaktach. Ileż bym za to dała te kilkanaście lat temu... Choć było więcej niż pewne, że wówczas nie odważyłabym się zadzwonić. Ale teraz musiałam to zrobić, musiałam się z nim skontaktować. Nie mogłam się zdecydować, nie wiedziałam, co konkretnie miałabym powiedzieć, od czego zacząć. Zwlekałam więc i zwlekałam całymi godzinami. Gdy się wreszcie odważyłam i zadzwoniłam, nie odebrał. Byłam wdzięczna losowi. Po dwóch godzinach znowu zadzwoniłam, a on znów nie odbierał. Zaczęło mnie to już trochę wkurzać. Zadzwoniłam więc po raz trzeci – i znowu nic. Zostawiłam mu kilka wiadomości. Jednak Aarón nadal nie przejawiał oznak życia.

– Chodźmy na jego występ. Koncertuje dziś w nocy w klubie La Riviera – zaproponowała Lu. – Tam będziesz mogła z nim pogadać.

– Ależ Lu, mam jeszcze tyle do zrobienia – zaprotestowałam.

– Nie bądź taką marudą, błagam. Musicie jak najszybciej dojść ze sobą do ładu.

Zwłaszcza jeśli chcesz go poprosić, żeby zagrał na pokazie.

– A ty skąd o tym wiesz? – zdziwiłam się.
– Od Davida – wyjaśniła. – Ale w porządku. Nie rusza mnie, że chcesz się z nim pogodzić z egoistycznych powodów. Dla mnie jest najważniejsze, żebyście się wreszcie dogadali i żeby Aarón mógł ze mną spędzać noce.

– Sądzę, że nie odebrał ode mnie telefonu, bo nie chce mnie widzieć.

– Bo ma swoją dumę, wiesz?

– No proszę, Aarón Pokorny okazuje się dumny – ironizowałam. – Jest w tym jakaś sprzeczność.

– Idziesz ze mną czy nie?

– Nie bardzo mi się chce. Na koncertach nigdy nie wiem, co robić, i męczy mnie to, że muszę stać, otoczona tymi wszystkimi ludźmi... I udawać emocje, których nie odczuwam.

– No wiesz, jeszcze trochę i zmienisz się w zasuszoną starą pannę. Skwaśniała i zasuszoną. Lepiej to sobie zostaw na potem, kiedy naprawdę będziesz stara, dobrze ci radzę.

Nie było miłe usłyszeć o sobie w jednym zdaniu, że jest się skwaśniałym i zasuszonym. Wybrałam się więc na koncert Aaróna. Publiczność w sali La Riviera była już dobrze rozkręcona. Tupąła, podśpiewywała refreny, wiła się, biła brawo. I nie bez powodu. Już jego płyty mi się podobały, ale na żywo Aarón jeszcze zyskiwał. Był... wibrujący. Aarón i jego zespół, na pozór nie wysilając się zbyt, podbijali serca widzów. I ja dałam się ponieść muzyce i entuzjazmowi. Znowu czułam się tak jak wtedy, gdy jako siedemnastolatka chodziłam na koncerty *Los Humildes*. Biła od niego ta sama charyzma – co ja mówię – nie ta sama, teraz była o wiele silniejsza. Teraz nie potrzebował nawet zdejmować koszulki, żeby uwodzić publiczność. A kiedy zaśpiewał tę smutną piosenkę o miastach i hotelach, ludzie zapalili zapalniczki, włączyli ekrany komórek, śpiewali refreny. W tym samym czasie na scenie wyświetlano zdjęcia ohydnych hoteli w ohydnych miastach, a od czasu do czasu pojawiała się twarz nastoletniego Aaróna. Tego Aaróna, którego znałam.

Po wielu bisach koncert się skończył i Lu zaprowadziła mnie za kulisy. Moja siostra wydawała się tam prawdziwą gwiazdą. Wszyscy ją znali, ściskali, całowali, wołali po imieniu. Było oczywiste, że zazdroścą Aarónowi, że jest z taką dziewczyną jak ona. Widać to było po sposobie, w jaki na nią patrzyli, w jaki starali się do niej zbliżyć. Przedstawiła mnie reszcie zespołu i – podobnie jak wtedy, gdy miałam siedemnaście lat – poczułam, że jestem zupełnie niewidzialna, że jestem nikim.

– Słonko, spójrz tylko, kto przyszedł na ciebie popatrzeć – powiedziała Lu.

Aarón pił wodę z półtoralitrowej butelki. Spojrzał na mnie i kiwnął głową na powitanie.

– A ja myślałam, że rockmani pijają tylko burbona i piwo – stwierdziłam.

Wiem, że nie było to zbyt udane wejście, zwłaszcza że przyszłam z intencją wypalenia fajki pokoju, ale gdy się denerwuję, robię się niemila.

– Jak leci, Saro? Zrobiłem jakieś postępy przez te wszystkie lata? – zapytał Aarón.

– Co nieco – odparłam. A mówiąc to, pomyślałam, że to ja powinnam, i to jak najszybciej, wreszcie się zmienić i poprawić swoje zachowanie. Więc dodałam: – A serio mówiąc, bardzo mi się podobało.

– Możesz mówić, co myślisz. Jestem w stanie znieść prawdę, w przeciwieństwie do niektórych.

Och, co za łajdak, co za skurczysyn! Uśmiechnęłam się. To ja przychodzę tu z misją pokojową, a on co? To ja przychodzę go błagać, żeby wrócił do mojego domu i posuwał moją siostrę, bo co mnie to może obchodzić, bo wszystko jest super i hiper, bo jest całkiem spoko, bo mój dom jest jego domem i moja siostra jest jego dupą; co ja mówię – jego dziewczyną, jego narzeczoną. I wszystko jest wporzo, całkiem wporzo. A jak już jesteśmy przy tym, i jako że

wszystko jest spoko i wporzo, i że jesteśmy wszyscy tacy fajni i zaprzyjaźnieni, to dobrze by było, żeby zagrał na pokazie mojego przyjaciela. Bo, w sumie, wkrótce będziemy jedną rodziną i wszystko zostanie w rodzinie, i będziemy się wszyscy razem kochali!

– Jestem pod wrażeniem. Wasz entuzjazm jest zaraźliwy – powiedziałam.

– Zaraźliwy jak wirus śmiertelnej choroby czy tylko jak corocznej grypy?

Uśmiechnęłam się półgębkiem. Pomóż mi trochę, ty łajdaku.

– Wiem, uznałaś, że jesteśmy nudni jak flaki z olejem – ciągnął Aarón. – Przyznaj się, to nie boli.

Spojrzałam na Lu.

– Wygląda na to, że twój narzeczony jest raczej odporny na dopływ informacji. Już sama nie wiem, co miałabym powiedzieć, żeby go przekonać, że mi się podobało. – Odwróciłam się do Aaróna: – No cóż, nie jesteście U2, ale też niezłe gracie.

– U2?? Ileż ty masz lat, Saro?

– Tyle co ty, czyli o wiele więcej od mojej siostry. – Sprawy wymykały mi się spod kontroli. Jeszcze trochę i dojdzie do katastrofy. Ponownie poszukałam wsparcia u Lu. – Lu...

– Aarónie, dobrze już, nie utrudniaj jej. W ustach mojej siostry ten tekst o U2 to była prawdziwa pochwała.

– Co takiego jej niby utrudniam? – spytał.

Musiałam chwycić byka za rogi. Teraz albo nigdy.

– Aarónie, przyszłam przeprosić cię za tamten dzień. I prosić cię, żebyś wrócił do naszego domu, kiedy tylko zechcesz. Bo ten dom nie należy tylko do mnie, należy do nas obu; no cóż, w gruncie rzeczy należał do naszej babki, a teraz do naszego ojca. No więc, chcę przez to powiedzieć, że to jest nasz rodzinny dom i że nie miałam prawa się tak zachować, jak się zachowałam.

– Miałas prawo – odparł.

– Nie. Nie miałam. I chcę, żebyś wrócił. Przychodź tam spać, kiedy chcesz, jak chcesz i z kim chcesz.

– Z kim niby miałbyś chcieć? – Oczy Lu niemal wyskoczyły z orbit.

– To znaczy... – Czyżbym naprawdę to powiedziała? Saro, Saro... – Ja już naprawdę sama nie wiem, co mówię. Chciałam tylko powiedzieć, że jesteś mile widziany, Aarónie.

– A ja chcę powiedzieć, że zgadzam się zagrać na pokazie twojego przyjaciela. Nie martw się – odparł.

To była ta chwila, gdy miałam ochotę zamordować moją siostrę. Naprawdę zamordować: złapać nóż i poderznąć jej gardło, wbić jej ostrze między żebra, wyrwać serce i wypruć flaki.

– Lu! Jak mogłaś! Jak mogłaś mu powiedzieć?! – krzyknęłam.

– Jest moim narzeczonym. Nie mam przed nim sekretów.

– Ale przecież mnie wydałaś! Rzuciłaś mnie na deski! Trudno, żeby nie uznał mnie za najbardziej interesowną osobę na świecie.

Aarón uśmiechnął się do mnie.

– Nie bój się, nie przytaszczę żadnej walizki. Nie wprowadzam się ani nic takiego. Najwyżej spędzę tam jedną czy drugą noc.

I bez większych ceregieli rzucił się na moją siostrę, i zaczął ją całować, jakby to miała być ich ostatnia noc. *Bésame, básame mucho. Que tengo miedo a perderte, perderte después*⁷.

To, co powiedział Aarón o „spędzeniu kilku nocy”, zaczęło się niezwłocznie. I nie tylko on przyszedł. Moja siostra postanowiła zaprosić cały zespół, żeby uczcić sukces, jakim okazał się koncert i pogodzenie się jej siostry, czyli mnie, ze swym narzeczonym, czyli Aarónem. A ja nie mogłam się sprzeciwić, to jasne. To nie był moment, żeby ujawnić tę skwaśniałą starą pannę,

którą w mniemaniu Lu nosiłam w sobie.

Nie mogłam zasnąć. Tym razem nie z winy umysłu torturującego mnie obrazami ich dwojga oddających się igraszkom za ścianą, lecz z powodu hałasu dobiegającego z salonu. Pełnego ludzi, muzyki, dymu, pustych butelek, skrętów podawanych z ręki do ręki, dziewczyn z cyckami na wierzchu... No dobrze, to ostatnie być może stanowiło wytwór mojej wyobraźni, ale być może wcale nie; najprawdopodobniej było ich tam kilka, w tym moja siostra. Gdyby babcia to ujrzała, podniosłaby się z grobu... A może właśnie widziała wszystko (któż to może wiedzieć), w przeciwieństwie do mnie, zamkniętej w sypialni, rozgoryczonej, obrażonej na cały świat. Wszystko dlatego, że następnego dnia przylatywał Roberto i umówiłam się, że pojedę po niego na lotnisko, więc chciałam być wypoczęta i w dobrej formie. Przez całe trzy dni przekonywałam Roberta, żeby zatrzymał się w moim domu. Biedak był przerażony na samą myśl, że natknie się na mojego ojca. Musiałam przysięgać na wszystkie świętości, że wszystko jest w porządku. Nie wiem, po co dodałam, że ojciec już zdążył przejść do porządku dziennego nad tamtym zdarzeniem i przekształcił je w anegdotę, jaką można opowiedzieć w pracy. To było niemądre. Natychmiast musiałam się wycofać, przyznać się, że to mój wymysł, a ojciec jest zajęty jedynie procesem dostosowania się do tego, co się stało z jego małżeństwem. I nie jest zdolny do myślenia o czymkolwiek innym.

Muzyka grała i nie pomagało nawet przykrywanie głowy poduszką, nie mówiąc już o liczeniu owieczek. Nie pomogły nawet kapsułki z melisą (tak, zdążyłam je zakupić), nie byłam w stanie zmrużyć oka. Wstałam więc, zdjęłam piżamę – ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła, to żeby ktoś mnie w niej zobaczył – włożyłam dżinsy, koszulkę i poszłam do salonu. Zamierzałam ich uprzejmie poprosić, żeby nieco ściszyli muzykę i ton głosu. Nie ze względu na mnie, lecz na ojca, który jest starszym panem, przechodzącym właśnie trudny okres w życiu i potrzebującym wypoczynku i snu o właściwej porze.

No i kogóż to ujrzałam zaraz po wejściu do pokoju? Oczywiście ojca! Siedział na kanapie otoczony trzema blondynkami i dwoma muzykami, a cała ta radosna grupka piła piwo wprost z butelek. Ktoś podał mu skręta, a on – on się zaciągnął!

– Tato!

– Wiesz, jacy fajni są przyjaciele narzeczonego Lu?!

Lu! Powiedział Lu, a nie Lucia! Mój ojciec!

– Dziewczynom ogromnie się podoba mój piercing. Znowu założyłem sobie kolczyk, już niemal nie boli. Fajowe, słuchaj, dziewczyny są fajowe! A Aarón też jest ekstra. Fajny gość! Chyba skądś znam to imię. Czy to nie ty miałaś w szkole koleżkę... albo też...

– Tato! – krzyknęłam. – Nie idziesz jutro do pracy?

– Idę, a bo co?

– Bo jest czwarta nad ranem...

– Twój ojciec jest w stanie do rana balować, a potem stanąć na wysokości zadania.

– Czyżby? Kiedy to ostatni raz balowałeś, co? I wiesz, że to, co palisz, to marycha!

Ciśnienie ci spadnie, masz przecież skłonność do niskiego ciśnienia...

W tej samej chwili poczułam, że ktoś obejmuje mnie od tyłu, podnosi i przez chwilę moje nogi zadyndały nad podłogą. To był Aarón.

– Zostaw go, niech człowiek zazna trochę fanu, bo przechodzi trudny moment.

Pochyliłam się z całej siły do przodu, żeby wyrwać się z jego objęć, i opadłam na ziemię.

– Tato, jak mogłeś mu powiedzieć o mamie?!

– Dziecino, w moim wieku możesz jedynie brać na litość, albo cię zlekceważyć. A ja chciałem na siebie zwrócić uwagę tych dwóch cukiereczków.

– Tato!

Lu, która weszła, niosąc piwo, podeszła do mnie i podała mi butelkę.
– Zrelaksuj się, głupia. I zostaw ojca w spokoju, niech ma trochę przyjemności w życiu.
– Chyba wszyscy powariowaliście, naprawdę. Wiesz, że ojciec jest emocjonalnie zaburzony. Że jak trąba powietrzna kręci się od jednej skrajności do drugiej. Nie sędzę, aby alkohol i inne substancje odurzające...

– Twój ojciec jest pełnoletni, kochanie – stwierdził ojciec. – Nie przejmuj się tak. Wszystko jest wspaniale. Chodź, napij się. Już od dawna się tak dobrze nie bawiłem.
– Nie ma mowy. Wracam do łóżka. Postarajcie się nie podpalić domu. A jak przyjedzie policja, to sami sobie radźcie.

– W moim pokoju są zatyczki do uszu. Nieużywane. Weź, jak chcesz – zaproponował ojciec.

Wysłałam, posłałam po korki, łyknęłam następną kapsułkę i padłam jak długa. Obudziłam się w południe. Cholera! Na lotnisku miałam być o pierwszej. Podniosłam się, chciałam iść do łazienki, ale ktoś ją zajmował i nie miał zamiaru wyjść, mimo że waliłam do drzwi. Weszłam do salonu i ujrzałam krajobraz po katastrofie: na kanapie, na podłodze, dosłownie wszędzie spali muzycy; wokół leżały puste butelki, jeden z jaśków ktoś przypalił papierosem, z pogniecionego kartonu wylewało się mleko, okna były otwarte i wiatr rozwiewał zasłony, pomięte i jakby czymś zmoczone, śmierdziało whisky i rumem... Ktoś wpadł na „wspaniałą” pomysł i wniósł na górę klatkę z papugą, otworzył ją i teraz ptaszysko latało od ściany do ściany. To cud, że nie wyleciało przez okno. Udało mi się złapać papugę i wsadzić do klatki, co przypłaciłam bolesnym dziobnięciem w rękę. Jeszcze raz obrzuciłam wzrokiem pierdolnik, w jaki zamienił się mój salon. Tak bardzo chciałam, żebyśmy mieli dom dla siebie, ja i Roberto, a uzyskałam coś wręcz przeciwnego: dom został zamieniony w królestwo syfu, squat i wysypisko śmieci. Nie miałam czasu ani na to, żeby usiłować coś sprzątnąć, ani nawet na to, żeby wygonić tych wszystkich obcych ludzi.

Nie mogłam jednak po prostu machnąć na to ręką i wyjść, jeśli nie chciałam, aby Roberto zobaczył ten smutny obraz zaraz po wejściu. Nie tak miało wyglądać powitanie po rozstaniu. Tak więc, zbierając wątle siły, postanowiłam wejść do pokoju siostry. Jeśli ujrzę Aaróna, jeśli ujrzę ich ciała, nagie i splątane, jeśli... to będzie znaczyło, że tak miało być. Muszę, po prostu muszę ją obudzić, muszę ją zmusić do tego, żeby sprzątnęła cały ten burdel, zanim wrócimy z lotniska. Jeśli ceni sobie swoje życie, byłoby dla niej lepiej, żeby to zrobiła.

Weszłam.

Była tam, w łóżku, obejmowała Aaróna; na szczęście przykrywało ich prześcieradło. Leżeli, przytuleni do siebie jak kociaki, wypacając alkohol i cuchnąc, jak nie wiadomo co. Zawołałam ją, ale ani drgnęła. Zawołałam znowu. I nic. Potrząsnęłam nią, potem jeszcze raz, i potrząsałam do skutku, aż zareagowała. Otworzyła jedno oko i widać było, że światło ją razi.

– Co takiego? – wychrypiła.

– Że co takiego? Że właśnie jadę po Roberta. Że chcę, żeby za dwie godziny dom wyglądał jak nowy. Nikogo ma tu nie być, a dom ma być wysprzątnany.

– Wporzo.

Zamknęła oko. Potrząsnęłam nią ponownie.

– Żadne wporzo. Wstajesz zaraz i zaczynasz sprzątać. Chcę cię widzieć w akcji.

– Chyba żartujesz.

Schwyciłam ją za ucho. Tak, za ucho. I wyciągnęłam z łóżka. Zaczęła piszczeć z bólu. Piszcziała tak rozpaczliwie, że Aarón się obudził.

– Co się stało? Co się stało? Czy to pożar?

– Śpij! – rozkazałam. Posłuchał i zamknął oczy. – A ty, Lu, obudź się!

- Saaaro... – protestowała.
- Posłuchaj mnie dobrze – powiedziałam, nie puszczając jej ucha. – Jeśli naprawdę chcesz tego ślubu, to musisz mnie mieć po swojej stronie.
- Tato też jest po mojej...
- Zamknij się i słuchaj. Ojcu odebrało do reszty rozum. To **mnie** potrzebujesz. Więc lepiej będzie dla ciebie, żebym była zadowolona. Zaczynij sprzątać, wyrzuć wszystkich z domu, a będziesz miała we mnie sprzymierzeńca. I matkę na ślubie. Ale jak znajdę jedną zbitą szklanę, jednego peta, jeśli będzie śmierdzieć wodą lub marychą, jeśli zostaną jakieś ślady tego, że tu wczoraj był bal, to zapomnij. Czy wyrażam się jasno?
- Biedne twoje dzieci, jeśli je będziesz miała. Biedne maleństwa. Będziesz toksyczną matką, Saro.
- Zrozumiałaś? Skiń głową.
- Tak, zgoda, ty harpio. Zaraz się biorę do pracy.
- Ale już!

Zbiegłam po kręconych schodach. Rzuciłam okiem na skrzydła Ikar: wisiały na regale i pokrywały niemal całą ścianę pracowni. Byłam z siebie dumna. Udało mi się. Wywrą ogromne wrażenie. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy, żeby im coś zrobić. Były nietknięte. Ten debil, który wypuścił papugę, ograniczył się do tego i nie ruszył moich piór. Mogłam odetchnąć z ulgą. Wszystko będzie dobrze. Gdy wrócę, po nocnych szaleństwach nie będzie śladu i zamkniemy się z Robertem w sypialni, gdzie wynagrodzimy sobie ten rok rozstania. Wszystko będzie dobrze.

Roberto i wiking

Samolot Roberta miał wylądować na terminalu T4. Zabłądziłam, kilka razy wjechałam w niewłaściwe dojazdy, trzy razy musiałam objechać naokoło główne rondo, aż wreszcie udało mi się znaleźć parking terminalu i mogłam zostawić samochód. Byłam spóźniona, najprawdopodobniej Roberto już odebrał bagaż. Ruszyłam biegiem do hali i zaraz po przekroczeniu drzwi poszukałam wzrokiem tablicy przylotów, żeby sprawdzić numer wyjścia. Dyszałam, z trudem łąpałam powietrze i – ku swemu zdziwieniu oraz wielkiej radości – stwierdziłam, że lot jest opóźniony o godzinę. A więc Roberto jeszcze nie wylądował. To mi dawało czas na wizytę w łazience, uczesanie się i umalowanie, oraz na wypicie kawy i zjedzenie croissanta, którego kupię w kafejce po wygórowanej cenie. Odetchnę i przywitam Roberta swoim najmiłszym uśmiechem.

Po godzinie na tablicy pojawiła się informacja o dalszym opóźnieniu. Tym razem jedynie pół godziny. Które zamieniło się w kolejne pół godziny. I jeszcze pół godziny. Wykorzystałam czas, żeby zadzwonić do Davida i powiedzieć mu, że ma zagwarantowaną muzykę na pokaz, bo Aarón się zgodził. Sądzę, że jego okrzyki radości z drugiej strony linii słyhać było w całym terminalu. Tak, jutro przyjdziemy na próbę; tak, będzie mógł osobiście poznać Aaróna; tak, umówią się, co i kiedy będzie grał. David spytał też, jak mi idzie robota – odpowiedziałam, że jestem już na końcówce. Tak, jestem zadowolona. Umiarkowanie zadowolona, czego już mu nie powiedziałam. Wysłałam mu zdjęcia wykonanych przez siebie akcesoriów; Davidowi niemal wszystko się spodobało, więc zostało nam jedynie kilka szczegółów do omówienia.

– Twoja siostra będzie miała najlepszą kreację. Oszałamiającą. Będzie boginią wybiegu. I wiesz co? Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko...

– To zdanie źle rokuje.

– Powiedzmy, że wygadałem się przed kilkoma akredytowanymi dziennikarzami, że moja główna modelka i Aarón się zaręczyli. I że on będzie grał ze swoim zespołem, więc może będą chcieli mieć wspólną sesję zdjęciową. I odpowiedzieć na kilka pytań.

– Davidzie! Jak mogłeś? Ja jeszcze nie straciłam nadziei, że do tego ślubu nie dojdzie.

– Nie chcesz, żeby się pobrali? Bo chcesz go dla siebie, ty stara łajdaczko!

– Co ty wygadujesz? Chyba oszalałeś! Ja z tym zapatrzonym w siebie, tandetnym grajkiem nie chcę mieć nic wspólnego. Myślę o mojej siostrze. A jeśli prasa ogłosi, że się zaręczyli, to ją na pewno jeszcze bardziej zachęci do tego idiotycznego ślubu. O Boże...

– Nie są aż tak znani. Może to nikogo nie zainteresuje.

– To po co to zrobiłeś?

– Kwestia promocji. A jak chwyci, to z korzyścią dla wszystkich: dla mnie, dla ciebie, dla twojej siostry, którą to wylansuje, i dla Aaróna też, żeby zaczął być znany w różnych kręgach.

– Myślisz o tym, żeby napuścić na nich prasę plotkarską? Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Nikt przecież nie będzie ich zmuszał do ślubu. Jak im się odwidzi, to się rozstaną, i już.

To ich sprawa.

– Masz szczęście, że cię lubię, bo inaczej bym cię rozszarpała...

– Wiesz, kto mi potwierdził przybycie? Nie uwierzysz. Tylko się nie denerwuj, proszę.

- Mów.
- Carlota Hamilton.
- Co? Serio?
- Jak najbardziej. Najważniejsza blogerka madryckiego świata mody będzie oglądać mój pokaz! Zobacz nasze kreacje! Czy ty sobie zdajesz sprawę, co to oznacza?
- Że zginęliśmy.
- Sukces na skalę światową! Carlotę czytają w Paryżu, Mediolanie, Londynie...
- Davidzie, przecież ta kobieta nigdy nikogo nie oszczędza. To przez nią poległ ostatni pokaz Marca Jacobsa, bo stwierdziła, że w kolekcji widać zły wpływ jego partnera, aktora porno. Przecież gdy ktoś jej nie przypadnie do gustu, zabija go hejtem. Po co ją zaprosiłeś?
- Bardzo jesteś negatywna, dziecino. Na mnie taki negatywizm na dwa dni przed pokazem źle działa. Podbijemy Carlotę. Zakocha się w nas. Wiem, czuję to, jestem o tym przekonany. Bo jesteśmy najlepsi, superancy, zajebisci. A twoje skrzydła genialne. Powtarzaj za mną: jesteśmy zajebisci!
- No cóż, jak będziemy mieli trochę szczęścia, to się nie pojawi.
- Coś ci już mówiłem o negatywizmie?
- Cholera!
- A teraz co takiego?
- Lot Roberta. Znowu go przesunęli!

Sama już nie wiedziałam, ile czasu spędziłam na oczekiwaniu, pewne było tylko to, że zdążyłam zapuścić korzenie. Co gorsza, na lotniskach zawsze ogarnia mnie wilczy głód. Przez te długie godziny zdążyłam wypróbować wszystkie smaki różnych edycji specjalnych loda Magnum, jakie w tym sezonie znalazły się na rynku. Najlepszy okazał się niewątpliwie Apple Crumble. Pasek od spodni zaczął mnie cisnąć. Tyle kilometrów przebiegłam na próżno. Zal. Zadzwoiłam do Lu, ale nie odebrała. Wywrzeszczałam do jej automatycznej sekretarki:

– Mam nadzieję, że jesteś tak zajęta czyszczeniem i szorowaniem, że to ci uniemożliwiło odebranie telefonu! Słyszysz mnie? Dom ma być nienagannie czysty, gdy przyjadę.

Nienagannie!

Przejrzałam całą możliwą prasę, wszystkie brukowce, wszystkie pisma o modzie i o dekoracji wnętrz, przeczytałam pierwsze rozdziały wszystkich bestsellerów wyłożonych w trzech kioskach z prasą w tej części T4, gdzie się znajdowałam. Chodziłam w tę i we w tę, podziwiając nieco absurdalną rozległość terminalu. Wyobraziłam sobie tych wszystkich cudzoziemców, którzy po raz pierwszy przybywają do Madrytu i wita ich ta ogromna, złotawa przestrzeń, luksusowa i wysmakowana. Mogą być zdziwieni po wyjściu, gdy zetkną się z niewyszukaną, siermiężną architekturą miasta, które ma trzy wieżowce na krzyż, mnóstwo starych domów krytych dachówką, zatrzęsienie elewacji z pomarańczowej cegły, kilka muzeów, którymi się szczyci, i mało co więcej. Ale terminal, o tak, T4 robi wrażenie, to typowy owoc okresu, gdy wydawało nam się, że jesteśmy najbogatsi w całej Europie, gdy cała nasza gospodarka opierała się na budownictwie, na farańskich projektach budowlanych realizowanych ku chwale tych, których wybraliśmy, aby nami rządili. Przesyt T4 i opóźnienie samolotu Roberta sprawiło, że mój krytycyzm polityczny narastał z minuty na minutę. W pośpiechu nie zabrałam ze sobą notesu, w którym mogłabym szkicować. Postanowiłam kupić sobie blok rysunkowy i ołówek i wykorzystać przymusowy czas wolny.

Zapełniłam sporo kartek gryzmołami – co jeden to gorszy – po czym postanowiłam przymierzyć się do projektu sukni ślubnej mojej siostry. Żeby, o ile jej nie przejdzie chęć zamążpójścia, widziała czarno na białym, że moja oferta to nie były obiecanki cacanki. Zaczęłam od naszkicowania z pamięci tamtej sukni, której fotografię Lu mi pokazała, ale od razu

odrzucałam pomysł, żeby ją kopiować lub się na niej wzorować. Jeśli miał to być mój projekt, to musiał być taki, żeby zrobił wrażenie na Lu. A przede wszystkim taki, żeby zamknąć usta matce. Jak to, **ja** nie jestem w stanie sporządzić sukni ślubnej? Oczywiście, że jestem w stanie. Chodzi o uchwycenie osobowości Lu, jej upodobań, jej zamiarów. O opowiedzenie tą suknią historii jej miłości. Muszę przyznać, że tu się zacięłam. Przecież nie wiedziałam o niej niczego. Lu opowiedziała mi wprawdzie, w jakich okolicznościach Aarón jej się oświadczył, ale ani słowa o tym, jak się poznali, od kiedy byli razem, co takiego sprawiło, że zakochała się właśnie w nim. Nie wiedziałam niczego, bo – to oczywiste – nie chciałam wiedzieć. Im mniej wiedziałam, tym lepiej dla mnie. Natomiast dla losów projektu sukni ślubnej taka postawa mogła się okazać fatalna.

Bzdury, powiedziałam sobie w myśli. Czyżby projektanci dopasowywali swoje kreacje do osobowości modelek? Nie robili tego, wystarczyło im, żeby rozmiar się zgadzał. Nie miałam też obowiązku, by wyrażać w stroju ślubnym historię ich miłości. Po co miałabym się na próżno dręczyć? Postanowiłam zapomnieć, że w sukni ma wystąpić moja siostra, i dałam upust wyobraźni. Chodziło o suknię ślubną, o robiącą piorunujące wrażenie suknię ślubną. Zagłębiłam się w pracy. Nie wiem, ile czasu rysowałam, ale w pewnej chwili rzuciłam wzrokiem na tablicę i okazało się, że lot Roberta już jest zapowiedziany. Wstałam i skierowałam się do wyjścia numer 7. Usiadłam na krzeselku z widokiem na drzwi, przez które Roberto musiał wyjść, i rysowałam dalej.

Byłam tak skoncentrowana na swoich bazgrołach, że przytomność przywróciło mi dopiero lekkie poklepywanie po ramieniu. To był Roberto. Po tych wszystkich godzinach oczekiwania jego obecność mnie zaszokowała. Tyle razy sobie wyobrażałam, jak wychodzi przez drzwi, jak biegnę w jego kierunku, jak rzucam mu się na szyję, jak się obejmujemy i całujemy, a tu nagle zostaję przyłapaną na rysowaniu i poklepaną po ramieniu. Byłam całkiem zdezorientowana. Podniosłam się gwałtownie i zrzuciłam blok na ziemię.

– Roberto! – zawołałam.

– Przykro mi, że musiałeś czekać – odpowiedział. – Od dawna tu jesteś?

– Nie przejmuj się, wcale się nie nudziłam. Nawet dobrze mi zrobiło tych parę godzin spokoju, mogłam się skoncentrować. Jak się masz? Jak dobrze, że już jesteś.

Uściskałam go i ucałowałam. Ale nic nie było tak, jak w mojej wyobraźni – pocałunek był nieco niezgrabny, a uścisk raczej dość sztywny. Zorientowałam się, że Roberto kątem oka przygląda się blokowi rysunkowemu leżącemu na podłodze, który otworzył się na niemal ukończonym szkicu sukni ślubnej. Ujrzałam przestrach malujący się na jego twarzy.

– To suknia ślubna? – zapytał.

– Nie musisz się aż tak krzywić – zauważyłam cierpko. – To nie dla mnie, jeszcze nie oszalałam.

– Ach? Nie, nie, po prostu przyciągnął moją uwagę.

– To dla mojej siostry. Wychodzi za mąż.

– Lu?!

– Tak. Na nas wszystkich też to zrobiło wrażenie.

– Słuchaj, muszę cię prosić o przysługę.

Właśnie się zorientowałam, że na wózku wiezie trzy walizki. To było dziwne.

– Chcesz powiedzieć, że zostajesz na dłużej niż tylko na tydzień? – zapytałam.

– Nie, niestety. Dwie z tych walizek należą do Erica.

– Do kogo?

– Pamiętasz, mówiłem ci o nim. Kolega z pracy. Musiał przyjechać na rozmowę o pracę i... Czy mogłby zatrzymać się w twoim domu?

- Razem z nami? – zdziwiłam się.
- Bardzo mi pomógł w Paryżu... Bez niego bym nie przeżył.
- Gdzie on jest?
- Poszedł do łazienki. Może zostać?
- Myślę, że tak... Nie wiem, gdzie go umieścimy, ale, no cóż... Nie mogłeś mnie uprzedzić?
- Nie bardzo, bo temat pojawił się wczoraj, jakoś tak niespodziewanie, i sam nie wiem jak, ale zaprosiłem go do twojego domu. Przepraszam. Ale on jest naprawdę bardzo fajny i dużo mu zawdzięczam.
- W porządku, nie przejmuj się. Co prawda wyobrażałam sobie, że będziemy mieli cały tydzień tylko dla siebie, no ale cóż...
- Ja też, ale ponieważ wiedziałem, że w domu masz pełno ludzi...
- Więc pomyślałeś sobie: „Jeden więcej, jeden mniej, co za różnica” – przerwałam mu.

– Prawda?

- Mogę mu powiedzieć, żeby poszedł do hotelu.
 - Nie, Roberto, nie. Jeśli jest twoim przyjacielem, jest także moim.
- Ujrzałam, że w naszym kierunku zmierza duży, masywny chłopak z gęstą rudą brodą. Wyglądał jak wiking. Miał szczerzy uśmiech – wiecznie goszczący na jego twarzy, jak później odkryłam – wełnianą żółtą czapkę, koszulę w czerwoną kratę i zgniłozielone spodnie. Oraz kolorowe trampki. Wyglądał jak z reklamy Benettona, ale gabarytami przypominał raczej Hulka. Brakowało mu jedynie dziewczyny Azjatki u boku.

– *Hi! I'm Eric. Sara, I suppose*⁸.

Podał mi rękę, a potem ucałował w oba policzki. Promieniował zaraźliwą energią.

- *Yes, nice to meet you*⁹. – Tu popatrzyłam na Roberta. – I mówi tylko po angielsku?
- I mało hiszpańskiego – odpowiedział rudzielec.
- Tym lepiej. Bo mój angielski jest nieco zardzewiały – tłumaczyłam się.
- To Roberto mówił, że powiesz. Zardzewiały angielski.
- Tak? – Spojrzałam złym wzrokiem na Roberta.
- Nie obrażaj się, głuptasku. To dlatego, że tak dobrze cię znam. Idziemy?
- Terminal 4 wiele kolorowy – stwierdził Eric. – Podobam sobie.
- Podoba mi się – poprawił go Roberto.
- *Do you like it too?*¹⁰ – spytał rudzielec.
- Nie. Mówię, że się mówi „podoba mi się”, a nie „podobam sobie”.
- Zostaw go, może się sobie sam podoba i to właśnie chciał nam przekazać...
- Podoba misie. Misie. Misie – powtarzał Eric. – Nie zapomnę dłużej.
- No to już, misiu, do wozu – powiedziałam dziarskim głosem. Nie pozostało mi nic innego, jak robić dobrą minę do złej gry. W końcu, jak mówi przysłowie, od przybytku głowa nie boli, choć nietrudno było ustalić, że liczba niezapowiedzianych gości w moim domu zwiększyła się do czterech.

Wsiedliśmy do mojego fiacika 500. Obawiałam się, że Eric może się nie zmieścić. Roberto spytał, czy to dla mnie problem, żeby gość usiadł z przodu, gdzie mu będzie wygodniej. Sam Roberto nie widział problemu w tym, że będzie podróżował na tylnym siedzeniu. Nic nie działało się tak, jak się spodziewałam, nawet w koszmarach sennych nie uroiłam sobie powrotu z lotniska z dużym, rudowłosym, nieznanym facetem na przednim siedzeniu, podczas gdy mój dawno niewidziany narzeczony będzie się kulił gdzieś z tyłu.

– Oczywiście, nie ma sprawy. Eric, usiądź z przodu.

Udało nam się wepchnąć jedną walizkę do bagażnika, pozostałe dwie musiały wylądować

na tylnym siedzeniu. Sardynki w puszcze mają luksusowe warunki w porównaniu z nami, umieszczonymi wreszcie w środku. Wyjechałam z parkingu. We wstecznym lusterku widziałam Roberta przygniatanego przez bagaż. Uśmiechał się do mnie. To nappełniło mnie spokojem. Był już na miejscu, był ze mną, to było jedyne, co się liczyło.

Spojrzałam na Erica i zapytałam:

– Pierwszy raz jesteś w Madrycie?

– Tak. Pragnęłbym poznać.

– A gdzie nauczyłeś się hiszpańskiego?

– Jako młody pracowałem w Mexican Restaurant w Londynie.

– Musisz usłyszeć, jak śpiewa piosenki Chaveli Vargas, zna cały repertuar – powiedział

Roberto.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

– Najdobrzejsza nauka na świecie. Jej muzyka i tequila.

– Niezła metoda. Ale, prawdę powiedziawszy, nie wyobrażam sobie ciebie śpiewającego bolero.

– Zaśpiewaj coś, Eric – rzucił Roberto. – Udowodnij jej, na co stać Norwegów.

– Proś jaka piosenka – zaproponował rudzielec.

– Nie wiem... *La llorona*?¹¹ Naprawdę zaśpiewasz?

– Facet się nie certoli, zobaczysz.

I podczas gdy utknęliśmy w koszmarnym korku na jednej z dróg dojazdowych do Madrytu, Eric, norweski wiking, rudy i ogromny, przeobraził się w Chavelę Vargas.

– *Todos me dicen el negro, llorona, negro, pero cariñoso. Yo soy como el chile verde, llorona, picante, pero sabroso...*¹²

Nie posiadałam się ze zdumienia. Eric śpiewał bardzo dobrze, z fajnym, meksykańskim akcentem. Uśmiechnęłam się do odbicia Roberta we wstecznym lusterku.

– *Tápame con tu rebozo, llorona, porque me muero de frío...*¹³ – ciągnął Eric.

A kiedy skończył, zaintonował *En el último trago*¹⁴. Roberto dołączył i nawet mnie udzielił się nastrój meksykańskiej fiesty, i też zaczęłam śpiewać. I wszyscy troje: rudy wiking, niewidziany od roku narzeczony i ja, tłocząc się w maleńkim samochodzie w ogromnym korku przywoływaaliśmy ducha Chaveli Vargas. Życie niekiedy jest właśnie takie. Nieprzewidywalne i zabawne.

– *Tómate esta botella conmigo y en el último trago nos vamoos...*¹⁵

Udało mi się zaparkować względnie blisko domu, a ponieważ pora obiadu już mijała i wszystkim nam kiszki grały marsza, postanowiliśmy zostawić walizy w samochodzie i iść coś zjeść. Coś *typical spanish*, żeby zrobić przyjemność Ericowi. Który z entuzjazmem i wdzięcznością witał wszystko, co pojawiało się na stole, a potem wychwalał pod niebiosa: jajka z szynką – *magnificent*; krokiety z ryby – *awesome*; tortilla z kartoflami, dość mierna w istocie, ale dla niego – *gorgeous*. Podczas gdy jedliśmy, szukałam kontaktu z Robertem, a to pocierałam nogą o jego nogę, a to kładłam dłoń na jego dłoni, a on uśmiechał się do mnie i nawet parę razy mnie pocałował. Jednak ewidentnie było widać, że okazywanie uczuć w obecności Erica go krępowało, co byłam w stanie zrozumieć. Musiałam pohamować swoje popędy, do chwili gdy będziemy sami w pokoju. Ale ponieważ nie miałam chęci hamować ich ani chwili dłużej, poprosiłam o rachunek. Eric uparł się, że zapłaci.

– Twój dom, ja płacę.

Spodobało mi się to hasło, nie protestowałam zbytnio i Eric uregulował rachunek.

Roberto wyjawiał mi, że sytuacja finansowa wikinga jest równie opłakana jak nasza, że Eric jest praktykantem w studiu architektonicznym – tym samym, w którym on pracuje – ale, według

niego, Norweg jest bardziej utalentowany niż wszyscy szefowie razem wzięci. „Zajdzie wysoko. Ma wizję, która wyprzedza nasze myślenie o lata świetlne. Wyczuwa, w którym kierunku podąży architektura w następnych latach”. Wychwalał go tak gorąco, że Eric poprosił, aby przestał. A kiedy Roberto przestał, Eric zaczął tyradę pochwalną na temat Roberta. Że broni etyki, że angażuje się w ochronę środowiska, że domy z surowców wtórnych, że...

– Zanudzimy Sarę – rzucił Roberto.

– Osoby, które z pasją mówią o swojej pracy, nigdy mnie nie nudzą – stwierdziłam.

Eric, niestety, zinterpretował to moje zdanie jako zaproszenie do dalszej dyskusji i – czemu nie udało mi się zapobiec – obydwaj faceci porzucili wzajemne komplementowanie się i wdali się w rozmowę na temat ostatnio oddanego budynku kogoś tam, kto zrobił coś tam, co według rozmówców było *clever and sophisticated, and cheap, so cheap, because the future has to be cheap*¹⁶. Wyciągnęliśmy walizki z samochodu i poszliśmy do domu. Obydwaj nadal rozmawiali o architekturze, gdy otworzyłam drzwi. A potem weszłam do środka i moje kroki zachlupotały tak, jakbym chodziła po kałuży. Taki lekki chlupot.

Spojrzałam w dół i ujrzałam, że cały korytarz zalany jest wodą na grubość dwóch palców.

– Co to?! Jezu drogi! – krzyknęłam spanikowana. – Zostawcie walizki na zewnątrz.

Poczekajcie tutaj.

Wpadłam do salonu, który także był zalany. Wszystko wyglądało tak jak rankiem, gdy wychodziłam; bałaganu nikt nie sprzątnął. Jedyнным pozytywem był brak leżących pokotem nieznanymi mi osobników. Papuga siedziała w klatce, na szczęście, ale popatrywała na podłogę – nawet ona wydawała się zaniepokojona potopem. Musiałam jak najszybciej stwierdzić, skąd się wzięła woda. Kuchnia? Łazienka? Zaczęłam wrzeszczeć:

– Lu! Lu!

W kuchni też była woda, chociaż niewiele. Przypuszczalnie nie tu było źródło powodzi. Na pewno woda nie pochodziła z pralki ani ze zmywarki. Ciągle krzykiem wzywałam siostrę. Podeszłam do drzwi łazienki, nadal zamkniętych. I wtedy to zobaczyłam: woda wypływała szparą pod drzwiami. Zaczęłam walić w drzwi pięściami. Roberto już był w domu, siedł korytarzem.

– Co się stało?

– Stąd wypływa woda, ktoś się zamknął od środka i nie reaguje. Jak znajdę w kiblu trupa, to chyba mnie jasny szlag trafi! Lu!

Rzuciłam się w kierunku pokoju siostry, wpierw błagając Roberta, żeby postarał się otworzyć drzwi łazienki. Wpadłam do środka i odkryłam, że Lu ciągle jeszcze śpi, owinięta wokół Aaróna, w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawiłam przed paroma godzinami. Ileż czasu można spać?

– Lu! – Bezceremonialnie zaczęłam ją szarpać. Obudziła się, a przynajmniej otworzyła oczy.

– Co się dzieje? Co się dzieje? – zapytała, najwyraźniej wciąż nieprzytomna.

– Cały dom zalany wodą! A wy sobie smacznie śpicie! – wrzasnęłam.

Do pokoju wszedł Roberto.

– Nie udało mi się otworzyć – powiedział. – Zadzwoń po strażaków? Hej, Lu.

– Witaj, Roberto – przywitała go rozespana Lu.

– Może wikingowi udałoby się je wyważyć? – zapytałam.

– Co za wiking? – zainteresowała się Lu.

– Wstawaj i obudź tego susła, twojego narzeczonego – wydałam jej polecenie.

Zesłiś z Robertem na dół, gdzie Eric pilnował walizek, stojąc na progu domu.

– Eric, czy dałbyś radę wyważyć drzwi? – spytałam.

Chyba nie bardzo zrozumiał, o co proszę, bo spojrzał na Roberta.

– Otworzyć drzwi kopniakiem lub ciężarem ciała. To pilne – wyjaśnił Roberto.

– *I can try*¹⁷.

– No to idziemy.

Eric podszedł do drzwi łazienki, obmacał je, spojrzał na klamkę i sprawdził, jak wygląda mocowanie zamka, po czym, zamiast rzucić się na drzwi całym ciężarem ciała, spytał:

– Masz *X-Ray*?

– Że co?

– Zdjęcie środka ciała z plastiku.

– Prześwietlenie? Po co ci prześwietlenie? – Pytanie wydało mi się absurdalne.

– Masz czy nie masz, Saro? – nalegał Roberto.

– Chyba mam pantomogram jamy ustnej, sprawdzę.

Poszłam do sypialni, także zalanej wodą, i zaczęłam grzebać w szafie. Pod stosem swetrów znalazłam kopertę z prześwietleniami. Zniosłam je Ericowi, a on – zręcznie jak złodziej – wsunął kliszę między framugę i skrzydło drzwiowe, poruszył nią w dół i w górę, i po kilku próbach udało mu się zwolnić zapadkę. Drzwi stanęły otworem.

W wannie leżał ojciec. Był ubrany, miał na sobie nawet buty. W jednej ręce trzymał popielniczkę pełną petów, w drugiej niedopitą szklankę whisky. Woda wypełniała wannę po brzegi i przelewała się na zewnątrz. Stąd potop. Ojciec spał albo był nieprzytomny, albo...

– Tato! – krzyknęłam strasznym głosem.

Podbiegłam i dość silnie poklepałam go po policzku. Otworzył oczy.

– Zimno mi!

– Od paru godzin leżysz w wannie! I zalałeś cały dom. Co się z tobą dzieje? Najpierw ten kolczyk, potem chlejesz i zażywasz, a teraz zasypiasz w wannie i niszczysz mi mieszkanie! Tato, ogarnij się!

– Hmm... mmm...

Roberto złapał mnie za rękę.

– Saro... Saro... – wykrztusił.

A temu co się znowu stało? Spojrzałam za jego wzrokiem na ścianę, na której wisiał grzejnik. Tuż obok rury w podłodze widniała niewielka dziura, którą woda spływała na parter. Prosto do mojej pracowni, która znajdowała się bezpośrednio pod łazienką... Ta plama wilgoci! Oczywiście, jeśli dobrze pamiętałam, to plama wilgoci była mniej więcej właśnie w tym miejscu...

– O nie! O nie! – Pogroziłam ojcu palcem, patrząc na niego znacząco. – Jeśli coś się stało, tato, jeśli stało się coś moim...

Nie czekałam nawet na odpowiedź, zresztą trudno było nie zauważyć, że ojciec nie był w stanie mi odpowiedzieć (ani zrobić niczego innego); nie wyszedł jeszcze z szoku i mamrotał tylko coś pod nosem na temat tego, jak to się mogło zdarzyć, że znalazł się w tej wannie i że jest zlodowaciały z zimna. Pobiegnęłam korytarzem, nieświadoma tego, że trudno jest biegać po podłożu zalanym wodą, poślizgnęłam się, straciłam równowagę, usiłowałam przytrzymać się ściany, ale bezowocnie, i rąbnęłam na tyłek. Poczułam ostry ból w kręgosłupie. Aarón, który wybrał ten właśnie moment, żeby wyjść z pokoju, był świadkiem spektaklu i rzucił się w moją stronę, żeby pomóc mi się podnieść. Nie dałam mu na to szans, nie chwyciłam wyciągniętej ręki, za to wrzasnęłam rozwścieczona:

– To wszystko twoja wina! Odurzyłeś mojego ojca, zasnął w łazience i popatrz, co się dzieje! A teraz zacznij się modlić, żeby nic się nie stało moim skrzydłom! Módl się!

Wstałam bez pomocy, usiłując nie dać po sobie poznać, jak bardzo boli mnie tyłek. Żeby

tylko nic im się nie stało, błagam, żeby nic im się nie stało... Zeszłam z trudem parę stopni po kręconych schodach i... To, co ujrzałam, zmroziło mi krew w żyłach.

– Niiieee!!!

Katastrofa

To było dużo, dużo gorsze niż moje wyobrażenia. Na suficie, tam gdzie zawsze pojawiała się plama wilgoci, zionęła teraz wyrwa o średnicy około piętnastu centymetrów, z której wylewał się strumień mętnej wody. Woda ściekała po jednym ze skrzydeł, które utrzymało się jakoś na regale; drugie spadło i leżało w brudnej kałuży... Ziścił się mój najgorszy koszmar, stało się coś tak potwornego, że nadal nie obejmowałam tego umysłem.

– Nie, nie, nie...

Zeszłam po schodach, krzycząc z bólu, jaki mi sprawiał stłuczony tyłek, ale jeszcze bardziej z przerażenia tym, co się stało. Odjęto mi wszystkie siły. Rzuciłam się do skrzydła leżącego na podłodze, żeby je ocalić. Jednak niczego już nie dało się zrobić. To, co przed kilkoma godzinami było wspaniałym skrzydłem Ikara, zamieniło się w nieforemny i cuchnący kłęb pierza. Przytulałam do siebie kurczowo moją zniszczoną pracę, gdy po schodach zaczęli schodzić Aarón, Roberto, Eric i Lu. Wycelowałam wskazujący palec w Aaróna.

– To twoja wina! Przez ciebie utraciłam skrzydła! Przez ciebie nie będę miała pokazu! Straciłam szansę na uratowanie mojej pieprzonej firmy! Z twojej winy!

– Może dadzą się jakoś uratować? – zasugerował Roberto.

– Jak? Chyba widzisz, co się stało? Niczego nie da się zrobić! A pokaz jest pojutrze, niech to cholera! I nie mam więcej piór! Wszystkie zużyłam na te skrzydła! Były takie piękne... Były!

Wybuchnęłam płaczem. Nie czuję się z tego dumna, ale nie byłam w stanie się opanować. Roberto wyminął Lu i podszedł do Aaróna.

– Cześć, jestem Roberto, bardzo mi miło.

– Aarón.

– A to jest mój przyjaciel, Eric...

– Też znaleźliście sobie moment na ceremonie powitalne – wykrztusiłam. Zaniiosłam się szlochem. – Jestem skończona, a wy prawicie sobie uprzejmości.

Roberto mnie przytulił.

– Już dobrze, kochanie, z pewnością coś da się poradzić – pocieszał mnie.

– Za...za...mmmor...duj... gogo... – Niezrozumiały bełkot przerywałam łkaniem.

– Co?

– Zabij tego łajdaka – wskazałam palcem na Aaróna. – Tylko to może mnie trochę pocieszyć...

Roberto spojrział na Aaróna. Ten miał skruszoną minę. Lu stanęła w jego obronie.

– To nie jego wina, Saro.

– Jak to nie? Jak to nie? Moje skrzydła, moja praca, mój pokaz, moje życie...

I znowu zalałam się łzami.

– To ja wpadłam na pomysł, żeby zrobić przyjęcie w domu. To ja się nie obudziłam, kiedy mnie o to prosiłaś – tłumaczyła Lu, szczerze przejęta.

– To jego wina. – Uchwyciłam się swojej wersji, jak pijany płotu. Słowa siostry docierały do mnie jak przez mgłę. – To twoja wina, Aarónie! Pojawiłeś się, żeby spieprzyć nam wszystkim

życie! – Teraz już naprawdę wyszłam z siebie. Rzuciłam siostrze spojrzenie pełne wyrzutu. – Nie rozumiem, dlaczego postanowiłaś wyjść za męża za kogoś takiego!

Roberto usiłował mnie uspokoić.

– No już dobrze, co się stało, to się nie odstanie. To był nieszczęśliwy wypadek, nie możesz tak zawzięcie zrzucać winy na szwagra.

– Nie jest moim szwagrem! I mam nadzieję, że nigdy nim nie będzie! – wrzasnęłam.

Eric wtrącił swoje trzy grosze.

– Hiszpańska rodzinka. *Strong feelings*¹⁸.

– Powiedz wikingowi, żeby się odchrzanił – rzuciłam do Roberta.

Aarón dał upust swojej kreatywności.

– Zdobądźmy suszarki, wentylatory, piecyki, cokolwiek się nadaje do suszenia. Ustawimy to na patio i wysuszymy pióra. Jeśli to konieczne, nawet jedno po drugim – zaproponował.

Kręciłam głową. Nic się już nie dało zrobić.

– Są zniszczone, połamane, posklejane, brudne... Nie nadają się.

– Może istotnie nie wszystkie dadzą się uratować, ale z pewnością wiele z nich. Coś zawsze da się poradzić... Zobaczysz – nalegał Aarón, nie poddając się.

– Nie, nie, nie! To nic nie da. Tato! – krzyknęłam w kierunku piętra. – Tato!

Ojciec, owinięty ręcznikiem, wyjrzał znad schodów.

– Co?

– Co? To! Spójrz tylko! Albo lepiej spadaj, zjedź mi z oczu. Wynocha! – Wiem, że w tamtej chwili nie byłam sobą. Krzyczałam jak opętana, a gdy ojciec wycofał się rakiem, opadło ze mnie podniecenie i oklapłam. Zupełnie się rozkleiłam.

Aarón szepnął do Roberta:

– Zabierz ją na górę, niech się przebierze, wypije coś ciepłego. A my – to było do Lu – bierzemy się do pracy. Ścierka, ręczniki. Zrób ojcu kawę i niech ci pomoże zbierać wodę. A ty, masz na imię Eric, prawda?

– Tak.

– Ty i ja zajmiemy się ratowaniem piór. Zabierzemy je na patio i będziemy się starali je osuszyć.

– To nic nie da... To nic nie da... – powtarzałam swoją mantrę. – Zresztą nie wiem, dlaczego teraz zamieniasz się w dowódcę tej akcji. Może i jesteś liderem zespołu rockowego, ale tutaj to nie ty rządzisz.

– Ojej, Saro, daj mu chociaż szansę – zaprotestowała Lu.

Umilkłam. Byłam w stanie rozkładu i pozwoliłam, żeby Roberto zabrał mnie na górę. Wchodząc po schodach, zauważyłam, że wszyscy zaczęli się gorączkowo krzątać. Ja funkcjonowałam na zwolnionych obrotach, a oni ruszali się tak, jakby ktoś włożył im nowe baterie.

To musi być sen, tak, z pewnością to wszystko mi się śni i wkrótce się obudzę.

Ale niestety, to była rzeczywistość.

Roberto otworzył drzwi do sypialni. Już miałam wejść, gdy na korytarzu ujrzałam ojca, który suszył sobie włosy ręcznikiem. Wytknęłam go palcem i ryknęłam:

– Ty, ty...! Nic mi nie masz do powiedzenia?!

– Przecież mówiłem, że ta plama wilgoci niedobrze wygląda.

– Aha, teraz na domiar złego zrucasz winę na mnie, tak?!

– No już dobrze, pomogę ci się przebrać – Roberto popychał mnie w kierunku sypialni.

– Sama mogę się przebrać, nie mam czterech latek! – wybełkotałam, a oczy znowu zapełniły mi się łzami.

Weszłam do pokoju. Byłam jak sparaliżowana, to wszystko mnie przerosło. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, od czego zacząć. Roberto zaczął wyciągać ubrania z szafy. Popatrzyłam na niego.

– To nie tak miało być. Od trzech tygodni czekałam na tę chwilę. Nawet kupiłam sobie seksowny komplecik, popatrz. – Otworzyłam szufladę i wyciągnęłam niebieskie majtki i stanik. – Twój ulubiony kolor. I miałam je włożyć, i miałam się z tobą przywitać tak, jak na to zasługujesz, jak obydwójce na to zasługujemy, i... Popatrz na mnie! Cała mokra, zapłakana, w domu potop i cała gromada niepożądanych gości...

– Ależ, kochanie, nic takiego się nie stało. Powinnaś już wiedzieć z doświadczenia, że sprawy nigdy nie układają się tak, jak byśmy sobie życzyli... a nawet, że niekiedy układają się lepiej.

– Lepiej? Jak lepiej, kiedy gorzej? Myślisz, że mam teraz chęć włożyć tę bieliznę i oddać się igraszkom w łóżku? Albo że ty masz ochotę na tę histeryczną, rozmazaną istotę, którą masz przed sobą? To nie tak miało być. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażałam...

– No chodź, wytrzyj się, przebierz, a ja zaparzę ci rumianku.

– Nie chcę rumianku! Przecież wiesz, że zawsze nienawidziłam rumianku!

Roberto patrzył na mnie ze zmartwioną miną. Zdałam sobie sprawę, że przesadzam.

– Przepraszam, przepraszam...

– Nic się nie stało, zrobię ci zielonej herbaty z cytryną. To lubisz, prawda? Widzisz, pamiętałem. No już, przebierz się...

Roberto wyszedł z pokoju i zostałam sama, przemoczona, przygnębiona, załamana.

Herbata dobrze mi zrobiła, suche ubrania także. I to, że Roberto objął mnie i głaskał po plecach.

– Poniosłam klęskę – powiedziałam twardym głosem. Z całą jasnością zdawałam sobie sprawę z tego, co naprawdę się wydarzyło.

– Nie mów tak – zaprotestował.

– Lepiej od razu się do tego przyznać, Roberto. Starłam się, pracowałam nad siłą. Dokonywałam wszelkich możliwych wysiłków, żeby rozkręcić piórowy biznes, ale mi się nie udało.

– Saro, wiedziałaś, że nie będzie łatwo. A jednak utrzymałaś się na rynku przez całe trzy lata w całkowicie niesprzyjających warunkach ekonomicznych. Ja nie nazwałbym tego klęską.

– Nie mam nawet na rachunki. Ojcu jestem winna trzy miesiące czynszu. A teraz, gdy miałam szansę, żeby pokazać publicznie moje prace, żeby uzyskać nieco rozgłosu, wszystko legło w gruzach... Wszystko na nic...

– Nie rzucaj ręcznika na deski, Saro.

– Co jeszcze miałyby się wydarzyć, żebyś zrozumiał, że wszystko zostało zaprzepaszczone? Jeśli to, co się stało, nie jest wyraźnym znakiem, to już sama nie wiem, co jeszcze mogłoby nim być.

– Kiedy ma być ten pokaz?

– Za dwa i pół dnia.

– Wiesz, ile to jest godzin? Całe mnóstwo.

– A ja chciałabym je spędzić z tobą. A nie zmarnować ich na coś, co i tak na nic się nie zda.

– Najważniejszy jest twój biznes, Saro.

– Dla mnie najważniejszy jesteś ty.

Roberto ucałował mnie czule w głowę. Wolałabym namiętny pocałunek w usta, ale i tak nie było to takie złe.

– Ale nie chcę posłużyć za pretekst, żebyś nie mogła realizować swoich marzeń
– odpowiedział. – Dopij herbatę i pójdziemy na dół, włączymy się do akcji ratowniczej.

Posłuchałam go. Czułam się już spokojniejsza i postanowiłam stawić czoła katastrofie jak przystało na dorosłą kobietę. Płacz i histeria przystoją raczej nastolatkom. Wszyscy byli na patio i pracowali, nawet mój ojciec. Który – musiałam mu to przyznać – wyglądał na ogromnie przygnębionego i skruszonego. Kiedy Aarón włączył suszarkę, pióra, którym udało się nie zamoknąć (przemoczone pióro waży trzy razy tyle co suche), zaczęły się odrywać od struktury skrzydeł i unosić w powietrze. Nie minęły trzy sekundy, a patio wypełniło się fruującymi piórami, jak podczas bitwy na poduszki. Eric złapał jedno w powietrzu, obejrzał, wygładził palcami i pokazał mi z zadowoleniem.

– Ty powiesz dobrze?

Wzięłam od niego pióro, przyjrzałam mu się uważnie. Życzyłam sobie, żeby było nienaruszone, żebym mogła potwierdzić, że do czegoś się nada, ale niestety, było zbyt uszkodzone, nawet po ufarbowaniu nie nadawało się do użytku. Pokręciłam z żalem głową.

– Nie, nie nadaje się.

– To jedno być może nie, ale wiele innych będzie całkiem w porządku, zobaczysz
– powiedział Aarón.

Chciałam mu uwierzyć. Chciałam zarazić się jego pozytywnym podejściem, udowodnić jemu i samej sobie, że nie składałam broni. Wzięłam się do pracy. Eric, Aarón, Roberto i Lu przy moim boku starali się ratować pióra. Ojciec musiał iść do pracy. Wyszedł ze spuszczoną głową, przepaszając za wszystko, ponieważ czuł, że to głównie on zaważył sprawę, a zanim wyszedł, powiedział jeszcze, żebym się nie krępowała dzwonić do niego w każdej chwili i że jeśli mógłby mi się na coś przydać... Podziękowałam mu i pozwoliłam, żeby sobie poszedł.

Widziałam, z jak wielkim poświęceniem pracują Eric i Roberto. Czułam się z tym źle. Nie przyjechali do Madrytu po to, żeby wykonywać to uciążliwe zajęcie. Poprosiłam ich więc, żeby już dali spokój. Bo nie dosyć, że uciążliwe, zajęcie okazało się bezproduktywne. Mijały godziny, a nam udało się ocalić bardzo niewiele piór. Zbyt mało, żeby mogły się do czegoś przydać.

Powiedziałam Robertowi, żeby zabrał Erica i pokazał mu Madryt, i chociaż obaj protestowali, udało mi się ich przekonać. Poszli więc sobie i zostawili mnie tylko z Lu i Aarómem.

W miarę jak robiło się coraz później, a stosik piór w dobrym stanie powiększał się bardzo powoli, zdecydowałam się zadzwonić w różne miejsca, skąd mogłabym uzyskać trochę materiału. Firmy, w których zwykle składałam zamówienia, mieściły się za granicą, w Chinach i Indiach, więc czas dostaw sięgał trzech tygodni. Kilka razy zdarzyło mi się kupować od sprzedawcy drobiu z ulicy Espíritu Santome przepiórki czy inne dzikie ptactwo, żeby je oskubać. Zadzwoniłam, żeby zamówić tuzin na jutro, ale okazało się, że nie mieli towaru. Jeśli nie przepiórki, to może kaczki? Nie wcześniej niż za tydzień, na jutro niemożliwe. Ferma strusi, z którą współpracowałam, zbankrutowała. Mogłabym szukać jakiejś innej przez internet, ale czarno to widziałam. Fermy przeważnie mają własnych, stałych odbiorców piór i nie mają całych worków towaru na zbyciu. Ponadto pióra strusi mogły się przydać na niektóre wyroby, ale nie na wszystkie, a już na pewno nie do naprawienia skrzydeł Ikara.

– Gołębie. Cały Madryt jest pełen gołębi – powiedział z namysłem Aarón.

– I co z tego? Co masz na myśli? Żeby je ukatrupiła i oskubała?

– Kiedyś widziałem, jak pracownicy komunalni łowili je w sieć. Rzucali im ziarno kukurydzy, a potem, gdy były zajęte dziobaniem... ciach, i wszystkie przykrywali siecią.

– Nie zaczniemy teraz łowić gołębi. Widziałeś kiedyś ich pióra? Szare, sztywne,

brudne... Nie nadają się. Nic nie poradzimy. Muszę zadzwonić do Davida i powiedzieć mu, że nie może na mnie liczyć.

– Nie. Nie możesz się poddać – stwierdziła Lu.

– Lu ma rację. Zrób mniejsze skrzydła albo coś wymyśl...

– Surowcem, z którego korzystam, są pióra. Nawet gdybym wysiliła wyobraźnię w niespotykany sposób, bez surowca niczego nie dokonam.

– No to musimy dalej się starać, aby ocalić ich jak najwięcej. – Aarón nie tracił nadziei.

Zapadł mrok, a my nadal trudziłyśmy się, susząc, czyszcząc, wybierając, odrzucając. Od czasu do czasu podrywałam się i łapałam za ołówek, by naszkicować jakiś pomysł, coś, co mogłoby zastąpić wielkie skrzydła Ikara, ale nie pociągało za sobą konieczności użycia aż tylu piór. Pomyślałam o nauszniczy: jest to rodzaj obrączki zakładanej na ucho, która może być ozdobą sama w sobie, ale też może stanowić podstawę do zamocowania łańcuszków, ozdób lub czegokolwiek, na przykład piór. Wtedy sama obrączka jest niewidoczna, natomiast wydaje się, że pióra wyrastają prosto z uszu. Rezultat, przy dobraniu odpowiedniego surowca, jest spektakularny. Ale potrzebne byłyby pióra bardzo kolorowe, egzotyczne, z pewnością nie pióra gołębia ani kuropatwy.

– O jakich ptakach myślisz? – spytał Aarón.

Wskazałam na obrazki wiszące na ścianie, trzy zdjęcia rajskiego ptaka, które wykonałam w ogrodzie zoologicznym. Chodziłyśmy tam czasem z mamą, i podczas gdy ona szkicowała abstrakcyjne wizje hipopotamów, ja przypatrywałam się upierzeniu ptaków, fotografowałam je i usiłowałam znaleźć w nich inspirację. Najbardziej lubiłam flamingi, ary hiacyntowe, kakadu białe i rajskie ptaki, o upierzeniu w żywych, ale zarazem subtelnych kolorach.

– A gdzie można zdobyć ich pióra?

– O ile mi wiadomo, tych gatunków nie sprzedaje się w żadnym sklepie zoologicznym.

A już na pewno nie rajskie ptaki. I nie będę kupowała żadnego ptaka, żeby oskubać go z piór, nawet o tym nie myśl.

Aarón nic nie odpowiedział. Nie zasugerował też już niczego więcej. Przypuszczałam, że zmęczył się podsuwaniem pomysłów, na które ja miałam tylko jedną odpowiedź: „NIE!”. Nawet starałam się myśleć pozytywnie, ale cóż, rzeczywistość była, jaka była.

Kupka ocalonych piór rosła, ale to nadal nie wystarczało. Lu, zmęczona i nadal na kacu, usnęła z pęczkiem pierza w ręku, siedząc na małym foteliku, który wyciągnęła z pracowni. I zaczęła chrapać. Jak na młodą, szczupłą i śliczną dziewczynę, chrapała wręcz przerażająco. Wydawała z siebie dźwięki jak nosorożec. Aarón uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, a ja też w końcu się uśmiechnęłam.

– Jak ci się udaje zasnąć przy tym chrapaniu? – zapytałam go.

– To cena, jaką jestem gotowy płacić za całą resztę – wyjaśnił szczerze.

– Tak mówisz teraz, poczekaj parę lat...

Pracowaliśmy we dwójkę w milczeniu i tylko miarowe chrapanie Lu przerywało ciszę. Sytuacja, jakkolwiek na nią spojrzeć, była dość absurdalna: Aarón i ja grzebaliśmy w stosach pierza, a moja siostra smacznie chrapała. Od czasu do czasu rzucałam z ukosa spojrzenie na Aaróna, bo powoli przechodziła mi nienawiść i chęć zamordowania go – tak, naprawdę miałam ochotę go zamordować – którą poczułam przed paroma godzinami. Byliśmy po raz pierwszy sami, pracowaliśmy ramię przy ramieniu. No tak, Lu też tu była, ale spała, zatem jakby jej nie było. Dlatego odważyłam się zadać pytanie. Znienacka, nie dlatego, żebym je sobie zaplanowała.

– Jak się poznaliście?

Aarón przez chwilę rozważał, czy podzielić się ze mną tą pamiętną chwilą. Przynajmniej tak to odebrałam – że rozmyśla, czy ma szczerze odpowiedzieć – ale w końcu rzucił się na

głęboką wodę.

– Pojawiła się w kulisach po jednym z naszych koncertów. Przyszła z kilkoma moimi znajomymi i, no cóż, olśniła mnie od pierwszej chwili.

– Tak, takie właśnie wrażenie wywiera na wszystkich.

– Wiesz, co mi powiedziała tamtej nocy? „Jestem zaprojektowana, żeby się podobać, ale nie ufaj mi. Łowię facetów, którzy wydają mi się interesujący, a potem ukazują swoją prawdziwą osobowość. A ta jest okropna”.

– Powiedziała ci to?

– Tak, i jej szczerość mnie rozbroiła.

– To typowe dla mojej siostry.

– Mówi to wszystkim?

– Ależ nie, nie. Miałam na myśli to, że gdy czuje się swobodnie, potrafi być brutalnie szczerą.

– Ja nadal usiłuję odkryć, jaka jest ta okropna prawdziwa osobowość, którą mnie postraszyła. Dasz mi jakiś trop?

Oczywiście, że miałabym niejedno do opowiedzenia. Dobrze wiedziałam, co miała na myśli moja siostra, gdy mówiła o swojej ciemnej stronie. Jestem głęboko przekonana, że wszyscy ludzie obdarzeni tak ekspansywną i ekstrawertyczną osobowością jak Lu mają swoją drugą stronę. Mogą być bardzo egoistyczni, kapryśni, inwazyjni. Są przyzwyczajeni do tego, że życie się do nich uśmiecha, że wszyscy ich dobrze traktują, że zawsze stawiają na swoim. I dlatego, gdy nie wszystko idzie po ich myśli, zwykli reagować w sposób nie całkiem przewidywalny. Do tego należałoby dodać, przynajmniej w przypadku mojej siostry, skłonność do depresji. Lu miała pewną tendencję do napadów smutku i melancholii, których przyczyn nikt nie był w stanie odgadnąć. Oddając sprawiedliwość prawdzie, muszę dodać, że ta druga, ciemna strona Lu nie dawała o sobie znać zbyt często, lecz gdy już się objawiła, mogła być – może dlatego, że była tak zaskakująca – całkowicie przytłaczająca dla jej bliskich. I tak samo jak zarażała innych swą radością, tak też przekazywała swojego doła. Tak, uważam, że to ta skłonność, połączona z gniewną, kapryśną i egoistyczną postawą, była tym, co moja siostra określiła jako swoją okropną osobowość. Nie miałam jednak zamiaru mówić o tym Aarónowi ani słowa; takie rzeczy każdy musi odkrywać samodzielnie. Z pewnością w ciągu tych dwóch miesięcy, które dzieliły ich od ślubu, będzie miał okazję doświadczyć czegoś z tego, o czym myślałam.

– Nie chcesz mnie chyba namówić, żebym mówiła źle o mojej siostrze? – zapytałam.

– Nie – odparł. – Ale ponieważ jesteś negatywnie nastawiona do naszego ślubu, pomyślałem, że będziesz gotowa opowiedzieć mi cokolwiek, byle tylko doprowadzić do zerwania naszego związku.

– W tym celu wolę mówić jej źle o tobie. Nie czuję się wtedy jak zdrajczyni.

– A co takiego straszego mogłabyś jej o mnie powiedzieć? – zdziwił się.

Popatrzyłam na niego, jakbym go widziała po raz pierwszy. Cóż takiego straszego mogłabym o nim powiedzieć, skoro prawie go nie znałam? Że wybrał ją, a nie mnie? Że przed laty zniknął bez śladu? Że już wtedy, przed laty, wolał całować inną?

– Prawie cię nie znam. – Tak właśnie odpowiedziałam. Bo to była jedyna rozsądna odpowiedź, której mogłam mu udzielić.

– Owszem, ale i tak uznałaś nasze małżeństwo za fatalny pomysł.

– Ona ma dwadzieścia lat, Aarónie. Rozumiem, że tobie, trzydziestolatkowi, to się podoba, ale ona jest jeszcze dzieckiem.

– Czy ten argument nie jest zbyt konwencjonalny?

– Ale ja tak właśnie myślę i wszystko mi jedno, czy moje myślenie jest konwencjonalne,

czy też nie. Chcę dla niej tego, co najlepsze.

– Ja też.

– Wiedziałeś, że jest moją siostrą?

– Zanim nie natknąłem się na ciebie w kuchni? Nie. Nie miałem o tym pojęcia.

– Nigdy ci o mnie nie mówiła? Nie łączyłeś mnie z dziewczyną z tamtego

przedstawienia?

– Nie.

– Zniknąłeś wkrótce po tamtej nocy.

– Tak. Moje rodzinne sprawy się skomplikowały. To, co najbardziej mnie bolało, to że nigdy już się nie spotkaliśmy.

Jego słowa mnie zmroziły. Dlaczego to powiedział? Żeby dobrze wypaść? Nie był świadomy tego, jak mnie dotykają, jak mnie boją? Jeśli powiedział to tylko po to, żeby być uprzejmym, bardzo się mylił.

– Z pewnością nie aż tak bardzo – odparłam.

– Mogę cię o coś spytać?

– Tak, oczywiście.

– Dlaczego tamtej nocy opuściłaś dyskotekę? Szukałem cię.

– Ach... Nie wiem... – skłamałam. Całkowicie zbił mnie z tropu. Dlaczego wspominał tamtą noc? To absurd, po tylu latach... – Może byłam zmęczona albo pijana... Nie wiem.

– Wiesz, tamtej nocy... powinienem się był odważyć.

– Odważyć się?

– Tak. Odważyć się sięgnąć po ciebie. Powinienem był cię pocałować. Ale się nie odważyłem.

Przełknęłam ślinę. To nie mogło się dziać naprawdę. Dokąd zmierzał? Dlaczego mówił mi to wszystko?

– Aarónie, proszę, daj spokój. Przecież minęło trzynaście lat.

– Ale to prawda. Musiałem ci to powiedzieć. Byłem tchórzem. Onieśmiałaś mnie.

– Ja? Ciebie? Onieśmiałałam? Jak to?

– Przewyższałaś wszystkich dojrzałością, talentem, umiejętnościami organizacyjnymi, pracowitością...

– Onieśmiałałam cię... – powtórzyłam.

– Tak. I żałuję, że się nie odważyłem.

– Nie wiem, dlaczego mówisz mi o tym teraz. To okropnie niestosowne. Moja siostra jest tutaj, chrapie sobie. I masz zamiar się z nią ożenić.

– Tak, wiem. Jestem z nią, nie zrozum mnie źle. Po prostu czułem, że muszę ci to powiedzieć.

Nie wiedziałam, co mogłabym zrobić albo dodać. Nie spodziewałam się, że coś takiego usłyszę, i nadal nie rozumiałam, po co mi to powiedział. To zburzyło mój spokój, a przede wszystkim było całkowicie zbyteczne.

– Obudź ją i zabierz stąd. Idźcie sobie – wydusiłam z siebie.

Spojrzał na mnie. Trudno przypuszczać, że nie zauważył, iż jestem poruszona i czuję się skrępowana.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem – powiedział.

– Nie, w porządku. Ale chciałabym zostać z tym sama i jeszcze trochę popracować. Już mi wystarczająco pomogłeś, dziękuję.

– Mogę jeszcze trochę zrobić.

– Nie, idźcie już spać.

– Uraziłem cię.

– Bo jest już późno. Jest już za późno o trzynaście lat, Aarónie. Tylko tyle. Żenisz się z moją siostrą, ja mam narzeczonego. Te wynurzenia są bezprzedmiotowe.

– Słuchaj, nie bierz tego aż tak poważnie. Nie deklarowałem się, powiedziałem ci to jedynie w luźnej rozmowie.

Powiedział to lekkim, koleżeńskim tonem. To mnie zabolalo. Było jasne, że dla niego ten epizod z przeszłości stał się już jedynie anegdotą i dlatego mi o nim opowiedział. Nie miał dla niego większego znaczenia, w przeciwieństwie do mnie. Gdy powiedział, że wtedy, przed laty, chciał mnie pocałować, poczułam, że ziemia rozstępuje mi się pod nogami. Było to uczucie podobne do tego, które poprzedza trzęsienie ziemi. A on natychmiast mnie przygasił. Odebrał mi nadzieję. Musiałam się opanować, musiałam zapanować nad chęcią dania upustu moim gwałtownym i przeciwstawnym emocjom. Chciałam krzyczeć, chciałam go wyzywać, i to nie dlatego, że powiedział czy zrobił coś okropnego. Tak przejawiała się moja reakcja na jego słowa, które mną do głębi duszy wstrząsnęły. Ostatkiem sił powiedziałam spokojnie:

– Idźcie już spać, proszę.

Aarón skinął głową, podniósł się, podszedł do Lu i szepnął jej do ucha:

– Księżniczko, idziemy do łóżka.

Lu otworzyła jedno oko i mruknęła:

– Nie jestem księżniczką, jestem Khaleesi.

Aarón się uśmiechnął. To musiał być jakiś ich osobisty żart. O ile dobrze pamiętałam, Khaleesi była jedną z postaci *Gry o tron*, serialu telewizyjnego, którym była zafascynowana moja siostra.

– Chodź, władczyni smoków, idziemy spać – odparł.

Ale Lu ponownie zamknęła oczy i Aarón, wiele nie myśląc, przerzucił ją sobie przez ramię i niosąc ją, wszedł po kręconych schodach.

Tak, właśnie mi wyjawiał, że przed trzynastoma laty chciał mnie pocałować, a teraz wnosił po schodach moją siostrę, swoją księżniczkę, swoją Khaleesi, swój słodki ciężar. I mają się pobrać.

– Dobranoc – powiedział.

– Dobranoc – odpowiedziałam.

Przeklęty. Przeklęty Aarón. Dlaczego musiał mi o tym powiedzieć? W imię czego? Dla niego to nic nie znaczyło, ale mnie rozstroiło jeszcze bardziej – o ile to możliwe. Rozdrapał moje rany. Jeśli tak dalej pójdzie, to nie zagoją się nigdy. Nigdy w życiu.

Roberto i Eric nadeszli niebawem. Bardzo z siebie zadowoleni. Walili do drzwi sklepu, nie zważając na późną porę i było ewidentne, że są więcej niż po jednym piwie.

– Madryt, *I love you!*¹⁹ – pokrzykiwał Eric.

– Dokąd go zabrałeś, że jest w takiej euforii? – spytałam.

– Po prostu do dyskoteki *Vía Láctea*. Bardzo mu się spodobało – odparł Roberto.

– Bardzo. Bardzo misie spodobało. Idziemy na karaoke wszyscy.

– Nie, teraz idziemy spać. Wszyscy. Jutro lub pojutrze idziemy na karaoke. – Roberto starał się zapanować nad sytuacją.

– Ja chcę karaoke!

– Do łóżka!

– Właśnie, bo bardzo się stęskniłam za narzeczoną – powiedziałam.

– Okej, okej. – Wreszcie zrozumiał. – Ty i on... *Of course, sorry...*²⁰

Dałam mu jakieś koce, żeby przespał się na kanapie stojącej w małym pokoiku, kiedyś używanym przez babkę jako spiżarnia, a mnie służącym za prasownię. Przeprasiłam, że nie

mam pościeli ani lepszego miejsca, ale Eric nie protestował. Przynajmniej nie cuchnęło tam papierosami, jak w salonie, poza tym nie dotarła tam woda. Chociaż, żeby oddać sprawiedliwość mojemu ojcu i siostrze, muszę przyznać, że nie było już ani śladu po zalaniu w żadnym pomieszczeniu, z wyjątkiem pracowni. Wszystkie podłogi zostały starannie wytarte. Eric padł jak długi na kanapę i Roberto przykrył go jednym z koców. Objęłam mojego dawno niewidzianego narzeczonego i spytałam:

– Idziemy spać?

– Skończyłaś już pracę? – spytał.

– Muszę się przespać. I potrzebuję być z tobą sama. Chyba że wielmożnemu panu coś się odwidziało i...

– No coś ty, głuptasku.

Poszliśmy się położyć. Muszę wyznać, że nie czułam się na siłach, żeby przypuścić atak seksualny, ale uważałam, że należy wykorzystać okazję. Nie chciałam, żeby wszystkie wydarzenia dnia uniemożliwiły mi zaznanie przyjemności z Robertem. Ponadto musiałam się jak najprędzej dowiedzieć, co takiego miał mi do powiedzenia, czego nie mógł mi wyjawić przez Skype'a i co go skłoniło do przyjazdu do Madrytu w celu bezpośredniego omówienia tego ze mną. No i nareszcie byliśmy sami.

Roberto zdjął koszulę i zaczął zdejmować T-shirt, ale zrezygnował. Albo był bardzo zmęczony, albo pijany, albo jedno i drugie.

– Pomóc ci? – spytałam.

Podniósł ręce w górę, jak mały chłopiec, a ja, ujmując T-shirt za dolny rąbek, ściągnęłam mu go z tułowia. Niewielki brzusek, porośnięty czterema włoskami na krzyż, uwidocznił się i dostrzegłam, że Roberto usiłuje go wciągnąć. Zdecydowanie trochę utył. Pocałowałam go, a on przedłużył pocałunek, ale zaraz zaczął się macać po brzuchu, oceniając nadmiar ciała.

– Muszę zmienić dietę – powiedział, jakby usprawiedliwiając się. – Te francuskie bagietki, te croissanty, za dużo sera.

– I tak jesteś przystojny.

– Niestety nie. Zaczynam przypominać własnego ojca. Muszę coś z tym zrobić.

Znowu go pocałowałam.

– Nareszcie sami. Tylko ty i ja – powiedziałam.

Runął na łóżko jak długi. Usiłował się uśmiechnąć.

– Cieszysz się, że jesteśmy znowu razem? Mimo tego wszystkiego, co się dzisiaj wydarzyło?

– No jasne – odpowiedział.

– A kiedy mi powiesz to, co miałeś mi powiedzieć? To, czego nie można wyjawić przez Skype'a?

– Ufff... Mamy przed sobą cały tydzień. Teraz jestem wykończony. To może poczekać. Patrzyłam na niego, usiłując ukryć, że czuję się zawiedziona.

– Jak wolisz.

Zaczęłam się rozbierać, zdjęłam buty i ustawiłam je pod łóżkiem, a gdy się odwróciłam, ujrzałam, że Roberto ma zamknięte oczy.

– Roberto, nie mów mi, że śpisz.

Nie odpowiedział.

– Roberto... Roberto...

Nic, żadnego znaku życia. Musiał już być w fazie REM. Nie mogłam wprost uwierzyć. Cały rok bez seksu, a teraz, przy pierwszej okazji do zmiany tego stanu, on zasypia. Zawsze miał tę zdumiewającą umiejętność, niemal nadludzka, żeby zasypiać w ciągu paru sekund.

Westchnęłam. Rozebrałam się do reszty i położyłam, przy czym musiałam go trochę przepchnąć, bo rozłożył się tak, że zajął niemal całe łóżko.

Objęłam go. I chciałam tak zasnąć, ale – być może z powodu tego roku rozłąki – nie mogłam znaleźć wygodnej pozycji. Najpierw spróbowałam przełożyć prawą rękę przez jego tułów, potem wepchnąć ją pod jego szyję, ale było mi niewygodnie. Na koniec poddałam się i skuliłam tyłem do jego pleców. Jeszcze nadejdzie czas, że będziemy spali przytuleni jak łyżeczki. Jeszcze nadejdzie czas, gdy nadrobimy ten rok bez seksu. Możemy na przykład zacząć jutro z rana, zaraz po przebudzeniu. Pamiętałam, że poranki to ulubiona pora Roberta na igraszki w łóżku.

Zanim zapadłam w sen, naszły mnie myśli o tym wszystkim, co mnie jutro czekało. Będę musiała zdecydować, czy przyznać się do kłęski, poddać się i uprzedzić o tym Davida, czy też spróbować wykorzystać ostatnią szansę. Ale nie chciałam o niczym decydować teraz, w nocy, śmiertelnie umordowana i wyczerpana. Na mgnienie oka przed tym, jak pokonał mnie sen, w głowie raz jeszcze rozbrzmiały mi słowa Aaróna: „Żałuję, że cię nie pocałowałem”.

Obudziły mnie promienie słońca padające mi na twarz. Byłam sama w pokoju. Roberto już wyszedł. Poczekałam chwilę w łóżku, nie tracąc nadziei, że drzwi się otworzą i wróci, ale po dziesięciu minutach zrezygnowałam i wstałam. Zamiast wyjść z sypialni w piżamie i szlafroku, ubrałam się. To była jedna z konsekwencji tego, że w domu było tylu gości: czułam się jak w hotelu i nie chciałam, żeby ktoś zobaczył mnie w dezabilu. Wiem, że ubieranie się tylko po to, żeby pójść do łazienki i tam się rozebrać, aby wziąć prysznic, a potem znowu się ubrać, było dość absurdalne, ale wolałam zadać sobie nieco trudu, zważywszy na tamten fatalny pierwszy występ w nocy nad rozlanym mlekiem.

W łazience zastałam ojca, Roberta i Erica. Klęczeli na podłodze, pochyleni nad dziurą przy grzejniku, którą wczoraj spłynęła woda. Ojciec najwyraźniej właśnie wygłaszał wykład na temat architektury i budownictwa początków XX wieku, czyli epoki, w której wzniesiono ten budynek. Trzej architekci byli pogrążeni w żywej rozmowie i zachwyceni swoim towarzystwem.

– Ten dom był jednym z pierwszych budynków w Madrycie wzniesionym z użyciem zbrojonego betonu. Stropy nie są drewniane...

– Ale tutaj występuje drewno...

– Tak, ale to jakaś późniejsza partanina. Dlatego musimy zaatakować problem w sposób całościowy... Zanim sprawy się jeszcze bardziej skomplikują.

– Powinieneś wysłuchać pomysłów Erica, Arturo. Facet jest błyskotliwy. Wybitny, wkrótce będą go sobie wrywać najlepsze studia architektoniczne. Powinieneś rzucić okiem na jego ostatni projekt. Wychodzi z takimi pomysłami, że będziesz zdumiony.

Co też najlepszego robił Roberto, zachwalając tak Erica, zamiast próbować się samemu sprzedać? Zawsze najpierw myślał o innych, dopiero później o sobie. Taki właśnie był. Ojciec kiwał głową i mówił: „tak, tak”, „chętnie rzucę okiem”, „będę zachwycony”, „kiedy tylko chciecie”. Przerwałam im tę sesję wzajemnej adoracji.

– Dzień dobry. Czyżby zebranie mędrców wyrokujących, co zrobić z przeciekiem? Jeśli trzech architektów nie da mu rady, nie ma dla mnie nadziei.

– *Good morning*²¹ – przywitał mnie Eric. – Dzisiaj więcej humoru?

– Zobaczymy – odparłam. – Czy mogę skorzystać z łazienki?

Ojciec podniósł się z klęczek i otrzepał nogawki spodni w okolicach kolan.

– Zadzwoń do Mariana, brygadzysty z budowy w Barajas, żeby tu potem wpadł z kilkoma robotnikami. Trzeba to niezwłocznie naprawić.

– Rychło w czas – odpowiedziałam niemal automatycznie. – Nie powinnam płacić ci czynszu za ten miesiąc.

– A ja powinienem brać od ciebie dodatkowo za użytkowanie mieszkania.
– Zwłaszcza teraz, kiedy sam tu mieszkasz, co nie? – odpyskowałam. – Czy mogę zostać sama w swojej łazience, szanowni panowie?

Wyszli wszyscy trzej. W progu złapałam Roberta za rękaw.

– Dlaczego nie miałbyś wziąć ze mną prysznic?

– Już brałem prysznic, Saro.

– Możesz to zrobić po raz drugi.

– Ale z twoim ojcem, tu, w domu, i z Erikiem... jakoś nie mogę... wszyscy zwrócą uwagę i...

– Nudziarz.

– Słodka. – Pocałował mnie i wychodząc z łazienki, rzucił: – Aha, dzisiaj Eric ma tę rozmowę o pracę. Nie będzie ci przeszkadzało, że z nim pójdę? Żeby się nie zgubił. Czy też mogę ci się do czegoś przydać?

– Co? Nie... nie. Idź, to żaden problem.

– Na pewno?

– Tak, oczywiście. Ale jakoś bardzo ci zależy, żeby komuś upchnąć Erica, prawda? Mojemu ojcu, tamtej drugiej pracowni... Chodzi ci o to, żeby został w Hiszpanii?

– No bo ty nie masz pojęcia, jak on mi pomógł, kiedy...

– ...kiedy byłeś w Paryżu – weszłam mu w słowo. – Oczywiście, nie przejmuj się. Idźcie.

Roberto uśmiechnął się radośnie i wyszedł z łazienki. Rozebrałam się i wskoczyłam pod prysznic. Właśnie się mydliłam przy zakręconych kurkach, gdy do łazienki weszli moja siostra i Aarón. Nie zorientowali się, że jestem w środku. Lu usiadła na sedesie. Usłyszałam ciurkanie moczu.

– Lu! – zaprotestował Aarón.

– Im szybciej się przyzwyczaisz, że w małżeństwie można robić takie rzeczy bez skrzępowania, tym lepiej.

– I po to mnie tu przyciągnęłaś?

– Nie. Żeby wspólnie wziąć prysznic. Ale wolę mieć pusty pęcherz, gdy do tego dojdzie.

– Świntucha! – roześmiał się Aarón.

Postanowiłam, że najwyższy czas się ujawnić, zanim sami odkryją moją obecność.

Zawołałam:

– Jestem pod prysznicem!

– Sara? Co ty tu robisz? – spytała Lu zdziwionym tonem.

– Jak to co? Biorę prysznic. A ty myślałaś, że przyszedłam tu śpiewać arie, czy co?

Byłabym wdzięczna za odrobinę intymności.

– To dlaczego nie zamknęłaś się na zasuwkę?

– Bo jestem przyzwyczajona mieszkać sama, bo się zacina, bo zapomniałam. Czy możecie mnie zostawić, żebym mogła dokończyć toaletę?

– Przepraszamy – włączył się do konwersacji Aarón. – Słuchaj, nie mogłem usnąć tej nocy i myślałem... Wpadłem na pomysł. To dotyczy piór.

– Może opowiesz mi o tym podczas śniadania?

– Mówiłaś, że w ogrodzie zoologicznym są różne ptaki, które ci się podobają.

– Rajskie ptaki, papugi, flamingi. Tak.

– Dlaczego nie mielibyśmy pójść do zoo?

Wysunęłam namydloną głowę poza zasłonkę prysznicza i spojrzałam na niego. Przez zmrużone oczy, bo bałam się, że piana dostanie mi się do oka.

– Do zoo? I co, może poprosimy strażników, żeby oskubali ptaki i podarowali nam pióra?

– Niczego nie mówiłem o skubaniu. Ptaki zrzucają pióra, nieprawdaż? Na skrzydła potrzebowałabyś mnóstwa piór, ale na takie mniejsze rzeczy, na kilka naprawdę wystrzałowych drobiazgów, z pewnością by wystarczyło... Coś takiego powiedziałaś wczoraj w nocy. Spojrzałem na godziny otwarcia. Zoo jest czynne do szóstej wieczorem. Powinniśmy się wybrać parę godzin wcześniej i zostać po zamknięciu. Kiedy już nie będzie nikogo...

– Chcesz, żebyśmy obrabowali ogród zoologiczny? – Spojrzałam na Lu. – Twój narzeczony ma nierówno pod sufitem.

– Wykorzystanie czegoś, czego nikt inny nie chce, to nie kradzież. Wiem, jak wyjść z ogrodu niezauważonym. Znam pewne miejsce, gdzie można przejść przez płot po rosnącym obok drzewie. A po zamknięciu zostaje tam naprawdę niewielu strażników. Wiem, bo kilka razy z kumplami zabraliśmy tam dziewczyny na prywatną wizytę.

– Zakradliście się do zoo, żeby zrobić wrażenie na dziewczynach? – spytała Lu.

– On to ma we krwi – powiedziałam, przypominając sobie tamtą nocną wizytę w przyklasztornym internacie sprzed tysiąca lat.

– I zadziało? – dopytywała się Lu, nie zwracając na mnie uwagi.

– Oczywiście. Z tym że zwierzaki siedzą już w swoich domkach i mało co można zobaczyć.

– Nie mam zamiaru napadać na madrycki ogród zoologiczny i trafić do więzienia – stwierdziłam kategorycznie.

– Odpowiedz sobie tylko na jedno pytanie: czy gdybyś miała do dyspozycji trochę piór flamingów i tamtych innych ulubionych ptaków, ocaliłoby to twój pokaz?

– Nie, Aarónie. Nie będziemy napadać na zoo. Dziękuję ci za twoją troskę, ale nie. I zaczynają mnie szczypać oczy od szamponu, więc byłabym wdzięczna, gdybyście... – Tu zrobiłam ręką gest w kierunku wyjścia.

Posłuchali mnie. Odkręciłam kurek i splukałam szampon z włosów i mydło z ciała. Nie mogłam jednak nie zacząć myśleć o tym, co mogłabym zrobić, mając do dyspozycji pióra flamingów i papug, i rajskich ptaków. To byłoby wspaniałe! W istocie o wiele lepsze niż pierwotny pomysł z ogromnymi skrzydłami Ikara. Ale nie, to nierealne, nie miałam piór i nie mogłam pozwolić, żeby udzieliło mi się szaleństwo Aaróna. To absurdalne. Zresztą, teraz gdy już wpadłam na pomysł, musiałam spróbować, czy nie dałoby się wprowadzić go w czyn, używając innego materiału, takiego, który miałam do dyspozycji. To jedynie kwestia farbowania, i już. Tak, tak właśnie zrobię.

Zrobiłam kilka pobieżnych szkiców mojego pomysłu, a gdy uznałam go za dobry, wzięłam się do farbowania. Im szybciej, tym lepiej, prędzej uda mi się utrafić w pożądaną tonację. Dużą część przedpołudnia poświęciłam na farbowanie piór, które ocaliliśmy po zalaniu. Chciałam uzyskać paletę różu jak u flamingów, pomarańcze i turkusy rajskich ptaków i modrości ary hiacyntowej. Jednak po wielu próbach musiałam przyznać, że wynik był bardzo daleki od tego, czego bym sobie życzyła. Z każdym nowym podejściem ogarniało mnie zniechęcenie. Z tak wybarwionymi piórami daleko nie zajdę.

O pierwszej po południu do pracowni zajrzał David. Gdy zobaczyłam go w drzwiach, krew ścięła mi się w żyłach.

– Co tu się działo? – spytał, spoglądając w górę i pokazując wyrwę w suficie.

– Nieprzewidziany wypadek. Ale sytuacja jest już pod kontrolą.

David chwycił jedno z większych piór, które dopiero co ufarbowałam na różowo. Było jeszcze wilgotne.

– Która paniusia ma taki tandetny gust? – zapytał. – Ktoś zamówił sobie takie paskudztwo do kapelusza?

To wystarczyło, żebym w całej rozciągłości uświadomiła sobie, że mam problem. Duży problem. Który muszę rozwiązać, i to już. David nalegał, żebym pokazała mu skrzydła Ikara, i musiałam dać z siebie wszystko, żeby go zniechęcić i odesłać, skąd przyszedł. („Jak będą gotowe, to je zobaczysz, nie wcześniej”). Byłam nieugięta, mimo że protestował, bo co niby miałabym mu pokazać? Jeszcze zanim opuścił pracownię, klamka już zapadła: tak, obrabujemy zoo.

Musiałam sobie chlapnąć drinka, zanim poszłam do Aaróna i Lu, by powiedzieć, że przyjmuję propozycję napadu. Że chcę, żebyśmy to razem zrobili. Drugiego drinka chlapnęłam, zanim opowiedziałam o tym planie Robertowi i Ericowi. Wiking był wprost zauroczony pomysłem, Roberto nie. Myślał, że majaczą. Z niedowierzaniem zapytał:

– To właśnie chcecie zrobić? Zakraść się do zoo? Serio?

– Nie będziemy się zakradać, normalnie kupimy sobie bilety. Jedyne co, to troszeczkę się spóźnimy z wyjściem – wyjaśniła Lu.

– Robicie sobie ze mnie jaja? Nie macie takich zamiarów. To tylko żarty, prawda?

– Roberto popatrzył na mnie.

– Zrobimy to – potwierdziłam. Takim tonem, że Roberto w końcu zdał sobie sprawę, że mówię serio.

– Nie pozwolę, żeby mój norweski przyjaciel trafił na komisariat. – Próbował negocjować.

– To, że mogłoby to spotkać twoją narzeczoną, jest ci obojętne? – oburzyłam się. – Nie obchodzi cię to, co mnie się może przydarzyć?

– Mówię to, bo jest cudzoziemcem. Niezbyt dobrze zna język. Jak będą go przesłuchiwać, to co im powie? Nie, Eric nie idzie. W żadnym razie.

– Ja mówię po hiszpańsku. Ja przyjdę do zoo.

– Pójdę – poprawił go Roberto.

– Ty przyjdiesz?

– Pójdiesz. Pójdę. Nie! To znaczy: ja nie pójdę i ty też nie pójdiesz. Sam widzisz, że nie znasz hiszpańskiego.

– A co to ma do rzeczy, czy zna odmianę czasowników? Chodzi o to, że rzucimy go strażnikom na pożarcie, jeśli sprawy się skomplikują – stwierdziła Lu.

Eric, usłyszawszy, na czym ma polegać jego misja, zaśmiał się ochoczo. Biedaczek z pewnością nie zrozumiał istoty sprawy albo też miał w czubie więcej niż ja.

– Awantura hiszpańska! – pokrzykiwał z entuzjazmem.

– Nie pójdiesz! – czepiał się Roberto.

– Słuchaj, zostaw swojego kumpla w spokoju. Jest pełnoletni i może samodzielnie podejmować decyzje – zirytowałam się.

– Jak pójdziemy, tak i przyjdziemy. O szóstej zamykają. O siódmej trzydzieści jesteśmy w domu obładowani piórami – podsumował dyskusję Aarón.

Jego prorocstwo nie do końca się spełniło.

Trochę się omylił.

Zoo

Popijając tequilę, wódkę o smaku karmelowym i wino, opracowaliśmy szczegółowy plan, wydrukowaliśmy kilka mapek zoo, skompletowaliśmy potrzebne narzędzia, a nawet kupiliśmy u Chińczyka na dole kilka masek, które mieliśmy zamiar założyć w celu zestresowania ptaków. To ostatnie wcale mi się nie podobało, bo nie chciałam im robić krzywdy. Aarón podał mi piersiówkę.

– Tu masz wódkę karmelową. Wiking też dostanie piersiówkę; z tequilą, bo wydaje się, że ją zdecydowanie preferuje. To nam doda sił i się rozgrzejemy, a przede wszystkim pozbędziemy się skrupułów, gdy już będziemy w akcji. Chodzi o to, żebyśmy wypili wystarczająco, żeby się trochę rozkręcić, ale żeby się nie upić. Zgoda?

– Wedle rozkazu, kapitanie – powiedziałam. – Chociaż wydaje mi się, że jestem już wystarczająco rozkręcona.

– Idziemy – stwierdziła Lu.

Roberto stał w drzwiach Rajskiego Ptaka i patrzył na nas z niedowierzaniem.

– Nie mam zamiaru wyciągać was z komisariatu. Nawet do mnie w tej sprawie nie dzwońcie.

– Srutututu trąbka z drutu – wyśmiałam go. I poszliśmy do samochodu.

Już mieliśmy wsiadać, gdy nagle rozdzwonił się telefon Lu. To był David, pilnie jej potrzebował. Nastąpiła nagła zmiana koncepcji i Lu musi natychmiast przyjechać i przymierzyć nowe kreacje. Lu usiłowała znaleźć jakiś wykręt, ale David był niewzruszony. Ma przyjechać zaraz, i już.

– Jedź do niego, Lu. We trójkę jakoś to ogarniemy – poradził jej Aarón.

– Myślisz? – spytałam nerwowo. Prawdę powiedziawszy, obecność mojej szalonej siostry podczas całego przedsięwzięcia była dla mnie gwarancją powodzenia. Wiedziałam, że jest w stanie wyjść cało z każdej ryzykownej sytuacji i w razie czego nas także wyciągnąć z opałów.

– My trzy możemy – stwierdził zdecydowanym tonem Eric.

Lu pożegnała się z nami, ściskając nas i całując, jakbyśmy udawali się w bój, ryzykując życie. Aarón postanowił prowadzić, bo mnie nieco szumiało w głowie. Oddalając się od domu, widzieliśmy, że Lu stoi i macha nam na pożegnanie. Zdjęta paniką, uśmiechnęłam się niewyraźnie. Co my najlepszego robimy? Chyba oszaleliśmy. Złapałam piersiówkę ratunkową i wypłam łyżeczek karmelówki. Aarón po raz kolejny streścił nam plan akcji. Po zamknięciu ogrodu ukryjemy się w zaroślach, tuż przy zagrodzie nosorożców. Przedtem musimy rozeznaczyć się w działaniach strażników. Aarón przewidywał, że będzie ich niewielu, i twierdził, że z całą pewnością także w zoo, podobnie jak wszędzie w kraju, zmniejszono zatrudnienie z powodu kryzysu.

Otworzył torbę, w której miał narzędzia, żeby po raz tysięczny sprawdzić, czy spakował wszystko, co niezbędne: obcęgi, śrubokręty... Potrzebowaliśmy ich do otwarcia klatek z egzotycznym ptactwem. Wolałam nie zastanawiać się zbyt nad tą częścią planu, ponieważ już sam pomysł, żeby zostać w ogrodzie po jego zamknięciu dla publiczności, wydawał mi się chuligaństwem, a co dopiero niszczenie klatek – to był po prostu akt wandalizmu.

– Przerzucę torbę przez mur, zanim wejdziemy do środka. – Spojrzał na mnie. – Masz worki na śmieci do zbierania piór?

– W torebce – odpowiedziałam.

Błyskawicznie dojechaliśmy do Casa de Campo. Wieczór był słoneczny; jeden z tych miłych, łagodnych wieczorów, jakie zdarzają się jesienią w Madrycie. Drzewa zaczynały się przebarwiać i na ziemi leżało już sporo liści. Madryt jest jednym z tych miast, którym jest do twarzy z wiosną i jesienią. Eric wpatrywał się w roślinność Casa de Campo z podziwem, jak gdyby miał do czynienia z tysiącletnimi sekwojami, a nie ze zwykłymi dębami ostrolistnymi.

– To jest park Casa de Campo, Eric. Płuca Madrytu.

– Podoba misie.

Udało nam się znaleźć miejsce parkingowe. Aarón postanowił wprowadzić w czyn pierwszą część planu.

– Poczekajcie tutaj, załatwię najpierw to. – Potrząsnął torbą z narzędziami.

– Nie! – krzyknęłam. – Lepiej najpierw my wejdziemy. Staniemy po drugiej stronie muru, uprzedzimy cię, gdy nikogo nie będzie w pobliżu, przerzucisz torbę i zaraz ją podniesiemy.

– W sumie masz rację – przytaknął.

Wyciągnął dwie mapy, które wydrukowaliśmy z internetu.

– Stanę dokładnie tutaj – wskazał punkt. – Gdy dojdziecie z drugiej strony i nie będzie nikogo, puście mi sygnał, a ja rzucę torbę, zgoda? No już, idźcie.

Eric i ja poszliśmy do wejścia. Nie było kolejki, co logiczne, bo komu się chce wchodzić na dwie godziny przed zamknięciem. Przed nami stało jedynie kilka osób, zapłaciliśmy dwadzieścia euro, co wydało mi się zdzierstwem, i weszliśmy do środka. Od razu skierowaliśmy się do miejsca wyznaczonego przez Aaróna; po drodze przeszliśmy obok flamingów różowych, których wybieg znajdował się tuż przy wejściu i był jednym z naszych dzisiejszych celów. Spojrzałam, czy na wybiegu leżą pióra, ale wypatrzyłam zaledwie kilka. Zawsze gdy tylko byłam w zoo, spędzałam wiele czasu na obserwacji flamingów – dla mnie jednej z największych atrakcji parku. Podziwiałam ich długie, różowe, niewiarygodnie giętkie szyje, nogi jak z drutu, wdzięczne i eleganckie ruchy, których mogliby im pozazdrościć prawdziwi arystokraci. Ptaków było około osiemdziesięciu i ich wybiegu, jako jednego z nielicznych, nie otaczała fosa. Gdy nadejdzie pora, ta część planu będzie bułką z masłem, musimy tylko pamiętać, żeby przeszukać domki flamingów, gdzie z pewnością będzie sporo piór. Dotarliśmy do muru i – po upewnieniu się, że nie ma w pobliżu żadnego strażnika – zadzwoniłam na komórkę Aaróna. To był dobry moment, bo w pobliżu znajdowało się zaledwie kilkoro odwiedzających, wpatrzonych we flamingi.

– Droga wolna, rzucaj!

– Niemożliwe – odpowiedział Aarón przez komórkę. – Z tej strony rośnie mnóstwo drzew, boję się, że torba się zaczepi. Musimy spróbować z drugiej strony. Na lewo od wejścia. Spójrz na mapę: to tam, gdzie są wilki polarne, renifery i niedźwiedź brunatny.

– Dobrze – odparłam.

Sprawdziłam na planie i poszliśmy tam. Musieliśmy poczekać dłuższą chwilę, bo oczywiście w tej części parku było dużo więcej zwiedzających. Zadzwoniłam do Aaróna.

– Jesteś już?

– Tak – odpowiedział.

– Ile metrów od wejścia?

– Bo ja wiem? Jakies pięćdziesiąt.

– Czy możesz dać nam jakiś znak, żebyśmy stanęli w dobrym miejscu?

– Spróbuję uderzyć w ogrodzenie.

Niestety, ani nie usłyszeliśmy, ani nie zobaczyliśmy niczego. Miotaliśmy się przez chwilę

w jedną i drugą stronę, aż postanowiłam skłamać, że jest w porządku, byleby rzucił wreszcie tę torbę. Przecież nie mogliśmy być bardzo daleko od siebie.

– Leeeci! – krzyknął Aarón.

Spojrzeliliśmy w górę i dobre trzydzieści metrów od nas ujrzeliliśmy torbę, która zatoczyła łuk nad płotem i spadła prosto na wybieg wilków kanadyjskich. Niemal pacnęła w ucho jedno ze zwierząt, spokojnie wygrzewających się na słońcu. Wilk poderwał się z miejsca i zawył. Jakiś chłopczyk wskazał paluszkami w niebo.

– Mamusiu, meteoryt – powiedział.

– Nie wygaduj głupstw, Borja – skarciła go matka.

Stado wilków otoczyło kręgiem torbę-meteoryt i zaczęło ją obwąchiwać. Zdenerwowani popatrzyliśmy z Erikiem po sobie. Opiekun zwierząt ostrzegł zwiedzających ostrym głosem:

– Kto rzuca jedzenie? Nie wiecie, że to zabronione?

Aarón, nadal przez komórkę, spytał:

– Macie ją?

– Zapomnij. Pełna porażka. Chodź do nas. Czekamy przy flamingach.

Wycofaliśmy się jak najprędzej z powrotem do flamingów, żeby nikt nie skojarzył nas z torbą. Czekając na Aaróna, przepatrywałam podłozę w poszukiwaniu piór.

Podszedł do nas Aarón. Wyglądał na wkurzonego.

– Skasowali mnie na dwadzieścia eurasów za wejście. Co się stało z torbą?

– Rzuciłeś ją wilkom na pożarcie – powiedziałam. – I to dosłownie.

– No to będziemy musieli ją odzyskać. Potrzebujemy tych narzędzi – stwierdził Aarón.

– Oszalałeś?

– Nie ma się czego bać. Te wilki są najedzone. Są przyzwyczajone do ludzi, oswojone jak psy. Wejdę tam, nie ma sprawy.

– Aarónie, nie mogę pozwolić, żebyś przeze mnie narażał życie.

– Jeśli ktoś tu zawinił, to ja. Zatem to ja muszę to naprawić.

– No dobrze – zgodziłam się – ale najpierw chodźmy do ptaków egzotycznych. Może się okazać, że narzędzia wcale nie będą nam potrzebne. Właśnie będzie pokaz lotów, urządzają je o tej godzinie. Zobaczycie, to coś wspaniałego – powiedziałam, starając się wykazać pozytywnym nastawieniem.

Po drodze do ptaków Eric zakochał się w pandach. Pandy są chlubą madryckiego zoo i nic w tym dziwnego. Spędzają całe dni na drzemce, ale gdy ma się szczęście zobaczyć je w trakcie aktywności, nie sposób nie ulec ich urokowi.

– *So big and tender. Look at his face!*²²

Musieliśmy go siłą odciągać od wybiegu.

– Na litość boską, Eric! Nie przyszliśmy tu oglądać ssaków!

Przechodząc obok wybiegu hipopotamów, ujrzeliliśmy sporą grupkę robotników – ściśle biorąc, było ich dziesięciu – w gumowcach i maseczkach. Sprzątali basen, a hipopotam w tym czasie wylegiwał się na słońcu. Natychmiast zdałam sobie sprawę z tego, że Aarón wykazał się zbytnim optymizmem co do liczby personelu. Prawda była taka, że wokół kręciło się więcej pracowników niż zwiedzających.

– Mówiłeś coś o tym, że były cięcia personelu? – rzuciłam.

– Nie przejmuj się. Zaraz wszyscy sobie pójdą – odparł.

Dokładnie w tej samej chwili przejechały obok nas trzy melekisy, załadowane pracownikami w koszulkach firmowych.

– Nie wiem jak ty, ale ja widzę jeszcze sześciu facetów...

Znajdowaliśmy się w sektorze małych. Setki pawianów z czerwonymi tyłkami patrzyły na

nas, gdy przechodziliśmy obok ich wybiegu. Wydawały się wiedzieć, że knujemy coś nielegalnego. Pawiany mają w sobie coś takiego, że czujesz się jak wtedy, gdy masz się poddać kontroli celnej i – chociaż nie masz ze sobą niczego nielegalnego – obawiasz się, że znajdą narkotyki w twoim bagażu podręcznym. Z pawianami jest tak samo: patrzą na ludzi z taką wyższością, że to aż przeraża.

Aarón pokazał palcem w górę. Na czymś w rodzaju wysokiej betonowej konstrukcji znajdowały się dwa ogromne gniazda bocianów.

– Sądysz, że bocianie pióra się nadadzą?

– Jeśli nie będziemy mieli niczego lepszego, to tak.

– Jak wejdziemy tam? – spytał Eric.

– Tam nie możemy, ale jest inna konstrukcja tego typu, bardziej dostępna, przy kaczkach, niedaleko restauracji. Tam może nam się udać... – odpowiedziałam. Alkohol sprawił, że wstąpił we mnie duch zuchwalstwa.

Szliśmy dalej i dotarliśmy do zarośli, o których wspominał Aarón. Miał rację, moglibyśmy się w nich ukryć. Między zwiedzającymi, których było tu sporo, swobodnie przechadzały się pawie. Zadowolone z siebie, kroczyły godnie, zupełnie nie zwracając uwagi na ludzi. Eric wskazał na nie palcem.

– Obrywamy pióra? To łatwe...

– Eric, błagam! Nie jesteśmy zwyrodnialcami. Nie krzywdzimy ptaków. Zbieramy tylko te pióra, które już wypadły.

Aarón się skrzywił.

– Jak na razie to zbyt wielu piór luzem nie widziałem. Może powinniśmy się nieco radykalizować?

Na ogromnej arenie do pokazów ptaków – nienagannie przystrzyżony trawnik i betonowe siedziska w półokręgu, na wzór rzymskiego teatru – właśnie zaczynał się spektakl. Gadatliwa prezenterka zaczęła od strofowania dzieci: miały się nie ruszać z miejsc ani nie krzyczeć, żeby nie płoszyć ptaków. Show zaczął się od ogłuszającej muzyki z odtwarzacza, po czym prezenterka dała znak treserom – naliczyłam ich ośmiu – rozstawionych w różnych miejscach areny: po bokach i między rzędami siedzeń. Pierwszymi wypuszczonymi ptakami były cztery przepiękne ary hiacyntowe. Wzleciały w górę i zaczęły okrążać arenę. Jeden z treserów stał blisko nas. Gdy ptak po zakończonym numerze usiadł mu na rękę, zachwycony Eric zrobił mu zdjęcie.

– Chcemy tego. *Wonderful feathers...*²³

– Eric, nie możemy go...

– Nie, nie – zastrzegł się. – Tylko dwa, trzy pióra.

Potem pojawiły się kakadu, żako i dwa tukany. Ponieważ Eric nie przestawał podskakiwać, pokazywać ich palcem i miał coraz bardziej entuzjastyczny wyraz twarzy potencjalnego porywacza, postanowiłam go stamtąd zabrać. Aaróna też. Przeszliśmy obok wybiegu sokołów i sępów, które były przywiązane łańcuszkami do palików i mogły jedynie podlatywać. Dostęp do nich był bardzo łatwy, gdyż nie było żadnego ogrodzenia. I co najlepsze, w trawie leżało trochę piór. Jednakże, mimo że uwięzione, ptaki drapieżne mogły poruszać się po wybiegu na odległość łańcuszka, więc ryzykowało się dziobnięcie, a ptaszyska bynajmniej nie miały malutkich dziobów. Parę metrów dalej stała ogromna wolierya ptaków egzotycznych, do której powinny trafić ptaki po pokazie. Sprawdziliśmy, że nietrudno będzie ją otworzyć. Trzeba tylko przepiłować kłódkę piłką do metalu. Ale cóż z tego, skoro narzędzia nadal znajdowały się u wilków. Na podłodze woliery leżało sporo piór, w tym dwa naprawdę wyjątkowo piękne.

– Musimy tam wejść, ale bez narzędzi nawet mowy nie ma, żeby nam się udało.

Chodźmy zobaczyć, gdzie dokładnie upadły – stwierdził Aarón.

Po drodze zwróciłam uwagę na rozwieszone wszędzie tabliczki ostrzegawcze z napisem, że teren znajduje się pod nadzorem kamer. Wskazałam je Aarónowi.

– Nie wzięłeś pod uwagę kamer.

– Z pewnością połowa z nich nie działa.

– Aha, akurat. To samo mówiłeś o pracownikach, że ich nie będzie, a jest ich wszędzie pełno.

– No to pójdziemy do sklepiku z pamiątkami i kupimy sobie czapki z daszkiem, żeby nie było widać twarzy.

Wilki nadal wylegiwały się na słońcu. Wskazałam Aarónowi torbę z narzędziami.

Przyjrzał się jej, a potem samym wilkom.

– Zupełnie jak psy husky. I popatrz na nie, są objedzone do przesyty. Przeżarte. Dobrze odżywione dzikie zwierzęta nie stanowią najmniejszego problemu.

– Dla tresera być może i nie, ale dla muzyka? Pozwól, że zwątpię.

Aarón machnął lekceważąco ręką i podszedł do ogrodzenia. Między nim a wilkami rozciągała się fosa ochronna, jak zawsze na wybiegach groźnych zwierząt. Natomiast nad samym wybiegiem zwieszały się gałęzie drzewa rosnącego po drugiej stronie płotu, co dawało pewną nadzieję.

– Wdrapię się na to drzewo, spuszczę po gałęzi i skoczę – powiedział Aarón. – Chwyć torbę, podbiegnę do fosy, złapię się siatki i wyjdę tu, w tym miejscu. Wilki nawet się nie zorientują.

– *Dangerous*²⁴ – stwierdził Eric.

– Dziękuję ci – powiedziałam. – My, rozsądni, jesteśmy w większości.

– Czym jest życie bez emocji? – spytał Aarón.

– Życiem do osiemdziesiątki – odparłam. – I nie pozwolę, żebyś tam wskoczył.

– No to zrobimy coś innego. Po godzinach otwarcia większość zwierząt jest zamykana w klatkach, gdzie spędzają noc. Poczekamy, aż wilki zostaną zamknięte, i wtedy pójde po torbę. Zadowolona?

Potwierdziłam z wielką ulgą. To brzmiało dużo lepiej.

– A teraz idziemy do sklepu po czapki – zakomenderował Aarón.

Eric dosłownie zwariował na punkcie pluszaków, które sprzedawano w sklepiku z pamiątkami. Podobały mu się zwłaszcza pandy i ośmiornice. Stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział pluszowej ośmiornicy. Szczerze mówiąc, ja też nie. Uwziął się, że kupi obydwie maskotki, pandę i ośmiornicę. Nie wierzyłam własnym oczom. Przyszliśmy tu w misji rabunkowej, a on kupuje sobie zabawki.

– Ośmiornice nie są nigdzie – tłumaczył się.

Gdy wyszliśmy ze sklepu z czapkami i maskotkami Erica, Aarón streścił nam resztę planu. Po zamknięciu ogrodu zdobędziemy narzędzia i pójdziemy się włamać do ptaków egzotycznych, potem odwiedzimy bociany, a na końcu flamingi. Musimy jedynie starać się unikać strażników.

Na dwadzieścia minut przed zamknięciem przez megafony zaczęto wzywać odwiedzających do wyjścia. Skierowaliśmy się dyskretnie do tego gęsto porośniętego roślinnością zakątka, który mieliśmy upatrzone. Poczekaliśmy, aż nie będzie nikogo w zasięgu wzroku, i ukryliśmy się, kucając w zaroślach. Z megafonów dobiegł nas głos, zapowiadający zamknięcie zoo za pięć minut. Z miejsca, gdzie byliśmy, mogliśmy dojrzeć wybieg hipopotamów i to, że otwierają się bramki do klatek, w których zwierzęta spędzają noc.

Poczułam, że serce zaczęło mi bić jak szalone. Złapałam piersiówkę i pociągnęłam łyk. Puls miałam nieregularny, czułam palpacje. Miałam świadomość, że jesteśmy przestępcami,

którzy chcą dokonać napadu na obiekt publiczny. No dobrze, którzy chcą zabrać pióra. Ale i to było nielegalne, nieodpowiedzialne, chuligańskie, to było...

– Pij – poradził mi Aarón, który z miejsca, w którym się kulił, musiał zauważyć, że mam zaburzenia rytmu serca.

– Jesteśmy szaleni – odrzekłam.

– Nie powiesz mi, że cię to nie bawi.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha. Co też alkohol robi z ludźmi!

W pobliżu nie było już nikogo, więc wyszliśmy z kryjówki. Skradaliśmy się z zamiarem dotarcia do wilków.

Aarón szedł jako czujka. I naraz ktoś go dostrzegł, tylko jego, bo my dwoje zdołaliśmy się ukryć za jakąś klatką.

– Proszę pana, zoo zostało zamknięte. Musi pan je opuścić.

– Eh...? Ach, tak – odpowiedział Aarón.

– Odprowadzę pana do wyjścia.

– To nie jest konieczne...

– Odprowadzę pana.

Aarón sapnął i nie miał innego wyjścia, jak posłuchać strażnika. Co my teraz poczniemy, pozbawieni lidera? Ogarnęła mnie panika. Eric położył mi dłoń na ramieniu, usiłując mnie uspokoić.

– Telefonuj do niego już.

Okazało się to zbędne, bo po chwili Aarón przysłał mi WhatsAppa: „Wszystko zgodnie z planem. Widzimy się u wilków. Przeskoczę mur”.

Udało nam się jakoś dotrzeć niepostrzeżenie w pobliże wybiegu wilków. Nie widzieliśmy po drodze niemal nikogo i uniknęliśmy wykrzyka. Skuliliśmy się pod drzewem w oczekiwaniu na Aaróna. Problem polegał na tym, że chociaż drzwi do klatek wilków stały otworem, zwierzaki wcale się nie kwapiły, by do nich wejść, i cieszyły się ostatnimi promieniami słońca. Wysłałam Aarónowi wiadomość: „Nie waż się skakać, wilki są na wybiegu”.

Jeszcze nie zdjęłam palca z klawiatury, gdy ujrzałam Aaróna na konarze drzewa. Chciałam krzyknąć, żeby go ostrzec, ale Eric zasłonił mi ręką usta, żeby nie zaalarmowała strażników. Aarón skoczył.

W tej samej chwili wilki, dotąd nieruchome jak posągi, postawiły uszy i podniosły się na nogi. Węszyły. Dostrzegły Aaróna.

– Szybko, musimy coś zrobić, żeby odwrócić ich uwagę. Hałas, jedzenie, cokolwiek...

Zdałam sobie sprawę, że nie zniosłabym tego, gdyby wyrządziły krzywdę Aarónowi, ugryzły go albo zraniły. To w tamtej chwili zrozumiałam, że zależy mi na nim o wiele bardziej, niż byłabym w stanie przyznać nawet przed samą sobą. Że chcę go, chcę go całego i zdrowego, że najbardziej na świecie się boję, że coś może mu się stać. Błagam, błagam, niech mu się nic nie stanie. Błagam. Niech te wilki nic mu nie zrobią! I zanim nawet pomyślałam, co robić, już trzęsłam siatką i wrzeszczałam histerycznie:

– Piesku, piesku! Chodź tu! Do nogi!

To samo robił Eric. Na jego krzyki wilki też nie zareagowały. Kierowały się prosto do Aaróna.

– Uciekaj, Aarón! Uciekaj! Torba nieważna! Ratuć życie! – krzyczałam, zachęcałam go do biegu, dyszałam... Tak, nie wiem doprawdy dlaczego, ale dyszałam tak, jakbym chciała zdmuchnąć świeczki na urodzinowym torcie.

Ani wilki, ani Aarón nic sobie nie robili z moich wysiłków. Aarón schwycił torbę, gdy jeden z wilków był już całkiem blisko.

– Uciekaj! Biegnij! Na litość boską! Biegnij! Gazu! Gazu! – wrzeszczałam, wychodząc wprost z siebie.

Aarón już biegł, z torbą w dłoni, biegł jak szalony, a wilki za nim, teraz już wyraźnie uformowane w szyk do pościgu. Jeszcze chwila, a go otoczą. A wtedy będzie po nim. I po mnie, bo ja tego nie przeżyję, umrę tu, na miejscu. Aarónie, błagam, błagam, potrzebuję cię, żywego i całego. Aarónie, biegnij, błagam, biegnij.

Jakimś cudem udało mu się dotrzeć do fosy w miejscu, gdzie dochodziło ogrodzenie z siatki. Uchwycił się go i wspiał na górę. Był ocalony! Udało mu się! Krzyczałam, skakałam, rzuciłam się Ericowi na szyję. Mało brakowało, ale udało mu się! Stado wilków zebrało się nad fosą i wyło wściekle.

– Hej, wy tam! Wy troje! Co tu robicie?! – krzyknął strażnik. Przy uchu trzymał walkie-talkie, którym zwoływał pomoc. – Troje intruzów w kwadracie dziewiątym.

Nasze hałasy i krzyki, zwłaszcza moje, zaalarmowały personel ogrodu.

Strażnik jechał w naszym kierunku meleksem, a my rzuciliśmy się do ucieczki, jakby sam diabeł nas ścigał.

– *Where are we going?*²⁵ – spytał Eric po angielsku, bo w chwilach napięcia automatycznie przechodził na ten język.

– Do wielbłądów. Tam przeskoczmy mur. Koniec misji! – krzyknęłam.

– Nie ma mowy. Nie po to ryzykowałem życie, żeby wrócić bez piór! – Aarón wskazał miejsce w krzakach, gdzie już raz się schowaliśmy. – Wracamy tam.

– Nie – zaprotestowałam.

– Tak – rzucił i chwycił mnie za ramię. – Biegniemy.

Ponieważ z nerwów nie byłam w stanie trafić do wielbłądów, pozwoliłam się pociągnąć w krzaki. Jakimś cudem udało nam się zgubić faceta w meleksie. Rzuciliśmy się na ziemię. Dyszeliśmy i splywaliśmy potem.

– Lepiej już sobie stąd idźmy – poprosiłam. – Już nas widzieli, już wiedzą, że tu jesteśmy. Nic się nie da zrobić, dzisiaj trafimy na komisariat, a jutro do gazet. To będzie koszmar. Ponadto już raz ryzykowałeś życie dla mnie i nie chcę, żebyś się narażał.

– Mamy misję – powiedział Eric.

– Słusznie, facet – zgodził się z nim Aarón. – Tak trzymać! Nie wyjdziemy stąd bez piór.

– Nie bez piór – powtórzył Eric.

Spojrzałam na nich. Co ja tu robię, skulona na ziemi, uciekając przed służbami publicznymi, z dwoma szaleńcami, którzy postanowili mi pomóc spełnić moje marzenie. Przerażona, pijana i zachowująca się jak tchórz.

– Co mogę zrobić, żeby cię przekonać? – spytał Aarón.

Pociągnęłam z piersiówki. Pocałuj mnie, pomyślałam. Pocałuj mnie, a mnie przekonasz. Tak, musiałam to przyznać. Nie mogłam dłużej zaprzeczać oczywistemu. W ciągu kilku godzin przeszłam od chęci zabicia go, dosłownie zamordowania, do miłości, tak po prostu, ni mniej, ni więcej, tylko do miłości. Uczucie, którym go kiedyś darzyłam, ożyło, ale było teraz o wiele silniejsze. Nie mogłam, nie byłam w stanie tego nie dostrzegać. Znowu napiłam się wódki. Jasne; cóż innego mogłabym zrobić?

– Potrzebuje przytulić – powiedział nagle Eric.

Spojrzeliliśmy na niego. Biedak wydawał się całkiem bezbronny i sztywny ze strachu. Z jednej strony chciał dokończyć misję, ale z drugiej – być może po raz pierwszy – zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wielki, przestraszony miś.

– Chcesz, żebym cię przytuliła? – spytałam.

Eric kiwnął głową. Szykowałam się, żeby go objąć, ale wskazał na Aaróna.

– Lepiej on.

Spojrzałam na nich, nieco zbita z tropu. Spryciarz z tego wikinga.

– Jeszcze? – spytał Aarón, obejmując go po koleżeńsku. Eric potwierdził. Aarón ścisnął go więc jeszcze przez chwilę, jak przyjaciel przyjaciele, bez wahania, bez absurdalnych przesądów, jak równy równego. Z prawdziwym uczuciem. To mi się także podobało. Bardzo.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Aarón.

Eric się uśmiechnął, a Aarón odwrócił się do mnie.

– Ty też chcesz, żebym cię przytulił? – zapytał.

Wiem, że powinnam była powiedzieć, że nie, że nie potrzebuję. To byłoby rozsądne. Ale umierałam z chęci, żeby poczuć jego ciało przy swoim. Zatem powiedziałam:

– Nie byłoby źle.

Gdy poczułam ciepło jego ciała i dotyk rąk, musiałam dokonać nadludzkiego wysiłku, żeby nie posunąć się dalej i nie poszukać ustami jego ust. Przez chwilę wydawało mi się, że on czuje to samo. Wpatrywaliśmy się sobie w oczy. Mój Boże! Jeszcze nigdy w życiu nikogo tak nie pragnęłam. Nawet jego samego przed trzynastoma laty. Pożądanie ogarniało całe moje ciało jak pożar, było silniejsze ode mnie. Czułam, że jeszcze chwila i wybuchnę, bo tyle pragnień nie mieściło się we mnie, szukało ujścia. Aarón przerwał magiczny moment, pytając:

– Już lepiej? Bierzemy się do pracy?

– Tak! – krzyknął Eric.

Pociągnęłam z piersiówki. Ogarnęłam się, jak mogłam. Spojrzałam na nich i się uśmiechnęłam.

– A niech was drzwi ścisną! Po pióra! – Pociągnęłam następny łyk. – Ale nie będziemy się włamywać do klatki ptaków egzotycznych. To zbyt ryzykowne. Idźmy tylko po pióra flamingów i bocianów, dobrze?

Eric i Aarón potwierdzili.

Po paru minutach wyszliśmy z kryjówki i podążyliśmy w kierunku restauracji. Kilka metrów od jej tarasu znajdowała się ta druga struktura z betonu, gdzie gniazdowały bociany. Uznałam, że dużo łatwiej będzie się dostać do nich niż do tamtych koło ptaków egzotycznych. Jakoś udało nam się przekraść do jej podnóża. Duże wzgórze z betonu było otoczone fosą z wodą, na której umieszczono sztuczne wysepki, służące setkom kaczek do budowy gniazd. Nie wiedzieliśmy, jak głęboka jest fosa, więc Eric wrzucił do wody kamyk i doszliśmy do wniosku, że ma niespełna metr. W jednym miejscu był rząd kamieni, po których, bez zamoczenia nóg, można było dotrzeć do betonowej wyspy. Trochę wyczucia równowagi, i już. Eric zgłosił się na ochotnika.

– Daj torbę – poprosił.

Wyciągnęłam kilka foliowych toreb.

– Ja wchodzę i biorę pióra. *You stay here* – powiedział. – *Are they dangerous?*²⁶ – spytał po namyśle.

– Jak niby mają być niebezpieczne? Nie, człowieku, skąd. Przecież to one przynoszą dzieci. To duże ptaszyska, ale łagodne – powiedział Aarón.

Eric, nie całkiem mu ufając, spojrzał na mnie. A ja pociągnęłam z mojej piersiówki i potwierdziłam.

– Całkowicie niegroźne. – Nie wiedziałam, czy jest tak w rzeczywistości, ale co tam.

Upewniliśmy się, że w zasięgu wzroku nie ma żadnego pracownika i rudy wielkolud, ufając naszym zapewnieniom co do łagodnego usposobienia bocianów, podkasał nogawki i już miał wejść na kamienie, gdy go zatrzymałam.

Nie mogłam pozwolić, żeby ktoś jeszcze ryzykował w mojej sprawie. Nie, już wystarczy.

Nie jestem bezbronną i bezwolną istotą, która czeka, żeby ją ocalić. To dla mnie są te pióra, więc to ja muszę je zdobyć.

– Ja pójdę, Ericu. Ja nazbieram piór – oświadczyłam.

– *Are you sure?*²⁷

– Tak. Zresztą ja najlepiej wiem, które zbierać.

Eric spojrział na Aaróna, jakby prosząc go o radę, ale ten tylko wzruszył ramionami. To moja decyzja, wydawał się mówić tym gestem. Jeśli sama chce...

– Daj torbę.

Wyjęłam mu torbę z ręki. Tym razem to ja podkasalam nogawki. Musiałam udowodnić obydwóm, zwłaszcza Aarónowi, z jakiej gliny jestem ulepiona. Stałam na pierwszym kamieniu, trochę zmoczyłam buty, ale potem złapałam równowagę. Dotarłam do betonowej struktury i zaczęłam się po niej wspinać na górę, gdzie były gniazda bocianów. Od razu dostrzegłam sporo piór i zaczęłam je zbierać do torby.

Byłam tak skoncentrowana na tym, żeby stawiać nogi we właściwych miejscach, żeby chwytać się rękami występow i jednocześnie zbierać pióra, że dopiero po chwili dotarło do mnie, że Eric wydaje z siebie jakieś dziwne odgłosy.

– Ko...ko...ko...

A ten co znowu?, pomyślałam. Czy ty oszalał, człowieku? Udajesz ptaka?

– Sara! Sara!

Tym razem krzyczał Aarón. Czyżby odkryli nas strażnicy? Odwróciłam głowę, żeby sprawdzić, o co im chodzi. Jeden i drugi z przerażonymi minami wpatrywali się w planszę na brzegu fosy.

– Tam są nie tylko bociany! Jest jeszcze... Jest ko... – Aarón nie zdążył mnie uprzedzić, gdyż w tej samej chwili poczułam, że coś przyciska mi dłoń do podłoża. Spojrzałam i ujrzałam wielką racicę. Śledziłam ją wzrokiem w górę i wtedy zobaczyłam... w całej okazałości... ogromną kozę.

To był jakiś gigantyczny okaz kozy górskiej, z wielkimi rogami w kształcie obwarzanka przylepionymi do czaszki. Ryknęła groźnie i spojrzała na mnie z taką nienawiścią, że momentalnie ogarnęło mnie przerażenie. Nigdy w życiu nie spotkało mnie nic tak okropnego. Nogi zaczęły mi się trząść. Drżenie ogarnęło także moją zuchwę i zaczęłam się jąkać.

– Śli...śli...śliczna kózka. Już so...so...sobie idę. Już schodzę.

Jednak z nerwów i roztrzęsienia nie byłam w stanie dobrze ustawić nóg, więc jedyne, co mi przyszło do głowy, to wciągnąć się na rękach na górę i uciekać tamtędy. Tak, racja, nerwy nie są dobrym doradcą. A to, że w przyływie paniki zmysły człowieka rzekomo się wyostrzają i możesz dać z siebie wszystko, w moim przypadku okazało się oczywistą nieprawdą. Wkrótce miałam się o tym dotkliwie przekonać.

Nie udało mi się nawet stanąć na nogi, bo piekielna koza bez ostrzeżenia ubodła mnie w klatkę piersiową. Potraktowana tak lekceważąco przez to głupie bydlę, straciłam równowagę. Przez chwilę poruszałam ramionami w powietrzu jak skrzydłami, co na niewiele się zdało (pióra miałam jedynie w torbie foliowej), po czym spadłam z wielkim rumorem. Z pluskiem wylądowałam w wodzie. Ponieważ znajdowałam się na wysokości jakichś trzech metrów, a fosa miała około metra głębokości, nic mi się nie stało. Podniosłam się, przemoczona do szczytu, zdezorientowana. Pomacałam się po piersiach, ale nic mnie nie bolało. Może to kwestia wyrzutu adrenaliny i wywołanego tym zaburzenia świadomości, może miałam krwotok wewnętrzny albo złamanych siedem żeber, ale faktem było, że nie odczuwałam żadnego bólu. Natomiast okropnie cuchnęłam zgnilizną.

Eric i Aarón rzucili się na pomoc, nie zważając na to, że zamoczą się w zgnilej wodzie.

Krzyknęłam, że nic mi się nie stało.

– Wszystko w porządku. Jestem cała i zdrowa. – Uniosłam torbę. – Zdobyłam trochę piór – dodałam, starając się robić dobrą minę do złej gry. Ale w gruncie rzeczy czułam się ponizona. Moje usiłowania, żeby zaprezentować się jako kobieta zdecydowana, jako superbohaterka, diabli wzięli. Ściśle mówiąc, raczej koza wzięła na rogi. Owszem, koza ogromna, diaboliczna i bardzo rogata, ale po prostu koza. Nie dosyć, że poniosłam klęskę w miłości i moja psychika runęła jak dąb rażony piorunem, to i moje ciało runęło w dół, rażone kozimi rogami. Cóż za niewiarygodny wprost koszmar!

– Koza! Załatwiła mnie koza... – skarżyłam się gorzko, gdy holowali mnie na ląd.

– To nie była koza, to bestia z piekła rodem – podsumował Aarón, żeby mnie trochę pocieszyć.

– *So big... and furious. That's bad karma*²⁸.

– Co za karma? Jaka zła karma, to moja głupota! Powinam była przeczytać na wywieszce, że jest tam jakieś chrzanione bydlę. Że też zawsze musi mi się coś tak głupiego przydarzyć! – mamrotałam. Byłam mokra od stóp do głów, śmierdziałam jak zsypany i trzęsłam się z zimna.

Hałas, jakiego narobiłam, spadając do wody, przywabił strażników. Kilku z nich stało już na brzegu, gdy wychodziliśmy z wody. Spróbowaliśmy uniku, rzuciliśmy się do ucieczki, ale tym razem nie mieliśmy szczęścia. Drogę zagroziły nam dwa meleksy. Zrobiliśmy w tył zwrot, ale tam też już stało trzech ludzi. To była klęska.

Zabrali mi torbę z piórami, chociaż próbowałam się opierać, ale na widok ich groźnych min odpuściłam. Moja psychika była nadal nadwyrężona straszliwym spojrzeniem kozy, tak że nie czułam się na siłach znieść więcej nieprzyjemnych spojrzeń. Gdy strażnicy zapoznali się z zawartością torby, popatrzyli po sobie z niedowierzaniem.

– Chcieliśmy tylko nazbierać trochę piór – wyjaśniłam.

– Piór?

– Tak. Nie mieliśmy zamiaru kraść żadnych zwierząt ani nic – ciągnęłam.

– Wszystko, co znajduje się w zoo, jest własnością Urzędu Miasta i Wspólnoty Madrytu.

– Popełniście przestępstwo – dobił nas inny strażnik, na wypadek gdybyśmy jeszcze mieli jakieś wątpliwości.

Zabrali nas do biura. Poinformowali, że zadzwonią po policję, a tymczasem zamkną nas w jednym z pomieszczeń. Co za wstyd! Jaki straszny obciach! Aarón usiłował ich przekonać, żeby nas uwolnili, bo przecież można nas było oskarżyć jedynie o pozostanie na terenie ogrodu zoologicznego po godzinach i o przywłaszczenie sobie niewielkiej ilości pierza. Niestety, strażnicy okazali się służbistami i stwierdzili, że zakradanie się i płoszenie zwierząt jest wykroczeniem zakwalifikowanym jako wandalizm.

– To my zostaliśmy spłoszeni. Ta potworna koza ją pobodła i wrzuciła do fosy – upierał się Aarón.

Wszyscy troje ociekaliśmy wodą, ale ja najbardziej, bo Aarón i Eric zamoczyli sobie tylko buty i spodnie do kolan. Idąc, zostawialiśmy za sobą mokre ślady. Byłam zeszywniała, trzęsłam się z zimna i ze wstydu. W budynku dyrekcji wszyscy pracujący tam urzędnicy, a było ich kilkunastu, śledzili wzrokiem nasz przemarsz. Wieść o naszych wyczynach szybko się rozeszła. Zaprowadzono nas do jakiegoś biura i zostawiono samych. Cały czas dygotałam. Aarón, zorientowawszy się w sytuacji, ściągnął kurtkę i sweter. Ujrzałam jego pępek i kawałek umięśnionego brzucha. Odwróciłam wzrok.

– Masz, zdejmij ciuchy i włóż mój sweter, jest suchy – zaproponował.

– A ty?

– Nic mi nie będzie, nie przejmuj się.

Spojrzałam na ubranie, które mi podawał. Zawahałam się.

– No już, nie bądź głupia, jeszcze dostaniesz zapalenia płuc – ponaglił mnie.

– Odwróćcie się, proszę – powiedziałam. Ta minoderyjna panienka, którą miałam w sobie (co za ohyda!), znowu dała o sobie znać.

– Jasne.

Odwrócili się obaj, a ja zdjęłam kurtkę, sweter i koszulkę. Fakt, że znalazłam się na wpół naga w obecności Aaróna, mimo całego stresu wywołanego zaistniałą sytuacją, lekko mnie podniecił. Matko droga, jestem beznadziejna! Ciekawe, czy on mnie ukradkiem podgląda? Włożyłam jego ubranie. Pachniało nim. Nagle poczułam się dużo lepiej.

– Już – powiedziałam.

Niemal w tym samym momencie otworzyły się drzwi i jeden ze strażników wprowadził do pokoju kogoś z kierownictwa.

– To ci ludzie.

Kierownik, pan około pięćdziesiątki – który wydał mi się znajomy, chociaż może to wrażenie zostało wywołane po prostu tym, że wyglądał tak, jak wyobrażamy sobie podróżnika przemierzającego dalekie kraje, jednego z tych, których widuje się na filmach, z wąsami i w ogóle – atletycznie zbudowany i opalony na brązowo, przyjrzał się nam dokładnie. Miał zde gustowaną minę.

– Czy można spytać, cóż takiego robiliście w zamkniętym zoo, krzywdząc zwierzęta? – zapytał.

– Nic nie powiem bez adwokata – odparł Aarón i rzucił okiem w moją stronę. – Mam świetnego adwokata, zajmuje się moimi prawami autorskimi – wyjaśnił. – Twardy facet.

Czy to jeszcze nie pogorszy sytuacji?, pomyślałam. Ale Aarón zrobił taką minę, jakby miał wszystko pod kontrolą, choć było oczywiste, że to blef i że jest się czym martwić.

– Jak chcecie – powiedział kierownik i podniósł słuchawkę. – Ana, połącz mnie z policją.

W tej samej chwili coś dostrzegłam: oparte o ścianę za biurkiem kilka transparentów. Odczytałam hasło na jednym z nich: „Oszukani przez fundusze. Chcemy odzyskać nasze oszczędności”.

Natychmiast pomyślałam o matce, o tym, jak w dzieciństwie odwiedzała ze mną zoo, o tym, jak wtedy w restauracji wyciągnęła z torebki foldery i schowała je na powrót z pewnym zażenowaniem. Ponownie spojrzałam na faceta z wąsem. Tak! To był on! To był mężczyzna, z którym zadawała się moja matka. Z pewnością poznali się na jednej z manifestacji, zaczęli rozmawiać, poruszyli temat ogrodu zoologicznego i tak, od rzemyczka do koniczka, gadu-gadu, aż w końcu ją uwiódł. Przeklęty! Chociaż, jak dobrze pomyśleć, to w tej chwili ten nieprzewidziany przypadek był mi bardzo na rękę. Musiałam go wykorzystać. Nie miałam innego wyjścia. Ośmieszyłam się publicznie, pobodła mnie koza, ale przyszedł w końcu moment, gdy będę mogła wykorzystać moją odwagę i przemyślność. Tym razem wszystko pójdzie jak po maśle.

– Czy zna pan Bertę Rodríguez? – zapytałam.

Usłyszawszy to nazwisko, mężczyzna się lekko zdenerwował.

– Dlaczego pani o to pyta?

– Bo to moja matka.

– Twoja matka? – Widać było, że moja odpowiedź całkiem zbiła go z tropu.

– Nigdy panu nie powiedziała, że ma córkę, która zawodowo zajmuje się piórami?

Od razu zaskoczył: zrozumiał, że mówię poważnie, że to nie żadne wymysły.

– I przyszłaś napaść na moje miejsce pracy po to, żeby się zemścić? – spytał.

Aarón i Eric patrzyli na nas zafascynowani, niczego nie rozumiejąc. O co chodziło z tą zemstą? Przecież przyszliliśmy tu po pióra. Skąd znam tego faceta? Co tu jest w ogóle grane?

– Nie, nie, w żadnym wypadku. Przecież nie wiedziałam, że pan tu pracuje. Ale zauważyłam te transparenty i skojarzyłam, że przed kilkoma dniami widziałam pana na manifestacji w towarzystwie mojej matki. Reszty się domyśliłam.

Facet z wąsem, kochanek mojej matki, odesłał na zewnątrz dwóch strażników, którzy mu towarzyszyli. I zanim odłożył słuchawkę, powiedział do niej:

– Ana, nie dzwoń na policję. To nie będzie konieczne.

Odetchnęłam z ulgą. Mężczyzna spojrzał na mnie i spytał:

– No to co? Wyjaśnij mi, co tutaj robicie?

– Prawda jest taka, że potrzebowaliśmy piór. Tylko tyle. Wiem, że nie powinniśmy byli tego tak załatwiać, że postąpiliśmy źle, że...

– Potrzebowaliście piór i zakradliście się do zoo? – Nadal nie dowierzał. – Nie mieliście innych sposobów, żeby się zaopatrzyć w pierze? Fermy kurze, fermy strusi, kaczek, kuropatw? Sam nie wiem... Mogliście na przykład wypatroszyć puchową kołdrę...

Aarón i Eric spojrzeli na mnie z widocznym oburzeniem. Dlaczego nie wpadłam na tak znakomity pomysł?

– Takie pióra się nie nadają. Są niskiej jakości – usprawiedliwiłam się.

– Aha – odpowiedzieli chórem.

Spojrzałam w oczy wąsaczowi, kochankowi mojej matki.

– To była nagła potrzeba.

– A nie wpadliście na pomysł... O, na przykład, żeby przekupić kogoś ze sprzątaczy, żeby zebrał dla was worek piór? Nawet to wydaje mi się mniej niemądre, niż zakradanie się tutaj. To był naprawdę świetny pomysł. Problem polegał na tym, że nikt z nas na niego nie wpadł.

– Jeśli nie ma pan zamiaru wzywać policji... – ośmielił się odezwać Aarón – to może moglibyśmy już sobie pójść?

Facet przyglądał się nam przez chwilę i widać było, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Moja matka będzie panu dozgonnie wdzięczna – starałam się go zmiękczyć.

– Odpowiedzcie mi tylko na jedno pytanie: dlaczego bociany? Tylko pióra bocianów was kręca?

– *Pink flamingos too*²⁹ – odezwał się Eric.

– Flamingi różowe?

– Tak – odpowiedziałam, ze wstydu spuszczać głowę.

Pan zasiadł za swoim biurkiem i spojrzał w ekran komputera. Kiwnął głową i złapał za telefon.

– Ana, połącz mnie z weterynarią. Dziękuję. Lauro, te dwa flamingi, które padły przed trzema dniami... Już są po sekcji? Poczekaj tam na mnie, nie wychodź.

Odłożył słuchawkę i kiwnął na mnie.

– Chodź – powiedział, po czym zwrócił się do chłopców: – Możecie na nią poczekać na zewnątrz.

– Możemy sobie iść? – spytał Aarón.

– Poczekajcie na nią przy wyjściu – powtórzył kierownik.

Wyszliśmy z pokoju. Podążałam za tym panem po korytarzach. Potem po schodach. Wszędzie, gdzie stapałam, zostawiałam mokre ślady. Milczeliśmy. Nie wiedziałam, o czym mielibyśmy rozmawiać.

– Mam na imię Sara – zagaiłam.

– Wiem – odpowiedział. – Ja jestem Ismael.

– Bardzo mi przykro, że...

– Już lepiej nic nie mów.

Weszliśmy do gabinetu weterynaryjnego. Zastaliśmy w nim kobietę ubraną w biały fartuch.

– Lauro, przedstawiam ci Sarę.

– Bardzo mi miło – powiedziała i wyciągnęła do mnie rękę.

Uścisnęłam ją, przezornie odsuwając się, żeby nie poczuła mojego oddechu zionącego alkoholem i odoru bagna, wydzielanego przez moją garderobę. Nadal od pasa w dół ściekała ze mnie woda, natomiast górę ciała miałam przyjemnie suchą dzięki swetrowi Aaróna.

– Jest przyjaciółką rodziny. Prowadzi badania... No cóż, w tym przypadku... Czy mogłabyś jej pokazać te martwe flamingi?

– Oczywiście, ale są rozkrojone i częściowo wypatroszone. To niezbyt miły widok.

– Nie sądzę, żeby się miała przestraszyć. Jest przyzwyczajona do widoku martwych zwierząt, prawda Saro?

Potwierdziłam, starając się sprawić wrażenie, że jestem nadzwyczaj pewna siebie, co bynajmniej nie było prawdą.

Laura wyciągnęła z kontenera dwa czarne worki foliowe i otworzyła je. Smród niemal zwałił mnie z nóg. Zobaczyłam coś, co przypominało dwa ogromne kurczaki z długimi, różowymi szyjami, z rozkrojonymi brzuchami, w których widać było skłębione jelita. Ismael podszedł i wyrwał jedno pióro. Podał mi je.

– Nadadzą się? – zapytał.

Dotyk pióra i jego kolor sprawiły, że zapomniałam o trupim smrodzie.

– Jest przepiękne. Tak – odpowiedziałam.

Ismael spojrzał na panią weterynarz.

– Kiedy je spalicie?

– Powinniśmy byli zrobić to już dzisiaj, ale mieliśmy nawał pracy – wyjaśniła kobieta.

– W porządku. – Spojrzał na mnie. – Byłoby wspaniale, gdybyś mogła je sobie zabrać, ale to byłoby niezgodne z przepisami.

– Rozumiem – odparłam.

– Ale sądzę, że nic się nie stanie, jeśli weźmiesz same pióra. Prawda, pani doktor?

– Nie chcę o niczym wiedzieć – stwierdziła pani weterynarz. – Jeśli za godzinę będę mogła zanieść do spalarni dwa trupy, wszystko będzie w porządku.

I nic więcej nie mówiąc, wyszła.

– Zadzwoń do swoich przyjaciół, niech tu przyjdą – powiedział Ismael. – Macie godzinę na oskubanie tych ptaków.

– Naprawdę?!

– Ale nikomu ani słowa, skąd wzięliście pióra – zastrzegł.

– Przyrzekam. Dziękuję. – Spojrzałam mu w oczy i odważyłam się dodać: – Rozumiem już, co moja matka w panu widzi.

– Lepiej niech to zostanie między nami, dobrze?

Skinęłam głową. Oczywiście, jak pan sobie życzy. Natychmiast poczułam, że zdradzam mojego ojca, i to w najpodlejszy sposób. Mimo to powiedziałam:

– Jest pan strasznie fajny... nawet te wąsy do pana pasują.

Zamknij się już lepiej, Saro. Wstydzilibyś się. Bo wyrazy wdzięczności to jedno, a co innego głupie podlizywanie się. Powoli zaczynałam się czuć jak Piotr, który wyrzekł się Jezusa po trzykroć. Małeńka zdrada wobec ojca, niech już będzie, ale to ostatnie zdanie, to było podłe

z mojej strony. Choć gdy spojrzałam na piękne różowe pióro, wyrzuty sumienia natychmiast mnie opuściły. Trzymałam w dłoni swoje wybawienie. Nie mogłam tego zaprzepaścić rozmyślaniami o tym, kto z kim chodzi do łóżka. W tej chwili to nie mogło mieć dla mnie najmniejszego znaczenia. Bardzo mi przykro, tato, ale popatrz, jaki piękny kolor mają te pióra...

Później, gdy wraz z Aarómem i Erikiem skubaliśmy flamingi, jednak nasza myśl, że tego wieczoru w ogrodzie zoologicznym zdradziłam mnóstwo osób. Ojca – bo pozwoliłam, żeby pomógł mi kochanek matki, siostrę – bo zakochałam się na śmierć i życie w jej narzeczonemu, wreszcie Roberta – bo zupełnie o nim zapomniałam. Ani razu o nim nie pomyślałam przez te wszystkie godziny. Nie miałam też pojęcia, co poczuje, gdy go znowu zobaczę. Czułam się całkowicie zagubiona.

Dialog wewnętrzny

Opuściliśmy zoo z obfitym łupem różowych piór. Wystarczy mi na nowy projekt skrzydeł Ikara, a nawet na naprawę kilku mniejszych przedmiotów uszkodzonych podczas zalania. Szalona przygoda wydała owoce. Miałam materiał, gorzej z czasem, bo do pokazu zostało jedynie półtora dnia. Będę musiała zarwać noc.

Gdy wracaliśmy moim autkiem, wytworzyła się w nim dziwna atmosfera. Milczeliśmy, być może dlatego, że wyparowała z nas adrenalina i rozluźniły się mięśnie, a ze zmęczenia nie chciało nam się nawet rozmawiać, ale możliwe też, że każdy z nas myślał o swoich sprawach. Ja – o pokazie i o chaosie, jaki zapanuje w moim życiu, jeśli natychmiast nie położę kresu wzlotom i upadkom uczuciowym. Aarón z pewnością myślał o Lu, może też o tym, co przeżył ze mną tego dnia – choć do niczego właściwie nie doszło i być może wszystko działo się tylko w mojej głowie. A Eric, rudy wiking, myślał Bóg raczy wiedzieć o czym.

Aarón zaparkował tuż obok Rajskiego Ptaka. Zastanawiałam się, w jakim humorze zastanę Roberta, ale największą niewiadomą było dla mnie jednak to, jaka będzie moja reakcja na jego widok.

Ale Roberta nie było ani w domu, ani w pracowni. Był natomiast mój ojciec, w towarzystwie Mariana, kierownika budowy: metr pięćdziesiąt wzrostu, wielki brzuch i przeredzone włosy. Wypisz wymaluj symbol seksu. Ale bardzo kompetentny i uzdolniony budowniczy, według mojego ojca, który poległ na nim we wszystkim już od ćwierćwiecza. Obydwaj panowie stali na drabinie i przyglądali się dziurze po zalaniu. Dziurze, to mało powiedziane, ponieważ skuli pół sufitu, uprzednio pokrywszy całą pracownię folią budowlaną, żeby gruz i resztki sztukaterii czegoś nie uszkodziły.

– A to co? – spytałam z niepokojem, wskazując na zdemolowany sufit i gruzowisko na podłodze.

– Nie przejmuj się, musieliśmy trochę rozkuć, żeby stwierdzić, na czym polega problem – odparł ojciec z poważną miną. Naprawdę wyglądał na zatroskanego.

– Czy to coś groźnego?

Ojciec westchnął.

– Miejmy nadzieję, że nie. Ale nie podoba mi się to. Wcale mi się nie podoba.

– Odwagi, Arturo. Już nie takie rzeczy widywaliśmy – powiedział Mariano.

– Przerażacie mnie – jęknęłam.

Mariano wykonał niezdefiniowany gest ręką. Przypuszczalnie chciał tym wyrazić lekceważenie dla problemu dziury.

– Spokojnie. To tylko tak wygląda, naprawę nie ma się czym przejmować – stwierdził.

– A kiedy to zalepicie? I kto to wszystko posprząta? Tato, to nie jest najlepszy moment na gruntowne rozwalanie wszystkiego. Potrzebuję tego miejsca do pracy, i to już. Dlaczego nie uzgodniłeś remontu ze mną?

– Uprzedzałem cię, że poproszę Mariana. A potem zadzwoniłem na twoją komórkę, ale nie odebrałaś. Mariano, pamiętasz moją córkę?

– Ależ ty urosłaś! – wykrzyknął Mariano.

– Mariano, mam trzydzieści lat. Już od dawna przestałam rosnać.
– Może tak mi się wydaje, bo dawno cię nie widziałem.
– Może. Co mi powiesz o tej dziurze? Kiedy ją zakleicie?
Skrzywił się w odpowiedzi, a mój ojciec właśnie wykrył coś, co mu się bardzo nie spodobało.
– O Boże! Ajajaj! – krzyknął. – Spójrz! Zgnilizna! Czy strop został zaatakowany?
Mariano ułamał kawałek drewna z miejsca, które wskazywał mój ojciec, z namaszczeniem rozgniół go w palcach, powąchał... Brakowało tylko, żeby zmierzył belce puls i gorączkę, bo wyglądał zupełnie jak lekarz w obliczu chorego.
– Nie umiem ci powiedzieć...
– Nie, nie! Dlaczego mnie to spotyka? Nie... – Ojciec zaczął głośno oddychać. Zszedł z drabiny i złapał się za serce.
– Tato? Dobrze się czujesz?
Nie odpowiedział. Nadal trzymając rękę na sercu, potoczył wzrokiem wokół.
– W głowie mi się kręci – oznajmił.
– Oddychaj, Arturo. Oddychaj równomiernie – poradził Mariano.
Przestraszyłam się. Nie wiedziałam, co robić, jak pomóc.
– Co robić? – zapytałam. – Wody? Zadzwoń po lekarza?
Mariano nie wydawał się specjalnie przejęty.
– Jak zaczniesz równo oddychać, poczuje się lepiej. Nie pierwszy raz mu się to zdarza. Ojciec spojrział na niego z wyrzutem.
– Mariano! – zakrzyknął ostrzegawczo. – Bo przestraszysz moją córkę!
– Już jestem przestraszona, tato – zauważyłam. – Jak to, nie pierwszy raz ci się to zdarza?
Co takiego właściwie ci się zdarzyło?
– Nic, to nic takiego. Lekarz stwierdził, że to napady lęku. Muszę głęboko oddychać, starać się rozluźnić, i już, po wszystkim.
– Za pierwszym razem myślał, że to zawał. Nie wyobrażasz sobie, jaki był cyrk.
Wzywaliśmy pogotowie, zabrali go prosto z budowy – wyjaśniał Mariano z zadowoleniem.
– Zamilknij wreszcie, człowieku! – wrzasnął ojciec.
– Tato, od kiedy ci się to zdarza? Mama o tym wie?
– Twoja matka nie musi o niczym wiedzieć, a tym bardziej nie teraz. Ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy, to żeby się nade mną użalała.
– Mariano, od kiedy ojciec ma te napady?
Mariano spojrział na ojca, jakby prosząc go o pozwolenie na odpowiedź, ale ojciec zdecydowanie pokręcił głową. To, że zabronił mu mówić, jeszcze bardziej mnie przestraszyło.
– Więc sam mi powiedz, tato – zwróciłam się do ojca.
– Od jakichś paru miesięcy – odparł.
– Od jakichś dwudziestu paru miesięcy, powiedziałbym – uściślił Mariano.
– Tato!
– To naprawdę nic takiego. To tylko lęki. Zresztą mam wszystko pod kontrolą.
– Pod kontrolą? Zajrzałeś do dziury i całkiem się załamałeś.
– Bo to nie jest zwykła dziura, kochanie. Bo być może będziemy musieli wymienić wszystkie stropy w budynku. A takie rzeczy to naprawdę grubsza sprawa. I to nie jest dobry moment, uwierz mi. To pociągnęłoby za sobą koszty, ogromne koszty...
Ojciec znowu zaczął spazmatycznie dyszeć i uniósł rękę do piersi. W tej samej chwili podjęłam decyzję.
– Tato, jeśli ten budynek wytrzymał sto lat i się nie zawalił, to powinien wytrzymać

jeszcze kilka, czyż nie?

– Tak... Ale prędzej czy później trzeba będzie stawić czoła problemom.

– To lepiej później niż wcześniej. Ani dla ciebie, ani dla mnie to nie najlepszy moment.

Tak więc zalepiacie tę dziurę, i już, było minęło. Lubiłam tę swoją plamę wilgoci...

– Saro, to poważna sprawa. Tego nie da się zamalować.

– Wiem, tato. Ale najważniejsze jest twoje zdrowie, nie ten dom.

– Ze mną wszystko w porządku, ale jak my teraz to wszystko... – Znowu spojrzał w górę.

– Mariano, proszę mi powiedzieć, czy ten budynek zawali się jutro albo w ciągu najbliższego roku?

– Przy trzęsieniu ziemi o sile pięciu stopni mógłby się zawalić.

– Ale nie jesteśmy w Kalifornii ani nad żadnym uskokiem tektonicznym, więc nie ma takiego niebezpieczeństwa, prawda? – dopytywałam.

– Prawda – odparł Mariano.

– No to postanowione. Zalepiacie dziurę i wzmocnimy stropy kiedy indziej. Twoje zdrowie, tato, na tym zyska, już nie mówiąc o mojej pracy.

– I zawsze możemy umieścić tu dwie metalowe belki, tak dla spokoju sumienia

– zaproponował Mariano. Spojrzał na mnie. – Bardzo by ci przeszkadzało, gdyby były na widoku?

– Ależ skąd – zapewniłam. – To będzie świetnie wyglądało w pracowni. Możemy sobie pozwolić na ten wydatek, tato?

Ojciec kiwnął głową.

– No to już. Postanowione. Dwie prowizoryczne belki i zapychacie dziurę.

Wydarłam z nich obietnicę, że przyślą robotników dopiero za tydzień, po pokazie i po wyjeździe Roberta. Bo, na litość boską, wystarczy już zamieszania w tym domu. Pomogłam ojcu i Marianowi zebrać i wyrzucić szczątki sufitu; im szybciej z tym skończymy, tym lepiej. Mariano pożegnał się i poszedł. Folia była już zdjęta, mogłam rozłożyć pióra na stole. Ale najpierw postanowiłam poważnie porozmawiać z ojcem.

– Tato, po pokazie pójdę z tobą do lekarza – oświadczyłam.

– Nie trzeba, kochanie. Naprawdę nie trzeba.

– A właśnie, że trzeba. I po pokazie usiądziemy i opowiesz mi, co się dzieje w twojej firmie.

– Nie chcę cię tym zanudzać. Zresztą to moja sprawa. Wystarczy, że ja się martwię.

– Tato, przed chwilą miałeś poważny napad lęku. Nie czujesz się dobrze. Jak mogłabym się nie martwić?

– To przez twoją matkę... Wszystko się na mnie zważyło... Ale ani słowa mamie.

Przyrzeknij.

Przyrzekłam, choć bez przekonania. Ojciec zmusił mnie, żebym przyrzekła jeszcze raz, wyciągając ręce do przodu, żeby mógł się upewnić, że nie krzyżuję palców. Kiedy byłam mała, zawsze tak robił, gdy miałam coś przyrzec. „Pokaż ręce”, mówił. Uśmiechałam się i pokazywałam mu je.

Ojciec wszedł na górę i zniknął mi z oczu. Musiałam, po prostu musiałam natychmiast porozmawiać z matką, opowiedzieć jej wszystko. Nie zważając na złożone ojcu obietnice. Zadzwoiłam, ale nie odebrała. To nic, zadzwonię później. Może po pokazie. Coraz więcej rzeczy zaczynałam odsuwać na „po pokazie”.

Wzięłam się do segregacji piór. To mechaniczne zajęcie, więc w głowie nie przestawałam mieć myśli o ojcu. Czyżby był zrujnowany? Do tego stopnia dotknął go kryzys? Nie, to niemożliwe. Jego firma była na rynku od dziesięcioleci, wybudowała setki domów. Taka solidna

firma nie może się przecież załamać z powodu trzech złych lat, prawda? Pomyślę o tym później. Po pokazie. O wszystkim będę myślała dopiero po pokazie. Mogę także spytać Roberta, co o tym myśli. Przecież też jest architektem. Może jemu będzie łatwiej się zorientować w tym, co mogło się stać z biurem architektonicznym mojego ojca.

Zadzwoiłam. Chciałam wiedzieć, gdzie jest i w jakim usposobieniu wróci do domu. Ale i on, podobnie jak moja matka, nie odebrał. Może się na mnie obraził? Może moje szaleństwo go zmęczyło, a ta wyprawa do zoo dobiła? Aarón i Eric weszli do pracowni. Eric już zdążył się przebrać, w przeciwieństwie do Aaróna. Oddali mi się do dyspozycji, proponując pomoc w segregowaniu i układaniu różowych piór. Nie skorzystałam jednak z ich propozycji; powiedziałam, żeby się zajęli swoimi sprawami. To, co było do zrobienia, musiałam zrobić sama, bez niczyjej pomocy: zdobyte pióra zamienić w wizję artystyczną.

Weszłam na górę, wzięłam prysznic, potem zrobiłam sobie kawę i postanowiłam wrócić do pracowni, by zabrać się do pracy. Po drodze zajrzałam do pokoju ojca i upewniłam się, że już śpi, lekko pochrapując. To mnie uspokoiło. Niemożliwe, żeby był ciężko chory, jeśli udało mu się tak błyskawicznie zasnąć. Zanim zesłam po kręconych schodach, dostrzegłam wchodzącego do łazienki Aaróna i nie mogłam się powstrzymać przed wyobrazeniem go sobie nagiego pod prysznicem. Ale natychmiast wyrzuciłam te myśli z głowy. Muszę się skoncentrować na pracy. Po pokazie będę miała czas na zastanowienie się nad całym tym galimatiasem uczuciowym. Jeszcze tylko półtora dnia. Muszę się opanować. Potem będę miała aż za dużo czasu, żeby się torturować czarnymi myślami o przeszłości.

Praca z piórami ma to do siebie, że – jeśli istnieje już projekt i gotowy szkielec konstrukcyjny – jest po prostu zajęciem manualnym: mechanicznym, monotonnym i bardzo pracochłonnym. Polega to na przyszywaniu lub przyklejaniu piór, jednego po drugim, według zaznaczonego wzoru. Przy tego rodzaju pracy ręce wydają się działać samodzielnie, a umysł w tym czasie swobodnie dywaguje i podąża tam, dokąd chce. No właśnie, robił to, czego najmniej bym sobie życzyła w tej właśnie chwili. Nawet moje usilne starania, żeby skoncentrować się na czymkolwiek, choćby na ulubionym serialu telewizyjnym albo ostatnio przeczytanej książce, spaliły na panewce, bo – jako osoba z natury obsesyjna – mogłam myśleć jedynie o jednej rzeczy. A raczej o jednej osobie. Tak, o nim, o Aarónie, rzecz jasna. O ojcu, muszę to z przykrością przyznać, już zapomniałam. Pożądanie tak właśnie działa, sprawia, że stajemy się zaborczy i egoistyczni. Dałam więc upust myślom i zaczęłam rozważać wszystko, co do niego czułam, od początku do końca i od końca do początku, to zaprzeczając własnym uczuciom, to znów się do nich przyznając, aż wreszcie postanowiłam wprowadzić trochę logiki do tych zapętlonych rozmyślań. W tym celu wyobraziłam sobie, że rozmawiam z moją przyjaciółką Inmą. Czasami zdarza mi się tak robić. W chwilach gdy nie mam jej pod ręką.

- A więc zakochałaś się w przyszłym mężu twojej młodszej siostry. I co teraz zrobisz?
- Nic. Będę się torturować w nieskończoność, i tyle.
- Moja droga, przestań opowiadać głupoty i postaraj się wrócić do rzeczywistości.
- Właśnie próbuję, dlatego cię wezwałam i rozmawiam z tobą, mimo że tak naprawdę cię tu nie ma.
- No to dlaczego nie zadzwonisz do mnie? Połączenia nie są aż takie drogie.
- Jakoś wolę przemawiać do ciebie wyobrażonej. Przecież o tym wiesz.
- Tak? Nie miałam o tym pojęcia.
- Często tak robię.
- Nawarzyłaś piwa, więc sama powinnaś je wypić. A nie wyręczać się mną. I to się nazywa przyjaciółka?
- No cóż, jednak zadam ci pytanie: Co mam zrobić z tym wszystkim, co czuję do

Aaróna?

– Zakochałaś się wprost nieprzytomnie.

– Tak. A zawsze myślałam, że miłość jest iluzją, wytworem wyobraźni...

– Coś jak ja w tej chwili.

– Coś w tym guście. Chodzi mi o to, że myślałam, że mogę to kontrolować. Zresztą zdaje sobie sprawę, że to uczucie niemożliwe. Że jest połączeniem traumy mojego nastoletniego ja wynikłej z tego, że mnie wtedy nie pocałował, i faktu, że pojawił się ponownie w moim życiu w najgorszym momencie i w najgorszy sposób. Oczywiście, to działa jak magnes. Przyciąga miłość. I pożądanie.

– No tak, a ponadto on zachował się w stosunku do ciebie naprawdę zajebiście. Naraził życie dla ciebie, a potem dał ci swoje ubranie, gdy byłaś przemoczona.

– Eric też naraził dla mnie życie, lub tak jakby, i nie jestem w nim zakochana. Ale przysięgam ci, że to wszystko, co namotałam, będę mogła odkręcić, jeśli tylko się postaram.

– No to już, bierz się do dzieła. I będziesz miała święty spokój.

– Aha...

– A jednak nie chcesz. Albo nie możesz. Przyznaj się.

– Nie wiem, Inma, sama nie wiem.

– No a on? Co on czuje? Pytam o to, bo jedno jest już jasne, mianowicie twoje uczucie.

Zakochałaś się jak ostatnia idiotka. Jesteś stracona. Ale on? Czy on coś do ciebie czuje? Bo jeśli nie, to sprawa jest prosta. Nie pozostanie ci nic innego, niż się z tym pogodzić. Trochę pocierpisz, i tyle. I będziesz żyła dalej. My, kobiety, uchodzimy z życiem z katastrof uczuciowych i idziemy dalej, jakoś sobie radzimy. Jedynie bohaterki filmowe do końca życia pozostają zafiksowane na jednej miłości. W prawdziwym życiu albo przewycięzasz takie nieodwzajemnione uczucie, albo w najgorszym razie odsuwasz je na bok i żyjesz własnym życiem.

– Cóż ja mogę o tym wiedzieć, co on czuje?

– No to się nad tym zastanówmy, od samego początku, od pierwszej chwili. Gdy cię zobaczył, z wrażenia wypadła mu z ręki szklanka. Pamiętał wasze rozmowy sprzed miliona lat...

– Tak. A potem nawet mi powiedział, że chciał mnie wtedy pocałować. Że żałuje, że tego nie zrobił.

– Powiedział ci to, a zarazem chce się ożenić z twoją młodszą siostrą? Co za łajdak.

– Ale potem narażał życie w zoo. I objął mnie, i patrzył na mnie w taki sposób...

– Nie da się ukryć, mieliście wielką chwilę. No to karty są na stole. Twoje głupie serce bije dla niego jak szalone, a on coś czuje. No i co teraz, co z tym zrobisz?

– Nic! On się żeni z moją siostrą! A ja mam narzeczonego! Kocham go i on mnie kocha.

– Ile razy się pieprzyliście, od kiedy wrócił z Paryża?

– Był bardzo zmęczony. A ja zdenerwowana. I dom pełen ludzi. To nie jego wina.

Wszystko wyszło całkiem na odwrót.

– Niech ci będzie. A teraz? Gdzie jest teraz?

– Ojej, Inma, nie mam pojęcia, gdzie jest. Ale on mnie kocha i ja go kocham.

– Uczepiłaś się go. Ze wszystkim tak masz. Uczepiłaś się go, uczepiłaś się swojego sklepu... Dzień po dniu zajmujesz się piórami, ale zamiast fruwać, czepiasz się ziemi.

– I co w tym złego? Człowiek powinien walczyć o to, w co wierzy, o to, co kocha. Życie to nie śmichy-chichy.

– Dziewczyno, napisz książkę z poradami psychologicznymi, daj jej tytuł *Życie to nie śmichy-chichy* i zobaczysz, zarobisz miliony.

– Nie wyśmiewaj się ze mnie.

– No bo jak czasami coś powiesz... Zupełnie jak moja babka, do cholery! Jak nie możesz mieć, czego chcesz, to czepiasz się czegokolwiek. Chociaż nie jest to dla ciebie dobre.

– Czyżbyś właśnie sugerowała, że Roberto nie jest dla mnie dobry?

– Od roku jest za granicą.

– No i co z tego? Uważasz, że nasza miłość nie wytrzyma roku rozstania?

– Sara, kochanie, oszukuj się nadal, jeśli chcesz. Ale odpowiedz: to, co czujesz do Aaróna, ten ogień, który spala cię od środka, czy kiedykolwiek czułaś to w stosunku do Roberta?

– I co ja teraz zrobię, Inma?

– To, co zawsze robisz: stchórzysz, odrzucisz to, co w życiu dobre.

– Co dobrego jest w zakochaniu się w narzeczoną siostry?

– Choćby to, że czujesz coś naprawdę, coś głębokiego, coś poruszającego. Wiesz, ilu ludzi dałoby wszystko, żeby znaleźć się w twojej sytuacji? Przeżywaś właśnie miłość jak z filmu. Jak z romantycznej piosenki.

– Raczej miłość jak z piekła.

– No właśnie. Jak z bolera. Bo czy w bolerach opiewa się szczęśliwą miłość? Nie. Miłość namiętną, nieodwzajemnioną, gwałtowną.

– Nie mogę dać się porwać uczuciu i popsuć wszystkim życia.

– Lepiej popsuć je sobie? Jeśli masz co do tego jasność, to po co mnie przywołałaś?

– Masz całkowitą rację.

– No to już, odłóż słuchawkę.

– Nie rozmawiamy przez telefon.

– No to ja odkładam i kończę. Żegnaj. I nie dzwoń do mnie o trzeciej nad ranem!

Takie wyobrażone rozmowy z Inmą odbywałam już przedtem. Jakże dobrze mnie znała! I ta wyobrażona Inma, i ta prawdziwa. A tym razem, no tak, posłużyła mi do tego, żebym podjęła decyzję. Chociaż natychmiast nasza inna wątpliwość: jakie uczucia żywi do mnie Roberto? Powiedział, że musi ze mną porozmawiać, ale nie po to, żeby ze mną zerwać. No to o czym chciał mówić? Ślub raczej nie wchodził w grę, bo Inma – wszystko jedno, czy wyobrażona, czy nie – miała rację w jednej sprawie: od kiedy przyjechaliśmy z lotniska, nie było żadnego seksu, w ogóle nic a nic. Bardziej się przejmował swoim przyjacielem Erikiem niż mną. Po cholere w ogóle go przywoził? Mieliśmy spędzić romantyczny tydzień we dwoje. To się w głowie nie mieści. Ojej, a co, jeśli już się odkochał...

Właśnie doszłam do tego punktu w moich rozmyślaniach, gdy ktoś zadzwonił do drzwi sklepu. To był on, Roberto. Jakby postanowił udzielić mi odpowiedzi na wszystkie moje wątpliwości. Miał ze sobą trzy worki.

– Co ty tu masz? Skąd przychodzisz? Dlaczego nie odbierałaś telefonu? – zasypałam go pytaniami.

– Popatrz.

Rzucił worki na stół w warsztacie i pokazał mi ich zawartość. Były wyładowane kuropatwami i kaczkami!

– A to co?! Skąd je wzięłeś?

– Jestem zaradnym człowiekiem.

– Roberto, poważnie, jak ci się to udało?

– Zadzwoniłem do mojego ojca, a on obdzwoił swoich przyjaciół myśliwych...

Musiałem pojechać do Segowii. No tak, rodzice nie mieli pojęcia, że jestem w Madrycie, więc teraz będę musiał pojechać i odwiedzić ich przed powrotem do Paryża. Niech to szlag!

– Naprawdę zrobiłeś to dla mnie?

– Oczywiście, głuptasku. Wiedziałem, że ten pomysł z ogrodem zoologicznym nie

wypali.

W tym momencie jego wzrok padł na pióra flamingów. A potem ze zdziwieniem spoczął na mnie, jakby szukając odpowiedzi.

– Czyżby jednak wypalił?

– To dłuższa historia.

Wyciągnęłam z worków wszystkie ptaki.

– Niektóre są zamrożone – zauważył Roberto. – Nie wiem, czy ci się przydadzą.

– Oczywiście, że mi się przydadzą! Roberto, to musiało kosztować prawdziwą fortunę!

– Nie aż taką.

– Jesteś taki kochany.

Zaczęłam go ścisnąć i całować. Czulałam się fatalnie. Konałam z wdzięczności i z wyrzutów sumienia. Podczas gdy ja przeżywałam miłosne uniesienia w plenerze madryckiego zoo, mój narzeczony, ten prawdziwy, a nie moje wyobrażenie o nim, pojechał do Segowii, napastował swojego ojca i jego przyjaciół o ich myśliwskie łupy, pozbył się oszczędności. Był jak prawdziwy samiec, jak pierwotny myśliwy, który zaopatruje swoją rodzinę w pokarm, zapewnia jej byt, a w tym przypadku, co na to samo wychodzi, zapewnia jej pióra. A ja w tym samym czasie fantazjuję o miłości jak z bolera, o miłości niemożliwej. Jakże mogłam być aż tak głupia? Jak można być takim ciołkiem, taką idiotką, takim tumanem, taką gapą? Gamonem i kołkiem. Jak mogłam być aż tak nieogarnięta?

– Dobrze się czujesz?

– Czuję się wspaniale, Roberto. Nawet nie wiesz, jak ci jestem wdzięczna, nawet sobie tego nie wyobrażasz.

– No cóż, widzę, że jednak jakoś sobie beze mnie poradziłaś.

– To się nie liczy.

– Kiedy ja naprawdę nie wierzyłem, że ci się uda. Przepraszam.

– Nie przepraszaj mnie, nie ma za co. To ja muszę cię przeprosić. Za to, co ci powiedziałam, za to, że cię nie posłuchałam, że nie miałam do ciebie zaufania, że...

– Dobrze już, dobrze, nie przesadzaj. To nic takiego, to tylko cztery kaczki i dwanaście kuropatw...

– Nie ujmuj sobie zasług, Roberto. Nie ujmuj sobie zasług, bo są one wielkie. To jest... To naprawdę... Chodźmy się pieprzyć, zaraz teraz. Chodźmy.

– Tak z marszu? Śmierdzą padliną.

– Pachniesz jak mężczyzna. Jak myśliwy. Wspaniale pachniesz.

Roberto powąchał swoje ramię.

– Śmierdzą jak zaraza.

– To włączymy pod prysznic. Ale ty i ja będziemy się pieprzyć tak, jak na to zasługujemy. To będzie rżnięcie, na które czekaliśmy od roku. I nie mów mi, że nie.

I Roberto nie powiedział mi, że nie. Pocałował mnie, i ja go pocałowałam...

I zrobiliśmy to pod prysznicem. W strumieniach wody...

Jedyny zgrzyt był taki, że rżnięcie pod prysznicem lepiej sobie wyobrazić, niż skutecznie, bo seks na stojąco, bez dobrego oparcia i na śliskim podłożu, to nie jest najlepszy pomysł na świecie. Ponadto odkryłam, że Roberto nie tylko pozbył się tych czterech włosków na krzyż z klatki piersiowej, ale miał też całkowicie wydepilowany tyłek. To mnie naprawdę zaskoczyło.

– A co to? – zapytałam.

– Co takiego?

– Wydepilowałaś sobie tyłek.

- Aha. Podoba ci się?
- No, nie wiem. Tak – powiedziałam, żeby coś powiedzieć.
- Cieszę się.

Tak naprawdę to nie wiedziałam, czy też mam się cieszyć. Przypomniałam sobie słowa Inmy – nie tej wyobrażonej, prawdziwej Inmy – z tamtej rozmowy, kiedy powiedziała mi, że teraz faceci bardzo często zamawiają u niej taką usługę. I że to się super sprawdza podczas seksu. Czyżby Roberto chciał pieścizot analnych? O matko! Na samą myśl zrobiło mi się słabo. Nie wiedziałam, czy powinnam go o to zapytać, czy też lepiej nie.

- Roberto...
- Powiedz.
- Czy chcesz...? Czy chcesz...?
- Czy czego chcesz?
- Żeby ci... Żeby ci namydliła plecy i tyłek?
- Bo ja wiem? Jeśli chcesz...
- Chcę, jeśli ty chcesz. To znaczy, mogę.
- Dobrze.

Wzięłam się więc do mydlenia, sama nie wiedząc, czy miałby to być wstęp do tych innych rzeczy... I kiedy dotarłam do jego tyłka i zaczęłam go masować pianą, zdałam sobie sprawę, że nie, nie jestem przygotowana ani na to, żeby to zrobić, ani żeby się zapytać. Jednak mimo tego zablądziłam ręką tam... I Roberto zaczął się śmiać.

– Co ty wyprawiasz? Nie mów mi, że podczas tego roku abstynencji rozczytywałaś się w pornosach i chcesz spróbować czegoś nowego?

– Ja? Skąd... Pomyślałam, że ty... że chciałbyś...

Znowu się zaśmiał.

– Co ty wygadujesz? Saro... To jestem nadal ja, Paryż mnie nie zmienił.

– Ale wydepilowałaś sobie tyłek...

– Bo tak robią wszyscy, którzy chodzą na siłownię. I już miałem dosyć tego, że czułem się jak jakiś odmieniec, włochaty Hiszpan.

– Kiedy wpadniesz między wrony... – stwierdziłam.

Roberto znowu się zaśmiał. I mnie pocałował. I ja go pocałowałam. I znowu zaczął się śmiać.

– To na samą myśl, że myślałaś, że ja...

Jego śmiech wydał mi się miły, i udzielił mi się. Już zapominałam, jak dobrze się kiedyś z nim czułam, jak przyjemnie było swobodnie się śmiać i rozmawiać na golasa. To było tak, jakbyśmy oboje wrócili do domu. I od pocałunku do pocałunku, powróciło pożądanie. I nie chciało nam się tracić czasu na szukanie łóżka.

Faktem jest, że nie było to najlepsze bzykanko w naszym życiu. Ale było tak przyjemne, zrobiło mi tak dobrze, że nieważne, iż w niczym nie przypominało tego, jakie sobie wyobrażałam przez ten cały rok. Najważniejsze było to, jak się poczułam. Śmiechy, uściski. Być z nim od nowa i poczuć, że moje życie z nim u boku ma sens. Że się nie mylę. No dobrze, nie był to taki seks, po którym w filmach bohaterom nie pozostaje nic innego, jak tylko pomaszerować do ołtarza. Ale jednak był to widomy znak, że wróciliśmy do siebie. I przypomniałam sobie, że to, co miałam w życiu przed tym rokiem w Paryżu, było dobre. Bardzo dobre. Do diabła z Aarómem, do diabła z tym, że się żeni z moją siostrą. Miałam Roberta i to się liczyło.

To było moje prawdziwe życie. Wiele kobiet by mi zazdrościło. Miałam kogoś, kto zdecydował się pojechać aż do Segowii, żeby zdobyć dla mnie kuropatwy i kaczki i tym czynem udowodnić mi, że mnie kocha. A ponadto zostało nam jeszcze kilka dni, żeby dopracować

technikę i ponownie zgrać się w łóżku. Bo przecież kiedyś Roberto i ja wspaniale funkcjonowaliśmy i dobrze nam szło, i chodzi tylko o to, żeby znowu zaskoczyło. No jasne.

Ileż osób ma to szczęście, że uprawia seks z najlepszym przyjacielem? Ja miałam. Czyżbym naprawdę chciała czegoś więcej, czegoś innego? Nie tego radosnego, miłego seksu, z porozumiewawczym uśmiechem, w uspokajających objęciach? Saro, weź uderz się mocno w głowę, może ci się w niej rozjaśni.

Natomiast muszę stwierdzić, że Roberto nadal nie chciał puścić farby o tym, co przyjechał mi powiedzieć. Po pokazie, stwierdził.

– Powiem ci po pokazie. Teraz najważniejszy jest twój pokaz.

Kilka godzin przed pokazem

O wpół do pierwszej po południu zadzwonił do mnie David. Całą noc i cały ranek pracowałam nad skrzydłami, ratując się kolejnymi filiżankami kawy – wypłam ich co najmniej siedem – ale skrzydła jeszcze nie były gotowe.

– Dlaczego cię tu nie ma?

– Bo nadal pracuję.

– Przecież uzgodniliśmy, że poprawek dokonamy wspólnie, że przymierzemy skrzydła modelom, że upewnimy się, że wszystko gra. Dlaczego cię tu nie ma? Co się dzieje? Mów, co takiego się dzieje. Natychmiast. Bez prologu i bez ogródek, po prostu powiedz.

– Już zdołałam zapomnieć, że dzień przed pokazem zamieniasz się w *drama queen*³⁰.

– *Drama queen*? Gdybyś była tutaj, jak pan Bóg przykazał, nie dramatyzowałbym.

Powiesz wreszcie, o co chodzi, czy muszę wziąć coś na uspokojenie?

– Nic takiego się nie dzieje, uspokój się. Kosztuje mnie to więcej pracy, niż przewidywałam, ale wszystko będzie gotowe na pokaz, przyrzekam. Na jutro skończę.

– Jak to na jutro? Jutro jest pokaz! Muszę widzieć, co zrobiłaś. Już teraz, zaraz.

– Davidzie, im dłużej będziemy ciągnęli tę bezproduktywną rozmowę, tym mniej czasu mi zostanie.

– No tak, już wczoraj miałem przecucie, że coś jest nie w porządku. Twoja siostra była jakaś dziwna, gdy przyszła do miary.

– To znaczy?

– Spytałam ją o skrzydła i zaczęła coś zmyślać. Co się stało z moim Ikarem?

– Pewne zmiany w ostatniej chwili, ale na lepsze.

– Nie sądzisz chyba, że mnie uspokoiło to, co powiedziałaś, prawda? Wyślij mi zdjęcie, natychmiast. I nie próbuj żadnych wykrętów.

– Ale jak...

– Na Boga żywego, mów, przyznaj się, co jest grane...

– Nic złego się nie dzieje, Davidzie. Naprawdę. Ale skrzydła same w sobie nie wyglądają imponująco, musisz zobaczyć je na modelu.

– Przecież jest tam z tobą twój narzeczony. Więc przypnij mu skrzydła i wyślij mi zdjęcie. Doprawdy, czasem jesteś zupełnie niezaradna. Przypraw mu skrzydła, już!

Próbowałam się sprzeciwić, bo nie chciałam tracić cennego czasu na jakieś głupie przebieranki, potrzebne tylko po to, żeby uspokoić wzburzone emocje Davida. Jednak on nalegał i upierał się przy swoim. No i oczywiście, to on był projektantem, on był gwiazdą, ja musiałam się podporządkować. Chociaż w sumie propozycja, żeby wypróbować na kimś skrzydła, nie była zła. Dzięki temu jeszcze przed przymiarką na modelu mogłabym sprawdzić, czy mój pomysł się sprawdza. Pomysł, który – nawiasem mówiąc – był bardzo prosty. Wpadł mi do głowy pod prysznicem, wtedy gdy Aarón powiedział o tym szalonym projekcie napadu na zoo. Kiedy oczyma wyobraźni ujrzałam pióra flamingów, mój umysł wziął się do pracy. Ponieważ liczyłam się z tym, że nie uda nam się zdobyć zbyt wielu piór – choć tu rzeczywistość okazała się o wiele hojniejsza od przewidywań – pomysł był prosty, a mimo to dość widowiskowy i łatwy do

zrealizowania. Tak mi się przynajmniej wydawało. Polegał na tym, żeby stworzyć górną część skrzydeł i, zamiast poszerzać na dole, zebrać je na wysokości klatki piersiowej modela w rodzaj gorsetu czy też upręży, pomalować na różowo plecy modela i przykleić tam dwa czy trzy pióra, co miało stworzyć wrażenie, że skrzydła wniknęły pod skórę. Po czym ich dolne końce wyłoniłyby się spod krótkich spodenek. Chodziło mi o uzyskanie efektu bujnych skrzydeł, które zostały uwiecznione pod skórzaną obejmą, ale walczą o uwolnienie się i pojawiają się ponownie, wyłaniając się z nogawek szortów.

David nieświadomie trafił w sedno sprawy. Próby objaśnienia mojej koncepcji bez jej zilustrowania na zdjęciu nic by nie dały. Tak więc zgodziłam się zrobić zdjęcie i mimo że krzyczał pod niebiosa, obiecałam mu wysłać je za parę godzin. Na nic protesty, musiał się zgodzić. Natychmiast wróciłam do wytężonej pracy, harując jak niewolnica. Mijały godziny. Do pracowni zajrzał Roberto, natychmiast się zorientował, że nic nie jadłam od wczoraj, i zaczął się zamartwiać. Ale nie miałam czasu na jedzenie. Skrzydła były już na ukończeniu, tylko to było ważne. Powiedziałam, że liczę na niego.

– Chcesz mnie rozebrać do naga, przypiąć mi te skrzydła i pomalować mi plecy na różowo?!

– Całkiem do naga to nie. Zostałbyś w spodenkach lub bokserkach.

– Saro, czy ty widziałaś moje plecy?

– Co jest nie tak z twoimi plecami? Masz je teraz dokładnie wydepilowane...

– Ale mam szeroki i krótki korpus, na biodrach dwie oponki, a ramiona chudziutkie jak patyczki.

– Tak siebie widzisz?

– Dobra, może przesadzam, ale musisz się zgodzić, że twoje skrzydła sporo stracą na takim modelu.

Miał rację, nie mogłam zaprzeczyć, ale nie miałam innej alternatywy.

– Mogę poprosić Erica, który ma szerokie bary i wygląda jak zawodnik rugby. Jednak wątpię, aby modele Davida byli w tym typie. On jest raczej zwolennikiem anoreksji. Wyrzeźbionych, wystylizowanych chuderlaków.

– Eric ma teraz drugi etap rekrutacji. Zjedliśmy razem obiad w Muzeum Szyunki; to niewiarygodne, jak ten facet lubi szynkę... Odprowadziłem go potem na spotkanie. Miał katar, no tak. Kichał raz po raz.

Zignorowałam wiadomość o przeziębieniu Erica. Wolałam nie wdawać się w dyskusję na ten temat. Bo może częściowo to ja zawiniłam. Wyprawa do zoo, zimno, woda i cała reszta.

– Trudno. No to mam jedynie ciebie – stwierdziłam.

– Nie mogłabyś poprosić swojego szwagra?

– Aaróna? – spytałam z przerażeniem. – Lepiej nie.

– A to dlaczego? Jest przypakowany, ale bez przesady, nie? Wygląda na takiego, co ma plecy w porządku.

– Ależ, Roberto, nie mogę mu przecież zaproponować, że go pomaluję na różowo, nie jesteśmy aż tak zaprzyjaźnieni.

– Jakoś ci to nie przeszkadzało, kiedy się z nim wybrałaś obrabować zoo.

– Ale to zupełnie co innego.

– No to ja go poproszę.

– Nie ma go tu.

– No to jak przyjdzie. Ten gościu już tu sobie uwił gniazdko z twoją siostrą; nie wiem, czy masz tego świadomość.

Roberto miał rację – po dwóch godzinach Aarón stanął w drzwiach. Z ogromnym

plecakami na ramionach. Z pewnością miał tam mnóstwo ubrań, które wrzuci do szafy. Zagnieżdży się, to jasne. Roberto zagadnął go o skrzydła.

– Chcecie, żebym grał na pokazie, mając na sobie tę konstrukcję? – przeraził się Aarón, gdy pokazywałam mu skrzydła i uprząż oraz wyjaśniałam całą ideę.

– Nie, skądże. Potrzebuję cię tylko na chwilę, teraz, żeby wypróbować na modelu, jak to właściwie wygląda. Muszę zrobić zdjęcie i wysłać Davidowi, bo zaczął okropnie marudzić.

– A ty masz ładne plecy. Nie to co ja – podkreślił Roberto.

– Ach, tak? Nikt mi jeszcze nie mówił, że mam ładne plecy, dziękuję – odpowiedział Aarón, nieco zbity z tropu. – Kiedy je widziałeś?

– Tak sobie wyobrażam, sądząc po tym, jak wyglądasz w koszulce – wyjaśnił Roberto.

Roberto wyobrażał sobie plecy narzeczonego mojej siostry? Lepiej nie zagłębiać się w temat, raczej dam temu spokój. Przynajmniej na razie. Zresztą nie mogę zapominać, że Roberto jest architektem, artystyczną duszą, pozbawioną przesądów. Patrzy na świat inaczej niż inni, nigdy nie waha się przed wyrażeniem własnego zdania, ceni sobie piękno. Takiego go lubię, więc nie będę się teraz oburzała tym, że rozmyślał nad pięknem pleców mojego szwagra, prawda? Ma wydepilowany zadek, ciągle się rozczula nad Erikiem, no i wyobrażał sobie plecy Aaróna... Ale te okoliczności też nie skłonią mnie do tego, żebym wyciągała przedwczesne wnioski, prawda? No bo kim ja jestem? Prostą kobieciną czy wyzwoloną kobietą XXI wieku, która ogląda programy edukacyjne na HBO, i w ogóle? No właśnie.

– I muszę założyć skrzydła na gołe plecy? – dopytywał Aarón.

– Tak, i muszę ci pomalować plecy na różowo, ale to farba do ciała, zmywalna wodą, zapewniam – włączyłam się do konwersacji.

– Masz jakieś krótkie spodenki? – spytał Roberto.

– Tutaj? Nie...

– No to zostaniesz w majtkach – zasugerował Roberto. – Nosisz slipki, prawda?

No tak, nawet na jego bieliznę zwrócił uwagę. Ale ty, Saro, nie wyciągaj pochopnych wniosków, myśl o programach HBO i o tym, jaka jesteś nowoczesna i wyzwolona. I szybko coś zrób, żeby z tym skończyć.

– Poczekajcie, myślę, że same plecy wystarczą. Chodzi tylko o to, żeby David sobie to wyobraził – wtrąciłam szybko. Bo nowoczesność nowoczesnością, ale czym innym jest konieczność zduszenia w zarodku czegoś, z czego Bóg wie, co może wyniknąć. Złe pomysły są bowiem jak pistolety: wystarczy je naładować i wystrzelać, bo sam diabeł naciska spust. Tak, muszę z tym skończyć.

– Tak sądzisz? – spytał Roberto.

– Jeśli trzeba zostać w białiznie, to zostanę – stwierdził Aarón, spoglądając na mnie spokojnie i z tą swoją naturalnością, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. No i w takich przypadkach, oczywiście, wychodzi się na głupka, jeśli nie przyjmie się tej samej konwencji zwyczajnej rozmowy o największych absurdach. – Zresztą już mnie w niej widziałeś, tamtego dnia, gdy nakryłaś mnie nagle w kuchni – dodał.

Czułam się okropnie zażenowana. No tak, bo nie dosyć, że diabeł się w to miesza, to znowu znajduję się w sytuacji, gdy muszę wybierać. A przecież nie miałam zamiaru stawiać spraw na ostrzu noża. Jedynym możliwym skutkiem byłyby rany cięte i skaleczenia. Nie można się bawić nożem, co za straszny pomysł. Przecież już dokonałam wyboru. Przecież jestem szczęśliwa z Robertem. Nie mam najmniejszego zamiaru się wycofywać ani też zmieniać niczego w swoim życiu. Po co mi to, po co mam się kaleczyć, po co moje głupie serce ma znowu krwawić.

– Zrób, jak chcesz, byle szybko, żebyśmy mieli to jak najprędzej z głowy. – Tak, to

właśnie powiedziałam. Chyba po to, żeby jednak w jednej chwili przekreślić wszystkie dokonane wybory.

– Mam się rozebrać? – spytał z obezwładniającą naturalnością.

Skinęłam głowę. Z dwojga złego... W ten sposób sama sobie udowodnię, że to nic takiego, że już przezwyciężyłam pewne sprawy, że to o ostrzu noża to zwykłe przysłowie.

Aarón zaczął się rozbierać. Zajął się wtykaniem ostatnich piór w konstrukcję, nie chciałam nawet przypadkiem na niego spojrzeć. Jeśli mam cierpieć, to lepiej mniej niż więcej. I lepiej nie będę sprawdzała, czy to prawda, że już niczego nie czuję, że już jestem na niego uodporniona. No cóż, lepiej po prostu nie patrzeć.

– Mam zostać czy sobie pójść? – spytał Roberto.

A ten znowu co? Dlaczego, do cholery, pyta się o coś takiego? Zostajesz tu i basta. Chyba nie masz zamiaru porzucić mnie w intymnej sytuacji ze szwagrem? Nie, nie i nie. Tylko tego mi brakowało!

– Wszystko mi jedno. Albo lepiej zostań, to pomożesz Sarze przypiąć mi skrzydła

– odpowiedział Aarón.

O, właśnie! Szczęśliwie wyprzedził moje myśli. Bo ten pomysł, żebym została sama z półnagim Aarómem i malowała mu plecy – no nie, nawet jeśli już podjęłam decyzję, jeśli już dokonałam wyboru, że zostaję przy Robercie – nie przestawał być pomysłem wysokiego ryzyka. Lepiej żeby mój narzeczony przy tym był. Choć, jak się nad tym głębiej zastanowić, to też było okropnie dziwaczne. Dlaczego wszystko musi być takie dziwne? Im szybciej z tym skończymy, tym lepiej, bez najmniejszej wątpliwości.

– Złap tutaj, Roberto – wskazałam mu jeden z końców konstrukcji. – Na „trzy” podnosimy. Uważaj, bo konstrukcja jest delikatna, a klej jeszcze nie całkiem wysechł. Raz, dwa, trzy.

Podnieśliśmy skrzydła i umieściliśmy je na nagich plecach Aaróna.

– Możesz uchwycić uprzęż i zapiąć ją na piersiach? – spytałam Aaróna.

– Tak.

Zmagaliśmy się przez chwilę z uprzężą i skrzydłami, aż udało nam się wszystko dopasować.

– Jak wyglądam? – zapytał Aarón. – Jest tu jakieś lustro?

– Poczekaj, zrobię ci zdjęcie komórką i zobaczysz – odparł Roberto.

– Dobrze wyglądasz – powiedziałam, z uśmiechem od ucha do ucha, dumna z osiągniętego efektu. Wygładziłam lekko pióra. – Teraz musimy jeszcze sprawdzić koncepcję z pomalowaniem pleców.

– A jak umocujesz te pióra, które będą mu wystawały z majtek? – spytał Roberto, który wydawał się zachwycony przygotowaniami. Był o wiele bardziej podekscytowany ode mnie, zupełnie jak dziecko ubierające lalkę. A ja nadal nie zagłębiałam się w domniemania dotyczące powodów jego dobrego samopoczucia. Nowoczesna Saro, pamiętaj, jesteś wybitnie nowoczesna, a twój narzeczony cieszy się twoją radością. Nic poza tym. Nie szukaj dziury w całym.

– Sądzę, że same się będą trzymały, przyciśnięte materiałem. To znaczy, taką mam nadzieję, że na teraz to wystarczy. Jutro, przed pokazem, przyszyję je do szortów.

Roberto pstryknął zdjęcie i zaczęli je razem oglądać. Śmiejąc się przy tym i komentując.

– Kurczę, to nawet dobrze wygląda – podsumował Aarón. – Świetnie sobie poradziłaś. Zobaczmy teraz ten pomysł z pomalowanymi plecami. Dawaj, lecimy! Co mam zrobić? Stać, usiąść?

– Lepiej stój, postaram się jak najszybciej skończyć.

– Tak, im szybciej, tym lepiej. Muszę jeszcze skoczyć do studia nagrań. Umówiłem się

tam z twoim przyjacielem projektantem, żeby wybrać piosenki na pokaz.

Może to dlatego, że był muzykiem, albo po prostu wynikało to z jego podejścia do życia: „wszystko mi zwisa, nawet jak szwagierka maluje mi plecy, kiedy tak stoję w samych gaciach”, w każdym razie Aarón był zupełnie rozluźniony. Jakby to, co się właśnie działo, było najzwyczajszą rzeczą na świecie.

– Ciut histeryczny jest, co nie? – spytał, mając na myśli Davida.

– To dobry facet, tylko trochę panikuje z powodu jutrzejszego pokazu, ale naprawdę jest w porządku.

Podczas gdy rozmawialiśmy, otworzyłam słoik z farbą i wybrałam odpowiedni pędzel, dość gruby, żeby się nie guzdrać z malowaniem.

– Miejmy nadzieję. I tak muszę się przyzwyczaić do histerycznych nastrojów

– odpowiedział Aarón. – Twoja siostra miała dzisiaj taki dzień, że gdyby była dzieckiem, odesłałbym ją do jej pokoju.

– Ach, tak?

– Też z pewnością z powodu pokazu, ale... matko droga! Lepiej się do niej nie zbliżać.

A ponadto wyskoczyła jej febra na ustach i wydaje się jej, że to koniec świata.

– Z nerwów to jej się zdarza – wyjaśniłam. – Chociaż dziwi mnie, że jutrzejszy pokaz jest dla niej taki ważny.

– Myślę, że to z powodu twojej matki. Zadzwoiła do niej dwa razy i Lu nie odebrała.

Nie pozwoliła mi też odsłuchać wiadomości, ale jestem pewien, że to nie było nic miłego. Coś mi się widzi, że nie możemy liczyć na jej obecność na ślubie. A twoja siostra tego nie zniesie.

– Z pewnością matka da się w końcu przekonać.

– Jeśli tylko będziesz jej o mnie dobrze mówiła.

– Ja? Matce?

– No tak. To może pomóc, żeby zmieniła nastawienie.

Roberto poparł Aaróna.

– No nie wiem... – Jakoś nie rwałam się do roli adwokata w tej sprawie. – Nie wiem, czy powinnam się wtrącać.

I znowu Roberto wziął stronę Aaróna.

– Dziewczyno, pomyśl, ile on dla ciebie robi, a chce w zamian jedynie drobnej przysługi.

– Słuchaj swojego narzeczonego, dobrze prawi.

– No dobrze... Zobaczymy, co da się zrobić... Bo moja matka jest dość trudną osobą...

Ponadto, jak mi się wydaje, nie jest zachwycona faktem, że jej mała córeczka chce wyjść za mąż.

– Ale to za mnie wychodzi – nalegał Aarón.

– No tak, no tak – bąknęłam, żeby zakończyć ten temat. – Jesteś gotowy? Najpierw zaznaczę kontur skrzydeł, a potem wypełnię go farbą.

– Ty tu rządzisz.

– Idę po jakieś jedzenie – stwierdził Roberto. – Chcecie też?

– Zostań, potem wszyscy pójdziemy coś zjeść – odparłam, bo nie miałam ochoty zostać sam na sam z Aarónem.

– Głodny jestem okropnie. Zaraz wracam z kanapkami. Już mnie nie potrzebujecie, prawda?

Wszedł na górę, zostawiając nas samych. W tym czasie już zdążyłam wyrysować kontur. Dostrzegłam, że plecy Aaróna pokryły się gęsią skórą pod dotykiem flamastra.

– Zimno ci? – zapytałam.

– W porządku – odparł.

– Teraz farba. Też jest zimna, ostrzegam.

– Jakoś to zniosę.

Zacząłam pokrywać różowym kolorem plecy Aaróna. Jego szerokie, dobrze ukształtowane i lekko umięśnione plecy. O doskonale trójkątnym kształcie. Rozwinięte plecy pływaka, szersze w ramionach i łopatkach, zwężające się w talii.

– Zimno?

– Skądże.

– Zaraz kończę, słowo.

Choć muszę przyznać, że bynajmniej się nie spieszyłam. Odczuwałam dziwną przyjemność z malowania jego ciała na różowo.

– Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli rozprowadzę farbę palcami? Tak będzie wygodniej niż pędzlem.

Saro! Saro, hamuj! Za bardzo się rozpędziłaś. Saro, przecież twój narzeczony jest tu, w pobliżu, a ty już podjęłaś decyzję. Saro, na Boga... Nie wycofuj się z niej, nie ulegaj popędowi. Akurat – niemal szepnęłam. – Jakby to było takie proste.

Ty jednak jesteś niereformowalna, Saro. **Niereformowalna.** Już zapomniałaś o ostrzu noża? Już zapomniałaś o diable, który się w to miesza? Już zapomniałaś o krwawiącym sercu?

Mało brakowało, abym przywołała wyobrażenie Inmy, ale to nie był dobry moment na dialog wewnętrzny. Nabrałam farby na czubki palców i zaczęłam przeciągać nimi po plecach Aaróna, jakbym mu robiła masaż lub... no tak, jakbym go pieściła.

– Jak przyjemnie – powiedział Aarón, lekko wzdychając. Możliwe, że to westchnienie jedynie sobie wyobraziłam, jasne.

– Tak?

– Bardzo. Jak już przy tym jesteśmy, to mogłabyś mi rozmasować parę węzłów. Mam jeden właśnie tam, nad łopatką, i drugi niżej.

Serce zaczęło mi bić jak szalone. Myślę, że nawet zaczęłam płytko oddychać. Zupełnie jak mój ojciec na widok dziury w suficie. Nie mogłam sobie pozwolić na takie objawy. A jeszcze mniej na to, żeby stały się widoczne. Ach, te jego plecy. Piękne plecy, jak u greckiego posągu, jak u olimpijczyka... Jaka delikatna skóra, jak wspaniale osadzone mięśnie, jak bardzo pragnęłabym do nich przylgnąć, nieważne, czy są pomalowane na różowo, czy nie. Zgrabny tyłek zaznaczał się pod materiałem slipów. Moje dłonie same zaczęły podążać w kierunku dolnych partii jego pleców, już zaczęło ogarniać mnie jawne pożądanie, gdy... ach... W tej samej chwili po schodach zszedł Roberto z półmiskiem pełnym kanapek. Jedną z nich właśnie pożerał.

– Z pasztetem, z serem, z szynką i z kiełbasą paprykową. I kilka jarskich, żebyśmy mogli się oszukiwać, że prowadzimy zdrowy tryb życia.

Poczułam, że się rumienię. Przyłapał mnie na gorącym uczynku, nie da się ukryć. Ale albo się nie zorientował, albo nie dał po sobie poznać, że coś zauważył. Nie odczułam, żeby poczuł się zażenowany; czyli chyba jednak niczego nie widział, musiał być za bardzo zajęty jedzeniem.

– Jak się mają artystka i jej model? Chcecie teraz czy potem?

Aarón schwycił dwie kanapki. I zaraz wgryzł się w jedną.

– Kurczę, dobre są – powiedział.

– Jestem wirtuozem sandwiczowy. Mam to przećwiczone... Moje gwiazdki Michelina – tu złapał się za swoje lekko zaokrąglone boczki – o tym świadczą.

– Już skończyłam – powiedziałam, dając Aarónowi lekkiego, przyjacielskiego klapsa w plecy.

– Już? – upewnił się. – Jaka szkoda. Właśnie zaczynało się robić przyjemnie.

Roberto przyjrzał się mojemu dziełu i wyraził aprobatę.

– To wygląda nadzwyczaj autentycznie. Teraz brakuje jedynie piór, które będą wystawały z nogawek.

– Myślę, że nawet bez tego można już zrozumieć ideę – powiedziałam szybko.

– Chcesz, żeby David znowu cię objechał?

– No dobrze, ale może to ty mu je tam umieścisz? – spytałam Roberta. – Bo to jednak trochę dziwne, żebym mu tam wsadzała ręce.

– Ja? Przecież to ty jesteś projektantką. Skąd ja mam wiedzieć, jak to powinno wyglądać? – zaprotestował Roberto.

– Ale to proste, mam już obklejone piórami dwa kawałki materiału, po prostu trzeba je wsunąć od dołu w nogawkę – nalegałam.

– Nie, nie – upierał się Roberto i zwrócił się do Aaróna z pytaniem: – W czymś ci to przeszkadza, żeby szwagierka dotknęła twojej nogi?

– W niczym.

– No widzisz. Zrób to, i z głowy.

W geście desperacji kręciłam przecząco głową, ale postanowiłam więcej o tym nie myśleć. W takich chwilach im szybciej się z czymś uporasz, tym lepiej. Co za beznadziejna sprawa. Wzięłam jeden z kawałków materiału z piórami i pochyliłam się nad tyłkiem Aaróna.

– Może łaskotać.

– Spoko.

Uniosłam materiał slipów i wsunęłam pod niego końcówkę skrzydła. Dotknęłam przy tym jego pośladka – tu przełknęłam ślinę – żeby umieścić wszystko na miejscu. Potem powtórzyłam procedurę z drugą nogawką. I znowu dotknęłam pośladka, i znowu przełknęłam ślinę.

– I jak? – spytał Aarón.

– Totalnie! – wykrzyknął Roberto. – Saro, jesteś prawdziwą artystką!

– Dziękuję. – Szczerze podziękowałam za komplement, ponieważ istotnie wynik był dużo lepszy, niż się spodziewałam. – Zróbmy kilka zdjęć.

Roberto pstryknął trzy fotki i pokazał je Aarónowi, który popatrzył na mnie z uznaniem.

– To prawda, Saro. Jesteś świetna, naprawdę świetna – powiedział. – Genialna.

Jego słowa podniosły mnie na duchu. Poczułam się tak dobrze, że nie mogłam powstrzymać się przed uśmiechem dumy.

– Wróciła ta Sara, którą znałem! – entuzjasmował się Aarón.

W tym momencie Roberto jakby zaskoczył.

– Znałeś ją? – zapytał.

– No tak, w liceum. Nie wiedziałeś o tym?

– Nie miałem pojęcia. Przyjaźniliście się?

– Skądże! – wyjaśniłam szybko. – Braliśmy udział w wystawieniu sztuki teatralnej. Ja zrobiłam niemądrą scenografię.

– Zrobiła coś nadzwyczajnego – sprostował Aarón. – Coś, co było równie zajebiste, jak to tutaj. No, te skrzydła może są nawet lepsze. Twoja narzeczona jest prawdziwą artystką, Roberto. Jest wielka.

– Wiem. Wiem o tym – potwierdził Roberto.

Stali przede mną, dwaj wspaniali mężczyźni, i patrzyli na mnie z dumą.

– Zaraz prześlę Davidowi zdjęcia – powiedziałam, bo nie bardzo wiedziałam, co innego miałabym teraz zrobić, a wolałam nie myśleć.

W mgnieniu oka David oddzwonił na moją komórkę.

– Jesteś boginią. Nienawidzę cię, skradniesz wszystkie brawa na moim pokazie. Wstręciucha. Cudowne, to co zrobiłaś! Czyje to są plecy?

– Aaróna.

– Ty cicha wodo! Tu mnie zaskoczyłaś.

Modliłam się w duchu, żeby nikt nie usłyszał tego, co David wygaduje. Na wszelki wypadek postanowiłam jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– No i już, *finito*. Muszę kończyć, mam jeszcze parę poprawek do zrobienia.

Zadowolony?

– Niemal tak jak ty, gdy go macałaś, malując mu te plecy. I co za tyłeczek, Saro! Jeśli ty się za niego nie weźmiesz, to ja spróbuję.

– Do zobaczenia, Davidzie.

– Jutro chcę cię tu widzieć. Raniutko, o wpół do dziewiątej.

– Postaram się. *Ciao*.

– Saro...!

Nie pozwoliłam mu dalej marudzić i się rozłączyłam. Spojrzałam na Roberta i Aaróna.

– Odnieśliśmy pełen sukces! – poinformowałam ich.

Roberto mnie uściskał.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś wielka.

A ja nie mogłam przestać gapić się na Aaróna. Gówno! Czy ty nigdy nie zmądrzejesz, Saro?

– Mogę już to zdjąć? – spytał.

– Jasne. Idź pod prysznic, ta farba szybko się zmyje – odpowiedziałam. Czulałam się okropnie nieswojo.

Na kilka godzin przed pokazem wreszcie dodzwoniłam się do matki. Pretekstem było to, że chcę ją zaprosić, żeby przysłała obejrzeć moje dzieła. I mimochodem porozmawiałabym z nią o ojcu i o Lu. No i także doprowadziłabym do spotkania całej naszej rodziny, a cóż mogłoby podziałać lepiej na nasze wzajemne animozje niż świąteczna atmosfera pokazu, piękne modelki i wspaniałe kreacje?

– No, sama nie wiem, czy mam na to ochotę. Jestem na ciebie bardzo zła.

– Na mnie? Mamo, to nie moja wina, że ojciec schronił się w moim domu i że Lu zrobiła to samo. Nie mogłam ich wyrzucić na ulicę, choć przyznaję, że chciałabym móc to zrobić.

– To akurat rozumiem i jest mi wszystko jedno. Gniewam się z innego powodu, i aż za dobrze wiesz z jakiego.

Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, więc spróbowałam zgadywać.

– Boisz się, że ten pokaz okaże się pułapką i że spotkasz ojca? Możecie przecież usiąść daleko od siebie, a ponadto nie sądzę, żeby w ogóle przyszedł. Nie jest w zabawowym nastroju i o tym także chciałabym z tobą porozmawiać.

– Spotkanie z twoim ojcem mnie nie przeraża.

– Mamo, nie rozumiem więc, o co ci chodzi.

– A skąd, kochanie ty moje, wzięłaś pióra?

No i tu mnie miała. Zamilkłam.

– Wydaje ci się, że to było w porządku, pójść do zoo i wymóc na Ismaelu, żeby dał ci dwa flamingi?

– Ja niczego na nim nie wymogłam...

– Ale skąd w ogóle przyszło ci do głowy wykorzystać fakt, że jesteś moją córką, żeby zdobyć te przekłete pióra?

– Mamo, to była podbramkowa sytuacja... To nie było moim zamiarem.

– A od kiedy wiesz, że Ismael i ja...?

– Widziałam, jak go całujesz po manifestacji. Natknęłam się na was przy...przypadkiem.

– I śledziłaś go, i dowiedziałaś się, że pracuje w zoo, i postanowiłaś go zaszantażować? Że albo da ci te ptaki, albo opowiesz ojcu, kim jest?

– Ależ mam, co ty wygadujesz? On ci to powiedział?

– To nie było konieczne. Faktem jest, że go wykorzystałaś. I mnie też. W bardzo brzydki sposób.

– Naprawdę wierzysz, że byłabym do tego zdolna?

– Dla swoich przeklętych piór jesteś zdolna do wszystkiego.

– To nieprawda.

– Prawda, nieprawda, ale ważne jest, że postawiłaś na swoim i oskubałaś te dwa nieszczęsne flamingi.

– Mam, one były martwe, mieli je skremować.

– A ty skąd o tym wiedziałaś, co? Kiedy zaczęłaś knuć ten przebiegły plan?

– To był przypadek, mam. Czyżbyś sądziła, że od miesiący śledzę Ismaela i postanowiłam go zaatakować po śmierci flamingów?

– O ile sama ich nie otrułaś.

– Mam! Czyżbyś mnie uważała za potwora?

– Za potwora może nie, ale za kogoś bardzo interesownego to i owszem. I zaślepionego własną korzyścią. Niczego poza nią nie widzisz. To nie byłyby pierwsze ptaki, które uśmierciłaś.

– Coraz bardziej się nakręcała. – A potem grozisz narzeczonemu swojej matki... Kiedy moja córka stała się terrorystką?

– Mam, przyznaj się, chyba trochę przedawkowałaś martini?

– O, właśnie, wyzywaj swoją matkę od pijaczek! Ismael już nieraz mi to mówił, że się dziwi, że z wami tak długo wytrzymałam. Tak długo, że już nie zliczę ile, i nawet mi się już zaczęły wydawać normalne te wasze komentarze i wasza pasywno-agresywna postawa.

– Pasywno-agresywna postawa?

– Tak. I twój ojciec, i twoja siostra, i ty sama jesteście jak takie myszki-agresorki, szczerzące ząbki spod miotły...

– Mam, to, co mówisz, nie trzyma się kupy. To nienormalne.

– A więc to ty teraz decydujesz o tym, co jest, a co nie jest normalne? Widzisz?

Dokładnie o tym mówi Ismael. Że chcecie mi narzucić waszą ograniczoną moralność, wasze rozumienie tego, co jest dobre, a co złe.

O, jak cholernie mi podpadł ten typ animalny, ten gnojek, ten lizus, ten spryciarz i podżegacz, który nastawiał matkę przeciwko jej rodzinie!

– Żebyś wiedziała, że ten twój ukochany Ismael przyrzekł mi, że to, co się zdarzyło w zoo, zostanie między nami.

– Oczywiście, bo z pewnością mu groziłaś.

– A ty znowu swoje. Nikomu nigdy nie groziłam w całym swoim życiu, mam.

– Ale zauważyłam, że coś mu się stało, że coś go trapi, i w końcu to z niego wydobyłam.

Chociaż się bronił.

– To święty człowiek, ten twój Ismael, już to widzę.

– Nawet nie próbuj go osądzać ani nie śmiejesz się mieszać do mojego związku. Na to ci nie pozwolę.

– Nie mam takiego zamiaru, lepiej się zajmę wspieraniem taty, bo on, w przeciwieństwie do ciebie, tego potrzebuje. Nie wiem doprawdy, jak mógł z tobą tyle lat wytrzymać. To, że ma napady lękowe i ataki paniki, to w tych okolicznościach nic nadzwyczajnego. Dziwi mnie tylko, że jeszcze nie dostał zawału.

– Nie idź tą drogą, Saro Escribano. Nie szantażuj mnie.

– No bo mnie wyprowadzasz z równowagi, mamó. A to jest ostatnia rzecz, jaka jest mi teraz potrzebna.

– Dobrze więc, ponieważ najważniejsze ze wszystkiego są twoje potrzeby, kończę tę rozmowę.

– Rób, jak uważasz.

– Tak właśnie zrobię.

Choć odgrażała się, że skończy rozmowę, jednak pozostała na linii. A ponieważ nie wiedziałam, co jeszcze miałabym jej powiedzieć, a przede wszystkim nie chciałam, żebyśmy się rozstały aż tak pogniewane, usiłowałam wyciągnąć rękę do zgody.

– Chciałabym, żebyś wiedziała, że mimo wszystko byłoby mi bardzo miło, gdybyś przyszła na pokaz.

– Męcząca jesteś, moja droga.

– No to słuchaj, bo teraz powiem ci prawdę. Jeśli o mnie chodzi, to czy przyjdiesz na ten pieprzony pokaz, czy też nie, jest mi skrajnie obojętne, ale namawiałam cię, żebyś mogła porozmawiać z Lu i z ojcem. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak źle się ojciec czuje? Śmiertelnie się o niego niepokoję. Tak, ja, ta córka, która według ciebie myśli jedynie o sobie, i jest potworem, i jest interesowna...

– Nie przekręcaj – przerwała mi – potworem cię nie nazwałam.

– Ale te inne rzeczy o mnie mówiłaś – kontynuowałam. – Co mnie bardzo dotknęło.

– Nie rób z siebie ofiary, jak twój ojciec. Wiem, że masz jego geny, ale z nim mogę się rozwieść, a z tobą nie.

– Spoko, jak nie chcesz przychodzić na pokaz, ani już nigdy w życiu mnie zobaczyć, to proszę, mówisz mi to, i już, masz to z głowy. I żyjesz sobie, jak chcesz, z tym swoim Ismaelem i jego ogrodem zoologicznym, i w ogóle. A te flamingi to wydaje się, jakbym je z żywota twego wydarła!

I trzasnęłam słuchawką.

Pokaz mody

Makijażyści, fryzjerzy, fotografowie, szwaczki, różni pomocnicy, projektanci, przedstawiciele firm, jeden czy drugi dziennikarz, kamery telewizyjne, stojaki obciążone wieszakami, na których już czekają przygotowane kreacje, tablice ze zdjęciami wszystkich kreacji, które będą pokazywane na wybiegu. Ludzie robiący zdjęcia aparatami z kilometrowej długości teleobiektywami lub po prostu komórkami; piękni chłopcy i dziewczęta, bardzo wysocy, bardzo młodzi, bardzo szczupli, w białym, z zaznaczonymi żebrami, z wystającymi kośćmi policzkowymi, na wpół poubierani, pozwalający malować sobie twarze, pochłonięci Twitterem, Facebookiem, Instagramem na tabletach, czytający esemesy w oczekiwaniu, żeby ktoś przekształcił ich w istoty jeszcze piękniejsze, o ile to możliwe. A także nerwy, napięcie, pośpiech, „nie zdążymy, to katastrofa!”, krzyki, ludzie, którzy powinni nad tym wszystkim zapanować, ale jedynie przeszkadzają, miotając się histerycznie.

To wszystko dzieje się w kulisach, zanim zacznie się pokaz. Adrenalina aż buzuje i wszyscy nieustannie mają wrażenie, że nic z tego nie będzie, że wszystko zawali się wcześniej lub później. Szwaczki w biegu podwijają doły, zwązają lub poszerzają talię spodni czy spódnicy, przyszywają ostatnie cekiny, podczas gdy projektant odwołuje polecenie wydane przed dwoma minutami i domaga się czegoś wręcz przeciwnego. Albo sprawdza po raz setny, czy kolor granatowy nadal jest granatowy, taki jaki był w pracowni, i czy aby nie zmienił się w tajemniczy sposób w turkusowy lub błękitny. I ci ze służb porządkowych, którzy wchodzą i wychodzą, z maleńkimi mikrofonami zawieszonymi na uszach, i patrzą na ciebie z wyższością, i proszą, żebyś się przesunął, bo zawadzasz; bo w *backstage* 'u pokazu musisz mieć zawsze poczucie, że przeszkadzasz, choćbyś ściśle współpracował z projektantem lub – jak w moim przypadku – odpowiadał za akcesoria z piór.

Byłam tam już od trzech godzin, umieszczając w odpowiednich miejscach moje dodatki: dwa kołnierze z piór przepiórki hiszpańskiej (jeden do kamizelki i jeden do koszuli), toczki z bażanciami i pawimi piórami, dwie pary mankietów, które zrobiłam ze zbywających piór flaminga, kilka nausznic, zegarki nareczne, których cyferblaty zostały wyłożone maleńkimi, delikatnymi piórami kaczki i, oczywiście, skrzydła Ikara. Leżały na stoliku i w odpowiednim czasie miały zostać przytwierdzone do ciała blond modela, dla którego były przeznaczone. David co dziesięć minut zjawiał się przy mnie, żeby sprawdzić, czy każda z tych rzeczy pasuje do odpowiedniego modela i stroju. Wykrzykiwał, że tak!, że cudownie!, że fantastycznie!, że jestem genialna! Zwłaszcza te mankiety, jak z marzeń, tak pięknie ubarwione, tak fantastyczne, że Gaultier by pozazdrościł, oraz kołnierze – że niech się schowają takie z norek – podkreślające i uzupełniające zaprojektowane przez niego ubiory. A po chwili wracał i stwierdzał, że nie, że nie zdołaliśmy się porozumieć, że nic z tego nie pasuje do jego projektów, ale oczywiście to nie moja wina, to tylko on zawinił. Gdy usiłowałam go uspokoić i sugerowałam, żeby zamienił toczki, przydzielił je do innych strojów, robił to i stwierdzał, że zadziałało, popadał w ekstazę, ścisnął mnie w przypiływie uczucia i mówił: „no jasne”, „jak mogłem sam na to nie wpaść”. Dodawał, że pracujemy w symbiozie, że nigdy nie zrobi pokazu beze mnie, a po półgodzinie darł się jak desperat: „Gówniane pióra! Mowy nie ma, żeby ktoś wyszedł na wybieg pokryty pierzem!”.

I patrzył na mnie spode łba, z nienawiścią, z pogardą, żałował, że dał się podpuścić, sugerował, że z powodu tych wszystkich piór czuje się jak w kiepskim kabarecie, a jego kreacje są ponad to. Wtedy przybiegała jakaś modelka, entuzjastycznie pokrzykując, że nigdy jeszcze nie widziała tak wspaniałego kołnierza, że ta nausznica jest spektakularna, że „zegarek jest prawdziwym cudem”, że David powinien znaleźć się na szczytach świata mody, a ja wraz z nim, że będziemy sensacją tej edycji Fashion Week, a wtedy David ponownie zmieniał zdanie, rzucał mi się na szyję, całował mnie, wylewnie dziękował i stwierdzał, że cóż by beze mnie zrobił, że jesteśmy zajebiści, że jutrzejsze gazety na pierwszych stronach opublikują zdjęcie z jego pokazu, „co ja mówię – z naszego pokazu”, „bo to tak samo mój pokaz, jak i twój, bo jesteś geniuszem, Saro, prawdziwym geniuszem”.

I tak mijały godziny. Zbliżała się godzina rozpoczęcia pokazu. Jakby w kontraście do ogólnej hysterii, byłam dosyć spokojna. Błogim uczuciem nappełniał mnie fakt, że zdążyłam dostarczyć akcesoria na czas. Zwłaszcza że byłam przekonana, iż nie zdążę. A teraz moja praca się zakończyła, wystarczy tylko pomalować plecy modela, ale tym zajmą się dwaj makijażyści pod moim nadzorem, więc czymże miałabym się ekscytować? Najwyżej zamienię miejscami jedno czy dwa akcesoria. Nie będę ukrywać, że w osiągnięciu pożądanego stanu relaksu znacznie pomogły mi dwie pastylki sumialu, które przed dwiema godzinami dała mi Lu. „A co ty myślałaś, że skąd mi się bierze ten wystudiowany senny wygląd, który przybieram na wybiegu? Od sumialu. Tak mnie uspokaja, że aż głowa sama mi opada, więc żeby ją podnieść, muszę się wysilać, i robię to z miną cierpiącej suki, co doprowadza widzów do szaleństwa”. Lu zawsze mi opowiadała, że podczas swojego pierwszego występu na wybiegu była tak szczęśliwa, że nie mogła powstrzymać uśmiechu, i ten uśmiech niemal zakończył jej karierę, zanim na dobre się zaczęła. Szybko się nauczyła, że uśmiech jest niemile widziany, a ponieważ z natury jest pogodna, zaczęła uciekać się do pastylek, które zamieniały ją w cierpiące na zatwardzenie zombi, co uczyniło z niej gwiazdę wybiegów.

Właśnie do mnie podeszła, żebym pomogła jej założyć nausznice, którą sama sobie wybrała. Nie była wprawdzie przeznaczona dla niej, ale wymogła ją na Davidzie, używając swojego niezawodnego daru przekonywania.

- A potem to mnie opieprzy, że ci ją dałam – stwierdziłam.
- Sało, muszę jakoś ukłyc tę stłasną opłyszczkę. Żaden makijaż nie da łady
- wybelkotała, wskazując na wielką febrę na wardze.
- Nie świruj, ci makijażyści są tak dobrzy, że mogliby w mgnieniu oka zmienić panią Merkel w seksbombę.
- Ale z tymi ustami wyglądam jak Estheł Cañadas – zaprotestowała.
- I popatrz tylko, jaką karierę udało jej się zrobić. Uspokój się, wypadniesz świetnie.
- Pszczesz jestem asz sabaldzo spokojna, chyba przesadziłam z sumialem.

Niewykluczone, że rzeczywiście przedawkowała pigułki, albo też winna była opryszczka, bo faktem było, że mówiła dość dziwnie, jakby z trudem i niewyraźnie.

- Widziałam mamę na widowni – dodała.
- No to chyba rzeczywiście jesteś zamroczona. To niemożliwe, ona nie przyjdzie.
- To ona, mówię ci. Jest z jakimś panem. Nie chcę jej widzieć, objechała mnie okłopnie pszez telefon.
- Co? Z jakim panem? Ma wąsy?
- Aha. Ohydne.
- Nosz kurwa! Zabiję ją! Zabiję!

Zostawiłam Lu z jej opryszczką, nadmiarem środków uspokajających i nie do końca założoną nausznice i wyrztałam na salę, żeby sprawdzić, czy to prawda, czy matka naprawdę jest

wśród publiczności, a do tego wpadła na „genialny” pomysł, żeby pojawić się z kochankiem. No i owszem, była tam, z wąsaczem u boku. Jak mogła? Niewiele myśląc, podeszłam do niej.

– Mamo.

– Saro, kiedy to się zaczniesz? Długo jeszcze? To ten, prawda?

Wskazała na miejsce z boku wybiegu, gdzie instalował się zespół Aaróna.

– Przyszedłeś sobie obejrzeć narzeczonego córki? Po to tu przyszedłeś?

– I twoje projekty też, nie bądź taka drażliwa. Ponadto Ismael bardzo chciał zobaczyć, co zrobiłaś z jego piór. Z tych biednych nieżywych flamingów. Nie muszę cię sobie przedstawiać, nieprawdaż?

– Jak się masz, Saro? – zagał Ismael.

– Jeszcze żyję – odparłam.

– Pragnę ujrzeć twoje dzieła – powiedział. – Z pewnością warte są tego, żeby dla nich porzucić cały nasz kodeks deontologiczny.

Wykrzesalam z siebie spojrzenie pełne nienawiści, mimo że połknięte pigułki utrzymywały mnie w stanie takiej rozlazłości, jakbym była pluszową pandą.

– Nie powinienes być ulegać jej szantażowi. – Mama raczyła włączyć się do naszej rozmowy.

– Ismaelu, bardzo cię proszę, czy mógłbyś powiedzieć mojej matce, że nigdy cię nie szantażowałam?

– Oczywiście. To ja zaoferowałam ci te flamingi.

– Dziękuję.

– Tak mówisz, bo jesteś prawdziwym dżentelmenem, ale ja aż za dobrze znam moją córkę...

– Mamo, pozwól na chwilę. Przepraszam, Ismaelu, zaraz ci ją zwrócę.

Złapałam matkę za ramię i pociągnęłam parę metrów w bok, żeby jej narzeczonemu nie mógł nas słyszeć. Dobry Boże, sam fakt, że myśląc o nim, nazwałam go narzeczonemu, sprawił mnie w jeszcze gorszy humor.

– Mamo, co ty sobie myślałaś, przyprowadzając go tutaj? A jak pojawi się ojciec?

– Kiedy to twój ojciec pojawił się ostatnio na twoim pokazie?

– To mój pierwszy pokaz w życiu! Jak mógłby przedtem na jakiś przyjsć?

– Niech ci będzie, to na szkolnym przedstawieniu. Nigdy go na nich nie było.

– Tato przychodził zawsze, gdy tylko praca mu na to pozwalała.

– Tylko wtedy, gdy to ja go zaciągnęłam na siłę. I co, myślisz może, że dla mnie to była dobra zabawa, wysłuchiwać rok po roku, jak moje córki fałszują najprostsze piosenki? Nawet głupiego tralala nie umiałyście zaśpiewać!

– Teraz będę musiała zadzwonić do ojca, żeby go jakoś zniechęcić do przyjscia. A ja tak chciałam, żeby zobaczył moje projekty. Nie wiem, dlaczego to ja zawsze kończę na przegranej pozycji. Wy się rozstajecie, a ja cierpię z tego powodu.

– Ojej, dziecko, nie bądź czepialska. Uspokój się.

– Nie jestem czepialska, wzięłam dwa proszki na uspokojenie.

– Został ci jakiś?

– Ależ, mamo!

– No bo zawsze się denerwuję, widząc twoją siostrę na wybiegu. Mam wrażenie, że chodzi jak nieprzytomna, że się potknie i przewróci. Ale nie, zawsze udaje jej się jakoś zachować równowagę na tych wysokich obcasach.

– Mam nadzieję, że złapię ojca i nie przyjdzie, ale gdyby niestety się pojawił, to już wiesz: od Ismaela ma cię dzielić dziesięć metrów. Nie chcę tu żadnych przedstawień. Na pewno

nie dzisiaj.

- Mogę już odejść? Czy chcesz mnie jeszcze uraczyć jakąś błyskotliwą myślą?
- Nawet nie życzysz mi powodzenia?! – krzyknęłam.
- Mam tylko nadzieję, że chociaż zrobiłaś coś wartego uwagi z tych biednych ptaków

– odparła.

Wróciłam za kulisy i zadzwoniłam na komórkę ojca. Nie odebrał, więc zostawiłam mu wiadomość: „Tato, nie musisz przychodzić, wszystko tu jest wywrócone do góry nogami, to będzie okropnie zły pokaz, całkowita porażka, i wołałabym, żebyś tego nie widział. Będą lepsze okazje. Całusy”.

David usłyszał, jak się nagrywałam, i o mało szlag go nie trafił.

– Że co?! Że to będzie porażka?! Nie podobają ci się moje projekty?! – wściekał się. – Jak mogłaś mnie przez cały ten czas oszukiwać i zwodzić? Hipokrytka. Teraz wszystko jasne. O Boże w niebiesiech, to naprawdę jest takie złe? Wszystko jest złe? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Tchórz i kłamczucha!

– Davidzie, błagam, ja to mówiłam mojemu ojcu, żeby nie przychodził. Nie dlatego, że twoje projekty są złe, ale dlatego, że pojawiła się tu moja matka ze swoim kochankiem.

– Serio? Kłamiesz. Powiedz prawdę, nie staraj się wymyślać niewiarygodnych wymówek.

– Drugi rząd, po prawej stronie wybiegu – powiedziałam. – Facet z wąsem.

David wypadł na salę jak rakieta i wrócił po dwóch minutach. Właśnie wtykałam cztery pióra przepiórki w naramiennik.

– Aj, jaki miły, twoja matka przedstawiła mi go, i w ogóle. I coś, nie wiem co, mówiła o zabójstwie dwóch flamingów.

– Nieważne. I nie, nie jest miły. Okropny jest. Chcę, żeby moi rodzice wrócili do siebie, słyszysz?

– Musisz być jedyną osobą na świecie, na którą sumiał nie działa. Dziewczyno, powinni cię przebadać. Jakaż ograniczona możliwość asymilacji lęku i rzeczywistości! Pogódź się z tym: twoja matka ma kochanka. Witamy w realnym życiu.

– Nienawidzę cię.

Nie mogłam dłużej dyskutować, bo usłyszałam sygnał komórki. Dzwonił Roberto.

– Właśnie parkujemy. W której to jest hali? Przyjechaliśmy samochodem twojego ojca.

– Powierzył wam samochód?

– Ależ nie, przyjechaliśmy wszyscy razem.

– Jest tam z wami?

– Tak. Poczekaj, już wysiadam. – Usłyszałam, jak mówił do mojego ojca i Erica, że zaraz wraca. – I, słuchaj, on jest jakiś dziwny. Ogarnęła go jakaś sentymentalna faza, opowiada, jaki jest dumny ze swoich córek, jak bardzo chce oglądać ich tryumf na wybiegu i że to straszna szkoda, że nie ma przy nim twojej matki. Doszło do tego, że zaczął płakać i nie zauważył czerwonego światła...

– O Boże!

– To właśnie sobie pomyślałem, kiedy o mało co nie wjechał w kuper gościowi z przodu.

– Nie, chodzi mi o to, że moja matka tu jest.

– O, to świetnie.

– Ale z kochankiem...

– Nie rób sobie jaj...

– Błagam, przekonaj go, żeby nie wchodził. Zabierz go stąd, upij, zrób coś...

– Saro, przecież przyjechaliśmy tu po to, żeby obejrzeć pokaz. Eric zupełnie oszalał, cały czas nadaje, że czuje się częścią tego wszystkiego i jak to było *cool* podczas napadu na zoo.

– Dobrze już, dobrze, niech się dzieje, co chce... Zaraz mnie coś trafi...

– No właśnie słyszę.

Rozłączyłam się i postanowiłam się skupić na tym, na czym powinnam była, czyli na ostatnich poprawkach na modelach. Plecy blondyna już były pomalowane na różowo. Sprawdziłam więc, czy do krótkich spodenek, które miał włożyć, zostały już przyszyte końce skrzydeł. Wszystko było w porządku. Model zdjął szare dresowe spodnie, pod którymi, jak się właśnie okazało, nie miał bielizny. Wydawało mu się to nie przeszkadzać, wyjaśnił jedynie, że David zaznaczył, żeby nic nie wkładał pod spodenki. Poprosił, żebym mu pomogła je włożyć i tym właśnie byłam zajęta, gdy za kulisy weszli Roberto, Eric i mój ojciec. Wszyscy trzej ujrzeni, jak klęczę przed nagim modelem i wkładam mu gatki.

– Podoba misie twoja praca – stwierdził Eric. Nie wiem, czy chodziło mu o moje prace z piór, czy o fakt, że niemal dotykałam nosem genitaliów modela.

– Co tu robicie? – spytałam.

– Chcieliśmy ci życzyć powodzenia – odparł Roberto. – Nie chcieli nas wpuścić do *backstage'u*, ale Eric ich przekonał.

– Ja mówiłem być dziennikarz z „Elle” – oświadczył Eric.

– To bardzo przemyślny człowiek – stwierdził ojciec z pewnym podziwem. – A ten tu młodzieniec ma defilować w samych gaciach i z różowymi plecami?

– To on będzie miał założone skrzydła – wyjaśniłam.

– Aha... Lubisz swoją pracę, młody człowieku? – zwrócił się do modela.

– Tato, nie przeszkadzaj.

Moja siostra, już ubrana w swoją pierwszą kreację, podeszła się przywitać. Zawisła na szyi ojcu, a potem sprzedała głośne całusy Robertowi i Ericowi. Norweg spytał ją o coś, a ona wzięła go pod rękę i pociągnęła ze sobą, prosząc Roberta, żeby też z nimi poszedł. Moja siostra błyskawicznie stała się prawdziwą profesjonalistką modelingu. I w *backstage'u*, i na wybiegu czuła się jak ryba w wodzie. Zawsze mi opowiadała, że to, co w pracy modelki najbardziej lubi, a czego dziewczyny przeważnie nienawidzą, to tydzień castingów w wielkich miastach, takich jak Paryż, Mediolan czy Londyn. Grupka dziewczyn wynajmowała na tydzień jakiś apartament lub instalowała się w hotelu – Lu wołała mieszkania, bo w hotelowym pokoju czuła się bardzo samotnie – i przemierzała całe miasto, jeżdżąc z castingu na casting. I chociaż cała ta procedura była męcząca i momentami wręcz dołująca, bo modelki były świadome, że są oceniane w mgnieniu oka i traktowane niemal jak kawałki mięsa w sklepie, moją siostrę podniecało wyzwanie, jakim było poddawanie się kolejnym próbom, i zwycięskie z nich wychodzenie. Poznawała inne modelki i modeli, ludzi od castingów, projektantów, i uczyła się od wszystkich. I całkiem nieźle się przy tym bawiła.

– Czy przyszła twoja matka? – spytał ojciec.

– Nie wiem – skłamałam. I dodałam: – Nie miałam wolnej nawet chwili. – W tej samej sekundzie wpadłam na pomysł, jak nie dopuścić do spotkania rodziców. – Tato, a może chciałbyś obejrzeć pokaz z za kulis?

– Jak to z za kulis?

– Po prostu. Zostać tutaj. To o wiele zabawniejsze. Wyraźnie czuje się napięcie, nerwy, można się przyjrzeć gorączkowej pracy ekipy, oglądać rozbierające się i ubierające modelki...

– No coś takiego! Czy bierzesz mnie za zбочeńca, Saro? – Ojciec udawał, że ogarnia go zgorzienie.

Jako że pokusy nie podziałały, postawiłam na nutę sentymentalną.

– Mógłbyś mnie wspierać na duchu... – powiedziałam błagalnym tonem.

– Ja ciebie? – zdziwił się.

– Tak. Bardzo tego potrzebuję. Zżerają mnie nerwy. Pomogłaby mi twoja obecność.

– Ale w takim razie nie zobaczyłbym twojej siostry na wybiegu.

– Oczywiście, że byś ją zobaczył. Na tych dwóch ogromnych ekranach. Nawet lepiej widać na nich niż na zewnątrz. Zresztą jedyne, co Lu robi, to chodzi w tę i z powrotem jak zombi. Nic w tym nadzwyczajnego.

– Ale jej narzeczony będzie grał na żywo... A Lu mówiła, że jest znakomity. I że nie mogę go przegapić.

– Przecież tu doskonale wszystko słysząc.

– No nie wiem...

– Jeśli wolisz wspierać swoją młodszą córkę i jej narzeczonego zamiast mnie, to oczywiście muszę się z tym pogodzić.

Ojciec się nie odzywał, więc zrobiłam żalną minę. Wyglądało na to, że zaczyna się łamać.

– Córeczko, jeśli to takie ważne, to oczywiście zostanę – powiedział w końcu.

Rzuciłam się mu na szyję, spontanicznie, czego prawie nigdy nie robię. W naszym domu raczej nie wyrażało się emocji poprzez kontakt fizyczny.

– Jakoś dziwnie się zachowujesz – zauważył ojciec.

– Bo wzięłam dwa proszki na uspokojenie – wyjaśniłam.

– Nie widzę, żebyś była uspokojona.

– Dlatego właśnie potrzebuję, żebyś ze mną został.

Podszedł do nas David; chciał, żebym wraz z nim jeszcze raz wszystko skontrolowała. Zmusił mnie, żebym z nim poszła. Ojciec włókł się za nami.

– Trzy minuty, Saro. Za trzy minuty start. Chyba mnie coś trafi. Carlota Hamilton właśnie przybyła, siedzi w pierwszym rzędzie. Są także ludzie z „Vogue’a”, a jeden typ z „Elle” zawędrował aż za kulisy... Nie przeżyję tego.

Wolałam mu nie mówić, że ten typ z „Elle” to mój wiking; po co pozbawiać go złudzeń?

– Kim jest Carlota Hamilton? – zainteresował się ojciec.

– Bezlitosną blogerką. Ale nas będzie uwielbiać. Wiem o tym, przecucie mi to mówi

– odparł David i dopiero w tej chwili zarejestrował obecność mojego ojca. – A pan jest...?

– Mój ojciec – włączyłam się. – Tato, to jest David, projektant.

– Jestem Arturo, bardzo mi miło. – Ojciec wyciągnął rękę, żeby się przywitać.

Zamiast podać mu swoją, David zareagował w sposób bardzo przesadny. Z wyrazem przejęcia na twarzy objął ojca i ucałował go w oba policzki.

– Łączę się w bólu – powiedział.

– Davidzie! – wrzasnęłam.

– Dlaczego on mi to powiedział? – Ojciec spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

– Sądzę, że coś mu się pomyliło.

– Aha, to znaczy, że on nie wie, że ona tam jest z... – brnął David.

– Davidzie, nie trać czasu, spójrz lepiej, co się dzieje z tą modelką! – Popchnęłam go, żeby sobie poszedł.

– O czym on mówił? – Ojciec był zaintrygowany.

Odciągnęłam ojca na bok.

– Tato, złota reguła mówi, że na kilka minut przed rozpoczęciem pokazu projektanci bredzą od rzeczy i nie należy na nich zwracać uwagi.

Nie uwierzył mi. Istotnie, wyjaśnienie było absurdalne; szkoda, że nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Kto tam jest? Twoja matka?

– Nie wiem, tato. Bo nie miałam nawet czasu sprawdzić – powiedziałam, wygładzając mankiet jednego z zakietów. – Podobają ci się? Pióra bażanta i dzikiej gęsi. – Staralam się odwrócić jego uwagę. Co mi się nie udało, bo podbiegł i wyjrzał zza jednej z czarnych zasłon na salę. Natychmiast wrócił do mnie.

– Twoja matka. Jest tam. Powiniennem usiąść u jej boku.

– Tato, przecież mi obiecałeś, że ze mną zostaniesz – zaoponowałam.

– To dlatego chciałeś, żebym tu został, teraz rozumiem. Ale co ty sobie myślisz, że nie jestem w stanie rozmawiać w sposób cywilizowany z kobietą, z którą pozostaję ponad trzydzieści lat w związku małżeńskim?

– No bo to nie czas po temu, tato. Dzisiaj jest mój dzień, no i dzień Lu. Czy nie moglibyście odłożyć waszych nieporozumień na bok na kilka godzin?

– Nieporozumień! To tak się teraz nazywa to, że żona przyprawia mężowi rogi z jakimś wąszaczem...? – Widać było, że dopiero teraz załapał, co jest grane. – Twoja matka siedzi obok jakiegoś wąsatego faceta!

Staralam się nie poruszyć nawet jednym mięśniem twarzy, żeby się nie zdradzić, że coś o tym wiem. Chyba jednak mi się to nie do końca udało, bo ojciec ponownie dał nura między zasłony. Wrócił z wyrazem załamania na twarzy.

– Przyprowadziła go. Przyszła z nim tutaj. To... to jest...

– Nikogo nie przyprowadziła, tato. Niemożliwe. Masz jakieś zwidy.

– Przyprowadziła – potwierdził grobowym tonem. – No i co takiego powiniennem teraz zrobić, jak sądzisz?

– Dziesięć sekund! – krzyknął jeden z porządkowych, z rozpiską w ręku i przypiętym mikrofonem.

David zaczął do mnie histerycznie machać.

– Saro! Tutaj, do mnie! – pokrzykiwał, sprawdzając obsesyjnie, czy modele stoją rzędkiem w uprzednio ustalonej kolejności i czy każdy szczegół jest w porządku. Nagle wrzasnął, ściągnął jednej z modelek pasek i zastąpił go innym. – Koszmar! – krzyknął. – To jakiś koszmar!

Usiłowałam go uspokoić, mimo że sama miałam wiele własnych powodów do niepokoju. Ujrzałam, że ojciec nalewa sobie whisky z jednej z butelek dostarczonych przez firmę, która sponsorowała pokaz. Rzuciłam się do niego.

– Wracaj! – wrzasnął David.

– Chwileczkę – odpowiedziałam. Po czym zwróciłam się do ojca: – Tato, czy uważasz, że to dobry moment, żeby zalać pałę?

– Dziecko, ja wiem, że wy jesteście przyzwyczajone do zrywania, do zostawiania jednego chłopaka i szukania sobie innego. Ale dla mnie to nowość. Czuję się zagubiony...

– Saro! – wrzeszczał nadal David.

– Tato, nie ruszaj się stąd, zaraz wracam.

Wyjęłam mu z dłoni szklankę i podeszłam z nią do Davida. Wyrwał mi ją i jednym haustem wychylił zawartość. Usłyszeliśmy pierwsze akordy jednej z piosenek Aaróna.

Pokaz się zaczął. Modelki po kolei wychodziły na wybieg. Lu, trzecia w kolejności, uśmiechnęła się do mnie, przejęta, i zapytała:

– Widziałas, jak Aarón świetnie wygląda?

– Wybierz sobie z głowy uśmiechy – syknął David, a ona, w tysięcznej części sekundy, przybrała minę zimnego i odległego manekina, którego nic nie jest w stanie poruszyć, nawet zabawny filmik z baraszkującymi kotkami.

Popatrzyłam na Aaróna poprzez przestrzeń dzielącą kulisy od wybiegu. Nasze spojrzenia się spotkały, a on puścił do mnie oko.

W tej samej chwili ktoś objął mnie ramieniem od tyłu. Podskoczyłam ze strachu. To był Roberto.

– Roberto, co ty tu jeszcze robisz? – zdziwiłam się. – Szybko, uciekaj na miejsce.

– Dobrze, zaraz. Powodzenia, mała.

– I błagam cię na wszystkie świętości, nie pozwól, żeby ojciec podszedł do matki.

Zaczęłam się rozglądać za ojcem, ale nigdzie nie było go widać. Zaczęłam się obawiać najgorszego.

Kolejne modelki przechadzały się po wybiegu z wdziękiem – a raczej ospale i beznamiętnie – prezentując kreacje. Flesze i migawki aparatów fotograficznych wytwarzały ciągły szum. Nagle rozległy się spontaniczne oklaski. Spojrzałam w stronę, skąd dochodziły. To był ojciec. Stał wśród publiczności i bił brawo. Roberto z Erikiem właśnie wychodzili z *backstage'u*. Podbiegłam do nich.

– Zabierz stąd mojego ojca, Roberto. Błagam.

– Ale...

– Roberto, proszę. Albo chociaż nie pozwól, żeby zrobił z siebie przedstawienie. Bardzo, bardzo cię proszę.

Roberto i Eric od razu podeszli do ojca. Widziałam, że udało im się go usadzić. Ojciec nie spuszczał oka z matki i Ismaela. Matka wzruszyła ramionami i zrobiła minę oznajmiającą, że ma zamiar go ignorować.

Ostatnie modelki właśnie wracały z wybiegu. Trzeba było sprawdzić, czy wszystko jest w porządku z ich strojami do drugiego wyjścia.

Pomogłam Lu włożyć jej kreację.

– Co się stało tacie? Dlaczego bił brawo? – dopytywała się.

– Wie, że matka przyszła tu z kochankiem. Ojciec czuje się zagubiony.

– Że mama **co**? Zabiję ją, zabiję! – wrzasnęła. – Dlaczego robi mi coś takiego?

– Obydwu nam to robi. Tobie i mnie... Wróć, ojcu też. Zwłaszcza jemu.

– Nie, to jest jej sposób, żeby pokazać swój sprzeciw wobec mojego ślubu.

– Przyprawiając kochanka na pokaz? – Byłam zdziwiona jej rozumowaniem.

– Mama jest zdolna do wszystkiego, żeby tylko postawić na swoim – stwierdziła Lu.

– No popatrz, a wczoraj właśnie mnie o to oskarżała.

– Nie chce, żebym wyszła za męża. Jest nawet zdolna do zrujnowania pokazu, który kosztował wszystkich tyle trudu.

– O czym plotkujecie? Kto zrujnuje co? – David napatoczył się właśnie w tej chwili.

– Nikt niczego. Nie przejmuj się, Davidzie – uspokoiłam go. – Wszystko idzie świetnie.

Moja siostra była już gotowa do wyjścia. Wyglądała obłędnie.

– Spójrz, jak wspaniale wygląda – dodałam. – To będzie pełny sukces.

Lu wyszła na wybieg swym zwykłym krokiem zombi, jakby była ponad wszystkim. Jej naburmuszona mina tym razem była uzasadniona, bo ojciec nie dosyć, że znowu zaczął bić brawo, to jeszcze pokrzykiwał:

– To moja córka! Moja córka!

Popatrzyłam znacząco na Roberta, żeby coś na to poradził, żeby powstrzymał ojca, ale on tylko zrobił bezradną minę.

Instynktownie spojrzałam na Aaróna. Wpadłam na pomysł, aby mu zasygnalizować, żeby grał głośniej. Przez głośną muzykę brawa i komentarze mojego ojca się nie przebiją, a jeśli nawet, to będzie je słabiej słychać.

Usiłowałam ściągnąć na siebie uwagę Aaróna, machając rękoma. Zauważył mnie. Zaczęłam podnosić i opuszczać ręce; udawałam, że gram na niewidzialnej perkusji. Wydawał się

nie rozumieć. Faktem jest, że nie mam jakichś specjalnych zdolności aktorskich. Gestykulowałam jak oszalała, a on patrzył na mnie, zbity z tropu. Ojciec znowu klaskał i krzyczał, że to jego córka.

– Zrobiłem ją mojej żonie! Świetnie nam wyszła, prawda?!

Poczułam, że chcę umrzeć, Lu najwyraźniej też chciała umrzeć i niemal się zabiła na swych kilometrowych obcasach. David podszedł do mnie, zatroskany. Nadeszła pora na założenie skrzydeł modelowi. Mieliśmy to zrobić we dwoje; wzięliśmy się do dzieła.

– Twój ojciec totalnie się rozszalał – stwierdził David. – Możesz coś z tym zrobić?

Znów zaczęłam gestami ponaglać Aaróna, żeby podkreślił dźwięk. Tym razem, chyba dlatego, że też słyszał krzyki mojego ojca, załapał, o co mi chodzi, i dał sygnał swoim muzykom.

Ojciec nadal coś nadawał, ale szczęśliwie głośna muzyka częściowo zagłuszyła jego słowa.

Lu wróciła, wściekła jak furia.

– Nigdy w życiu mu tego nie wybaczę – syknęła.

Jakoś nam się udało zapiąć uprząż na piersi modela, choć byłam bardzo rozproszona i przytłoczona tym wszystkim, co się wokół działo. Naszły mnie pewne wątpliwości, czy zrobiliśmy wszystko, jak należało. Moje skrzydła były główną atrakcją pokazu, jego kulminacyjnym punktem. Później miało wyjść jeszcze kilku modeli, ale jeśli o mnie chodzi, to Ikar był ukoronowaniem mojej pracy.

Model wszedł na wybieg. Muzyka Aaróna zmieniła się, towarzysząc mu, stała się bardziej poważna, bardziej dramatyczna, zmieniły się też światła, wszystko to razem wyglądało cudownie. Nastrój był fascynujący i wszystko szło fantastycznie, do chwili gdy zauważyłam, że skrzydła zaczęły się przekrzywiać na jeden bok. Biedny model też zdał sobie z tego sprawę i, usiłując opóźnić ich upadek, podniósł jedno ramię nieco do góry. Jednak katastrofa wisiała na włosku, jasne było, że nie uda mu się ich utrzymać.

– Nie, nie, nie... – jęczał błagalnie David.

– Idźcie mu pomóc – nakazałam Lu i jednemu z modeli.

– Jak? – spytała Lu.

Nie byli jeszcze do końca ubrani przed ostatnim wyjściem. Nie dałam im czasu na protesty, zarzuciłam obojgu jak bądź boa z piór na szyje i wyprawiłam na wybieg.

– Zdejmijcie mu skrzydła i postawcie na ziemi – poinstruowałam ich. – Już!

Pobiegli i wspólnymi siłami udało im się jakoś zdjąć Ikarowi uprząż, zanim skrzydła spadły na podłogę.

David patrzył na mnie przerażony.

– Coś później wymyślimy, dorobimy jakąś symbolikę. Ikar obnażony, pozbawiony marzeń, zamieniony w obiekt. Czy to nie o coś takiego ci chodziło?

– Może i tak... – David wydawał się całkiem pokonany.

– Spokojnie, podszeptujemy to prasie. I już, załatwione.

Lu, model i Ikar wrócili za kulisy, zostawiając skrzydła na środku wybiegu. Publiczność była zbita z tropu, co do tego nie było wątpliwości. Widzowie nie byli pewni, co takiego się wydarzyło. David, zamiast wysłać tych pięciu modeli, którzy jeszcze mieli wyjść, błyskawicznie kazał zmienić światła i oświetlić jedynie upadłe skrzydła. Posłał modeli w ciemnościach, poleciwszy im uprzednio, żeby otoczyli skrzydła kręgiem. Gdy w sali znowu zabłyśły światła, wydawało się, że znaleźli się na wybiegu za sprawą magicznej sztuczki. W tej samej chwili Aarón zakończył grany utwór. Mój ojciec – oczywiście – był pierwszy do braw. To posłużyło jako wyzwalacz dla innych widzów, którzy początkowo klaskali dość nieśmiało, ale stopniowo brawa się nasilały i przeszły w entuzjastyczny aplauz.

– Teraz ty, Davidzie. Wyjdź – poleciłam mu – wykorzystaj tę podniosłą chwilę.

David wyszedł na wybieg. Skłonił się publiczności i szybko schował się z powrotem. Kazał wyjść wszystkim modelom i modelkom. Sam ruszył za nimi, ciągnąc mnie za sobą za rękę, na którą szybko włożył mi mankiet z piór.

– Niech nikt nie wątpi, które z nas jest autorem pierzastych akcesoriów – powiedział.

Trzymana za rękę przez Davida, wyszłam do oklasków. Aarón usiadł za perkusją i przywitał mnie werblem na bębnach i talerzach. Ojciec stał, w euforii, ze łzami w oczach. Eric też wstał, a za nim Robert, uniesiony entuzjazmem ich obu. Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Czy odnieśliśmy sukces, czy też ponieśliśmy porażkę i zrobiliśmy z siebie pośmiewisko? Media następnego dnia nas osądzą. Mogłam być pewna jedynie tego, że mimo przeciwności daliśmy z siebie wszystko, na co nas było stać. Pomimo zalania, kradzieży piór, pojawienia się Aaróna, pomimo mojego ojca, mojej matki i jej kochanka. Moje spojrzenie skierowało się w stronę ich krzeseł. Matka była tam, biła brawo bez przekonania. Natomiast Ismaela nie dostrzegłam. Może zląkł się spotkania z moim ojcem i chciał go uniknąć, może jednak matka poszła po rozum go głowy i poprosiła go, żeby zniknął.

Po powrocie za kulisy David, zamieniony w kłębek nerwów, spytał mnie drżącym głosem:

– Sądziś, że spodobaliśmy się Carlocie Hamilton?

– Nawet przez chwilę w to nie wątp, Davidzie.

Uwierzył mi i z radości podniósł mnie do góry. Ja sama jednak miałam jakieś gorzkie przeczucie, które postanowiłam jak najprędzej zwalczyć alkoholem. Nie miałam pojęcia, jaki będzie efekt w połączeniu z tymi pastylkami, które wzięłam wcześniej, ale potrzebowałam kielicha. Wszyscy potrzebowaliśmy. A ojciec wyprzedzał nas już o jedną czy dwie kolejki.

Trzy kolejki później stało się oczywiste, że zmieszanie środków uspokajających i alkoholu nie było dobrym pomysłem. Odtąd wszystko działo się jakby obok mnie, zdarzenia przepływały falami, czasami zaś miałam wrażenie, że snop światła wrywa z ciemności pewne osoby i sprawy. Reszta kryła się we mgle. Byłam obecna, lecz jakby nieprzytomna, nie mogłam się skupić, nie byłam w stanie niczego świadomie przeżywać. Cały ten wieczór zapamiętałam jedynie jako sieczkę niepowiązanych ze sobą faktów.

Widziałam, jak Lu klóci się z matką. Usiłowały mówić szeptem; przypuszczam, że po to, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Jednak jeśli nawet ja, w moim smutnym stanie, zauważyłam ich starcie, to z pewnością ich usiłowania, żeby rozmówić się dyskretnie, nie odniosły spodziewanego skutku. Usłyszałam coś o ślubie.

– Chcesz mi wszystko popsuć. Nie możesz znieść tego, że jestem spontaniczna i szczęśliwa.

– Przynajmniej przed wszystkim jesteś durna do bólu. Nie pierwszy raz ci mówię, że od wysokich obcasów po jakimś czasie szwankuje umysł.

Potem Lu klóciła się z ojcem.

– Jak mogło ci przyjść do głowy tak demonstracyjnie klaskać, jakby to było szkolne przedstawienie?

– Córeczko, to żeby ci wynagrodzić te wszystkie, na których mnie nie było.

– No to szkoda, tato, ale to tak nie działa. To nie był dobry moment.

– Przecież wyglądałaś cudownie... Czyżby ojciec nie miał prawa odczuwać dumy z córki?

– To nie była moja zasługa, ale piór Sary.

No dobrze, ta ostatnia kwestia najprawdopodobniej nie padła, ale przecież mogła być, prawda? Zwłaszcza że tak usilnie sobie to wyobrażałam.

Następna migawka: ojciec wypytuje matkę o wąsacza. Matka śmieje się z piercingu ojca i mówi mu, żeby tyle nie pił, bo już zaczyna mieć zwidy, a ona przyszła tu sama, sama, sama. I ojciec ciągnie mnie, żebym zaświadczyła, że matka kłamie, a ja wychylam kolejny kieliszek, żeby nie musieć opowiadać się po żadnej ze stron. A przecież umierałam z chęci zdyskredytowania matki. Jednak wiedziałam, że to ani stosowne, ani właściwe. Nawet pijana w sztok pozostawałam najrozsądniejszym członkiem naszej rodziny, właśnie tak. Po czym ojciec grozi mi, że pozwie mnie na świadka sprawy rozwodowej, gdzie będę musiała powiedzieć prawdę i zeznać, że matka przyszła na pokaz w towarzystwie.

– A przed sądem nie będziesz mogła skłamać. To byłoby krzywoprzysięstwo czy bluźnierstwo, czy coś w tym stylu.

Zmieniam miejsce i słyszę, jak David usiłuje poderwać tego modela od skrzydeł. Mówi mi, że świetnie sobie poradził i nie dopuścił do wypadku. Wypadku, za który winę ponoszę ja, z powodu mojego rozproszenia i dramatów rodzinnych.

– Ale należy ją zrozumieć. To takie poplątanie z pomieszaniem... Gdybym ci opowiedział... Chcesz, żebym ci opowiedział?

– Jeśli potem będziemy się pieprzyć...

– Chcesz się ze mną pieprzyć?

– Posuwałem już gorszych.

– Uznam to za komplement.

– Opowiadaj.

Tu się włączyłam i poprosiłam, żeby tego nie robił, że mu nie pozwalam wykorzystywać mojej tragedii osobistej w celach podrywu. Zwłaszcza że to zbyteczne, bo model aż się rwie do łóżkowej roboty.

– Bo jestem łatwy, no tak. Dlatego ciągle mnie biorą na pokazy.

Ikar okazał się łatwy i prostoduszny. David śmieje się i go całuje, ja krzyczę: „Niech żyje młoda para!”. David popycha mnie, żebym sobie poszła i przeszkadzała komuś innemu. Mówi też, że nie widział Caroloty Hamilton po pokazie, że z pewnością wymknęła się przed końcem, jak to ma w zwyczaju. I już mam odejść, gdy dodaje, że „ktoś ważny” pytał go o moje wyroby z piór. Tak, o moje pióra, a nie o jego ubrania, i że on – mimo że go okropnie zabolalo, że zignorowano jego pracę – dał mu moją wizytówkę. Tak więc przypuszczalnie ktoś do mnie zadzwoni w najbliższych dniach.

– Kto to taki? Znam go?

– Pracuje dla wielkiej firmy odzieżowej. Mają forszę i ciągle poszukują talentów.

– Naprawdę?

– Jeśli nie masz nic przeciwko pracom na zlecenie i w wielkich nakładach. Za to o *designie* i *haute couture* możesz zapomnieć.

– Zapomnę, jeśli tak trzeba. To by mi uratowało życie. Dlaczego mi go nie przedstawiłeś?

– Dałem mu twoją wizytówkę. Zadzwoni do ciebie. Nie marudź.

A ja już cała w skowronkach. Szczęśliwa i pełna nadziei buduję zamki na piasku. Moje projekty widzę ogromne, zalewają świat od Nowego Jorku po Szanghaj.

– Spójrz, to on. – David wskazuje jakiegoś bardzo chudego faceta w ciemnym garniturze i brązowych butach.

– Co mam zrobić, podejść do niego?

– Tak, powiedz mu, kim jesteś.

– Przedstaw mu mnie, Davidzie, bardzo cię proszę.

David rzucił mi nienawistne spojrzenie, ale się zgodził. Uwiesiłam się jego ramienia i wspólnie podeszliśmy do faceta w garniturze.

– Pablo, to jest *plumassière* Sara Escribano. Saro, to Pablo Almagro.
– A więc to ty? Spójrz, co trzymam w ręku. Fascynuje mnie ten cyferblat. – Pokazał mi jeden z zegarków, które poddałam przeróbce z wykorzystaniem piór. – Z jakiego to ptaka?
– Bażant hiszpański. Pióra z szyi.
– Ile kosztuje ten zegarek?
– Około dwustu euro.
– O jakich ilościach musielibyśmy mówić, żebyś mi je dostarczyła za jedną czwartą tej ceny?

Nie byłam przygotowana na takie pytanie.

– Musiałabym dokonać obliczeń – odpowiedziałam. – I trzeba byłoby zdobyć bezmarkowe zegarki do przerobienia.

– To żaden problem. Trzysta zegarków? Trzy tysiące?

– Trzy tysiące? Nie mam możliwości zrobienia aż tylu.

– Możemy ci w tym pomóc. Jeśli jesteś zainteresowana.

– Mówisz poważnie?

– Ja zawsze mówię poważnie. Jesteś zainteresowana czy tracę czas?

– Mówimy jedynie o zegarkach?

– Nie, bylibyśmy potencjalnie zainteresowani szerszą linią produktów. Muszki, kołnierze i buty. Kiedy siadamy do rozmów?

– W każdej chwili.

– Zadzwoń w tym tygodniu. Umówimy się i albo ty nam złożysz wizytę, albo my tobie.

– Doskonale – odpowiedziałam, ściskając mu dłoń. Nie byłam w stanie zapanować nad emocjami.

Odeszłam w podskokach. Chciało mi się płakać albo krzyczeć. Udało mi się! Coś z tego będzie! Coś wspaniałego. Będę produkować swoje wzory w ilościach przemysłowych. Hurra! David, zazdrosny lub po prostu przytomniejszy ode mnie, usiłował mnie skłonić, żebym wróciła na ziemię.

– Saro, to wspaniałe, ale nie dziel jeszcze skóry na niedźwiedziu.

– Jakim niedźwiedziu?

– Powiedzkonko takie. Ciesz się, ale nie szalej, jeszcze nie podpisałaś umowy.

– Umierasz z zazdrości.

– Zgadza się, ale mam emocje pod kontrolą. I tobie też to zalecam.

– Przecież sam powiedziałeś, że to poważny człowiek.

– Bardzo. Ale takie interesy udają się tylko czasem, a przeważnie nie. Poczekaj kilka dni, zanim ucznisz to pokazem fajerwerków i tortem, dobrze? Mówię to z doświadczenia i ostrożności.

– Masz całkowitą rację. Tak, tak.

I chociaż tak odpowiedziałam, oczywiście nie byłam w stanie już zmasać uśmiechu z twarzy, i czciłam okazję kieliszkiem po kieliszku, dzieliłam skórę na wyimaginowanym niedźwiedziu, i w wyobraźni widziałam wybuchy sztucznych ogni. Wielokolorowe, spektakularne, hałaśliwe, zalewające całe nocne niebo. No dobrze, nie będę jeszcze nikomu o niczym mówić, ale cóż może być złego w tym, żebym uczciła tę okazję intymnie, w towarzystwie siebie samej i butelki. To było nieuniknione. Przecież takie rzeczy nie dzieją się co dzień, a przynajmniej mnie dotąd nigdy się nie zdarzyły.

Byłam coraz bardziej pijana i coraz więcej wysiłku kosztowało mnie odróżnienie tego, co naprawdę się dzieje wokół mnie, od tego, co widziałam i słyszałam w wyobraźni.

Przypominam sobie, że właśnie nalewalam sobie kolejny kieliszek, gdy podeszła do mnie

matka, żeby mi przekazać komplementy od Ismaela.

– Mówi, że warto było zaryzykować posadę na przemyt flamingów.

– Przymyt? Jaki przemyt, przecież flamingi nie wyszły poza zoo. Powiedz mu, żeby nie wymyślał scenariuszy filmowych.

– Moja droga, najważniejsze, że mu się spodobało...

– Bardzo mnie to cieszy.

– I to niezależnie od tego czegoś dziwnego, co zrobiliście ze skrzydłami. Dlaczego je rzucili na ziemię? Tego nie pojęłam.

– Komu co się spodobało? – spytał mój ojciec, który do nas podszedł.

– Nic takiego, Arturo, nic takiego – powiedziała matka. – To ciebie nie dotyczy.

– Mnie już nic nie dotyczy, jak widzę.

– Co za nieznośny człowiek.

– Mamo!

– Jeśli sądzi, że zdobędzie mnie tą postawą ofiary, to bardzo się myli. I to znaczy, że mnie nie zna – stwierdziła matka.

– Widzę, że istotnie cię nie znam. Kobieta, z którą spędziłem trzydzieści lat w małżeństwie, nigdy by się tak wobec mnie nie zachowała. Tak przynajmniej sądzę. Jesteś dla mnie nieznaną, Milagros.

– Milagros? Kogo nazywasz Milagros? – zdziwiła się matka.

– To twoje drugie imię.

– I przeprowadziłam postępowanie, żeby je wymazano z moich akt. Nie graj mi na nerwach, Arturo. Gdy tylko możesz, wsadzasz mi szpile.

– Nie takie rzeczy ci wsadza tamten wążacz!

– No sama widzisz, Saro, że z twoim ojcem nie sposób rozmawiać.

A ja śmieję się jak głupia, bo jestem szczęśliwa i jest mi wszystko jedno, czy rodzice kłócą się i rozstają, czy godzą i całują.

Pamiętam, że potem się przyglądałam, jak Eric entuzjastycznie rozmawia ze wszystkimi modelkami, a następnie ze wszystkimi modelami. I zadawałam sobie pytanie, czy woli dziewczynki, czy chłopców. Najwyraźniej spytałam się o to na głos, bo Roberto powiedział, żebym się zamknęła. I żebym się odwaliła od życia i upodobań Erica, bo kimże ja jestem, żeby go osądzać. I że to do mnie nie pasuje, takie prostackie zachowanie. A ja zaczęłam go przekonywać, że nie miałam zamiaru nikogo osądzać, że to czysta ciekawość.

– Jesteś *straight*, *gay* czy *bi*, wikingu?

– Przestań chlać, Saro – skarcił mnie Roberto.

A ja, pociągając łyk z mojego (siódmego?) kieliszka i wytykając Roberta palcem, powiedziałam:

– Od roku mieszkasz osobno. Straciłeś prawo, żeby mi mówić, że mam nie pić albo że mam czegoś nie robić, albo coś robić.

– Fatalnie się zachowujesz, Saro. Nie mieszaj przynajmniej alkoholi.

– Przepraszam, przepraszam. Podobał ci się pokaz? Niczego mi nie powiedziałeś.

– Siedem razy ci mówiłem, ale wpada ci to jednym uchem i wylatuje drugim.

Patrzę na niego i nie wierzę w ani jedno słowo.

– I co takiego mi powiedziałeś siedem razy?

– Po co mam ci coś mówić, jak i tak nie słuchasz?

– Teraz poważnie, Roberto. Podobał ci się pokaz? Ożenisz się ze mną?

Roberto się śmieje.

– Jutro ci to wszystko wypomnę i będziesz chciała umrzeć ze wstydu.

– To mi się często zdarza, owszem. Mam tyle dobrych wiadomości, Roberto... Ale nie mogę ci niczego powiedzieć. Na razie mogę jedynie uczcić to wewnętrznie. Sama dla siebie, w tajemnicy.

– Bardzo dobrze, Saro. Ale nie musisz przecież w tym celu wykańczać całych zapasów alkoholu.

A w tym czasie moja siostra znowu klóci się z matką. Zarzuca jej, że dręczy ojca.

– Nie możesz znieść, że nie chcę być na twoim ślubie. Przyznaj, że to o to ci chodzi.

– Nie wszystko musi mieć związek ze mną – odparowuje Lu.

– Och! To nowość.

– Zgorzkniałaś, odkąd rozstałaś się z tatą. Powinnaś coś z tym zrobić.

– Nie pozwalaj sobie zanadto.

– Masz problem. Jesteś jak kameleon.

– Co? Co takiego?

– Upodabniasz się. Kiedy byłaś z tatą, byłaś sympatyczną kobietą. Jako że ten twój nowy facet z pewnością jest okropny, ty też zrobiłaś się paskudna.

– Chyba chcesz zarobić policzek.

– No i sama widzisz! Naprawdę mi się nie podoba ta nowa ty.

– Opowiadasz banialuki. Przyznaj, że umieras z chęci, żebym się złamała i przyszła na twój ślub. Wszystko się do tego sprowadza.

– Zwisa mi i powiewa, czy przyjdiesz, czy też nie. Ja nie jestem Sarita, nie trzęsę się, żeby zyskać twoją akceptację.

– Mnie do tego nie mieszaj – powiedziałam, podchodząc do nich na chwiejnych nogach.

– Ja też nie potrzebuję niczyjej akceptacji. To whisky czy rum? – Podsunęłam im szklankę.

– Dżin – stwierdziła Lu.

– Zmieszany z wódką. Saro, nie przesadzaj z pićm, kochanie.

– Nie chcę mieszać alkoholi, bo Roberto mówi, że to mi szkodzi. Mamo, jak sądzisz, czy Roberto chce się ze mną ożenić?

– Saro, masz całkiem niedobrze w głowie.

– Ależ skąd. Mam dobrze. Aha, czy już ci przedstawiłam wikinga? Może spodoba ci się bardziej niż ten gościu z zoo. Nie ma wąsów! Wikingu! Gdzie jesteś?

– Lepiej zabierz Sarę do domu – poprosiła matka moją siostrę.

– O nie, tak łatwo się ode mnie nie uwolnisz – odparła Lu. – Aarónie, podejdź tu, przedstawię cię mojej matce.

Podchodzi Aarón. A ja bełkoczę coś o jego plecach.

– Pomalowałam mu je na różowo, mamo. Ach, te jego plecy... Mam takie dobre wiadomości...

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Pewnie dlatego, że nadal świętowałam wewnętrznie i niczego nie dawałam po sobie poznać.

– To Aarón, mamo. To za niego wyjdę za mąż, choćbyś była temu przeciwna

– oświadczyła Lu.

– Lu! Czy sądzisz, że to właściwa forma przedstawienia mnie twojej matce? – skarcił ją Aarón.

– Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Nie zasłużyła na nic lepszego – odburknęła Lu.

– Lu! – krzyknęła matka.

– Lu! – krzyknął Aarón, takim samym, pełnym wyrzutu tonem.

Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem.

– Nie masz chyba zamiaru stawać po jej stronie albo się jej podlizywać, co? Bo to ze mną się żenisz, a nie z nią.

– Chyba się upiłaś, Lu – stwierdził Aarón.

– Ja nie. To moja siostra jest pijana.

– Tak – przyznałam. – To fakt. Plecy, mamó. Jego plecy... Ach! Jaka jestem szczęśliwa. Wewnętrznie, ale bardzo szczęśliwa. Bardzo. Za parę dni uczczę to zewnętrznie, przysięgam. I wszystko wam opowiem.

Do akcji wkroczył Roberto. Złapał mnie za rękę i odciągnął na bok, z dala od mojej matki, siostry i Aaróna.

– Czego chcesz? – zapytałam.

– Wyjdźmy stąd. Musisz odetchnąć świeżym powietrzem.

– Co za żalosny, biedniacki pretekst – prychnęłam.

– Bogaci też oddychają.

– Chyba że tak... Ależ jestem śpiąca, Roberto. Gdzie jest łóżko? Dlaczego nie jesteś w Paryżu?

– Bo przyjechałem do ciebie.

– Fajnie.

Ktoś nagle przebiegł obok mnie. Lu. Za nią podążał Aarón.

– Lu, proszę cię. Bądź rozsądna.

– Zarzucasz mi, że jestem nierozsądna?

– Nie. Tak. To znaczy, nie jesteś w pełni sobą.

O, nieszczęsny Aarónie. Mojej siostrze nie można powiedzieć czegoś takiego i ujść z życiem, pomyślałam, bo choć byłam nawalona jak stodoła, to wystarczyło mi przytomności, żeby zdać sobie sprawę, iż Aarón właśnie wdepnął w niezłe bagno.

– Ja? Ja? – W tym momencie Lu już w oczywisty sposób zaczęła się zmieniać w złego gremlina. Spektakl dopiero się zaczynał, ale zapowiadał się na bardzo burzliwy.

– Nie należy dawać jeść po północy ani wystawiać na kontakt z wodą... – mamrotałam.

– Zamknij się, pijaczko! – objechała mnie Lu.

– Już po nas – powiedziałam do Roberta. – Ale najpierw się weźmie za niego.

– I z politowaniem spojrzałam na Aaróna. Nawet nie wie, biedaczek, w co się wpakował.

– W co ty pogrywasz?! – wrzasnęła na niego moja siostra. – Za kogo ty się masz, żeby mnie publicznie poniżyć przed moją matką?!

– Poniżyć? – spytał Aarón. Nadal nie wierzył, że oto dzieje się to, co właśnie się działo.

– Czym cię niby poniżyłem? Po prostu stwierdziłem, że to nie najlepszy sposób, żeby mnie przedstawić. Że w ten sposób nie zyskamy jej aprobaty.

– Do niczego jej nie potrzebuję!

– Ależ tak, potrzebujesz. Nawet jeśli o tym nie wiesz. To dlatego jesteś taka...

– I zamilkł, bo bał się kontynuować. Albo też z rozważli, żeby jeszcze bardziej nie rozjuszyć Lu.

– Taka, czyli jaka? No już, powiedz. Chcę wiedzieć, co o mnie myśli mój przyszły mąż.

To na wypadek gdyby doszło do ślubu, co nie jest pewne, bo właśnie mi przechodzą chęci.

– Lu, kochanie, nie przesadzaj, proszę.

– Po prostu mówię, jak jest. Że mi się odechciewa. Zresztą tobie z pewnością też, bo nie znałeś mnie takiej.

Powiedz, że tak, Aarónie. Powiedz, że tak. Powiedz jej, że tobie też się odechciewa. Spraw, żeby ten niekończący się i absurdalny dzień uzyskał jakiś sens. Powiedz, że już nie chcesz się z nią żenić, i skończmy z tym wszystkim. A potem ty, Roberto, poprosisz mnie o rękę i nareszcie będę mogła się położyć, i się wyspać, i żyć dalej. I... Ojej, chce mi się rzygać. Ale

nie, nie teraz. Chcę zobaczyć, jak Aarón i Lu zrywają ze sobą. Muszę to zobaczyć. Nareszcie wszystko zaczyna się układać, wszystko zaczyna się dobrze układać. Roberto jest przy mnie, kocha mnie, odniosłam tryumf na pokazie, będę miała wspaniałą pracę, a Aarón zaczął odkrywać, jaka naprawdę jest moja siostra, i z nią zerwie. I dzięki temu zniknie z mojego domu, z mojego świata, z mojego życia. Powiedz jej, Aarónie, że jest cholerną histeryczką... Cholera, cholera... Znowu zbiera mi się na wymioty... Gówno!

Musiałam natychmiast wybiec, wpadłam do męskiej toalety, bo damska była zajęta, padłam na kolana przed sedesem, brudnym i cuchnącym szczynami. Muszę szczerze przyznać, że to pomogło mi niezwykle szybko opróżnić żołądek.

Roberto podtrzymał mi czoło i ocierał twarz.

– Roberto, jak dobrze, że jesteś. Przepraszam, przepraszam...

– Już dobrze...

– Zerwali ze sobą? Moja siostra i muzyk?

– Lu wybiegła na zewnątrz. Przejdzie jej to.

– Aha... Jaka szkoda... Zabierz mnie do domu, Roberto. Nie czuję się najlepiej...

Bez pytania mnie o zdanie

Obudziłam się w ciemnościach. Dobrą chwilę trwało, zanim udało mi się ustalić, gdzie się znajduję. Tak, to moja sypialnia. Jak tu dotarłam? Wyświetlacz komórki powiadomił mnie, że jest piąta rano. Roberta nie było koło mnie. Byłam sama. Dlaczego? Z pewnością chrapałam i wolał się przenieść na kanapę. To musiało być to. Albo też powiedziałam mu coś niemądrego. Urywki konwersacji z wczorajszego wieczoru wróciły do mnie, jak przywiane wiatrem. Jak trafnie przewidział Roberto, ogarnęło mnie przemożne uczucie wstydu. Co za obciach! Dlaczego piłam? Dlaczego się upiłam? Czułam suchość w ustach, a głowa pękała mi z bólu. Potrzebowałam szklanki wody i proszków przeciwbólowych. Ledwo udało mi się zwlec z łóżka. Wszystko wokół mnie wirowało, jakbym była w kajucie statku podczas sztormu. Jakie to dziwne uczucie.

Nagle przypomniałam sobie, ku swemu zażenowaniu, że gdy Roberto kładł mnie do łóżka, bezskutecznie usiłowałam wymusić na nim zbliżenie.

- No chodź, Roberto, musimy nadrobić rozstanie...
- Spójrz na siebie, przecież ledwie trzymasz się na nogach.
- Ależ skąd...
- Zaraz uśniesz.
- No to najwyżej usnę.
- Nie, dziękuję. Nie mam skłonności do nekrofilii.
- Czy dlatego nie chcesz, że się porzygałam?
- To też człowieka nie zachęca.
- Aha...

No dobrze, rozumiałam jego powody. Mógł nie chcieć seksu. W tych okolicznościach musiałby być zdesperowany lub niezrównoważony, żeby się na mnie połaszczyć. Ale dlaczego spał gdzie indziej, nie w łóżku? Czyżbym się wierzila, pociła lub chrapała? Czyżby już nie chciał ze mną sypiać? Jak to się miało do tego, że w zdrowiu i w chorobie, w trzeźwości i w upojeniu? No zgoda, jeszcze nie byliśmy po ślubie. Ale też było prawdą, że cały rok spędził za granicą, a tu się okazuje, że po roku abstynencji i onizmu nie jest skłonny wytrzymać ze swoją narzeczoną jednej nocy w łóżku, choćby była nieco skapciana? Nie osądzaj go, Saro, niech ci nawet do głowy nie przyjdzie go osądzać, bo ty zrobiłabyś dokładnie to samo: poszłabyś się przespać na kanapę. A więc ani go nie osądzaj, ani nie wyciągaj przedwczesnych wniosków. Pomyśl, jak dobrze się wszystko układa. Pokaz wypadł dobrze, dostaniesz pracę swego życia dla ważnej marki odzieżowej i to wyniesie cię na szczyty. Lu zerwie z Aarómem i nie będziesz musiała już nigdy w życiu go oglądać. Wszystko będzie dobrze, co ja mówię, wszystko będzie wspaniale! Tylko błagam, nie przejmuj się głupstwami. Ostatnio zbyt łatwo się przyzwyczaiłaś do tego, że coś się chrzani w ostatniej chwili, żeby potrafić się cieszyć niespodziewanym uśmiechem losu. Zrelaksuj się i ciesz się życiem.

Począpalam do salonu, gdzie spodziewałam się zastać Roberta śpiącego na kanapie. Ale nie było go tam. Gdzie w takim razie się podziewał? Łyknęłam proszki, popiłam wodą. Gdy nadal zastanawiałam się nad tym, gdzie jest Roberto, usłyszałam jego głos. Dochodził ze

spizarki, obecnie zamienionej w sypialnię Erica. Co on tam robi? Jakież pogawędki o tej porze? A może nie chodzi o rozmowę? Zapachniało dymem tytoniowym. Papierosek? Ten, którego wypala się po... Saro, nie myśl o czymś tak absurdalnym, przecież to twój narzeczony. To, że Eric najprawdopodobniej lubi i chłopców, i dziewczynki i że być może nawet się zakochał w Robercie, bo Roberto w pełni zasługuje na to, żeby się w nim zakochać, to oczywiste; mogą się w nim kochać i kobiety, i mężczyźni, dlaczego nie? Ale Roberto, Roberto jest heteroseksualny od stóp do głów, czyż nie? No przecież. Ale jak się do tego ma ta jego obsesja opiekuńcza wobec Erica, co z tym upodobaniem do jego towarzystwa, a przede wszystkim, dlaczego przyciągnął go do Madrytu na ten tydzień, kiedy mieliśmy być sami, tylko we dwoje? Już nie mówiąc o tym, że wydepilował sobie tyłek i że przez trzy dni mieliśmy zaledwie jedno zbliżenie seksualne. Zwyczajne, nieco zabawne, ale w pełni normalne. O matko! A jeśli to o tym właśnie chciał mnie powiadomić? Że zakochał się w Ericu? I że przywiózł go, żeby mi go przedstawić, żebym zrozumiała, dlaczego tak się stało. Że w zasadzie nie jest gejem, ale ma skłonność do zakochiwania się, a Eric jako człowiek, jako wiking, jako Norweg i jako architekt zrobił na nim piorunujące wrażenie. Że to, co zaczęło się jako przyjaźń, stopniowo przekształcało się w coś innego, bo Paryż jest piękny, ale tylko dla turystów; dla imigrantów jest niegościnnie i lodowaty w zimie, a przybysz z krainy lodu, Eric, chroni przed zimnem lepiej od puchowej kołdry i jest mięciutki i przytulny, i że od wzajemnego dawania sobie ciepła i od wymiany zwierzeń przeszli do czegoś zupełnie innego: „No powiedz, wikingu, ile twój ma centymetrów?; ojej!, dłuższy od mojego, pokaż mi go, jaki fajny, obrzezany, nie taki jak mój, południowy i z nietkniętym napletkiem, no popatrz, obudził się, i twój także staje, no to zobaczmy teraz, jakiej jest długości; och!, jaki przyjemny w dotyku, no to wiesz co?, jak już przy tym jesteśmy, to zakończmy to razem”. I po tej zimnej paryskiej nocy nadeszła następna zimna paryska noc, bo już Hemingway stwierdził, że Paryż to ruchome święto, chociaż nie sądzę, żeby z Picassem porównywali sobie napletki. Powiesz mi teraz, Roberto, że to było w innych czasach, że byli bardzo męscy i że obecnie bycie macho wyszło z mody, że teraz obowiązuje ta gadka o naczyaniach połączonych, że wszystko jest płynne, że wszystko się ze sobą miesza, że wszyscy są o wiele bardziej beztroscy i nieskrępowani, i wiwat współczesny sposób życia, ale wiedz, że jestem tutaj, stoję za zamkniętymi drzwiami i zastanawiam się, czy przeleciałeś wikinga, czy też nie przeleciałeś, i pozwól, że ci powiem, że trochę hemingwayowskiego macyzmu, który nie pozwalał na porównywanie długości, trochę Hemingwaya – nawet z tą jego dziwną namiętnością do byków, tu cię zaskoczę: zgadzam się nawet na jego upodobanie do byków, mimo iż wiesz, jak przeciwna jestem korridzie, bo to trzeba być zwyrolem, żeby chcieć asystować przy publicznym zabijaniu tych biednych stworzeń – dobrze by nam wszystkim zrobiło. Karramba! Ach, Hemingwayu, wstajesz z grobu, próbują dotknąć twego napletka, a ty załatwiasz kilkunastu, zanim ponownie popelnisz samobójstwo. Otóż to.

Ponieważ nie byłam w stanie znaleźć sobie miejsca, bo zżerał mnie niepokój, a przede wszystkim dlatego, że jak bym przykładła ucho do drzwi, to i tak niczego nie mogłam dosłyszeć, postanowiłam zrobić użytek ze zdolności szpiegowskich, które wszyscy mamy, choć nie wszyscy o tym wiemy. Poszłam do kuchni po szklankę. I przytknęłam ją do drzwi, jak lekarz przytyka słuchawkę do piersi pacjenta, żeby posłuchać rytmu serca. Doprawdy nie wiem, skąd nam się biorą te zdolności szpiegowskie, ale wydaje mi się, że przychodzimy z nimi na świat. W muszlach szumi morze, a za pomocą szklanki można podsłuchiwać, co się dzieje za ścianą. Wszyscy o tym wiedzą, i już. Nareszcie mogłam usłyszeć parę słów, ale gdy starałam się je powiązać w jakąś spójną całość, poczułam, że ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu. Podskoczyłam tak raptownie, że szklanka wypadła mi z ręki i z hukiem upadła na podłogę. Jeśli szklanka Aaróna miała pecha, bo stłukła się na siedem kawałków, to moja miała jeszcze mniej szczęścia,

bo rozbiła się w drobny mak. Odwróciłam się, żeby sprawdzić, kto za mną stoi. Aarón.

– Na śmierć mnie przeraziłeś!

– Co robiłaś?

– Zgadnij! Tam w środku jest mój narzeczony z Erikiem. I czuć dym z papierosa.

– No i?

– Ty nie sięgasz po fajkę, jak skończysz się pieprzyć?

– I po jedzeniu, i do filiżanki kawy, i w przerwach między nagraniami.

– Mało mnie to obchodzi, kiedy masz zwyczaj palić. Nie wiem, dlaczego mi o tym opowiadasz.

– Mówię tylko, że jest wiele powodów, by sięgnąć po papierosa. Żaden z nich nie jest dobry, zgoda, ale chodzi mi o to, że jest więcej powodów i momentów, niż jedynie po stosunku.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi. W pokoju byli Roberto i Eric. Roberto w koszulce i w spodniach od piżamy. Eric w koszulce i długich kalesonach, takich jakich używają filmowi kowboje, ale jego były we wzorki z Tintinem.

– Co tu się dzieje? – spytał Roberto, spoglądając na okruchy szkła.

– Nie widzisz? Stłukłam szklanekę – odpowiedziałam.

– Wpadliśmy na siebie – dodał Aarón.

– Na pustym korytarzu?

– Obydwoje byliśmy rozespani – wyjaśniłam. I mówiąc to, chciałam się zachować jakby nigdy nic i udawać, że wracam do łóżka, ale nie wzięłam pod uwagę tego, co oczywiście: że na podłodze były miliony kawałeczków szkła, nieskończona ilość małych okruchów, i robiąc krok, wbiłam sobie pewną ich ilość w stopę. – O, kurwa!

Siedziałam na stole w kuchni, trzymałam nogę wyciągniętą do góry, a wokół mnie krzątało się trzech facetów usiłujących mi pomóc: Aarón z pęsetą, Eric z butelką alkoholu i Roberto z bandażem i z rolką uniwersalnej srebrnej taśmy samoprzylepnej. A srebrna taśma – co jest ogólnie znaną wiedzą, podobnie jak to o muszlach i morzu, i o szklance do podsłuchiwania – jest znacznie bardziej uniwersalna, niż jej twórca mógł kiedykolwiek przewidzieć.

– Nie lej na to alkoholu, lepsza byłaby woda utleniona.

– Woda utleniona nie dezynfekuje tak dobrze.

– No to jodyna.

– Tequila – stwierdził wiking. – Pić można. *No pain*³¹.

– Nie bardzo mam siły na tequilę, najwyżej na kubek rumianku – powiedziałam.

– Dlaczego nie było cię w łóżku, Roberto?

– Nie byłem śpiący.

– Ja też nie – powiedział Eric.

– Ani ja – dodał Aarón.

Do towarzystwa zebranego w kuchni dołączył mój ojciec. Wydawał się zaskoczony moim widokiem: otaczało mnie trzech facetów podtrzymujących moją nogę w górze.

– Tobie też nie chce się spać? – spytałam go.

– Nie jest mi do spania. Twoja matka mnie oszukała. Ten wąsacz na pokazie to był on.

Wiem o tym.

Postanowiłam zignorować wypowiedź ojca. Nadawał ciągle to samo, jak zepsuta płyta. Nie chciałam teraz poruszać tego tematu.

– Cóż za niezwykły układ flamenco, prawda? – skomentowałam nasze poczynania.

– Jedyna normalna w tym domu to Lu. Nic chyba nie jest w stanie zakłócić jej snu.

– Nie ma jej w domu – stwierdził Aarón.

– Nie?
– Nie przyszła na noc – wyjaśnił Aarón. Wolą dalej balować w tamtym towarzystwie. Nie chciała być ze mną.
– Ani ty z nią – rzuciłam dość odważny komentarz.
– Że co?
– Że znam moją siostrę i wiem, że momentami robi się nie do wytrzymania. Nie rób sobie wyrzutów. – Przyjrzałam się swojej stopie i zwróciłam się do Roberta: – Myślę, że już możesz bandażować.

Roberto oblepił zaimprovizowany opatrunek taśmą klejącą i mogłam stanąć na nogi.
– Dziękuję, chyba pójdę spać. A ty co masz zamiar robić, Roberto?
– Już sobie idziecie? – spytał ojciec głosem małego, opuszczonego dziecka.
– Ja nie mam snu – powiedział Eric.
– Ani ja – stwierdził Aarón.
– Wątpię, żebym mógł zasnąć – przyłączył się Roberto.
– Nie zaczniemy chyba imprezować na nowo – zauważyłam.
– Moglibyśmy zagrać w scrabble – zaproponował ojciec. – Jedyne to mnie odciągnie od rozmyślania o twojej matce.
– Mówisz serio, tato?
– Mam nadzieję, że nie wyrzuciłaś zestawu po babci, Saro.

I w ten oto sposób spędziliśmy resztę nocy, czterej mężczyźni czasowo mieszkający w moim domu i ja. Grając w scrabble. Biednemu Ericowi musieliśmy dać fory, bo wysiłał się jak mógł, ale jego hiszpańskie słownictwo potrzebowało ciągłego wsparcia internetu i Hiszpańskiej Akademii Królewskiej. Podczas gdy układaliśmy słowa, przyglądałam się obecnym: Ericowi i Robertowi – usiłując dostrzec, czy łączy ich coś więcej niż przyjaźń, ojcu – z zatroskaniem o jego stan ducha, i Aarónowi – sekretnie radując się z jego kłótni z moją siostrą i pragnąc, aby sprawy zaszły jeszcze dalej i żeby zerwali ze sobą. Ale nie po to, żeby przypadł mnie. Nie, nie. Życzyłam sobie, żeby raz na zawsze zrobił wypad z mojego życia. Ja już podjęłam decyzję, wybrałam Roberta. Miałam co do tego jasność. Być może dlatego, iż obawiałam się, że go mogę utracić. Że może chce mnie zostawić dla Erica.

A ponieważ chciałam ostatecznie pozbyć się wątpliwości, ale nie miałam odwagi otwarcie o to zapytać, tym bardziej w towarzystwie, zaczęłam wygłaszać jakieś dyrdymały o tym, że to całkowicie naturalne zakochiwać się w osobach tej samej płci, że mam przyjaciółki, które po całych latach wyłącznej heteroseksualności przeszły nagle na drugą stronę.

– Kto taki? Znam jakąś? – zapytał ojciec.
– Nie sędzę, tato.
– Przecież znam wszystkie twoje przyjaciółki.
– Nie wszystkie. Skoncentruj się na grze, bo przegrywasz.
– Z pewnością to Chusa, ta mała z kręconymi włosami.
– Ależ skąd, tato.
– Inma? Nie, ta mi na taką nie wygląda.
– Dajesz wyraz swoim uprzedzeniom. Przecież właśnie mówię, że każdy może być biseksualny i odkryć to po latach.

Ale ojciec powiedział, że wątpi, a Aarón i Roberto też nie wyglądali na przekonanych. Jedynym, który entuzjastycznie potwierdzał moje słowa, był Eric. Nie wiedziałam jednak, czy to dlatego, iż jako jedyny z nas działał na dwa fronty, czy też z zadowolenia, że ułożył słowo za trzydzieści siedem punktów i sam nie wierzył, że to mu się udało.

Po chwili znowu poruszyłam ten temat. Tym razem ojcu wydało się to podejrzane.

– Saro, kochanie, jeśli chcesz dać nam do zrozumienia, że zakochałaś się w kobiecie, chyba osobiście wolałbym, żebyś powiedziała mi o tym za rok czy dwa. No bo jakoś nie mam siły na dalsze niespodzianki. Twoja matka, ślub twojej siostry, ten zrujnowany budynek...

– Co ty? Ja miałabym się zakochać w kobiecie? Przecież mnie się podobają mężczyźni. Jedynie mężczyźni. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? Ja? Ja z dziewczyną?

– Córeczko, ja nie wiem... Przecież sama powiedziałaś, że każdy może...

– Może każdy może. Ale nie ja – ucięłam. A ponieważ odniosłam wrażenie, że byłam za ostra, że można było wyczuć lekką odrazę w tym zapewnieniu, musiałam coś dodać, żeby nie zaprzepaścić wszystkich dotychczasowych wysiłków włożonych w skierowanie dyskusji na ten temat. – Oczywiście uważam, że to w porządku. Jestem w stanie to zrozumieć.

Ale nic, żaden ani mru-mru. Nawet Eric milczał.

– Zagramy w Prawdę czy Rozkaz? – zaproponowałam pół godziny później. Może w ten sposób uda mi się coś wykryć.

– Chcesz grać w Prawdę z własnym ojcem? – zdziwił się Roberto.

To mnie otrzeźwiło. Istotnie, to nie był najlepszy pomysł.

– Co to za gra? – Ojciec natychmiast się zainteresował.

– Taka niemądra gra towarzyska, podczas której ludzie przyznają się do rzeczy, których by woleli nikomu nie wyjawiać. Zwłaszcza dotyczących kwestii intymnych. Kręci się butelką i jak na ciebie wypadnie, to odpowiadasz na pytanie albo musisz wykonać rozkaz.

– Aha, bardzo ciekawe – stwierdził ojciec. Wydawało się, że załapał zasady.

Przeraziłam się, że może poczuć chętkę do zabawy.

– Lepiej dalej grajmy w scrabble – powiedziałam szybko. Ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało, było zyskać wiedzę o tym, co robi mój ojciec w łóżku.

– Ja nie mam sekretów – odparł ojciec. – Jaka szkoda, że nigdy nie zdarzyło mi się grać w to z twoją matką. Nigdy nie przeleciałem żadnego wąsacza. Nie zdradziłem męża, nie afiszowałem się z kochankiem, nie wyrzuciłem przez okno trzydziestu lat małżeństwa. Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy...

– W porządku, tato. Rozumiem. Ale już wystarczy.

– Dobrze. Bez twojej matki to i tak bez sensu.

Oczywiście niepokój dręczył mnie nadal i było sporo pytań, na które chciałabym uzyskać odpowiedź. Na przykład, komu z obecnych zdarzyło się bzyknąć kolegę. Ale ponieważ groziło to rewanzem w postaci pytania: „Czy chciałabyś się pieprzyć z narzeczonym siostry?”, lepiej było to zostawić, zanim sprawy się do reszty skomplikują. Tak więc pozostaliśmy przy scrablach.

Ktoś ułożył na planszy słowo PYTANIE. I to podziało na mnie jak wyzwalacz, jakby właśnie padł Rozkaz: „zadaj pytanie”. Nie mogłam się powstrzymać, nie dawałam rady, bo jeśli nie podziały aluzje, jeśli na dobrą sprawę nic, zupełnie nic nie zadziało, to jedynym wyjściem było posłuchać Rozkazu i zapytać. Więc zapytałam:

– Roberto, czy zakochałeś się w Ericu?

– Co takiego? – Roberto wyglądał na osłupiałego ze zdziwienia.

Także ojciec, Aarón i nawet sam Eric popatrzyli na mnie tak, jak gdybym właśnie zamieniła się w zombi i zaczęła wyżerać mózg Robertowi.

– No tak, odpowiedz. Bo jeśli to właśnie chcesz mi powiedzieć i po to przyleciałeś do Hiszpanii, to jazda, powiedz mi to od razu; jestem nowoczesną kobietą, mogę to zrozumieć i sobie z tym poradzić.

– Ja miałabym się zakochać w Ericu? W Ericu?

Roberto i Eric popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. To podziało na mnie fatalnie, muszę to przyznać. Fatalnie.

– Ależ, Saro. Co ty wygadujesz?

A ponieważ od dłuższego czasu rozmyślałam nad tą kwestią i miałam ją w głowie raz po raz, wszystko się ze mnie wylało:

– Bo przywlokłeś go na nasz romantyczny tydzień, bo wydepilowałeś sobie zadek, bo po całym roku abstynencji mało co ześmy zdziałali w łóżku, bo obudziłam się w nocy i znalazłam cię zamkniętego z nim w spiżarni, palącego papierosa!

– Saro... Ja nie wiem, jak ty wpadasz na te pomysły. Nigdy nie pociągali mnie faceci.

– Ale Erica z pewnością pociągają.

– A co tu mają do rzeczy upodobania seksualne Erica?

– No to po co przyleciałeś do Madrytu? Co chciałeś mi powiedzieć? Powiedz mi to. Zaraz teraz! Już!

– Wyjeżdżam do Chin na pięć lat – odpowiedział automatycznie, nie myśląc o konsekwencjach. Powiedział to tak, jakby splunął, jakby te słowa dławili go albo parzyły w usta od wielu, wielu dni i jedynie tak mógł się ich pozbyć, błyskawicznie, żeby nie zraniły go w wargi.

„Wyjeżdżam do Chin na pięć lat”. Zdanie zawisło w powietrzu i spowodowało stupor i milczenie. Wszyscy zaczęli po sobie spoglądać. Ojciec, Eric, Aarón. Wszystkie skrzyżowane spojrzenia zbiegły się na mnie, a ja patrzyłam na Roberta. Usiłowałam zrozumieć to, co usłyszałam. Wyjeżdżam do Chin na pięć lat. Wyjeżdżam do Chin na pięć lat. Wyjeżdżam do Chin na pięć lat. Zaczęłam rozbierać to zdanie na słowa, łudząc się, że w ten sposób zmienię jego znaczenie. Chciałam, żeby to, co powiedział Roberto, nie było tym, co powiedział. Do Chin. Na pięć lat.

– Jak to do Chin? Jaja sobie robisz?

– Nie. Przyjąłem propozycję pracy. Doskonałą propozycję. To była szansa, której nie mogłem zaprzepaścić.

– Do Chin? Ależ ty nie masz pojęcia o tym, jak buduje się w Chinach! – zdenerwował się ojciec. – Architekci, którzy tam wyjechali, sparzyli się bez wyjątku. Sposób pracy Chińczyków jest całkiem odmienny od naszego. Cenią sobie jedynie szybkość. Jedyne, co ich interesuje, to żeby budować dużo i szybko. Wznoszą błyskawicznie całe miasta i szukają najprostszyc projektów. To nie jest najlepsze miejsce na Ziemi, żeby zaczynać karierę.

– Wiem o tym. Ale miałem sporo szczęścia. Projekt, do którego mnie zaangażowano, jest innego typu. Zbudujemy inteligentny biologiczny budynek w jednej z dzielnic Hongkongu. To taki projekt, o którym marzyłem od czasu rozpoczęcia studiów. Nie mogłem odrzucić tej propozycji.

Było oczywiste, że jego wypowiedź jest dobrze przemyślana, bo wyrzucił ją z siebie jednym ciągiem, podobnie jak ja wyrzuciłam z siebie powody, dla których sądziłam, że jest zakochany w Ericu.

– Powiedz jej, Ericu, jaka pracownia architektoniczna mnie zaangażowała.

Eric już otwierał usta, gdy przerwałam mu brutalnie.

– Mam to głęboko w dupie!

– Nie odzywaj się tak do niego – skarcił mnie Roberto.

– No i widzisz? To dlatego sądziłam, że jesteś nim zainteresowany, z powodu tej manii opiekuńczej, która cię ogarnia, gdy przy nim jesteś.

– To dlatego, że Eric zajął się mną tak serdecznie...

– Tak, wiem... W mroźne, zimowe paryskie noce... Rozumiem!

Cisza. Zażenowanie. Spojrzałam na ojca – spuścił wzrok. Spojrzałam na Aaróna – wyglądał, jakby wolał być gdzie indziej. Eric udawał, że układa jakieś skomplikowane słowo

na planszy, żeby uniknąć zaangażowania. Postanowiłam się opanować. Odetchnęłam głęboko. Jestem w stanie się uspokoić. Jestem w stanie przedyskutować ten temat w rozsądny sposób. Jestem dorosłą kobietą.

– A więc wyjeżdżasz na pięć lat? Kiedy?

– Za dwa tygodnie.

– Cooo?! – ryknęłam. Do diabła z rozsądkiem. – A ja? Co ze mną? Zdecydowałeś się bez pytania mnie o zdanie?!

Roberto nie odpowiedział.

– Tak mało dla ciebie znaczę? – ciągnęłam. – Tak nisko sobie cenisz nasz związek, że podejmujesz tak ważną decyzję, decyzję, która decyduje o naszej przyszłości, bez pytania mnie o zdanie?

– Chyba wam przeszkadzamy... – jęknął ojciec.

– Niech nikt się nie rusza z miejsca! – wrzasnęłam.

– Saro, pobudzisz sąsiadów.

– To mój najmniejszy problem!

– Nic innego nie mogłem zrobić, Saro – starał się tłumaczyć Roberto. – Wyobraź sobie, że pojawia się dla ciebie szansa, żeby pracować z Alexandrem McQueenem w Londynie... Co byś zrobiła?

– Alexander McQueen nie żyje! Jest martwy!

– No dobrze, to z jakimś innym. Z Gaultierem na przykład, w Paryżu. Ten ma się dobrze, prawda?

– W Paryżu już byłeś. To byłby wspaniały układ. Ja pracuję z Gaultierem, ty projektujesz paryskie gmachy, nasze dzieci uczą się francuskiego i wszyscy razem jadamy croissantsy na śniadanie. Jakim cudem, na litość boską, doszedłeś do wniosku, że to to samo, co wyjazd do Chin?

– Saro... Usiłuję ci powiedzieć, że nie mogę uzależniać swojej kariery od... – zawiesił głos.

– Ode mnie – dopowiedziałam. – Od naszego związku. Odważ się dokończyć zdanie.

Powiedz to.

Ale nie czekałam, żeby coś powiedział. Wstałam, pożegnałam się i wyszłam.

Rzuciłam się na łóżko. Owinęłam się kołdrą, tworząc kokon. Zapragnęłam, żeby świat się zatrzymał i żebym mogła wysiąść. Chciałam usnąć i nie budzić się przez całe dni, tygodnie. Chciałam się rozplakać, ale nie mogłam. Chciałam zapomnieć o samej sobie, o Robercie, o całym świecie. O Boże... Ależ byłam głupia. Poczułam się okropnie, jak najgorsza idiotka. Przecież nie tego się spodziewałam. Pragnęłam, żeby mi się oświadczył, obawiałam się, że zostawi mnie dla Erica... ale nie spodziewałam się, że postanowi wyjechać... Okazało się, że to było dla niego najważniejsze. A ja cały rok czekałam na niego jak głupia. I wszystko na próżno. Na cały rok odstawiłam życie na bok, przez cały rok wyobrażałam sobie nasze dalsze wspólne życie, i to wszystko na nic! Idiotka, idiotka, idiotka!

Do pokoju wszedł Roberto.

– Saro!

Nie odpowiedziałam. Nie miałam zamiaru z nim rozmawiać. To było ostatecznie, na co miałam ochotę.

– Saro, porozmawiajmy. Bardzo cię proszę, chociaż mnie wysłuchaj.

Nie odezwałam się ani słowem. Schowałam głowę pod kołdrę.

– Saro, błagam... Nie rób mi tego. Wiem, że przypuszczalnie na to zasłużyłem, ale proszę, nie rób mi tego.

Ja nic, milczę.

– Saro, naprawdę nie miałem zamiaru powiedzieć ci tego tak zniechęcająco, przy wszystkich. Nie chciałem... Myślałem, że zrobię to inaczej.

Wystawiłam głowę spod kołdry.

– Wolałabym, żeby się potwierdziło to z Erikiem. Żebyś się w nim był zakochał. To byłabym w stanie pojąć.

– A jednak nie rozumiesz, że kocham swój zawód.

– Kochasz swój zawód... To okropnie afektowane stwierdzenie.

– Nie umiem tego inaczej wyrazić. Jestem architektem, to moje życie, moja pasja.

Naprawdę muszę ci to wyjaśnić?

– Jeśli w konsekwencji masz zamiar spędzić pięć lat w Chinach, to tak, Roberto. Nie miałeś do wyboru żadnego innego projektu? Nie było żadnego budynku do zaprojektowania gdzieś bliżej? Chiny!

– Mówisz o Chinach tak, jakbyśmy wciąż żyli w czasach Marco Polo. Podróż do Chin nie trwa już ośmiu miesięcy.

– Nie wkurzaj mnie. Masz zamiar twierdzić, że możemy pozostać w związku, jeśli ty będziesz w Chinach przez pięć lat? Wiesz, ile miesięcy zawiera się w pięciu latach, ile to tygodni, ile dni?

– Saro...

– Jeśli ledwie przetrwaliśmy ten twój rok w Paryżu, dwie godziny samolotem stąd, to jak sobie wyobrażasz, że przetrwamy pięć lat?

– Saro, więc co mam zrobić?

– Nie, pytanie brzmi: co **ja** mam zrobić? Zostawić moje życie i pojechać z tobą do Chin? Akurat teraz, akurat w chwili gdy może się pojawić największe zamówienie w moim życiu?

– Nie. Wiem, że tego nie mogę od ciebie wymagać.

– No więc? Czekam na ciebie pięć lat i w tym czasie prowadzimy żalosną imitację życia seksualnego na Skypie? Tego właśnie chcesz?

– Nie wiem, Saro. Nie wiem.

– Wiesz jedynie, że wyjeżdżasz. Na pięć lat. Do Hongkongu.

– Przykro mi. To nie moja wina, że tutaj wszystko jest do bani i nie ma pracy.

– Nawet nie próbuj! Nawet nie usiłuj rzucić na kryzys winy za swoją decyzję! Nie możesz być aż takim tchórzem.

– Nie jestem tchórzem. Trzeba mieć odwagę, żeby się zdecydować. Czyżbyś sądziła, że mi to łatwo przyszło?

– Jeśli wyjeżdżasz, to miej choć tyle przyzwoitości, żeby ze mną zerwać.

Roberto aż zamarł, gdy to usłyszał. Nawet ja sama byłam zdziwiona moim wybuchem i tym, jak mocno to zabrzmiało. Jednak trzeba było w którymś momencie wyłożyć kawę na ławę. Zerwanie. To właśnie jest ten słon w salonie, wielki i niemożliwy do obejścia. To o tym natychmiast pomyślałam, gdy tylko usłyszałam o planach Roberta. Po cóż mielibyśmy się starać przeciskać obok słonia, po cóż opóźniać chwilę konfrontacji z rzeczywistością? Roberto dość długo nie odpowiadał. Wydawało się, że pragnie udzielić wyważonej odpowiedzi.

– Ja nie chcę z tobą zrywać – powiedział w końcu. Ale wyczułam, że mówi to bez przekonania, słabym głosem. Pod naciskiem okoliczności. A raczej pod moim naciskiem.

– Aha...

– Naprawdę nie.

– A więc chcesz mnie zmusić, żebym to ja zerwała? Naprawdę?

Milczał.

– Nienawidzę cię tu i teraz. Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo – rzuciłam, nie kryjąc frustracji.

– Nie chcę wybierać między tobą i Chinami – powiedział.

– Wybacz, ale już wybrałeś. Twój wybór jest oczywisty. Już podjąłeś decyzję.

– Ależ podjąłem jedynie decyzję o wyjeździe.

– Co ja mam zrobić, Roberto? Powiedz, co mam zrobić? Postaw się w mojej sytuacji i powiedz co?

Roberto nie odpowiedział.

– Myślałeś sobie, że jaka będzie moja reakcja na tę zwałającą z nóg wiadomość?

– Wiedziałem, że to nie będzie dla ciebie łatwe. Ale sądziłem, że zrozumiesz, że zarówno twoja, jak i moja praca jest bardzo ważna. Zwłaszcza teraz, kiedy oboje zaczynamy kariery.

– Miałaś chyba na myśli swoją pracę, bo moja cię niezbyt obeszła, skoro uznałaś, że powinnam ją rzucić i jechać z tobą do Chin.

– Nie proszę cię o to, żebyś ze mną jechała. Nie poprosiłem cię o to! – zaprzeczył.

Poczułam, jakby coś w środku mnie pękło. Poczułam to naprawdę, w sposób niemal dosłowny. Wszystko już zostało powiedziane. Nie było niczego do dodania. Wszystko jasne. Nie prosi mnie, żebym z nim jechała. Być może istotnie nie miał zamiaru zerwać ze mną, ale było oczywiste, że właśnie to robił, w najgorszy możliwy sposób.

– Chcę spać. Lepiej idź na kanapę. A jutro masz opuścić ten dom. Jedź do rodziców albo rób, co chcesz, ale nie chcę cię tu widzieć.

– Saro, musimy porozmawiać.

– Idź sobie! Wynocha!

Już otwierał drzwi, gdy spytałam:

– Dlaczego wtedy pojechałeś do Segowii po kuropatwy i kaczkę? Dlaczego? Jeśli wyjeżdżasz do Chin. Jeśli mnie zostawiasz. Jeśli...

– Bo cię kocham. Bo zawsze chcę ci służyć pomocą.

– Nie wystarcza mi ta odpowiedź.

Roberto spojrział na mnie uważnie. Wiedziałam, co za chwilę powie, i bałam się tego. Wiedziałam, bo dobrze go znałam. Aż za dobrze.

– A ty? Czy ty mnie kochasz?

Powiedziawszy to, wyszedł z pokoju, a ja znowu schowałam głowę pod kołdrę. Ale nie wytrzymałam długo w tej pozycji, mimo że przed chwilą chciałam zniknąć, zdeintegrować się lub zasnąć i spać całymi miesiącami. Dusiłam się, brakowało mi powietrza i czułam w piersiach ciężar, który nie dawał mi oddychać. Wstałam i otworzyłam drzwi na balkon.

Krzyknęłam. Raz, a potem jeszcze raz.

Nienawidziłam go. Nienawidziłam... „Nie proszę cię o to, żebyś ze mną jechała. Nie poprosiłem cię o to!”. Nie byłam w stanie wyrzucić z głowy tego zdania. Ależ, Roberto, dlaczego nie widzisz, że to jest częścią problemu? Że mnie o to nie poprosiłeś. Bo mogłabym zrozumieć, że trafiła ci się ta praca, że ją przyjąłeś, ale to, czego nie jestem w stanie pojąć, to że nie chciałeś, żebym uczestniczyła w twoich planach. Poproś mnie, żebym z tobą pojechała, do diabła! Włóż mi pierścionek na palec, poproś mnie o rękę, powiedz, że będziemy razem na dobre i na złe, a potem powiedz, że jedziemy do Chin. To miałoby więcej sensu. Po co mi mówisz, że mnie kochasz, jeśli wyjeżdżasz, jeśli nie poprosiłeś mnie, żebym jechała z tobą? Nie widzisz, że od tego można oszaleć? I po co mnie pytasz, czy cię kocham? To dlatego nie poprosiłeś mnie, żebym ci towarzyszyła? Bo wątpisz w moją miłość?

A czyż nie ma powodów do zwątpienia, Saro? Bądź ze sobą szczerą. Do Chin? Ty? Z Robertem? Akurat teraz, gdy do drzwi puka twoja życiowa szansa zawodowa? A nawet jeśli

nic nie wyjdzie z tym ogromnym zamówieniem? To co wtedy, Saro? Wiesz, co by było? Czy nie wiesz?

Z gardła wydarł mi się następny krzyk bezsilności.

– Kochanie, dobrze się czujesz?

Głos dobiegał z dołu. Na ulicy stał ojciec.

– Jak gówno pod płotem – odparłam. – Ale nieważne. Co robisz?

– Idę rozmówić się z twoją matką.

– O szóstej rano?

– Muszę z nią pomówić.

– Tato...

– To nieuniknione, córeczko – powiedział i poszedł w dół ulicy.

Naraz zdałam sobie sprawę, że na sąsiednim balkonie jest Aarón. Siedział na ceglanej posadzce z ogromnymi słuchawkami na głowie, podłączonymi do gitary elektrycznej, i opierał boscie stopy o barierkę z kutego żelaza. Spojrzałam na niego. Nie widział mnie, zagłębiony w swojej muzyce. Miałam zamiar wrócić do sypialni i spróbować usnąć, ale wiedziałam, że to mi się nie uda. Tak więc nie myśląc zbyt długo, co robię, przełożyłam rękę ponad barierkę i zdjęłam mu słuchawki.

– Powiedz, że komponujesz smutną piosenkę.

– Sara! – krzyknął. – Przestraszyłaś mnie.

– Przepraszam. Co robisz?

– Nic szczególnego. Docierały do mnie strzępy waszej rozmowy, więc wolałam wyjść i założyć słuchawki. Jak się czujesz?

– No więc... Właściwie to nie wiem... Nie wiem, czy to on ze mną zerwał, czy też ja z nim. Czy też nie zerwaliśmy ze sobą... Jedyne, co jest pewne, to że wyjeżdża do Chin.

– Nie miałaś jakichś przeczuc?

– A co? To było po nim widać?

– Nie, nie. Chodzi mi o to, że czasem pewne rzeczy się intuicyjnie wyczuwa, prawda? Że może nie było między wami najlepiej... Albo...

– Było wspaniale!

– Dobrze, dobrze. Przepraszam.

Nie wiem, dlaczego znowu się naburmuszyłam i byłam opryskliwa w stosunku do Aaróna. Przecież chciał mnie jedynie wesprzeć, zresztą to właśnie usiłował robić od samego początku. A ja, ponieważ nie chciałam się poddać, ponieważ broniłam się przed uczuciem do niego, od pierwszej chwili zaczęłam się zachowywać jak kompletna idiotka. Być może właśnie nadeszła chwila, żebym trochę sobie odpuściła. Jeśli ktoś nie zasłużył na pogardę, to właśnie on. To, co się między nami dzieje, to niczyja wina, bo czyż było jego winą to, że zakochał się w mojej siostrze? A moją to, że zakochałam się w nim?

– Faktem jest, że ten rok w Paryżu nam nie pomógł. Związek na odległość jest trudny. Dlatego z początku myślałam, że chce przyjechać, żeby mi powiedzieć, że wraca do Madrytu na stałe.

– Przykro mi.

– A co ja mam powiedzieć? I wiesz, co jest najgorsze? Że powinnam się czuć wyzwolona. W gruncie rzeczy, jeśli postanowił wyjechać na pięć lat i nie miał na tyle przyzwoitości, żeby zapytać mnie o zdanie, a teraz się okazuje, że zabrakło mu też odwagi, żeby ze mną zerwać, powinnam móc robić to, na co mam ochotę. Już nie muszę się z nim liczyć. Ani z nim, ani z relacją, która nas wiązała, ani w ogóle z niczym i z nikim.

– I co chciałabyś zrobić teraz, gdy już czujesz się wyzwolona?

– Kiedy najgorsze jest to, że wcale się nie czuję wyzwolona. Czuję się obolała.
– No dobrze, to było do przewidzenia. Musisz się z tym uporać. Ale gdybyś się już poczuła wyzwolona, to co? Czego nie robiłaś, co musiałaś odłożyć na bok, będąc w związku?

– Myślę, że...

Umilkłam.

– No dalej, nie bój się. Umiem dotrzymywać sekretów.

– Nie powinnam się zwierzać narzeczonemu mojej siostry.

– Niech to cię nie powstrzymuje. Mam pewne wątpliwości, czy nadal jestem jej narzeczoną.

– Z powodu drobnej sprzeczki?

– Właśnie w tym tkwi problem. Z powodu drobnej sprzeczki. Gdyby się zachowała tak, jak się zachowała, z jakiegoś ważnego powodu, zrozumiałbym, ale to, że zareagowała w ten sposób z powodu takiego głupstwa... To właśnie mnie martwi. I to, że zniknęła na całą noc, że dzwonię do niej i nie odbiera... Czy to właśnie mnie czeka w małżeństwie z nią?

– Taka jest Lu.

– Zawsze?

– Już cię uprzedzałam, że nie będę mówić źle o mojej siostrze.

– To, co mnie dołuje, to że w życiu miałem już aż za wiele zamętu. Wystarczyłoby na trzy życia. Nie chcę więcej.

– Przyciągasz do siebie niezrównoważone dziewczyny? – spytałam lekkim tonem.

Aarón uśmiechnął się smutno.

– Nie o to chodzi.

– Opowiedz mi o tym. Nie wystarczy rzucić kilka tajemniczych słów i zostawić mnie w zawieszaniu.

– O czym miałbym ci opowiedzieć?

– O wszystkim. Co to za zamęt w życiu, który wystarczyłby dla trzech osób, dlaczego zniknąłeś z liceum, o czym mówi ta smutna piosenka o hotelach i miastach... Mam wrażenie, że to wszystko się łączy, czyż nie?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– W tej chwili chcę wszystkiego, co sprawi, że zapomnę o Chinach i moim narzeczoną.

Zanim zaczął mówić, milczał przez chwilę, spojrzał na mnie, zrobił grymas, który chyba miał być uśmiechem, i rozpoczął:

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy, naprawdę. Mój ojciec zachorował na raka, kiedy miałem siedemnaście lat, i wtedy wszystko się zaczęło. Lekarze orzekli, że nie ma dla niego ratunku, ale moja matka postanowiła się nie poddawać. Zasięgnęła następnej opinii, potem jeszcze jednej i jeszcze. Ponieważ żadna z nich nie dawała ojcu szans, matka postanowiła poszukać czegoś innego i zaczęliśmy jeździć po świecie, z jednego miasta do drugiego, z jednego kraju do drugiego, wszędzie tam, gdzie matka spodziewała się znaleźć wreszcie jakiegoś lekarza cudotwórcę albo alternatywną terapię, albo cokolwiek.

W tym momencie przypomniałam sobie fragment piosenki Aaróna. Myśli same uformowały się w słowa:

– „Nadzieja umiera ostatnia. Ale w drodze znaleźliśmy jedynie smutek”.

– Tak właśnie było. Matka zafiksowała się na możliwości uleczenia ojca. Żyła jedynie dla tej nadziei, ale ojciec czuł się coraz gorzej, a ona udawała, że tego nie widzi. Matka była, to znaczy jest, bardzo... jak by to ująć?, uparta, taka zakuta pała. Brak jej poczucia rzeczywistości. Nie dopuszczała do siebie możliwości, że ojca nie da się uleczyć. A kiedy stało się oczywiste, że nic nie pomaga, że ojciec jest coraz bardziej chory, matka zupełnie odleciała. Cierpienie

zwalczała pójściem w zaparte. Utratą kontaktu z rzeczywistością. Pociągnęła mnie i moją siostrę w swoje szaleństwo, w swoją huśtawkę emocjonalną. Zwłaszcza moją siostrę.

Nie odzywałam się, nie śmiałam o nic pytać.

– Ojciec zmarł po trzech latach od diagnozy. No cóż, to było okropne. Dla wszystkich: dla mnie, dla matki, która nagle straciła wszelki sens życia i zamieniła się w żywego trupa, dla mojej siostry. Ją kosztowało to najdrożej. Wpadła w spiralę alkoholu, narkotyków, przypadkowych związków, znikwała z domu, nie wracała przez całe tygodnie... Któregoś ranka pojawiła się policja, żeby nas powiadomić, że znaleziono ją martwą.

– Tak mi przykro... – powiedziałam, bo cóż można było powiedzieć w takiej sytuacji.

– To było wiele lat temu. Jest częścią mojego byłego ja.

– A ja tutaj szaleję, bo mój narzeczony postanowił się wybrać do Chin.

– Mógłbym powiedzieć to samo: dramatyzuję, bo moja narzeczona nie wróciła na noc.

Ale to właśnie jest zwykłe życie. Tamte inne sprawy to tragedie, które się mogą zdarzyć.

– Spojrzał na mnie uważnie. – Chyba nikomu nigdy o tym nie mówiłem. Z wyjątkiem psychologa, oczywiście. – I szczerym tonem dodał: – Dziękuję.

– Za co mi dziękujesz? – zdziwiłam się.

– Dobrze mi to zrobiło. Bardzo dobrze. Nie wiem, co takiego masz w sobie, ale łatwo się przed tobą otworzyć.

Poczułam, że krew uderza mi do twarzy. Zarumieniłam się. Umilkliśmy, patrząc na siebie. Uśmiechną się.

– Sprytna jesteś, co?

– Dlaczego tak uważasz? – Nie zrozumiałam.

– Bo sprawiłaś, że opowiedziałem ci to wszystko i dzięki temu nie musiałaś mi opowiadać o swoich sprawach. Ale to ci się nie uda. No już... Zapomnij o mnie i o tym, co ci powiedziałem, i o mojej sprzeczce z Lu, i zacznij mówić.

– O czym miałabym ci opowiedzieć?

– Bo ja wiem? Zacznij od Roberta, na przykład. Co masz zamiar teraz ze sobą począć, kiedy już został skreślony z równania?

Być może dlatego, że Aarón był tak szczerzy wobec mnie, albo też dlatego, że powstała między nami nić wzajemnego zrozumienia, coś jakby intymne porozumienie, nie mogłam się wykręcić ogólnikami i postanowiłam powiedzieć prawdę.

– Najgorsze, że w tym równaniu jest jeszcze wiele niewiadomych.

– Jakich? – spytał.

– W równaniu jest także Lu i...

– O Lu miałaś zapomnieć.

– Gdyby w tym równaniu nie było Roberta, gdyby nie było Lu i jej ślubu z tobą... Jeśli...

– Nagle zdałam sobie sprawę z tego, co mówię. Cóż ja najlepszego robię? Nie, Saro. Nie. Zatrzymaj się. Już, natychmiast. – Myślę, że lepiej pójdę się położyć.

Gdy już opuszczałam balkon, Aarón się odezwał:

– Saro, nie musisz się czuć z tym źle. Ja także fantazjowałem o uproszczeniu tego równania.

– ...

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Skierował wyświetlacz w moją stronę. Widniało na nim imię Lu.

– Odbierz – poleciłam.

Usłuchał.

– Lu, gdzie jesteś? O tej godzinie? Nie, nie mam zamiaru nigdzie chodzić... Nie, nie

gniewam się. Nie martw się. Oczywiście, czekam na ciebie. Tak.

I zakończył.

– Tęskni za mną, powiedziała. I że przeprasza za focha. I że zaraz wraca.

– Dobranoc – powiedziałam, bo nic innego, bardziej sensownego nie przyszło mi do głowy.

Aarón spojrzał na mnie, uśmiechnął się zawstydzony, a ja poszłam do siebie. Nie będę mogła zasnąć. Jakżeby mogła? Po tym, jak niemal wyznałam mu uczucie albo przynajmniej jasno wyłożyłam karty? Jakże to wszystko jest oplakanie żalosne. Jak mogłam być tak niemądra, tak nierozsądna? Jak ja mu teraz spojrzę w oczy? Ale to, co mnie najbardziej dręczyło, to jego słowa: że także fantazjował o uproszczeniu równania. I co on sobie myślał, mówiąc mi to. Jak ja teraz będę mogła żyć z tą świadomością? Czy powiedział mi to jedynie przez uprzejmość, żeby mnie podnieść na duchu, żeby nie czuła się tak samotnie i absurdalnie, gdy niemal wyznałam, co do niego czuję? Słabo go znam, ale to byłoby możliwe wytłumaczenie. A może powiedział to, bo jest po prostu człowiekiem o wspaniałomyślnym charakterze. Taki był, zdolny przeniknąć na klasztorny podwórzec, żeby pomóc przyjacielowi, zdolny przeniknąć do zoo, żeby pomóc siostrze swojej narzeczonej. Był człowiekiem, który słyszał, co mówisz, i mówił to, co potrzebowałaś usłyszeć. To leżało w jego naturze. Ale oczywiście istniała także możliwość, że jego słowa były szczerze i że coś poczuł albo że nadal coś do mnie czuł. Cóż mogłam z tym zrobić? Czy w ogóle coś mogłam zrobić? Albo powinnam? Nie, oczywiście, że nie.

Nie mogłam.

Nie powinnam.

Nie zrobię.

Co potem?

Obudziły mnie straszliwe huki. Co to takiego? Czy coś się dzieje na ulicy? Nie, hałasy dochodziły raczej z pracowni. Narzuciłam pierwsze lepsze ubranie i wybiegłam z sypialni. Tak, bez wątplenia coś się działo na dole. Zbiegając po kręconych schodach, ujrzałam majstra Mariana i dwóch robotników. Skuwali sufit.

– Czy mogę się dowiedzieć, co się tu dzieje?

Nikt mnie nie usłyszał z powodu hałasu. Musiałam wrzasnąć:

– Mariano!

Dopiero wtedy majster mnie zauważył.

– Przestańcie! – krzyknęłam. – Co wy robicie?

– Saro... To twój ojciec wydał polecenie. Kazał nam się tu stawić jak najszybciej i od razu zacząć pracę. Powiedział, że w domu nikogo nie ma.

Niczego nie rozumiałam.

– Ale przecież się umówiliśmy, że wzmocnicie strop dwiema podporami, i już. Do tego chyba nie trzeba skuwać sufitu?

– Twój ojciec zmienił plany. Chce wzmocnić całą konstrukcję budynku i to jak najszybciej.

– Co? Ale przecież... Przecież to całkowita przebudowa!

– Tak. Od pięciu do siedmiu miesięcy robót.

– A moja pracownia? A sklep?

– Ja jestem jedynie wykonawcą. Porozmawiaj z ojcem.

– Gdzie on jest?

– Widziałem się z nim w jego pracowni architektonicznej. Dał mi klucze do domu, żebyśmy mogli rozpocząć pracę.

– Ale... Co tu jest grane? Proszę cię, Mariano, muszę porozumieć się z ojcem. Niczego nie róbcie, zanim się z nim nie zobaczę.

– Saro, dostaliśmy wyraźne polecenie.

– To jest także mój dom! Budynek się nie zawali, jeśli poczekać dziesięć minut.

– No dobrze, poczekam.

Wbiegłam na górę po komórkę. Wybrałam numer ojca, ale włączyła się sekretarka. Nagrałam się: – Tato, co tu robi Mariano? Dlaczego mnie nie uprzedziłeś? Co to wszystko znaczy?

Złapałam kluczyki do samochodu. Musiałam jak najszybciej odszukać ojca. Musiałam się z nim zobaczyć i rozmówić. Po co ten pośpiech? Czemu tak błyskawicznie podjął decyzję o demolce? Znowu zesłam do pracowni.

– Nie udało mi się go złapać na komórkę – powiedziałam. – Jadę go szukać. Niczego tu nie róbcie.

– Saro, twój ojciec jest moim szefem – zauważył Mariano. – Muszę słuchać jego poleceń.

– Mariano, mój ojciec jest ostatnio dziwny, nie kontroluje się. Sam widziałeś, jak zareagował tamtego dnia. Wsadza sobie kolczyki w ucho, dostaje ataków niepokoju. Proszę cię,

daj mi godzinę.

– Saro, ale...

Przerwałam mu.

– Zabierz robotników na kawę albo co. Błagam...

– Stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji.

W tej samej chwili na schodach pojawił się Eric.

– *What is happening?*³²

– Eric! Muszę jechać, żeby porozmawiać z ojcem. Niech ci panowie niczego nie robią pod moją nieobecność. Jeśli zabiorą się do pracy, dzwoń po policję. Dobrze?

– Saro – zaprotestował Mariano. – Nie musisz aż tak się unosić. Nawet gdyby zadzwonił po policję, to my jesteśmy górą. Ten budynek jest własnością twojego ojca.

Spojrzałam na Erica.

– A kiedy będzie tu policja, powiedz, żeby zażądali od tych robotników pozwolenia na pracę.

– Pozwolenia na pracę – powtórzył posłusznie Eric i kiwnął głową.

– Saro...

– To norweski architekt, ściśle trzymający się przepisów. Oni tam są sztywniejsi niż poziomicą, fatalnie reagują na różne kombinacje, w których my, Hiszpanie, celujemy. Tak więc wybieraj!

Mariano przyjrzał się Ericowi i musiał wyczuć, że lepiej będzie się wycofać, bo rudzielec wyglądał na takiego, któremu istotnie może przyjść do głowy wezwanie policji.

– Dobrze, zabieram ich na kawę. Ale jak coś się stanie, to poskarżę się twojemu ojcu, że nie pozwoliłaś nam pracować.

– Masz do tego pełne prawo.

Wychodząc na ulicę, zobaczyłam nadchodzącą Lu. Była nieco rozczochrana, ale nie straciła nic ze swej urody. Nawet po spędzeniu całej nocy na imprezowaniu Lu wyglądała świeżo i promiennie, jak po przepisowych ośmiu godzinach snu. Cóż to jednak znaczy mieć dwadzieścia lat.

– Dopiero wracasz? – zapytałam.

– Troszkę zmarudziłam...

A więc nie wróciła zaraz po tym, jak obiecała to Aarónowi. Ale to teraz nie było ważne, pomyślę o tym kiedy indziej.

– Jedź ze mną – zaproponowałam jej.

– Dokąd?

– Do ojca.

– Muszę wziąć prysznic i...

– To może poczekać. Chodźmy.

Sama nie wiem, dlaczego wpadłam na pomysł, żeby mi towarzyszyła. Tak czy owak, po drodze przekazałam jej wieści dotyczące Chin. Bez wspomnienia, co oczywiście, o mojej przyjacielskiej pogawędce z Aarónem.

– Jedziesz z Robertem?

– Nie poprosił mnie o to.

– A jeśli poprosi?

– A co ja mam niby do roboty w Chinach?

– To samo co tutaj, w Malasañi. A jeśli ojciec się uprze, żeby zburzyć sklep, to tym mniej będziesz miała tu do roboty.

– Lu! Nawet tego nie mów! Ojciec nie zburzy sklepu, a ja... Jak mogę zostawić swoje

życie i jechać za Robertem?

– Nie byłabyś pierwszą osobą, której zdarza się zmienić życie i podążyć za partnerem.

– Pojechałabyś na pięć lat do Chin, gdyby Aarón cię o to poprosił?

Nie zawahała się nawet sekundy.

– Tak.

– Tak mówisz, bo to się nie zdarzyło. Łatwo jest spekulować, co by było gdyby.

– Ja za Aarómem poszłabym na koniec świata.

– Aha, a po pierwszej sprzeczce znikasz na całą noc. Już ci wierzę.

Mimo mojej ironicznej odpowiedzi jej słowa zapadły mi głęboko w serce. Bo zdałam sobie sprawę z tego, że mówiła prawdę. I rzeczywiście była gotowa to zrobić. Poszłaby za nim na koniec świata. Bo to właśnie jest miłość, czyż nie? Być gotowym wszystko zostawić – nawet gdyby rozsądek i logika podpowiadały, że to niedobry pomysł – i iść za ukochanym, bo wszystko jest lepsze, niż choćby przypuszczenie, że można by go utracić. A najgorsze w tym wszystkim było to, że gdyby to mnie Aarón zaproponował udanie się na kraniec świata... O matko!

Byłabym gotowa ruszyć w drogę bez chwili zastanowienia. A jednak z Robertem nigdzie się nie wybierałam... Czyżby to był dowód na to, że go nie kocham? Nie, Saro. To tak nie działa. Jesteś w stanie wyobrazić sobie siebie z Aarómem w Chinach, bo doskonale wiesz, że on cię nigdy nie poprosi, żebyś tam pojechała. Dlatego widzisz siebie w drodze, bo to tylko teoria. Nie rób więc tego typu porównań, to niesprawiedliwe i tylko masz od tego zamęt w głowie. A jeśli nie wybierasz się na drugi koniec świata z Robertem, to dlatego, że cię o to nie poprosił. Oraz dlatego, że jesteś kobietą, która patrzy realistycznie na życie. Jesteś rozsądna, masz swoje życie, masz swoją karierę zawodową. A tym bardziej teraz, po pokazie. Cóż takiego czeka cię w Chinach? Co byś tam robiła całymi dniami, podczas gdy on siedziałby do nocy w pracy? Gotowała ryż w siedmiu smakach trzy razy na dzień? Origami? Nauka chińskiego? Jakbyś nie wiedziała, że komuś, kto z trudem nauczył się angielskiego, chiński w żadnym razie nie wejdzie do głowy. Język, który zamiast liter ma nieskończoną ilość symboli! Nikt, kto nie urodził się Chińczykiem, nie jest w stanie tego pojąć, nie oszukujmy się.

– To musi być ekstrasuperowe, pojechać do Chin – rozmarzyła się Lu.

– Być może na wakacje, wtedy tak – odparłam.

– Albo żeby przeżyć przygodę życia.

– Doprawdy nie sądzę, Lu. Zresztą, dlaczego to on nie zostawi wszystkiego dla mnie?

Roberto mógłby zostać tutaj i pracować razem z naszym ojcem, ale nie chce.

– No to macie problem.

– No to mamy problem. A ponadto ojciec ostatnio zwariował.

– Kiedy wyjeżdża Roberto?

– Za dwa tygodnie.

– Nie będzie na moim ślubie?

– Lu, proszę cię, czy myślisz, że dla mnie w tej chwili najważniejsze jest to, że Roberto nie będzie na twoim ślubie?

– Gdybyś pojechała z nim, ciebie też by nie było.

– Nie pojedę z nim.

– Ale mogłabyś pojechać. I co wtedy z moją suknią? I co...

– Lu, na litość boską! – przerwałam jej zirytowana. – Postaraj się udawać, chociaż przez krótką chwilę, że na świecie jest jeszcze coś oprócz ciebie, twojego ślubu i twojej sukni. Zrób to, błagam. Możesz?

Zaparkowałam samochód przed wieżowcem, na jednym z miejsc, które studio architektoniczne ojca miało zarezerwowane dla swoich klientów. Wjechałyśmy windą prosto do

biura. Było to pełne powietrza, nowoczesne wnętrze, umeblowane białymi biurkami i lampami typu przemysłowego; przy wejściu stała rzeźba wyobrażająca logo firmy. Już od progu zdałyśmy sobie sprawę, że w biurze trwa przeprowadzka. Biurek nie było, komputery stały na podłodze, wszędzie pełno kartonów... Sekretarka ojca, sześćdziesięcioletnia kobieta o pełnych kształtach, w liliowych okularach i o włosach ufarbowanych na różne odcienie fioleto, powitała nas serdecznie i wylewnie.

– Sarita, Lucía, ależ dawno was nie widziałam...

– Co tu się dzieje?

– To samo co w całym kraju, dziecko. Trzeba ciąć koszty, dostosowywać się, zmieniać...

Trzeba robić wszystko, żeby nie musieć zamknąć interesu.

– A więc sprawy wyglądają tak źle?

– Ojciec nic wam nie powiedział?

– Nie – odpowiedziała Lu i popatrzyła na mnie pytająco. – A tobie? Wiedziałaś coś o tym?

– No cóż, ojciec już od paru lat narzekał, ale nigdy bym nie pomyślała, że to aż tak...

– Przedtem to był tylko przedsmak kryzysu, ale teraz już puka do bram – westchnęła sekretarka.

– Ojciec jest u siebie? – przerwałam jej narzekania.

– Tak. Zawiadomię go.

– Nie trzeba – odparłam.

Weszliśmy z Lu twardym krokiem, nie pukając. Ojciec walczył z AutoCad-em na gigantycznym monitorze komputera. Podniósł głowę, usłyszawszy, że drzwi się otwierają.

– Co wy tutaj robicie?

– To ja chciałabym się dowiedzieć, co robią Mariano i tych dwóch w domu? Czyś ty zwariował?

– Trzeba dokonać tych napraw – odpowiedział. – Jak najszybciej.

– Tato, ale przecież już o tym mówiliśmy. Uzgodniliśmy, że wzmocni się strop dwiema belkami, i już.

– Zmieniłem plany.

– Ale dlaczego? Co się stało? Czy to ma związek z tą demolką, tutaj, w biurze? Tato, zamykasz firmę?

– Teraz jestem zajęty. Porozmawiamy w domu.

– Nie. Chcę, żebyś zadzwonił do Mariana i go odwołał. Tato, nie możesz mnie teraz pozbawić pracowni! Nie teraz. Nie wiem, jakie problemy masz tutaj, ale ja właśnie czekam na bardzo ważne zamówienie.

– Zawsze jesteś w przeddzień czegoś, Saro, co nigdy nie nadchodzi.

– Pokaz okazał się sukcesem! Byłeś tam!

– Lepiej nie mówmy o pokazie.

– Otworzył mi drzwi do kariery.

– Saro, żeby sprzedać lokal i mieszkanie, albo żeby je wynająć, muszą być w doskonałym stanie.

– Sprzedać? Wynająć? A ja? O czym ty mówisz? Co takiego się dzieje?

– Od kiedy nie płacisz mi czynszu?

– Już w przeszłości zdarzyło mi się zalegać.

– Tym razem jest inaczej. Rozwodzę się z waszą matką. Jak się mają sprawy w moim biurze, to już widzicie. Potrzebuję gotówki.

– Jak to: rozwodzie się? – spytała Lu.

– No właśnie, tato. Nie szalej. Macie zły okres, ale które małżeństwo przez taki nie przechodzi?

– Dzisiaj rano wasza matka postawiła sprawę jasno. Chce rozwodu.

– Ciekawe, co za głupotę jej powiedziałeś? – zdenerwowałam się.

– Żadnej głupoty. Powiedziałem jej, że chcę do niej wrócić. I wiecie, co mi odpowiedziała? Że zaczyna nowe życie i że jej córki są po jej stronie.

– Co? – spytałam.

– Co? – spytała Lu.

– Tak. Że tak się wam podoba jej nowy facet, że nawet go zaprosiłyście na pokaz.

– To kłamstwo! Mama tak powiedziała? – Byłam naprawdę wściekła. Co za okropna manipulatorka. Już ja jej pokażę!

– Zresztą miałyście pełne prawo go zaprosić, to jasne. Jeśli wam przypadł do gustu, to wam przypadł, trudno. Ale dlaczego w takim razie zaprosiłyście mnie?

– Tato, ani ja, ani Lu nie zaprosiliśmy tego pana. Sam przyszedł.

– A więc był tam. Przyznajesz.

Ugryzłam się w język. Przyłapał mnie, i to jak. Wpadłam jak głupia.

– Może i był, nie jestem pewna...

– Zdradziłaś mnie, moja córko! I to jak perfidnie! To dlatego chciałaś, żebym pozostał wśród tych fatalaszków, bo się bałaś, żebym nie zrobił sceny. A nie dlatego, że potrzebowałaś mojej obecności. Ależ byłem głupi! Ależ byłem niemądry! Zostałem wykorzystany przez własną córkę!

– Tato, bardzo cię proszę... Ja go wcale nie zapraszałam. Kiedy go zobaczyłam przy mamie, miałam ochotę ją zabić. Jest okropny. Nie podoba mi się i go nie znoszę. Ja chcę, żebyście się z mamą ponownie zesзли...

– Aha! W takim razie dobrze to przed nim ukryłaś, że go nie znosisz. Do tego stopnia go omotałaś, że podarował ci jakieś pióra... Nawet specjalnie poszłaś do zoo, żeby go poznać.

– To nie tak było, tato. Zupełnie nie tak.

– To ja ci w dobrej wierze wynajmuję za półdarmo dom po babci, biorę od ciebie symboliczny czynsz, i co? Po co to robię? Żebyście wraz z siostrą wbiły mi nóż w plecy, żebyście mnie ośmieszyły na oczach wszystkich!

– Nikt cię nie ośmieszał.

– Nie? Ale ja się czuję ośmieszony. Zwłaszcza gdy odkrywam, że obydwie moje córki są kłamczuchami i wolą zaprosić tego drugiego, i że...

Przerwałam mu, zwracając się do Lu:

– Lu, proszę, powiedz ojcu, że nikogo nie zaprosiliśmy. Że to mama zrobiła.

– To prawda. Nie zaprosiliśmy go.

– Ale pióra to od niego przyjąłeś, Saro, czyż nie? Ale to mnie w sumie cieszy, bo jeśli masz takie powodzenie zawodowe i brak ci najmniejszych skrupułów, jeśli jesteś zdolna podeptać mojego trupa w drodze na szczyty sukcesu, to znaczy, że już nie potrzebujesz mojego wsparcia! Chyba się nie mylę?

– A więc ta nagła decyzja o rozpoczęciu remontu to twój sposób zemsty! Czysta zawiść. Nie mogę w to uwierzyć – załamalam się.

– Nie, moja panno. Nie będę krył, że poczułem się jak dureń. Ale remont to kwestia potrzeby. Jeśli po rozwodzie będę chciał zostawić sobie dom w Aravace, który jest moim jedynym dorobkiem, będę musiał spłacić z połowy mamę. A będzie mnie na to stać jedynie, jeśli sprzedam dom po babci.

– Jak możesz sprzedać dom babci? – spytała Lu.

– Za pieniądze.

– Ale przecież to jest twoje życie, to nasze życie, to... – zaprotestowała.

– Od kiedy to zrobiłaś się sentymentalna? – spytał ją ojciec.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie wierzę, że masz zamiar to zrobić – jęczała Lu. – Sara ma rację. To twoje fochy. A najgorsze, że to niesprawiedliwe. Bo Sara od pierwszego dnia robi wszystko, żebyście z mamą wrócili do siebie. Prawda? – Spojrzała na mnie. – Powiedz mi.

– Po co, jeśli i tak mi nie uwierzy? Przecież widać, że już podjął decyzję. Nieważne, że jego córka zostanie bez dachu nad głową i bez przyszłości.

– Zanadto dramatyzujesz – powiedział ojciec. – Jeśli twoja przyszłość zależy od twojego ojca, to na świetlaną się nie zapowiada.

– Nie o to chodzi. Ale jeśli mam szansę wzlecieć, a ty obcinasz mi skrzydła, to niczego nie zdziałam.

– Niczego ci nie obcinam.

– Eksmitujesz mnie dokładnie w momencie, gdy mam podpisać umowę, która zapewni mi rok lub dwa lata pracy.

– Gdzie jest ta umowa? Chciałbym ci uwierzyć, ale już to słyszałem. Potem mija miesiąc po miesiącu, a ty jesteś w takiej samej finansowej zapaści jak zawsze.

– A jeśli ci to udowodnię? A jeśli ci przyniosę umowę i pokażę? Przedłużysz mi wynajem? Pozwolisz mi płacić z miesiąca na miesiąc? To by ci na razie wystarczyło, mam nadzieję. Czy też chcesz mi wmówić, że rozwód będzie już teraz i zaraz będziesz potrzebował tej gotówki? Tak się będziesz spieszył z wykupem połowy domu od mamy?

– To, co mnie dziwi, to że się poddałeś, jeśli chodzi o mamę. To nie w twoim stylu – wsparła mnie Lu.

Ojciec spojrział na nas z zastanowieniem. Widać było, że mięknie.

– A jeśli mama będzie mieszkała w domu w Aravace, dopóki jej nie splączę, to gdzie ja się podzięję?

– Ze mną. Tak jak do tej pory. Czyżbyś nie był zadowolony? – zaproponowałam.

Bynajmniej nie pragnęłam mieszkać z ojcem przez rok, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Ale jeśli to od tego zależało, żebym mogła zachować sklep i pracownię, byłam skłonna do kompromisu.

– Przyniesi mi tę umowę i, jeśli istotnie będzie w niej zawarta gwarancja rocznych dochodów, pomyślę o tym.

– Naprawdę? – zapytałam.

Ojciec skinął głową.

– To zadzwoń zaraz do Mariana i powiedz mu, żeby sobie poszedł.

– Dobrze, ale pamiętaj, że nie masz zbyt wiele czasu, żeby uzyskać tę umowę. Powiedziałbym, że prawie wcale. Bo moja cierpliwość już od dawna jest na wyczerpaniu.

– W tym miesiącu podpisuję umowę. Przysięgam.

Wyszliśmy z Lu z biura. Pierwsze, co zrobiłam, to już z windy zadzwoniłam do Davida.

– Davidzie, przysięgnij, że ten pan, któremu mnie przedstawiłeś, ten Pablo, nie jest żadnym kanciarzem. Że do mnie zadzwoni.

– Przypuszczam, że tak.

– Jak to?

– Saro, Pablo Almagro zasługuje na zaufanie, serio. Zadzwoni do ciebie, będzie chciał obejrzeć pracownię, przyjdzie ze współnikiem i z pewnością dojdziecie do porozumienia. Z pewnością. Chociaż te sprawy trwają dość długo.

– Jak długo?

– Nie wiem. Musisz wziąć pod uwagę, że będą chcieli wybrać przedmioty, przedyskutować kosztorysy, sprawdzić, do którego sezonu będą mogli włączyć twoje wyroby... Dlaczego aż tak ci się spieszy?

– Już dobrze, dobrze. Ale uda mi się, prawda?

– Ja na twoim miejscu zacząłbym przygotowywać plan produkcji: jakie rodzaje i wzory przedmiotów, ile czasu będzie wymagało ich wytworzenie, ile osób będziesz musiała zatrudnić, ceny... Jeśli będziesz miała jasność co do tych spraw, tym bardziej będą skłonni zdecydować się na ciebie.

– Masz rację. Muszę się zaraz do tego wziąć. O Boże, nie sędzę, żebym umiała.

– Jeśli chcesz, mogę do ciebie wpaść i trochę ci pomóc.

– Zrobiłbyś to? Wspaniale! Przychodź zaraz!

– Dzisiaj?

– Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj.

Wchodząc do domu, minęłyśmy się z Marianem i robotnikami.

– Wrócimy później. Otynkujemy sufit i przyniesiemy belki.

– Ile czasu wam to zajmie?

– Dzień albo dwa.

– Niech to będzie jeden dzień, Mariano, błagam. Bo w tym tygodniu oczekuję wizyty bardzo ważnych klientów i wszystko musi wyglądać nieskazitelnie.

– Zrobimy co w naszej mocy.

Weszłam na górę w poszukiwaniu Roberta. Koniecznie musieliśmy porozmawiać, zanim znowu zajmę się pracą. Nie było go w domu. Zostawił kartkę: „Jadę do domu rodziców. Zadzwoń, jeśli chcesz”.

Na korytarzu pojawił się Eric z bagażem. Obydwa pluszaki, panda i ośmiornica, dyndały przywiązane do walizki.

– Co robisz? Już wracasz do Paryża? – spytałam go.

– Bez Roberto ja nie mogę tu być. Przyjdę do hotelu.

– Ależ skąd, Ericu. Zostaniesz w moim domu aż do powrotu do Paryża.

– Niekoniecznie.

– Ericu, napadłeś razem ze mną na ogród zoologiczny. Żeby mi pomóc. Tylko tak mogę ci się odwdziżyć.

– Nieważne.

– To rozkaz – stwierdziłam, chwytając jego walizkę i zanosząc ją do pokoiku-spiżarni.

– Zostajesz tutaj!

Przyszedł David i zaczęliśmy inwentaryzować i fotografować wyroby oraz przymierzać się do kosztorysu. Ponieważ Mariano i robotnicy zainstalowali się w pracowni i częściowo w sklepie, musieliśmy przenieść się do salonu. Słyszeliśmy gitarę Aaróna, której dźwięki dochodziły z sypialni mojej siostry. Wyglądało na to, że już się pogodzili. Poczulałam ukłucie bólu w sercu, ale starałam się nie dać nic po sobie znać. I tak nic nie poradzę.

Eric od czasu do czasu wchodził do salonu i wygłaszał opinie o moich wyrobach.

Wszystkie ceny, które ja i David uznaliśmy za rozsądne, jemu wydawały się śmiesznie niskie.

– *More expensive. This watch is amazing. Two hundred at least*³³.

– Dziękuję, Ericu, ale musimy być realistami – powiedziałam. – Chodzi o to, żeby sprzedać jak najwięcej sztuk.

– Jeśli zażądamy od ciebie partii tysiąca zegarków, będziesz musiała zatrudnić co najmniej trzy czy cztery osoby. Masz tego świadomość, Saro?

– Mam, Davidzie. No to je zatrudnię... W czym problem?

- Będziesz musiała je przyuczyć... To, co robisz, nie wydaje się bardzo łatwą pracą.
- Nie jest też bardzo trudne. Sama technika jest możliwa do szybkiego opanowania.

Zresztą wątpię, żeby zamówili aż tysiąc, jak sądzisz?

- Po pięćdziesiąt euro od sztuki, to daje całkiem niezłą sumkę.

– Pięćdziesiąt tysięcy – szepnęłam. Zakręciło mi się w głowie. – Och, Davidzie, to by mi ocaliło życie! Ale nie ukrywam, że dwieście sztuk też byłoby nie do pogardzenia.

I tak wśród liczb, rozważań i marzeń, klasyfikując wyroby, dobierając do nich odpowiednie pióra, kalkulując koszty i czas wykonania, spędziłam całe dwa dni. Aaróna przez cały ten czas niemal nie widywałam, ponieważ – według Lu – zamknął się w studiu nagrań.

- Wpadł na dwa wspaniałe pomysły i chce jak najszybciej je utrwalić – powiedziała.

– Aha – odpowiedziałam z ulgą i jednocześnie z pewnym zawodem. Jeśli z jednej strony ulżyło mi, że nie snuje się po domu ani ubrany, ani na wpół rozebrany, to z drugiej strony muszę przyznać, że gdy tylko słyszałam kroki na korytarzu, czy też gdy ktoś wchodził do domu, odrywałam się od pracy w nadziei, że to Aarón. Ale niemal nigdy nie był to on. Te dwa razy, kiedy się minęliśmy, raz w korytarzu i raz w kuchni, zachowywał się całkiem naturalnie, a ja usiłowałam się dostosować, choć nie jestem pewna, czy moje miny, które miały wyrazić: „wszystko w porządku, nie powiedziałam tego, co powiedziałam”, rzeczywiście dawały się zrozumieć.

Moja siostra przypuściła na mnie kolejny atak w ramach akcji pod kryptonimem „Suknia Ślubna”. No jasne, przecież ślub oczywiście nadal był aktualny. A Lu znowu zaczęła się upierać, że to ja mam wykonać suknię. Jeśli już uprzednio nie paliłam się do tego zadania, to teraz, po tym wszystkim, co zaszło, byłam nim tak piekielnie udręczona, że nie byłam w stanie tego znieść. Za każdym razem, gdy próbowałam coś naszkicować, czułam się jak zdrajczyni i ołówek palił mnie w palce. Podjęłam próbę zniechęcenia Lu, opowiedziałam jej o tym, co usłyszałam od matki: że pomysł, abym to ja sporządziła suknię, wydaje jej się okropny, bo suknia ślubna to poważna sprawa, a ja – chociaż zręcznie obchodzę się z piórami – w tej materii nie mam doświadczenia i zrujnuję jej ceremonię nieudaną kreacją.

- Cóż jeszcze mogę dodać? Matka ma rację. Nie stanę na wysokości zadania

– tłumaczyłam Lu jak komu dobru.

- Po co mama się wtrąca, jeśli nie chce, żebym wyszła za mąż?

– Już zaczyna się przyzwyczajać do tej myśli, dlatego lepiej by było, żebyście poszły razem na miasto poszukać sukni.

– Taką rozmowę już raz odbyłyśmy i starczy. To ty zrobisz mi suknię. Jeśli chcesz, przyniosę ci jakieś wzory jako inspiracje.

- Lu, proszę cię...

– Przykro mi bardzo, ale nie przyjmuję odmownej odpowiedzi. Skończ wreszcie to, czym się zajmujesz z Davidem, i bierz się do pracy.

Jak zwykle nie byłam w stanie odmówić siostrze, która nawiasem mówiąc, znajdowała się już w fazie przedślubnej gorączki i rozpętała przygotowania do ceremonii. Lista zaproszonych gości, choć według niej krótka, potrzebowała przejrzenia i ponownego przemyślenia. Catering trzeba było wypróbować. Pomysły dotyczące samej ceremonii zaślubin mnożyły się w głowie Lu jak króliki i były coraz to bardziej odjechane. Na przykład, że odbędzie się to na stateczku na zalewie; wyobrażała też sobie, że przybędą z Aarónem na skuterze wodnym, na co ja podnosiłam krzyk pod niebiosa: „Chcesz w sukni z piór pływać skuterem wodnym?!”, co ją trochę otrzeźwiło. Ale natychmiast przychodził jej do głowy następny wymysł, że co prawda zaślubiny odbędą się na brzegu, ale na pływającej platformie, a zespół Aaróna i jeszcze dwie inne grupy zagrają rocka dokładnie w chwili, gdy padną słowa przysięgi. Wyobrażałam sobie, że Aarón

zgadza się na wszystkie te głupstwa, ponieważ jest zachwycony tym, że Lu znowu wróciła do swojej dawnej osobowości, choć nie będę ukrywać, że w ciągu tych paru dni jednak zdarzyło jej się kilka napadów złego humoru, które groziły przemianą mojej siostry w złego gremlina. Podслуchałam jedną z ich gwałtownych dyskusji przez ścianę sypialni i serce zaczęło mi gwałtownie bić z radości. Tak, wiem, to podłe z mojej strony. Zresztą następnego dnia przyłapałam ich na tym, jak się bezwstydnie czulili do siebie na korytarzu. To mogło oznaczać, że Aarón zaczął się już przyzwyczajać do myśli, że Lu ma złożoną osobowość. I akceptować to w imię tego, że w dobrych i złych chwilach, w zdrowiu i chorobie... Nawet w niezrównoważeniu emocjonalnym.

W środku aż się gotowałam. Zwłaszcza gdy łąpałam za ołówki i usiłowałam naszkicować coś przypominającego suknię ślubną. Albo gdy Lu upierała się, że wybierze wraz ze mną pióra.

– Co powiesz na pióra bażanta? Albo nie, lepiej pióra kaczki. Chociaż na ogon przy sukni najlepsze byłyby pióra tukana.

– Błagam, Lu, oprzytomnij!

A ponieważ nie byłam już w stanie dłużej tego znieść, postanowiłam znowu włączyć matkę do gry. Zadzwoiłam, żeby ją powiadomić, że Lu upiera się wziąć ślub w sukni wykonanej przez mnie i przyozdobionej piórami tukana.

– Tukana?! Chyba oszalałyście obydwie!

Matka zaczęła pomstować i się awanturować. Na to właśnie liczyłam.

– Mamo, dlaczego się wreszcie nie zaangażujesz w ten ślub? Zabierz ją do sklepów na oglądanie sukien.

– Przecież już mi jasno powiedziała, że jest jej wszystko jedno, czy będę na ślubie, czy nie.

– To tylko taka demonstracja siły, ale prawda jest taka, że od kiedy się pokłóciłyście, nie spędziła spokojnie jednej nocy. Jeśli się pogodzicie i zainteresujesz się jej sprawami, pozwoli, żebyś jej doradzała.

– Moja droga, ale ja nie chcę jej doradzać. Chcę, żeby nie wychodziła za mąż.

– Na ten pociąg już się spóźniłaś. Wyjdzie za mąż, czy tego chcesz, czy nie. Sama musisz pomyśleć, jak się włączyć do akcji.

Nic nie odpowiedziała, chyba właśnie myślała.

– Obiecuj mi, że do niej zadzwonisz – nalegałam.

– Prawdziwa z ciebie męczycielka, moja panno.

– Mamo...

– No dobrze, obiecuję.

Wciąż nie miałam wiadomości od Roberta. Poprzez Erica dowiedziałam się jedynie, że nadal był u rodziców na wsi i że za dwa dni obaj mieli samolot do Paryża. Miałam świadomość, że zanim to nastąpi, musi dojść między nami do decydującej rozmowy.

– Dlaczego nie pojedziesz tam do niego na tę wieś? Porozmawialibyście sobie na spokojnie – zasugerowała mi Inma, z którą codziennie omawiałam wszystkie moje problemy. No, prawie wszystkie. Bo o Aarónie nie wspominałyśmy ani słowem.

– Bo czekam na odwiedziny ważnego klienta – wyjaśniłam. – Nie mogę się stąd ruszyć.

– I w ten sposób doprowadzisz do tego, że Roberto poleci do Paryża, a wasze sprawy nie zostaną wyjaśnione.

– A co tu jest do wyjaśniania? On wyjeżdża.

– Ale niech ma chociaż jaja, żeby ci powiedzieć, czego by sobie życzył. Jeśli chce cię zabrać ze sobą, niech ci to powie. Jeśli chce, żebyś na niego czekała, niech ci to powie. A jeśli chce z tobą zerwać, to niech do cholery zerwie, raz a dobrze. Ale to do niego należy podjęcie

decyzji.

- Albo do mnie.
- Niech ci będzie. Więc tym bardziej powinniście porozmawiać, zanim wyjedzie.
- Wiem, Inmo, wiem o tym aż za dobrze. Ale nie mogę teraz jechać do niego na wieś.

Poczekam, aż wróci.

- Albo go przyciśniesz, albo ci się wymknie bokiem. Zobaczysz.
- Coś wymyślę, Inmo, z całą pewnością, ale teraz mam związane ręce z powodu tego zamówienia dla firmy. Co to będzie, jeśli nie zadzwonią?

Jednak zadzwonili. Kiedy już byłam niemal pewna, że tego nie zrobi, Pablo Almagro nareszcie zadzwonił, żeby mi powiedzieć, że wraz ze współnikami chciałby odwiedzić mnie w pracowni następnego dnia. Czy to możliwe? Czy mogłabym pokazać im moje projekty?

- Oczywiście, bardzo chętnie.
- Podaj mi adres, stawimy się jutro w południe.

Całą noc nie spałam. Godzinami liczyłam, podsumowywałam różne oferty i ich warianty. Jeśli zamówią tyle i tyle sztuk, cena będzie taka, jeśli zażądamy więcej czegoś innego, cena się zmieni tak i tak. Przez te kilka dni przy pomocy Davida opracowałam coś w rodzaju katalogu ze zdjęciami i w ciągu tej nocy nadałam mu ostateczną formę. Byłam dumna ze swojej pracy.

W samo południe następnego dnia pojawił się Pablo Almagro ze współnikami: dwoma facetami wyglądającymi, jakby ich ktoś sklonował, i pięćdziesięcioparoletnią kobietą. Dałam z siebie wszystko, żeby ich podbić i zauroczyć. Pokazywałam im jeden po drugim swoje wyroby, do których mieli mnóstwo pytań, zwłaszcza kobieta, wyglądająca na najmniej przekonaną z całej czwórki. Obawiała się, że zabraknie mi materiału do produkcji na dużą skalę. Chociaż sama też miałam takie obawy, wyjaśniłam, że jeśli ograniczę się do pracy z piórami ptaków takich jak bażant, kaczka i kuropatwa – jednym słowem hiszpańskich ptaków hodowlanych lub łownych – nie powinno być z tym problemu. Wypytywali także o sposób wykończenia moich wyrobów („Można przyszywać do podłoża nicią lub kleić, w zależności od kosztorysu”), o ich wytrzymałość („Niemał wszystkie te rzeczy można zakładać wielokrotnie”), wreszcie o trwałość („Pióra są równie trwałe jak wełna; pomyślcie, że w gruncie rzeczy obydwie materiały są zbudowane z keratyny”).

Wręczyłam im makietę katalogu, a oni zapewnili mnie, że się odezwą.

Pablo Almagro zadzwonił jeszcze tego samego wieczoru.

- Saro, masz moich ludzi u swych stóp – oznajmił. – Byli zachwyceni.
- Wszyscy? Kobieta nie wydawała się przekonana.
- Zdołamy ją przekonać. Przynajmniej.
- Tak?

– To wygląda bardzo obiecująco. Orowadzanie po pracowni, pasja, z jaką demonstrowałaś swoje wyroby i rozpraszałaś wątpliwości, dopracowany katalog. Musimy go pokazać reszcie ekipy i wkrótce podejmiemy decyzję.

- Wkrótce? Czyli kiedy?
- Uważam, że twoje produkty mogłyby pasować do zimowej kolekcji.
- Tegorocznej?
- Nie, skądże. Do przyszłorocznej, ale do pracy wzięlibyśmy się natychmiast.

Zaczelibyśmy od niewielkiej liczby modeli, w seriach od pięciuset do tysiąca sztuk, żeby sprawdzić, jak się sprzedają.

- Naprawdę? To takie proste?
- Przed nami dużo pracy. Wątpię, aby to było aż takie proste.
- Pracy się nie boję.

- Mam dobre przecucia. Odezwę się wkrótce, szybciej, niż się spodziewasz.
- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Po zakończeniu rozmowy byłam cała rozgorączkowana. Pierwsze, o czym pomyślałam, to żeby podzielić się swym szczęściem z Robertem. To jemu zawsze o wszystkim opowiadałam. A kiedy zdarzało mi się coś nadzwyczajnego, coś wykraczającego poza codzienność, łąpałam za telefon i dzwoniłam. Czy teraz też powinnam to zrobić? A może raczej powinnam się powstrzymać, zacząć się przyzwyczajać do tego, że odtąd będzie inaczej, bo Roberto wyjeżdża do Chin. Nie będzie go przy mnie, więc im szybciej zacznę żyć bez niego, tym lepiej. Czyż nie?

Zatem żeby uczcić odniesiony sukces, a przede wszystkim żeby dać wyraz temu, że moje życie się nie kończy – niezależnie od tego, czy Roberto pojedzie czy też nie pojedzie do Chin – postanowiłam zaprosić wszystkich mieszkańców domu na kolację i przyrządzić paellę, jedyne danie, które mniej więcej mi wychodzi. Nauczyłam się robić paellę oraz tortillę z jajek z ziemniakami podczas półrocznego pobytu w Palermo na stypendium w ramach programu Erasmus. W ciągu tego czasu spędzonego we Włoszech tyle razy proszono mnie o przyrządzenie jakiejś typowej hiszpańskiej potrawy, że musiałam zgłębić internet w poszukiwaniu przepisów na ryżowe i kartoflane przysmaki. Muszę przyznać, że chociaż moja znajomość włoskiego przez te pół roku zbytnio się nie poprawiła, to przynajmniej stałam się ekspertką w dziedzinie narodowych dań na bazie węglowodanów. A teraz, ponieważ chciałam się podzielić dobrymi wiadomościami z tymi, którzy przyczynili się do sukcesu pokazu, i okazać im moją wdzięczność najlepiej, jak potrafię, padło na kolację złożoną z typowych hiszpańskich dań – nieważne, że przepisy przećwiczyłam za granicą. Największym entuzjastą mojego pomysłu okazał się Eric. Zabrałam go ze sobą na zakupy i we dwójkę zwiedziliśmy wszystkie sklepy spożywcze w naszej dzielnicy. Eric był oczarowany każdym sklepikiem, każdym kioskiem, każdą ulicą. To było dziwne doświadczenie, patrzeć na życie miasta jego oczami.

- Ludzie nie wyglądają na kryzys, tutaj.
- Dlaczego tak ci się wydaje? – spytałam.
- Jest radość.

Mówiąc to, wskazał na tarasy restauracyjne pełne ludzi. To była pora na szklaneczkę wermutu lub piwo, piękny jesienny dzień, kiedy wszyscy chcą się nacieszyć ostatnimi promieniami słońca, popijając drinka. Plac San Ildefonso o tej godzinie był gwarny i – no tak, należało to przyznać – sprawiał radosne wrażenie.

– A cóż mielibyśmy robić? Usiąść i płakać? Przypuszczam, że to kwestia śródziemnomorskiego temperamentu. Smutki oświetlone słońcem i podlane piwem są mniej przygnębiające; tak przynajmniej sędzę.

- Chcę tutaj mieszkać – powiedział Eric. – *I wish I get the job*³⁴.
- Z całą pewnością – przytaknęłam.

Roberto wyjeżdżał na antypody, bo nie znalazł pracy w kraju, za to Norweg był już jedną nogą w Madrycie. Dziwny jest ten świat.

Lu i Eric pomogli mi z gotowaniem, a ojciec przyczynił się do zaopatrzenia w trunki, przynosząc kilka butelek wina – prezenty od dawnych klientów studia. Ojcu na bieżąco zdawałam sprawę z postępów w negocjacjach z firmą, która postanowiła mnie zatrudnić, aby się przekonał, że choć jeszcze nie podpisałam umowy, wszystko jest na najlepszej drodze. Ponieważ pragnął, żeby mi się powiodło, udało mi się zarazić go radością i nastrojem świętowania.

- Zaprosisz matkę? – zapytał ojciec.
- Żebyście się pokłócili? Lepiej nie – odparłam.
- Nie zależy mi, żeby przychodziła.
- Aha, nie zależy ci, ale umierasz z chęci, żeby się z nią zobaczyć. Lepiej jednak nie.

– To przykre, żeby nie mogła wziąć udziału.
– No dobrze, to przy innej okazji ty wydasz kolację i ją zaprosisz, w porządku? Ja wolę nie robić zamieszania.
– Boisz się, że przyjdzie z tym drugim, co? I że zrobię scenę.
– Nie, tato. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby go zaprosić. Jak w ogóle mogłeś o czymś takim pomyśleć?
– Bo on ma zoo pełne piór, a ty będziesz się musiała wywiązać z umowy...
– Nie, tato. Ile jeszcze razy będę musiała ci powtarzać, że to był nieszczęśliwy zbieg okoliczności?
– Wiele razy, córeczko. Wiele razy. Aż ci uwierzę.
Zaprosiłam jednak jeszcze troje gości, bo na to zasłużyli i ponieważ sprawiło mi to przyjemność: Davida, Chusę i Inmę. Moja przyjaciółka pojawiła się pierwsza i od razu przypadł jej do gustu Eric.
– Nie rób sobie za dużo nadziei, bo na moje oko to on raczej jest z tych, co to kochają inaczej – starałam się przygasić jej entuzjazm.
– On? Przecież już go dwa razy przyłapałam, jak gapił się na moje cycki – odparła.
– Tobie się wydaje, że wszyscy gapią się na twoje cycki, nawet mnie gotowa jesteś o to posądzić.
– Bo się gapisz. I twój ojciec też się gapi, nie spuszcza z nich oka. Muszę jakoś żyć z tym dopustem, że mam je takie zawadiackie.
– To ten dekolt Inmo – wyjaśniłam. – Jest dość, hmm... awantażowny.
– Świętujemy czy nie? Ale jeśli wolisz, to poddam się autocenzurze. Zejdę na dół po jakieś pióra i przysłonię nimi dekolt.
– Nie trzeba.
– Ha! I tak bym tego nie zrobiła.
Wszyscy chwalili moją paellę, a dowodem, że nie były to tylko grzecznościowe pochwały, było to, że nikt nie wzbraniał się przed dokładką. Aarón zjadł trzy talerze, i to mimo iż na początku narzekał, że ryż nie jest ekologiczny i integralny.
– Jak ty sobie wyobrażasz paellę z integralnego ryżu?
– Normalnie.
– Ojej, Aarónie, nie bądź marudą – zaprotestowała Lu. – Zostaw te ekologiczne i zdrowotne wymysły na inną okazję. I ciesz się tym, co masz.
– Cieszę się. A pełne ziarna są tak samo smaczne. To kwestia przyzwyczajenia.
– Jedna porcja przesyconej tłuszczem paelli cię nie zabije – stwierdziła Lu.
– Przesyconej tłuszczem? – zaprotestowałam z oburzeniem.
– Wiesz, co mówił mój dziadek? – ciągnął Aarón. – Z przewodem pokarmowym należy się obchodzić delikatnie, jak z narzeczoną. A mój ojciec zawsze się z niego wyśmiewał. I jak skończył...
– Obiecuję, że następną paellę zrobię z niełuskanego ryżu i bez oliwy. Upiekę ją w piekarniku, zamiast smażyć – obiecałam. – Choć nie mam pojęcia, co z tego wyjdzie.
– O, właśnie, ty zrzędo – powiedziała Lu.
– Lepiej jeść zdrowo, niż wcale nie jeść – odparł Aarón, kierując te słowa do Lu, która w najbliższym czasie miała zaplanowany pokaz i niemal nic nie brała do ust.
– Nie jesz? Przecież wy, modelki, jecie wszystko i dużo, nie myślę się, prawda? – spytała złośliwie Inma.
– Niektóre tak twierdzą – odparła Lu – ale wierz mi, że podczas tygodniowych castingów w Mediolanie lub Londynie dziewczyny żywią się jedynie jabłkami i czasem jogurtem. I faceci

modele też.

- Jakie to smutne życie – stwierdziła Chusa.
- Jesz tylko jabłka i jogurt? – zaniepokoił się ojciec.
- Ale tylko przez tydzień. I jeszcze kurczaka. Gotowanego albo z rusztu.
- Ojej, ależ ucztą nie z tej ziemi – skomentowała Chusa.
- Ale co do picia, to sobie nie żałujecie, co? – powiedziałam, widząc, że Lu sięga po następną butelkę (z tych, które przyniósł ojciec) i nalewa sobie kolejny kieliszek.

W osiem osób opróżniliśmy już pięć butelek i można się było spodziewać, że jeśli dalej będziemy pili w tym tempie, wydudlimy jeszcze kilka tego wieczoru. Bo Aarón może i bardzo zdrowo jadł, ale przed piciem się nie wzbraniał. O nie. I palił. To te sprzeczne popędy rockmana, jak sądzę. Spożycie alkoholu wpływało już widocznie na atmosferę wieczoru, bo wszyscy staliśmy się nad miarę weseli i hałaśliwi. Chusa i David przynieśli deser – rurki z kremem kajmakowym, które kupili w argentyńskim sklepie przy placu Juana Pujola, a kiedy je położyli na stół, wszyscy zaczęli bić gromkie brawa. Poczułam żal, że rurki wzbudziły większy entuzjazm od mojej paelli, chociaż trzeba oddać prawdę, że jedząc paellę, byliśmy dopiero przy drugiej butelce wina.

Eric zaproponował toast.

Wstaliśmy i wzniesiliśmy w górę kieliszki. Przyjrzałam się mojej zaimprovizowanej rodzinie z satysfakcją i poczuciem dumy. Przed dwoma tygodniami byłam w tym domu sama jak palec. Tylko ja i papuga. O biednym ptaku nieomal zapomniałam w tym natłoku osób, pracy i uczuciowych wzlotów i upadków; całe szczęście, że wiedział, jak o sobie dać znać, gdy mu zabrakło pożywienia. A teraz dom był pełen ludzi, mojej rodziny z wyboru, tej własnej i tej przybranej. Oczywiście brakowało Roberta i mojej matki. A przekłety Aarón, moja młodzieńcza miłość, który nie wiedzieć jak znalazł się wśród nas, właśnie całował namiętnie moją siostrę (ale lepiej nie będę o tym teraz myślała).

– Za wszystkich was – mówił Eric. – Ja czuję jak w domu. Dziękuję, Sara, za twoją *generosity*³⁵. Ja chcę żyć jak wy. Z hałasem i radością.

– Z hałasem i radością – powtórzył Aarón.

Wszyscy poszliśmy jego śladem, uderzając kieliszkiem o kieliszek.

– Z hałasem i radością.

Zauważyłam spojrzenie Aaróna. Uśmiechnęłam się do niego nieśmiało. A on do mnie.

Spełniliśmy toast i ojciec spytał, czy mam jakiś alkohol na trawienie. Wyjaśnił Ericowi, że w Hiszpanii po tłustym posiłku zwykle się wypijać kieliszek czegoś mocniejszego.

– Ale alkohol niedobry na to... – zaprotestował wiking.

– My, w tym kraju, uważamy, że jest świetny i że najlepiej w coś silnie wierzyć, żeby się to stało prawdą – powiedział Aarón.

– Nie byłabym tego taka pewna – stwierdziłam, rzucając spojrzenie na Aaróna i szybko uciekając przed jego wzrokiem.

I nadal piliśmy, i wznosiliśmy toasty. Lu za najpiękniejszą suknię ślubną, którą już zaczęła dla niej robić siostra. Jej siostra, czyli ja, niczego jeszcze nie zrobiła, nabazgrała jedynie kilka absurdalnie nieudanych rysunków i udawała, że wybiera pióra, w związku z czym poczuła się okropnie nieswojo z powodu tego toastu. W tym momencie jednak spojrzałam na Aaróna. A potem Lu wzniosła następny toast – za nowe piosenki, które komponuje Aarón i które wstrząsną światem muzyki.

– Dzięki, Lu, ale w naszych czasach nic już nikim nie jest w stanie wstrząsnąć – stwierdził Aarón.

– Nie bądź taki skromny, wystarczy że na scenie występujesz jako Aarón Pokorny. – Lu

była przekonana o wielkości swojego narzeczonego.

Ojciec wygłosił toast za to, żebym jak najszybciej podpisała umowę, a Inma za wikingów i ich superpotencję seksualną (cóż za subtelna aluzja). Kiedy David zabierał się do wygłoszenia czegoś, dostał esemesa.

– Ojej... ojej... – jęknął.

– Co się stało? – spytałam na widok jego pogrzebowej miny.

– Dostałem powiadomienie, że Carlota Hamilton już opublikowała na swoim blogu recenzję z pokazu.

– Dajcie jakiś komputer, żebyśmy wszyscy mogli przeczytać – poprosiła Chusa.

– Myślę, że lepiej nie – wyszeptał David.

– Co jest, Davidzie? – Podeszłam do niego.

Pokręcił głową, przygnębiony.

– Pijcie dalej, zaraz wracamy – powiedziałam.

Złapałam Davida za ramię i wyciągnęłam go na korytarz.

– Aż tak źle jest? – zapytałam.

– Nie należy się zbytnio przejmować Carlota.

– Aha. Czyli jest jeszcze gorzej...

Weszliśmy do mojego pokoju. Włączyłam laptopa.

– Jaki jest adres jej strony? – spytałam.

– Nie masz jej w Ulubionych? – zdziwił się.

– Ta kobieta i jej opinie nie są ważne w moim życiu.

– To ci się tylko tak wydaje.

– Davidzie, przerażasz mnie. Powiedz, jak się nazywa ta strona.

David wklepał adres i na ekranie natychmiast wyświetliła się strona Carloty. Już tytuł wpisu mnie powalił: *Pióra Ikarza nie wzniosły się do lotu, czyli żałosna tandeta*.

– To nieprawda – wyjąkałam. – To nie może być prawda. Za kogo ona się uważa, ta pieprzona jędza, żeby coś takiego napisać?

– Lepiej nie czytaj – ostrzegł David.

Ale przeczytałam, oczywiście, że przeczytałam. W dwóch pierwszych akapitach Carlota wyśmiewała i kwestionowała całą kolekcję Davida, pisząc o „przeroście ambicji” i o „śmiesznej pedanterii”. O „metaforze zużytej, nazbyt oczywistej i przestarzałej”. O wysiłkach w duchu „i chciałabym, i boję się”.

– Co za porąbana skurczycórka! – Tym razem to David sobie ulżył.

Po złośliwym rozniesieniu na strzępy trzech kreacji Davida Carlota resztę wpisu poświęciła mojej skromnej osobie. „Sara Escribano usiłuje kopiować Westwood, Gaultiera i McQueena, którzy z pewnością są jej mistrzami duchowymi, ale naśladownictwo jest tak oczywiste i nieudane, że aż wywołuje rumieniec żenady. Podczas gdy Ikarz wznosił się tak wysoko, że wosk, którym skrzydła były przymocowane do ciała, roztopił się w kontakcie z promieniami słońca, Sara uzyskuje efekt wręcz przeciwny – jej skrzydła odpadają, zanim udało im się wznieść w górę. Do czegoż nam potrzebna legenda o Ikarze, którego skrzydła rozpadają się po pierwszych krokach na wybiegu? Sara przechwala się, że zawsze pracuje z naturalnymi, niefarbowanymi piórami. Czyżby chciała nas przekonać, że nie ufarbowała na różowo swoich skrzydeł? Czy jest ktoś, kto dałby się nabrać na to, że to prawdziwe pióra flaminga? Gdyby tak było, Sara musiałaby zakupić na czarnym rynku pióra tych egzotycznych ptaków – co na łamach tego blogu nie spotkałoby się z krytyką, przeciwnie, z wyrazami szacunku za odwagę – ale ambicje Escribano aż tak daleko nie sięgają. Wierzcie mi, to prymitywnie zafarbowane pierze nadawałoby się jedynie na karnawał na Teneryfie. Tak więc wniosek może być tylko jeden: ta

kobieta nie ma za grosz talentu, a ponadto jest kłamczuchą”.

– Jak można być taką jadowitą zmiją? Jak? Czy tę sukę wychowało wilcze plemię, czy skąd się wzięła? – użalał się David.

– Po co ty ją w ogóle zaprosiłeś? Skąd ci przyszło do głowy, żeby ją zaprosić? Davidzie! Uprzedzałam, że to zły pomysł. No i widzisz! Dlatego nie chciałam, żeby przychodziła, ale ty się uparłeś jak głupi. I co teraz...? Co teraz będzie? Nosz kurwa!

Tak, wyszłam z siebie. W jednej chwili przeszłam przez pięć etapów żałoby, o których pisała Elisabeth Kübler-Ross.

1. Negacja. To nie może być prawdą. Nie, nie, nie. To mi się nie wydarzyło. Nie pisze o mnie, to niemożliwe. To głupi dowcip Davida, który utworzył tę stronę, a ja dałam się nabrać. Prawda, Davidzie? Przyznaj się, że to żart! Powiedz, że to żart!

2. Wściekłość. Zabiję ją, tę łajdaczkę. WynoCHA do Rosji, zdychaj z głodu w sierocińcu, niech ci dadzą do żarcia gotowaną wronę z piórami i flakami. Złośliwa Cruello de Mon, kobieto bez serca, jadowita bestio. Jad we krwi, lód w sercu, zgnilizna moralna. To z tego się składasz, ty potworze!

3. Negocjacje. A może do niej zadzwonię i ją przekonam, że moje pióra są naturalne i nie zostały ufarbowane? Przecież jestem dobrą dziewczynką, przecież mam talent, to oczywiste, że uda mi się ją przekonać. Carloto, moja śliczna, zobaczysz, możemy się zaprzyjaźnić. Być może nikt do tej pory cię nie pokochał, ale ja mogę być zawsze przy tobie i opowiadać ci o tym, jak robię to, co robię, i nauczę cię szyc, i nauczę cię postępować z piórami. Zobaczysz, kochanie, z pewnością uda nam się dojść do porozumienia.

4. Depresja. Chcę umrzeć. To koniec mojej kariery. Niczego już się nie da zrobić. To koniec. Nikt nigdy nie będzie chciał założyć żadnego z moich toczków ani muszek, ani zegarka, ani butów... Chcę umrzeć.

5. Pogodzenie się. Tak to właśnie wygląda. Takie jest życie. Musisz wypić, co nawarzyłaś, Saro. Pogódź się z tym. Zajmij się czymś innym, jesteś jeszcze młoda i masz życie przed sobą. To nie będzie życie poświęcone modzie ani piórom, ale kto twierdzi, że to jedyna droga, jaka istnieje? Jeśli ludzie potrafią zmienić swoje życie w wieku sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu lat, czyżbyś ty nie mogła tego zrobić w wieku lat trzydziestu? Oczywiście, że możesz. I koniec, i bomba, kto się poddał, ten trąba, a ty alleluja i do przodu!

I jak słusznie pisze Elisabeth Kübler-Ross w swojej książce o śmierci i żałobie, etapy nie muszą wystąpić w tym właśnie porządku ani też nie musisz sobie z nimi poradzić – z jednym po drugim – i przepracować ich raz na zawsze. Przeciwnie, możesz do nich wielokrotnie powracać i mogą się zapętlać w chaotyczny sposób. Skąd tak dobrze znałam teorię Elisabeth Kübler-Ross? Otóż gdy byłam nastolatką, zdechł nasz pies Cougar i bardzo źle to zniosłam. Wtedy matka postanowiła podarować mi jej książkę, żeby mi pomogła w przepracowaniu żałoby. Nie wiem, czy istotnie mi pomogła, ale przez wiele miesięcy uporczywie dręczyłam wszystkich w domu i w szkole tym, co wyczytałam. Moja obsesja posunęła się tak daleko, że dyrektorka szkoły wezwała rodziców, żeby im zasugerować, że powinni mnie zaprowadzić do psychologa, bo śmierć członka rodziny tak głęboko mnie dotknęła, że wpływam dołująco na uczniów i nawet na niektórych nauczycieli. „Ależ nikt z naszej rodziny nie umarł”, stwierdził mój ojciec. A ja wtedy krzyknęłam: „Jak to nie? Cougar nie był członkiem naszej rodziny?”. I wyrecytowałam, jakie są fazy żałoby i na czym polegają. W sposób metodyczny i być może rzeczywiście nieco przerażający. Matka postanowiła zabrać mi książkę, a ja – ponieważ byłam już też po lekturze *451 stopni Fahrenheita* Bradbury’ego – oskarżyłam ją o to, że chce zniszczyć kulturę, i zapewniłam, że nie pozwolę, żeby spaliła książkę. „Mam zamiar po prostu wyrzucić ją do śmieci – stwierdziła matka – po cóż miałabym ją palić, to niebezpieczne”.

A więc znowu przeszłam przez moje pięć faz, tym razem dość bezładnie, i po raz piąty przeczytałam recenzję. Już niemal znałam ją na pamięć. David usiłował odebrać mi laptopa, ale wczepiłam się w niego i broniłam swojej własności jak lwica lwiątek.

– Nawet nie myśl, że mi go zabierzesz! Nie zbliżaj się, bo ugryzę! Jestem wściekła! To prawdziwa wściekliczna, mój organizm ją wytworzył w ciągu ostatniego kwadransa!

Słyszając moje wrzaski, wszyscy goście przyszli do pokoju i zanim się zorientowałam, przeczytali recenzję za moimi plecami. Odwróciłam się i ich zobaczyłam.

– Czy to do uwierzenia? – zapytałam.

– Nie przejmuj się, Saro, co cię może obchodzić głupia recenzja, gdy już masz nagraną umowę? – pocieszył mnie ojciec.

– No właśnie, pluj na tę durną babę. To, co się liczy, to sukces finansowy – stwierdziła Inma. – Gdybyś zobaczyła, jak pomstują na mój salon depilacji na TripAdvisor... Ale to nieważne, bo i tak mamy pełne obłożenie.

– No pewnie, do diabła z krytyką – poparł ją Aarón.

Dopiero wtedy załapałam, że fatalna recenzja może wpłynąć na decyzję firmy, która miała zamiar mnie zatrudnić. Co będzie, jeśli to ich powstrzyma?

– Nie przejmuj się, głuptasie. Z pewnością nie uwierzą opinii jakiejś wariatki na blogu.

– Inma trzymała się swego.

Spojrzałam na Davida. I na Chusę. I na moją siostrę. Wszyscy troje należeli do świata mody i wiedzieli, jakie wpływy ma w nim Carlota. Wpisami na blogu pogrążyła sporo kolekcji, a nawet paru projektantów. Na twarzach tej trójki odbijała się powaga sprawy. Nie usiłowali mnie pocieszać.

– To koniec, prawda? – zapytałam.

– Nie bądź niemądra. Nie dramatyzuj – powiedział David.

– No właśnie – dodała Chusa.

– Nic sobie z tego nie rób – poradziła Lu.

– Lepiej zadzwonię do tych z firmy i pozbędę się wątpliwości.

– Ani się waż! – krzyknął David. – To byłoby stawianiem wozu przed końmi!

– Właśnie, z pewnością nawet tego nie czytali – powiedziała Chusa. – Nie tracą czasu na takie sroty-pierdoty.

Spojrzałam na ojca. Musiał dostrzec rozpacz w moich oczach i starał się mnie pocieszyć.

– Zobaczysz, że to ich nic nie obejdzie. Przecież zakochali się w twoich projektach, czyż nie? Nie zmienią zdania pod wpływem tej łajdaczki. Jakie świadectwo by sobie wystawili, dając się manipulować byle komu?

– To prawda – potwierdziłam, chwytając się brzytwy.

W tej samej chwili na moją skrzynkę pocztową przyszedł e-mail.

Nadawcą był Pablo Almagro, a tytuł brzmiał: ZMIANA PLANÓW. Po całym ciecie przeszedł mi dreszcz i – jak struś kryjący głowę w piasek – postanowiłam go nie czytać, żeby nie stawiać czoła rzeczywistości. Bo nie byłam gotowa na to, żeby cokolwiek zepsuło mi moją uroczystość i świętowanie. Do diabła z recenzją i do diabła z e-mailem od Pabla. Na złe wiadomości, a wszystko wskazywało na to, że będą bardzo złe, przyjdzie czas jutro. Jestem dzielną kobietą, nie pozwolę, żeby krytyka mnie wykończyła. Nawet jeśli ta wstrętna baba nazwała mnie nieudacznicą, nie czułam się nią.

Zamknęłam laptopa. Jak gdyby nigdy nic uśmiechnęłam się do wszystkich.

– Chodźmy się czegoś napić. A Carlota Hamilton niech się pójdzie walić.

– A ten e-mail? – spytał David.

– Sprawy dotyczące pracy załatwiamy w godzinach pracy. Teraz świętujemy.

Udowodnimy, że prawdziwa cnota krytyk się nie boi.

Wszyscy z podziwem przyjęli moją decyzję i nie zorientowali się, że w środku rozpadłam się na tysiące kawałków.

Muszę porozmawiać z Robertem

Obudziły mnie promienie jesiennego słońca wpadające przez okno. Z pewnym trudem otworzyłam prawe oko i pierwszym, na co padło moje spojrzenie, był otwarty laptop leżący tuż przy mnie. Spałam przytulona do niego. E-mail od Pabla Almagra zajmował cały ekran. Przeczytałam go o czwartej nad ranem, gdy tylko dotarliśmy do domu po całonocnej wędrówce po lokalach dzielnicy Malasaña: Droga Mleczna, Oszczędna Krowa, Rozwaga, Marta Kochanie, Rzeczywistość... Eric zapisywał w notatniku komórki każdą kolejną nazwę. Był zafascynowany. „*So talented, so imaginative*”³⁶. W każdym lokalu wypijaliśmy kieliszek wina lub szklanę piwa, żeby uczcić moje zwycięstwo i rzucić wyzwanie niezyczliwym krytykom, a Eric, rozogniony, nie szczędził wyrazów zachwyty dla nocnego życia stolicy Hiszpanii.

W podziemiach knajpy Marta Kochanie Aarón chwycił za gitarę i uraczył nas dwiema piosenkami. Biliśmy brawo jak szaleni i nawet mój ojciec dołączył do Lu i Erica, robiąc za chórek. Ja zaś czułam, że Aarón śpiewa tylko dla mnie. Już przed laty obiecał mi piosenkę. Czyżby tę właśnie? Tak, to musiała być ta.

Walczę z miłością do ciebie.

Staram się uciec gdzieś daleko.

Jednak siła grawitacji zmusza mnie do powrotu.

I znowu tu jestem,

Tak blisko ciebie, że muszę

ponownie uciekać.

Och... Musiałam wychylić kieliszek dwoma łykami, żeby się uspokoić. A następnie poprosić o jeszcze jeden. I przy tym drugim kieliszku doszłam do jedyne­go możliwego wniosku: to moja piosenka. Oczywiście, to właśnie ta.

Potem natknęłam się na Aaróna w korytarzu wiodącym do toalet. On wychodził, ja wchodziłam.

– Podobała ci się ostatnia piosenka? – zapytał.

– To nowa?

– Jeszcze nie jest ukończona.

– Ale dobrze się zapowiada – wyjąkałam.

– To dopiero szkic, muszę jeszcze nad nim popracować. Ale czuję, że idę w dobrym kierunku.

Uśmiechnął się, i ja też się uśmiechnęłam.

Tylko tyle mogłam zrobić, żeby nie zauważył, że najchętniej rzuciłabym się na niego i zacałowała na śmierć. Ponadto musiałam się wstrzymać z pytaniem, czy to moja piosenka. Ale cóż? Przecież już znałam odpowiedź, więc po co zadawać takie oczywiste pytania?

– Jak się czujesz? – spytał.

Zdobyłam się jedynie na wybąkanie czegoś w rodzaju:

– No wiesz...

– Spójrz – powiedział, i z portfela wydobyl złożony na czworo wycinek z gazety.

– Co to? – zaciekałam się.

– Najgorsza recenzja, jaką o mnie napisano.
– I nosisz ją ze sobą?
– Pewnego dnia przeczytałem, że Almudena Grandes oprawiła i powiesiła sobie w domu okropną recenzję, jaką dostała za *Lulu*. Naprawdę ohydnie złośliwą, taką jak twoja i jak ta moja.
– Ja swojej nie oprawię ani też nie będę nosiła w portfelu.
Przeczytałam słowa krytyka. Mieszał Aaróna z błotem i posyłał go do wora i na drzewo.
– Okropnie niesprawiedliwa opinia – powiedziałam.
– Podobnie jak ta o tobie. A jednak nie poddałem się i nadal walczę.
– Dziękuję, podniosłeś mnie na duchu.

Naprawdę pomogły mi jego słowa. A jego piosenka pomogła mi znieść gorycz tej nocy. A już to, że pokazał mi swoją najgorszą recenzję, żeby mnie pocieszyć, sprawiło, że straciłam hamulce i poczułam, że kocham go do szaleństwa. Był tak uważny, tak dobrze wiedział, co zrobić, żebym się podniosła na duchu... Czegóż jeszcze można sobie życzyć od osoby, którą się kocha?

– Czy mogę coś zrobić, żebyś poczuła się lepiej? – spytał.
– Tak, możesz – odparłam, patrząc na niego pożądliwie i najbardziej uwodzicielsko, jak tylko byłam w stanie. I wyrecytowałam – nie śpiewałam, bo nie umiem śpiewać – zwrotkę jego piosenki.

Walczę z miłością do ciebie.

Staram się uciec gdzieś daleko.

Jednak siła grawitacji zmusza mnie do powrotu.

I znowu tu jestem,

Tak blisko ciebie, że muszę

ponownie uciekać.

Odwróciłam głowę, żeby zaznaczyć, że wiem, że to o mnie śpiewał, i że ja też staram się uciec, lecz nie mogę. I czekałam, żeby mnie objął. Z podnieceniem, lękiem, zmieszaniem i – na koniec – z rozpaczą czekałam na dotyk jego rąk na swoim ciele. To było piętnaście najintensywniejszych i w rezultacie najbardziej poniżających sekund mojego życia.

Bo Aarón po prostu odszedł.

Chciałam umrzeć; tam, na miejscu. Jakże opacznie zinterpretowałam jego zachowanie! Sądziłam, że jego próby pocieszenia mnie, zbliżenia się do mnie, były spowodowane tym, że czuł do mnie to samo, co ja do niego, a on – no cóż, on po prostu starał się być uprzejmy w stosunku do przyszłej szwagierki! A piosenka? Oczywiście, wcale nie była moją piosenką! Nigdy nie była i nigdy nie będzie. O obietnicy, że napisze dla mnie piosenkę, pamiętałam tylko ja jedna, na pewno nie on!

Nie tylko zachowałam się opłakanie żałośnie, ale i niegodnie, jak najgorszy człowiek na świecie. Tak długo sobie wmawiałam, że jestem szlachetną osobą, która nie wścibia nosa do życia innych, która nie pomyślałaby nawet o tym, żeby zdradzić swojego narzeczonego, a narzeczonego własnej siostry darzy bezwzględny szacunkiem – mimo iż jest on jej wielką, niespełnioną licealną miłością – że sama po sobie nie spodziewałam się takiego zachowania. I naraz, z winy paru miłych słów, piosenki nieprzeznaczonej dla mnie, narzeczonego na gigancie do Chin, złośliwej recenzji i kilku kieliszków, zamieniłam się w potwora, podłego i egoistycznego. I w najbardziej poniżoną istotę na Ziemi. Jak mogłam upaść aż tak nisko? A zwłaszcza, jak mogłam być tak naiwna, tak nieświadoma, popełnić taki okropny błąd, nie wyczuć intencji Aaróna? Co za obciach i zenada! Z mojej własnej winy. Na moje własne życzenie.

Reszta nocy była straszna. Dogorywałam przez dwie godziny, chlejąc i udając, że

wszystko jest w najlepszym porządku, podczas gdy nie mogło być gorzej. Aarón i Lu poszli sobie, potem opuścili nas mój ojciec, David i Chusa. Zostaliśmy jedynie ja, Inma i Eric. Inma – zmęczona podrywaniem Erica, który wysyłał w jej stronę niejednoznaczne, według niej, sygnały (moim zdaniem były absolutnie jednoznaczne i oznaczały, że Norweg niczego od niej nie chce) – postanowiła dać mu ostatnią szansę. Wiking był entuzjastycznie nastawiony do życia i dobrze wychowany, ale – jak uprzedziłam Inmę na początku wieczoru – nie miał zbyt wielkiej ochoty ani na nią, ani na jej cycki. Nie wykorzystał też ostatniej szansy i Inma postanowiła iść do domu, zostawiając mnie samą z Erikiem.

Zachowałam niejasne wspomnienia o tym, że się potykam i z nóg spadają mi szpilki, że spadam z jakiegoś stołu (cóż ja robiłam na tym stole?). I że Eric niesie mnie na barana do domu, wspina się po schodach, ciągle ze mną uwieszoną na jego szyi, i rzuca mnie na łóżko.

– Jesteś prawdziwym dżentelmenem, wikingu. Możesz nadużyć mojego zaufania, jeśli chcesz...

– Jutro *I take* samolot. *I need to sleep. Goodnight, Sara*³⁷.

Eric wyszedł z sypialni. Jeśli ma jutro samolot do Paryża, to znaczy, że Roberto też jutro opuszcza Madryt, bo wspólnie zarezerwowali loty w tę i z powrotem. A ja nadal z nim nie porozmawiałam. Ponieważ byłam strasznie pijana, nie zatrzymałam się dłużej na tej myśli. Roberto wydawał mi się w tamtej chwili nic nieznaczącym detalem. Jak wszystko zresztą. Z trudem się rozebrałam i w trakcie zmagania z bielizną mój wzrok padł na laptopa. Przyrzekłam sobie co prawda, że poczekam z przeczytaniem e-maila od Pabla Almagra do następnego dnia, ale nie mogłam się powstrzymać. Na szczęście stan upojenia alkoholowego uniemożliwił mi skupienie się na lekturze i najprawdopodobniej usnęłam, zanim dotarłam do trzeciego zdania. Tak mi się przynajmniej wydawało. Ale i tak miałam okropne koszmary: spadałam z wybiegu, goniąc latające pióra, miałam czołowe zderzenie z ciężarówką wiozącą żywe kurczaki, stałam goła na scenie, usiłując zakryć się pękiem pawich piór... Nie mogę więc wykluczyć, że mimo wszystko jednak doczytałam e-mail do końca.

Teraz, gdy otworzyłam już także drugie oko i stwierdziłam, że głowa boli mnie raczej umiarkowanie i czuję się całkiem nieźle, jak na osobę, która w nocy schlała się do imentu, postanowiłam stawić czoła, na trzeźwo i na kacu, fatalnemu e-mailowi. I chociaż jego ton nie miał nic wspólnego z agresywnym i bezlitosnym językiem opinii Carloty Hamilton, treść dużo bardziej mnie zabolala. Ponieważ, inteligentnie i starannie dobierając słowa, Pablo Almagro powiadał mi, że pomimo mojego talentu i tego, że bardzo mu się podobają moje wyroby, on i wspólnicy zdecydowali się odłożyć pomysł współpracy ze mną nad kolekcją jesienno-zimową 2015. On sam wprawdzie nadal wierzy w moje wyjątkowe umiejętności, ale nie udało mu się do końca przekonać współników, którzy doszli do wniosku, że pióra wychodzą już z mody. To ostatnie stwierdzenie ostatecznie mnie przekonało, iż przeczytali recenzję Carloty i to ona spowodowała, że się wycofali.

Gównu, gównu, gównu! W tej samej chwili jak uderzenie prądem wstrząsnęło mną wspomnienie ponizającej sceny z Aarónem. Ujrzałam siebie, jak mu się narzucam, jak mamrocze tekst jego piosenki i jak on mną wzgardził. Boże litościwy, czyż można upaść niżej? Właśnie straciłam jedyną szansę zawodową, która uchroniłaby mnie od bankructwa, i odrzucił mnie facet, który wkrótce zostanie moim szwagrem. Żalowałam, że nie mam pod ręką silnych psychotropów, których mogłabym się nałykać, żeby trafić do wariatkowa i odpocząć od siebie samej przez jakiś czas.

Zadzwoiłam do Roberta, ale nie odebrał. Czyżby naprawdę zamierzał wrócić do Paryża bez pożegnania? A za dwa tygodnie zniknąć z mojego życia na pięć lat? Czyżby był aż takim tchórzem, że boi się stanąć ze mną twarzą w twarz? Nie mogłam w to uwierzyć.

Wyszłam z sypialni.

Weszłam do łazienki. Pod prysznicem Aarón i Lu figlowali na całego.

Wyszłam z łazienki, trzaskając drzwiami. Jak to strasznie bolało, ujrzeć, że moja własna siostra napawa się życiem, jakiego pragnęłam dla siebie. Bezskutecznie zabijałam się pracą, żeby odnieść sukces, a jej wystarczyło przyglądać włosy, żeby zatryumfować na wybiegu. Przez lata beznadziejnie i bez wzajemności pożałowałam Aaróna, a ona po prostu daje mu się posuwać w łazience. Jeśli sama świadomość, że wymarzone życie ci ucieka, jest bolesna, jeszcze gorszym cierpieniem staje się świadomość, że bez najmniejszego wysiłku zabiera ci je inna kobieta, na domiar złego własna siostra.

Ale już dość tych bezsensownych umartwień. Kończę z tym raz na zawsze. Pora na podjęcie decyzji. I rzeczywiście, tak właśnie zrobiłam. Często najważniejsze decyzje życiowe dojrzewają przez lata, miesiące lub – jak w moim przypadku – tygodnie, a podejmowane są w ułamku sekundy pod wpływem impulsu.

Podłączyłam drukarkę i wydrukowałam e-mail od Pabla Almagra.

Przykleiłam kartkę na drzwiach pokoju, w którym spał ojciec, umieszczając na niej dopisek: „Zrób ze sklepem i pracownią, co uważasz. Są twoje”.

Weszłam do sypialni-pokoju Erica. Właśnie zamykał walizkę.

– Zawiozę cię na Barajas – powiedziałam. – Muszę porozmawiać z Robertem.

Dotarliśmy do terminalu T4 na trzy godziny przed wylotem (Ericowi pomyliły się godziny). Roberta, co zrozumiałe, jeszcze nie było. Po półgodzinie zadzwonił do mnie na komórkę.

– Saro, gdzie jesteś?

– Na lotnisku, a ty?

– Co robisz na lotnisku?

– A jak myślisz? Chciałam z tobą porozmawiać przed twoim wylotem. Gdzie jesteś?

– U ciebie w domu.

– U mnie w domu?

– Myślałaś, że zniknę bez pożegnania?

– Nie bardzo wiem, co myśleć, Roberto.

– Poczekaj tam na mnie, dobrze?

Oczywiście, że poczekałam. Przyjechał po trzech kwadransach. Eric i ja siedzieliśmy przy stoliku w kawiarni, milcząc jak zakłęci. Eric, tak zwykle skłonny do konwersacji, może i znalazłby jakieś tematy, ale kiedy tak się siedzi i czeka w poczekalni szpitala, na stacji kolejowej lub na lotnisku, słowa i zdania jakby gdzieś się chowają, onieśmielone i przejęte. Jakby sama czynność oczekiwania szczerze wypełniała cały czas, nie pozostawiając miejsca na nic innego.

Nareszcie ujrzałam Roberta. Niósł walizkę. Spojrzałam na Erica.

– Czy mogę cię zostawić na chwilę samego?

– *Go, go*³⁸ – odparł, zachęcająco machając ręką.

Przez te trzy kwadransy bardzo dobrze zastanowiłam się nad tym, co powiem. I gdy tylko Roberto znalazł się tuż przy mnie, nie dając mu dojść do słowa, wyrecytowałam:

– Roberto, zanim coś powiesz, chcę, żebyś mnie wysłuchał. Tu i teraz masz tylko dwa wyjścia: albo mnie porzucasz na tym terminalu czwartym – pompatycznym, tęczowym i koszmarnym miejscu rozstań – albo prosisz mnie, żebym pojechała z tobą do Chin.

Roberto spojrzał na mnie, jakbym straciła rozum.

– Pojechałabyś ze mną do Chin?

– Aby usłyszeć odpowiedź, musisz mnie poprosić.

– Ależ Saro, nie mogę się domagać, żebyś dla mnie rzuciła swoje życie.
Nie mógł podjąć decyzji. Patrzył na mnie tak, jakby usiłował się domyślić, jak brzmi nie tylko rozwiązanie, ale i sama zagadka.

– Jeśli nie chcesz, żebym z tobą pojechała, zerwij ze mną.

– Nie chcę z tobą zrywać.

– No to mnie poproś. Poproś mnie, żebym za tobą pojechała na koniec świata.

– Co się zmieniło przez te dwa dni?

– Nie poprosisz mnie?

– Saro, czy zdajesz sobie sprawę, jakie to będzie trudne? Ja będę w pracy, a ty całymi dniami sama...

– Mogę zwiedzać miasto, kraj, uczyć się chińskiego, podjąć jakieś kursy na uczelni, robić cokolwiek. Coś mi przyjdzie do głowy. Na wszystko można patrzeć z dwóch stron: jak na przekleństwo albo jak na wielką szansę. Nie wszyscy dostają możliwość spędzenia pięciu lat w obcym kraju, zanurzenia się w inną kulturę, prawda? Są na świecie gorsze rzeczy, jak sądzę.

– Przypuszczalnie.

– Ale skoro tak się nad tym zastanawiasz, to znaczy, że nie chcesz, żebym jechała.

– To nie o to chodzi, naprawdę nie o to. Ale wydaje mi się, że to wszystko dzieje się tak nagle, na chybcika.

– Poproś mnie.

Roberto westchnął, spojrzął na mnie i nagle zażądał, żebym usiadła na jego walizce. Zrobiłam to, a on ujął moją dłoń w swoją.

– Saro, czy chcesz pojechać ze mną do Chin?

– W ten sposób powinieneś był mnie poprosić przed trzema dniami – odpowiedziałam.

Widać było, że jest zdezorientowany, zastanawia się, czy sobie z niego stroję żarty, czy chodziło mi tylko o to, żeby go zmusić, by mnie poprosił, aby udowodnić, że ja miałam rację, a on był głupkiem.

– Gdybym cię o to poprosił przed trzema dniami, odpowiedziałabyś, że nie.

– Ale teraz odpowiadam, że tak. Jadę z tobą do Chin.

– Czy to prawda?

– Najprawdziwsza prawda.

– Jesteś szalona.

Uśmiechnęłam się i go pocałowałam.

– A teraz biegnij do odprawy, bo nie zdążysz na samolot.

Wyjeżdżam do Chin

Wkońcu udało mi się zebrać w jednym miejscu matkę, ojca i siostrę, aby oznajmić im wielką nowinę. Matka nie chciała się ze mną spotkać. To znaczy, nie chciała się spotkać przede wszystkim z moim ojcem, ale też z moją siostrą; jednak nalegałam, że to absolutnie konieczne. Zapewniłam ją, że nie chodzi o żaden podstęp ani że nie mam zamiaru napuścić na nią ojca.

- Doprawdy? Nie wiem, czy powinnam ci wierzyć.
 - Tato będzie obecny, ale jest mi obojętne, czy będziecie się do siebie odzywać.
 - A nie możesz każdemu z nas osobno opowiedzieć o wszystkim?
 - Nie, są sprawy, o których nie można mówić dwa razy.
 - Zostaniemy dziadkami? To o to chodzi? Właśnie teraz, gdy już jesteśmy w trakcie sprawy rozwodowej? Cóż za wycucie chwili, moja droga.
 - Ależ skąd, mam, nie jestem w ciąży.
 - Uff, co za ulga! Nie jestem w babcinym wieku. Tym mniej się teraz palę do zostania babcią, gdy jestem na progu nowego etapu w życiu.
 - No to przyjdiesz czy nie?
 - Przysięgnij mi, że będziesz trzymała ojca pod kontrolą i że nie wywinie żadnego numeru. Jest tak rozchwiany emocjonalnie, że przykro na niego patrzeć.
 - Mamo, chyba nie sądzisz, mam nadzieję, że założę ojcu kaganiec?
 - Co to za dziki pomysł, twój ojciec w kagańcu... Chociaż może nie byłoby od rzeczy, żebyś przed wyjściem dała mu jakąś pigułkę na uspokojenie.
 - Nie ma mowy, mam. Przychodzisz, wysłuchujesz tego, co mam do powiedzenia, a jeśli aż tak się obawiasz ojca, to jak tylko skończę mówić, podnosisz się i wychodzisz. Ale przyjdź.
 - No już dobrze, dobrze... Aha, słuchaj, Ismael mówił mi o tym, jak cię skrytykowała ta kobieta, ta jakaś Carla czy...
 - Carlota Hamilton.
 - Otóż to. Jest oburzony; twierdzi, że to trzeba być kretynem, żeby nie zdać sobie sprawy, że te pióra flaminga były prawdziwe. Chociaż ja mówię, że to może i lepiej, bo dzięki temu nikt nie wyciągnie sprawy tych dwóch ptaków i nie wyjdzie na jaw, że doszło do naruszenia prawa.
 - Naruszenie prawa... Lubisz przesadzać, mam.
 - Ależ oczywiście, że naruszył prawo, naruszył je dla ciebie, bo jesteś moją córką, a on mnie uwielbia.
 - Mamo, przysięgnij, że nie będziesz mówiła o Ismaelu w obecności ojca.
 - Jeśli ty zobowiążesz ojca do tego, żeby się dobrze zachowywał w mojej obecności.
 - Ależ oczywiście.
- Przekonanie siostry i ojca także nie było łatwe. Lu nadal była obrażona na matkę. A ojciec sam nie wiedział, czy ma ochotę ją zobaczyć, czy też nie. Co rusz zmieniał zdanie: że tak, że nie; że ona mu powie to i to, a on jej odpowie to i tamto; a co będzie, jeśli w ogóle się do niego nie odezwie?
- Bo twoja matka mi zagroziła, że rozwodem zajmą się nasi adwokaci, jeśli zachowam się

niewłaściwie. Tak właśnie powiedziała: „nasi adwokaci”, jak gdybyśmy kiedykolwiek mieli choć jednego adwokata. Twoja matka zachowuje się bardzo dziwnie.

– Racja, mama jest ostatnio okropnie męcząca – poparła go Lu.

– Tato, Lu, słuchajcie: zrobicie, jak będziecie chcieli. Jeśli się nie stawicie, zostawię wam notatkę na kartce, i tyle.

– Zerwałaś z Robertem, prawda? – spytał ojciec. – To było do przewidzenia. Tak, można to było przewidzieć.

– Ach, tak? A to dlaczego? – spytałam.

– Bo wyjeżdża do Chin – odpowiedziała Lu, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– O wszystkim wam powiem, kiedy się spotkamy – ucięłam rozwijającą się w niepożądanym kierunku konwersację.

– Mam ze sobą przyprowadzić Aaróna?

– To niekonieczne, Lu. Potem mu opowiesz, co uznasz za stosowne.

– Ale on już jest jakby częścią rodziny, prawda, tato?

– Ja natomiast nie mam mu nic do powiedzenia! – wrzasnęłam.

– Okej, już dobrze, nie złość się.

Jakoś udało mi się ich wszystkich usadzić przy stoliku w El Cocinillas przy ulicy San Joaquín, ulubionej restauracji ojca, gdzie matce zawsze smakował dobrze przyrządzony ryż.

Ojciec i matka zasiedli po przeciwnych stronach stołu.

– Jeśli zebrałaś nas tutaj, żeby nam powiedzieć, że nie masz zamiaru robić sukni dla Lu, możesz liczyć na moje poparcie – stwierdziła matka.

– To po to nas tu zebrałaś? – Ojciec był zdumiony.

– Nie. Podjęłam pewną decyzję. I już jest podjęta, czyli nie proszę was o zdanie, po prostu was informuję. Czy to jasne?

– Może chodzi o to, że się zakochała w jakiejś dziewczynie? – zasugerował ojciec.

– W dziewczynie? Sara? – Tym razem zdumiała się matka.

– Nie! Nic takiego! – krzyknęłam. – Roberto poprosił mnie, żebym pojechała z nim do Chin, a ja się zgodziłam.

– Do Chin? Na wakacje? Stać cię na takie kosztowne rozrywki? – spytała matka.

– Nie, nie na wakacje. Wyjeżdżam z nim, żeby zamieszkać w Chinach. Na pięć lat.

Rodzice popatrzyli po sobie. Nie wiedzieli, co powiedzieć.

– Arturo! Mam nadzieję, że to nie z twojego powodu? – zapytała matka.

– Z mojego? Niby dlaczego?

– Bo od tygodnia mieszkasz w jej domu i dziewczyna woli wyjechać do Chin, żeby nie musieć cię dłużej znosić. A ja musiałam cię znosić przez trzydzieści lat... Jestem prawdziwą świętą.

– Cóż za głupstwa wygadujesz, Berto, a nie wypłaś jeszcze nawet kieliszka.

– Rzuciłam picie.

– O, a kiedy?

– Lepiej będzie, jeśli ci nie odpowiem, bo obiecałam swojej córce, że nie poruszę tego tematu.

– Jakiego tematu? – spytał ojciec.

– Mamo! – zaprotestowałam. – Nie zaczynaj!

– Już milczę, kochanie. Ogluchłam, oniemiałam i osleplam, jak w tej piosence Shakiry.

– Wąsacz zabronił ci pić? – domyślił się ojciec.

– Kogo nazywasz wąsaczem? Ponadto nikt mi niczego nie zabrania, a już na pewno nie

on, który kocha mnie nad życie i uwielbia.

– Uwielbia... Pogadamy za trzydzieści lat.

– Nie mam zamiaru z nim zostać przez trzydzieści lat.

– A więc to ja byłem tym szczęśliwcem – stwierdził ironicznie ojciec.

– On mnie docenia. Uwielbia mnie od stóp do głów, na zewnątrz i w środku. Zachwyca go nawet mój służ pochwoy.

Lu zakrztusiła się, słysząc to okropieństwo z ust matki. Spojrzała na mnie.

– Słyszałaś to, co wydaje mi się, że słyszałam? – zapytała.

Nie byłam w stanie zareagować w żaden sposób.

– Tak, córki, dokładnie tak. Wasza matka nadal posiada nawilżoną pochwę. Co Ismaela naprawdę rajcuje.

– Tego mi jeszcze brakowało – jęknął ojciec. – Dlaczego muszę wysłuchiwać takich rzeczy? Bój się Boga, Berto, oszalałaś do reszty!

– Jestem kobietą i mam swoje potrzeby. I po raz pierwszy od lat czuję się doceniona.

– Z powodu śluzu! – Ojciec był rozjuszony.

– Tak, służę mu za obiekt seksualny. I co z tego? Wiesz, jakie to pochlebne dla kobiety w pewnym wieku?

– A więc życzyłaś sobie, żebym cię traktował jak przedmiot... To właśnie jest przyczyną klęski naszego małżeństwa, że ja cię traktuję jak człowieka?

– Jego żona jest oziębła, a ze mną odkrył raj. Między moimi nogami. Rajski ogród – stwierdziła matka.

– Nadmiar informacji! Stop! – wrzasnęła Lu.

– Jego żona? Jest żonaty? – zainteresował się ojciec.

– Nie mogę uwierzyć, o czym my tu rozmawiamy – włączyłam się do tej wymiany zdań.

– Ja wam mówię, że wyjeżdżam do Chin, a ty zaczynasz rozprawiać o swojej wydzielinie z pochwy! Obiecaliście mi, że się będziecie dobrze zachowywać.

– Bo twojej matce przychodzą do głowy takie rzeczy... – zaczął ojciec.

– Oczywiście, i znowu to ja jestem wszystkiemu winna – odpowiedziała matka, robiąc z siebie ofiarę w taki sposób, w jaki jedynie matki umieją to robić.

– Tak, Berto, bo to ty jesteś czarnym charakterem w tej sztuce. Nie możesz zarazem być niewierna i użalać się nad sobą. Musisz wypić, co nawarzyłaś – stwierdził jadownicie ojciec.

– Użalać to się trzeba nad tobą, bo jesteś żaloszny! – odparła matka.

– Dajcie już spokój! – krzyknęłam. – Sami widzicie, że muszę wyjechać do Chin, bo jesteście nie do wytrzymania!

– Teraz się okaże, że to nasza wina, te twoje fanaberie – stwierdziła matka.

– Nie, jasne, że nie. Ale wyprowadzacie mnie z równowagi.

– A kiedy lecisz? – spytała moja siostra; przypuszczam, że jedynie dlatego, żeby zmienić temat i nie musieć wysłuchiwać, jak matka opowiada o rajskich ogrodach w swojej pochwie.

– Roberto leci za dwa tygodnie. Już zaczęłam szukać biletu, może uda mi się dostać na ten sam lot.

– Za dwa tygodnie? A mój ślub?

– Twój ślub jest za półtora miesiąca, Lu. Lecimy, szukamy mieszkania, i wracam na twój ślub.

– To dlatego, że bilety do Chin rozdają za darmo – stwierdził ojciec.

– Tato, nie mam innego wyjścia, jeśli chcę być na ślubie Lu.

– Nawet o tym nie myśl, żeby miało cię nie być. Jeśli to konieczne, zapłacę za twój bilet – zaoferowała Lu.

Poczułam się winna wobec niej, bo w moich planach nie było miejsca na powrót na jej ślub. To, czego najmniej sobie życzyłam, to być obecną przy jej zaślubinach z Aarónem. Gdy już będę w Chinach i termin będzie się zbliżał, wymyślę jakikolwiek pretekst, żeby nie lecieć. Moja siostra będzie musiała się z tym pogodzić, a jeśli nie, to będzie miała całe pięć lat, żeby mi wybaczyć.

– I wystarczą ci dwa tygodnie, żeby mi zrobić suknię? – spytała Lu.

– To nie twoja siostra będzie autorką twojej sukni, Lu – zawyrokowała matka. – Powiedz jej to, Saro.

– Jak to nie? – Lu była zawiedziona.

– Mama chce ci podarować suknię. Będziesz mogła wybrać dowolnego projektanta – wyjaśniłam.

Matka spojrzała na mnie z przestraszeniem. O tym nigdy nie było mowy. Lu nie mogła wprost uwierzyć w taką hojność.

– Mogę wybrać projektanta? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak jakby... Ale nie szalej – powiedziała matka.

– Pertegaz? Caprile?

– Kochanie, wychodzisz za mąż za muzyka, nie za księcia.

– Z pewnością dojdziecie do porozumienia – stwierdziłam.

Dopiero wtedy Lu jakby się opamiętała i spojrzała na mnie.

– Ale ja chciałam, żebyś to ty mi zrobiła suknię. Z piórami.

– Lu, mama kupi ci suknię. Co to oznacza? Pomyśl. Oznacza to, że zgadza się na twój ślub. I że na nim będzie. Naprawdę chcesz to poświęcić za kilka piórek od sasa do lasa?

Lu zamilkła.

– No to fajnie, udało nam się załatwić sprawę – powiedziałam.

Przez te dwa tygodnie byłam zajęta stawianiem końcowej kropki w rozdziale mojego życia zatytułowanym *Pracownia i Sklep*. Wzięłam się do wyprzedaży niewielkich zapasów wyrobów, jakie jeszcze posiadałam, włączywszy te z pokazu, i udało mi się wszystko ulokować wśród rodziny i przyjaciół. Moja akcja wyprzedaży zakończyła się pełnym sukcesem, być może dlatego, że wszyscy – mimo iż mój plan emigracji do Chin wydawał się im absurdalny – przychodzili gratulować mi rozmachu życiowego i odwagi. To wtedy zrozumiałam, że jeśli się odważysz zrobić decydujący krok naprzód, życie, los lub przeznaczenie idą twoim śladem i ułatwiają ci sprawy. Matka dosłownie zmusiła swoje przyjaciółki do zakupu wszystkich toczków; Lu zabrała wszystkie nausznicę, mówiąc, że jeśli nie jest jej dane wziąć ślubu w sukni zaprojektowanej przeze mnie, to chce chociaż posiadać jakieś przedmioty, które własnoręcznie wykonałam. Chusa i David uparli się, że kupią ode mnie sporo akcesoriów, a ojciec zdecydował, że prezenty bożonarodzeniowe od jego firmy: muszki, zegarki, krawaty i torebki, w tym roku będą pochodziły z Rajskiego Ptaka, a należy podkreślić, że do Gwiazdki zostało jeszcze dobre kilka miesięcy. Na innym etapie życia sprzeciwiałabym się, żeby moi bliscy wykupywali jak na kiermaszu dobroczynnym moje projekty, ale teraz nie stać mnie było na unoszenie się honorem. Potrzebowałam zamienić na gotówkę jak najwięcej rzeczy, żeby nazbierać na bilet i mieć jakieś środki na wydatki w Chinach. Jak się nazywają chińskie pieniądze? Jako że Chiny to kraj komunistyczny, który ogranicza między innymi liczbę dzieci w rodzinie, z pewnością ogranicza też zakupy. Czy można tam wejść do supermarketu i kupić pięć paczek płatków śniadaniowych, czy też zostałoby to uznane za przestępstwo? Czy w ogóle są tam supermarkety? A płatki śniadaniowe? Jak mogłam być aż taką ignorantką w temacie chińskiej kultury, ja, kobieta po wyższych studiach? Zawstydzona ewidentnymi brakami w edukacji, oprócz wyprzedaży zapasów zajęłam się zbieraniem wszelkich możliwych informacji o Chinach. Walutą jest yuan, za jedno

euro dostaje się osiem yuanów (tak chyba brzmi liczba mnoga?), istniały supermarkety i nikt mi nie zabroni wykupić płatków śniadaniowych, oczywiście o ile będą w sprzedaży.

Hongkong liczy sobie siedem milionów mieszkańców, a klimat, o czym także nie miałam pojęcia i co mnie pozytywnie zaskoczyło, jest raczej do wytrzymania: w zimie temperatury od osiemnastu do dwudziestu trzech stopni, a w lecie ulewne deszcze. Natomiast między trzema ogromnymi miastami na wybrzeżu chińskim: Hongkongiem, Szanghajem i Pekinem – przy okazji dowiedziałam się, ku zdumieniu i oburzeniu mojego ojca, któremu przypadło uświadomienie mnie w tej sprawie, że Beijing to inna nazwa Pekinu – różnice temperatur potrafią być szokujące. Spowodowane to jest przede wszystkim tym, że jedno z tych miast leży na północy kraju, drugie w centrum, a Hongkong na południu.

Tak więc do walizki musiałam spakować letnie ciuchy, żadnych zimowych kurtek, jakiś nieprzemakalny płaszcz na wszelki wypadek i jeszcze trochę ubrań na okres przejściowy. Ile walizek mogłam ze sobą zabrać? Nie było ograniczeń, ale jeśli nie chciałam zapłacić fortuny za każdy kilogram przekraczający limit dwudziestu opłacony z biletem, musiałam być racjonalna.

Dokonałam wielu prób generalnych pakowania. Przy każdej z nich doświadczałam ataku paniki. Czyżbym naprawdę była zdecydowana jechać do Chin? Czy rzeczywiście miałam zamiar spędzić tam pięć lat? Gdy ogarniała mnie panika, zaczynałam myśleć o tym, że będę mogła wrócić, jeśli tylko będę chciała, że nikt mnie tam nie będzie trzymał siłą, że nie idę do więzienia, że nie biorę udziału w jakimś szalonym konkursie, w którym zapłacę życiem, jeśli nie wytrzymam pięciu lat. To samo powtarzał mi David:

– Saro, możesz wrócić, kiedy zechcesz: jeśli znudzi ci się ryż twój codzienny albo jeśli będziesz miała dość widoku Chińczyków, bo żeby znaleźć choć jednego przystojnego, trzeba się dobrze naszukać. Natomiast należy im przyznać, że doceniają zalety zachodnich członków. Dwóch moich przyjaciół, obdarzonych wackami średniej długości, według naszych standardów wręcz niewielkimi, tam miało wprost szalone wzięcie.

– Nie jest to informacja, z której mogłabym zrobić użytek.

– W zasadzie masz rację. Tak mi tylko przyszło do głowy, że byłbym przygnębiony, spędzając całe dni wśród ludzi, którzy mnie nie rajcuja.

– Mam Roberta – zauważyłam.

– Tak, będziesz musiała być mu wierna, nie masz wyjścia. A ciebie Chińczycy rajcuja?

– Nigdy nie zadałam sobie tego pytania, Davidzie.

– Jeśli o mnie chodzi, to zerowo. Już bardziej mnie jara ich manga niż oni sami.

– Manga jest japońska, Davidzie.

– Serio?

– Serio. Już się o tym wywiedziałam.

– No popatrz, złotko, ile można się nauczyć, podróżując.

Tak więc dni mijały mi wśród napadów paniki, intensywnego poznawania chińskiej kultury przez internet, czytania czterech zakupionych przewodników, występowania o wizę, próbnego pakowania walizki i sprzedaży rękodziela. Choć żeby jechać do Hongkongu, nie potrzebowałam żadnych szczepień, uparłam się, żeby jednak zaszczepić się na wszystko, co tylko istnieje. W tym celu musiałam przekonać lekarzy, że wybieram się na misję humanitarną do chińskiego interioru; dostałam dawki malarii, cholery, tyfusu, wścieklizny, żółtaczk A i B oraz tężca. Moje ciało zareagowało dość dziwnie (choć właściwie należałoby stwierdzić, że logicznie) na tyle dostarczonych mu patogenów i przez wiele dni męczyły mnie zawroty głowy, wymioty, pokrzywka i bóle w dolnej części brzucha. Według Roberta wszystkie te objawy były raczej skutkiem napięcia nerwowego – inaczej mówiąc, uznał je za wytwór mojej wyobraźni – a nie efektem ubocznym działania szczepionek. Upierałam się, żeby go przekonać, że nie jestem osobą

o nastawieniu lękowym ani hipochondryczką, ani nic podobnego.

– Gdybyś nie miała nerwicy lękowej, nie zaszczepiłabyś się na te wszystkie choroby.

Hongkong jest nowoczesnym miastem.

– A gdybyśmy chcieli zwiedzić interior, obszary wiejskie albo gdyby naszła nas ochota na podróż Jedwabnym Szlakiem?

– Ja będę pracował całymi dniami.

– W weekendy także?

– Sądzisz, że na podróż Jedwabnym Szlakiem wystarczy nam weekend?

– No wiesz, miałam na myśli jakiś krótki wypad...

Codziennie rozmawiałam z Robertem na Skypie i, oprócz gorączkowych rozważań na temat skutków nadmiaru szczepień, oboje snuliśmy plany naszego przyszłego życia w Chinach. Ja nazwałam Roberta Marco, a on mówił do mnie Polo. Wspólnie mieliśmy zamiar zdobyć Śródziemie. Choć nigdy nie byłam szczególnie faną Władcy Pierścieni, przypomniałam sobie mgliście mapę na początku książki i skojarzyło mi się, że Chiny muszą przypominać Śródziemie. Robertowi ten pomysł wydał się zabawny.

– A my jesteśmy hobbitami, którzy strzegą pierścienia? – zapytał.

– To już raczej Chińczycy bardziej przypominają hobbitów, bo są niewysocy, prawda?

– Staralam się znaleźć jakiś logiczny punkt zaczepienia do naszych fantazji.

– Ale nie mają owłosionych stóp.

– Ogólnie mało mają włosów – stwierdziłam.

– Na głowie mają.

– Oczywiście, na głowie mają. A czy w Chinach są łysi?

– Tak, Saro, oczywiście, że są tam i łysi.

– Bo jakoś nie przypominam sobie, żebym widziała łysiego Chińczyka.

– Nie znasz ich chyba zbyt wielu?

– Lolę i Paco, z tego sklepiku na dole.

– Mają na imię Lola i Paco?

– Stwierdzili, że ich chińskie imiona są dla nas nie do wymówienia. Nawet rozmawiając ze sobą, mówią do siebie Lola i Paco. Słuchaj, a my będziemy się uczyć mandaryńskiego czy kantońskiego?

– Wątpię, aby udało się nam nauczyć chińskiego.

– Jak nie, jak tak. Ja mam zamiar nauczyć się obu, jeśli to konieczne. Mam na to pięć lat

– zapewniałam Roberta.

W ciągu tych dwóch tygodni Lu doprowadziła matkę do białej gorączki, zmuszając ją do odwiedzenia wszystkich salonów z modą ślubną, jakie tylko są w Madrycie. Żadna suknia jej się nie spodobała, bo były: a) tandetne, b) zbyt strojne, c) niemodne, d) zbyt przewidywalne...

– Przewidywalne! Twojej siostrze wydają się **przewidywalne!** To oczywiste, że suknia ślubna jest przewidywalna, bo ma służyć do tego, żeby wziąć w niej ślub. Może ma zamiar przebrać się za astronautę, żeby zbić wszystkich z tropu? – skarżyła mi się gorzko matka.

– Mamo, może nie aż za astronautę, ale sama powiedz, dlaczego uznano, że narzeczonym muszą się podobać kwiatuszki, brylanciki i falbanki? – broniła się Lu.

– Przymierzylaś ponad dwadzieścia sukien, które nie miały ani kwiatuszków, ani brylancików, ani falbanek.

– I były nudziarskie do wypęku.

– Zwariuję z tobą!

– Nie trzeba się było upierać, że chcesz mi podarować suknię.

– Pomyślałam, że to będzie zabawne, towarzyszyć córce przy wyborze ślubnej sukni. Ale

okazało się, że to koszmar. Już nawet po nocach prześladowają mnie złe sny, zaplątuję się w kilometry gazy i tiulu i nie mogę się ruszyć.

– Będziemy musiały pójść do jakiegoś projektanta, żeby mi uszył suknię na miarę.

– Nie mam zamiaru wydawać pięciu tysięcy euro na twoją suknię, Lu.

– To najważniejszy dzień mojego życia!

– Nie wydam pięciu tysięcy euro na suknię, która skończy w bagnie! Na zalewie San Juan w zimie będzie ziąb jak diabli. Moja droga, dlaczego nie chcesz wziąć ślubu w kościele albo w jakimś ładnym urzędzie miasta?

– Mamo, ogranicz się do sukni. A jak nie chcesz, to niech się tym zajmie Sara.

– Ja? Wystarczy mi kłopotu z pakowaniem walizki na podróż do Chin!

Ponieważ Lu pogodziła się z matką (nie licząc drobnych przekomarzań w temacie sukni), a ojciec chciał zacząć prace remontowe zaraz po moim wyjeździe, Lu w połowie tygodnia postanowiła przeprowadzić się do domu w Aravace. Byłam jej wdzięczna za tę decyzję, ponieważ oznaczała, że nie będę już musiała natykać się to tu, to tam na Aaróna, ubranego lub niezupełnie, z gitarą lub bez.

W dniu przeprowadzki, gdy Lu sprawdzała po raz setny, czy nie zostawiła czegoś w sypialni, podszedł do mnie na korytarzu.

– Jesteś pewna, że chcesz jechać do Chin?

– Najzupełniej.

– Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z... – zamilkł.

Z jakiegoś nieznanego mi powodu postanowiłam utrudnić mu sprawę, więc zapytałam:

– Z czym?

– No wiesz... Wtedy...

– Wyluzuj, Aarónie, świat nie kręci się wokół ciebie.

– Nie, nie. Wiem – odparł pospiesznie. – Chodzi mi o to, że wydarzyło się tyle rzeczy: pokaz, recenzja, noc w pubie...

– Jadę do Chin, bo Roberto mnie o to poprosił. I dlatego, że tutaj nie mam ani terażniejszości, ani przyszłości. To wszystko. Już się uspokoiłeś?

– No cóż, wolałbym inną odpowiedź. Na przykład: wyjeżdżam do Chin, bo mam na to ochotę.

– To też, oczywiście.

– Dobrze.

– Naprawdę.

– Wierzę ci.

– Wszystko mi jedno, czy mi wierzysz, czy nie.

– Zgoda.

W tej chwili moja siostra wydała z siebie głośny okrzyk, wołając Aaróna na pomoc, bo nie mogła znaleźć swojej ładowarki do iPhone'a, co było tragedią o wymiarze biblijnym i uniemożliwiało jej opuszczenie mojego domu do czasu, aż gadżet się znajdzie.

– Już idę! – krzyknął Aarón. I spojrzał na mnie. – Chciałbym ci coś powiedzieć, zanim wyjedziesz.

– Co takiego?

Wydawał się skrępowany i trudno mu było zacząć.

– Że... no bo... nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiała. Mówię to, bo naprawdę tak myślę i byłbym zachwycony. I dlatego, że... Naprawdę myślę, że...

– Aarón! – wrzasnęła znowu Lu.

– Już idę!

Chciałam wreszcie usłyszeć, co ma mi do powiedzenia.

– Skomponowałam kilka piosenek i...

– I co?

– Są dobre. Producentowi też się podobają. Pomyśleliśmy o nakręceniu czadowego teledysku. Takiego, żeby powalał. Wiesz, że teraz nikt już nie czeka, aż będzie miał dziesięć piosenek, żeby nagrać album. Masz kilka tematów, nagrywasz, robisz teledyski i się lansujesz.

– Fajnie. To właśnie chciałam ci powiedzieć?

– Nie. To znaczy tak. Bo skoro mówisz, że tutaj nie masz ani terażniejszości, ani przyszłości... To nieprawda, bo byłbym zachwycony, gdybyś to ty zajęła się scenografią i kostiumami do teledysku, bo mam fantastyczny pomysł... I producent, i reżyser, młody facet, który zrobił furorę na Goi^{39*} przed paroma laty, są nim zachwyceni, ale żeby to wypaliło, potrzebuję ciebie. Żebyś zrobiła coś takiego jak na pokazie, i jak wtedy, w liceum.

– Chcesz, żeby teledysk okazał się klęską, czy co? Tak nisko sobie cenisz swoją karierę?

– Cenię ją sobie bardzo. A ty jesteś świetna, Saro.

Przemyślałam swoją odpowiedź. Chciałam, żeby brzmiała uprzejmie, ale jednoznacznie odmownie. Ponieważ już nigdy w życiu nie miałam zamiaru pozwolić mu się omamić.

– Jesteś kochany, Aarónie. Mówię to serio. Ale nie. Nie przyjmuję twojej propozycji. Już wystarczająco mi pomogliście, wykupując wszystko ze sklepu. Wystarczy już tej dobroczynności. Tym bardziej że jej nie potrzebuję.

– Kiedy naprawdę ten pomysł na teledysk wypali tylko wtedy, jeśli ty się tym zajmiesz.

– Za trzy dni mam lot do Hongkongu, Aarónie. Dziękuję, ale nie.

– Nawet gdybym cię o to poprosił jako o osobistą przysługę? Musiałabyś jedynie opóźnić lot o półtora miesiąca.

Chciałam mu powiedzieć, żeby przestał się zachowywać jak przyjaciel lub jak najlepszy szwagier na świecie. Że choćby nie wiem jak się starał, to i tak nie zdobędzie nagrody, bo to nie konkurs. Że te jego wysiłki, żeby mi udowodnić, jakim jest dobrym człowiekiem, niespecjalnie mi pomagają, wręcz przeciwnie. Ale nie mogłam mu powiedzieć niczego, bo w tej samej chwili z pokoju wypadła Lu, zamieniona w furję.

– Pomożesz mi szukać tej ładowarki, czy nie?!

Spojrzałam na nią. I dopadło mnie pewne podejrzenie, żeby nie powiedzieć – pewność.

– To z teledyskiem to twój pomysł, prawda Lu? – zapytałam. – Żebyś miała pewność, że będę na ślubie.

– Jaki teledysk?

– Lu o niczym nie wie – zapewnił mnie Aarón.

– O czym mówicie? – spytała Lu.

– O niczym ważnym – odpowiedziałam. – Dzięki, Aarónie, ale moja odpowiedź nadal brzmi nie. Na zawsze skończyłam z piórami.

Najlepszą stroną szybkiego podjęcia decyzji o wyjeździe było to, że strach przed otwarciem nowego rozdziału życia oraz rajzefiber przejawiający się w gorączkowych przygotowaniach do podróży sprawiły, że nie miałam czasu na rozmyślanie o tym wszystkim, co pozostawiałam za sobą. Moją karierę, moje życie, moje pióra. Odczuwałam taką panikę przed tym, co czeka mnie w Chinach, że nie mogłam wystarczająco użalać się nad swoją klęską jako *plumassière* i jako bizneswoman. Decyzja została już podjęta. Koniec z próżnymi żałami.

Nie udało mi się kupić biletu na lot, którym leciał Roberto, przede wszystkim dlatego, że kosztowałyby krocie. Ponadto Roberto leciał prosto z Paryża, a ja nie miałam zamiaru najpierw płacić za bilet do Paryża i potem za drugi do Hongkongu. Mój budżet był ograniczony, mimo że udało mi się sprzedać prawie wszystkie wyroby. Chciałam zmieścić się w kwocie siedmiuset

euro. Za te pieniądze znalazłam lot z wieloma przesiadkami. I to te przesiadki najbardziej mnie przerażały. Od czasu laserowej korekcji krótkowzroczności ciśnienie w gałkach ocznych miałam trochę zaburzone i wzrok zaczynał mi wariować za każdym razem, gdy się bardzo denerwowałam lub byłam okropnie zmęczona. Trudno mi było uzyskać odpowiednią ostrość widzenia, co oznacza po prostu, że widziałam jak przez mgłę. A ponieważ na lotniskach zawsze się denerwuję – nie z lęku przed lataniem, bo go nigdy nie odczuwałam, ale ze strachu, że się zgubię, że nie zdążę na odprawę, że nie znajdę właściwej bramki, że nie będę mogła się porozumieć...

– No świetnie! Wymarzona podróż – stwierdziła Lu, wysłuchawszy mojej opowieści o kłopotach ze wzrokiem.

– Nie będzie tak źle. Zaszczepiłam się na wszystko, na co tylko było można. Kupiłam dwa słowniki i mam aplikację z chińskim na komórce, zabrałam też podróżny adapter do prądu. I od dwóch dni rozmawiam po chińsku z Lolą i Paco i rozumiem, co mówię. Umieję już powiedzieć „dzień dobry”, „potrzebuję taksówki”, „zgubiłam się” i „proszę mi dać tę rybę”. I jem już tylko pałeczkami. I zabrałam ze sobą całe mnóstwo środków, na wypadek gdybym dostała rozstroju żołądka od nadmiaru ryżu.

– Czyli jesteś posrana ze strachu.

– To też.

W końcu nadszedł ten dzień. Zanim się spostrzegłam, już stałam w hali lotniska i usiłowałam nastawić odpowiednio wzrok, żeby móc coś przeczytać na tablicy odlotów.

Był ze mną ojciec. Zawiózł mnie na lotnisko. Widziałam, że zżera go poczucie winy.

– To wszystko przeze mnie. Gdybym nie postawił cię pod ścianą z tym czynszem albo nie zrobił tej hecy z remontem, nie byłabyś teraz w drodze do Chin.

– Tato, sama podjęłam decyzję. To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Jak to nie? To ja cię do tego popchnąłem. Praktycznie rzecz biorąc, wyrzuciłem cię z domu. Ale nie musisz tego robić. Możemy odłożyć remont i nie jest też konieczne, żebyś mi płaciła czynsz...

– Tato, muszę kiedyś zacząć dorosłe życie. Muszę zacząć sobie radzić bez twojej opieki.

– O jakiej opiece mówisz? Przecież to z powodu mojego braku rozsądku, z powodu wariactwa, które mnie ogarnęło w związku z twoją matką, jesteś zmuszona do zmiany życia. Jeśli ci się coś stanie w tych Chinach, nigdy sobie tego nie daruję.

– Tato, nie dramatyzuj. Cóż mi się może przydarzyć w Chinach? Przecież Chińczycy to najbardziej pokojowo nastawieni ludzie na świecie.

– Ale nie sposób ich zrozumieć. I będziesz tam taka samiutka, taka zagubiona, taka...

– Tato, wszystko będzie dobrze. I będzie ze mną Roberto.

– Roberto... – powtórzył ojciec, kręcąc z powątpiewaniem głową.

– Co masz do Roberta?

– Nie, nic. Ale nie podoba mi się, że moja córka podjęła decyzję o wyjeździe na koniec świata, żeby podążyć za jakimś facetem.

– Ty nie pojechałabyś za mamą do Chin?

– Jeśliby się tam wybierała z tym fenomenem zoologicznym, to nie.

Uśmiechnęłam się.

– Tato, mogę cię o coś spytać?

– No jasne.

– Chciałbyś wrócić do mamy?

Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu. Nie chodziło o to, że musiał się zastanowić nad odpowiedzią – bo nie musiał – ale chwilą ciszy chciał podkreślić wagę tego, co powie.

– Tak.

– Na pewno?

– Bez niej nie istnieję. Ona jest moim życiem.

– To jej to powiedz. Albo, jeszcze lepiej, zrób tak, żeby to zrozumiała. Przestań jej robić zarzuty, przestań ją potępiać za to, że jest z innym. Spraw, żeby wiedziała, że jest ci potrzebna. Sądzę, że już o tym zapomniała.

– Co z tego, że ja jej potrzebuję? To, co najważniejsze, to są jej potrzeby. A wydaje się, że ja ich nie zaspokajam.

– Trzydzieści lat z tobą musi mieć większą wagę niż przygoda z kimś, kto traktuje ją jak obiekt seksualny.

– I docenia jej śluz pochwowy.

– Naprawdę to wtedy powiedziała? Miałam nadzieję, że się przesłyszałam.

– Mhm.

– Zrób tak, żeby jej te głupoty wywietrzały z głowy, tato. Dasz radę.

Ucałowałam ojca na pożegnanie. Przekroczyłam linię kontrolną. Podczas gdy zdejmowałam buty i pasek oraz kładłam komórkę i portmonetkę na plastikowej tacy, widziałam ojca, jak macha do mnie i przesyła mi całusy w powietrzu.

– Wracaj, kiedy zechcesz! Gdy tylko zatęsknisz za nami. Nie musisz niczego udowadniać! – krzyczał.

Skinęłam głowę.

Miałam przed sobą osiemnaście godzin lotu i trzy pigułki na sen. Chociaż bałam się je zażyć, bo to mogłoby oznaczać, że prześpię którąś przesiadkę. Postanowiłam je zachować i łyknąć jedną jedynie wtedy, jeśli zmoże mnie lęk lub rozpacz. Ale czymże było osiemnaście godzin lotu do dziwnego i dalekiego kraju, jeśli na lotnisku w Hongkongu będzie na mnie czekał Roberto? Prawda?

Hongkong

Wokół widzę mnóstwo ludzi, tłoczą się jak podczas ewakuacji, ale nie ma ani ognia, ani straży pożarnej. Wszyscy krzyczą, ale nie wydają się wzburzeni. Okropnie krzyczą. Rozmawiają ze sobą, wrzeszcząc na cały głos. A ten pan... czyżby właśnie splunął na ziemię? Jakaś kobieta zbliża się do automatu, z którego leje się parująca woda. Wyciąga z torebki plastikowe pudełko z pokrywką i napełnia je wrzątkiem. W pudełku miała makaron i teraz je ten makaron pałeczkami. Jeszcze więcej krzyków. Kobieta beka bardzo głośno. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Tylko ja. Właśnie wylądowałam w Hongkongu. Jest zimno. Miało nie być zimno. To, że jestem przemarznięta, być może jest efektem długich godzin lotu. To była wieczność. Jeszcze nigdy nie spędziłam tylu godzin w samolocie. Jestem przemarznięta i zdrętwiła. Boli mnie brzuch. Wszędzie pełno ludzi, ale nigdzie nie widzę Roberta. Włączam komórkę. Co to za numer miałam wybrać, zanim wpiszę jego numer? Aha, już sobie przypomniałam, mam go w komórce. Wybieram, ale nie ma połączenia. Jakaś wiadomość, której nie rozumiem. Po chińsku, oczywiście. Jak prawie wszystkie napisy. Dlaczego prawie nie ma napisów po angielsku? A wydawałoby się, że znajdujemy się na lotnisku międzynarodowym. Jest pełno ludzi, o wiele więcej, niż zazwyczaj widuję. I bardzo niewiele białych. Wszyscy nadal krzyczą jedni na drugich, ale nie wyglądają na obrażonych. Gdzie jest Roberto? Jestem pewna, że trafiłam na jakąś obcą planetę. Znalazłam się w barze z *Gwiezdnych wojen* i nie zdziwiłabym się, gdyby naraz pojawił się jakiś ewok albo kobieta z fryzurą przypominającą bułki cynamonki przyklepione do uszu. Śmierdzi zupą, jak w szkolnej stołówce. Nie podoba mi się tu. Nie podoba mi się też, że Roberto na mnie nie czekał. Przecież powinien tu być albo przynajmniej odebrać telefon. Gdzie on się podziewa? Nie mogę poddawać się panice, zaraz tu będzie. I będzie wspaniale, uściskamy się, weźmiemy taksówkę, pojedziemy do hotelu – mam nadzieję, że będzie ładny albo przynajmniej przyjemny – i będzie tam ogromna wanna i wezmę gorącą kąpiel. Razem weźmiemy. I wszystko będzie dobrze. Zaczniemy naszą chińską przygodę. Czekają nas chwile dobre i złe, ale wszystko będzie wyjątkowe, specjalne, nowe dla nas. I wspólne doświadczenie nas połączy. Jesteśmy dwojgiem wędrowców odkrywających Śródziemie, nie zapominaj o tym, Saro. Tylko bez paniki. Roberto zaraz się pojawi. A jeśli się nie pojawi? Gdzież ja włożyłam kartkę z zapisanym adresem hotelu, którą mogłabym pokazać taksówkarzowi? Do której kieszonki plecaka? Musisz wymienić pieniądze, Saro, nie zapominaj. Gdzie tu może być wymiana pieniędzy? Uff, chyba lepiej nie ruszać się z miejsca, bo co będzie, jak Roberto mnie nie znajdzie? Uspokój się, Saro, Roberto zaraz przyjdzie. Ciesz się chwilą. Jesteś na zagranicznym lotnisku w najbardziej zagranicznym kraju, w jakim do tej chwili byłaś. Przyglądaj się szczegółom, smakuj je, ciesz się nimi. Przypomnij sobie *Pod osłoną nieba* Paula Bowlesa, poczuj się jak bohaterzy tej książki, którzy nie uważali się za turystów, lecz za wędrowców. Ty też nie jesteś turystką, przyjechałaś tu, aby pozostać. To będzie twój dom przez najbliższe pięć lat. Zanurz się głęboko. Zaczynaj żyć tutejszym życiem. Żeby nie było, że zaraz po postawieniu stopy na chińskiej ziemi ogarnęła cię panika z tak niepoważnego powodu jak ten, że narzeczony na ciebie nie czekał. No i co z tego? Czyżbyś nie potrafiła poradzić sobie sama? Czyżbyś nie była niezależną kobietą? Muszę do niego jeszcze raz zadzwonić.

– Sara! Sara!

To Roberto. Roberto! Co za radość, na Boga! Jaki przystojny. Jaki ma piękny uśmiech. Podszedł do mnie, a ja rzuciłam mu się na szyję i zaczęłam go ścisnąć bez końca.

– Gdzie byłeś?

– Jeszcze się nie przyzwyczailem do miasta, Saro. Jestem tu od zaledwie trzech dni.

Musiałem jechać trzema autobusami i pociągiem, żeby tu dotrzeć. Jak lot?

– Nie przyjechałeś taksówką? Nie pojedziemy do hotelu taksówką?

– Chciałem wypróbować transport publiczny, żeby się przyzwycząić.

– Jedźmy taksówką, bardzo proszę. Ja zapłacę.

– Jak wolisz. Bardzo jesteś zmęczona?

– Boli mnie brzuch. Powiedz, że hotel jest w porządku.

– No cóż...

– Jest aż tak okropny?

– Wkrótce znajdziemy jakieś mieszkanie do wynajęcia. Już kilka odwiedziłem.

– I co?

– Musimy szukać nadal.

Samochody wyprzedzały nas z prawa i z lewa, ruch uliczny był szaleństwem. Taksówkarz usiłował z nami konwersować, znał kilka słów po angielsku. I znał Cristiano Ronaldo. Chociaż dość trudno nam było się zorientować, że to o niego chodzi. Pokazywał na swoje włosy, prężył mięśnie i mówił coś, co brzmiało jak „lonalo”. Na koniec Robertowi udało się odgadnąć:

– Cristiano Ronaldo!

– *Yes, yes. Lonalo.*

Kierowca opuścił szybę w oknie, żeby splunąć. Przez otwór do wnętrza wdarło się zatrute spalinami powietrze. Śmierdziało fabryką celulozy i spalonym plastikiem. Budynki w Hongkongu sięgały nieba. A miasto rozciągało się w nieskończoność. Tysiące rozjazdów, miliony niezrozumiałych napisów. Była noc i widziałam rozmazane światła miasta.

– Prawda, że robi wrażenie? – spytał Roberto.

– Daleko jeszcze do hotelu?

– Saro, gdzie twój duch przygody?

– Okropnie boli mnie brzuch. A on jedzie za szybko. Mdli mnie.

Roberto usiłował wytłumaczyć taksówkarzowi, żeby zmniejszył prędkość. Bezskutecznie. Facet kiwał głową, że rozumie, ale nie rozumiał ni w ząb. A mnie ogarniały coraz gorsze mdłości.

Nareszcie taksówka dotarła do ulic, które wydawały się prowadzić do centrum miasta. Wjechała w wąski przesmyk między szklanymi ścianami budynków.

– Nie wytrzymam. Powiedz mu, żeby stanął.

Roberto krzyknął i zaczął wymachiwać rękami. Stop! Stop! W końcu taksówkarz zrozumiał, zjechał na bok i wcisnął hamulec. Otworzyłam drzwi i zwymiotowałam na ulicę. Jakaś Chinka krzyknęła i wskazała na mnie palcem. Kilkoro chińskich przechodniów zaczęło mi się bacznie przyglądać. Wykrzywili się.

– Przepraszam, przepraszam... – Spojrzałam na Roberta. – Daleko jeszcze do hotelu?

Możemy iść pieszo?

Szliśmy już od dziesięciu minut. Po drodze pokazywaliśmy kartkę z adresem hotelu trzem osobom. Każda z nich wskazywała ręką w inną stronę. Roberto niósł moje dwie walizki, a ja ciężki plecak.

– Taksówkarz pokazał, że należy iść tam – powiedział Roberto.

– Przykro mi, Roberto, ale naprawdę musiałam wysiąść z tej taksówki. Czy to

niebezpieczna dzielnica?

- Tu w ogóle jest raczej bezpiecznie.
- Mówisz tak, żeby mnie uspokoić, czy tak jest naprawdę?
- Zginiemy z rąk straszliwych morderców i gwałcicieli. Tak lepiej?
- Jeśli podejda blisko, zwymiotuję na nich. Co ja takiego zjadłam w tym samolocie, na

litość boską?

Przechodziliśmy koło jakichś straganów. W powietrzu unosił się przepotężny odór zgniłej ryby.

- Czy to mnie wszystko śmierdzi, czy ty też to czujesz?
- Tutaj ludzie są przyzwyczajeni do silnych zapachów. Chyba zresztą nie przechowują tych ryb w chłodzie.

– Nigdy w życiu nie wezmę do ust żadnej ryby.

– Spójrz! Hotel! Tam, o parę kroków dalej!

Pokój był mały. Łóżko niewygodne. Nie było wanny. A brzuch bolał mnie nadal.

– Nie ma wanny. I spójrz, jak ja wyglądam. – Przyglądałam się sobie w lustrze. Byłam blada. Upiornie blada. – Jestem ci tylko zawadą. Wiem o tym.

– Jesteś zmęczona. To normalne. Po wyspaniu się i w dzień ujrzysz wszystko w lepszym świetle.

– Z pewnością – odparłam, usiłując myśleć pozytywnie. Uśmiechnęłam się i objęłam Roberta. – Nawet jeśli mi nie uwierzysz, powiem, że bardzo się cieszę, że tu jestem z tobą.

– Nie uwierzę.

– Niech ci będzie, jutro będę się cieszyła. Zobaczysz. Nie będzie ci przeszkadzało, że się nie rozbiorę do spania? Jestem przemarznięta.

– Jest szesnaście stopni.

– Nie wiem dlaczego, ale czuję się zlodowaciała. Może to gorączka? Masz termometr?

– Saro...

– Chyba mam termometr w neseserze.

Jak szalony terier zaczęłam rozgrzebywać walizki w poszukiwaniu nesesera. Kupiłam go w sklepie Muji na tę podróż. Był cudny, czarny, minimalistyczny, z tysiącem przegródek, każda do czegoś innego. Można go było rozwinąć i powiesić, i wtedy robił za półeczki. Taki japoński patent. Coś wspaniałego. Znalazłam termometr elektroniczny i wepchnęłam go sobie pod pachę.

– Trzydzieści pięć i pół. To coś mało, prawda?

– Zaraz cię rozgrzeję – zaferował się Roberto.

– Ojej, obawiam się, że słabo nadaję się do rozgrzewki.

– Nie chcesz nocy dzikiego seksu w Hongkongu?

– Nie chcę na ciebie zwymiotować.

– Umiesz rozpalić żądzę mężczyzny do szaleństwa – powiedział Roberto głosem dublera ze starego filmu. Zwykł tak mówić, gdy był w dobrym humorze lub chciał mnie rozbawić. To była taka nasza niemądra zabawa. Na początku naszej znajomości całymi dniami rozmawialiśmy głosami dublerów z lat czterdziestych albo naśladując sposób mówienia lektorów starych kronik filmowych. Roberto zawsze żartował, że powinniśmy napisać scenariusz do krótkometrażowego filmu porno, gdzie z offu dobiegałby taki właśnie głos w starym stylu. To by było zabawne. Może teraz w Chinach będziemy mogli się tym zająć.

– Obiecuję ci, że jutro zamienię się w Matę Hari. Albo w Angelinę Jolie w roli Lary Croft. W seksowną awanturnicę.

Rzuciłam się na łóżko.

– Gdybym się rozchorowała, to czy lekarze mnie zrozumieją? Bo w przewodnikach jest

napisane, że większość z nich nie zna obcych języków.

- Lara Croft nigdy nie choruje.
 - Ojej, boli mnie brzuch. Chodź, połóż się przy mnie.
 - Nie jesteś głodna?
 - Roberto, przecież dopiero co miałam torsje.
 - No właśnie. Z pewnością masz teraz pusty żołądek.
 - I obolały. Chodź. Przytul mnie.
- Położył się przy mnie i objął mnie ramieniem.
- Opowiedz mi, jaki będzie ten budynek, który zaprojektujesz.
 - Przecież nigdy nie byłaś zainteresowana moją pracą.
 - Właśnie dlatego. Z pewnością zachce mi się spać.
 - Chyba jesteś złą osobą...
 - Jestem chorą osobą. Rozpieszczaj mnie.
 - Czuję głód.
 - Możesz kasać mnie w szyję.
 - Raczej zjadłbym coś jadalnego.
 - A nie możesz poprosić, żeby ci przynieśli coś do pokoju?
 - Jedyne recepcjonista, który mówi po angielsku, pracuje w dzień. A jeszcze się nie nauczyłem, jak jest po chińsku: „Proszę mi przynieść na górę kanapkę z szynką”.
 - Ci cholerni Chińczycy... Powinni już byli nauczyć się angielskiego.
 - Saro... Nie mów tak. Jak byśmy my sami pochodzili z kraju, gdzie wszyscy są

dwujęzyczni.

– Masz rację. Przepraszam. Opowiedz mi o twoim biologicznym i inteligentnym budynku.

Obudził mnie młot pneumatyczny. Roberta nie było przy mnie. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że przez czarne zasłony przesącza się światło nowego dnia w Hongkongu. Podniosłam się z łóżka i odsunęłam kotary. Za oknem mało co było widać, bo naprzeciwko stało kilka ogromnych przeszklonych wieżowców. Spojrzałam w dół, na ulicę. Znajdowaliśmy się na dwudziestym pierwszym piętrze, więc Chińczycy wydawali się jeszcze mniejsi niż zazwyczaj. Stop, Saro, przybastuj. Postaraj się zwalczać swoje rasistowskie, wieśniackie poglądy. Starczy tych żartów z Chińczyków. Tak, zgadza się: są niscy, mówią głośno, plują na ulicę i lubią intensywne zapachy. Wypisz wymaluj jak Hiszpanie. Musisz się nauczyć z tym żyć, Saro.

Do pokoju wszedł Roberto, niosąc kilka papierowych torebek.

– Dzień dobry. Przyniosłem śniadanie. Najbardziej europejskie, jakie tylko znalazłem. Zanurzanie się w chińskiej kulturze gastronomicznej możemy odłożyć na kiedy indziej. Jak spałaś? Czy już lepiej z twoim żołądkiem? Co byś chciała dzisiaj robić?

Oszło mi tyle pytań naraz. Mimo wczesnej pory Roberto wydawał się rozkręcony. Postanowiłam odpowiedzieć po kolei, energicznie i rzeczowo.

– Spałam dobrze. Żołądek mniej mnie już boli. Chcę zwiedzić Hongkong. Jak to fajnie brzmi, ten Hongkong w każdym zdaniu. Nadaje egzotyczny ton wypowiedzi. Moje pierwsze śniadanie w Hongkongu. Mój pierwszy prysznic w Hongkongu.

- Nasze pierwsze bzykanko w Hongkongu.
- Hongkong cię jara, nieprawdaż? W Madrycie nie byłeś aż tak ochoczy.
- Martwiłem się. Musiałem ci powiedzieć, że jadę do Hongkongu.
- Zadowolony jesteś, że jestem z tobą w Hongkongu?
- Co ty na to, żebyśmy przestali mówić ciągle Hongkong jak idioci?
- Co ty na to, żeby odpowiedzieć na moje pytanie? Zadowolony jesteś, że jestem z tobą

w Hongkongu?

– Chodź, zjemy śniadanie. Musisz umierać z głodu.

– Roberto! Zechcesz mi odpowiedzieć?

I w tej właśnie chwili wszystko się popsulo. To było jak wiosenna burza, której nie widać, gdy nadchodzi, ale nagle wybucha, gdy nie masz pod ręką parasola, i moczy cię od stóp do głów.

– Saro, czy to dla ciebie ważne, czy jestem zadowolony, czy nie?

To pytanie było jak cios pięścią w żołądek. I ból powrócił. Tym razem dużo silniejszy. To przypuszczalnie był dowód na to, że był to ból psychosomatyczny. Niemal zawsze, gdy tylko miałam jakieś problemy, zaczynała mi nawalać jakaś część ciała. Albo też zaczynało mnie coś boleć i, choć cierpienie było być może wyobrażone, ja odczuwałam je jako zupełnie rzeczywiste.

– Co to ma znaczyć? – spytałam.

– Nieważne, zostawmy to.

– Nie. Nie. Odpowiedz.

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać? Dzisiaj?

– Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj. Zresztą to ty zacząłeś. Odpowiedz. Jesteś zadowolony, że tutaj jestem?

– Saro, nawet mi nie pozwoliłaś zdecydować, czy chcę cię tutaj mieć, czy nie. Zmusiłaś mnie, żebym cię poprosił, żebyś tu przyjechała.

Że co? Że ja go zmusiłam? Ależ... O czym on mówi!

– To kłamstwo! – krzyknęłam z oburzeniem. Całkiem głośno, bo może nie chciałam usłyszeć tego, co Roberto miał mi do powiedzenia.

– Skoro tak uważasz.

– Naprawdę myślisz, że cię zmusiłam? Powiedz, że nie.

– Saro, raczej tak. Tak jakoś bardziej tak.

– Nie chciałeś, żebym przyjeżdżała?

Roberto nie odpowiedział. Zamiast tego zaczął wyciągać jedzenie z torebek.

– Chodź, zjemy coś. No chodź...

Nagle zrozumiałam. Moje odkrycie było tego kalibru, że nie wiedziałam, co mam z nim zrobić.

– **Nie chciałeś**, żebym tu przyjechała.

– Saro...

– I muszę się tego dowiadywać dopiero teraz, na miejscu? To się nie dzieje naprawdę! Roberto, powiedz, że to z powodu lęku, uzasadnionego zresztą, bo wszystko jest nowe i jesteśmy w Chinach. Powiedz, że mnie kochasz i że ci przejdzie to przygnębienie. I że...

– No widzisz? Już mi zaczynasz dyktować, co mam ci powiedzieć.

– To nieprawda!

– Zawsze tak było – powiedział, podnosząc się z krzesła.

A ja, zamiast podążyć za nim wzrokiem, wbiłam oczy w krzesło. Jakby po to, żeby się skoncentrować na tym, co mam do powiedzenia, lub żeby rozjaśnić sobie w głowie. Bo to nie była prawda, że dyktowałam mu, co powinien powiedzieć. Nie prosiłam go, żeby coś mi powiedział, nie sugerowałam mu niczego, nigdy nie... O Boże!

– Roberto, przyjechałam do Hongkongu dla ciebie.

– Bardzo dziękuję.

– Jak to bardzo dziękujesz? Co to ma znaczyć? Proszę, powiedz mi jasno, co masz do powiedzenia, i zostaw ironię na inną okazję. Błagam cię.

– Popatrz no tylko. Nasza pierwsza sprzeczka w Hongkongu – stwierdził prawdopodobnie po to, żeby odjąć nieco wagi naszej rozmowie. Bo on zawsze taki był, skłonny do ujmowania

wagi ważnym sprawom. No i oczywiście, może właśnie dlatego ja (chyba tak czasami było) prosiłam go, żeby mi powiedział to czy tamto. Ale nie dlatego, żebym chciała, żeby powiedział to, co chciałabym usłyszeć, lecz żeby wyrażał się jasno. Aby nie wymykał się z konfliktu przy pomocy żartu. Bo nie wszystko w życiu można rozwiązać żartem czy ironią.

– Wcale nie wydaje mi się zabawne, że to nasza pierwsza sprzeczka.

– Nie musi, lecz tak czy owak, jest to nasza pierwsza sprzeczka w Hongkongu.

– I przypuszczalnie ostatnia. Bo jeśli naprawdę nie chcesz mnie tu przy sobie, nie mam zamiaru zostać. Powiedz, chcesz, żebym tu była? Jak słyszysz, nie sugeruję ci ani też nie narzucam żadnej odpowiedzi. Chcesz, żebym była tutaj z tobą? Tak czy nie? I bądź szczery.

Roberto nie chciał mi odpowiedzieć, co starczyło za całą odpowiedź. Ujrzałam ból w jego oczach. Otworzył drzwi pokoju.

– Chyba muszę odetchnąć świeżym powietrzem – powiedział.

I wyszedł. Poszłam za nim.

– Niech ci się nie wydaje, że uciekniesz od odpowiedzi.

Szedł korytarzem; ja za nim.

– Odpowiedz mi. Chcesz, żebym tu z tobą została, czy nie?

Wezwał windę. Odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Nie wiem, Saro. Nie wiem, czy chcę, żebyś była tu ze mną.

Popatrzyłam na niego takim wzrokiem, jakim popatrzyłabym na Chińczyka, który właśnie splunął mi pod nogi. Oszupiałam. Choć wiedziałam z góry, że taką odpowiedź usłyszę, to gdy padła z jego ust, podziałała jak cios pałką w głowę.

– Do cholery! Miałaś cały tydzień w Madrycie, żeby mi o tym powiedzieć! A przecież powiedziałaś mi, że mnie kochasz. Powiedziałaś mi to.

Roberto milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Czyżby wtedy skłamał? A może miłość wywietrzała mu z głowy w ciągu dwóch tygodni?

– Przecież nawet pojechałaś do Segowii po te kuropatwy... Takie rzeczy robi się tylko dla kogoś, kogo się kocha, czyż nie?

– Zawsze będę cię wspierać, Saro.

– Że zawsze mnie będziesz wspierać? A co to, do cholery, znaczy? Powiedziałaś mi, że mnie kochasz. Właśnie przeleciałam tysiące kilometrów, a przedtem zamknęłam pracownię i posłałam do diabła całe moje życie. Dla ciebie!

Roberto popatrzył na mnie z okrutnym uśmiechem. A może to tylko ja dostrzegłam w jego uśmiechu okrucieństwo.

– Dla mnie? – zapytał.

– Tak, dla ciebie. A dla kogóż innego? Miliony chińskich mieszkańców Hongkongu nie obchodzą mnie w żadnej mierze.

Roberto naciskał nerwowo guzik windy.

– Pieprzona winda...

I bez słowa skierował się ku schodom.

– Nie waż się tak odejść. Odpowiedz.

– Saro, naprawdę chcesz szczerą rozmowę? Czy wolisz rozmowę zdalnie sterowaną przez siebie, w której będziesz mi podpowiadała, co chcesz, żebym powiedział, abyś mogła nadal wierzyć w swoje kłamstwa?

Staliśmy na środku korytarza w chińskim hotelu, gdzie wszystkie napisy były po chińsku. Słowa Roberta wydały mi się podobnie zaszyfrowane jak chińskie znaki.

– Roberto, niczego nie rozumiem z tego, co mówisz.

– Saro, byłem przez rok w Paryżu, a teraz mam zamiar pozostać przez pięć lat w Chinach.

Nie widzisz, że już cię zostawiłem? Nie rozumiesz? To chyba nie jest aż tak trudne do zrozumienia.

- Co? No to po co mnie poprosiłeś, żebym tu przyjechała?
- Ponieważ mnie zmusiłaś. Bo niełatwo jest cię zostawić.
- Nie waz się zrzucać na mnie winy. Jeśli jesteś pieprzonym tchórzem, to twój problem.
- Niech ci będzie, jestem tchórzem, ale ty nie ułatwiasz mi sprawy.
- Dlaczegoż bym miała ci ułatwiać, skoro chcę być z tobą?

Roberto spojrział na mnie i zamiast odpowiedzieć, odwrócił się i zaczął schodzić po schodach. Uciekał ode mnie.

- Roberto! Stój! Ja chcę być z tobą!
- Naprawdę? Naprawdę chcesz być ze mną? Naprawdę mnie kochasz?

Stał kilka stopni niżej. Jego pytanie zabrzmiało twardo, o wiele twardziej, niż gdybyśmy byli, przyjmijmy, w Madrycie, gdzieś na znajomym terenie, na przykład siedząc obok siebie i pijąc kawę. Wiem, że sceneria nie jest najważniejsza, ale to, że staliśmy na tych schodach hotelowych w Hongkongu, bynajmniej nie pomagało.

- Naprawdę mnie kochasz? – powtórzył.
- Jestem tutaj.

To była jedyna możliwa odpowiedź. Nie mogłam powiedzieć niczego innego. Brzuch bolał mnie tak, że myślałam, że umrę. Zrozumiałam, co oznacza to utarte powiedzenie, że ma się supeł w żołądku, bo dokładnie tak się czułam.

- A ty? Kiedy przestałeś mnie kochać? – spytałam. Czasem najlepszą obroną jest atak.
- Kiedy postanowiłeś wyjechać do Chin? Czy wtedy, gdy zdecydowałeś się wyjechać do Paryża?
- Nie był to żaden konkretny dzień. Wątpię, czy to tak działa. To nie dzieje się w jednej chwili.

- Ale się zdarzyło. I już mnie nie kochasz. I nie miałeś jaj, żeby mi o tym powiedzieć.

A nawet skłamałeś.

- Nie jest łatwo rozróżnić, gdzie kończy się miłość i gdzie zaczyna czułość.
- I dlatego, że nie umiałeś się zdefiniować, jestem tutaj. Na tych koszmarnych schodach, umierając ze wstydu i z bólu brzucha... Chyba niemożliwy byłby gorszy absurd.

Ugięły się pode mną nogi i usiadłam na stopniu. Skuliłam się i objęłam nogi ramionami. Zwinęłam się w kłębek. Roberto chyba poczuł litość, bo wszedł tych kilka stopni w górę i usiadł koło mnie.

- Saro, to było tak pochlebające, że ktoś taki jak ty chce być ze mną... I że jesteś zdecydowana, żeby wszystko zostawić i podążyć za mną. Czułem się okropnie, wiedząc że nie stanąłem na wysokości zadania, że...

- Nie schlebiaj mi, bardzo cię proszę.

- Kiedy to prawda. Jakże mogłem ci powiedzieć, że nie? Kiedy ktoś taki jak ty okazał się zdolny do porzucenia wszystkiego dla mnie. Wiedziałem, że jestem szczęściarzem, że nie zasłużyłem na to, że...

- A więc? To nie wystarczy? Nie możemy spróbować? Nie możemy walczyć?

- Saro, ale po cóż się upierać przy walce o coś, czego żadne z nas nie czuje? Nawet nie mamy dzieci, nie mamy obowiązku podtrzymywać rodziny. To jest dużo prostsze. Po co zawzięcie walczyć o to, żeby nasz związek funkcjonował, skoro nie funkcjonuje?

- Od kiedy nie funkcjonuje?

- Od dawna, a także od czasu, gdy spoglądasz na innych z pożądaniem, którego nigdy nie odczuwałaś w stosunku do mnie.

- Co?

– Saro, mam oczy, nie jestem ślepy. Widziałem, jak patrzyłaś na Aaróna. Jak wzdychałaś do niego. Jak tajałaś z uczucia, gdy był blisko ciebie.

– Czyli to wszystko przez Aaróna?

– Nie, to wszystko przez to, co się dzieje z nami. To z Aarónem pomogło mi jedynie przejrzeć na oczy.

Wtedy zareagowałam. Paskudnie, należy przyznać. Wrzasnęłam:

– I za wszystko zrzucasz winę na mnie?! Nie chce mi się wierzyć! Jak możesz tak odwracać kota ogonem?!

– Nie, Saro, nie obwiniam cię! Po prostu usiłuję doprowadzić do tego, żebyśmy byli wobec siebie szczerzy! Żebyśmy naprawdę porozmawiali. Powiedz, czy też tego chcesz, czy ze strachu wolisz nadal się okłamywać? Jeśli to cię uspokoi, mogę wziąć całą winę na siebie. Tak, jestem dupkiem, bo cię tutaj sprowadziłem. Tak, zabrakło mi jaj, żeby zerwać z tobą w Madrycie. Tak, postąpiłem podle, mówiąc ci, że cię kocham. Tak, wszystko, co się stało, jest moją winą. Przyznaję się i biorę to na siebie. Mówię serio. Ale czy teraz możemy porozmawiać o tym, co się dzieje, czy też nie?

Czułam się totalnie zagubiona w przestrzeni i miałam całkowity zamęt w uczuciach. Usiłowałam zapanować nad bólem brzucha i zrozumieć, co mówi do mnie Roberto. Musiałam się zdobyć na wysiłek, którego ode mnie żądał. Być może nie byłam mu tego winna, ale byłam to winna samej sobie.

– A co się dzieje według ciebie? – spytałam.

– Że cię nie kocham. I ty mnie nie kochasz. Tylko tyle.

Ta prosta konstatacja spadła na mnie jak bomba atomowa, rozwalając cały mój świat w drzazgi. Nie kocham cię i ty mnie nie kochasz. Popatrzyłam Robertowi w oczy.

– I już. To koniec wszystkiego – powiedziałam.

– Bo wszystko ma swój koniec.

– Przecież ja cię kocham! I ty też mnie kochasz!

– Po raz kolejny decydujesz za nas oboje. Znowu chcesz uwierzyć we własne kłamstwa.

– Jesteśmy na innym etapie, zgadza się. To nie to samo, co na początku, ale miłość się zmienia, ewoluje... A ja chcę przeżyć z tobą tę przygodę.

– Nie. Sama zdecydowałaś i sama się uparłaś, żeby ją rozpocząć. Taka właśnie jesteś, uparta i zawzięta. Zawsze chcesz doprowadzić sprawę do końca, nawet wykańczając siebie i innych. Taki masz charakter.

– Znasz mnie lepiej niż ja sama?

– Niczego nie czujesz do Aaróna?

– Nie wiem, co ma Aarón do tego wszystkiego. Rozmawiamy o nas.

– Nie ma już „nas”, Saro.

– Nie możesz tego mówić poważnie. Nie możemy tak po prostu zerwać ze sobą, w takim miejscu, w tym obcym kraju, i w taki sposób.

– Przypuszczam, że nie istnieje żaden lepszy sposób.

Obawiam się, że także w tym, jak i we wszystkim innym, to Roberto miał rację. Ludzie wyznają sobie miłość w miłych miejscach: na plaży o zachodzie słońca, w restauracji przy romantycznym świetle świec, na polu pod Chinchón pod rozgwieżdżonym niebem, ale zrywają ze sobą byle jak i byle gdzie, nawet na schodach okropnego chińskiego hotelu.

– Muszę stąd wyjść. Potrzebna mi apteka. Ból brzucha mnie zabija.

– Dobrze, schodzimy.

– Nie. Chcę iść sama.

– Saro, jesteś w Hongkongu.

– Ponieważ nie jesteśmy już w związku, muszę zacząć radzić sobie sama, okej? I jestem do tego zdolna. Jeśli zerwaliśmy ze sobą, to zerwaliśmy. W porządku. Nic się nie dzieje. Nie potrzebuję cię i nie chcę cię więcej widzieć. Słyszysz? Nigdy więcej. Potem wrócę po walizki i zabiorę się stąd pierwszym możliwym samolotem.

Recepcjonista mówiący po angielsku pokazał mi na mapie, gdzie znajduje się najbliższa apteka. Napisał mi także na kartce chińskimi znakami, że boli mnie brzuch, żeby aptekarz mógł mnie zrozumieć i sprzedać odpowiednie lekarstwo. Ponadto zaproponował mi, że po skończonym dyżurze może mnie zabrać do swojej babki, która – jak stwierdził – leczy wszystkie choroby wywarami z ziół i różnymi środkami. Chociaż mu gorąco podziękowałam, postanowiłam mu nie ufać. Wiem, że medycyna chińska ma tysiącletnią tradycję, ale to nie oznacza, że babka recepcjonisty koniecznie musi być spadkobierczynią całej tej odwiecznej mądrości. Ponadto byłam przekonana, że wywary, które uleczyłyby tubylca, na mnie mogłyby podziałać zgoła odmiennie. Tak więc z planem miasta w ręce, kompasem iPhone'a, karteczką, na której były wypisane: nazwa apteki, nazwa moich dolegliwości i nazwa hotelu – na wypadek gdybym się zgubiła – opuściłam recepcję.

Apteka znajdowała się niedaleko i zdziwiłam się, że oznaczona była takim samym zielonym krzyżem jak w Europie. Różnice kulturowe różnicami, ale są też i podobieństwa. Usiłowałam porozumieć się po angielsku, ale nie miałam szczęścia. Musiałam więc wyciągnąć karteczkę od recepcjonisty i pokazać odpowiedni znak bólu brzucha. Niestety zapomniałam, który znak jest który, więc może pokazywałam nazwę apteki albo hotelu, nie wiem. Na wszelki wypadek jednocześnie łąpałam się drugą ręką za żołądek, wzdychałam i wykrzywiałam się. W końcu ekspedient pojął, o co mi chodzi, i poszedł na zaplecze. Wrócił z jakimiś dziesięcioma pudełkami lekarstw. I zaczął mi wyjaśniać, na co które działa. Całkowicie bezużytecznie, bo – choć robił, co mógł, wskazując na różne części swego ciała i robiąc najrozmaitsze miny – i tak niczego nie mogłam zrozumieć. Tak więc wybrałam jedno z pudełek na chybił trafił. Była na nim nazwa leku po angielsku, ale nic mi nie mówiła. No cóż, nie sądziłam, żeby lekarstwo miało mi zaszkodzić. Być może też nie było doskonale dobrane, ale przecież nikt jeszcze nie umarł od specyfiku na ból brzucha, nieprawdaż?

Wyszłam z apteki, a ponieważ ból nasilał się błyskawicznie, łyknęłam pierwszą pastylkę tuż za drzwiami. Na wszelki wypadek, gdyby miała się okazać mało skuteczna, łyknęłam też drugą. I trzecią. Po czym skierowałam się do hotelu. Tak przynajmniej mi się wydawało. Było mi trudno iść, każdy krok kosztował mnie mnóstwo wysiłku. Ból był teraz tak silny, że zaczęłam się bać. To, co rozpoczęło się od kręcenia i ucisku w żołądku, teraz zamieniło się w ostry ból, jakby ukłucia, które trwały coraz dłużej i były coraz silniejsze, a przerwy między jednym ukłuciem a drugim zmniejszały się. Wyobrażałam sobie, że tak muszą wyglądać bóle porodowe.

Jeśli miałyby to być bóle psychosomatyczne, to powinnam trafić do podręczników medycyny. Mój supel w żołądku zamienił się w coś najzupełniej rzeczywistego. Cóż za talent do wcielania metafor w życie. Zaczęłam się obficie pocić. Poczulałam zawrót głowy. Złapałam się latarni, żeby nie upaść. I niczego więcej nie pamiętam.

Chińskie objawienie

Otworzyłam oczy i stwierdziłam, że jestem w karetce pogotowia. Chciałam zapytać, dokąd mnie wiozą, ale przeszkadzała mi maseczka tlenowa. Usiłowałam zdjąć ją z twarzy, ale siedzący obok mnie mężczyzna w białym fartuchu mi to uniemożliwił.

– Roberto... Gdzie jest Roberto? – bełkotałam.

Chińczyk oczywiście niczego nie zrozumiał. Nadal próbowałam nawiązać z nim kontakt.

– *My boyfriend, or ex-boyfriend...* – Chyba oszalałam, sądząc że kogoś interesują wahania statusu mojego związku. – *I need to call him*⁴⁰.

Na to Chińczyk zaczął coś do mnie mówić – oczywiście po chińsku. Dotknęłam swojego brzucha. Nie poczułam bólu. Zorientowałam się, że mam w zgięciu łokcia wenflon i podłączoną kroplówkę. Musiała zawierać jakiś potężny środek znieczulający, który działał też nasennie, bo usnęłam albo straciłam przytomność, dokładnie nie wiem.

Kiedy znowu otworzyłam oczy, okazało się, że już wyniesiono mnie z karetki na noszach i właśnie wwożono przez jakieś drzwi, które uznałam za drzwi izby przyjęć szpitala.

Przerażającego szpitala. Wyglądającego naprawdę okropnie. Jakieś odpadające zielonkawe kafelki, purchle na ścianach, plamy wilgoci... Cóż to mógł być za szpital? Czy tutaj wszystkie szpitale tak wyglądają? Nadal wzywałam Roberta. Jak na niezależną, dojrzałą, samowystarczalną kobietę, która postanowiła nigdy więcej nie oglądać swojego eksnarzeczonego, niezbyt dobrze mi się powiodło z procesem oddzielenia się.

– Roberto! Niech ktoś do niego zadzwoni! *Call him. The number is in my phone*⁴¹.

Roberto!

W jakimś pomieszczeniu, które mogło być zarówno dyżurką, jak i salą operacyjną, dwóch chińskich lekarzy zdjęło mi ubranie i zaczęło mi macać brzuch. Zabolało. Ostry, potworny ból. Krzyknęłam. Lekarze zmierzyli mi gorączkę, tętno, osłuchali płuca.

– *Do you speak English?* Roberto! Gdzie jesteś? *Embassy! Spain embassy, please. Call.*⁴²

Z bólu i paniki zapomniałam angielskiego. Chociaż było to raczej nieistotne, bo i tak najprawdopodobniej nikt tutaj nie mówił w tym języku.

Zrobiono mi prześwietlenia, a nawet tomografię, niezwykle szybko i sprawnie, nie tak jak u nas w szpitalach. Sam budynek mógł sobie być straszny, ale opieka medyczna była niezrównana. Lekarze konsultowali mój przypadek, bardzo głośno krzycząc. Ogarnął mnie niepokój. Czyżbym miała umrzeć z powodu bólu brzucha? I to w Chinach? Od czego to wszystko się zaczęło? Jak to się stało, że nagle, ni z tego, ni z owego, znalazłam się w szpitalu w Hongkongu, zawieszona między życiem a śmiercią? Uspokój się, Saro, starałam się pocieszyć. Nikt tu nie umiera. To tylko ból brzucha, a Chińczycy tak mają, że głośno krzyczą, zamiast rozmawiać. Przypomnij sobie, co się działo na lotnisku. Nagle jeden z lekarzy podsunął mi mnóstwo papierów do podpisu. Żaden z nich nie był po angielsku. Odmówiłam podpisywania w ciemno czegokolwiek.

– *Embassy.* Roberto. – Udało mi się wyciągnąć z plecaka kartkę z nazwą hotelu.

– Roberto. Roberto.

Znalazł się ktoś, kto przypuszczalnie zrozumiał, o co mi chodzi, bo wziął ode mnie kartkę, wyszedł, a potem wrócił, kiwając głową.

– Lobelto... Lobelto... – A potem cały potok słów po chińsku, tak niezrozumiały, jak wszystko, co do tej pory usłyszałam.

Jednak wzięłam to za dobry znak. Z pewnością nawiązali kontakt z Robertem. Z pewnością zaraz przyjdzie. Z tłumaczem znającym angielski. Może nawet z tym recepcjonistą z hotelu. Zaczęłam się modlić, żeby nadal był na dyżurze. Recepcjonista, oczywiście. Znowu podsunęło mi pod nos papiery. Ponownie pokręciłam przecząco głową. Niezbyt delikatnie dotknęło mojego brzucha. A potem lekarz przeciągnął po nim palcem z boku na bok. Nagle zrozumiałam. Chcieli mi przekroić brzuch! Nie! Kręciłam głową, a lekarz kiwał swoją. Znowu zrobił ten gest oznaczający krojenie. To już było naprawdę poważne.

– Roberto... *Embassy*...

Zemdlałam. To doprawdy zdumiewające, jakiej wprawy nabrałam w traceniu przytomności...

A kiedy znowu otworzyłam oczy, Roberto stał przy mnie. I recepcjonista też. Roberto wpadł na ten sam pomysł co ja. Przecież to znaczy, że jesteśmy bratnimi duszami, nieprawdaż? Dlaczego więc tak się upiera, żeby ze mną zerwać? Chyba nigdy w życiu nie ucieszyłam się aż tak bardzo, że go widzę. Nigdy.

– Roberto, chcą mi przekroić brzuch! – krzyknęłam. – Umrę tutaj, w tym chińskim szpitalu! Zadzwoń do ambasady, zadzwoń do moich rodziców, powiedz recepcjoniście, żeby przetłumaczył, co mówią ci lekarze. I żeby przyjrzał się temu, co mi dają do podpisu. Ojej, jak mnie okropnie boli! Nie wiem, co mi jest, Roberto. Umrę tutaj, w Hongkongu...

Recepcjonista przetłumaczył to, co mówił lekarz. Miałam niedrożność jelit. Musieli mnie natychmiast operować. To nie jest ciężka operacja, ale jeśli jej szybko nie zrobią, moje życie będzie w niebezpieczeństwie. Czyli to prawda, to z umieraniem. To już nie żarty. Pobladałam. A raczej zrobiłam się przezroczysta, bo blada musiałam już być od dłuższego czasu. Przezroczysta jak duch, którym może stanę się już za chwilę. Nieżywa, zamieniona w ducha. Mamusi! Umieram!

– Oni przesadzają, prawda, Roberto? Błagam, powiedz, że przesadzają. To niemożliwe, żeby moje życie było w niebezpieczeństwie. Zadzwoń do Hiszpanii. Niech moja matka porozmawia z jakimś lekarzem, już wiem, z sąsiadem z osiedla, jego córka jest chirurgiem... Chyba mam jej telefon... Amanda, ma na imię Amanda. To obciachowe imię dla chirurga, ale z pewnością coś będzie nam mogła wyjaśnić. Zadzwoń do niej, Roberto.

I tak zrobił. A Amanda, po tym, jak Roberto opisał jej objawy i opowiedział o diagnozie chińskich chirurgów, potwierdziła, że muszę być zoperowana w trybie pilnym. Nie, to nie jest skomplikowana operacja, ale trzeba ją wykonać. Wygląda na to, że moje jelito skręciło się w którymś miejscu i stało się niedrożne, nie przepuszcza pokarmu. Przynajmniej tak to rozumiałam. No, to ten supeł w żołądku przestał być metaforą i stał się najprawdziwszą prawdą. Wzmiankę w encyklopedii zdrowia miałam zapewnioną.

– Kto zapłaci za tę operację, Roberto? Mam gówniane ubezpieczenie podróżne. Z pewnością nie pokrywa czegoś takiego.

– Tym się teraz nie martw. Niech cię zoperują, a potem zobaczymy.

– Jak dobrze, że tu jesteś, chociaż mnie porzuciłeś.

– Nie myśl teraz o tym.

– Dobrze, dobrze. Spytaj recepcjonistę, kiedy chcą mnie operować.

Recepcjonista powiedział, że zaraz po podpisaniu przeze mnie papierów. Które były takie, jak w każdym innym szpitalu na świecie. Że zgadzam się na operację i że oni nie biorą

odpowiedzialności, jeśli coś pójdzie źle. Podpisałam. Nawet nie miałam czasu się pożegnać z Robertem, bo od razu powieźli mnie na salę operacyjną. Umierałam ze strachu – w końcu za godzinę mogłam naprawdę umrzeć. Już wkrótce mogłam być zupełnie nieżywa, całkiem nieżywa, na zawsze nieżywa. Martwa, martwa, martwa. Spojrzałam na Roberta, od którego mnie zabierano.

– A może lepiej weźmy ślub, tak na wszelki wypadek, gdybym miała przypłacić życiem tę operację?

– Nie gadaj głupot.

– Dziękuję ci, że jesteś przy mnie. Dziękuję. Powiedz wszystkim, że ich kocham. Że ich naprawdę kocham. Tym chirurgom też. Tacy wspaniali, tacy sprawni, tacy chińscy...

O jejku, jejku! Zrobią mi dziurę w brzuchu w Hongkongu. I chociaż wszystko człowieka bardziej rajcuje, jeśli dzieje się w Hongkongu, muszę przyznać, że znalezienie się o krok od śmierci w Hongkongu nie miało w sobie ani krztyny uroku. Bo mogłam umrzeć. Bo mogłam umrzeć całkiem na śmierć.

Na sali operacyjnej zrobiono mi kilka zastrzyków i osunęłam się w ciemność.

Odzyskałam przytomność w pokoju z małym okienkiem. W małym łóżku, obok którego stało krzesło przypominające takie, jakie mieliśmy w podstawówce, z metalu i drewna, bez tapicerki. Na krześle spał Roberto. Można je było rozciągnąć, to znaczy opuścić nieco oparcie, a wtedy z przodu wysuwała się taka deseczka, na której można było oprzeć nogi. Ale i tak przypominało bardziej narzędzie tortur niż miejsce do spania. Biedny Roberto. Ja byłam podłączona do trzech różnych kroplówek: z płynem fizjologicznym, ze środkiem znieczulającym i z antybiotykiem. O tym dowiedziałam się później, wytłumaczył mi to recepcjonista. Podniosłam prześcieradło, żeby zobaczyć szew. Brzuch miałam przykryty gazą. Cały brzuch, co mnie zaniepokoiło. Postanowiłam podnieść gazę i zajrzeć. Chciałam wiedzieć, jakiej wielkości jest cięcie. Uniosłam gazę i ujrzałam, że poprzez brzuch, od boku do boku, biegnie rząd czarnych szwów z supełkami, było ich chyba ze dwadzieścia. Przekroili mnie w poprzek! Wrzasnęłam. Mój wrzask obudził Roberta.

– Jak się czujesz?

– Przekroili mi brzuch od boku do boku.

– Boli cię?

– Nie. Chyba nie. Nie bardzo. I jestem żywa. To najważniejsze. Powiedz, że to najważniejsze, a rana i szwy są nieważne.

– Oczywiście, głuptasku. I wszystko dobrze poszło.

Wpatrywałam się w niego.

– Która godzina? Byłeś tu przez cały czas?

– Oczywiście.

– No to się okazuje, że miałeś rację. To prawda, że choć usiłujesz mnie zostawić, udaje mi się zmusić cię, żebyś przy mnie został.

Uśmiechnął się.

– Przepraszam cię – powiedziałam. – Przepraszam, że wycięłam taki numer.

– Nie opowiadaj głupstw. To nie twoja wina, że się nagle rozchorowałam.

– Ale ty już nie masz obowiązku dbać o mnie. Już nie jesteśmy narzeczonymi.

– Saro...

– No co? To prawda.

– Ale nadal jesteśmy przyjaciółmi. A ja chcę ci pomagać. Zawsze będę chciał.

– Nie mów tak, bo mi się wszystko miesza.

– No dobrze. A więc: nie znasz tu nikogo, jesteś chora. Co miałem zrobić, zostawić cię na

pastwę losu?

– Powiadomiłeś moich rodziców? Moją siostrę? Przylecą?

– Powiedziałem im, żeby się nie przejmowali. Że wszystko poszło dobrze i za tydzień będą cię mieli z powrotem. Że jestem z tobą. A co? Chcesz, żeby się tu zjawili?

– A będziesz ze mną przez ten czas? Co z twoją pracą?

– Praca i Hongkong mogą poczekać.

– A to nie będzie jakieś dziwne? Pięć dni razem, gdy właśnie zerwaliśmy ze sobą...

Roberto się uśmiechnął.

– Pod warunkiem że nie będziesz mnie namawiała do ślubu...

– Czy kiedykolwiek proponowałam ci ślub? – Nagle sobie przypomniałam. No tak, gdy wieziono mnie na salę operacyjną. Co za obciach, jaki wstyd... – Ach, już wiem. Z nerwów, że mnie wiozą na operację.

– Dzisiaj w nocy, po wybudzeniu z narkozy, ponownie mnie poprosiłaś, żebym się z tobą ożenił.

– Nie!

– Tak.

– A ty? Co odpowiedziałeś? Nie zlitowałeś się nade mną, nawet widząc mnie ledwo żywą?

– Cóż... Od razu zaczęłaś do mnie mówić Aarónie.

– To kłamstwo!

Uśmiechnął się znowu.

– To prawda.

– Serio? To dlaczego się uśmiechasz? Stałeś się masochistą?

– Nie, po prostu lubię, kiedy wychodzi na moje.

– Jeśli nawet mówiłam do ciebie Aarónie, to... Przypuszczalnie przypomniałam sobie o nim, bo wiesz, on jest całkiem zwariowany na punkcie zdrowego stylu życia. Integralny owies na śniadanie, jakieś zioła oczyszczające wątrobę, letnia woda z cytryną na rozpoczęcie dnia... No bo jego ojciec zmarł na raka. A potem jego siostra... no cóż, prawdziwa tragedia. A ja się z niego śmiałam, z tej jego obsesji na punkcie zdrowia, i... popatrz tylko na mnie! Lepiej bym zrobiła, gdybym jadła ziarno owsa! Ale nie, dogadzałam sobie croissantami na śniadanie.

– Nie sądzę, żebyś się tu znalazła z powodu croissantów. Takie rzeczy się zdarzają, i już.

– Ależ nie, Roberto, wcale nie. To się zdarzyło właśnie mnie, z powodu mojego gapiostwa. Bo obzerałam się croissantami i się zamartwiałam, zbyt poważnie siebie traktowałam. No i popatrz tylko. Calusienki brzuch przekrojony.

Przez te pięć dni, które spędziłam w szpitalu, staliśmy się z Robertem – mimo kilku niezręcznych momentów – najlepszymi przyjaciółmi. Zresztą zawsze nimi byliśmy, jedyną różnicą stało się to, że przestał nas łączyć seks. I nieraz łapałam się na myśli, że może moglibyśmy na tym poprzestać, pozostać w związku, skoro tak dobrze nam było razem. Roberto dowiedział, że jest uważny, inteligentny, dobry, zabawny. Podnosił mnie na duchu. Odsunął na bok swoje sprawy zawodowe, żeby być przy mnie. Czegóż więcej można wymagać od partnera? Jednak równocześnie to, że stanęłam na krawędzi śmierci – no dobrze, może nie na samej krawędzi, ale zgódźmy się, że jeśli nie trafiłabym do szpitala na czas, mogłabym już nie żyć, a jeśli nie można tego nazwać krawędzią, to przynajmniej przedpołem – sprawiło, iż zrozumiałam, że życie jest zbyt krótkie, zbyt nieprzewidywalne, żeby zadowolić się kompromisem. Ponieważ pozostaniemy na tym świecie przez niewiadomy czas, może długi, a może krótki, lepiej postarać się wykorzystać na maksa dane nam życie. Żadnych kompromisów. To straszne, że musi nam się przydarzyć coś z pogranicza życia i śmierci,

żebyśmy zdali sobie sprawę, że każdy dzień jest podarowany i że być może już jutro nas tu nie będzie, dlatego też musimy się starać żyć intensywnie. Ojej, to brzmi, jakbym przedawkowała książki Paula Coelho, ale tak właśnie się czułam. Doświadczenia z pogranicza życia i śmierci muszą się do czegoś przydawać. No dobrze, może nie przydają się do niczego. Ale jeśli już nas spotkały, lepiej nadać im jakieś znaczenie. Ja, na przykład, na skutek przekrojenia brzucha od boku do boku, poczułam, że kocham żyć i pragnę dla siebie od życia tego, co najlepsze. Żadnych przyjaciół w roli narzeczonych. Żadnego zadowalania się wygodnym, jałowym życiem. Żadnej bylejakości. Doznałam w Hongkongu czegoś, co nazwałam na swój dalszy użytek moim wielkim chińskim objawieniem: koniec z lękami, koniec z namiastkami, koniec z okłamywaniem siebie i innych i koniec z odkładaniem życia na później i zadowalaniem się czymkolwiek. I koniec z martwieniem się, co będzie jeśli. Odtąd będę sięgała po to, czego zapragnę, ponieważ mogę nie dożyć następnego dnia. Muszę cieszyć się życiem, muszę żyć w pełni. I muszę się naprawdę zakochać. To mi się należy. Ponownie poczuć to, co czułam do Aaróna, tę intensywność, te motyle w brzuchu. Muszę wziąć pod uwagę, że przypuszczalnie nie będę mogła tego przeżywać z Aarónem. Ma się ożenić z moją siostrą. Niech więc się żeni. Jeśli nawet Aarón nie jest dla mnie, to z pewnością spotkam kogoś, kto sprawi, że poczuję chęć, żeby popełniać szaleństwa, wykrzykiwać jego imię, całować go i przytulać pod rozgwieżdżonym niebem w dowolnym miejscu na świecie, nawet w nudnym miasteczku w La Manczy o nazwie Chinchón. Nie byłam pewna, czy mam, czy też nie mam prawa domagać się czegoś takiego dla siebie, ale z całą pewnością wiedziałam, że nic mnie nie powstrzyma. Precz z lękami, precz z niską samooceną! Furda zmarszczki w kącikach oczu, furda nadmiarowe cztery kilogramy i blizna na brzuchu! Już nigdy nie poddam walki przed jej rozpoczęciem!

Drugiego dnia w szpitalu już mogłam wstać z łóżka. A trzeciego zaczęłam normalnie jeść. Chociaż to stwierdzenie nieco na wyrost, bo jedzenie, które dostawałam, było raczej dziwne. Zamilcz, Saro, przecież przyrzekłaś sobie, że nie będziesz krytykowała narodu chińskiego, który uratował ci życie. I lekarze byli tacy szybcy i sprawni. I w mgnieniu oka wykonali mi wszystkie badania, a już po operacji wszyscy trzej chirurdzy, którzy przy niej asystowali, odwiedzali mnie rano i wieczorem. Pielęgniarki – chyba że były to kucharki, ciężko mi się było zorientować, kto jest kim i co oznaczają kolory fartuchów – pojawiały się trzy razy na dzień z ogromnym kotłem i na każdym piętrze instalowały się w holu, a chory – to znaczy ja, w tym przypadku – miał plastikowy pojemnik, który zanurzał w kotle i wydobywał swoją porcję jedzenia. Tak, wszyscy chorzy lub ich opiekunowie zanurzali swoje pojemniki w kotle. A po zjedzeniu myli je we wspólnych łazienkach. Bardzo higienicznie. W tych kotłach była zupa z makaronem i mięsem lub rybą. Jeśli w Europie narzekamy na szpitalne jedzenie, zapraszam do skorzystania z oferty chińskiego szpitala. Z pewnością każdy zmieni zdanie i uzna, że europejskie zupy szpitalne są szczytem wykwintu. Więc choć jedzenie nie było zbyt smakowite, zmuszałam się, żeby jeść, a właściwie zmuszał mnie Roberto. To mi pomogło nabrać sił. I tak jak (ustami recepcjonisty) prorokowali lekarze, piątego dnia już niemal całkowicie doszłam do siebie. Znowu byłam taka jak zawsze, choć z brzuchem naznaczonym wielką blizną. I miałam więcej chęci do życia niż kiedykolwiek wcześniej.

Przez te pięć dni zaprzyjaźniliśmy się z panią, z którą dzieliłam pokój. Była ze wsi i, dzięki recepcjoniście, naszemu tłumaczowi, szybko nabrała do mnie i do Roberta sympatii. Chciała się dowiedzieć wszystkiego o Hiszpanii. Czy w małych wioskach jest elektryczność? Czy nawet na prowincji jada się trzy razy dziennie? Dzięki niej uzmysłowiliśmy sobie, jak ogromne różnice panują między Chinami wiejskimi – interiorom, i Chinami miejskimi – wielkimi metropoliami na wybrzeżu. Nie mogła się nadziwić, że mieszkaniec każdej wsi w Hiszpanii żyje praktycznie na takim samym poziomie, jak mieszkaniec dużego miasta. Dla naszej towarzyszki

z pokoju wszystko w tym szpitalu było luksusowe, podczas gdy nam wydawało się biedne, stare, zużyte i brudne. Nie licząc doskonałego personelu, oczywiście, i usług medycznych. Nie tylko lekarze odwiedzali nas licznie, gromadnie pojawiały się także pielęgniarki. Przychodziły licznymi grupami – w skrzydle szpitala, gdzie leżałyśmy, było ich kilkanaście naraz – i kiedy zmieniały się na dyżurze, wpuszczały do pokoju następne kilkanaście, żeby dokładnie im wyjaśnić, na czym polega terapia i obsługa każdego chorego. Tak więc dwa razy na dzień w tym maleńkim pokoiku tłoczyło się około trzydziestu osób, nie licząc nas – pacjentek, i naszych opiekunów. Szalona kabina okrętowa z *Nocy w operze* braci Marx w porównaniu z tym zionęła pustką.

Moja sąsiadka z pokoju była mężatką i jej mąż niekiedy zostawał na noc. Ale zamiast zainstalować się na tym niewygodnym krześle, na którym sypiał Roberto, kładł się wraz z nią do łóżka na odwrot, głową w kierunku jej stóp. Jedynie w ten sposób mogli się pomieścić w wąskim łóżeczku. Zachęciłam Roberta, żeby też spróbował położyć się w tej pozycji w moim łóżku, ale po tym, jak parę razy kopnęłam go niechęcący w głowę, daliśmy sobie z tym spokój. Ponadto czułam się dziwnie, przytulając się do chłopaka, który mnie właśnie porzucił.

Tak się zaprzyjaźniliśmy z naszymi sąsiadami, że w końcu poprosili nas o nasze zdjęcia i Roberto wydrukował dwie fotki, które zrobił komórką, a oni przykleili je na wezgielciu łóżka, tam gdzie mieli galerię zdjęć swoich dzieci i innych krewnych. W ciągu czterech dni staliśmy się częścią ich rodziny.

Rankiem szóstego dnia, gdy ledwie się obudziłam, usłyszałam znajome głosy dochodzące z korytarza. Czyżby to był sen? Otworzyłam oczy i ich ujrzałam. Moich rodziców, razem. Właśnie wchodzili do pokoju.

– Moja droga, nareszcie. Nie masz pojęcia, jakie kłopotliwe jest uzyskanie wizy do tego kraju. Cztery dni załatwiania. Nawet powołanie się na pałac la Moncloa⁴³ nie pomagało.

– Myślałby kto, że znasz kogoś w la Moncloi – stwierdził ojciec.

– No, to teraz chyba jesteś zadowolona – skarciła mnie matka. – Nie dałaś za wygraną, póki nie postawiłaś na swoim.

Nie zrozumiałam, do czego nawiązuje. Ale matka, bez zbędnych pytań z mojej strony, natychmiast wyjaśniła:

– Jaki tytuł miała ta powieść? No, ta o dziewczynie, która udawała chorobę, żeby jej rodzice się pogodzili...

– *Wilgotne miejsca*. Ale ja niczego nie udaję.

I podniosłam piżamę, żeby mogli przyjrzeć się długaśnej szramie przez cały brzuch.

– O Boże przenajświętszy! Co oni ci zrobili? Przecież rozmawiałam z Amandą, która powiedziała, że to niewielka operacja, że zazwyczaj tylko trochę nacinają przy pępku...

Skrzywdzili cię, dziecino, zeszpecili...

– Najważniejsze, że jesteś zdrowa – wtrącił się ojciec. – Bo jesteś, prawda?

– Tak, tato.

Matka nie odrywała wzroku od mojej blizny.

– Jestem przekonana, że tutejsi chirurdzy nigdy w życiu nie widzieli białego człowieka od środka i jak już wpadłaś im w ręce, wykorzystali okazję, żeby się przyjrzeć.

– Mamo, nie gadaj głupstw! – powiedziałam, dyskretnie wskazując moją sąsiadkę.

– Rozumie po hiszpańsku? – spytała zadziwiona matka.

– Ani słowa. Ale jest sprytna jak lis, wszystko wywęszy – wyjaśniłam. – Jest bardzo miła.

Zmusiłam rodziców, żeby się z nią przywitani i – najlepiej, jak potrafiłam – wyjaśniłam jej, że to moi rodzice. Uśmiechnęła się i wskazała na zdjęcia swojej rodziny.

– Ojej, tamta dziewczyna jest do ciebie bardzo podobna! A ten, to wypisz wymaluj

Roberto! – zdziwiła się moja matka.

– Bo to jesteśmy my.

– To dlaczego was tam powiesiła?

– Bo bardzo nas polubiła.

– Aha... A ile płacisz za ten pokój? – spytała matka, nie kryjąc obrzydzenia na widok urządzeń higienicznych i dwóch ogromnych par majtek zwisających z prysznicza. – Z pewnością wykupiłaś najtańsze ubezpieczenie podróżne. A co ci zawsze mówiłam? Że to, co tanie, wychodzi najdrożej.

– Oczywiście, dlatego uparłaś się, żeby podróżować pierwszą klasą – oznajmił ojciec.

– Moja córka umiera na końcu świata, więc nie muszę na domiar złego cisnąć się na kupie.

– Ja leciałem w klasie turystycznej, i było świetnie.

– Ty leciałaś w pierwszej, a tato w turystycznej? – Postanowiłam to uściślić.

– On zawsze był ekscentrykiem.

– Nie lubię wyrzucać pieniędzy przez okno. Tym bardziej teraz, gdy muszę połowę majątku oddać twojej matce.

– Jak widzisz, twój plan, żeby nas połączyć, spalił na panewce – stwierdziła matka.

– Mamo, doprawdy nie życzyłam sobie, żeby mnie spotkało to, co mnie spotkało. Nie domagałam się też, żebyście przylatywali do Hongkongu.

– Twój ojciec się uwziął.

– Ona też, chociaż teraz udaje twardzielkę. Mówiłem jej, że nie potrzeba, żebyśmy obydwójce lecieli.

– Na to ja mu powiedziałam, żeby został, a ja polecę.

– Nie mogłem pozwolić, żeby twoja matka leciała sama do Chin. Jest zdolna do wszystkiego, nawet do rozpętania międzynarodowego konfliktu.

– Nie wygaduj banialuk, Arturo. Prawda jest taka, że nie mogłam się doczekać, żeby się tobą zaopiekować, kochanie. Zresztą twój ojciec także.

– Bardzo się cieszę, że was widzę – powiedziałam z oczami zamglonymi od łez wzruszenia.

W tej samej chwili do pokoju wszedł Roberto. Uśmiechnął się na widok moich rodziców.

– Już się bałem, że nie doleciecie – powiedział.

– Wiedziałeś, że mają przylecieć? – zdziwiłam się.

– To on przyspieszył sprawy w ambasadzie. Ten człowiek jest wart swojej wagi w złocie.

Nie pozbywaj się go nigdy – orzekła matka. – Chociaż ja nadal uważam, że wybieranie się tak daleko od kraju to fanaberia. Arturo, dlaczego nie dasz mu wreszcie pracy u siebie, żeby mogli wrócić? Wyobraź sobie tylko, co to będzie, jeśli Sara zajdzie w ciążę i znowu będziemy musieli tu lecieć. Już nie mówiąc o tym, że moje wnuki nie mogą przyjść na świat w miejscu takim jak to.

– Mamo, Roberto i ja już nie jesteśmy razem.

– Jak to nie jesteście razem? Przecież jest tutaj z tobą.

– Bo nie chciał mnie samej zostawić.

– Natychmiast macie się pogodzić!

– Mamo...

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, jak on o ciebie dbał przez ten tydzień? I jak mu zależy na tobie i na nas? W życiu nie znajdziesz nikogo lepszego, Saro.

– Berto, nie wsadzaj nosa do cudzego prosa – ostrzegł matkę ojciec.

– Nawet się nie waż z nim zrywać – nalegała matka podniesionym głosem.

– Mamo, czy ja się mieszam do waszego związku?
– Mieszasz się, oczywiście, że się mieszasz – odparła matka.
– No dobrze, ale to dlatego, że jesteście moimi rodzicami.
– A ty jesteś moją córką i wiem, co dla ciebie dobre. Nawet nie myśl o tym, żeby z nim zrywać.
– Mamo, to on zerwał ze mną.
– Ty, Roberto? Ależ... – Moja matka osłupiała. Rzuciła Robertowi spojrzenie, które mogło oznaczać wiele rzeczy, ale wszystkie jednoznacznie niedobre.
– Przecież cię uprzedzałem, żebyś się do tego nie mieszała – dobił ją ojciec.
– Wiedziałeś o wszystkim?
– Domyślałem się czegoś – przyznał ojciec.
– Ach, tak? – spytałam z przekąsem. – To dlaczego mi niczego nie powiedziałaś?
– Saro, przecież nie radziłem ci tu przylatywać, ale nie mogłem też zatrzymać cię siłą.
– I niemal przypłaciła to życiem. – Matka weszła na wysoki ton, robiąc ojcu wyrzuty.
– Mamo, już się dobrze czuję.
– Z wielką szramą od boku do boku. Zeszpecona na resztę życia.
– No dobrze, pomyśl sobie, że mogli mi zrobić cesarskie cięcie. – Usiłowałam zbagatelizować jej słowa.
– A gdzie jest dziecko? Jak ci robią cesarkę, to przynajmniej zostaje ci po niej dziecko, które możesz o wszystko obwiniać do końca życia.
– Berto, co ty wygadujesz...
– A z tą dziurą w brzuchu pozwolą ci lecieć samolotem?
O tym nie pomyślałam. Matka miała rację. Lekarze z pewnością zabronią mi lecieć samolotem przed upływem dziesięciu dni lub nawet dwóch tygodni.
– Nawet nie chcę sobie wyobrazić, co będzie, jak nie dotrzesz na czas na ślub Lu...
– marudziła matka.
– Najważniejsze, żeby Sara doszła do siebie – powiedział ojciec rozsądnie.
– Właśnie – poparł go Roberto.
– Ty się zamknij, bo już ani nie siejesz, ani nie zbierasz – zgasiła go matka. – Saro, czy dzwoniła do ciebie Lu?
Tak, zadzwoniła parę razy do szpitala, żeby spytać, jak się czuję, żeby wysłać mi zdjęcia ślubnych sukien, żeby opowiedzieć mi mnóstwo bzdurnych szczegółów dotyczących ślubu i żeby mi przekazać pozdrowienia od Aaróna. Przy okazji przyznała się, że Aarón ograniczył czas, jaki z nią spędza.
– Mówi, że jestem nie do zniesienia z tym ślubem, a ponieważ on jest bardzo zajęty i całe godziny spędza w studiu nagrań albo pracuje nad teledyskiem, nie chce, żebym go rozpraszała głupstwami – skarżyła się Lu przez telefon.
– Czyżby uznał wasz ślub za głupstwo?
– Nie. Ale mówi, że moja obsesja wydaje mu się niemądra.
– Niewykluczone, że się nie myli – stwierdziłam.
– Ale ja jestem narzeczoną, a ogólnie wiadomo, że narzeczone przed ślubem głupieją. Przyznaję, że sama jestem zdumiona tym, jak bardzo mi odwala.
– Biedaczek.
– A to co znowu?
– Uważaj, Lu, bo niezależnie od tego, jak bardzo cię kocha, jego cierpliwość też ma swoje granice. A ty, kiedy jesteś nieznośna, to naprawdę jesteś nie do zniesienia.
– Nie będę się z tobą kłóciła, bo ledwo co cię pokroili. I jesteś w Chinach. Masz za swoje.

Ale zasługujesz na to, żebym była niemiła.

– Ja tylko ci sugeruję, żebyś trochę odpuściła. Bo najważniejsze w dniu ślubu jest to, żeby pan młody się stawił.

– Ale marudzisz.

Nie wiem, dlaczego się uwzięłam, żeby dawać rady mojej siostrze, skoro wiedziałam, że i tak – jak zawsze – postąpi według własnego widzimisię. A jeśli schrzani swój ślub, to będę ostatnią osobą, która będzie się nad tym użalać.

Za każdym razem gdy rozmawiałam z Lu przez telefon, Roberto siedział obok łóżka i przysłuchiwał się naszej konwersacji. Chociaż udawał, że nie słyszy, wiedziałam, że śledzi każde słowo.

– Zachwycona jesteś – skomentował.

– Ja?

– Tak. Widzisz, jak twoja siostra kopie sobie grób, i jesteś tym zachwycona.

– Nie.

– Tak. Możesz mi się do tego przyznać, teraz, kiedy jesteśmy już tylko przyjaciółmi.

– Nie jestem zachwycona.

– Jak z nią zerwie, będziesz go miała dla siebie.

– Roberto! Nie będę z tobą o tym rozmawiać. Poza tym on z nią nie zerwie. Znam ją, jest w czepku urodzona i bardzo sprytna. Zanim go doprowadzi do szału, zreflektuje się, przemyśli, co ma do stracenia, i spokojnie. Ponadto Aarón jest nią całkowicie oczarowany.

– Ale, jak sama powiedziałaś, istnieją granice cierpliwości – zauważył.

Nie chciałam robić sobie nadziei, ale to było nie do uniknięcia. To prawda, że nadzieja umiera ostatnia – sprawdza się to tym bardziej w przypadku kogoś, kto cudem uniknął śmierci podczas operacji na otwartym żołądku (czy czegoś w tym stylu) na drugim końcu świata.

Nareszcie nadszedł ten dzień, gdy zostałam wypisana ze szpitala i pożegnałam się z chińskimi chirurgami. Moja matka natychmiast zaczęła mnie namawiać, żebym się wyprowadziła z hotelu Roberta. Uznała, że to niewłaściwe, żebyśmy nadal spali w jednym pokoju.

– Jeśli ze sobą zerwaliście, to już nie jesteście w związku. I starczy już tych nowomodnych wymysłów.

– Powiedziała ta, co ma kochanka – zripostowałam.

– Kochankowie istnieją od początku świata – stwierdziła matka.

– W gruncie rzeczy masz rację.

Przyznałam matce rację i idąc za jej radą, przeprowadziłam się do jej hotelu. Zrobiłam to, ponieważ – chociaż nie paliłam się do mieszkania z nią – jeszcze bardziej nie chciałam mieszkać z Robertem. Przede wszystkim dlatego, że i tak nadużyłam jego czasu i cierpliwości przez ten tydzień, który spędził ze mną w szpitalu. I w ten sposób wylądowałam wraz z matką w suicie prezydenckiej. („Moja droga, po tym kursie wymiany jest prawie za darmo”). Natomiast ojciec zamieszkał w dużo mniejszym pokoju na tym samym piętrze. („No tak, z góry się zdecydował na niższy standard. Przecież przyleciał w klasie turystycznej. On już taki jest, lubi się umartwiać”). Przez te dziesięć dni pobytu oddawałyśmy się z matką wszystkim przyjemnościom, jakie zapewniał hotel: zabiegom kosmetycznym, spa, rozkosznym drzemkom, kuchni raczej zachodniej niż wschodniej (mogłam już normalnie jeść), a także filmom (obejrzałyśmy mnóstwo filmów, w tym także parę chińskich) i lekturom (kryminały, amerykańska prasa plotkarska, czasopisma o dekoracji wnętrz i o modzie, chociaż te ostatnie przeglądałam pobieżnie, bo przypominały mi, że porzuciłam swoją pracę *plumassière*). To było jak wymarzone wakacje za granicą, bez stresu, jakim zawsze staje się przymus zmęczenia się do upadłego podczas

zwiedzania miasta, które jest nam w gruncie rzeczy obojętne. Moja blizna na brzuchu skutecznie powstrzymywała mnie przed uprawianiem turystyki. A ponieważ już podjęłam decyzję, że wracam do Hiszpanii, nie miałam najmniejszej ochoty podtrzymywać farsy z zanurzaniem się w chińską kulturę. Od chwili gdy zrozumiałam, że mam tylko jedno życie i że chcę je przeżyć na maksa, postanowiłam wykorzystać w pełni potencjał hotelu i mojego iPada; to właśnie wydawało mi się w tym momencie najbardziej pociągające.

Mój ojciec natomiast wypuszczał się na długie spacerunki po Hongkongu. Wydawało mu się, że byłoby zbrodnią nie skorzystać z okazji, aby odkryć jego wszystkie ulice i budynki. Wracał późnym wieczorem, zmordowany wędrówkami po ulicach, ale szczęśliwy i z naładowanym akumulatorem. Pełen witalności, energii. Wszystko w Hongkongu robiło na nim ogromne wrażenie: sposób organizacji przestrzeni, techniki budowlane, odwaga i niekonwencjonalne podejście projektantów niektórych budynków. Mówił, że to wszystko go inspiruje. Mimo wieku czuł się w Hongkongu jak wtedy, gdy rozpoczynał studia architektoniczne. Zdolny do wszystkiego. Wiadomo, że we Florencji niektórych turystów, nadmiernie atakowanych pięknem wyzierającym z każdego kąta, dotyka syndrom Stendhala^{44*}, mój ojciec natomiast z pewnością zapadł na – odkryty właśnie przeze mnie – syndrom hongkoński, który przypominał nieco moje wielkie chińskie objawienie; z tą różnicą, że w jego przypadku obyło się bez przekrawania brzucha. Każdego wieczoru zapraszał na kolację z szampanem mnie i matkę, ponieważ postanowił odtąd codziennie wznosić toast szampanem, żeby nie zapomnieć, że w życiu zawsze jest coś, co zasługuje na uczczenie. O dziwo, matka przyznawała mu rację i chętnie brała udział w tych celebracjach, a ja – może dlatego, że chciałam, żeby tak było – zaczęłam zauważać, że między moimi rodzicami coś znowu zaczęło się układać.

– Wiesz, Saro, ojciec wydaje mi się taki jak kiedyś – powiedziała mi matka. – Taki jak wtedy, gdy się poznaliśmy. Pełen życia, entuzjazmu... Ani razu nie wspomniał o kryzysie.

– Za to cały czas opowiada o budynkach – zauważyłam.

– W takim człowieku się zakochałam – stwierdziła.

– Szczerze mówiąc, a teraz, od chwili mojego wielkiego chińskiego objawienia zależy mi na szczerości, muszę się przyznać, że nigdy nie gustowałam w architekturze – wyznałam.

– A byłaś w związku z architektem... Nic dziwnego, że cię rzucił. Spójrz, jaki piękny wisiołek dostałam od twojego ojca. Mówi, że to podróbka i że na tym polega cały dowcip, ponieważ przyjechać do Chin i nie kupić jakiejś podróbki to tak, jakby wejść do salonu Manolo Blahnika i zamiast z butami wyjść z paskiem.

– Przytoczył ten przykład?

– Twój ojciec zawsze umiał wyszukać dobry przykład. I, wyobraź sobie, że nawet mnie przekonał. Jeszcze przed dwoma tygodniami uznałabym, że to z jego strony paskudne skąpstwo, a teraz wydaje mi się to rozkoszną dbałością o szczegóły. A wiesz, co mi wczoraj powiedział?

– Co takiego?

– „Jak dureń martwiłem się w obsesyjny sposób o kryzys, a prawdziwą katastrofą była dla mnie utrata ciebie”.

– Serio?

– Jak chce, to umie człowieka przekonać, stary łajdak.

– Och, mamoo...

– No co?

– Coś mi się wydaje, że zaczynasz zapominać o Ismaelu.

– Moja droga, muszę ci się przyznać, że okropnie od niego załatuje dzikimi zwierzętami... Ale ani słowa ojcu, bo jeszcze niczego nie postanowiłam. No bo takich rzeczy nie załatwi się jednym wypadem do Hongkongu.

- Lepiej do Hongkongu niż do jakiejś dziury pod Madrytem...
- Co do tego to masz rację – zgodziła się ze mną matka.

Przez te dziesięć dni wiele razy rozmawiałam z Robertem. Już zaczął pracę i starał się jak najszybciej przystosować do nowych warunków. Nawiązał dobre stosunki ze wszystkimi przybyszami z Zachodu, którzy tak jak on pracowali w tym studiu architektonicznym. Wiedziałam, że zdoła się doskonale odnaleźć w nowym życiu. To było z góry wiadome. I, podobnie jak mój ojciec, on także tryskał entuzjazmem. Niewątpliwie to powietrze w Hongkongu musiało mieć tak korzystny wpływ na architektów. Powietrze lub fakt, że uwolnił się ode mnie i poczuł się w związku z tym lekki jak piórko, czego nie umiał ani nie mógł ukryć. Cokolwiek to było, cieszyłam się jego radością.

W ostatnią noc przed naszym wylotem Lu złapała mnie na Skypie. Zauważyłam, że ma podkrążone, zalane łzami oczy.

- Saro...
- Płaczesz?
- Bo powiedział, że albo się uspokoję, albo mnie pośle do diabła. Że już nie może wytrzymać moich wiecznych wahań nastroju.

– No to się uspokój...

– Chcę, żebyś tego posłuchała. To jego nowa piosenka. Poczekaj.

Lu wystukała coś na klawiaturze i wcisnęła „play”. Usłyszałam głos Aaróna na tle dźwięków gitary akustycznej:

A co, jeśli miłość, tak jak przyszła, odchodzi?

Jeśli nadeszła tak nagle,

dlaczego nie miałyby równie nagle odejść?

Lu wcisnęła „stop”.

- Słyszałaś?
- Tak.
- I co? Mam czy nie mam się martwić? Jak mogę się uspokoić? Wysłała mi sygnał, głośny i wyraźny.

– Przypuszczam, że to są typowe przedślubne objawy nerwicowe.

– Przecież mi mówi, że już mnie nie kocha.

– Lu, czy powiedział ci to w cztery oczy?

– Nie.

– No to nie zwracaj uwagi na tę piosenkę. To może znaczyć cokolwiek.

– Że już mnie znieść nie może, że już mu się nie podobam. Ale nie ma odwagi mi tego powiedzieć prosto w oczy, bo jest tchórzem. Jak wszyscy faceci. Postępuje tak, jak postąpił z tobą Roberto.

– Nie porównuj.

– Nie porównuję, bo i tak wszyscy są jednakowi. I co ja mam teraz zrobić?

– Zareaguj, głupia. I zaprezentuj mu swoje najlepsze ja.

– Aha... A jeśli nie umiem lub nie chcę?

– Jak mam to rozumieć? – zdziwiłam się.

– Zapomnij – powiedziała zrezygnowana – sama siebie nie rozumiem.

Właśnie ten moment wybrała sobie matka, żeby wejść do pokoju obładowana pakunkami.

– Porozmawiamy jutro. Już będę na miejscu. Dobrze? – powiedziałam do Lu.

– W porządku. Szczęśliwej podróży.

Rozłączyłyśmy się.

– Chyba trochę zaszalałam z kartą kredytową twojego ojca. Ale wszystkie te rzeczy były

takie piękne... Więc sobie powiedziałam, że nie wiadomo, czy będę miała okazję jeszcze wrócić do Hongkongu. To była twoja siostra? – Matka zarzuciła mnie słowami.

– Tak.

– Mam nadzieję, że nie zerwała z narzeczoną.

– Dlaczego to mówisz?

– Oby tylko suknię udało się oddać... Boże, tyle pieniędzy wydanych na darmo...

– Pobiorą się, mamo.

– Ja po twojej siostrze spodziewam się wszystkiego.

Następnego dnia Roberto uparł się towarzyszyć nam na lotnisko, ponieważ chciał się z nami pożegnać. Zwłaszcza ze mną. I chociaż mojej matce niezbyt się to podobało, ojciec nakazał jej się nie wtrącać i, o dziwo, posłuchała go i dała spokój z uwagami.

Roberto przyjechał po nas taksówką, ale musieliśmy wezwać jeszcze jedną, bo walizki się nie mieściły. Tak więc moi rodzice pojechali jedną, a my drugą. Tym razem taksówkarz nie opowiadał o Cristiano Ronaldo, ani w ogóle o niczym. A ja nie miałam mdłości, nie dziwił mnie też sposób, w jaki się tu wyprzedza, z prawej i lewej, i w ogóle nic mnie nie dziwiło, jakby pierwsze sześć dni w Hongkongu (które spędziłam w szpitalu) oraz te dziesięć dni w hotelowym spa zamieniły mnie w doświadczoną podróżniczkę, która już doskonale przywykła do dalekowschodnich obyczajów. Na lotnisku z początku nie mogliśmy znaleźć odpowiedniego stanowiska odprawy. Tysiące Chińczyków żegnały się z krewnymi i przyjaciółmi, lub też witały następne tysiące Chińczyków przybywające do Hongkongu. Kiedy zobaczyliśmy ogonek utworzony przez białych ludzi, podążyliśmy do niego instynktownie. I tak, to właśnie była nasza kolejka do odlotu. Podczas gdy moi rodzice w niej stanęli, wraz z Robertem odeszliśmy na chwilę na bok.

– No bo naprawdę – powiedziałam – żeby aż musieli mi przeciąć brzuch, żebyśmy mogli ze sobą zerwać i żebyśmy mogli teraz pożegnać się jak prawdziwi przyjaciele...

– Zawsze byłaś wspaniałą, Saro – stwierdził Roberto.

– Dziękuję ci za wszystko, Roberto. Naprawdę.

– Zrobiłabyś to samo dla mnie, wiem.

Uśmiechnęłam się, bo miał rację. Zrobiłabym dla niego to samo. Matka dała mi znak, żebym się pospieszyła, bo nadeszła nasza kolej. Zostawiłam na chwilę Roberta, podeszłam do lady, nadałam walizkę, a chińska dziewczyna za ladą doskonałym angielskim zadała mi pytanie, czy chcę siedzieć przy oknie, czy przy przejściu. Odpowiedziałam, że przy oknie, i wróciłam do Roberta. I ucałowaliśmy się, jak całują się przyjaciele. I uściskaliśmy się, jak ściskają się przyjaciele. I poczułam się podniesiona na duchu.

– Wiesz, co mi powiedział ojciec, kiedy żegnał mnie na lotnisku przed wylotem do Chin? Żebym nie bała się wrócić, jeśli będę chciała. Że nie muszę nikomu niczego udowadniać. Ty też nie. Jeśli zbrzydnie ci ryż, wracaj. Dobrze?

– Dobrze.

– Przyrzekasz?

– Przyrzekam. Nie żałujesz, że nie zostałam dłużej w Hongkongu? Że go nie poznałaś? Bo przecież nawet nie wyszłaś z hotelu.

– Myślę, że taki już mój los z tobą: podróżować do miast, których potem nawet nie oglądam. Najpierw do Paryża, a teraz do Hongkongu.

– Nie zrzucaj na mnie winy, bo z tego, co wiem, to czułyście się obie z matką wspaniale w hotelu i nawet wam w głowie nie powstało nigdzie chodźć.

– No tak.

Zapowiedziano po angielsku nasz lot i wezwano pasażerów do odprawy. Jeszcze raz

objęłam Roberta.

– Co będziesz robiła po powrocie? Chcesz wrócić do swoich piór?
– Jeszcze nie wiem. Ale mam przed sobą czternaście godzin lotu. Mnóstwo czasu, żeby się zastanowić.

– Jeśli matka zostawi cię w spokoju.

– Już jej dałam pigułkę na uspokojenie.

– A z Aarónem co? Co zrobisz?

– Pójdę na jego ślub i będę robiła dobrą minę do złej gry.

– O ile będzie ślub.

– Wszyscy jesteście jacyś dziwni... Dlaczego nie ma być ślubu? Jasne, że się pobiorą. Podszedł do nas ojciec, żeby uściskać Roberta.

– Dziękuję za wszystko, Roberto. Musimy to jeszcze omówić – powiedział dość tajemniczo.

– Ci tutaj widzą to jasno, tylko tyle ci powiem. Tak więc teraz wszystko zależy od ciebie.

– Kim są ci tutaj? Co jeszcze musicie omówić? – spytałam.

– Nasze sprawy – odpowiedział ojciec.

– Nasze sprawy – powtórzył Roberto.

Dwa tygodnie do ślubu

Matka uparła się, żebym zamieszkała w domu w Aravace.

– Przecież nie masz już sklepu w domu babci. Co tam będziesz sama robiła? Zresztą twój ojciec już rozpoczął remont. Prawda, Arturo?

– Jeszcze nie.

– Arturo, jak się umówiliśmy?

– Nie wiem, jak się umówiliśmy, ale nie mam zamiaru oszukiwać swojej córki. Przecież nawet nie miałem czasu, żeby się do tego wziąć.

– A więc mogę zamieszkać w domu babci do rozpoczęcia robót budowlanych. Tak?

– Nie. Zamieszkaś z nami – stwierdziła matka.

– Z wami? – spytałam zdziwiona. – Tato też zamieszka w Aravace?

– Mogę? – spytał ojciec matkę, nie kryjąc zaskoczenia i nadziei.

– Są wolne pokoje. Zresztą nigdy nie wyrzucałam cię z twojego domu.

Ojciec pokiwał głową. Sądzę, że nie do końca na takie zaproszenie liczył, ale i tak było to lepsze niż nic.

Całą tę rozmowę prowadziliśmy, oczekując w sporym ogonku na postoju taksówek przy Terminalu 4 madryckiego lotniska.

– Nie wiem, dlaczego nie poprosiłeś Lu, żeby wzięła twój samochód i przyjechała po nas.

– Matka robiła ojcu wyrzuty. – Po spędzeniu tysięcy godzin w samolocie muszę teraz wystawać w kolejkach!

– O nie! Nigdy nie pożyczam jej samochodu – powiedział ojciec. – Zwłaszcza teraz, kiedy jest myślami gdzie indziej.

– To prawda. Ten ślub doprowadza ją do rozstroju nerwowego – poparła go matka.

– Jaki ślub? Nie będzie żadnego ślubu – zawyrokował ojciec.

To już wyglądało na spisek. Wszyscy jakby się uwzięli, żeby wygłaszać czarne prorocтва o ślubie Lu. Miałam tego dosyć, bo pod wpływem tych sugestii zaczynałam sobie robić fałszywe nadzieje.

– Będzie, będzie. Tych dwoje aż się pali do ślubu. – Staralam się przekonać samą siebie.

– Na wszelki wypadek nie kupuj za drogiego stroju na tę okazję – mruknął ojciec.

– Ale przynajmniej wybierz sobie coś ładnego – dodała matka. – Bo z twoją siostrą to nigdy nie wiadomo, a przecież nie będziesz chciała wystąpić na jej ślubie jak jakaś łachmaniara.

Gdy nadeszła nasza kolej, pojawił się ten sam problem co w Hongkongu: nasze walizki nie mieściły się w jednej taksówce.

– No bo ty się uwzięłaś, żeby wykupić pół miasta – marudził ojciec.

– Przecież nawet nie wyszłam z hotelu.

– Tylko ty jesteś zdolna wykupić pół miasta bez wychodzenia z hotelu. Aż się boję spojrzeć na rachunek.

– Nie bądź takim skąpiradłem. Świetnie ci zrobił chiński klimat, ale widzę, że już ci przechodzi...

– No to ja wezmę drugą taksówkę i korzystając z okazji, zajrzę do domu babci

– stwierdziłam.

– Nie ma mowy, żebyś tam została, Saro – powiedziała matka.

– W porządku, ale muszę zabrać parę rzeczy. Obiecuję, że najpóźniej jutro stawię się w Aravace.

– Ależ z siebie uparciucha...

– A ty, tato, jedziesz z mamą, prawda?

– Co? A, tak... Oczywiście. – Ojciec wykorzystał okazję.

I wsiedli razem do taksówki. Mrugnęłam do ojca, zamykając za nimi drzwi, a on uśmiechnął się jak psotny chłopiec.

Złapałam następną taksówkę i podałam adres na ulicy Velarde.

Otworzyłam drzwi i odetchnęłam powietrzem swojego domu. Wróciłam do punktu wyjścia. Moja pięcioletnia wyprawa do Chin nie trwała nawet trzech tygodni. Moje życie z Robertem roztrzaskało się w drobny mak. Nie miałam planów na przyszłość, a moim jedynym zobowiązaniem krótkoterminowym było asystowanie przy tym, jak moja siostra składa przysięgę małżeńską. Tylko tyle i aż tyle. Postarałam się natychmiast wyrzucić tę myśl z głowy. Miałam mnóstwo innych rzeczy do przemyślenia. Bo chociaż zapowiedziałam Robertowi, że wykorzystam czas spędzony w samolocie, żeby poukładać sobie wszystko w głowie, tak naprawdę nie udało mi się o niczym pomyśleć, na co decydujący wpływ miała gadanina matki, ponadto cztery obejrzone filmy i kilka godzin snu.

Czy pragnę powrócić do piór? Jedno wydawało się jasne: nie mam zamiaru ponownie zagrzebać się w sklepie. Zbyt wiele poświęceń, za dużo niespełnionych marzeń, za głęboka frustracja. To już było i nie wypaliło. Muszę znów rozpocząć od zera, bez presji, bez rozmyślania o przeszłości, bez obciążenia minionymi klęskami. Muszę się ośmielić żyć nowymi marzeniami, ponownie muszę się wznieść wysoko. Ale szczęśliwie nie muszę rozpoczynać już dziś wieczorem. Nie ma pośpiechu. Mogę sobie otworzyć butelkę wina, jeśli jakąś znajdę w lodówce, albo piwo, i nacieszyć się samotnością. Zostawiłam walizkę na korytarzu i weszłam do kuchni. Otworzyłam lodówkę i, na widok doskonałej pustki, nagle uzmysłowiłam sobie, jak bardzo, bardzo jestem samotna, i to uczucie wcale mi się nie spodobało. Przez tyle tygodni wdychałam do chwili, gdy zostanę sama w swoim domu, a teraz, po niespełna pięciu minutach, już zaczęłam tęsknić do gwaru i rozgardiaszu, jakie tu panowały, gdy dom był pełen ludzi. Nawet nie miałam czasu, żeby zagłębić się w rozpamiętywaniu i użalaniu się nad sobą, bo usłyszałam jakiś hałas na korytarzu. Aż podskoczyłam ze strachu.

– Jest tam kto? – zapytałam.

Wychyliłam głowę na korytarz i ujrzałam, że z mojej sypialni wychodzi Lu. Była w samych majtkach.

– Sara? Co ty tutaj robisz?

– A ty?

– Nie miałaś przylecieć jutro?

– Nie. Dzisiaj.

– Myślałam, że jutro. Nawet się wybierałam po was na lotnisko...

Z sypialni dobiegły jakieś odgłosy. Aha! Uśmiechnęłam się do Lu.

– Widzę, że problem z Aarómem znalazł szczęśliwe rozwiązanie. A tato i mama twierdzili, że już po ptakach.

Lu zrobiła dziwną minę. W tej samej chwili otworzyły się drzwi sypialni i na korytarz wyszedł... Eric! Całkiem nagi. Mało brakowało, a padłabym trupem. To jakieś szaleństwo! Co robi Eric w Hiszpanii? Goły? Z moją siostrą?

– Eric!

Wiking zasłonił się wstydliwie oburącz. Mignęła mi jedynie kępka rudego owłosienia.

– *Hello, Sara! Zdobyłem the job. Here in Spain!*⁴⁵

– Zdobyłeś *the job* oraz, ewidentnie, moją siostrę.

– Ona poszukała mnie na lotnisku.

– I zaciągnęła do łóżka...

Spojrzałam ciężkim wzrokiem na Lu. Czekałam na wyjaśnienie. Na bardzo dobre wyjaśnienie, bo wciąż nie mogłam się otrząsnąć ze zdumienia. Z osłupienia. A niech to, przecież to niewiarygodne, to do niczego niepodobne, to nie może być. Nie i nie. Niech się tłumaczy, i to już. Do raportu marsz!

– A więc to tak postanowiłaś rozwiązać problem z Aarómem?

– Zimno, ja do środka – powiedział Eric i, zanim wrócił do sypialni, uśmiechnął się do mnie. – *I'm glad to see you*⁴⁶.

Zostałyśmy same.

Za to z pokoju zaczął dobiegać śpiew: „Jestem już Hiszpanem, Hiszpanem, Hiszpanem!”.

– Lu, bardzo cię proszę, wyjaśnij mi, o co chodzi.

Moja siostra wyglądała na nieco zawstydzoną.

– Pamiętasz piosenkę Aaróna, którą ci puściłam przez Skype'a?

– Tak.

– O tym, że miłość, tak jak przychodzi nagle, tak i nagle odchodzi?

– Tak, pamiętam, Lu. Doskonale pamiętam.

– Tak naprawdę to...

I zamilkła. Spojrzałam na nią, żeby ją zachęcić do mówienia.

– To co, Lu?

– Tak naprawdę to ja mu to powiedziałam.

– Jak to: ty mu to powiedziałaś?

– Podczas jednej z naszych kłótni. Powiedział, że to niemożliwe, żebym była aż tak rozedrgana tylko z powodu ślubu. Że to nie jest nawet średnio normalne. Że to musi być coś więcej. I wtedy mu to rzuciłam w twarz.

– Co mu rzuciłaś?

– Że sądzę, że już go nie kocham. Że mi przeszło.

– Co?

– Wszystko. Wszystko, co do niego czułam i już nie czuję. Gdzieś zniknęło.

– Jak to zniknęło?

– No właśnie, zniknęło gdzieś, rozwiało się. Już tego nie odczuwam, szukam i nie znajduję. Słucham jego piosenek, przypominam sobie jego żarty i nic. Tego, co było, już nie ma.

– Tak po prostu? Cała miłość, jaką czułaś, wyparowała?

– Najprawdopodobniej.

– Lu... Nie widzisz, że to nienormalne? Że tak nie może być?

– Jak nie, jak tak? Są miłości, które trwają całe życie, i inne, które kończą się w ciągu weekendu. Moja miłość trwała cztery miesiące.

– Ależ...

– Taka jest prawda. Skończyła się. Była intensywna, namiętna, ale już jej nie ma.

– I po zerwaniu z Aarómem nie przyszło ci do głowy nic lepszego, jak tylko błyskawicznie wskoczyć do łóżka z Erikiem?

– Nie zerwałam z nim.

– Wyjdiesz za niego?

– Nie. Oczywiście, że nie. Przecież Aarón też nie chce się żenić.

– Jak to? On też nie chce się żenić?
– Wczoraj mi to powiedział. Że po usłyszeniu tego wszystkiego, co mu powiedziałam, zaczął rozmyślać i piosenka sama mu się ułożyła. Czekał, zaraz ci ją puszcze całą.
– Naprawdę chcesz mi puścić piosenkę? Teraz? Wolałabym raczej, żebyś coś na siebie włożyła.

Lu poszła do sypialni i po chwili wróciła z laptopem i koszulką. Wkładając koszulkę, jednocześnie przeglądała pocztę przychodzącą. Natomiast ja usiłowałam sobie poradzić z natłokiem informacji i nadać nieco sensu temu, co właśnie usłyszałam.

– O, mam ją.

Wcisnęła „play”. I ponownie usłyszałam tę piosenkę.

A co, jeśli miłość, tak jak przyszła, odchodzi?

Jeśli nadeszła tak nagle,

dłaczego nie miałyby równie nagle odejść?

Powiedziała mi to bez namysłu,

i teraz już wiem,

że nasza miłość była jednoczesna.

Naraz zakochaliśmy się w sobie

I odkochaliśmy się też w jednej chwili.

Lu wcisnęła „stop”.

– No i co powiesz? – zapytała.

– Że nie mogę dojść do siebie. Ale wytłumacz mi jedno: zerwaliście ze sobą osobiście czy też porozumiewacie się jedynie za pomocą piosenek?

– On już mnie nie kocha. Nie słyszałaś? On już mnie nie kocha.

– Ty jego też nie.

– Aha. Ale powiedz sama, czy to nie jest naprawdę mocne, że on już mnie nie kocha?

– Nie wiem, co ci powiedzieć, Lu. Zdumiewasz mnie, lub, lepiej powiedziawszy, zdumiewacie mnie obydwójce. A czy po wysłuchaniu piosenki rozmówiliście się ze sobą?

– Jasne.

– I?

– No, że nie ma ślubu.

– No to jednak z nim zerwałaś.

– **Zerwaliśmy** jednocześnie. Nie słyszałaś? Piosenka mówi o tym wyraźnie.

– Niech ci będzie, Lu. Jednocześnie. Bardzo dobrze. A jak... Jak się teraz czujesz?

– Chyba się znowu zakocham.

– Że co takiego?

– W wikingu.

– Do reszty oszalałaś!

– Dlaczego? Nie widziałas, co Eric ma między nogami?

– A więc nie, Lu! Nie widziałam! I nie mam zamiaru oglądać! A ty... ty... ty jesteś chora na głowę! Całkiem popaprana!

– Rozluźnij się, co?

– Mam się rozluźnić? Rozluźnić? Właśnie posłałaś w diabły własny ślub, właśnie posłałaś w diabły takiego świetnego faceta, jakim jest Aarón, niewiarygodnie fajnego faceta, który był wielką miłością twojego życia i od razu rzuciłaś się na pierwszego lepszego draba, i na domiar wszystkiego zaczynasz mi opowiadać o jego... o jego...

– Kutasie – dokończyła za mnie Lu. – Uwierz mi, jest o czym mówić. Pierwszorzędnej jakości narząd.

– Jazda do wariatkowa! Porąbało cię bez reszty. Mówię ci: do wariatkowa. Ty nie możesz być moją siostrą. Nie, to niemożliwe. To mi się chyba śni. To musi być zły sen. Żle z tobą, Lu, bardzo źle, fatalnie.

– Okropnie silnie to przeżywasz – stwierdziła.

– Czekaj no, przecież sama mi mówiłaś, że Aarón jest miłością twojego życia, że nigdy niczego podobnego nie czułaś. Że za nim pojechałabyś do Chin, że zostawiłabyś wszystko, że... że...

– No więc, już nie.

– Już nie.

– Nie.

– Nie. Już nie. I jako że już nie, przelatujesz wikinga. No i zapominamy o wszystkim, całe to zamieszanie, twoje histeryczne ataki, ślub, wszystko to poszło się... O Boże! Boże drogi!

– Co się z tobą dzieje?

– Ze mną? Co się ze mną dzieje? Ty się lepiej zastanów, co się dzieje z tobą.

– Dziewczyno, mówisz zupełnie, jakbym była pierwszą osobą w dziejach ludzkości, która odwołuje ślub.

– Lu! Dałaś nam wszystkim do wiwatu, tańczyliśmy, jak nam zagrałaś, doprowadzałaś wszystkich do szału, że suknia ślubna, że miłość wieczna, że to, że tamto... A teraz już go nie kochasz i nie wychodzisz za mąż! Tak po prostu!

– Cholerka, widzę, że aż się paliłaś do tego, żeby Aarón został twoim szwagrem.

– Nie! W żadnym bądź razie! Nie miałam na to najmniejszej ochoty! Żebyś wiedziała!

– No to dlaczego tak się unosisz?

– No bo... no bo...

Zamilkłam. A z sypialni wyszedł Eric, który postanowił to wyjaśnić mojej siostrze.

– *She's in love*⁴⁷.

– Kto? Moja siostra? Przecież właśnie rozstała się z Robertem.

– *She loves Aarón*⁴⁸.

– Moja siostra?

– Nie! – krzyknęłam.

– Jesteś zakochana w Aarónie? – spytała Lu z wyrazem powątpiewania na twarzy.

– Co za bzdury – odparłam. – Wikingowi coś się przywidziało. Cóż on może wiedzieć?

Eric spoglądał na mnie z zadufaną miną. Palant. Miałam ochotę go zamordować. Jak się dowiedział? Roberto mu się zwierzył czy może jednak było po mnie wszystko widać?

Tymczasem Lu nagle zrozumiała, że Eric mówi prawdę i że jestem zakochana w Aarónie po uszy.

– To prawda – powiedziała z takim wyrazem twarzy, jakby ją poraził piorun.

– Zakochałaś się w moim byłym... I to dlatego mówisz, że jest wspaniały i fantastyczny, i... I to dlatego tak szalejesz. No, to mnie zaskoczyłaś, siostrze.

– W nikim nie jestem zakochana!

– Od kiedy?

– Nie jestem... – I naraz się załamalam. Po co wciąż kłamać? – Od siedemnastego roku życia – wypaliłam. – Zadowolona?

– Poważnie? Poważnie? To się w pale nie mieści! Od kiedy miałaś siedemnaście? Tak naprawdę zakochana?

Sama już nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– I dopuściłabyś, żebym za niego wyszła za mąż? Kryłaś się z tym i nie miałaś zamiaru mi o tym powiedzieć, i pozwoliłabyś, żebyśmy on i ja...?

– Ślub był postanowiony, nie mogłam się w to mieszać.
– *She is so generous*⁴⁹.
– Zamknij się, wikingu! – wrzasnęłam.
– Mocne. Ależ to mocne. A on? On o tym wie? – spytała Lu.
– Nie. Jasne, że nie wie. I nigdy się nie dowie – stwierdziłam.
– Dlaczego nie? – spytała moja siostra.
– Dlatego że... dlatego że... Lu! Dlatego że jeszcze dwa dni temu miał brać ślub z tobą i dlatego, że nie mam u niego najmniejszych szans, skoro podobają mu się takie jak ty. Spójrz na siebie i na mnie! Jak dzień i noc!
– No, to akurat gra na twoją korzyść. Bo mnie już nie kocha. No i niewykluczone, że nabrał pewnego urazu do dwudziestoletnich panienek i nagle mogą mu się zacząć podobać takie raczej starutkie.
– Starutkie?
– No, takie trzydzieści plus.
– Trzydzieści. Mam trzydzieści lat.
– Przewrażliwiona jesteś.
– Głupia jesteś.
– No i dlaczego mnie wyzywasz?
– Bo... Nie wiem... Bo... Nie wiem... Chyba mózg mi się już zlasował od tego wszystkiego – powiedziałam.
– Ona jest potrząśnięta – stwierdził Eric. – Wszystko bardzo, bardzo mocne.
– Ale weź się zastanów, Lu – ciągnęłam. – Wydaje ci się logiczne, żebym się zaczęła uganiać za twoim byłym, z którym miałaś wziąć wkrótce ślub?
– Sama nie wiem... Natomiast to, co nie wydaje mi się logiczne, to że mi nie powiedziałaś, że jesteś w nim zakochana.
– Jak mogłam ci o tym powiedzieć, Lu? Jak?
– Po prostu. Siadasz i mówisz: „Lu, masz zamiar wyjść za mąż za miłość mojego życia”.
– Tak? I co? Co byś zrobiła? Co? No co?
– Tego już nigdy się nie dowiemy – stwierdziła. – Ponieważ tego nie powiedziałaś...
– Doprowadzasz mnie do szału.
– Popatrz no, jednak masz coś wspólnego z Aarómem. Przez ostatnie dwa tygodnie cały czas mi to powtarzał. Że go doprowadzam do szału. I że w swoim życiu miał aż za dużo do czynienia z nieźrównoważonymi osobami, i że nie ma zamiaru tego znosić. Tak właśnie. Wyzywał mnie od nieźrównoważonych, cały z siebie zadowolony.
– Wiesz co? Muszę się trochę przejść. Muszę stąd wyjść.
– Świetny pomysł.
– I natychmiast powiedz o tym matce!
– O czym? Że jesteś zakochana w moim byłym?
– Nie! Że nie ma ślubu!
– Dobrze już, dobrze. Uspokój się.
– *She has strong feelings*⁵⁰ – powiedział Eric.
No i poszłam sobie stamtąd, z domu babci, z tego domu wariatów. Musiałam odetchnąć, pomyśleć, wykrzyczeć się...
Wyszłam na ulicę. Nie byłam w stanie nawet zaczerpnąć tchu. Dlaczego byłam tak wstrząśnięta, skoro fakt, że moja siostra nie zostanie żoną Aaróna, stwarzał mi pewną szansę? Może właśnie dlatego, może napięcie i lęk, które mnie ogarnęły, były spowodowane tym, że teraz wszystko będzie już zależeć tylko ode mnie? A ponadto – ponad wszystko – czułam się jak

głupia i odnosiłam wrażenie, że chyba pobiłam światowy rekord głupoty. W imię czego tłumiałam moje potrzeby, w imię czego odsunęłam na bok marzenia, w imię czego się torturowałam, w imię czego tak cierpiałam... Z powodu tego przeklętego ślubu, z powodu źle ulokowanego uczucia, z powodu poczucia niedostosowania, z powodu ogólnej niemożności... Z powodu głupiego serca! Zgłupiałam do tego stopnia, że nawet wyprowadziłam się do Chin, żeby uciec przed tym ślubem. Zmieniłam całe swoje życie! To wszystko przez Aaróna i Lu! Mało brakowało, a bym się przekreśliła w chińskim szpitalu z ich winy! A oni nagle, bez uprzedzenia, zmienili zdanie, tak jak zmienia się spodnie czy koszulę, podjęli życiową decyzję równie beztrzesko, jak decyzję o przejściu na drugą stronę ulicy lub o obcięciu włosów. Bez dramatów, bez krzyków, bez udręki. Miałam ochotę krzyczeć. Wrzeszczeć! Drzeć się na cały głos! I krzyknęłam. Czym przstraszyłam trzech młodych, brodatych hipsterów, którzy szli właśnie ulicą i spojrzeli na mnie jak na wariatkę. No to co, niech mnie nazywają wariatką chłopcy z dzielnicy, a panowie w białych kitlach zaproszą do miłej, przytulnej kliniki, co mi tam. I znowu głośno krzyknęłam. Nie, proszę państwa, nie jestem szalona, byłam nią do wczoraj, bo szalałam z miłości! Miiiiiiłość, miiiiiiłość, szalona miiiiiiłość... Może nie zwariowałam do reszty, ale nie było wątpliwości, że moja równowaga emocjonalna uległa sporemu zaburzeniu. Jak oni mogli... Jak mogli! Wrrrr! Krzyknęłam po raz kolejny, tym razem przerażając dwie panie, które wyprowadzały na spacer swoje pieski. Pieski też dziwnie na mnie spojrzały.

Ruszyłam szybkim krokiem. I szłam, i szłam. Ulica Fuencarral: Lu i Aarón już się nie pobierają, Gran Vía: Roberto i ja już nie jesteśmy parą, ulica Alcalá: Lu i Aarón już nie są po słowie, ulica Serrano: jestem singielką, Paseo de la Castellana: Aarón jest stanu wolnego; i w ten sposób, sama nie wiem jak, znalazłam się na placu Colón. Tam się zatrzymałam, wyczerpana. Mimo że przeszłam tyle kilometrów, w głowie nie pojawiły mi się żadne myśli, jedynie jak w kołowrotku miałam setki razy to samo: Aarón i Lu nie wezmą ślubu, a ja już nie mam narzeczonego. No i co? Co miałabym z tym zrobić? Usiłowałam wezwać Innę podczas tego forsownego marszu, aby odbyć z jej wyobrażeniem jeden z tych wewnętrznych dialogów, które zawsze tak mi rozjaśniały myśli, ale się nie zjawiła. Oczywiście jest też, że do niej nie zadzwoniłam. Nie miałam na to siły. Dotknęłam blizny na brzuchu. Powinna mi przypomnieć o przyrzeczeniu, które złożyłam samej sobie, że mam żyć intensywnie i bez strachu. Ale nic mi nie pomogło, że przesuwałam opuszkami palców po linii szwu; nie udało mi się odzyskać tej siły i determinacji, które odczułam w chwili, gdy zrozumiałam, że żyję i że nie umarłam na stole operacyjnym. Czyżby postanowienia, które ludzie czynią, będąc między życiem i śmiercią, trwały tak krótko? Czyż nie przeżyłam w Chinach objawienia? Czyżbym nie była już inną osobą? Dlaczego wróciły moje stare lęki?

Nagle ogarnęło mnie skrajne znużenie. Przecież dopiero co przeleciałam przez pół świata i wróciłam do Madrytu, gdzie wszystkie fundamenty mojego życia legły w gruzach pod moimi stopami. Nie miałam narzeczonego, nie miałam swojego sklepu, a moja siostra już nie wychodziła za mąż za Aaróna. I jak głupia chodziłam godzinami po mieście, usiłując się pozbiierać do kupy. Gdy tylko zobaczyłam wolną taksówkę, podniosłam rękę. Wsiadłam i podałam adres:

– Do Aravaki proszę.

Rodzice trochę się zdziwili na mój widok.

– A walizki?

– Jutro po nie pojedę.

Musiałam wyglądać okropnie, bo nawet matka się zaniepokoiła.

– Kochanie, dobrze się czujesz?

– Żadnego pożytku nie ma z tej szramy – stwierdziłam, wskazując na swój brzuch.

– A do czego miałyby się przydać? – Ojciec wydawał się niczego nie rozumieć.
– Ponadto mieliście rację – powiedziałam. – Nie ma ślubu. Wasza córka nie wychodzi za
mąż.
– Wiedziała! Wiedziała! – krzyknęła matka. – Już ja jej powiem do słuchu! Popamięta
mnie!
– Ja już jej zmyłam głowę.
– Chodź do środka. Napijesz się czegoś ciepłego. Widać, że tego potrzebujesz.
Weszłam do domu i skierowałam się prosto do kuchni. Rodzice szli za mną.
– Coś ciepłego? Chyba wolałabym dzin z tonikiem.
– Jesteś po operacji, Saro – powiedział ojciec.
– I co ja z tego mam? – zapytałam.
Ojciec spojrzał pytająco na matkę.
– I to wszystko dlatego, że twoja siostra nie wychodzi za męża? – zaryzykowała pytanie.
– Co ja teraz zrobię z moim życiem? Co? Co?
– Możesz się przygotować do egzaminów konkursowych – zasugerowała matka.
– Nie chcę! – wrzasnęłam. – Nie udałam się do Chin po to, żeby wrócić i zdawać
egzaminy!
– Dobrze już, dobrze. Zapomnijmy o egzaminach. – Matka mówiła teraz polubownym
tonem.
– Lu nie wychodzi za męża – powtórzyłam.
– Już nam o tym mówiłaś, kochanie – powiedział uspokajającym tonem ojciec. – Jeśli
chcesz, skrzyczmy ją jutro. Zadowolona?
– Nie wychodzi za męża za Aaróna – uściśliłam.
Matka kręciła głową, jakby uznała, że jestem straconym przypadkiem.
– Przygotuję ci zioła alpejskie. Podwójne. Na mnie działają wprost wybornie
– powiedziała.
– Jestem taka zmęczona...
– Tak, kochanie. Tak.
Matka nastawiła wodę i poprosiła ojca, żeby poszukał ziół. Ojciec otworzył jedną
z kuchennych szuflad i wyciągnął z niej paczkę ziołowej herbatki.
– Nie ta, alpejska, alpejska ma być. Ta się nie nadaje – zaprotestowała matka.
– W porządku... Nic mi nie jest – mamrotałam z miną, która wskazywała na coś wręcz
przeciwego.
– Poczujesz się lepiej po wypiciu ziół – stwierdziła matka. – Dwie torebeczki i będziesz
jak nowa. Co jeszcze możemy dla ciebie zrobić? Mów, kochanie.
– Mogę z wami spać?
– Z nami? – Matka oburzyła się na tę dziwną propozycję. – Saro, na litość boską.
Przecież masz trzydzieści lat.
– Aha... – odpowiedziałam z poczuciem klęski.
– A ponadto twój ojciec jeszcze ze mną nie sypia.
– Nie? – spytałam, patrząc na ojca.
Pokręcił głową z żalem.
– Ale wszystko się ułoży – stwierdził.
– Arturo! To się jeszcze zobaczy.
– Nie mieszaj dziecka do naszych spraw, kobieto.
– W porządku, w porządku. Róbcie, co chcecie. To nie moja sprawa. Jestem dorosła. Idę
do łóżka. Swojego. Sama.

I wyszłam z kuchni, potykając się. Matka pognała za mną z alpejską herbatą.

– Nie pijesz?

– Ach tak, zioła. – Wzięłam od niej kubek i upiłam łyk. – Pyszne.

Poszłam na górę z kubkiem w dłoni.

– Powiedziała, że jej smakuje? – Usłyszałam słowa matki. – No to musi być naprawdę chora, naprawdę...

Położyłam się do swojego starego łóżka. Przykryłam głowę kołdrą. I zasnęłam.

Kręcenie teledysku

Ocknęłam się o piątej rano, wyspana i wypoczęta. Kilka sekund trwało, zanim zdałam sobie sprawę, że jestem w moim dawnym pokoju w domu w Aravace. Nie pamiętałam, co mi się śniło; było to dziwne, bo zazwyczaj dobrze pamiętam sny. Natomiast doskonale pamiętałam, i to w każdym szczególe, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru. Rewelację Lu, moje dziwaczne zachowanie, wędrówkę bez celu po Madrycie i załamanie w domu rodziców. No i teraz już mogłam wezwać na pomoc wyobrażenie Inmy, bo odzyskałam siły i chciałam, żeby ona (czyli ja) wyjaśniła mi to wszystko.

– Ojej, Inma...

– Już jęczysz, Saro. Źle zaczynasz.

– Czy wiesz, dlaczego tak, a nie inaczej zareagowałam na wiadomość o tym, że nie ma ślubu?

– Ja wiem i ty też wiesz. W końcu dlatego mnie wezwałaś i dlatego sobie mnie wymyślasz. Wiesz aż za dobrze.

– Ale dlaczego się nie ucieszyłam? Przecież na dokładkę Lu, gdy się dowiedziała, że jestem zakochana w jej byłym, niemal udzieliła mi swojego błogosławieństwa.

– Podoba mi się, że mówisz o nim „były”. W ten sposób się przyzwyczajasz i wbijasz sobie do łepetyny, że już nie należy do twojej siostry, że jest wolnym człowiekiem.

– No to dlaczego się załamałam?

– Bo masz niedobrze w głowie. Przecież w końcu spełniło się wszystko, czego chciałaś. Równanie zostało uproszczone, wszystkie zmienne się wyzerowały, nie ma już Roberta, nie ma ślubu, masz przed sobą wolne pole i teraz, gdy nie ma już żadnych przeszkód, nawala tylko jedno.

– Co?

– Ty sama.

– Ja?

– Tak, ty. Sama dla siebie jesteś najgorszą przeszkodą. Zawsze tak było. A weź pod uwagę, że życie podarowało ci wielką chińską rewelację w kształcie blizny na brzuchu, żebyś miała odwagę rzucić się do przodu. Jednak nawet i to nie pomogło.

– Ale...

– Ty i to twoje „ale”. No już, oświeć mnie.

– Jak mam to zrobić? Jak mam wyznać Aarónowi uczucie? A i to w przypadku, gdybym się odważyła i gdyby to był rozsądny pomysł, a z góry cię uprzedzam, że nie jest. Tak jak skończyłam z piórami, tak i powinnam skończyć z Aarónem, i zamknąć ten rozdział życia.

– No i sama popatrz, jaka jesteś beznadziejna. Kto ci powiedział, że powinnaś skończyć z piórami?

– Ty! Ty sama! To ty mi powiedziałaś, że się zawzięłam, że z uporem godnym lepszej sprawy czepiam się rzeczy, które nie są dla mnie. Że tracę na to całą życiową energię.

– Sklep, chodziło mi o sklep! Traciłaś całą energię na usiłowanie utrzymania się na powierzchni. I to cię całkiem wyczerpywało. Ale czym innym jest zamknięcie sklepu, a czym

innym odstawienie na bok swojej pasji do piór. Jak gdybyś nie mogła jej nadać innego biegu...

– Ale jak?

– Dziewczyno, nie wszystko naraz. Czyżbyś nie wezwała mnie po to, żeby pogadać o Aarónie?

– Tak, tak. Ale mnie zbijasz z tropu.

– Ja? No coś takiego...

– No to powiedz, co mam zrobić, jeśli nie chcę o nim zapomnieć i chcę, żeby zwrócił na mnie uwagę, i jeśli chcę, żeby... No właśnie, co mam zrobić?

– A co zrobiłaś, żeby na ciebie zwrócił uwagę wtedy, po raz pierwszy?

– Najpierwszy?

– Aha.

– Wpisałam się na listę organizatorów przedstawienia i wymyśliłam tę scenografię z piórami.

– I spodobało mu się to. Tak mu się spodobało, że gdybyś wtedy nie uciekła, skończyłoby się pocałunkiem.

– On tak twierdzi. Ale dla mnie to nie jest takie oczywiste...

– No to masz okazję, żeby się dowiedzieć, czy teraz sprawa zakończy się pocałunkiem, czy nie.

– Co masz na myśli?

– A czy nie poprosił cię, żebyś wzięła udział w kręceniu jego teledysku? Żebyś zaprojektowała kostiumy?

– Poprosił, ale to dlatego, że było mu mnie żal, i żeby zrobić przysługę mojej siostrze i zatrzymać mnie w Madrycie do dnia ślubu.

– Tego nie możesz wiedzieć.

– Nie bądź taką mądrałą, Inmo.

– Nie wyzywaj mnie od głupich.

– Nie wyzywam cię... to znaczy się. Ale z pewnością wszystko już się zmieniło, praca nad teledyskiem jest już zaawansowana, na pewno już nie jestem mu potrzebna.

– Spróbuj.

– Łatwo ci mówić.

– Zależy ci na nim czy nie?

– Ale z pewnością ma już kogoś, kto to robi, ponadto nie wiem, co to za teledysk i czy to, co ja mogłabym zrobić, będzie się nadawało...

– Nie powiedział ci, kto będzie reżyserował teledysk?

– Powiedział.

– No to, do diabła, poszukaj faceta w internecie, sprawdź, co poprzednio nakręcił, zastanów się, czy do tego pasujesz... Odważ się, idź do przodu, nie czekaj, aż ktoś za ciebie zadecyduje. Wszystko trzeba ci podsuwać pod nos. Brakuje tylko, żeby za ciebie żuć gumę, leniwcze.

– No, spokój mi tu, przecież to wszystko mówię ja, sama do siebie! Wymyśliłam cię, Inmo. Nie bądź taka sprytna i nie zarzucaj mi, że nie mam inicjatywy i że jestem niezdolna, i że jestem leniem, i że...

– Dobrze już, dobrze. Nie bądź taka przewrażliwiona... Wygrałaś. Ale zamiast się upierać, żeby wygrać sama ze sobą, otwórz laptopa i pogrzeb trochę w internecie.

I tak zrobiłam, słuchając jej, a właściwie siebie. A to, co wyreżyserował ten reżyser, spodobało mi się. Bardzo. Aarón miał rację, gdy mówił, że będę pasowała...

– No już, dzwoń do niego!

– Jeszcze tu jesteś, Inmo?
– Jak by ci to powiedzieć? Zmuszasz mnie do wyrabiania nadgodzin. Zadzwoń! Albo jeszcze lepiej, idź się z nim zobaczyć. Przecież Lu mówiła, że Aarón spędza całe dnie w studio nagrań.

– Wiesz, gdzie to?
– Internet, głupia. Wszystko jest w sieci... Z pewnością to to samo studio, w którym nagrał poprzednie teledyski...

– Też tak myślę.

– No to spiesz się!

I znowu jej posłuchałam (czyli *de facto* samej siebie). Po dziesięciu minutach miałam adres studia nagrań. Postanowiłam poczekać do jedenastej, zrobić się na bóstwo i pójść tam, spytać Aaróna, czy nadal potrzebuje stylistki do teledysku. A jeśli mi powie, że nie, to wtedy... Oby tylko mi nie powiedział, że nie! Błagam.

Od siódmej do dziewiątej rano zmieniałam zdanie dwadzieścia razy: iść tam czy nie. I przymierzyłam wszystkie ubrania – a było ich bardzo mało – jakie miałam w Aravace. I czułam się tak głupio we wszystkim, co wkładałam na siebie, że postanowiłam pojechać do swojego domu, to znaczy do domu babci, i przymierzyć to, co miałam w szafie. Coś na pewno powinno pasować i sprawić, że poczuję się dobrze. A jeśli w mojej sypialni zastanę Lu z wikingiem, to po prostu ich wyrzucę, i już. Nie mogę przecież pozwolić, żeby moja siostra widziała, jak ubieram się dla chłopaka, za którego jeszcze przed trzema dniami miała wyjść. Nigdy w życiu.

Ale gdy dotarłam do domu, okazało się, że oprócz Lu są tam też Eric, David, Chusa i Inma. Jak się okazało, od tygodnia byli umówieni, żeby towarzyszyć mojej siostrze w pierwszej przymiarce sukni ślubnej od projektanta, no i Lu, jak to Lu, zapomniała odwołać imprezę. Tak więc zrobiła im kawy i wprowadziła ich w temat. David i Inma, widząc mnie w progu, spojrzeli w moją stronę z błyskiem w oczach.

– Lu już nie wychodzi za mąż.

– Wiem.

– Ślub odwołany.

– No tak.

– No i co ty na to? Co teraz? – spytała Inma.

– A co ma być? Ma wolną drogę, żeby się zabrać za Aaróna. – Lu uprościła sprawę.

Wszyscy obecni – z wyjątkiem Erica, który oczywiście już wiedział o wszystkim – spojrzeli na Lu z tak wielkim zdumieniem, jak ja poprzedniego dnia.

– Nie zależy ci na nim? – chciała się dowiedzieć Inma.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziała Lu.

– Twoja siostra jest totalnie zajebista – powiedział z podziwem David. – Jest zajefajną, bombową laską, najbardziej do przodu dziewczyną z Malasañy, a należy stwierdzić, że jest to dzielnica obfitująca w nowoczesnych ludzi; ale ty, Lu, jesteś naj, naj ze wszystkich. Przed dwoma dniami wychodziłaś za mąż, a dzisiaj odstępujesz narzeczonego siostrze. I tak spokojnie do tego podchodzisz.

– Nie odstępuję go, bo już nie jest mój.

– Jesteś naj, naj, naj, Lu. Jest czy nie jest naj? – wypytywał wszystkich David.

– Chyba już załapałiśmy, Davidzie – odpowiedziałam, nieco urażona, że moja siostra nadal gra pierwsze skrzypce.

– A ty co tu jeszcze robisz? Dlaczego nie leciszy w te pędy do Aaróna? – spytała Inma.

– Przyszłam po ubranie...

Zanim zdążyłam zaprotestować, całe to towarzystwo, które przyszło tu na przymiarke

sukni Lu, wzięło się za mnie. Grzebali w szafie, wybierali ubrania. Radzili, co najlepiej będzie pasowało na pierwsze spotkanie.

– Włóż ten niebieski kostium, ten z krótką spódniczką. Twoje nogi wyglądają w nim bosko – radziła Lu.

– Lepiej dzinsy cygaretki, w nich masz fajny tyłek, a na to bluzeczkę; może być ta, trochę luźniejsza, żeby zamaskować brzusek – powiedział David.

– Jaki znów brzusek? Przecież ona nie ma brzuszka! – Inma stanęła w mojej obronie.

– Ty piękna zawsze – włączył się wiking.

Stałam jak słup soli. David zorientował się, że coś tu nie gra.

– Co ci się stało? – zapytał.

– No bo nie mogę wyjść ze zdumienia. To, że wy wszyscy jesteście tu, w mojej sypialni, decydując, co mam na siebie włożyć, żeby pójść się zobaczyć z Aarómem. A już to, że ty tu jesteś, Lu, to... nadal nie mieści mi się to w głowie.

– Im szybciej przejdziemy nad tym do porządku dziennego, tym lepiej – stwierdziła Lu zdecydowanym tonem.

– A nie lepiej by było, to tylko taka moja sugestia, oczywiście, żebym mogła się sama ubrać? – powiedziałam. – Wiem, że się umówiliście na przymiarkę, której nie ma, i że nie możecie sobie darować takiej okazji, by jednak kogoś podręczyć, ale to nie jest konieczne, zapewniam.

– No właśnie, dziewczyno. I tak tu jesteśmy. A ty potrzebujesz fachowej porady, bo jesteś tak niezrównowazona, że byłabyś gotowa pójść do niego, tak jak stoisz. Tak więc podziękuj swojej siostrze za to, że zapomniała odwołać nasze spotkanie – stwierdził David.

– Otóż to – powiedziała Lu. – Podziękuj mi.

Spojrzałam na nią i uśmiechnęłam się cynicznie.

– No już, dziękuj – ponagliła mnie Lu.

– Serio?

– Superserio.

– Dziękuję – powiedziałam.

– Niezamaco, głuptasie. To jest megazabawne. Oho, ta bluzka nie, bo w niej uwidacznia się blizna na brzuchu.

– Fakt. Lepiej nie straszmy rockmana. A co myślisz o tej zielonej?

– Nie. Lepsza już czerwona – stwierdziła Lu.

Tutaj zaczęłam słabnąć.

– Ale to prawda... Gdzie ja się wybieram z tą blizną? Straszyc Aaróna? I to zaraz po tym, jak odwołaliście wasz ślub. To niedorzeczne. Przecież właśnie mielibyśmy ubierać ciebie, Lu, w białą suknię...

– Białą? Nie miała być biała.

– W jakim kolorze miałaś wystąpić? – zainteresował się David.

– Wahałam się między srebrnym i jaskraworóżowym.

– Jaskraworóżowy? Totalny odlot! – krzyknął David. – Już mówiłem: jesteś megazajebista, a nawet supermega!

– No popatrz. A moja matka jakoś nie była przekonana do tego koloru.

– Naprawdę macie zamiar nadal omawiać suknię mojej siostry na ślub, który się nie odbędzie, bo chcę odebrać jej narzeczonego?

– Nie przeceniaj się, proszę. Ani ty, ani nikt inny jeszcze mi nikogo nie odebrał i nie odbierze. I nie narzeczonego, bo to były narzeczone. Więc nie staraj się mi pojechać.

– Och, och, siostrzyczki idą na udry. Można się było tego spodziewać – skomentował

David.

– Nie klóć się – stwierdziła Lu. – Jedynie uściślam.

– Zostawmy to, naprawdę – powiedziałam, całkowicie zadowolona. – To naprawdę absurdalne, nie mogę tam pójść i powiedzieć...

– Oczywiście, że pójdziesz i powiesz, że chcesz przyjąć propozycję pracy przy teledysku jako stylistka.

– A jeśli już ma kogoś?

– To wrócisz i wymyślimy inny plan.

Marudziłam, ale chcąc nie chcąc, pozwoliłam włożyć na siebie inny zestaw ubrań.

– Ślicznie, prześlicznie i ani śladu blizny – stwierdził David. – Teraz cię uczeszymy, troszeczkę makijażu, i już. Gotowe.

Spojrzałam w lustro. I muszę stwierdzić, że spodobało mi się to, co zobaczyłam. No bo jak na osobę, która poleciała na drugi koniec świata, tam została porzucona przez narzeczonego, znalazła się na stole operacyjnym pomiędzy życiem i śmiercią, wróciła z końca świata i usiłowała poderwać byłego Lu, nie wyglądałam źle. To znaczy, nikt by nie powiedział, że mam za sobą te wszystkie doświadczenia.

– Myślałaś już o tym, jakie kostiumy zaproponujesz do teledysku?

– Najpierw muszę się dowiedzieć, o czym jest ta piosenka i co zamierzają Aarón i reżyser. Lu, błagam, powiedz, że to nie jest ta piosenka o zerwaniu, bo jak tak, to zaraz coś mnie trafi.

– Ależ nie, spoko, tej nawet jeszcze nie zmiksował. Całkiem inna. Chyba ta, którą zaśpiewał wtedy w pubie; nie wiem, czy sobie przypominasz?

Wolałabym zapomnieć, pomyślałam, zapomnieć o tamtym dniu. Wszyscy wyszli na próg, żeby mnie pożegnać, jakbym była narzeczoną idącą do ślubu. A ja czułam się raczej jak krowa prowadzona na rzeź. Chociaż zawsze chciałam się łudzić, że zwierzęta prowadzone do rzeźni nie wiedzą, że idą na śmierć, z pewnością jednak czują, że dzieje się coś okropnego, zwłaszcza jeśli słyszą ryk innych, które są zabijane. Ale może już nie mają czasu, żeby ryczeć, bo są błyskawicznie ogłuszane prądem? No chyba mnie całkiem pogięło, że w takiej chwili myślę o sposobie, w jaki zabija się krowy!

Lu potwierdziła mi, gdzie znajduje się studio nagrań. Wsiadłam do samochodu, wpisałam adres do GPS-u i ruszyłam. Podczas drogi wypróbowałam tysiące sposobów – od najbardziej formalnych do zupełnie luzackich – przedstawienia swojej kandydatury na stylistkę kostiumów do teledysku. Ale ćwiczyłam też, jak nawiązać do sprawy anulowania ślubu. Jaka powinna być moja reakcja emocjonalna? Czy powinnam wyglądać na współczującą? Empatyczną? Czy byłaby to zbytnia hipokryzja? Ale chyba nie powinnam też zbytnio się cieszyć. A może też powinnam? Z pewnością powinnam ugryźć się w język, jeśli przyszłaby mi do głowy chęć wygłoszenia jakiegoś frazesu, na przykład: „to było do przewidzenia”, „nie pasowaliście do siebie”, „to najlepsze, co was mogło spotkać”. Dlaczego pisma kobiece, tak zawsze skłonne do udzielania rad na prawo i lewo, nigdy nie wzięły na tapetę takiej sytuacji? Na przykład mogłyby opublikować artykuł zatytułowany *Osiem kroków do sukcesu, gdy twoja siostra odwołuje ślub, a ty jesteś napalona na jej narzeczonego*.

Krok pierwszy: przywitać się z jej byłym, jakby nigdy nie było mowy o ślubie. I jakby nigdy w życiu nie przeleciał twojej siostry.

Krok drugi: uzmysłowić mu, że z dwóch sióstr wybrał tę niewłaściwą.

Krok trzeci: pokazywać dekolt. Bo do serca mężczyzny trafia się przez dekolt. Kiedy szaleją hormony, milczą neurony. I niech za dużo nie myśli, niech krew odpłynie mu z głowy sporo niżej.

Krok czwarty: jak już były siostry zostanie zgrillowany cycem, uzmysłowić mu, że wydaje ci się jak najbardziej normalne, żeby przerzucił się z jednej siostry na drugą. Jasne. No bo wychowałaś się na filmach Woody'ego Allena, a matka, karmiąc cię piersią, puszczała na wideo *Hannah i jej siostry*. Nieważne, że nigdy nie mieszkałaś w Nowym Jorku czy Paryżu (gdzie takie rzeczy z pewnością zdarzają się na co dzień). W czym jest gorsza twoja rodzinna Malasaña, przecież to East Village i Dzielnica Łacińska w jednym? Także w twoim świecie takie układy mogą, a nawet muszą być na porządku dziennym.

Krok piąty: uzmysłowić mu, że twoja siostra nie tylko jest świadoma faktu, że masz ochotę rzucić się jej byłemu na szyję, ale także popiera twoje dążenia. „Tak, najlepiej zadzwoń do niej, jeśli chcesz”, mówisz mu. A jeśli już zdążył wykasować jej numer z komórki (bo należy do tego gatunku facetów, którzy strzelają focha i chcą się jak najprędzej odciąć od przeszłości), sama mu dajesz. Numer, ma się rozumieć. Albo nawet wystukujesz mu go na komórce. Najważniejsze, żeby pogadał ze swoją eks.

Krok szósty: zadbaj, żeby mu uzmysłowić, że nie ma pośpiechu, że pozostawiasz decyzję jemu, że to on ma rozdawać karty i nadawać tempo. Jeśli zależy mu na szybkim numerku, bo potrzebuje tego, żeby się upewnić, że dobrze wybrał (wszyscy wiemy, co się stało z Hamletem przez jego rozterki), to wspaniale, ciesz się z tego. Jeśli natomiast wydaje mu się nad podziw dziwne, żeby zanurzyć wacka tam, gdzie czeka znajome DNA – chociaż my, redakcja tego hipernowoczesnego i nadzwyczaj aktualnego miesięcznika, uważamy, że każdy mężczyzna nie raz i nie dwa fantazjuje o tym, żeby posunąć siostrę swojej narzeczonej – mówisz, że poczekaś ile trzeba, aż mu się zachce. Bo być może także na przejście od jednej siostry do drugiej istnieje jakiś określony czas, podobnie jak istnieje okres żałoby. A ponieważ każdy mężczyzna jest światem samym w sobie, może miałaś ten niefart, że trafiłaś na wstydliwca. Natomiast jeśli masz to szczęście, że twój wybranek z zawodu jest: pszczelarzem ekologicznym, psychologiem zachowań społecznych, aktorem pracującym według metody Stanisławskiego lub muzykiem eksperymentalnym, możesz być spokojna, bo rzuci się na ciebie i zedrze z ciebie ubranie, zanim zdążysz się przywitać.

Krok siódmy: jeśli wykonasz poprzednich sześć kroków i jeśli istnieje choć najmniejsza szansa, żebyś wydała się atrakcyjna byłemu twojej siostry, nawet takiemu, który nie jest ani pszczelarzem ekologicznym, ani aktorem, ani muzykiem eksperymentalnym, możesz być pewna, że prędzej czy później zdołasz zaciągnąć go do łóżka.

Krok ósmy: uprzedzamy, że to, czy zakocha się w tobie do szaleństwa, będzie zależało od czynników środowiskowych, od wahań koniunktury, od czynników zbyt różnorodnych, żeby je tutaj wymieniać, a zwłaszcza od Niego i od Ciebie. Odwagi i do dzieła, przyjaciółko!

Po tym, jak wyobraziłam sobie ten absurdalny i obciachowy poradnik, pomyślałam, że jeśli nie uda mi się powrócić do zawodu *plumassière* i świata mody, powinnam spróbować swych sił jako redaktorka prasy kobiecej, bo być może mam naturalne uzdolnienia do pisania lekkich i zabawnych bzdur. Głos GPS-u oznajmił, że za sto metrów dojadę do celu. W tej samej chwili zaczęłam się trząść z nerwów.

Wysiadłam z samochodu i podeszłam do budynku oznaczonego właściwym numerem. Studio znajdowało się w okolicy zabudowanej niskimi domami, tak pięknymi, że można by zabić, żeby w jednym z nich zamieszkać. Była to jedna z tych licznych w Madrycie kolonii, gdzie nagle obok ulic z typowymi wieżowcami można odnaleźć dwie lub trzy uliczki, które wydają się przeniesione z podmiejskiej dzielnicy rezydencjonalnej. Piętrowe wille na dużych działkach z garażem, z ogrodem, niekiedy nawet z basenem i, co najważniejsze, ze stacją metra tuż obok, skąd do centrum jedzie się kwadrans.

Zebrałam się na odwagę i nacisnęłam dzwonek.

- Kto tam?
- Dzień dobry, jestem Sara Escribano, chciałabym się zobaczyć z Aarónem.
- Z kim?
- Z Aarónem Pokornym, tym muzykiem, który u was nagrywa.
- Aha, no to wchodź.

I ktoś otworzył mi drzwi bez dalszych ceregieli. Pomyślałam sobie, że pierwszy lepszy fan mógłby się tu dostać i napastować Aaróna bez najmniejszego trudu, i że być może studio powinno wykazywać większą ostrożność, wpuszczając do środka ludzi z ulicy, lecz prawdą jest też, że w tamtej chwili takie niedbałe podejście było mi na rękę.

Zaraz za progiem jakiś chłopak wskazał mi drogę do strefy nagrań. Mogłam tam pójść zupełnie swobodnie, nikt mnie o nic nie pytał i nikomu najwidoczniej nie przeszkadzało, że jakaś nieznajoma osoba kręci się po budynku. Kto wie, może wyglądałam na kogoś z branży nagraniowej: instrumentalistkę, technika dźwięku lub producentkę. Albo też byli przyzwyczajeni, że ludzie wchodzą i wychodzą, i nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Tak więc dotarłam na miejsce i przez szybę zobaczyłam Aaróna. Właśnie nagrywano ścieżkę z jego głosem. Zauważył mnie i dostrzegłam wyraz zdziwienia na jego twarzy. Uśmiechnęłam się nieśmiało, na co on obdarzył mnie szerokim uśmiechem i pomachał mi ręką zza szyby. Zaśpiewał kilka wersów. Dziewczyna przy konsoli dźwięku zrobiła gest oznaczający, że dobrze poszło, i Aarón wyszedł z akwarium, żeby się ze mną przywitać. Dziewczyna w wielkich słuchawkach zajmowała się swoją pracą i nie zwracała na nas uwagi.

- Saro! Jak się cieszę, że cię widzę! Wiesz co? Chodźmy zapalić.
- Dobrze.

I choć nie palę, z radością poszłam za Aarónem, bo chociaż dziewczyna przy konsoli wydawała się nas nie widzieć, i tak wolałam zostać z nim sam na sam. Wyszliśmy na tyły budynku, gdzie znajdował się dość zapuszczony ogród. Aarón zapalił papierosa. Zaczęłam się czuć niepewnie, bo nie miałam pojęcia, w którą stronę podąży rozmowa.

– Naprawdę się cieszę, że jesteś cała i zdrowa. Martwiliśmy się o ciebie, gdy byłaś w Chinach.

- Ach tak?
- Oczywiście. Lu była okropnie zmartwiona.
- Z pewnością dlatego, że myślała, że jeśli coś takiego mogło się zdarzyć mnie, równie dobrze mogłoby się przydarzyć i jej. Na ile ją znam, to z pewnością poszła do lekarza i dała się przebadać.

- Dobrze ją znasz, fakt. Ale o ciebie też naprawdę się martwiła. I ja też.
- Ale już wróciłam i wszystko jest w porządku.
- I masz wielką bliznę na brzuchu, prawda? Pokaż...

Spojrzałam na niego, nieco zmrożona.

- Nie będę pokazywać ci mojej blizny.
- Jak to nie?

I zanim zdążyłam zareagować, Aarón po prostu podciągnął mi do góry bluzkę.

- Ja cię kręcę, naprawdę ogromna.
- Obciągnęłam szybko bluzkę, bo poczułam się obnażona.
- Poczekaj, niech się ponapawam – powiedział.

I spróbował znowu podciągnąć mi bluzkę, ale mu to uniemożliwiłam. A on się upierał. Choć nie mieliśmy takiego zamiaru, zaczęliśmy się siłować i przepychać. Z całą pewnością nie tak sobie wyobrażałam nasze pierwsze spotkanie.

- Nie dręcz mnie, nie mam zamiaru ci jej pokazywać. Ohydna jest. Ciebie to cieszy,

jasne, bo przecież wyśmiewałam się z twoich nawyków zdrowotnych i z twojej owsianki... Żebyś wiedział, że myślałam o tym, leżąc w szpitalu... Gdybym tylko jadła zdrową żywność, więcej owoców, piła herbatki ziołowe i różne takie...

– Skąd, przecież to może się przydarzyć każdemu. Ale będziesz musiała sobie wymyślić jakąś dobrą legendę do tej blizny.

– Nie wystarczy to, że byłam na granicy życia i śmierci w Chinach i operowano mnie z powodu niedrożności jelit?

– To o Chinach może kręcić, to o niedrożności jelit zero. Musisz poszukać czegoś lepszego. Do Chin pasowałoby raczej coś o mieczu ninja albo o wypadku na Rzece Perłowej, gdy spadłaś z dżonki i mało brakowało, a by cię zeżarły jakieś gady.

– Mogę też zrobić sobie operację plastyczną.

– I zrujnować cały potencjał blizny?

– Możemy już przestać o niej rozmawiać?

– Zgoda. Wiesz już, że nie ma ślubu, prawda?

– Tak, siostra mi powiedziała. – A ponieważ nie miałam pojęcia, mimo wszystkich prób, mimo wszystkich przemyśleń, jak to skomentować, przyszło mi do głowy tylko, żeby zapytać:

– Jak się czujesz?

– Dochodzę do siebie. Ale już w porządku. Przygnębiało mnie głównie to, że musiałem o tym mówić ludziom, których zaprosiłem. Bo człowiek nigdy nie wie, jak o czymś takim powiadomić i jaki przybrać ton głosu. Czy serio i ponuro, czy też lekko, jakby się nic takiego nie stało. Tak więc wczoraj wysłałem wszystkim obiegowy e-mail, w neutralnym tonie, ani poważnym, ani żartobliwym, żeby wiedzieli, że nie mam zamiaru popełnić samobójstwa ani nic w tym stylu, oraz że nie jestem największym zbrodniarzem na świecie, no wiesz, że nie jestem ani ofiarą, ani katem. I czuję się już bardziej wyzwolony.

– Cieszę się.

– Że ślub się nie odbędzie?

– Nie, nie. Nie to miałam na myśli. Że już jesteś wyzwolony. I że nie czujesz się jak ofiara ani jak kat.

Aarón się uśmiechnął.

– No więc tak, jestem wyzwolony, bo już wysłałem ten e-mail, oraz, choć pewnie nie powinienem tego mówić siostrze narzeczonej, także z powodu decyzji o odwołaniu ślubu.

– I natychmiast dodał: – Decyzji wspólnej i niemal jednoczesnej. Nie wiem, co ci powiedziała twoja siostra.

– To samo: że wspólnie i jednocześnie.

– No właśnie. Wspólnie i jednocześnie. Nawet napisałem o tym piosenkę. Człowiek nigdy nie przewidzi, gdzie znajdzie natchnienie.

– Tak, słyszałam ją.

– Lu ci ją puściła? Twoja siostra jest czadowa. Czadowa.

– Lu to Lu. No wiesz... Przecież z jakiegoś powodu się w niej kochałeś. Chociaż już teraz raczej nie, co?

– Tak się wydaje.

– Nie masz co do tego jasności?

– No bo... To wszystko zdarzyło się tak szybko. I było takie... takie...

– Takie siakie – dokończyłam.

– No właśnie. Takie siakie, że się można pochłastać. Ale ze mną już w porządku, i z nią także, jak sądzę.

– Z nią wspaniale – powiedziałam.

- Ze mną też.
- No tak, z wami obojgiem wspaniale.
- Tak, ogólnie wspaniale – zakończył.

Ale choćby nie wiem jak się zarzekał, że wszystko w porządku, że wszystko wspaniale, czułam, że jest poruszony. Nie było z nim wcale tak dobrze, jak z moją siostrą. Jasne, to też kwestia temperamentu i tego, że Lu jest, jaka jest, ale widać było, że Aarón – nawet gdyby rzeczywiście już przestał ją kochać, gdyby to było istotnie prawdą, bo już zaczynało mi się wydawać, że jednak sprawy nie są aż tak proste – dopiero zaczyna zdawać sobie sprawę z sytuacji, przetrwać problem i starać się z tym żyć. Tak więc oczywiście to nie był odpowiedni moment ani na to, żeby mu się narzucać, ani żeby coś sugerować, ani mu uzmysławiać, ani na nic podobnego; i w ogóle na nic.

- A ty? Jak się czujesz? – spytał.
- No cóż... Dobrze – powiedziałam.
- Zdołowana z powodu zerwania z narzeczoną?
- Jakoś sobie radzę.
- A więc zdołowana.
- Raczej zdezorientowana niż załamana. Moje plany znowu wzięły w łeb.
- A do czego innego nadają się plany? Ale zły ciąg, co nie? Wydaje się, że nikogo tutaj

nie ominęło zerwanie.

- Na to wygląda. Ale ze mną w porządku, naprawdę.
- Cieszę się. I cieszę się, że wróciłaś.

Poczułam ukłucie w brzuchu. Odkąd mi go przekroili, nigdy nie wiedziałam, czy czuję coś w brzuchu z powodu blizny, czy może przyczyna jest zupełnie inna, ale tym razem poruszyło mnie to, co usłyszałam, bo Aarón przecież powiedział, że się cieszy z mojego powrotu.

- Ach tak? Dlaczego się cieszysz?
- Bo te Chiny wcale do ciebie nie pasowały.
- Aha... No cóż, teraz sama to widzę.
- Tak, przypuszczam, że niekiedy człowiek musi sam się namacalnie o czymś przekonać.

Jak brzmi to angielskie powiedzenie? *I've been there*. Ja już tam byłem. To mi się wydaje bardzo trafne. Czasem aż do chwili, gdy się o coś potkniesz, nie zdajesz sobie sprawy, że to istnieje. Nie zdajesz sobie sprawy z najbardziej oczywistych rzeczy. Musiałem niemal się ożenić z Lu, żeby sobie zdać sprawę z tego, że to nie dla nas. A ty musiałaś polecieć aż do Chin, aby odkryć, że twoje życie jest tutaj.

- Tak. Racja.
- I co, myślałaś już, co chcesz dalej robić?
- Właśnie o tym chciałam z tobą pomówić.
- Nie mów, że chcesz przyjąć propozycję, którą ci złożyłem przed twoim wyjazdem?
- Jeśli nadal nie masz nikogo na to miejsce...
- Nie mam nikogo... a to dlatego, że porzuciłem pomysł z teledyskiem.
- ...?

- To mogłoby się udać jedynie, jeśli to ty zajęłabyś się kostiumami.
- Serio?

– Oczywiście. Upierałaś się przy myśli, że zaproponowałem ci to zajęcie, bo było mi cię żal, albo dlatego, że jesteś siostrą Lu, ale niesłusznie. Mój pomysł miałby sens jedynie, jeśli to ty byś go wcieliła w życie.

- Naprawdę?
- Saro, potrzebowałem twoich piór do swojego pomysłu. Twoich piór i całego twojego

talentu.

– I już jest za późno, żeby do tego wrócić?

– W żadnym razie! Zaraz dzwonię do reżysera, żeby wychranił do kosza ten szajs, nad którym się teraz męczymy. Żadnemu z nas się nie podoba.

– Czy to znaczy, że mnie angażujesz?

– Czy możesz zacząć dzisiaj po południu?

W drodze do domu unosiłam się w powietrzu. No dobrze, jechałam swoim fiatem 500, ale czułam się, jakbym lewitowała. Aarón chce mnie zaangażować do pracy przy swoim teledysku! Nie tylko mnie chce, ale beze mnie nie może wcielić w życie swoich pomysłów. Beze mnie jest nikim. Potrzebuje mnie na płaszczyźnie zawodowej, a ja muszę udowodnić swoją pracę, że potrzebuje mnie także w swoim życiu. No przecież! Muszę się wykazać i choć nie mam tylu lat co Lu ani jej entuzjazmu, ani jej gładkiej skóry – i och!, przecież na dobitkę mam tę straszną bliznę, obleśną jak diabli i bez dobrej legendy – to jednak muszę mu udowodnić, jak wiele jestem warta. Mam zamiar mu udowodnić, że wciąż jestem tą nastolatką, którą chciał pocałować, bo go zafascynowała swoim talentem. I tym razem nie ucieknę w popłochu. O nie! Tego na pewno nie zrobię.

Tego samego wieczoru poszłam z Aarómem do domu reżysera teledysku. Miał na imię Mario, mieszkał na ogromnym, minimalistycznie urządzonym poddaszu na ulicy Alonso Martineza i miał prywatny basen na dachu. Smarkacz, dwadzieścia sześć czy siedem lat. Zbił majątek na kilku filmach, horrorach, które wyświetlano na całym świecie. Pierwszy nakręcił w wieku dwudziestu jeden lat. Młodociany, zaskakujący talent. Jego pasją, oprócz kina, była muzyka. Gdy odkrywał jakiś zespół, który mu się podobał, miał zwyczaj zgłaszać się z propozycją wyreżyserowania gratis teledysku do którejś piosenki. Oczywiście wszyscy się zgadzali z wielką chęcią, bo przecież ktoś tak znany pracujący za darmo znakomicie się przyczynił do wylansowania piosenki. Mario był zafascynowany Aarómem – nie tylko jego muzyką, ale i nim samym. Nie trzeba było być nie wiadomo jak spostrzegawczym, żeby się zorientować, że ta fascynacja była wzajemna. Tworzyli razem wspaniały team. Było między nimi porozumienie, myśleli w podobny sposób i wzajemnie się napędzali, jeden zarażał drugiego entuzjazmem. Opisali mi swój pomysł na teledysk. Według Aaróna był prosty i, jak stwierdził, będzie mi się wydawał znajomy. Przyznał, że zainspirowała go opowieść Lu o tym, co zrobiłam w Rajskim Ptaku wkrótce po jego otwarciu. W trzecim miesiącu jego działania, chcąc przyciągnąć klientelę i zrobić szum wokół sklepu, przekonałam moją siostrę i jej przyjaciół, modeli i modelki, żeby przez jakiś czas udawali manekiny na wystawie. Byli prawie nadzy, przystroiłam ich jedynie piórami w strategicznych miejscach. Nie trwało to długo, ale istotnie zwróciło ogólną uwagę, która niestety nie przełożyła się na sukces w sprzedaży, natomiast przez kilka dni musiałam zmywać ślady, jakie na ogromnym oknie wystawowym pozostawili gapie przyciskający twarze do szyby. Na Aarónie ta historia zrobiła ogromne wrażenie. Być może usłyszał ją w czasie, gdy jeszcze był z Lu, i wyobrażał ją sobie półnągą, udającą manekina, co go kręciło. Tak więc jego scenariusz czerpał z tego natchnienie. Chciał opowiedzieć historię miłości między dziesięcioletnim chłopcem i manekinem, przybranym w kolorowe, widowiskowe pióra, którego on widuje co dzień na wystawie sklepu. I tylko chłopiec zdaje sobie sprawę z tego, że manekin jest żywą dziewczyną, ponieważ ona ożywa jedynie wtedy, gdy chłopiec na nią patrzy. Sklep zajmuje cały budynek, na innych wystawach są też inne manekiny, także ubrane w pióra, fascynujące i wyszukane, i to te manekiny pomagają dziewczynie uciec, żeby mogła spotkać się z chłopcem. Reżyser wtrącił, że muszą mieć *look à la Spike Jonze* i jego film *Gdzie mieszkają dzikie stwory*. Potem Aarón wznowił opowieść o fabule teledysku. Otóż manekin, z pomocą tych innych, ucieka i spotyka się z chłopcem w lesie nad jeziorem, gdzie gra Aarón ze swoim

zespołem. Potem docierają tam pozostałe manekiny i chłopiec z ukochaną tańczą w rytm piosenki wśród spadających z nieba, wirujących piór. Zostaną też rozstawione ekrany, na których wyświetlane będą czarno-białe filmy, rzutniki światła i armatki strzelające piórami.

– Ale czy zdajecie sobie sprawę, że trzeba będzie ubrać... Ile? Trzydzieści osób? Czterdzieści? Całe tłumy. I ten las, pióra, ekrany. To wariactwo. Przecież my tutaj mówimy o superprodukcji na poziomie hollywoodzkim.

– No właśnie – odpowiedzieli zgodnym chórem. – Taki właśnie jest pomysł.

– A w jaki sposób to sfinansujecie?

– Czy ta dziewczyna, którą mi przyprowadziłeś, ma być kierowniczką artystyczną, czy kierowniczką produkcji? – spytał reżyser Aaróna.

– Ja po prostu wiem, ile takie rzeczy kosztują – odpowiedziałam. – I wiem, ile bym musiała od was zażądać za coś takiego. Kupę forsy. A nawet gdybym ja pracowała za darmo, to i tak musielibyście wyłożyć kupę forsy.

– Nie chcę, żebyś pracowała gratis – powiedział reżyser.

– Ani ja – dorzucił Aarón. – Chce nas finansować pewna marka napojów. Są zdecydowani na maksymalną rozrzutność. Jest też pewne czasopismo, które ma własny kanał telewizyjny. Oni też chcą się dołożyć.

– Ten teledysk będzie czadowy i będzie miał wysoką oglądalność. Ludzie będą o nim mówić. Zrobimy coś wyjątkowego – powiedział reżyser. – Piosenka na to zasługuje. A jeszcze bardziej zasługuje na to Aarón.

Uświadomiłam sobie, że jeszcze nie słyszałam tej piosenki.

– Powinnam jej posłuchać – powiedziałam.

– Nie – odparł Aarón.

– Dlaczego nie? – zdziwiłam się.

– No właśnie. Dlaczego nie miałyby jej posłuchać? – spytał reżyser.

– Bo nie chcę, żeby piosenka ją uwarunkowała i ograniczyła. Chcę, żeby to, co ona zaprojektuje, było dużo lepsze od piosenki. – Po czym zwrócił się bezpośrednio do mnie:

– A ponadto piosenka mówi o miłości, ale nie ma nic wspólnego z tą historią o manekinie, którą ci opowiedzieliśmy.

– To prawda – zgodził się reżyser.

– Nie ma niczego nudniejszego od teledysków, które są literalnym odwzorowaniem tego, o czym mówi piosenka. – dodał Aarón.

– Ale... – zaprotestowałam.

– Żadnego ale. Jeśli chcesz, będziemy z tobą omawiać szczegółowo nasz pomysł, przez tyle czasu, ile będzie konieczne. I na tej podstawie zaczniesz wszystko obmyślać. Musisz pójść na maksa.

– A skąd wezmę tyle piór?

Aarón wyciągnął z teczki kartkę z zapisanymi adresami stron internetowych.

– Już z nimi rozmawiałem. Ci tutaj są w Indiach, ale za dziesięć dni przyślą ci wszystko, czego będziesz potrzebowała. Oprócz piór flaminga – uśmiechnął się. – A to jest ferma strusi. I hodowla kaczek. Już ich uprzedziłem. Nie żałuj sobie niczego, składając zamówienia.

– Czy za jakiś tydzień możesz mieć gotowe szkice? Kierownikowi artystycznemu bardzo by się przydały. Pomyśl, że wszystko zależy od tego, czego ty dokonasz – powiedział reżyser.

– Kluczem do tego teledysku są twoje projekty. Musimy tak postawić na nogi świat mody, żeby nawet „Vogue” chciał cię mieć na okładce.

Spojrzałam na Aaróna, jakby pytając, czy ten chłopak ma dobrze w głowie.

– Wiesz, w czym jestem najlepszy? – Mario zorientował się, co sobie pomyślałam.

– W wydobywaniu ze swoich współpracowników tego, czego istnienia nawet oni sami się nie domyślają. A Aarón mnie zapewnił, że jesteś bardzo dobra w tym, co robisz. Ufam mu. Współpracując ze mną, nie będziesz dobra. Będziesz oszałamiająca.

– Słyszałaś, Saro? Zgadzam się z każdym słowem Maria. Będziesz oszałamiająca. Wiem o tym – poparł go Aarón.

Uśmiechnęłam się nieco niemądrze. Skoro on tak mówił, to musi być prawda. Ale musiałam mu to udowodnić. Musiałam doprowadzić do tego, żeby ujrzał to wszystko, co się we mnie kryje, jak ujrzał to wtedy, przed tysiącem lat.

Wróciłam do domu pełna entuzjazmu i naładowana tysiącem pomysłów. Aż mi od nich wirowało w głowie. Czułam się tak pełna życia, tak przepelniona nadzieją, że nagle zaczęło mi się wydawać, iż to niemożliwe, że jeszcze kilka tygodni temu byłam gotowa zostawić wszystko to, co było całym moim życiem. I to Aarón był tym, kto mi o tym przypomniał! To on (i to wcale nie pocałunkiem) przywrócił do życia tę śpiącą królewnę, w którą się zamieniłam. Jakżeby mogła nie czuć tego wszystkiego, co do niego czułam?

Pojawiła się konieczność rozmówienia się z ojcem w jednej bardzo ważnej sprawie. Musiałam do niego zadzwonić i poprosić go o coś.

– Tato, kiedy Mariano z ekipą mają zacząć prace?

– W przyszłym tygodniu.

– Mógłbyś ich powstrzymać przez kolejne trzy tygodnie?

– A to co znowu?

– Potrzebna mi pracownia. Mam pracę.

– Ależ, Saro. Przecież już to zostawiłaś; myślałam, że raz na zawsze.

– Nie mam zamiaru otwierać sklepu. Przysięgam. Ale niespodziewanie pojawiła się możliwość zrealizowania zupełnie szalonego projektu. Nie martw się, jeśli nie będę mogła nad nim pracować w domu babci, to nieważne, znajdę sobie jakieś miejsce. Bo wykonam ten projekt, bez dwóch zdań. Tato, to będzie najbardziej oszałamiająca realizacja w moim życiu.

– Saro...

– Ale zrozumieć, jeśli mi odpowiesz, że nie. Masz swoje racje, ale zrozum też mnie. Ten projekt przywrócił mnie do życia.

– Saro...

– Nie martw się, tato, wszystko w porządku. Ale musiałam się spytać, bo tak byłoby mi najwygodniej, ale rozumiem, że muszę wreszcie zacząć żyć na swoje konto, no i dobrze, nic się nie stało... Mogę coś wynająć, może nawet tak będzie lepiej, więc się nie martw. Niepotrzebnie cię niepokoiłam tym telefonem.

– Saro, pracownia babci jest twoją pracownią. Zawsze nią była. Opóźnię remont o tyle czasu, ile będziesz potrzebowała.

– Naprawdę?

– Sądzę, że nie zdążyłem ci powiedzieć, że zanim się wybrałem po ciebie do Chin, sporządziłem testament.

– Testament? Ojej, tato, co to za pomysł! Po co robisz coś takiego? Przecież jesteś młody.

– Niech ci będzie, ale to w niczym nie przeszkadza. Pracownia i mieszkanie babci będą dla ciebie. Twojej siostrze zostawiamy dom w Aravace.

– Ale... Przecież miałaś zamiar sprzedać dom po babci?

– Już nie. Ale kiedy skończysz tę pracę, wchodzi Mariano i zaczyna remont, bo ostatnie, czego bym sobie życzył, to żeby ci się sufit zawalił na głowę. Zgoda?

– Tato...

– Co?

- No bo nie wiem, co ci powiedzieć.
- To nie trać czasu na gadanie, tylko bierz się do roboty.

Posłuchałam go, oczywiście, że go posłuchałam. Jeszcze będzie okazja, żeby z nim przedyskutować sprawę domu po babci. Nie potrzebowałam tego spadku. Naprawdę nie. Bo jeśli coś było dla mnie oczywiste na tym etapie życia, to że nie miałam zamiaru ponownie pogrzebać się żywcem w sklepie. Ten nieszczęsny sklep odebrał mi siły, z powodu tego, co zarzucali mi moi przyjaciele: mojego uporu, mojej zawziętości, żeby się trzymać raz wyznaczonego planu, nawet gdybym miała go przypłacić życiem. Nie chciałam tego powtarzać, nie chciałam się pograżać, chciałam się wznieść w górę. Z piórami lub bez nich. Z Aarómem lub bez niego.

I z tą myślą zaczęłam pracę nad szkicami. Pracowałam dniem i nocą. Spotykałam się na parę godzin z Aarómem i reżyserem, odrzucaliśmy niektóre pomysły i ulepszyliśmy inne. Co za frajda, pracować nad takim stymulującym projektem wraz z utalentowanymi ludźmi, z którymi łączy człowieka zrozumienie. Każdy mijający dzień owocował coraz lepszymi szkicami i sprawiał, że coraz bardziej zbliżałam się do Aaróna. Byłam oczarowana jego entuzjazmem, jego nawet najdziwniejszymi pomysłami, jego dziecięcą stroną osobowości, jego radością życia. Wszystko w nim mi się podobało do szaleństwa. I tak dobrze się ze sobą czuliśmy, że chociażby dlatego nawet nie przychodziło mi do głowy, żeby przekraczać granice ani zmieniać nasze relacje ze ściśle zawodowych i towarzyskich. Na wszystko przyjdzie czas. Muszę jednak przyznać, że codziennie spędzałam wiele czasu przed szafą i bardzo starannie i długo się ubierałam, żeby wyglądać i czuć się atrakcyjnie i pociągająco, muszę też dodać, że każdego dnia dzwonili do mnie David, Chusa i Inma, żeby zapytać, czy już zrobiłam krok do przodu, czy już się odważyłam na wyznanie. A ja co dzień odpowiadałam im to samo: jestem taka szczęśliwa, czuję się tak dobrze w tym układzie, że za nic na świecie nie chciałabym, żeby coś się zmieniło.

- Tchórz!
- Boidudek!
- Głupia jesteś i już! Przecież to ty go zainspirowałaś, to twoja praca posłużyła za wątek tego teledysku. To takie oczywiste, że aż bije po oczach.
- Na co jeszcze czekasz? Do ataku! Między jednym szkicem a drugim, między jedną dyskusją a drugą. Przecież sama mówiłaś, że panuje między wami harmonia jak nigdy.
- Prawda, że już nawet nie wspomina o Lu? Że ten ślub oddalił się tak, jakby miał się zdarzyć komuś innemu?

Mimo nalegań trzymałam się swego. Teraz najważniejsza dla mnie była praca i radość, jaką mi dawała. Prawda, że – jak to ujęła Chusa – pomysł do teledysku, cały ten świat zrobiony z piór, to wszystko świadczyło o tym, że przez cały czas Aarón miał mnie w głowie, nawet podświadomie. Ale to naprawdę nie był właściwy czas na to, żeby coś zmieniać.

– Dziewczyno, myślałby kto, że budujecie stację kosmiczną. Ja tam uważam, że między jedną pierzastą sukienką a drugą powinniście sobie zrobić przerwę, żeby trochę pobaraszkować w łóżku.

- Nie ma mowy! Zostaw mnie w spokoju, Davidzie.
- Przypuszczam jednak, że jego słowa, mimo iż nie chciałam ich słyszeć, wywierały na mnie wpływ, ponieważ każdego dnia dłużej wybierałam ubrania i każdego dnia staranniej wmasowywałam w bliznę krem regenerujący. Nawet umówiłam się z Inmą na depilację.
- Ojoj, widać po tobie, że już cię przypiliło. Uwierz mi, nie ma to jak gorący seks połączony z prawdziwą miłością.
- Gdybym wiedziała, co będziesz wygadywać, poszłabym gdzie indziej się oskubać.
- Gdzie indziej? Któż zna twoje owłosienie lepiej ode mnie? Nie wygaduj bzdur. A jak tam blizna? Chyba trochę lepiej, co? W półmroku prawie jej nie będzie widać. Przy świetle

trzech świeczek, no, może dwóch...

– A już w ciemnościach to nawet sobie nie wyobrażasz efektu – odburknęłam.

– Kochana, powiedziałam to, żeby ci dodać odwagi. Słuchaj, a to o wikingu i twojej siostrze to prawda? Dałabym głowę, że on gustuje raczej w facetach.

Kiedy już reżyser i Aarón zaakceptowali szkice, nadszedł czas realizacji. Poprosiłam o pomoc Chusę i Davida, którzy zainstalowali się wraz ze mną w pracowni. Ponieważ Aarón już wszystko zatwierdził, nie było powodów, żebyśmy się widywali. I pomimo wytężonej pracy dnie zaczęły mi się dłużyć bez jego towarzystwa.

– Zadzwoń do niego, głupia, powiedz mu, żeby wpadł, że chcesz się poradzić w jakiejś sprawie.

– To z daleka pachnie pretekstem – odpowiadałam.

– No i co z tego? Z pewnością chętnie przyjdzie.

– Gdyby chciał się ze mną zobaczyć, sam by zadzwonił albo wpadł bez pytania.

– No dobrze, dziewczyno, ale nie zapominaj, że nie tak dawno miał się zenić z twoją siostrą. Z pewnością dziwnie by się z tym czuł. W tym przypadku inicjatywa należy do ciebie; albo go poderwiesz, albo smaczny kąsek przejdzie ci koło nosa – stwierdził David.

– Smaczny kąsek? Czy mógłbyś się wznieść na nieco wyższy poziom metafory?

– Och, och, markizo, już się wznoszę. Albo się koło niego zakręcisz, albo ominie cię fenomenalne bzykanko. Nudziara!

Ale i tak nie miałam odwagi zadzwonić. Przecież Aarón chyba będzie ciekawy, jak idzie praca z kostiumami. Przecież, mimo że ma do mnie zaufanie, powinien się zainteresować, jak się sprawy mają. Na pewno wpadnie kiedyś razem z reżyserem. No, teraz, kiedy będziemy przymierzać kostiumy aktorom, to już na pewno zajrzy, a jeśli nie, to z pewnością zjawi się tego dnia, gdy zaczniemy przymiarki na planie, no a w ostateczności zostają te trzy dni, kiedy będzie nagrywany teledysk.

Ale dni mijały i Aarón nie dawał znaku życia. Odważyłam się zadzwonić, gdy miałam już gotową połowę strojów.

– Sara? Jak się masz?

– Wszystko idzie świetnie.

– No pewnie, przecież szkice były genialne.

– Ale przyznaję, że chciałabym, żebyś rzucił okiem.

– Aha... Może będę mógł wpaść jutro lub pojutrze. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki tu panuje chaos. To zła strona nadmiaru ambicji, że wszystkich stron atakują nas problemy...

– Spoko, tu nic złego się nie dzieje. Zresztą to nie takie ważne.

– Przyjdę któregoś dnia... Ale jeśli ty jesteś zadowolona, to mnie uspokaja.

Czas płynął, a Aarón nie przychodził. Postanowiłam więcej do niego nie dzwonić. Jeśli miałabym jakieś pytania, lepiej będzie, jak zapytam reżysera. Razem z Davidem i Chusą dokończyliśmy kostiumy i nikt z nas więcej nie wspominał o Aarónie, bo wyraźnie im tego zabroniłam. Dla dobra nas wszystkich. Miałam po dziurki w nosie ich komentarzy, ich zachęt, ich aluzji, ich pytań. „Dlaczego dzisiaj nie przyszedł?”, „Chyba naprawdę nie ma czasu”, „A może coś mu przeszkodziło?”.

– Zamknijcie się i do roboty! Po to tu jesteśmy, po nic innego. Biercie się do piór, a nie do gadania.

– Tak jest!

– Melduję się na rozkaz!

I nadszedł ten dzień, gdy praca nad kostiumami dobiegła końca. Ci od produkcji pomogli nam je zawieźć na jeden z planów filmowych. Mieliśmy kilka dni na przymiarki. Byłam

przekonana, że gdzie jak gdzie, ale tam to już z pewnością zobaczę Aaróna. Przecież on także miał kurtkę do przymierzenia. Reżyser był entuzjastycznie nastawiony do wszystkiego, co zrobiliśmy.

– To aż niewiarygodne! Te kostiumy mają wszystko to, o co nam chodziło. Są pomysłowe, fantazyjne, spektakularne, romantyczne, świeże... Mega! Wiesz co? Zawiadomię dwie znajome redaktorki z najważniejszych hiszpańskich czasopism o modzie, żeby tu zajrzały podczas nagrywania. Niech opublikują reportaże, niech cały świat zobaczy, co zrobiłaś, Saro!

– Dziękuję. Ale wystarczy mi, żeby teledysk się udał...

– Mam też zaprzyjaźnioną blogerkę modową...

– Jak się nazywa?

– Carlota.

– Nie! Tylko nie ona! Błagam cię na wszystko, nie sprowadzaj jej tutaj. Już mi zrujnowała jeden pokaz. Nie zniosłabym ponownego poniżenia.

– Dobrze już, dobrze. Jak wolisz...

Podczas naszej rozmowy na plan dotarł Aarón; w pewnym momencie zobaczyłam go w towarzystwie reszty zespołu i jednej z dziewczyn z produkcji. Od razu zaczęło mi się wydawać, że laska jest zbyt przymilna i zbyt uprzedzająca, i że zbyt często stara się znaleźć tuż obok Aaróna, wręcz się o niego ocierać. Saro, znowu zaczynasz, zastanów się, czy to nie paranoja, przypomnij sobie, że Aarón jest jeszcze w okresie żałoby po odwołanym ślubie. Z pewnością nie ma najmniejszej ochoty z nikim się zadawać. A jeśli dziewczyna się do niego wdzięczy, to jej problem, nie twój. Ty zajmij się swoimi sprawami.

Aarón podszedł do mnie i serdecznie mnie uściskał. Trzymał mnie w objęciach troszkę dłużej, niż to niezbędnie konieczne. Niemal zemdlałam z rozkoszy. Wszystko między nami dobrze się układało, wszystko zmierzało w dobrym kierunku. Przeprosił mnie, że nie zajrzał do pracowni. Chciał to zrobić, wręcz się do tego rwał, ale nie miał ani minuty wolnego. Obejrzał kilka kostiumów.

– Wiedziałem, że jesteś dobra. Ale to dowodzi, że jesteś najlepsza.

– Niemądry jesteś – powiedziałam załężniona.

– To kurtka dla mnie?

– Chcesz ją teraz przymierzyć?

– Aarón! – zawołał go Mario.

– Potem przyjdę i przymierzę.

Uśmiechnęłam się, przepełniona uczuciem szczęścia. Wszystko między nami było dobrze. A kiedy będę mu przymierzać kurtkę, kiedy będę go miała całego dla siebie, wtedy się odważę. Wystarczy już tego tchórzostwa. No bo przecież nie po to mi przekroili brzuch, żebym była taka beznadziejna jak przedtem. Aarón powiedział mi, że jestem najlepsza, że wszystko jest w porządku, że za mną tęsknił. No dobrze, tego ostatniego nie powiedział, ale tak to odczułam.

Dzień szybko mijał, było pełno do roboty i tylko od czasu do czasu dostrzegałam kątem oka Aaróna z reżyserem. Decydowali, wyrażali opinie, rozmawiali z kierownikami poszczególnych ekip, zatwierdzali niektóre rzeczy, a inne odrzucali. Ta laska z produkcji od czasu do czasu przynosiła im kawę i herbatę i za każdym razem wykorzystywała okazję, żeby dotknąć ręki Aaróna albo chwycić go za ramię. Miałam nadzieję, że coś jej się stanie, że spadnie jej na głowę reflektor albo coś innego... Saro! Uspokój się! Wszystko w porządku, wszystko jest dobrze... Nadeszła pora, żeby przymierzyć kostiumy dwóm kumplom Aaróna z zespołu.

Ponieważ występowałam na planie jako ta od kostiumów, a nie siostra Lu ani przyjaciółka Aaróna, zaczęli ze sobą rozmawiać, jakby mnie przy tym nie było.

– Widziałeś tę małą z produkcji? Tę blondyneczkę?

– Zapomnij. Własność zastrzeżona naszego drogiego bossa...
– No przecież wiem, po to ją właśnie wynaleźliśmy, żeby się odstresował. Może wreszcie przestanie tęsknić za tą wariatką, swoją niedoszłą żoną... Bo już tak zgorzkniał, że strach bierze...

– Nawet jak przeleci tę blondynę, to i tak nie zapomni o Lu. Zapadła mu głęboko w serce...

– Masz rację, stary, ale od czegoś musi zacząć, żeby się uwolnić od wspomnień. Ja po trzech numerkach z tą laską zapomniałbym nawet, jak mam na imię.

Ukłułam go szpilką. Nie wiem, czy naumyślnie, czy niechcący. Ale tak czy siak, sprawiło mi to przyjemność. Jęknął i się poskarżył:

– Kobieto, uważaj, co robisz.

– Poprosz tę z produkcji, żeby ci przykleiła plasterk – odparowałam.

– Jakie wy baby jesteście solidarne, co? Dbacie jedna o drugą. Sandra, ta z produkcji, rwie się do niego jak szalona, wiesz? Wyciągnęliśmy ją z jego fanklubu. Mało się nie posikała, jak się dowiedziała, że będzie mogła z nim pracować.

– Fajnie – powiedziałam. – Ale naprawdę sądzicie, że nadal jest zakochany w swojej byłej?

– Jak kretyn.

– Powiedział wam o tym?

– No coś ty. Ale wystarczy na niego spojrzeć. Udaje twardziela, bo to przecież poniżające, że go lasencja zostawiła dwa tygodnie przed ślubem, ale jest załamany.

– Całkowicie załamany – powtórzył ten drugi muzyk.

Musiałam dokonać nadludzkiego wysiłku, żeby natychmiast stamtąd nie zwiać i nigdy nie wrócić. Ale jakoś dotrwałam do końca i miałam na tyle szczęścia, że już nie natknęłam się na Aaróna. Nie chciałam, żeby ujrzał w moich oczach, że jestem całkowicie zdołowana. Wszystko to, w co uwierzyłam, wszystko to, co sobie wymyśliłam, wszystkie moje złudzenia... Dlaczego zawsze mi się przydarzało to samo z Aarómem? Ponościło mnie. Myliłam jego uprzejmość, jego wspaniałomyślność, jego atencję z czymś innym, a potem czułam się, jak gdybym dostała pałką w łeb. Czy nigdy niczego się nie nauczysz, Saro? Przecież wszystko jest jasne jak słońce i tylko taka niemota jak ty może się upierać, żeby niczego nie dostrzegać. Inspiracją do teledysku nie byłaś ty, lecz Lu. To ona jest ożywionym manekinem. To w niej zakochuje się chłopiec. Któż jest tym chłopcem, jak nie Aarón, który nie może o niej zapomnieć, który nadal ją kocha, którego ona zafascynowała? To dlatego nie chciał, żebyś usłyszała piosenkę, bo mogłabyś się poczuć urażona. I wtedy przyszły mi do głowy strofy innej piosenki, tamtej, którą zaśpiewał w pubie i którą wzięłam za moją piosenkę, choć w rzeczywistości była piosenką dla Lu. Wszystko i zawsze było tylko dla niej. Jak słusznie stwierdzili jego kumple, nie był w stanie o niej zapomnieć.

Walczę z miłością do ciebie.

Staram się uciec gdzieś daleko.

Jednak siła grawitacji zmusza mnie do powrotu.

I znowu tu jestem,

Tak blisko ciebie, że muszę

ponownie uciekać.

Uciekaj, Saro, uciekaj! Przecież ta piosenka pasuje do ciebie jak ulał. Uciekaj. Tym razem nie musisz wyjeżdżać do Chin. Po prostu zostaw Aaróna w spokoju. Nie rób sobie dłużej krzywdy.

Kiedy dotarłam do pracowni, zadzwoniłam do Davida.

– Co powiesz na parę piw? Muszę się upić.
– A tobie co znowu? Nie mów mi, że wreszcie odważyłaś się to powiedzieć, a on cię odrzucił? Nie, to niemożliwe...
– To nie o to chodzi...
– No to po co miałabyś się urżnąć? Dziewczyno, pamiętaj, że alkohol fatalnie na ciebie działa, będziesz miała paskudnego kaca, a przecież musisz się skoncentrować na teledysku.
– Teledysk już nie dla mnie. Zostawiam to.
– Co?! Już lecę!
David pojawił się po półgodzinie, niosąc dwa sześciopaki piwa.
– No już, opowiadaj, o co chodzi z tym zostawianiem wszystkiego. Co za mucha cię ugryzła?
Opowiedziałam mu wszystko, tak jak się zdarzyło. I że już nie mogę dłużej, nie daję rady. Że muszę przestać się wygłupiać, muszę zostawić to wszystko. Tak jak to zrobiłam ze sklepem, z Robertem...
– Ależ dziewczyno, przypomnij sobie, jaka byłaś szczęśliwa przez te trzy tygodnie. Pomyśl o tym, co stworzyłaś do tego teledysku. Nigdy nie poszło ci tak świetnie. To jest lepsze nawet od tego, co zrobiłaś do mojego pokazu. Boli mnie ta myśl, ale to prawda.
– Wszystko mi jedno.
– Nawet o tym nie myśl, Saro. Jeśli masz zamiar się odkochać w Aarónie, droga wolna. Ale nie spieprz najlepszego, co zrobiłaś w życiu, dla głupiego focha.
– Dla focha? Davidzie, tu wchodzi w grę moja równowaga emocjonalna.
– No to swoją równowagę emocjonalną odłóż na bok do czasu, aż zakończy się kręcenie teledysku.
– Ale ja nie wytrzymam! Będę musiała tam być i patrzeć na niego i... Do ciężkiej cholery! Przecież to jest pieprzone *déjà vu*!
– Banialuki, Saro. Jesteś o wiele silniejsza, niż sądzisz. Dziewczyno, przecież obleciałaś świat dookoła, rozpruto ci brzuch, ale przeżyłaś! I jesteś tutaj, żywa. I wykonałaś tak oszałamiające kostiumy, jakich nie widziałem od lat.
– Ale Davidzie...
– Sama powiedz, czy nie jesteś dumna do szaleństwa z tego, co zrobiłaś?
– Jestem.
– Sama powiedz, czy to nie jest ta najwspanialsza szansa, której szukałaś? Ten teledysk zobaczą wszyscy. I pomyśl o tych redaktorkach, które będą przy nagraniu...
– Reżyser miał zamiar zaprosić Carlotę Hamilton.
– A niech przyjdzie! Zobaczysz, kopara jej opadnie ze zdumienia.
– Davidzie...
– Saro... Chcesz zamknąć rozdział życia z Aarónem, chcesz żyć dalej bez niego. No cóż, wspaniale. W życiu nie można mieć wszystkiego. No i co z tego?
– No tak... Ale...
– Żadnych ale. Jesteś o krok od ukoronowania swojej pracy sukcesem zawodowym. Spluniesz na to tylko dlatego, że nie mogłaś zdobyć jakiegoś faceta? Serio? Kim ty jesteś, małą dziewczynką, która się wścieka, bo nie dostała wszystkiego, czego chciała? Gdzie jest napisane, że człowiek dostaje wszystko, czego chce? Nie widzisz, że to egoistyczne, dziecinne i, przede wszystkim, całkowicie oderwane od rzeczywistości? Wykorzystaj to, co trzymasz w garści, ciesz się tym, a nie ryzykuj utraty wszystkiego z powodu frustracji wywołanej pogonią za majakiem.
– Cholera, Davidzie... Ależ mi dowaliłeś...
– Bo czytuję sporo książek o psychologii poznawczej.

– Ty?

– Tak, ja. A bo co? A jak myślisz, jak mi się udaje tak szybko dojść do siebie za każdym razem, gdy jakiś kochaś złamie mi serce? Bo mam wytrenowany umysł.

– No coś takiego!

Ale faktem jest, że miał rację. Miał najzupełniejszą, najbardziej oczywistą rację. Dokończę pracę nad teledyskiem, będę się cieszyć sukcesem i nie będę się użalała nad sobą dlatego, że nie udało mi się czegoś dostać od życia.

– Przyrzeknij mi, że jutro będziesz na planie z samego rana, z uśmiechem od ucha do ucha i w pełni sił. Jesteś profesjonalistką, Saro. Powtórz.

– Jestem profesjonalistką.

– I nawet jeśli ujrzysz, jak Aarón całuje tę małą blondi, żeby nie płakać po twojej siostrze, nie ruszy cię to i będziesz dalej pracować, a nie uciekać jak mała rozkapryszona dziewczynka. Powtórz.

– Davidzie...

– Powtórz.

– No dobrze, nie będę uciekać. Nawet jeśli go weźmie chętką na zorganizowanie publicznej orgii.

– Fajnie. Ale jeśli zorganizuje orgię, zawiadom mnie natychmiast, żebym miał szansę się przyłączyć.

– Lepiej jutro pojedź ze mną, niezależnie od ewentualnej orgii, bo możesz mi być potrzebny. Zgoda?

I David przyrzekł, że pojedzie ze mną następnego dnia na plan. Żeby mi pomóc, dodawać mi sił albo na wszelki wypadek. To był pierwszy dzień nagrywania i całe to zamieszanie przypominało do złudzenia atmosferę panującą przed pokazem. W środku najgorszego bałaganu odebrałam telefon. Dzwoniła Lu. Już od dłuższego czasu z nią nie rozmawiałam.

– Jak tam nagrywanie? – spytała.

– Jesteśmy na planie, właśnie zaczynamy i to jest zupełne wariactwo.

– Słuchaj, dzwonię do ciebie, bo Aarón mnie poprosił, żebym przyjechała na plan.

Powiedział, że przyśle po mnie samochód.

– Aha...

– No i chciałam najpierw zapytać, co ty na to.

– Co ja na to?

– Tak. No bo nie wiem, co jest między wami, a nie chciałabym przeszkadzać ani też stwarzać jakiejś niezręcznej sytuacji.

– Ależ Lu, co ty mówisz. Przecież to twój były. Nie ma powodu, żebyś miała mnie prosić o zgodę.

– Na pewno ci nie zależy? Przysięgam, że nie miałam najmniejszego zamiaru jechać, ale Aarón wziął się i uparł...

– Nie przejmuj się i przyjeżdżaj.

Zakończyłam rozmowę, a David, który podsłuchiwał, ale nie słyszał wszystkiego, zażądał, żebym mu ją zrelacjonowała. Powiedziałam mu, co usłyszałam od Lu. Ani on, ani ja nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, o co chodziło Aarónowi. Dlaczego tak nalegał, żeby Lu przyjechała.

– A może chce, żeby to ona była tym manekinem z wystawy? – zastanawiał się David.

– Tak myślisz? – spytałam przerażona. – Ale przecież kostium, który zrobiliśmy, nie jest dla niej. Ma wymiary na inną dziewczynę.

– No to nie wiem. Może chce zaimponować swojej byłej superprodukcją à la Hollywood?

Postanowiłam się dłużej nad tym nie zastanawiać i wzięłam się do pracy. Ale już za chwilę ci z produkcji powiedzieli, że nastąpiła zmiana planów. Ponieważ prognozy pogody, które pilnie śledzili, zapowiadały deszcze za dwa dni, bo nad Półwysep Iberyjski nadciągał front atmosferyczny, postanowiono, że na resztę dnia i na jutro przeniesiemy się w plener, żeby wykorzystać dobrą pogodę, a na zadaszony plan filmowy wrócimy na trzeci dzień, gdy będzie lało. Było mi to obojętne, bo i tak już miałam wszystko przygotowane, a ponadto jedyne, na czym mi zależało, to żeby jak najszybciej skończyć; to, od czego zaczniemy, miało drugorzędne znaczenie.

Tak więc załadowaliśmy wszystko do furgonetek i wyruszyliśmy w drogę. Nie pytałam, jaki las ani jakie jezioro zostały wybrane do zdjęć, ale na którymś rozgałęzieniu szosy dojrzałam znak drogowy: zalew San Juan. Jak błyskawica przebiegła mi przez głowę myśl, że to tam właśnie, nad tym zalewem, miał się odbyć ślub mojej siostry. No to już wiedziałam, dlaczego Aarón wysłał po nią samochód.

– Davidzie! On znowu się jej oświadczy. Albo zaimprovizuje ślub.

– Co? O czym ty mówisz?

– Las, jezioro, miejsce zdjęć do teledysku to zalew San Juan! Przecież ślub miał się odbyć właśnie tam! Aarón właśnie dlatego tak namawiał moją siostrę, żeby przyjechała.

– Żartujesz...

– No bo jeśli nie, to dlaczego by mu tak na tym zależało?

– O matko, to ma jakiś sens. O tak...

Oślabłam. Od rana aż do teraz włożyłam masę wysiłku, żeby stawić czoła życiu, jednak to odkrycie sprawiło, że wszystko stało się nie do wytrzymania.

– A może powiem kierowcy, żeby stanął albo zawrócił, bo okropnie źle się czuję?

– Dziewczyno, teraz jesteś już zdolna stawić czoła wszystkiemu. Dasz radę.

– Nie wydaje mi się.

– Zobaczysz, że tak – powiedział i uściśnął mi dłoń, silnie i po przyjacielsku.

Gdy dotarliśmy nad zalew, panowała tam gorączkowa aktywność, rozmieszczano oświetlenie, kamery, mikrofony. Ekipa artystyczna rozstawiała na swoim miejscu dekoracje, a ja z pomocą Davida i ludzi z produkcji zaczęłam wyciągać z furgonetek kostiumy i pióra. Następne godziny minęły mi jak we śnie. Nie chciałam się zbyt zagłębiać w myśli o mojej siostrze i Aarónie, ponadto naprawdę nie miałam na to czasu, gdyż byłam zbyt zajęta organizacją i ubieraniem aktorów i manekinów. Odrywałam się jedynie wówczas, gdy na plan podjeżdżał jakiś samochód – sprawdzałam, czy wysiada z niego Lu, ale jak dotąd jeszcze się nie pojawiła. Właśnie ubierałam jedną z modelek, gdy ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłam się i ujrzałam swoich rodziców.

– Tato, mamó! Co wy tutaj robicie?

– Zadzwoił do nas Aarón i poprosił, żebyśmy przyjechali – wyjaśnił ojciec.

Pobladłam.

– A więc to prawda. To nie może być nic innego.

– Co się dzieje, dziecko? Jesteś okropnie blada.

– Przybyliście na ślub, prawda?

– Jaki znów ślub?

– Ślub Lu.

– Lu? Lu wychodzi za mąż? – dopytywała się matka, całkowicie zdezorientowana.

– Przecież ślub został odwołany. No i popatrz tylko, Arturo, przyjechaliśmy ubrani jak łapserdaki! – Spojrzała złym okiem na mojego ojca. – Aarón powiedział ci, żebyśmy przyjechali na jego ślub, a ty zapomniałeś mnie o tym poinformować?

– Ależ nie, Berto, skądże – odparł ojciec. – Aarón nic mi nie mówił o żadnym ślubie.

– Czy nie widzicie, że jesteśmy nad zalewem San Juan! – krzyknęłam. – Nie wpadliście na to, że to jest właśnie to miejsce, gdzie miał się odbyć ślub?

– Aarón powiedział mi tylko, że przydamy się przy nagrywaniu teledysku. – Ojciec rozejrzał się wokół. – I to tak wygląda, prawda? Jak plan filmowy, a nie żaden ślub.

– Tak, ale to dlatego, że Aarón postanowił zrobić niespodziankę.

– O nie! Nie mam zamiaru uczestniczyć w uroczystości ślubnej mojej córki ubrana w jakieś stare łachy! – oburzyła się matka. I rozglądając się wokół, dodała rozmarzona: – Ale fakt, że tu jest bardzo ładnie; i popatrzcie, że zawsze byłam przeciwna temu, żeby ślub się tutaj odbył, a to takie romantyczne miejsce. – Zmarszczyła czoło, a potem zaczęła się uważnie przyglądać jednemu po drugim wszystkim członkom ekipy filmowej. – Ci ludzie tutaj też nie są odpowiednio ubrani.

– To filmowcy, oni tak mają – stwierdził ojciec.

– A Lu? Gdzie jest Lu? – Matka nadal rozglądała się wokół. – I jaką będzie miała suknię? Podszedł do nas jeden z chłopaków z produkcji.

– Jak tam, Saro? Mario cię potrzebuje. Jak będziesz wolna, podejdź do niego, musi z tobą zamienić kilka słów.

– Powiedz mu, że już idę.

Chłopak spojrzał na moich rodziców i zapytał:

– Przypuszczam, że są państwo statystami?

– Jesteśmy rodzicami panny młodej – odparła matka, tonem pełnym godności, a nawet lekkiego oburzenia.

– Ach tak... Nic mi o tym nie wiadomo – powiedział chłopak, zbity z tropu. – Proszę tylko nie przeszkadzać ekipie.

I odszedł. Matka odprowadziła go wzrokiem, wzduszając z pogardą ramionami.

– To jeden z organizatorów ślubu? Cóż za maniery, doprawdy!

– Zostańcie tu – poprosiłam rodziców. – Muszę iść porozmawiać z reżyserem.

Odchodząc, usłyszałam jeszcze, jak matka pyta ojca: – Reżyser? Po co reżyser na ślubie? Lepiej by było, żeby ich pozenił ksiądz, jak Pan Bóg przykazał. Wszystko byłoby bardziej zrozumiałe.

– Berto, nie ulegaj emocjom, proszę cię. Coś mi się nie wydaje, żeby tu miał się odbyć jakiś ślub...

Podchodząc do Maria, w sercu kryłam nadzieję, że mój ojciec się nie myli. No dobrze, ślubu może i nie będzie, za to zaczęłam się obawiać, że zostaniemy zmuszeni do asystowania przy wyznawaniu uczucia i formalnej prośbie o rękę. Przeklęty Aarón. Mario o coś tam mnie spytał, ja coś tam mu odpowiedziałam i postanowiłam skorzystać z okazji, żeby się dowiedzieć, co knuje Aarón.

– Wiesz coś o tym?

– O czym?

– O Lu.

– Kim jest Lu?

– A więc tobie też nic nie powiedział! Gdzie on jest? Gdzie jest Aarón? Dlaczego go tu nie ma?

– Zajmuje się próbą dźwięku. Bo chociaż w ścieżce dźwiękowej użyjemy nagrania ze studia, on chce, żeby tutaj zabrzmiało wszystko jak na koncercie. To perfekcjonista.

– Perfekcjonista i bałwan – powiedziałam, zanim zdążyłam się ugryźć w język. I pomyślałam: Żebyś ty wiedział, do czego mu potrzebny ten mikrofon...

– Czy wszystko w porządku? – zaniepokoił się Mario.

– Tak, tak...

Podszedł do nas asystent reżysera, żeby go o coś spytać, więc wykorzystałam tę chwilę, żeby umknąć i wrócić do pracy. W oddali ujrzałam Aaróna. Pomachał do mnie ręką, roześmiany od ucha do ucha, i wykonał gest mający oznaczać, że zobaczymy się później. Bałwan. Przeklęty bałwan. Wita się i uśmiecha, jakby nigdy nic. Przeklęty Aarón.

Gdy za jakiś czas postanowiłam poszukać rodziców, zobaczyłam, że byli z nimi David i Lu, która właśnie kłóciła się z matką.

– Czy mogę się dowiedzieć, dlaczego przyjeżdżasz w takim ubraniu, moja panno?

– A w jakim miałabym? – zdziwiła się Lu.

– Tyle zawracania głowy, żebym ci kupiła suknię, a teraz przyjeżdżasz w dzinsach? Na swój własny ślub?

– Na mój ślub? – Lu popatrzyła na mnie pytająco. – Nie wiesz, co się stało mamie?

Czyżby się upiła?

– Nie udawaj głupiej, przecież wychodzisz za mąż! – Matka nie dawała się zbić z pantafyku.

– Przecież odwołaliśmy ślub, mamo.

– Ach, tak? No to co my tutaj robimy? Tutaj, nad zalewem! Przecież to tutaj miał być twój ślub.

– Miał być. Ale nie jest. Nie wychodzę za mąż.

– Ja już nic nie rozumiem. – Matka popatrzyła na mnie bezradnie.

– A czy teraz ja mogę się dowiedzieć, co wy w ogóle tutaj robicie? – Lu zadała to pytanie rodzicom.

– To Aarón nas tu ściągnął! Na twój ślub! – krzyknęła oburzonym głosem matka.

– Nie jest w stanie cię zapomnieć, Lu – wyjaśniłam.

– Aarón?

– Tak. To dlatego cię tutaj ściągnął.

– Ależ skąd, zadzwonił do mnie, bo jest megazadowolony z tego, co tu robicie, i chciał, żebym to zobaczyła...

– Tak ci powiedział. Ale to pretekst. Bo nie może o tobie zapomnieć. Bo przecież cały ten teledysk jest o tobie. No i zastanów się, gdzie jesteśmy? Nad zalewem San Juan – tłumaczyłam.

– Ależ skąd... ależ skąd – powtórzyła Lu, tym razem już mniej pewnym głosem.

– To jasne jak słońce. Wychodzisz za mąż w dzinsach – zajęczała matka. – I ani cateringu, ani fotografa, ani gości, ani niczego... Nowoczesność nowoczesnością, ale co wam szkodziło trochę tradycji? Tylko pióra i pióra, do znudzenia. – Wskazała palcem na worki z piórami, które obsługa ładowała do armatek.

– Doprowadzacie mnie do szału! – wrzasnęła Lu. – Gdzie jest Aarón?

Rozejrzała się i dostrzegła go w oddali. Zrobiła krok w jego stronę, ale złapałam ją za rękę.

– Proszę cię, Lu, nic mu nie mów, bo będzie zawiedziony, że zrujnowaliśmy mu niespodziankę.

– Zostaw mnie w spokoju!

I Lu ruszyła w kierunku Aaróna. A mnie nie pozostało nic innego, jak stać w miejscu i patrzeć. Ale zanim moja siostra zdołała do niego dotrzeć, Aarón wskoczył na zaimprovizowaną estradę i podszedł do mikrofonu.

– Witam całą ekipę i bardzo wam dziękuję za wspaniałą pracę, którą wykonujecie. Dziękuję też wszystkim tym, którzy skorzystali z mojego zaproszenia, choć nie pracują nad

teledyskiem. Jest dla mnie niezmiernie ważne, żebym był dzisiaj otoczony bliskimi mi ludźmi, ponieważ chciałbym... Są rzeczy, które należy powiedzieć raz a dobrze, głośno, w obecności ludzi. Odważnie i licząc się z konsekwencjami.

Zamknęłam oczy, jak w kinie, gdy podczas oglądania horroru nie możesz znieść tego, co ma się wydarzyć, ale ponieważ jednocześnie nie chcesz nic uronić z wątku, nie zatykasz uszu. Tak więc nadal doskonale słyszałam słowa Aaróna.

– Dzisiaj nagramy teledysk do najnowszej piosenki, którą skomponowałem i z której jestem niezwykle dumny. Są piosenki, które komponuje się w dziesięć minut i takie, które tworzy się przez połowę życia. I choć wkrótce będziecie mieli jej dosyć, bo będziecie musieli jej słuchać jak dzień długi, ponieważ będziemy ją puszczać z głośników do poszczególnych ujęć, chciałem, żeby to pierwsze wykonanie było na żywo. A teraz, ponieważ widzę, że mój zespół już jest gotowy...

Podczas gdy Aarón przemawiał, członkowie jego zespołu zajmowali miejsca przy instrumentach. Zabrzmiały pierwsze akordy. Zatem Aarón wyzna miłość Lu w formie piosenki. Bardzo stosowne i bardzo sprytnie z jego strony, bo któż by się oparł w takich okolicznościach. Należało przyznać temu przekłętemu bałwanowi, że doskonale umie stworzyć nastrój.

A wtedy Aarón znowu zabrał głos.

– Przed laty obiecałem komuś piosenkę, i choć z opóźnieniem trzynastu lat, jednak dotrzymuję obietnicy. Saro, ta piosenka jest dla ciebie.

I nagle z armatki wytrysnęły tysiące piór, wprost nad nasze głowy. Pióra wirowały i tańczyły w powietrzu, opadając na nas, a ja, oszołomiona, myślałam o tym, co właśnie usłyszałam. Powiedział Sara? Sara? Wymienił moje imię? Sara?

Lu spojrzała na mnie – wśród piór. David spojrzał na mnie – wśród piór. Moi rodzice spojrzeli na mnie – wśród piór. Ja spojrzałam na Aaróna – wśród piór. I chciałam spytać: „Nie pomyliłeś sióstr? Wymówiłeś moje imię? Na pewno?”. A Aarón, jakby usłyszał moje myśli, uśmiechnął się do mnie. Do mnie. Podniósł mikrofon do ust. Rozległa się muzyka, prosta, piękna melodia. I dobiegł mnie jego głos, niski, lekko schrypnięty, poważny... Śpiewał, wbijając we mnie (we mnie!) wzrok:

*Nadal śnię o letnich nocach,
O wojnach na poduszki,
O spadających z nieba piórach.
Nadal czuję, że gdy zamknę oczy,
Zobaczę ciebie.
Zgubiłem cię, bo utraciłem odwagę.
Odnalazłem cię, gdy już było za późno.
Wyrzekłem się ciebie ponad trzy razy.
Nie miałem prawa cię kochać.*

Nie byłam w stanie przetworzyć tego, co właśnie słyszałam. Naprawdę nie byłam w stanie. Aż zapragnęłam krzyknąć: „Nie śpiewaj więcej, bo nie jestem w stanie tego pojąć!”. To piękna piosenka, ale nie wiem, czy dobrze wszystko zrozumiałam. Bo to zbyt piękne i przecież nie mogło się to wydarzyć właśnie mnie...

*I odchodziłem, i uciekałem,
Ale pozostawałaś w moim umyśle.
Teraz we wszystkich moich piosenkach
Jest ukryte twoje imię.
Krążyłem dookoła, a grawitacja
Przyciągała mnie do ciebie.*

I wiesz co?

Mam zamiar się jej poddać.

Tym razem chcę wrócić do ciebie.

Chcę wrócić.

Chcę wrócić.

Tym razem chcę wrócić.

Chcę wrócić.

Chcę wrócić.

Chce wrócić. Chce, żeby grawitacja przyciągnęła go do mnie. Ja byłam tą masą, która oddziaływała na niego siłą przyciągania. Jakżebym śmiała sprzeciwić się prawu grawitacji? Piosenka się skończyła i wszyscy zaczęli bić brawo. Wszyscy, tylko nie ja. Ja nadal stałam bez ruchu. Podeszła do mnie Lu.

– Jak dla mnie, to on sugeruje, że go pociągasz...

– Co? – spytałam nieprzytomnie.

– Myślę, że on cię kocha.

– Skomponował dla mnie piosenkę – powiedziałam. Ciągle jeszcze próbowałam to wszystko zrozumieć.

– I to bardzo ładną – przyznała.

– I co ja mam teraz zrobić?

– Już chyba czas na to, żebyś robiła, na co masz ochotę, zamiast się zastanawiać. Tak sądzę.

– A wiesz, że masz rację? Ale co ty na to?

– Saro, zapomnij o mnie.

– Ale...

– Miewam się doskonale. Naprawdę.

To ośmieliło mnie do podejścia do stóp zaimprovizowanej sceny. Aarón zeskoczył i stanął naprzeciwko mnie. W jego wzroku dostrzegłam niepewność.

– I co ty na to?

– Rozumiem już, dlaczego nie chciałeś, żebym usłyszała wcześniej tę piosenkę. Ale teraz nie jestem pewna, czy moje pióra i to wszystko, co przygotowaliśmy, do niej pasuje.

– Tylko tyle mi powiesz?

– Nie. – Uśmiechnęłam się. – Chcę cię pocałować, ale rodzice patrzą.

– Właśnie dlatego ich tu ściągnąłem. Żeby to zobaczyli i żeby ci zaoszczędzić wyjaśniania im wszystkiego.

– Jaka delikatność uczuć.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek pomyślał, że skradłaś siostrze narzeczonego. Narzeczonego, który od zawsze był w tobie zakochany. Choć starałem się temu zaprzeczać, chociaż chciałem pokochać Lu, i zresztą naprawdę sądziłem, że ją kocham, i naprawdę usiłowałem sobie ułożyć życie bez ciebie, ale to nie było możliwe, bo od naszego spotkania zagościłaś w moich myślach i... Muszę przyznać, że zajęło mi trochę czasu, żeby to wszystko sobie poukładać.

– Trochę?

– No, sporo. Niemal tyle co tobie. Pamiętasz tamtą noc na balkonie? Tak swobodnie zwierzyłem ci się z najgorszych chwil mojego życia, a potem poczułem się tak dobrze, że już nie byłem w stanie zaprzeczać swoim uczuciom. Chociaż okazałem się tchórzem i nie ujawniłem ich. Czy mi przebaczysz?

– Myślę, że zasłużyłeś na ten pocałunek.

– Tak?

– Tak.

Aarón nachylił się nad moją twarzą i nasze usta się zetknęły. Pocałowaliśmy się. Wtedy zrozumiałam, czym jest pocałunek, o którym jest mowa w bajkach, tej o Śpiącej Królewnie czy o Kopciuszku... Ten pocałunek zawierał je wszystkie. To był jeden z tych pocałunków, które smakują szczęśliwym zakończeniem i początkiem wszystkiego.

Aarón odsunął się na tyle, żeby móc zapytać:

– I jak?

Spojrzałam mu w oczy, odetchnęłam głęboko i odważyłam się wyrzucić z siebie:

– Wiesz, że mam wielką bliznę na brzuchu i dziesięć lat więcej od mojej siostry, prawda?

– Napisałem inną piosenkę, która o tym mówi, ale wolałem wyznać ci miłość tą, którą właśnie usłyszałaś.

Uśmiechnęłam się. Szczęśliwym uśmiechem.

Podeszli do nas moi rodzice. Oraz David, który nie mógł się powstrzymać przed poklepaniem mnie po plecach i uszczypnięciem w ramię. A potem uściskał Aaróna i ucałował go, i powtórnie go ucałował, i...

– Dosyć, Davidzie...

– Szkoda, to było takie piękne. A nie chciałaś tu przyjeżdżać.

– To co z tym ślubem? To z tobą go bierze? Dzisiaj? – wypytywała matka, którą wydarzenia całkowicie przerosły. – Jak wy okropnie wszystko gmatwacie...

– Mamo, nie będzie żadnego ślubu.

– Jak to nie będzie ślubu? – zaprotestował ojciec. – Oczywiście, że będzie. Berto, mówiłaś, że podoba ci się to miejsce i wydaje ci się stosowne na ślub.

– Arturo, jak zwykle niczego nie rozumiałaś. Dziewczynki nie biorą ślubu. Żadna z nich nie bierze.

– Ale my możemy.

– Widać, że brakuje ci oleju w głowie. Przecież już jesteśmy małżeństwem.

– Jesteś pewna? Bo ja nie do końca. Ale byłbym zachwycony, gdybym mógł odnowić moją przysięgę małżeńską. Tutaj, z tobą.

– Naprawdę? – spytała matka.

Ojciec spojrział na nią z czułością, którą można by owinać w kolorowy papier i sprzedać jako bożonarodzeniowy prezent, po czym przyklęknął na jedno kolano.

– Czy chcesz zostać moją żoną?

– Lu! – krzyknęła matka, machając ręką, żeby przywołać moją siostrę. – Lu! Chodź tu, twój ojciec właśnie poprosił mnie o rękę!

Lu podbiegła, ponaglana przez matkę. A gdy już wszyscy razem staliśmy kołem, matka uśmiechnęła się do ojca.

– Tak, Arturo Escribano, ponownie chcę ciebie za męża.

Matka rzuciła się ojcu w objęcia i pocałowali się. Jak dwoje narzeczonych przy ołtarzu lub jak dwoje ludzi, którzy od trzydziestu lat są małżeństwem.

– Ale ten ślub będzie cię drogo kosztował, żebyś wiedział.

Mario, reżyser, podszedł do nas i chrząknął.

– Hm... tego... Nie chciałbym psuć nastroju tej chwili, ale jesteśmy tutaj po to, żeby nakręcić teledysk.

Nakręciliśmy go, oczywiście, że tak. I udał się tak dobrze, jak tego pragnęliśmy, a może i lepiej. Ja osobiście nadal uważałam, że nie ma zbyt wiele wspólnego z tekstem piosenki, ale nikomu więcej, jak się wydaje, to nie przeszkadzało. Ponieważ teledysk trafił do wszystkich kanałów telewizji, osiągnął ponad cztery miliony wyświetleń na YouTube, a piosenka była

nadawana w radiu przez wiele, wiele miesięcy, Aarón zdobył za nią nagrodę Grammy Ameryki Łacińskiej. A ja? No cóż, nie udało mi się zaistnieć na okładce „Vogue’a”, ale Mario uparł się, żeby mnie zatrudnić jako kostiumologa do swojego następnego filmu. To miała być jego pierwsza wycieczka na szlaki historii – akcja miała się toczyć w czasach Karola V – ale chciał zrobić coś niekonwencjonalnego, szalonego i dalekiego od standardowych obrazów o tej epoce. Uznał, że jestem idealną osobą, żeby mu towarzyszyć w tej przygodzie. Ani nie chciałam, ani nie umiałam mu odmówić. To był początek kariery w całkiem nowym dla mnie zawodzie.

Ojciec zatrudnił Erica, żeby zastąpił go w jego pracowni architektonicznej w Madrycie, podczas gdy on sam zajął się ekspansją do Chin, gdyż podpisał umowę ze studium architektonicznym, w którym pracował Roberto. A ponieważ umowa przewidywała, że przez pierwsze trzy lata będzie musiał często podróżować do Hongkongu, chciał pozostawić komuś zdolnemu i energicznemu kierowanie sprawami na miejscu. Wiking bez wahania przyjął jego propozycję.

Matka była zachwycona chińską ekspansją, bo zaczęła sobie wyobrażać, ile prezentów będzie jej przywoził ojciec z każdej podróży. Jeszcze bardziej cieszyło ją to, że ojciec odzyskał całą swoją młodzieńczą energię i entuzjazm.

Moja siostra postanowiła, że nie chce chodzić z facetem, który pracuje dla jej ojca. Dla wszystkich było widoczne, że ten argument jest jedynie pretekstem, żeby w elegancki sposób pozbyć się wikinga. Wpadł jej już w oko ktoś inny – operator filmowy, umięśniony chłopak z kucykiem, wyglądający na fana surfingu. „Mówię ci, Saro, zakochałam się. Tym razem to już naprawdę”.

Ja, po ośmiu miesiącach z Aarómem, zaszłam w ciążę. I wspólnie postanowiliśmy, że jeśli to będzie dziewczynka, otrzyma na imię Henar, a jeśli chłopiec, to Guillermo. No dobrze, macie rację, zaplanowałam te imiona już dawno, dawno temu. I chociaż nauczyłam się nie upierać się przy swoim, pozwalając sobie na luz i na to, żeby życie sprawiało mi niespodzianki, te imiona nadal mi się podobały.

Na świat przyszedł chłopiec i otrzymał na imię Guillermo.

Podziękowania

Chcę podziękować moim wydawczyniom: Miryam, Belén i Anie Rosa. Bez nich ta powieść by się nie ukazała. Po prostu.

Dziękuję też Henar Iglesias, wspaniałej *plumassière*, która przyjęła mnie w swojej pracowni, gdzie wytwarza przedmioty z piór. To jej zawdzięczam całą wiedzę o piórach, którą zawarłam w powieści. Dziękuję także jej matce, modystce Charo, za to, że mogłam odwiedzić jej pracownię kapeluszy. Talent i uprzejmość niekiedy chodzą w parze.

Veronice Fernández dziękuję za przeczytanie pierwszego rozdziału i dodanie mi animuszu. I za zasugerowanie, jakim zawodem powinna parać się bohaterka książki.

Dani Tizón jestem wdzięczna za informacje o Chinach i za dokumentację graficzną. Do dzisiaj przesyła mi zdjęcia ze swoich podróży. Dziękuję też Modestowi i Monice za to, że opowiedzieli mi z całym bogactwem szczegółów o swoim pobycie w chińskim szpitalu.

Mojemu szwagrowi dziękuję za to, że nieświadomie podał mi najlepszy pomysł do tej powieści.

Jestem wdzięczna za słowa otuchy Javiemu Holgado, który był pierwszym czytelnikiem powieści. Jesús de la Torre, Susana López, Carlos Ruano i Jaime Vaca – dla was, nieznużonych czytelników, moje słowa podziękowania.

Dla Guillerma za to, że znosił mnie podczas pisania.

Dla Berty, za tytuł książki. I za jej sztukę. Zajrzyjcie na jej stronę na Facebooku, La Prima. Będziecie zachwyceni.

Mojej siostrze i mojej kuzynce Lilianie dziękuję za to, że odstąpiły mi najlepszy pokój w domu, żebyśmy mogła dokończyć pisanie. I moim rodzicom, za ich hojność w trudnym momencie.

Mojej ciotce Pili. Już ona wie za co.

Flamingom z madryckiego zoo. Takim różowym.

Przypisy końcowe

Mówią o mnie zaginiony (hiszp.) (wszystkie przypisy, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą od tłumacza).

Skromni, pokorni (hiszp.).

Nouvelle vague (nowa fala) – nurt we francuskim filmie końca lat pięćdziesiątych XX w., koncentrujący się na problemach współczesności [przyp. red.].

Do zobaczenia! (franc.).

Uliczne protesty społeczne tzw. oburzonych rozpoczęły się w Hiszpanii w 2011 r.

Powieść autorstwa Charlotte Roche.

Całuj mnie, całuj mnie mocno, jakby to miała być nasza ostatnia noc. Całuj mnie, całuj mnie mocno, bo boję się, że cię wkrótce utracę (piosenka meksykańska).

Cześć, jestem Eric. Sara, jak sądzę? (ang.).

Tak. Miło mi cię poznać (ang.).

Tobie też się podoba? (ang.).

Płaczka (hiszp.).

Wszyscy mówią na mnie czarny, płaczko, czarny, lecz czuły. Jestem jak zielone chili, płaczko, pikantny, lecz smaczny (hiszp.).

Przykryj mnie swoją narzutką, płaczko, bo umieram z zimna... (hiszp.).

Po ostatnim kieliszku (hiszp.).

Wypij ze mną tę butelkę, a po ostatnim kieliszku wyjdziemy (hiszp.).

Sprytne i wyrafinowane, i tanie, takie tanie, bo przyszłość musi być tania (ang.).

Mogę spróbować (ang.).

Silne emocje (ang.).

Madrycie, kocham cię! (ang.).

Oczywiście, przepraszam (ang.).

Dzień dobry (ang.).

Takie duże i wrażliwe. Popatrzcie na jego mordkę (ang.).

Piękne pióra (ang.).

Niebezpieczne (ang.).

Dokąd idziemy? (ang.).

Wy zostajecie tutaj. Czy one są niebezpieczne? (ang.).

Jesteś pewna? (ang.).

Taka wielka... i wściekła. To zła karma (ang.).

Różowe flamingi też (ang.).

Człowiek zachowujący się histerycznie (ang.).

Nie boli (ang.).

Co się dzieje? (ang.).

Drożej. Ten zegarek jest wyjątkowy. Dwieście przynajmniej (ang.).

Chciałbym dostać tu pracę (ang.).

Szczodrość (ang.).

Co za talent, co za wyobraźnia (ang.).

Jutro mam samolot. Muszę się wyspać. Dobranoc, Saro (ang.).

Dalej, dalej (ang.). [

Mowa tu o najważniejszej hiszpańskiej narodowej nagrodzie filmowej Goya (hiszp. Premios Goya), przyznawanej corocznie (od 1987 r.) przez Hiszpańską Akademię Sztuki Filmowej (hiszp. Academia de las Artes y las Ciencias Cinematográficas de España) [przyp. red.].

Mój chłopak, a raczej mój były chłopak... Muszę do niego zadzwonić (ang.).

Zadzwońcie do niego. Numer jest w moim telefonie (ang.).

Mówicie po angielsku? Ambasada. Hiszpańska ambasada, proszę. Zadzwońcie.

Zadzwońcie (ang.).

Pałac la Moncloa w Madrycie jest siedzibą premiera rządu Hiszpanii.

Syndrom Stendhala objawia się przyspieszeniem akcji serca, zawrotami głowy, dezorientacją, a nawet halucynacjami [przyp. red.].

Witaj, Saro. Zdobyłem pracę. Tu, w Hiszpanii! (ang.).

Miło cię widzieć (ang.).

Ona jest zakochana (ang.).

Ona kocha Aaróna (ang.).

Ona jest taka wspaniałomyślna (ang.).

To dla niej silne przeżycie (ang.).